

Nagroda Księgarzy Norweskich przyznawana za najlepszą książkę dekady

Herbjørg Wassmo

Dziedzictwo Karny

„Nowa, wielka Wassmo.”

— Tinic Talén, VG

Herbjørg Wassmo

Dziedzictwo Karny

Przekład z języka norweskiego

Ewa M. Bilińska

smak  słowa

Sopot

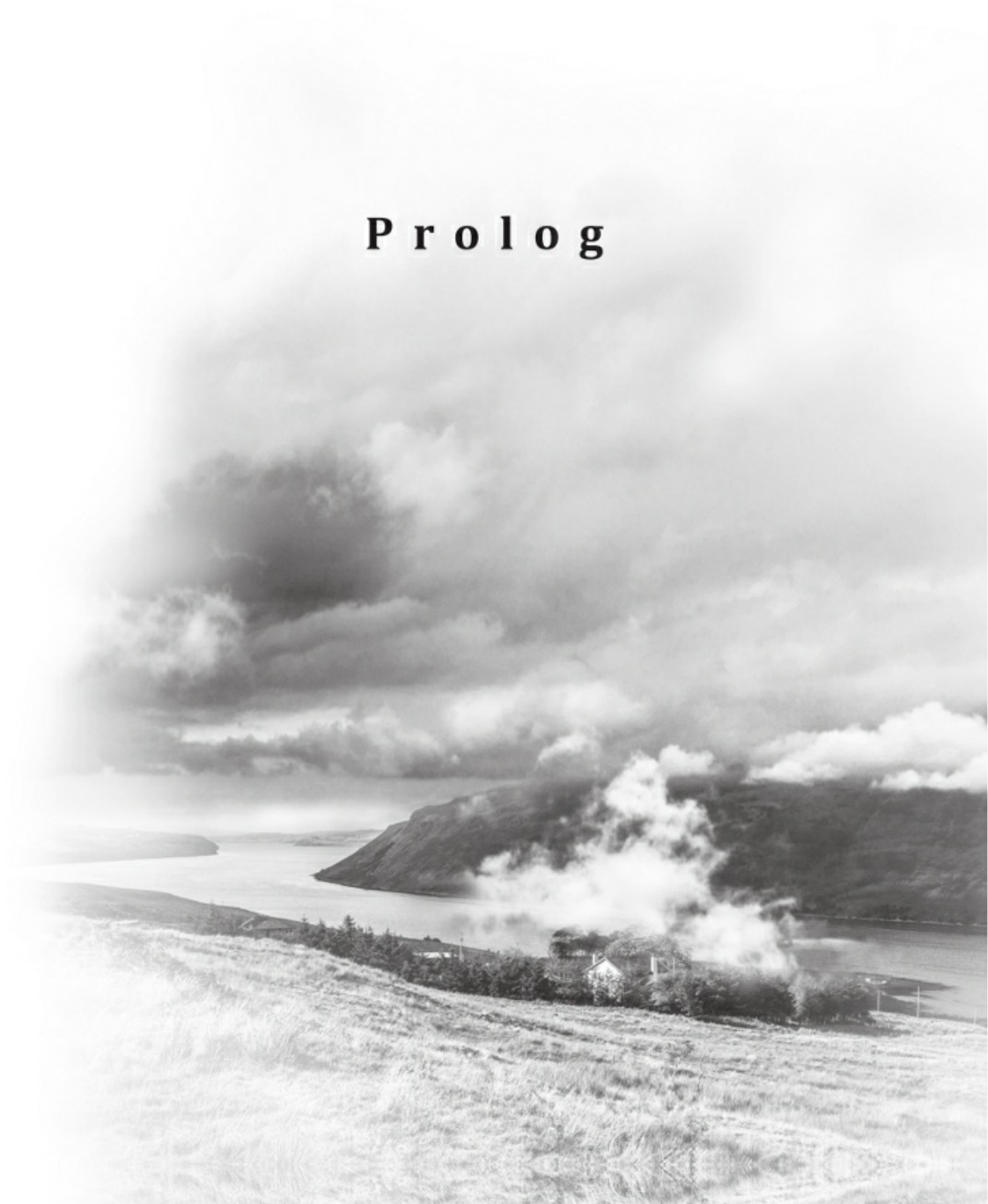


Dla Hilde

Ma to swoją najgłębszą podstawę w tym, co jest istotne w ludzkiej egzystencji, w fakcie, że człowiek jest indywiduum i jako taki jest jednocześnie sobą i całym rodzajem ludzkim, w taki sposób, że cały rodzaj ludzki uczestniczy w jednostce, a jednostka w całym rodzaju ludzkim.

Søren Kierkegaard, *Pojęcie lęku*

Prolog



NIE BÓJCIE SIĘ WIĘC ICH! NIE MA BOWIEM NIC SKRYTEGO, CO BY NIE MIAŁO BYĆ WYJAWIONE, ANI NIC TAJEMNEGO, O CZYM BY SIĘ NIE MIANO DOWIEDZIEĆ.

(Ewangelia według św. Mateusza 10,26)^[1]

Schody były strome i wąskie. Najniższe stopnie miały głęboką szramę. Zupełnie jakby ktoś wbił w nie topór.

Pewnego dnia właz prowadzący do wielkiej czarnej dziury był otwarty.

Wiedziała przez cały czas, że istnieje, bo mówili, że się tam wybierają. Ale ona nigdy tam nawet nie zajrzała.

Najpierw weszła tylko na kilka pierwszych schodków, bo nie było żadnej poręczy, której mogłaby się przytrzymać. Ale zanim zdążyła się zastanowić, czy ma na to odwagę, była już tak wysoko, że zajrzała w mrok.

I kiedy tak stała z głową ponad krawędzią, mrok się przemienił. Szeptał do niej i chciał nią zawładnąć.

Schwyciła się kawałka podłogi i sprawdziła, czy nic się nie rusza. Coś mogło być tutaj niebezpieczne. Ale nie wiedziała co.

Postępując krok za krokiem, zawarła pakt z ciemnością, która pozwoliła jej dostrzec kontury kufrów, skrzyń, pudeł, walizek, połamanych krzeseł i płóciennych worków. Powiązanych sznurkiem stosów starych gazet. Tuż przy wlocie stał osłonięty budką koszyk na kółkach.

Wiedziała, że jeśli się odwróci i spojrzy w światło, nie będzie w stanie wejść na samą górę. Pokonała więc szybko kilka ostatnich schodków, aż poczuła pod nagimi stopami deski podłogi.

Nie było tu lodowato, jak kiedyś sądziła, tylko o wiele cieplej niż w izbie. Jakby deski na podłodze promieniowały jakimś

wewnętrznym ciepłem.

Kiedy tak szła przed siebie, wchodząc coraz głębiej w mrok, robiło się coraz cieplej. Powietrze było ciężkie od czegoś, czego nie umiała nazwać.

Belki podtrzymujące dach były ogromne niczym ramiona trolla. W ciemności widziała jedynie ich zarysy ponad swoją głową. Tworzyły głębokie rozpadliny i wykusze, w których mogło kryć się wszystko to, czego ludzkie oko nie potrafiło zobaczyć.

Nie było tu żadnego światła prócz tego, które wpadało przez klapę otwartą nad schodami. Ciało stało się zbyt lekkie, aby pomieścić serce tak wielkie jak jej. A ono biło szaleńczo, usiłując wydostać się przez gardło za każdym razem, gdy tylko dostrzegła własny cień.

Przy najbliższej ścianie kominowej stał kufer z żelaznymi okuciami. Był pierwszym darem, jaki dała jej ciemność. Kiedy otworzyła wieko, rozległ się cichy grzechot. To nie ona była źródłem tego dźwięku.

Najpierw zacisnęła mocno powieki, licząc do trzech, a potem je otworzyła i zobaczyła jeszcze wyraźniej jakieś poruszenie. Jednocześnie coś przemknęło obok jej stóp. Niczym wiatr.

Serce waliło szaleńczo, rozsadzając ją całą. Przez chwilę stała tam tylko. Zupełnie nieruchomo. Potem szybko wetknęła dłoń do kufra i natrafiła na coś delikatnie szeleszczącego. Przypominało w dotyku bibułkę, z której Sara robiła na Boże Narodzenie girlandy aniołów.

Miękkość pod spodem była jak aksamit albo skóra. Napełniła nią obie dłonie i uniosła. Była o wiele większa niż ona. Pociągnęła ją za sobą po podłodze, nie mając odwagi na nią popatrzeć ani przycisnąć jej do ciała.

Rozłożyła tkaninę w promieniu światła wpadającym przez otwartą klapę, a jej głowę wypełnił zapach lata. Obcy i znajomy zarazem.

Najpierw sądziła, że to tylko suknia z czerwonego aksamitu, z długimi rękawami i czarną koronką okalającą dekolt.

Wtedy suknia rozłożyła się i usiadła.

W środku siedziała pani z długimi włosami i wyciągała do niej ręce. Jej bransoletki pobrzękiwały. Całkiem cicho i tylko dla niej. Kółka, których nie potrafiła policzyć, połyskiwały w półmroku.

Wtedy nadeszły mdłości. Stopy i ramiona zwisły jej bezwładnie, a przez jej głowę przetoczył się przenikliwy dźwięk. Pojęła, że zaraz upadnie.

Zdążyła jeszcze poczuć pod sobą szorstkie deski podłogi.

*

Kiedy jej myśli powróciły, wszystko było czerwone i czarne. Tępy ból uświadomił jej, że przygryzła sobie język. Szyja i twarz były całkowicie mokre i lepkie.

Z ust jej ciekło. Spróbowała się wytrzeć. Ale nie poszło to najlepiej. Drżąc, usiłowała się sama objąć, bo zdała sobie sprawę, że marznie.

Wtedy rozpoznała ten miękki aksamit. Leżała na czyichś kolanach. W chwilę potem poczuła głaszczące ją ręce. Ciepłe i delikatne, z rozśpiewanymi bransoletkami.

W pierwszej chwili zacisnęła mocno powieki. Zaraz potem je otworzyła i spojrzała prosto w twarz spoglądającą na nią z obrazu nad pianinem. Suknia też była ta sama. Tylko że ta tutaj była prawdziwa.

To babcia Dina siedziała i trzymała ją w ramionach, czekając, aż dojdzie do siebie.

A więc nie ma się czego bać, pomyślała, zamykając ponownie oczy. Wtedy usłyszała:

- Wiedziałam, że pewnego dnia przyjdiesz.
- Czekaaś?
- Oczywiście, że czekałam.
- Gdybym wiedziała, że tu jesteś, przyszłabym wcześniej – rzekła drżącym głosem.
- Przecież nie dałabyś rady sama otworzyć wjazdu.
- Dzisiaj był otwarty. Czy to ty...?
- Albo ktoś inny.
- Jak mam sobie z nim poradzić, kiedy będę chciała tu przyjść?
- Poproś Beniamina, żeby ci otworzył.
- A jeśli nie będzie chciał?
- Musi.
- Dlaczego?
- Bo już wypuściłaś mnie z walizki.

*

Bergljot z hałasem gramoliła się na schody, wołając Karne przestraszonym głosem.

Dziewczynka leżała nieporuszenie w objęciach aksamitu.

Znieśli ją do izby. Przez otwarte drzwi słyszała, jak Bergljot otrzymuje reprimendę za zostawienie otwartej klapy do wjazdu na strych.

Stine siedziała przy łóżku, odmawiając nad nią *Ojcze nasz*, tak jak to miała w zwyczaju, pojąc ją jednocześnie wywarem z przywrotnika.

– Powinniście sprowadzić babkę Dinę ze strychu – rzekła Karna pomiędzy kolejnymi łykami.

Popatrzyli na siebie w przerażeniu, nic nie rozumiejąc.

Wtedy zaczęła wzbraniać się przed dalszym pić.

– Boże, zmiłuj się, zdaje się, że dzieciak zobaczył upiora – stwierdziła Bergljot.

Wtedy Karna pojęła, że musi im wybaczyć. O niczym nie mieli pojęcia. Przypomniała sobie, jak Oline powiedziała pewnego razu:

– Pani Dina miała tyle pięknych sukien. Była próżna, choć taka nieporządna. Na pewno leżą ciągle gdzieś na strychu.

– Przynieście suknię po babci – powiedziała surowo Karna.

I stało się tak, jak chciała.

*

Chodziła tam często. Nie tylko w lecie, kiedy podłoga była ciepła i grzała ją w stopy. I nie tylko wówczas, gdy padał deszcz. Nie, bywała na strychu zawsze wtedy, kiedy tego potrzebowała.

Tam na górze najwyraźniej można było znaleźć wszystkie rzeczy i ubrania posiadane przez ludzi w dawnych czasach.

Stine i Oline uważały, że samotne chodzenie po ciemnym strychu jest dla Karny niebezpieczne. Mogła dostać napadu świętej choroby i zrobić sobie niechcący krzywdę.

Ale tata był zdania, że musi nauczyć się rozpoznawać, kiedy powinna się położyć, żeby zapobiec upadkowi. Nie należało jej ciągle niańczyć.

*

Kiedy tatuś otwierał jej właz, Oline krzyczała z kuchni:

– Z doktora to nie jest żaden ojciec, tylko zwykły głuptak! Zamierza pozwolić, żeby dzieciak wykończył się gdzieś tam w ciemności!

Jednak wcale nie czuła, żeby upadek groził jej w czasie, kiedy była na górze. Panowała tam ciemność i cisza. Czasami słyhać

było jakąś mysz czy inne stworzenie.

Tata pomagał jej przysuwać skrzynie oraz kufry bliżej wjazdu i światła, żeby mogła więcej zobaczyć. Lampy nie pozwalano jej zabierać.

Godzinami wspólnie z babką przeszukiwały stare, nikomu już niepotrzebne rzeczy. Tyle obrazów przelatywało jej przez głowę. Ludzi, których nigdy nie widziała. Nie każdy się przedstawiał. Ale to nic nie szkodziło.

Babcia mawiała, że szukają czasu.

Niekiedy wspólnie przymierzały suknie. Babcia nigdy się nie śmiała, nawet jeśli Karna dziwnie w nich wyglądała. Pomagała jej tylko zapinać guziki i paski.

Buty były zabawne. O wiele za duże dla Karny. Kiedy szła, szurały po podłodze.

Pewnego dnia znalazły długie boa z piór. Wiło się w ślad za nią jak wąż i pachniało trochę jak doktorska torba taty. Mimo wszystko owinęła je sobie wokół szyi, czując wyraźnie, że ma do czynienia z czymś żywym.

Zanim zeszła z powrotem do domu, babcia zdjęła czerwoną suknię. Żeby schodząc, mogła zabrać ze sobą zapach lata. Karna wzięła ją i powiesiła na oparciu wysokiego krzesła w izbie.

Miała teraz wrażenie, jakby na krześle siedziała babcia. Mogła leżeć w łóżku i mieć ją na wyciągnięcie ręki.

*

Pieśń morza. Jej pierwsze wspomnienie. Uczucie opuszczania własnego ciała. Bo musiała. A może chciała?

Odpłynęła, jeszcze leżąc w łóżku. Kiedy otworzyła oczy, porwała ją wielka siła. Światło. Uniosło ją, wsysało w siebie. Przymuszało. Żeby słuchała pieśni.

Kiedy sen ciągle trwał, ujrzała samą siebie unoszącą się nad morzem. Wiatr miał takie mocarne ramiona.

Dźwięk. Daleko przy szkierach brzmiał jak głuchy łoskot. Potem bliżej, tony stawały się wyraźne, a jednocześnie wkradał się w nie nowy odgłos, podobny do skargi pełnej groźby. Potem od nowa. I tak przez cały czas. Wznosił się jak pieśń wielkiego chóru, który zarazem szeptał i śpiewał, napominał, dziękował i prosił.

Morze wydobywało z siebie chyba najpotężniejszą pieśń na świecie.

Od czasu do czasu słyszała, jak grzywacze rzucają się na wzgórze z flagą. Nie musiała tego widzieć. Wiedziała, jak to wygląda. Fale wznosiły się i rozbijały na wszystkim, czego były w stanie dosięgnąć.

W końcu, pobielając ze złości, usiłowały sięgnąć nieba. Zawsze jednak kończyły, opadając.

A wzgórze flagowe trwało. Najwyraźniej było wieczne. Tylko maszt niekiedy się łamał.

*

Gdy przebudziła się w izbie, wszystko wydawało się szare i czarne. Gałązki róży skrobały o szybę. Nie mocno. Tylko jak cień niepokoju gdzieś w głowie.

Była spocona, a mimo to marzła. Minęła dłuższa chwila, nim zdołała postawić stopy na podłodze.

Jej żołądek pełen był mdlącego przestרחu i nie była już w stanie latać.

Dywanik był w paski. Ale nie widziała kolorów. Czuła tylko jego lodowatą, szorstką powierzchnię. Zdawała sobie z niej sprawę, jeszcze zanim stopy dosięgły podłogi. Najbardziej chropowate były paski ciemnoniebieskie. Resztki starego zimowego płaszcza Hanny.

Przeszła przez izbę i jadalnię, gdzie ogień strzelał już w piecu. Podreptała do kuchni. Ciepło powitało najpierw palce jej stóp. Potem ją całą. A w środku tego ciepła była Oline. Zawsze.

Dawno temu sądziła, że Oline i stołeczek na kółkach stanowią jedną całość. Ale kiedy pewnego razu Oline dostała gorączki i leżała w łóżku, stółek stał samotnie przy piecu. Leżała na nim poduszka w biało-niebieską kratkę, której nie widziała nigdy wcześniej.

Zdarzało się, że budziła się z okropnym smakiem w ustach, przypominającym jej o nieobecności tatusia w chwili, gdy zasypiała.

Wdrapywała się wtedy na kolana Oline i pytała: – Czy tatuś Karny wrócił już do domu?

*

Kiedy słońce powróciło, światło zamieszkało również w śniegu. Powodowało drzenie powiek, tak jakby oczy chciały się ukryć.

Ale nie było na to rady. Najpierw nieznośnie bolało. Jakby przez głowę przepływała ławica drobnych płotek z ostrymi płetwami.

A jednak musiała je osiąść. Światło.

Jeśli dostatecznie długo wpatrywała się w oko słońca, porywała ją pieśń morza. Musiała później znosić mdlące przebudzenie.

Pociechę stanowiły ramiona tatusia. Jego głos. Dłonie na czole.

Najgorzej było wtedy, gdy wpatrywały się w nią obce oczy albo kiedy bezwiednie zsiakała się pod siebie.

Tatuś miał zwyczaj nakrywać ją pledem albo wnosić wtedy do izby. Ale nie zawsze był przy niej.

*

Pewnego razu, kiedy spadł bielusieńki i świeży śnieg, położyła się na plecach pomiędzy altaną a płotem okalającym ogród. Nawet

z zamkniętymi oczami wiedziała, że ciepłe światło i zimny śnieg stanowią jedność. Dokładnie tak jak morze i niebo w oddali, ponad przybrzeżnymi wysepkami.

Kiedy o tym myślała, głowa rozpadła jej się na kawałki, zlewając się z niebem.

Zataczała wokół siebie ramionami i nogami szerokie kręgi, aby poczuć własne istnienie. Potem wstała ostrożnie, nie zostawiając śladów stóp.

Kiedy otworzyła oczy i spojrzała w dół, w śniegu leżał anioł. Dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej leżała ona. Stworzyła go zupełnie sama. Na swój obraz i podobieństwo.

Opowiedziała Oline o aniele i w odpowiedzi usłyszała, że to bluźnierstwo. Tylko Bóg mógł stworzyć cokolwiek na swój obraz i podobieństwo.

Nie spierała się. Ale pojęła, że Oline nie zawsze ma rację.

*

Chciała wierzyć, że Hanna nadal jest Hanną. A jednak to nie była ona. Coś obcego było w jej głosie. I w ubraniach. Jedna z nich miała mniej zdecydowane dłonie. No i pachniała zupełnie inaczej niż wszystko w Reinsnes.

Pewnego razu, chyba zaraz po tym, jak dostała swoje pierwsze zapinane buciki, bo został jej w pamięci stukot własnych kroków na schodach, ta druga Hanna stała przy oknie w sali sypialnianej. Twarz miała ukrytą w dłoniach.

Kiedy Karna chciała jej dotknąć, pochyliła się i objęła ją ramionami. Wydzielała mocną, słodką woń i wydobywały się z niej jakieś dźwięki. Twarz miała całkowicie mokrą.

To wtedy po raz pierwszy poczuła pustkę, która od czasu do czasu spowijała dorosłych i potrafiła wyciągnąć kolor ze ścian,

zamieniając go w chłodną barwę. Mimo że w piecu płonął ogień. Działo się to w najbardziej niespodziewanych momentach.

Tatuś wszedł do pokoju i zrobiło się jeszcze gorzej. Nie patrzył na nią, tylko na tę inną Hannę. Z obcą twarzą wymawiał słowa, które na zawsze utkwily jej w głowie. Dziwne, bo nie pamiętała, co dokładnie powiedział.

Spódnice szeleściły, a wysoki głos rzucił coś o wyjeździe.

Wtedy tatuś schwycił ją z całej siły. Miał nieczułe dłonie, więc wierzgała i krzyczała.

– Nie jesteś moim tatusiem, kiedy robisz się taki okropny!

Później nie była już pewna, co z tego zdarzyło się rzeczywiście. Ale przycisnął ją do siebie tak mocno, że bolało, i krzyczał ponad jej głową.

– Do diabła, gówniaro, jestem twoim ojcem!

W ten sposób wyjazd Hanny stał się winą Karny. Dlaczego, tego nie wiedziała.

*

W sumie przez cały czas rozumiała, że było ich dwie. Bo Hanna i Isak wyjechali już wcześniej do Strandstedet.

Hanna prawie zawsze miała usta pełne szpilek. Z beli materiałów i na wpół gotowych sukni wiszących dookoła na ścianach unosiła się ciężka woń.

Zanim cokolwiek powiedziała, musiała wyjąć po kolei wszystkie szpilki z ust i wetknąć je w czarny grzybek uszyty z aksamitu. Był przytwierdzony na stałe do brzegu stołu. Szpilki stały w nim równiutko, błyszcząc w świetle lampy.

Dobrze było mieć Hannę, ale człowiek nie mógł ufać jej obecności. Dlatego trzeba było jej uważnie wypatrywać. Na przykład w tej drugiej. Karna uważała, że to w zasadzie nic nie szkodzi. Przecież

i tak wyjechały. Każda z nich ruszyła parowcem w siną dal.

Najpierw słyszeli zamaszyste ruchy i chrzest kadłuba, potem parowiec wyłaniał się z za wzgórza z flagą i zaczynał pomrukiwać.

Wtedy Livian ze sklepiku podpływała do niego wiosłową łódką. Jeśli była duża fala, mała łódeczka podskakiwała na niej w górę i w dół i wydawała się straszliwie samotna. Jeśli na morzu panował spokój, zdawała się ptakiem podpływającym do ogromnego parowca.

Czasami parowcem przyplływały nie tylko pakunki i skrzynie, ale również ludzie, których nigdy w życiu nie widziała. Kiedy przychodzili do domu, prawie zawsze musiała się przedstawić i podać im dłoń.

*

Z wyrazu ich oczu wiedziała, czy naprawdę ją dostrzegają.

Ta druga Hanna zauważyła ją od razu po przybyciu. Nawet bardziej niż dostrzegała tatusia.

Najpierw powiedziała coś niezrozumiałego i tatuś również zaczął tak mówić. Kiedy ruszyli z przystani w górę, wzięła Karnę za rękę. Kilka razy zatrzymywała się, pochylała tak nisko, że robiła się równie mała jak Karna, i wymawiała te swoje dziwne słowa.

Tatuś często miał taki miękki głos w obecności tej drugiej Hanny. Również tego dnia w sali sypialnianej, kiedy był taki niedobry. Może nawet najbardziej po tym dniu.

*

Druga Hanna siedziała przy pianinie.

Pachniało trawą, a zasłonki były takie białe. Nagle wdarły się do izby wielkim łukiem. W chwilę później zwisały znów równo w dół, można było pomyśleć, że to był tylko sen.

Karna podpełzła aż do czarnego pudła, żeby słyszeć, jak druga Hanna wydobywa z niego pieśń.

Dwie nagie stopy opierały się o pedały. Kiedy na nie naciskała, duże palce wykrzywiały się, dziobiąc powietrze. Sprawiały wrażenie niedobrych, chociaż nie robiły nic złego. A może przestraszonych? Że ktoś je złapie.

Przez chwilę leżała tam pogrążona w dźwiękach, myśląc o tym ich przestraszu, a potem otworzyła usta i ugryzła.

Najpierw w pianinie coś zagrzmiało w momencie, gdy druga Hanna spróbowała zabrać stopę. Potem spomiędzy oglądanych od dołu klawiszy wyłoniła się jej twarz. Do góry nogami. Włosy zwieszały się prawie do ziemi. Jak oddzielająca je zasłona.

Nie były tak czarne jak u prawdziwej Hanny. Ale mimo to były ładne.

Tatuś nadbiegł, krzycząc na nią, że popsowała koncert. Pociągnął ją za stopy, żeby wydobyć ją spod pianina.

– Zostaw ją tam – rzekła druga Hanna, wybijając kilka wściekłych akordów.

Ale nie była zła. Śmiała się.

A tatuś wcisnął się na stołek tuż obok niej. Przez długą chwilę siedzieli tam, przytulając się głowami. Wydawali przedziwne dźwięki.

Karna usiadła, pragnąc, aby ją dostrzegli.

Ale jej nie widzieli.

Wtedy wyciągnęła ręce, kładąc je obie na klawiszach. Zabrzmiała dzika pieśń. A oni nadal jej nie zauważali.

Wówczas uznała, że równie dobrze może jej to powiedzieć.

– Lepiej zaraz odpłynąć parowcem!

Tatuś rozzłościł się, ale ta druga Hanna wzięła ją na kolana.

Ułożyła jej palce na klawiszach, nakrywając je własnymi, i przycisnęła. To troszkę bolało.

– Popatrz! Teraz dla nas zagrasz – powiedziała druga Hanna, naciskając ponownie palcami.

Wtedy z pianina wyszedł „Dziadek Noe”.

Kiedy druga Hanna puściła jej dłonie, Karna nadal wpatrywała się w klawisze i przyciskała tam, gdzie wydawało jej się, że siedzi dźwięk.

A „Dziadek Noe” ponownie rozpląnął się po pokoju.

*

Na komodzie w najbardziej wystawnym salonie stało zdjęcie oprawione w zdobioną ramkę. Powiadali, że to jej matka.

– To twoja mama Karna, po której nosisz imię – rzekł tatuś. – Umarła, kiedy się urodziłaś.

Słyszała, jak powtarzał dokładnie to samo raz za razem. Ale to był pusty dźwięk.

Takim dźwiękiem stała się dla niej Kopenhaga. Tam ludzie umierali. I to była jej wina. Bo mówili: Kiedy się urodziłaś.

Od czasu do czasu przyciągała sobie krzesło i wdrapywała się na nie, żeby mama Karna mogła ją zobaczyć. Prawie zawsze był w tym smutek.

*

Kiedy prawdziwa Hanna przyjechała do domu w Reinsnes, zostało już postanowione, kiedy dokładnie ma wracać do Strandstedet.

A Isak musiał jechać z nią. Spał w izbie z Karną, chociaż był od niej większy. Jeśli gniewał się na nią, szedł nocować do oficyny, do Stine i Tomasza.

Kiedy Isak był w dobrym humorze, nie był wcale taki zły. Ale nie można było polegać na jego obecności. Kiedy się rozzłościł, mówił, że jest mała i głupia. Nie podobało jej się to. Ale cóż mogła zrobić. Pokopać w krzesło albo pójść do stajni i poszturchać konie patykami, aż rżały. O ile nikt jej nie widział. Ale to niewiele pomagało.

Pewnego razu, kiedy Isak był na nią zły, upadła. Wszyscy nadbiegli. Hanna również. Wtedy uciekł do letniej obory i nie pokazywał się przez całe popołudnie.

Hanna spała w mansardzie od południowej strony. Raz na zawsze tam, oświadczyła Oline. Brzmiało to tak, jakby miało trwać długo. Gdyby tylko można było mieć pewność, że to będzie trwało aż do świąt.

Ale pojechali wszyscy razem. Tatuś również. Ze swoją wielką doktorską torbą.

*

Pewnego dnia, kiedy razem z tatusiem trollingowali czarniaka, przez cały czas wydawał jej się ponury.

Wtedy powiedziała mu to.

– Niech Hanna wróci tu do domu i wszystko będzie znów dobrze.

– Musi być w Strandstedet i szyć, sama rozumiesz.

Hanna była jedyną znaną Karnie kobietą, która samodzielnie podjęła decyzję, że chce mieszkać gdzieś indziej. Robiła to, co chciała, i niczym się nie przejmowała.

Stine miała na to coś w rodzaju wyjaśnienia i mawiała:

– Hanna robi to, co sama czuje.

Karna rozumiała to w ten sposób, że skoro Hanna chciała siedzieć w Strandstedet z ustami pełnymi szpilek, to siedziała i już.

Pomijając tę sprawę, niełatwo było pojąć, co lubi i czuje Hanna.

Czasami lubiła Karnę. Ale nie zawsze. Ale nawet Isaka nie zawsze lubiła.

Wtedy Oline orzekła:

– Chłopak powinien mieć ojca.

*

Kiedyś Hanna często przyjeżdżała do Reinsnes. Tatuś i ona zaśmiewali się do rozpuku wieczorami. Słyszała to ze swojej izby.

Pokonywali się nawzajem w warcaby i szachy. Ale to były tylko pionki na planszy.

Pewnego razu wdrapała się na korytarz prowadzący do strychu, a Hanna stała tam przed szafą z bielizną i czegoś szukała. Wtedy Karna zobaczyła, że tatuś też tam jest.

Miała wrażenie, że walczą ze sobą w półmroku. Ale chyba tego nie robili. Kiedy ją zauważyli, zaczęli do niej bardzo słodko przemawiać. Oboje naraz.

Nie była do końca pewna, czy zdarzyło się to przed nastaniem tej drugiej Hanny, czy po. A może i wtedy, i wtedy.

*

Oline mawiała:

– Kiedyś w Reinsnes było za dużo bab, a teraz jest zbyt mało.

Karna rozumiała doskonale, że mówiła tak dlatego, że nie było w domu prawdziwej Hanny.

Pewnego dnia przy ładnej pogodzie tatuś zabrał ją ze sobą na łódkę. Płynęli strasznie szybko. Wszystko było takie łatwe. Wtedy to powiedziała:

– To nie moja wina, że wyjechała.

– Pewnie, że nie, a skąd ci to przyszło do głowy? Oczywiście, że to nie twoja wina!

Wypowiedział to gdzieś w stronę otwartego morza. Głos miał tak miękki, że aż mu się łamał.

– Wobec tego czyja to była wina?

– Moja.

– Bo byłeś taki niedobry?

– Tak, byłem bardzo niedobry!

– Czy ona wróci?

– Tego nie wiem.

– A możesz ją poprosić...?

– Hm...

– Nie chcesz?

– To nie takie łatwe.

– Czy nie mogłaby ci się do czegoś przydać?

Wtedy roześmiał się, chociaż nadal sprawiał wrażenie smutnego.

– Nie wiem, jak to ze mną będzie...

Wtedy Karna się przestraszyła, bo zdawała sobie sprawę, o czym myśli. O podróży. Dalekiej.

*

Tego dnia, gdy tatuś przyszedł i powiedział, że będzie miał praktykę w Strandstedet, Karna nie pojęła od razu, że będzie tam również spał.

Kiedy nie pojawił się przez cały dzień i noc, i ciągle jeszcze nie wrócił do domu następnego wieczora, zapytała Oline, gdzie śpi.

– Śpi w izbie na tyłach gabinetu w Strandstedet.

– Tatuś ma mnie karmić – krzyknęła wtedy.

Powiedzieli jej, że to niemożliwe. Skoro tak, to nie było powodu, żeby jeść.

Przez dwa dni Oline, Stine i służące na zmianę próbowały wcisnąć jej coś do jedzenia. Gdy Oline w końcu wmusiła w nią

owsiankę, Karna zwróciła ją od razu na stół.

A jednak nie chcieli jej dać spokoju i ciągle marudzili. Wtedy wspięła się na blat kuchenny i tak długo wpatrywała się w zachodzące słońce, aż porwała ją pieśń morza.

Stine miała skrzynki rozstawione dookoła na polu i nad brzegiem wody. Mieszkały w nich jej edredony w czasie wysiadywania jaj, z których miały wyjść kaczęta.

Kiedy minęło więcej dni, niż Karna była w stanie policzyć, a tatuś nadal nie wrócił, poszła do skrzynek i wypłoszyła dorosłe kaczki. Potem zaczęła deptać jajka. Nie jedno ani dwa. Wiele.

Z niektórych wypłynęła tylko obrzydliwa breja. Inne miały pazury, dziób i niebieskawą skórę. Oglądała je dokładnie, pomagając sobie patykiem.

W takiej sytuacji zastał ją Tomasz. Rozgniewał się okropnie i zawlókł ją do Stine.

– Tatuś, mój tatuś! Ma wrócić! – zawołała, tupiąc w podłogę.

Bała się tak strasznie, że zęby jej szczękały.

Wówczas Stine zrobiła coś niespodziewanego. Wzięła ją na kolana i powiedziała:

– Moje biedne dziecko!

Wtedy wszystko z niej popłynęło. Górą i dołem. Doszła do siebie, czując drewniany patyk w ustach. Spocona i zmarznięta, leżąca na ławie w oficynie.

Stine zajęta była wiązaniem szarej, wełnianej nitki na jej przegubie, odmawiała *Ojczy nasz*.

Nie wolno jej było zgubić tej nitki. Nigdy.

Dzięki temu miało być jej lżej unieść Dar. Żeby nie musiała już przygryzać sobie ust.

Darem nie była nitka, tylko jej upadki.

*

Siedziała na kolanach Stine i rysowała martwe kacząta. Okropnie czerwone i niebieskie. Będzie mogła postawić ten obrazek w największym salonie na komodzie obok martwej Karny. Żeby kogoś miały.

Stine śpiewała jej o ptakach, które są wolne i uleciały w ciemną noc ku chmurom, żeby dać małym dziewczynkom puchowe kołderki do spania.

*

Następnego dnia tatuś wrócił do domu. Po wysłuchaniu opowieści o edredonach i napadzie stwierdził, że najlepiej byłoby, gdyby Karna jeździła razem z nim do Strandstedet.

Oline i pozostałe kobiety były przerażone takim brakiem rozsądku u dorosłego mężczyzny.

– Skoro przyjechaliśmy we dwójkę z Kopenhagi do Reinsnes, to chyba do Strandstedet też damy radę. Możemy przecież zatrudnić gosposię – rzekł.

– Popłyniemy łodzią i znajdziemy sobie jakąś Hannę – oświadczyła Karna.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Ale nigdy nie stało się tak, żeby pojechała z ojcem do Strandstedet i tam nocowała. Jeśli zadawała pytania, odpowiadali jej, że tatuś najpierw musi zarobić trochę pieniędzy, żeby mógł sobie pozwolić na wynajęcie gosposi i niani.

Do tego czasu musiała po prostu pogodzić się z tym, że będzie nocował w Strandstedet.

Kiedy tatusia nie było przez wiele dni, chowała się w głąb siebie i stawała nikiem. Albo rzucała się w objęcia pieśni morza.

*

Czasami, kiedy tego potrzebowała, czuła, jak mama Karna opuszcza swoje zdjęcie i jej dotyka. Nie na tyle wyraźnie, żeby mogła stwierdzić, że naprawdę tak było. I nigdy w czyjejs obecności. Tylko kiedy wpadała w pieśń morza. Żeby Karna mogła trafić do domu.

Pewnego razu, gdy była zła na tatusia za to, że musi jechać do chorych, powiedziała mu, że jest głuptasem, skoro uważa, że mama stojąca na komodzie za swoim szkłem jest cokolwiek warta.

Zgodził się z nią. Ale nic z tym nie zrobił.

Nikt inny nie jeździł dookoła z wielką czarną torbą pełną małych brązowych buteleczek i śnieżnobiałych ściereczek, ani też nie siadywał przy szklanej witrynce, lecząc ludzi.

Ale on należał tylko do niej.

Pojęła szybko, że bardziej lubi panie niż panów. Coś było w sposobie, w jaki na nie patrzył. W jego głosie. Przyjeżdżały do Reinsnes, jeśli wiedziały, że doktor jest w domu.

Miała wrażenie, że nie wszystkie są równie chore. Nie zostawały na długo.

*

Przy dobrej pogodzie zaczął zabierać ją na wizyty do chorych. Potrafiła siedzieć godzinami, pilnując łódki, a on w tym czasie chodził od domu do domu. Wiedziała, że zawsze prosił kogoś, aby miał ją na oku. Ale rzadko ich widywała.

W jednym miejscu była tylko mała szopa i ziemianka.

Kiedy zapytała, dlaczego nie mają w tym gospodarstwie innych budynków, odparł:

– Bo budowa domu jest bardzo droga.

– To dlaczego mamy tak dużo budynków w Reinsnes?

- Bo w dawnych czasach właściciele Reinsnes byli bogaci.
 - Dlaczego ty nie jesteś bogaty, żebyśmy mogli wybudować sobie dom w Strandstedet?
 - Bo ja nie bardzo umiem zarabiać pieniądze. Ale ty będziesz umiała, dokładnie tak jak Dina.
 - Dlaczego Diny nie ma w Reinsnes?
 - Bo miała ochotę rozejrzeć się po świecie.
 - A kiedy przestanie to robić?
 - Tego nie wiem.
 - W Reinsnes jest za mało bab. Możesz ją poprosić, żeby przyjechała?
 - Prosiłem.
 - No to nie prosiłeś dość mocno!
 - Być może – odparł.
 - Czy ona jest dobra?
- Zastanawiał się przez chwilę, uśmiechając się do siebie.
- Nie dla wszystkich. Dla mnie nie była taka zła. Ale surowa.
 - Dla mnie też będzie?
 - Nie, nie sądzę.
 - No to możesz poprosić ją jeszcze raz.
 - Spróbuję. Możesz zrobić dla niej rysunek?
 - Martwych kaczek?
 - Nie, lepiej żywych.
 - Mają ładne kolory... te martwe – stwierdziła.
- W tym momencie musiał zrobić zwrot i przerzucić żagiel. Miała w tym czasie siedzieć spokojnie i nic nie mówić. Ale kiedy już skończył, wiedziała, co chce powiedzieć.
- Chyba nie byliście dla niej specjalnie dobrzy, skoro musiała wyjechać.

- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Zastanawiałam się nad tym.
- No a kto miałby być tym niedobrym?
- Nie wiem?
- Niektórzy tak mają, że muszą ciągle być w drodze – rzekł.
- Ty też?
- Kto wie.
- Ale nie wyjedziesz!

Nie odpowiedział od razu.

Kiedy nabrała powietrza, w piersi czuła odłamki szkła.

Wtedy odrzekł, patrząc na morze:

- Powiem ci o tym dużo wcześniej.

Wówczas wstała, obiema dłońmi chwyciła jeden z wielkich kamieni balastowych i chciała wyskoczyć z nim za burtę, prosto w objęcia pieśni morza.

Kiedy rzucił się przed siebie, żeby ją złapać, łódka o mało się nie przewróciła. Przeklął głośno, okropnie zły.

Przez krótką chwilę, kiedy nie trzymał wiosł, łódka zeszła z kursu. Ponowne złapanie wiatru w żagle zajęło całą wieczność.

- Jesteś brzydki, kiedy się złościś – stwierdziła.
- Ty tak samo, kiedy chcesz skakać do morza.

A po chwili:

- Chodź tutaj i usiądź przy mnie!

Podpełzła tyłem i przytuliła się do niego. Wtedy to poczuła. Serce.

- Tatusiu, twoje serce chce wyjść.
- Przestraszyło się, że cię straci. Ale teraz zeglujemy znów razem.

Skinęła głową.

*

Wokół panowała osobliwa cisza. Nie słychać było nawet odgłosu jej siusiania.

Nie włożyła na nogi stojących pod łóżkiem filcowych kapci, chociaż podłoga była zimna. Wsunęła tylko nocnik na miejsce, nad słuchując jakiegoś dźwięku w śpiącym domu. Okno w głębi izby jaśniało szarością. Nawet morza nie było słychać.

Otworzyła drzwi do kuchni i przy stole dojrzała sylwetkę Oline. Siedziała pochylona nad swoim kubkiem z kawą. Jeden policzek miała oparty tak nisko, że spoczywał w całości na przedramieniu. Noski kapci sterczały pod stołem każdy w swoją stronę.

Karna zbliżyła się do niej z boku, żeby zobaczyć, co takiego Oline ogląda aż tak dokładnie, że musiała położyć głowę na stole.

Objęła ją, usiłując dostrzec to coś, na co patrzyła Oline. Ale nie było tam niczego niezwykłego. Nawet najmniejszego ptaszka w karmniku za oknem.

Poranne słońce nie dosięgło jeszcze pokrywy studni, a parobek nie wypuścił kur. Trawa wokół gołębnika mieniła się srebrem od nocnego deszczu, a ptaki mieszkające w drzewach tworzących aleję jeszcze spały. Może ciągle była noc?

Przytuliła się do Oline, chcąc wejść jej na kolana.

Wtedy to się stało. Oline upadła na płask jak szmaciana lalka. Jej twarz i górna połowa ciała leżały teraz rozciągnięte na stole. Zupełnie bezwładnie. Jakby nadal spała.

Karna szturchnęła ją, usiłując zwrócić na siebie uwagę. Ale Oline na nią nie spojrzała. Wtedy szturchnęła ją ponownie. Jak zawsze, w miejscu, gdzie dziabnął ją palec Karny, powstał dołeczek.

Wtedy zdarzyło się to ponownie. Oline ześlizgnęła się ze stołka i z wielkim hałasem upadła na podłogę. Z rękami ponad głową,

zamiast się nimi podeprzeć. Dźwięk, który rozbrzmiał, przypominał odgłos uklepywania wielkiego ciasta chlebowego.

Kiedy jej głowa uderzyła w podłogę, zaśpiewały szyby w oknach i filiżanki w kredensie.

Oline zupełnie się tym nie przejęła. Po prostu sobie leżała. Chudy biały warkoczyk trochę jej się rozplótł. Leżał teraz niczym mała miotełka, obwiązana kawałkiem białej nitki do szycia.

Jedna dłoń zwrócona była wnętrzem do góry. Jakby Oline chciała coś dostać i czekała na to.

Karna dała jej maślany obwarzanek z półmiska na stole i stała obok wyczekująco.

Ale Oline nie wzięła go porządnie do ręki. Tylko wpatrywała się weń tam z podłogi. Z obcymi oczami i na wpół uchylonymi ustami. Jej twarz była jakby zbyt wyraźna.

Serce Karny zaczęło walić. Najpierw przyspieszyło. Potem ruszyło jak młot. Waliło bez przerwy. Stopom nie można już było ufać, więc położyła się obok Oline. Pozostała tam, a czas rozplynał się dookoła.

W końcu uniosła dłoń i położyła ją na piersi Oline.

Wtedy poczuła ciszę. Była ogromna jak całe niebo. Większa nawet niż pieśń morza.

[1] Fragmenty Pisma Świętego są cytowane za Biblią Tysiąclecia. (Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

K s i ę g a I



Rozdział pierwszy

PAN PATRZY Z NIEBA, WIDZI WSZYSTKICH SYNÓW LUDZKICH. [...] ON, KTÓRY UKSZTAŁTOWAŁ KAŻDEMU Z NICH SERCE, ON, KTÓRY ZWAŻA NA WSZYSTKIE ICH CZYNY.

(Księga Psalmów, Psalm 33,13 i 15)

Była tylko niewielkim zawiniątkiem. Ale on zdążył już doświadczyć jej silnej woli. I ten cholerny krzyk. Za jego sprawą pot ciekł nawet z koniuszków palców.

Zarówno załoga, jak i dwójka współpasażerów unikali ich. Kajutę mieli zatem dla siebie.

Przez dwie doby szalała. Trzeciej nocy nadciągnął sztorm. Wtedy zasnęła tak mocno, że musiał ją od czasu do czasu budzić na karmienie. Zmieszane z wodą krowie mleko podawane łyżeczką z kubka.

*

Za każdym razem trwało to pół godziny. Bujanie było tak silne, że musiał mocno przytrzymywać sobie kubek z mlekiem między kolanami, żeby mieć wolne obie ręce. Jedną do trzymania dzieciaka, a drugą do tej nieobliczalnej łyżeczki.

Po dwóch dniach jego spodnie nabrały kwaśnego odoru. Trzymał

się kajuty, więc zasadniczo dolegało to tylko jemu. Chyba ta właśnie woń przypomniła mu wyprawy na Morze Lofockie wspólnie z Andersem. Mdłości. Upokorzenie, kiedy mężczyźni sprawili mu chrzest w beczce z wątróbką dorsza. Strach, kiedy spuścili go do lodowatego morza.

Burza ucichła i kuchcik obwieścił, że mleko w mesie też skwaśniało. Niespecjalnie nadawało się na pokarm dla niemowlęcia. Zaoferował, że ugotuje papkę z ziemniaka i wody.

Ponad błyszczącą taflą morza zawiniątko wypluło papkę na swojego ojca, drąc się do utraty tchu. W końcu przybrało niebieskawy kolor i ucichło. Przewracało oczami jak umierające, a jego wściekłość przybrała postać piany wokół ust.

Ogarnęła go panika, próbował przypomnieć sobie, czego nauczył się w czasie studiów lub jako kandydat w szpitalu Frederiks Hospital. O niemowlętach, ich potrzebach i wściekłości.

Nie było tego wiele. Złapał ją za stopy, trzymając głowę w dół, i wymierzył klapsa w pośladki. Dzieciak oblał się czerwienią i ucichł. To ostatnie trwało zaledwie krótką chwilę. Kiedy znów leżała w bezpiecznej pozycji przy jego piersi, na nowo podniosła wrzask.

Jeśli kładł ją na koję i starał się ignorować, było jeszcze gorzej. Ani na chwilę nie mógł jej zostawić.

Gdyby nie wystawiało go to na tak straszną próbę, mógłby doprawdy cieszyć się doskonałą pojemnością jej płuc. Tymczasem inna myśl przelatywała mu przez głowę: A co, gdyby ucichła na zawsze? Z chęci złagodzenia pierwszej myśli pojawiała się druga: Gdybym tylko zostawił ją w Kopenhadze!

Bycie samotnym ojcem takiego stworzenia stanowiło piekło, od którego mężczyzna z pewnością powinien trzymać się z dala.

*

Ósmego września świeciło pełne słońce. Kalendarz księżycowy głosił: „Jak będzie dobra pogoda, to jesień przyjdzie niesroga”.

Z trzydniowym opóźnieniem w stosunku do daty, którą podał Andersowi w telegramie, narzucił kocyk na krzyczącą istotę i wyniósł ją na pokład, żeby obserwować wejście do portu Vågen.

Powietrze od lądu najwyraźniej ją oszołomiło, bo ucichła.

I tak chwilę później młody Benjamin Grønelv z nieopisaną ulgą zszedł na ląd w Bergen w spodniach cuchnących kwaśnym mlekiem i z tobołkiem pod pachą, przypominającym zwykły bagaż. O dziwo była cicho.

Kiedy jednak znów potraktował ją z szacunkiem, przykładając do ojcowskiej piersi, natychmiast zaczęła się wydzierać. Odruchowo zarzucił ją ponownie na biodro. Stamtąd wpatrywała się we wszystko okrągłymi, poważnymi oczkami.

Wśród zwojów pieluch, najlepiej jak potrafiła, trzymała ręce i nogi wyprostowane w pozycji na lotnika. Szyja walczyła o utrzymanie głowy w górze, żeby nie tracić widoku. Od czasu do czasu opadała na pierś, żeby zaraz podnieść się z powrotem.

Musiała podążać za ruchami mężczyzny przy każdym jego obrocie. Ale najwyraźniej podobało jej się to. Była zupełnie cicho.

Taki sposób trzymania małego dziecka sprawiał wrażenie dość nieczułego. Ale był skuteczny.

*

Hanna czekała w najlepszym pokoju właściciela kwatery. Gospodarz wyjaśnił, że niepogoda na morzu opóźniła przybicie parowca z Kopenhagi.

Pierwszego wieczoru osobiście przyniósł jej gorącą czekoladę z odrobiną ubitej śmietanki.

Hanna nie miała doświadczenia z gospodarzami kwater i nie wiedziała, jak ma się zachować. Ale kiedy późnym wieczorem przyszedł ponownie, żeby zabrać kubek, obwieściła mu przez szparę w drzwiach, że kładzie się już spać.

W ten sposób Hanna nauczyła się, że w Bergen najlepiej jest spać przy zamkniętych drzwiach.

Następnego dnia zeszła do kuchni, żeby zabrać wieczorną czekoladę.

– Niech gospodarz się nie kłopotczy przynoszeniem jej na górę – wyjaśniła zdumionej dziewczce kuchennej.

W ten sposób ustawiła sprawy na właściwym miejscu.

On jednak zemścił się, gdy mijala jego kontuar w drodze na śniadanie.

– Ładna, młoda pani z północy w podróży? Całkiem sama?

Miał minę, jakby podejrzewał, że jest co najmniej przebrany więźniem. Albo gorszym rodzajem kobiety.

Przez chwilę poczuła się zagubiona. Stała z pochyloną głową, słuchając jego słów. Po chwili wzięła się w garść.

– Ach tak, może panny z dobrych rodzin z Bergen nie są szczególnie bywale w świecie? Siedzą w domach i cierpią?

– Ależ skąd, proszę pani, natomiast podróżują w towarzystwie.

– Ale czy w tym mieście mamy tylu bandytów i oszustów, że kobieta nie może się po nim bezpiecznie poruszać?

– Są rzeczy, które wypada robić, i takie, których robić nie wypada – odparł oschle.

Jednak gdy opowiedziała, że czeka na doktora Beniamina Grønelva, który przyplywa z Kopenhagi z niemowlęciem, gospodarz nieco zmienił podejście. Nawet własnoręcznie nalał jej kawy.

Grønelv? Czy dobrze usłyszał? Doskonale pamiętał tę wysoką,

ciemnowłosą Dinę Grønelt z Reinsnes. Została wdową po Jakubie Grøneltie i wyszła za Andersa z Reinsnes, czyż nie? Zdaje się, że nawet grała na pianinie. Niespotykane! Dobrze ją pamiętał. Zastanawiał się, dlaczego już nie przyjeżdża do Bergen.

– A więc ma pan już tyle lat, że pamięta Jakuba Grønelta – rzuciła sucho Hanna.

Mężczyzna zamilkł. Wąsy opadały mu na boki, a starannie utrzymana broda poruszała się w górę i w dół po mięsistym podbródku.

– Dina Grønelt jest obecnie w Berlinie i gra na wiolonczeli. Koncertuje – poinformowała go.

Przez cały dzień była zadowolona z tego słowa: Koncertuje.

W głębi duszy Hanna wiedziała, że ta podróż ma związek nie tylko z Beniaminem i jego dzieckiem. Kiedy Anders poprosił ją, aby pojechała do Bergen, poczuła, że to szansa na zobaczenie cudów. Tak, Najwyższy ją prowadził! Tęsknota za czymś większym była bardziej dojmująca niż strach przed nieznanym.

Kiedy owdowiała i miała właśnie pochować męża pod wieńcami z bibułkowych, woskowanych kwiatów, tak jak nakazywał obyczaj w Reinsnes, usłyszała, że jest córką lapońskiej dziewczki.

Gdy tylko biedny Håkon spoczął w ziemi, uznała, że najlepiej będzie napisać do Andersa. Zapytać, czy mogłaby wrócić do domu w Reinsnes i pomagać mu w składziku. A Anders odpowiedział telegramem i posłał po nią swojego człowieka.

Kiedy teściowa zmieniła zdanie i chciała ją namówić do pozostania, Hanna spojrzała jej prosto w oczy i rzekła:

– Chodzi nie tylko o to, że chcę pojechać do Reinsnes, chyba zrobię sobie wycieczkę parowcem do Bergen.

Sama nie wiedziała, skąd przyszło jej to do głowy.

Po jej wyjeździe poszły plotki, że taka z niej była wielka pani, iż każdego dnia, stojąc prawie nago za parawanem, myśla wszelkie możliwe zakamarki w ciele. Nawet zimą.

Ale do Bergen pojechała.

*

Myślała o nim. Beniamin. Kim był dzisiaj? Jak wyglądał? A co będzie, jeśli go nie rozpozna?

Ostatnio widziała go, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną, która właśnie zaczęła rozumieć, że chociaż wyrosli razem i czytali te same podręczniki, nie są sobie równi.

Anders powiedział, że Beniamin wyuczył się już na doktora. Wiedział, jak leczyć wszelkie możliwe plagi i bóle.

Hanna nie była osobą, której łatwo było zaimponować. Ale to, że ten Beniamin, którego kiedyś знаła, dokonał takich rzeczy, stanowiło naprawdę wielką sprawę.

Jej własne zajęcia były przy tym niczym.

Pewnego dnia pięć lat wcześniej do Reinsnes przyjechał młody rybak i z jej powodu już tam utknął, chociaż pogoda była doskonała. Po raz pierwszy przeżyła coś takiego.

Pojechała z nim dobrowolnie na Lofoty i zamieszkała między obcymi ludźmi. Ślub odbył się w ogromnym, skutym lodem, prawie pustym drewnianym kościółku. Suknia ślubna, którą sobie uszyła, wydawała jej się dziwnie obca, podobnie jak ona sama.

Nawet pastor nie został zaproszony potem na skromną zupę na mięsie.

Od tamtej pory za każdym razem, gdy widziała mięsną zupę, czuła się nieprzyjemnie. Również wtedy nie zdołała wmusić w siebie zbyt wielu łyżek.

Nikt i nic nie mogło odebrać jej wychowania, jakie otrzymała

w Reinsnes. Jadła nożem i widelcem w sposób równie oczywisty, w jaki kobiety na Lofotach zaplatały sobie włosy. Zasiadała do stołu razem z wielebnym i świętowała Boże Narodzenie z rodziną referendarza.

Z tym, że rodzina jej męża nie miała ani sklepiku, ani zyrandola pod sufitem, łatwo było się pogodzić. Ale nie znalazła nawet jednej półki, na której mogłaby ustawić swoje nieliczne książki.

Nie robiła z tego większego problemu, włożyła po prostu książki do szuflady w komodzie i wyjmowała je, kiedy nadarzała się okazja. Wtedy słyszała, że marnuje cenny czas, który można by wykorzystać na pracę.

– Nie tylko ramiona potrzebują pracy. Głowa również! – odpowiadała z uporem.

A musieli przyznać, że pracować to potrafiła.

Zdarzało się, że teściowa prosiła ją o zrobienie czegoś, co już zdążyła wykonać. Wtedy Hanna nie odpowiadała słowami. Wskazywała palcem. Jeśli teściowa tego nie zauważyła i z braku odpowiedzi wydawała polecenie ponownie, wtedy Hanna nie używała już palca do wskazania. Siadała.

W ten sposób każdy w pomieszczeniu musiał zauważyć, jak rzadko można było ujrzeć Hannę siedzącą w jednym miejscu.

W Storvågar nie widywano kobiet czytających książkę ustawioną na parapecie okiennym podczas wyrabiania ciasta na chleb. W słoneczne dni można było zobaczyć Hannę idącą przez Vaeret z otwartą książką w jednej dłoni i torbą na zakupy w drugiej. Nie oznaczało to wcale, że Hanna idzie bez celu. Ależ skąd! Wypowiadania się również nauczyła się w Reinsnes. Jeśli była w dobrym nastroju, słowa pełne wnikliwości płynęły z jej ust z wielką mocą. Na przykład w opowieści o tym, jak przystrajano

łodzie i siebie na wyjazd do kościoła. Jeśli pochodziło się z Reinsnes. Albo w jaki sposób należy gotować rybę.

Jak sięgnąć pamięcią, nikt nigdy nie próbował uczyć kobiet w Storvågar, jak gotować tarlaki dorsza!

Teściowa gotowała wszystko w jednym garnku: ikrę, wątróbki i ryby. W ten sposób robiło się to w jej rodzinach od pokoleń. Oszczędzając przy tym na drewnie.

Hanna gotowała to wszystko osobno, po czym przed podaniem na stół owijała rybę i ikrę w białą ściereczkę. W ten sposób prosty, codzienny obiad przysparzał sporej ilości prania. To było nie do pomyślenia.

Kiedy została napomniana, opowiedziała z zuchwałością, jak to referendarz Holm życzył sobie mieć podawaną rybę. Musiał dostać własny rondel wątróbek, gotowanych z siekaną cebulą. A Anders z Reinsnes chciał mieć osobny talerz na ikrę, bo nie lubił, jak podpływała mu wywarem z ryby. Miała być ciepła i sucha. Podana tylko z masłem i cienkimi plackami.

Pierwszej wiosny zapytała, gdzie jest ogródek przydomowy i grządki z ziołami. Chciała wysiać nasiona, które dała jej Stine. Teściowa prychnęła, ale Hanna włożyła kamasze, chwyciła łopatę i zaczęła kopać. Jej mąż uznał, że to nie wypada, więc sam wziął się do roboty, a potem jeszcze zbudował płot, żeby utrudnić dostęp owcom.

W połowie lata dookoła popłynęły zapachy Stine. Nadbrzeżne skały, łajno i płycizny pełne wodorostów miały teraz poważną konkurencję.

Teściowa poddała się. Ale nie wspominała o tym ani słowem. Tylko w miejscowym kole kobiet, gdzie mogła porozmawiać z rozsądnymi ludźmi, zdarzało jej się napomknąć o „zielsku tej

Hanny”.

Dziwnym trafem już następnej wiosny dwie kolejne baby zaczęły grzebać w jałowej ziemi między krzakami porzeczek a oborą i zebrać o nasiona u Hanny. W pełni lata z wielką przyjemnością porównywały swoje grządki.

Zgadzały się, że nie ma z tego pożytku. Ale z geranium stojących na parapetach okien też niewiele go było.

*

Hanna na tyle rozeznała się w Bergen, że załatwiła wszystkie sprawunki, które miała zanotowane na liście. Odwiedziła nawet jednego z kontrahentów Andersa i poprosiła, aby rachunek za tegoroczną wysyłkę lin i narzędzi został podzielony i przysłany do zapłaty w trzech ratach.

Ponieważ nie była świadoma, że to porażka, wykonała zadanie z pewnością siebie i oczywistością niezbędną do uzyskania zgody.

Miała też do załatwienia sprawę dużo ważniejszą od innych. Stine i ona odłożyły pieniądze na zakup maszyny do szycia. Teraz wreszcie była okazja.

Sprzedawca pozwolił jej wszystkie wypróbować. Mimo że był mężczyzną, również zajmował się szyciem. Najwyraźniej tak robiło się tutaj w Bergen. Przez cały czas opowiadał o wspaniałych możliwościach kolejnych maszyn, aż trudno było zebrać myśli. W końcu jednak doszli wspólnie do wniosku, że najwłaściwszym rozwiązaniem będzie opatrzony stemplem prawdziwy patentowy Hamilton z podwójnym ścięciem.

Pudło musi być bardzo solidne, mówiła Hanna, wyjaśniając, jak daleką podróż odbędzie maszyna. Poza tym będzie musiał posłać chłopaka do jej kwatery, żeby przyniósł maszynę.

Z tym nie będzie problemu, jeśli zamierza zapłacić gotówką.

W pierwszej chwili trudno jej było pojąć, dlaczego maszyna do szycia, za którą zapłacono gotówką, miałaby być lżejsza do wzięcia pod pachę niż kupiona na kredyt. Ale to najwyraźniej była kolejna sprawa, która tutaj przedstawiała się inaczej niż tam, skąd pochodziła.

Widziała maszyny do szycia na sprzedaż w innych miejscach. Ten zarozumiały mężczyzna sprawił, że poczuła się nieswojo. Wyprostowała się jednak z godnością i rzekła, że zapłaci gotówką, o ile dostanie pięć procent rabatu, a chłopak zawiezie maszynę bezpośrednio na parowiec w dniu jej wyjazdu.

Mężczyzna przez chwilę przewracał wzniesionymi w górę oczami. Jakby coś cicho przeliczał. Potem łaskawie skinął głową.

Radowało ją, że nie wyglądał na w pełni usatysfakcjonowanego.

Rozdział drugi

Drobna, ciemno odziana postać wsunęła się przez drzwi. Lekko tanecznym krokiem. A ciemne oczy w kształcie migdałów spojrzały wprost na niego.

Beniamin stał przy kontuarze w kwaterze z zawiniątkiem pod pachą.

– Hanno! – zawołał.

I jakby to była zabawa z dzieciństwa, a oni nieprzerwanie widywali się codziennie od tamtych czasów, odparła niemal posepnie:

– Pomyślałam sobie, że przyjadę, już trudno.

Czuł jeszcze w ciele długą podróż morską. Otoczony przez skrzynie i kufry czuł się dziwnie obojętnie i obco.

Ona przemyślała sobie zawczasu, co zamierza powiedzieć. On był nieprzygotowany. Kiedy byli dziećmi, takie chwile zazwyczaj wprawiały go we wściekłość, która kończyła się ciągnięciem jej za warkocze.

Teraz czuł ulgę. Radość. Że to właśnie ona przyjechała.

Nie zmieniła się zanadto. Nie na pierwszy rzut oka. A jednak wydawała się jakaś inna. Coś było w jej postawie. Sposobie noszenia głowy. W ustach. Zajadły upór. Tak jakby od czasu ich

ostatniego spotkania nigdy się nie śmiała.

Ale ciągle była złocista. Zapomniał już, jak złocista jest Hanna.

Na swój sposób zobaczył ją po raz pierwszy. W Reinsnes po prostu była jego częścią. Jak wszystko inne.

Jednak chyba najbardziej zmienił się on sam.

– Ach tak, po prostu sobie przyjechałaś – zaśmiał się i bezwiednie zmienił język.

Nie odpowiedziała uśmiechem. Podeszła po prostu bliżej, wyciągając do niego dłoń.

Wrzask dzieciaka brzmiał tak, jakby ktoś ukłuł go grubą igłą do cerowania. Przełożył dziewczynkę przez biodro, wolnym ramieniem przyciągając Hannę do siebie.

Przez chwilę opierał czoło na jej czole, wstydząc się nieco swojego wzruszenia.

Mężczyzna za kontuarem wpatrywał się w nich.

– Z tego, co słyszę, jest pełna sił i zdrowia – rzekła.

– Ma więcej siły niż jej ojciec – przyznał.

Spokojnie wzięła dziecko w objęcia.

Zrobiło mu się nagle tak lekko. Prawie upadł. Musiał oprzeć się o Hannę, żeby złapać równowagę.

– Żeby małe stworzenie mogło się wydawać tak ciężkie – powiedział z zakłopotaniem.

– Jak ma na imię?

– Karna.

Hanna przyglądała się drobnej buzi.

– Karna? Dlaczego nie? Oline zapewne jakoś się przyzwyczai.

*

Spał prawie całą dobę. Obudził się o zachodzie słońca, gdy zaglądało przez otwarte okno. Odczuwał koszmarne niepokój. Ta

cisza!

Jeszcze zanim otworzył oczy, zaczął szukać po omacku zawiniątka.

– Karna!

Na dźwięk własnego głosu przypomniał sobie wszystko. Opadł na poduszkę i wyciągnął całe ciało. Zamknął oczy i westchnął z ulgą.

Hanna z nim była.

*

Do wyruszenia parowca na północ zostały jeszcze trzy dni.

Beniamin chciał kupić coś, co zobaczył w Kopenhadze. Rodzaj kosza na kółkach, okrytego budką.

Hanna była zdania, że coś takiego nie przyda się w Reinsnes. Ale kiedy już zdobyli ten cud i pchała go przed sobą po brukowanej ulicy, coś poruszyło się wokół jej ust. Tak jakby cień uśmiechu.

– To okropny zbytek. Ale miły – dodała.

To, że dzieciak nie miał w zasadzie żadnej innej odzieży niż podniszczone łachmany, zdobyte gdzieś przez babkę Karny, niespecjalnie martwiło Beniamina.

Ale tutaj Hanna miała inne zdanie.

– Zamierzasz przyjechać do domu z dziewczynką zawiniętą w szmaty?

Skończyło się na tym, że poszli do eleganckiego sklepu tekstylnego i kupili rzeczy dla małej Karny za sumę większą, niż Beniamin był w stanie zapłacić. Ale Hanna dostała od Andersa pieniądze na wydatki w podróży.

Dziewczyna sprzedająca w sklepie wzięła ich za parę z pierwszym dzieckiem. Nie zaprzeczali. Później nie wspomnieli już o tym w rozmowach.

W drodze do kwatery Hanna znów pochyliła się nad wózkiem.

– Popatrz tylko, teraz wyglądasz porządnie! – rzekła, poprawiając koronkowy czepek Karny. – Ma niezwykle oczy. Na pewno to zauważyłeś? Gdyby nie to, że to niemożliwe, powiedziałabym, że podobna jest do Tomasza.

Poczuł, że czerwieni się aż po korzonki włosów. Ale Hanna nie patrzyła na niego. Wpatrywała się prosto w szeroko otwarte oczka Karny, jedno niebieskie, drugie piwne.

– No cóż, najwyraźniej dobrze widzi tymi swoimi osobliwymi oczami.

– Pada! – rzekł Beniamin, ruszając z miejsca.

Wieczorem, przed położeniem się spać, chciał zajrzeć do Karny. Zapukał i usłyszał w odpowiedzi pełne wahania „proszę”.

Hanna siedziała na łóżku z dzieckiem w objęciach. U góry, ponad spódnicą, miała na sobie tylko bieliznę.

– Podaj mi bluzkę! – poprosiła, nie patrząc na niego.

Schwycił bluzkę leżącą na krześle. Zauważył, że dłonie mu drżą. Nic nie było tak, jak powinno. Nie byli już dziećmi, mogącymi pokazywać się sobie półnago.

Przebłysk dzieciństwa wślizgnął się nagle między nich. Wspomnienie zabaw, o których nikt nie mógł wiedzieć.

Szybko podał jej bluzkę, starając się zanadto nie zbliżać dłoni. Odłożyła śpiącą dziewczynkę na łóżko i się ubrała. Usiłował patrzeć gdzieś w drugą stronę, ale nie był w stanie.

– Zapomniałem już, jaką masz złocistą skórę – powiedział bezradnie.

Kiedy skończyła zapinanie, wstała i odłożyła dziecko do wózka. Śledził oczami jej ruchy. Lekkie poruszenia. Spracowane dłonie, niepasujące do tak wąskiej talii i delikatnych pleców.

Stała pochylona nad wózkiem. Krągłość bioder. Talia. Przełknął

ślinę. To go wzruszało, chyba o to chodziło?

Z pozornym zaaferowaniem złożyła kilka małych ubranek i dokładniej okryła dziecko kołdrą.

Poczuł, że robi się ciężki. Trzeba było teraz kontrolować oddech.

Jakby zdawała sobie sprawę z tego, że ją obserwuje, odwróciła się w jego stronę i wyprostowała.

– Usiądź – rzekła dziwnie bezbarwnym głosem.

Usiedli każde na swoim krześle. Oglądał w skupieniu własne dłonie. Po chwili odchrząknął i powiedział:

– Dziękuję, że wyjechałaś nam na spotkanie!

Jej rzęsy trzepotały. Potem przypląnęły słowa. Szybkie i śmiałe.

– Telegrafowałeś przecież z wiadomością o osieroconym dziecku. Ale w Reinsnes nawet nie wiedzieliśmy, że jesteś żonaty.

– Nie?

– Matka, czy ona...?

– Nie żyje.

Zabrzmiało pusto. Jakby kłamał.

– Odumarła tak małe dziecko...? Jak to...?

– Nie pytaj... Nie teraz...

Skurczyła się nieco w sobie. Potem uniosła podbródek. Rozpoznał ten ruch. Czują się dotknięta.

Pochylił się w jej stronę.

– Hanno?

– Tak?

– Chciałbym spać tutaj z tobą.

Kiedy potrząsając głową, podniosła na niego wzrok, cała jej twarz była stężała, prawie brzydka.

– Wybacz mi! Ja... mój Boże, nie mamy już przecież dziesięciu lat. Wybacz mi! – poprosił.

Cisza. Nie wiedział, co ma z nią zrobić. Wetknęła dłonie w szerokie rękawy bluzki i objęła się ramionami, jakby marzła.

– Czy chcesz się położyć... od razu? – wybąkał.

– Nie muszę.

Siedziała z wyprostowanymi plecami i ściśniętymi kolanami.

Dziecko w wózku zakwiliło. Zajrzał do niego i zakołysał wózkiem. Posłał Hannie ostrożny uśmiech, którego nie odwzajemniła.

– Opowiedz mi o tym, za którego wyszłaś za mąż – poprosił, siadając.

– Jego też już nie ma – odparła krótko.

Zrozumiał, że to coś w rodzaju rewanzu.

– Mam jechać do domu w Reinsnes, a nic nie wiem. Nawet o tobie?

Zawahała się przez chwilę. Z zainteresowaniem obserwowała dziurkę w kapie na łóżku. Jej palec wskazujący zakreślał wokół niej kolejne kółka.

– Håkon był rybakiem. Nie miał własnej łodzi. Prowadził małe gospodarstwo. Dwie krowy, osiem owiec. Był dobry... I tak się to skończyło. Ślubem. Urodziło nam się dziecko, chłopiec. Nadaliśmy mu imię po dziadku ze strony jego ojca, który nie wrócił z morza. Isak. Miał rok, kiedy Håkon również utonął. W tej rodzinie tak się dzieje. Z mężczyznami. Toną.

– Isak? Ile lat ma teraz?

– Trzy. Chodzi wszędzie z Tomaszem i grzebie w ziemi. Może uniknie utonięcia.

Zamilkła nieco zakłopotana. Niecodziennie mówiła tak wiele o sobie i swoich sprawach.

– A ona... twoja żona?

– Nie byliśmy małżeństwem – odparł krótko.

– Bez ślubu?

– Tak.

– Niech Bóg się zlituje!

Obydwoma dłońmi przetarła twarz, przesuwając je mocno aż po nasadę włosów, kołysząc się przy tym tam i z powrotem.

– Dziecko! Musisz poprosić, żeby pastor się za nią modlił, Beniaminie!

Skinął głową. Kopenhaga nie była miejscem, gdzie służył tego rodzaju myśli. Ale może tak byłoby najlepiej.

*

Parowiec „Michael Krohn” wpłynął do przystani.

Na wzgórzu flagowym mocno wiało. Flaga była wciągnięta. Wiatr od lądu utrzymywał gęstą mgłę nad morzem, więc widok na nabrzeże był dobry. Dwie przystanie z zadaszonymi cumownikami i sklepik nie miały już tak żywego, czerwonego koloru, jaki pozostał w jego pamięci. Deski szczytowe dachów i okna wykuszy wyłaniały się z szarości od strony południowego zachodu. Drzwi były zamknięte.

Na końcu jarzębinowej alei królował ogromny budynek główny w tonacji zaśnieżonej zieleni, otoczony z obydwu stron białymi i czerwonymi mniejszymi zabudowaniami. Dookoła rozpościerało się podwórko niczym plansza do gry z rozstawionymi porządnie pionkami. Pośrodku górowała zadaszona studnia i gołębnik. Szary łupkowy dach głównego domu i połyskujący rząd okien odbijały słabe światło, a kryty ziemią dach izby czeladnej nadawał jej wygląd zroszonego trawiastego kopczyka. Oficyna w kolorze ochry z przeszkloną werandą zwróconą w stronę morza przełamывała uporządkowany szereg bieli i czerwieni.

Ponad tym barwy jesieni unosiły krajobraz w stronę gór.

Jarzębinowa aleja stała w złocie, przetykanym krwistoczerwonymi owocami. W ogrodzie rozgościły się wszelkie możliwe odcienie żółci i zieleni. Między drzewami dostrzegł zarys ośmiokątnej altany.

Z komina nad kuchnią unosił się dym, a dzwon w zewnętrznej spizarni wzywał już na posiłek. A zatem spodziewano się go.

To oczywiste, że cieszył się na tę chwilę. Krążył po Kopenhadze, wyobrażając sobie to miejsce. Takie, jak je zapamiętał.

A jednak to było dla niego zbyt wiele. Musiał odwrócić wzrok i zasłonić twarz dłońmi.

Ale im bardziej się zbliżał, tym mniej białe i czerwone stawały się zabudowania. Dach na przystani Andreasa wyglądał na podniszczony. Jesień wydawała się jakoś wyraźniejsza tutaj na lądzie. Zielen przepleciona była żółcią i brązem.

Na swój sposób wszystko stawało się wskutek tego łatwiejsze. Że rzeczywistość zabiła marzenia. Dzięki temu dorosły mężczyzna nie musiał płakać.

*

To Tomasz wypłynął im na spotkanie łódką.

Był na to przygotowany. Siedzieli naprzeciwko siebie, wymieniając uwagi o podróży, wietrze i pogodzie.

Tomasz nie zadawał pytań wymagających trudnych odpowiedzi. Jeśli chodzi o dziecko, przyjął je tak, jakby stanowiło część bagażu, może nieco bardziej kruchą. To, że gdzieś mogła przebywać jakaś matka, leżało najwyraźniej poza kręgiem jego zainteresowania.

Obecność Hanny skłoniła go do powiedzenia „dzień dobry” i „witaj w domu”, ale to było wszystko. Jego uwaga skupiona była na bagażach i sprawie czysto praktycznej: wiosłowaniu.

Beniamin zapomniał już, jak to jest z Tomaszem. Mężczyzna i łódź. Praca. Pożytek z rąk. Ta milcząca дума.

On sam w rodzinnych stronach nie sprawdził się zbyt w męskiej roli. Jego wieloletnie wygnanie po to, żeby zostać lekarzem, tu w domu traktowane było chyba jako nieróbstwo. A to, że mężczyźni, spotykając doktora, musieli uchylać czapki, wystarczało, żeby otoczyła go niechęć.

*

Spracowane ręce Tomasza mocno trzymające wiosła. Pełne otwartych ranek i spękań. Oczy, które już tak długo mrużyły się przed blaskiem słońca i śniegu, że zmarszczki wokół nich wyglądały jak białe rozpadliny. W samodziałowej kurtce brakowało guzika. Zamiast niego użył jako zapięcia gwoźdź. Rozczochrana, rudobiała grzywa powiewała swobodnie na wietrze. Niebieskobrązowe oczy patrzyły wprost na niego. Ale niczego nie zdradzały.

Kiedy kilka tygodni temu powiedziała mu, że Tomasz jest jego ojcem, zapytał: – Dlaczego Tomasz?

A ona odpowiedziała mu pytaniem: – Dlaczego Karna?

Teraz jej słowa unosiły się na ostrych grzbietach szarawych fal.

*

Nikt nie skomentował faktu, że Karna miała jedno oko piwne, a drugie niebieskie. Nawet Oline.

Czy to oznaczało, że wszystko wiedzieli, tylko nikt o tym nie mówił głośno? Czy raczej nie poświęcano szczególnej uwagi tym śladom aż nadto widocznym?

Ale dziecko zostało przyjęte jak bezcenny skarb. A okryty budką koszyk na kółkach? Czy ktokolwiek tu w całym swoim życiu widział coś tak godnego zachwyty? Głaskali kocyk z różowej satyny. Podnosili i opuszczali budkę. Kołysali i wozili.

Mały Isak wykazywał umiarkowane zainteresowanie. Do tej pory miał tylko dla siebie obszerne kolana Oline i pozostałych kobiet. Teraz musiał zadowolić się twardymi, męskimi udami i oparami fajki nad głową.

Za to Karna podawana była z rąk do rąk. Podziwiana i uważnie oglądana, ważona na wadze kuchennej i mierzona, a wszystko było zapisywane.

Kobiety potrząsały głowami ze zgrozy, że on, doktor i ojciec, do tej pory tego nie zrobił. Żeby mogły ustalić, czy w czasie tej długiej podróży dostała dostatecznie dużo pokarmu. Czy miała biegunkę? Kaszel? Wysypkę? Żółtaczkę? A może coś gorszego?

Kiedy Oline dowiedziała się, że nie ochrzcił jej nawet przed wyruszeniem w daleką morską podróż, uderzyła w płacz.

Zaraz potem kazano mu przynieść z wielkiej sypialni Biblię Diny i porcelanowy półmisek. Anders zmuszony został do zdjęcia roboczego kaftana i nałożenia odświętnej koszuli. Trzeba było zorganizować chrzest domowy, żeby uchronić dziewczynkę przed wszelkim złem, jakie mogło jej się przytrafić.

Jednak Oline wcale nie była taka pewna, czy to wystarczy i czy jednak nie nadejdzie kara boska. Benjamin musiał przysiąc, że dziecko zostanie ochrzczone również w kościele. A Hanna miała je ponieść do chrztu.

Rozdział trzeci

W roku, który nastąpił po przybyciu Karny i Beniamina do Reinsnes, zdarzyły się niespotykane połowy śledzia pełnego. Anders nazywał dziewczynkę swoim śledziowym skarbem i miał nadzieję, że tak już zostanie. Przynajmniej przez kilka lat, tak żeby zdążył spłacić choć trochę długu u kupców z Bergen.

Ale już w kolejnym roku nastąpiła posucha. A kiedy zapisywali rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty piąty, morze było czarne niczym smoła. Ani śladu śledzia. Trzy włóki śledziowe przez większość czasu wisiały na drągach i nawet nie zostały spłacone. Żeby jeszcze można je było sprzedać. Ale kto kupował włóki, kiedy brakowało śledzia?

*

Wtedy pojawił się młody człowiek z wysuniętej na północ szkiełowej osady na wyspie Senja. Podpisywał się jako W. Olaisen i doskonale tańczył. Nawet córki najbardziej pobożnych gospodarzy porywał do tanów.

Przez mniej więcej rok pracował jako ekspedytor obsługujący ruch parowca w porcie w Strandstedet. Teraz zaczął powoli skupować skaliste ziemie wzdłuż brzegów cieśniny, bo zamierzał

zając się suszeniem sztokfiszka.

Mężczyzna był o wiele za młody i zbyt piękny, aby ludzie uwierzyli, że nadaje się do czegoś innego niż przyjmowanie w porcie parowca. Chłopy uważały, że w miarę nieźle radzi sobie z wiosłowaniem, ale już gorzej z wyciąganiem ciężkich ładunków. Poza tym ubierał się elegancko na co dzień. Przez pewien czas podśmiewywali się nieco z żółtodzioba. Jakby to miało być takie łatwe? Po prostu przyjechać sobie z jakiejś zapadłej wyspy na zachodzie i się tutaj osiedlić.

Ale sprzedawali mu swoje skały za kilka marnych koron. I rozmawiali podejrzliwie o tym, skąd ma pieniądze.

Pewnego dnia przyjechał do Andersa z zamiarem zakupu nadbrzeżnych skał. Tak, mógł również niedrogo kupić włóki śledziowe, jeśli Anders zamierzał się ich pozbyć. O ile będzie mógł również wziąć skały?

Anders, który już od dawna czuł się zmęczony i na wpół ślepy, przystał na to z ochotą. Bo planów, jakie snuł w związku ze skałami w Strandstedet, nie udało mu się zrealizować.

Wilfred Olaisen zakupił i skały, i włóki za cenę, z której obaj byli w miarę zadowoleni.

*

Beniamin słyszał o tej transakcji. Ale nie widział żadnego powodu, aby wątpić w to, że Anders postępuje właściwie.

Sam nie miał nawet dość skrupulatności, aby żądać zapłaty za proszki, opatrunki i jodynę. Ale Anders był zdania, że uprzejmość musi mieć swoje granice, inaczej sprawy przestaną iść do przodu.

Nie wspominał natomiast, że Beniamin nie miał w sobie szczególnie dużo tego talentu do prowadzenia interesów, jakim była obdarzona Dina. W ogóle nie wymawiał imienia Diny, o ile ktoś go

o nią nie zapytał.

A wtedy odpowiadał krótko: Dziękuję, ma się dobrze! Wspominała, że być może latem wybierze się do domu.

Kolejne lata nadchodziły i przemijały. Od dawna nikt już nie zadawał pytań.

*

Stary referendarz, jak nazywali go ludzie, siedział w Fagerness i polerował swoje strzelby. Nadal był krzykliwym człowiekiem. Szczególnie odkąd zrobił się już poważnie przygłuchy.

Nie był niemiły ani niebezpieczny. Po prostu nie udawało się prowadzić z nim rozmowy. I w sumie nigdy nie było to możliwe, myślał sobie Benjamin. Dziadek ze strony matki był w jego wspomnieniach grzmiącą uciążliwością, obecną przy wszystkich świętach i innych ważnych okazjach w jego dzieciństwie.

Kiedy Dagny i referendarz przybyli do Reinsnes, żeby obejrzyć świeżo upieczonego doktora i małą Karnę, Benjamin miał okazję przekonać się, że dziadek mówi jeszcze głośniejsze i ma jeszcze bardziej szorstkie obyczaje niż dawniej.

Oczywiście, był już starym człowiekiem, nie do końca obecnym w rzeczywistym świecie. Ale ciągle nosił się prosto, był wielki, krzepki i z daleka pachniał cygarem. I za każdym razem, gdy widział Andersa, polecał mu, aby ten przywiózł Dinę z Berlina. Było to kłopotliwe, nie tylko dla Andersa, ale dla wszystkich obecnych.

Innym przykazaniem, jakie zawsze miał w zanadrzu dla Andersa, była konieczność rozbudowy głównego domu i dodanie porządnej, przeszklonej werandy od strony morza. Tak duże gospodarstwo powinno mieć oprócz szklanej werandy w oficynie, gdzie mieszkała służba, również dwukrotnie większą w domu

głównym. Bez tego wyglądało biednie, jego zdaniem.

Anders niespecjalnie przejmował się przeszklonymi werandami.

Beniamin uznał za swój obowiązek pośpieszyć z pomocą i powiedział, że główny budynek ma swoją niepowtarzalną architekturę, która tylko zostałaby zniszczona przez szklaną klatkę.

– Bzdura! – krzyknął referendarz, dodając, że ci z Danii nie mają pojęcia, czego potrzeba ludziom tu na północy.

– Tylko poczekajcie, aż będziecie starzy i zależni od tego, żeby w cieple i suchości popatrzeć sobie na morze. Wtedy zatęsknicie za werandą. No cóż, Dina, ona się na tym znała!

Kiedy mówił o Dinie, miał taki tonu głosu, jakby wspominał umarłego.

Beniamin przypomniał mu, że Dina również nie uznała za konieczne, aby do głównego domu dobudować werandę.

– Bzdura! – ryknął referendarz – po prostu nie zdążyła!

Wtedy Anders bardzo zdecydowanie zabrał głos, prosząc obecnych o częstowanie się wszystkim, co stoi na stole, zanim znikną półmiski. I jak zawsze, kiedy Anders uznawał za konieczne odezwać się w obecności referendarza, jego słowa pełne były cichego autorytetu.

I wszyscy zajęli się innymi tematami. Referendarz również.

Dagny trzymała się Beniamina i nalegała, żeby koniecznie przyjechał do Fagerness.

Wymówił się tym, iż tak dużo podróżował służbowo, że kiedy zawijał w końcu do własnej przystani, chciał pozostać w domu jak najdłużej.

Dagny dotknęła go. Długo przytrzymała jego rękę. Zawsze tak robiła. Wobec wszystkich innych osób w rodzinie była chłodna

i poprawna.

Od chwili, gdy synowie zaczęli dawać sobie radę bez niej, co drugie lato jeździła do swojej rodziny w Bergen. Żeby trochę nadażyć za światem, jak mawiała.

Beniamin pamiętał ją z czasów, gdy był małym chłopcem. Rozkoszną, tajemną tęsknotę, z której nigdy nikomu się nie zwierzył. Pochylił się bliżej w jej stronę i mówił cichym głosem, rejestrując jednocześnie, że to jej się podoba.

Kiedy tak siedzieli przy stole, pomyślał sobie: Nie może się doczekać, kiedy jej mąż umrze. I nie przyszło mu do głowy, by ją z tego powodu oskarżać. Odkąd sięgnął pamięcią, referendarz chorował na serce. Ale poza tym zdrowie miał żelazne.

Kiedy później wspomniał o tym Andersowi, uzyskał wyjaśnienie.

– Samo serce to on ma w porządku, gorzej z tym, co w sercu. Dlatego ciągle trzyma się przy życiu.

*

Referendarz Holm musiał poddać się następnej wiosny. Jego serce zatrzymało się pewnego dnia, gdy siedział w zagłowej łodzi w drodze na targ.

I teraz nie grzmiał już więcej na temat tej córki, co to nigdy nie dawała znaku życia.

W tej kwestii zawsze można było na niego liczyć. Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy bez muzyki obchodzili dookoła drzewko, gwałtownymi słowami i ze łzami w oczach nakazał Andersowi, aby przywiózł Dinę do domu.

Anders jak zwykle zniósł to bez podejmowania tematu.

Ale teraz miał już nastać w tej sprawie spokój.

*

Beniamin napisał do Diny z wiadomością o śmierci referendarza. Opowiedział o Reinsnes, o Andersie i pozostałych, o Karnie i o sobie. O planach, żeby wynająć coś w Strandstedet i stamtąd prowadzić praktykę. Wielu ludzi potrzebowało doktora, ale mało kto miał pieniądze, żeby za niego zapłacić. Za to subiekci i rzemieślnicy mnożyli się jak grzyby po deszczu. W sklepiku w Reinsnes brakowało i ludzi, i towarów. Więc Hanna wyjechała do Strandstedet, żeby zająć się szyciem.

*

Napisał również do Aksela. Zaadresował list do jego rodziców w Danii. List utrzymany był w lekkim, beztroskim tonie i zawierał zaproszenie do Reinsnes w dowolnym czasie.

Aksel odpisał z Berlina i wspominał, że podjął próbę rozwinięcia prywatnej praktyki. Nie było to łatwe. Najchętniej pracowałby w szpitalu. Żeby ciągle się uczyć. Ale to było trudne. Nie miał przecież charakteru Beniamina. No i musiał najpierw dobrze nauczyć się języka.

Jakby Dina była zaledwie wspólną znajomą, napisał, że wynajmowała duże mieszkanie w dobrej dzielnicy. On sam mieszkał w małym pokoiku w pobliskim pensjonacie.

W odruchu bezsensownej zazdrości Beniamin odrzucił od siebie do połowy przeczytany list.

Jego własna matka żyła z jego najlepszym przyjacielem, niewiele starszym od niego. Co najmniej piętnaście lat różnicy. I co gorsza: pozostawiła Akselowi powiadomienie go o tym. Nieszczególnie pięknie.

Cóż, do diabła, się stanie, kiedy będzie miała go dosyć? Albo jeszcze gorzej: co się zdarzy, jeśli to on będzie miał dosyć jej?

Ponownie wziął do ręki list.

Aksel mówił, że przynajmniej mieszkali osobno. A więc nie był to wielki, publiczny skandal.

Z obawy, że list od Aksela mógłby wpaść w ręce Andersa, wrzucił go do pieca. Patrzył na pożerany płomieniami papier i zaraz potem usiadł, żeby odpowiedzieć.

Powstało śmieszne ostrzeżenie przed życiem w niewierności i cudzołóstwem.

Kiedy przeczytał swój list, zmiął go w małą, twardą kulkę, która pozostawiła na jego dłoni plamy z atramentu. Kurwa, on akurat nie był chyba właściwą osobą do prawienia morałów Akselowi. On?

Po kilku dniach napisał do Aksela nowy list, utrzymany w takim tonie, jakby obaj nadal byli studentami. Pozbawionymi innych smutków niż te, które sami sobie ściągnęli na głowę.

Poprosił, aby pozdrowił Dinę. Jeśli ją spotka.

Rozdział czwarty

Kantorek był brudny i nadgryziony zębem czasu. Pachniał tytoniem, papierami i lakiem do pieczęci. Nikt nie mógł im tu przeszkodzić. Składzik był pusty. Tylko kilka pokrytych kurzem, przestarzałych towarów, poupychanych na półkach i w szufladach. Rzeczy, które nadawały się do przechowywania. Może przydadzą się w gospodarstwie. Smołowany sznur i wyciory do fajek. Szklane klosze do lamp i spłowiałe od słońca bele ceraty.

Anders przez kilka dni przygotowywał się do tego, co chciał powiedzieć. Siedzieli teraz z Beniaminem naprzeciwko siebie, każdy ze swoją szklaneczką rumu w dłoni.

Chodzi o napiętą sytuację finansową, zaczął z dobrodusznym uśmiechem.

Jeśli dobrze zrozumiał, Beniamin zamierzał zabrać Karnę i wynająć sobie coś w Strandstedet, zatrudniając gosposię? Zmuszony był powiedzieć, co o tym myśli. Bo tych wydatków nie da się obronić.

Beniamin nie był pewien, jak ma to przyjąć. W końcu nie był już małym chłopcem, którego można było przywoływać do porządku według własnego widzimisię.

Tak, to prawda, myślał o otwarciu praktyki w Strandstedet.

Rozmawiał o tym z lekarzem okręgowym. Było zapotrzebowanie na jeszcze jednego doktora. Bez wątpienia.

Anders nie miał żadnych wątpliwości, że doktorska posługa Beniamina była bardzo potrzebna. Zauważył przecież, że cieszy się uznaniem i szacunkiem. To wszystko bardzo pięknie. Ale niespecjalnie da się z tego żyć, jeśli nie będzie żądał zapłaty za swoją pracę.

No cóż, Anders nazwał to wprost: Czuł się jak zarządca majątku, który nikogo poza nim nie obchodził.

Jak na Andersa, była to niezwykle bezpośrednia wypowiedź.

Zważywszy że z za drugiej strony stołu nie usłyszał żadnego sprzeciwu, kontynuował najdłuższe przemówienie, jakie wygłosił od czasu spuszczenia lania rybakom na Lofotach po tym, jak postanowili ukarać Beniamina.

Śledź pełny znowu zniknął. Już od roku sześćdziesiątego czwartego między rybakami a gospodarzami niemożliwa stała się praktykowana do tej pory wymiana handlowa w towarze. Rybacy chcieli dostawać zapłatę do ręki i w brzęczących monetach. W przeciwnym wypadku ryba wędrowała do innego kupującego. A pieniędzy już od dawna nie używali w składzie w Reinsnes. Nie, one trafiały raczej gdzie indziej.

Tymczasem Anders musiał wypłacać zaliczki jeszcze przed sprzedażą ryby! Osobiście odpowiadał za jakość towaru. W Bergen ryby uszkodzone i odpady zamieniały się w jego stratę.

No i do tego te cholerne parowce! Zabierały wszelki transport, a w dodatku kursowały jak w zegarku niezależnie od pogody!

Wszędzie dookoła osiedlali się sklepikarze. W Strandstedet, wzdłuż cieśniny i na wyspach. Każdy, kto chciał, mógł zająć się handlem. Gdyby w Reinsnes nie było tak płytko, to zapewne on ze

swoją zasraną ślepotą postawiłby wszystko na jedną kartę. Kupiłby łódź parową i zajął się przewozem ludzi i towarów.

Nowe czasy wysadziły z siodła nie tylko gospodarzy z Reinsnes. Tak samo rzecz się miała z wieloma innymi starymi składami i zajazdami. Jeżeli jednak Benjamin uważał, że Anders widział w tym jakąś pociechę, to się mylił!

Rybacy na Lofotach sprzedawali kupcom surowe ryby, z których tamci wyrabiali sztokfisze. Stawiali na to tacy dorobkiewiczze, jak ten Olaisen. Ale on był młody, miał dobry wzrok i zabezpieczony dochód na przyszłość. Tacy mężczyźni wykorzystywali kobiety i dzieci do niewolniczej pracy. Nie za jedzenie, tylko za pieniądze.

Benjamin przypomniał mu, że sprzedał skały. Czy to było roztropne?

Anders zaśmiał się gorzko i zaczął opowiadać, czego potrzeba, żeby ślepnący szyper klipra został królem sztokfiszy. Poza tym: budynek główny i zabudowania przystani trzeba było pomalować. A przynajmniej od strony południowo-zachodniej. Narzędzia i liny zostały wzięte na kredyt w Bergen. Kliper miał zniszczone żagle.

Ludzie wynajmowani do prac sezonowych nie zadowalali się już tylko jedzeniem czy materiałem na sukienkę, chcieli zapłaty w pieniądzu. Za sól zdołał się jakoś rozliczyć, ale już nie za całą mąkę.

Sam nie był teraz w pełni przydatnym członkiem załogi klipra. Na wyprawy do Bergen musiał wynajmować dodatkowego sternika. Nie mógł odesłać ludzi, którzy od zawsze mieszkali i pracowali w gospodarstwie. Dokąd mieliby pójść?

Uprawa roli i hodowla zwierząt były bezpieczne w rękach Tomasza. Sam starał się kontrolować rachunki, ale to też nie było zajęcie dla ślepnącego człowieka. Poza tym nie nadawał się do

takiej pracy. Zawsze był i pozostanie żeglarzem.

– Ale ty, Beniaminie, który przecież uczyłeś się tego i owego, może mógłbyś przejrzeć te papiery? – zakończył, odstawiając ze stuknięciem szklanę na stół.

Beniamin wysłuchał całego tego ponurego proroctwa. Teraz potrząsnął głową.

– Zatrudnimy księgowego, żeby zajął się tym w całości – rzekł.

– Jeszcze jednego człowieka, który będzie chciał zapłaty w gotówce? Nie! Nie chodzi tylko o rachunki. Musimy mieć dochód.

Czyżby światły doktor nie zrozumiał powagi sytuacji?

– Czy rozumiesz, jak się sprawy mają?

– No tak... Ale chyba nie jesteśmy jeszcze bankrutami?

– Już niewiele brakuje – powiedział sucho Anders.

– No to musimy wziąć się wspólnie do roboty i modlić o dobre połowy.

– Jestem lepszy w pracy niż w modlitwie – stwierdził Anders.

Beniamin orzekł, że Tomasz powinien zostać wtajemniczony w pożałowania godny stan gospodarstwa.

Anders patrzył w podłogę. Nigdy nie było takiego zwyczaju, żeby wprowadzać robotników i służbę w zawiłości finansowe.

– Wiele już czasu upłynęło od chwili, kiedy Tomasz był tylko parobkiem – powiedział Beniamin.

Wymienili spojrzenia.

Anders wymamrotał coś o tym, że może jest nieco staroświecki. Tomasz w rzeczywistości zarządzał przecież prowadzeniem gospodarstwa. Przynosiło nieduże, ale dość przewidywalne dochody. Nie tyle w pieniądzach, ile w postaci jedzenia i różnych niezbędności.

– Czy liczyłeś, ile potrzeba, żeby w pełni wyżywić ludzi

w gospodarstwie?

Nie, tego Anders nigdy nie robił.

– To naradzimy się z Tomaszem i zobaczymy, na czym możemy zaoszczędzić albo gdzie zyskać.

*

Posłano po Tomasza.

Trochę to trwało. Bo musiał skończyć swoją robotę, umyć się i zmienić koszulę. Tomasz nigdy nie pokazywał się w niechlujnym stroju w obecności ludzi, którzy nie mieli rąk brudnych od pracy. Ale nie miał już czasu, żeby się ogolić.

Nawet jeśli był zdumiony dopuszczeniem do informacji o opłakanym stanie Reinsnes, to nie pokazał tego po sobie. Przez chwilę po prostu milczał. Potem padło:

– Dorsz jest pewniejszy niż śledź. Możemy oczyścić skały na południe od cumowni. Jest tam mnóstwo głazów, pokrytych tylko cienką warstwą wrzosów i mchu. Jeśli zaczniemy teraz, to południowo-zachodni wiatr bez zapłaty wyczyści je do zera przed nadejściem sezonu. Poza tym masz przecież skały w Strandstedet. Popłyniemy kliprem i kupimy ryby na Lofotach, a potem sami wysuszymy sztokfisze.

– Sprzedałem skały w Strandstedet Wilfredowi Olaisenowi – rzekł krótko Anders.

Na twarzy Tomasza odbiło się zdumienie, nad którym jednak szybko zapanował.

– Wydaje mi się, że skały tu w Reinsnes są lepiej położone. Krótsza droga do pokonania z rybą. Poza tym mamy przecież i przystań do przyjęcia towaru, i kwaterę dla robotników...

– Nie poradzę sobie z tym wszystkim – powiedział zdecydowanie Anders.

– A jeśli Tomasz spróbuje?

Beniamin nie najlepiej czuł się w roli pośrednika.

Ale dla Tomasza zdarzyła się sytuacja niezwykła. Siedział oto w kantorze składziku i dyskutował o przyszłości Reinsnes. Postanowiono, że za gotówkę najmie kilku chłopaków do oczyszczenia skał. Na koszt Andersa. Później zaczną kupować rybę i wynajmować ludzi. Na własne ryzyko.

Kiedy Tomasz przyszedł do izby na kolację, jego oblicze rozjaśniał szeroki uśmiech. I jeszcze następnego dnia ten uśmiech nie schodził mu z twarzy. Tyle miał spraw, nad którymi musiał się teraz zastanowić. Nie pamiętał, aby w całym swoim życiu myślał tyle naraz. Pieniądze w gotówce! To było zupełnie coś innego niż hodowla krów i orka.

Przez cały czas, kiedy chodził za pługiem, do głowy przychodziły mu kolejne znakomite pomysły w tej czy innej kwestii. Poszedł do izby, żeby się umyć. A potem ruszył do biura, do Andersa, który siedział tam z lupą, pochylony nad papierami.

Rozdział piąty

Pewnego marcowego dnia Beniamin został wezwany do położonej na uboczu zagrody komorniczej, gdzie czworo dzieci leżało złożonych chorobą. Rodzice przez wiele dni sądzili, że to zwykły kaszel i przeziębienie. Ale ostatniej doby stan najmłodszego tak bardzo się pogorszył, że posłano po doktora.

Beniamin stwierdził wysoką gorączkę, wysypkę i biały nalot na języku. Najmłodszy był bardzo osłabiony i miał te charakterystyczne blade obwódki wokół ust.

– Wygląda to na szkarlatynę – rzekł, dając kilka krótkich wskazówek, jak mają postępować. Najmłodsze dziecko było w tak złym stanie, że uznał za słuszne pozostać w oczekiwaniu na przełom.

Nic jednak nie mógł zrobić, a pod wieczór maleństwo umarło. Przez cały czas czuwania przy łóżku chorego nie widział w nim obcego dziecka, lecz Karnę. Kiedy było już po wszystkim, nie potrafił pocieszyć nawet sam siebie.

*

Późnym wieczorem przez wiele godzin przedzierał się przez zleżały, zlodowaciały śnieg, aż w końcu otworzył drzwi do ciepła

i światła w Reinsnes. Tęsknił za umyciem się, posiłkiem i snem.

Bergljot przyniosła do sali sypialnianej wodę oraz „Tromsø Stiftstidende”, tak jak to zawsze robiła. Tego wieczoru z gazety wypadł list. Duże, równe litery. Wtedy dotarło do niego, że to od niej. Od Anny.

Ciągle miał przed oczami to upokarzające pożegnanie. A jednocześnie czuł budzące się oczekiwania. Oddech, jakby od dawna biegł. Puls bił mu w najdziwniejszych miejscach. W ustach. Uszach.

Zmusił się, żeby otworzyć list powoli. Nożykiem do papieru.

Atrament rozpląwał mu się przed oczami. Litery zamieniały się w tajemne kody, połączone nieregularnymi, przekornymi liniami.

Zebrał się w sobie. Usiłował czytać. Miał wrażenie, że rozumie, iż ucieszyła się z jego listu. Ani jednego słowa o tamtym przykrym wieczorze. Żadnych oskarżeń. Nawet między wierszami.

Jakby postanowiła, że pozostanie jej zwykłym znajomym, takim jak wielu innych? Czy da mu szansę, żeby zacząć od nowa? A może po prostu była uprzejma? Dobrze wychowana córka profesora?

Zasnął dopiero o świcie. List był pierwszą rzeczą, którą chwycił w dłoń po obudzeniu się.

*

Od tamtego momentu listy od Anny stały się cumą łączącą go z resztą świata. Kwadransiem wolnym od obowiązków i codzienności.

Zwracał się do niej regularnie, jak do pamiętnika. Pisał o trudnościach, radościach, drobnych zdarzeniach. Unikał sformułowań, które mogłyby przywodzić na myśl odrzuconego zalotnika. Oraz miłosnych deklaracji. Coś podpowiadało mu, że tak będzie najrozsądniej.

Kiedy przy ponownym czytaniu listu któraś ze stron zapachniała czymś groźnym, po prostu jej nie wysyłał. Zamiast tego skreślał parę linijek o Karnie. Drobne śmieszności. Ale trzymał się z daleka od głębszych przemyśleń na temat ojcostwa i tego, że czuł się skazany na Reinsnes.

Dzielił się natomiast niektórymi tragicznymi wydarzeniami, w których zmuszony był uczestniczyć. Takie jak to, że trójka dzieci z komorniczej zagrody umarła na szkarlatynę. Żeby nie uznała, że jego życie musi być bardzo smutne, żartował sobie z własnej nieudolności. To dobrze wypadło, stwierdzał, czytając potem gotowy list.

Od czasu do czasu wspominał, że chciałby się stąd wyrwać. Ale nigdy nie dał temu wyrazu tak mocno, jak naprawdę czuł.

*

Na początku nie odpowiadała regularnie. A jej listy były dość wyważone, bez tej samej lekkiej poufałości, jaką on przejawiał w stosunku do niej.

Jednak po pewnym czasie zaczęła być bardziej otwarta. Chociaż wciąż odnosił wrażenie, że nie ujawnia swoich prawdziwych uczuć.

Czy to z powodu odległości?

Niekiedy łapał się na myśli, że jest dla niego jak ktoś, kogo nigdy nie poznał. Za spotkaniem z kim może tylko tęsknił? O którym marzył? Była obecna w jego myślach. W ten sposób miał ją zawsze przy sobie.

Wszystko inne było bez znaczenia.

Nigdy nie wspominała o tym ostatnim, szarpiącym nerwy okresie. O zerwaniu. Ani razu nie wymieniła imienia Aksela. Opowiadała natomiast z ożywieniem o podróży po Anglii i Szkocji. Że udzielała lekcji gry na pianinie i zagrała kilka koncertów. Dwa

z nich odbyły się publicznie w Kopenhadze.

W czasie, gdy mieszkała u ciotki w Londynie, dostał od niej dwa listy. Wspomniała w nich o poznanym tam Szkocie. W kilku kolejnych zdaniach nawiązywała do tego spotkania.

Odpowiedział natychmiast, gorączkowo. Prosił, aby zastanowiła się nad tym związkiem. Czy ten mężczyzna naprawdę był dla niej właściwy. Nie powinna poddawać się idiotycznym obawom o to, że zostanie naznaczona piętnem staropanieństwa.

Kiedy odpowiedziała, niemal usłyszał, jak spomiędzy wierszy listu wydobywa się jej śmiech. Nie miała zamiaru wyjść za Szkota. A na pewno nie za tego. Zanadto lubił pieniądze i kalambury. Była w stanie strawić go tylko w niewielkich porcjach. Bo czasami był niezwykle zabawny.

Ale Szkota nie warto było zabierać do domu. Niewielu mężczyzn nadawało się na import, jak napisała.

*

Ciągle od nowa czytał jej listy. Czasami odczytywał je głośno Andersowi. Tylko akapit albo dwa, żeby podzielić się swoją radością.

W ten sposób Anders bez zadawania jakichkolwiek pytań został wprowadzony w istnienie Anny. Ale śmiał się tylko, sam przypominał im sformułowania Anny i bawił ich obu powtarzaniem tych słów.

„Niewielu mężczyzn nadaje się na import”. Jakby chodziło o sztokfiszę, dodawał sam dla siebie.

Albo: „Za sprawą angielskiego jedzenia można łatwo zrozumieć, dlaczego zostali imperialistami. Okrucieństwo siedzi w kiszkach”.

– Wyborne. He, he.

Beniamin stawiał krzyżyk w swoim kalendarzu. Dzień kolejnego

listu. Coś w rodzaju rachuby czasu. Albo znak, na który mógł patrzeć, kiedy tego potrzebował. Przyglądać mu się dokładnie, tak jak listowi.

Jednak w takich momentach musiał być sam.

*

W chwili większej zażyłości z Andersem próbował ubrać w słowa pewne swoje myśli. Siedzieli w nadbudówce klipra, zakotwiczonego w przydomowej zatoczce.

– Chyba ani ty, ani ja nie mamy przesadnego szczęścia do kobiet?

Anders rzucił mu spojrzenie spod oka przez obłok fajkowego dymu.

– No cóż... jesteś jeszcze za młody, żeby tak twierdzić. Dla mnie ta sprawa już przepadła.

– Czy sądzisz, że nigdy już nie wróci do domu?

– Cóż takiego miałyby tu robić?

– Ty tu jesteś. Reinsnes. Karna.

– Wypij lepiej na drugą nóżkę, chłopcze.

Jego błyskotliwe i flegmatyczne zarazem poczucie humoru potrafiło doprowadzić Beniamina do białej gorączki. Zupełnie jakby ten człowiek umiał zdusić w sobie wszelkie uczucia i był z tego dumny. Czy Dinę też to rozwścieczało?

– Napisałem do niej z prośbą, żeby przyjechała zobaczyć, co możemy zrobić dla Reinsnes – rzekł nagle.

Anders przeczyścił cybuch swojej fajki. Napchał świeżego tytoniu. Trochę to trwało. Kiedy skończył, zaczął ceremonię zapalania. Cmokał. Wyjął fajkę z ust, patrząc na nią podejrzliwie. Ani śladu żaru. Spróbował ponownie. Z tym samym skutkiem. Wtedy z pudełka z tytoniem wyjął czterocalowy gwóźdź i wydłubał wszystko z powrotem. W pudełku powstał brązowy kopczyk,

któremu przyglądał się teraz z zainteresowaniem.

– Hm, no cóż, można przecież wierzyć w cuda.

Potem odłożył fajkę i dolał im rumu.

*

Beniamin wynajmował nadal dwie izby u szewca w Strandstedet. Przyjmował tam pacjentów przez dwa dni w tygodniu, o ile pogoda pozwalała na dopłynięcie na miejsce małą łodzią.

Często stwierdzał, że nie ma szczególnego talentu do żeglarstwa. Ale musiał przyznać rację Andersowi, że nawet praca, do której nie miało się zdolności, po pewnym czasie stawała się rutyną.

Przyzwyczał się do samotnych godzin spędzanych na morzu przy każdej możliwej pogodzie. Dzięki temu nie było żadnego świadka, który mógłby potwierdzić, że spiętrzone fale za wyspą Senja czy wielkie grzywacze w fiordzie Andsfjorden zagrażały męskości. Albo że doktor pojękiwał, kiedy podczas wiosłowania pod wiatr pękały mu pęcherze na dłoniach.

Miał dobrą łódź. Ale nie trzeba było wielkiego sztormu, żeby chciał znaleźć się z powrotem w Kopenhadze. Od razu planował ucieczkę. Daleko. Jak najdalej.

Czas studiów zdawał mu się teraz okresem nieustającej zabawy i wolności. Życie doktora między szkierami przyprawiało go często o uczucie, że jest wypalonym starcem.

Jeśli pogoda była taka, że można było siedzieć pod żaglem, spokojnie myśląc, planował wyjazd do Kopenhagi albo Niemiec i zrobienie tam specjalizacji.

Miał również trzecią opcję: Izba porodowa dla niezameężnych matek w Bergen. Może tym właśnie powinien się zająć? Pomaganiem dzieciom w przyjściu na świat. Pomaganiem kobietom.

Niekiedy wyznaczał sobie datę wysłania podania o przyznanie mu miejsca. Ale już krótkie boczne fale uderzające lekko w burtę potrafiły zepsuć ten plan. Czasami plan rozpływał się w błękitno-brunatnym spojrzeniu Karny, drepczącej mu na spotkanie koło przystani.

*

Odwiedzały go. Kobiety. Młode i stare. Chciały porady. Lekarstwa. Zimą widywał je najczęściej zakutane w ubrania, pod którymi trudno było odszukać ciało. Latem od czasu do czasu zauważał czyjeś spojrzenie. Znamię. Uśmiech. Lok spadających włosów. Ale nie były w jego oczach rzeczywiste. Stanowiły jedynie przypadki medyczne. Musiał ich przecież dotykać, czasami pocieszać. Zdarzało się, że zwracał uwagę na ciepło skóry. Wtedy natychmiast robił się czujny. To on był tutaj dla nich, nie odwrotnie.

Jeśli nocował w Strandstedet, zdarzało się, że błąkał się po miejscach, gdzie nie były pacjentkami. Po idiotycznych bazarach ze zbiórką pieniędzy na to lub owo. Po klubach czytelniczych. Słuchał, jak czytają na głos fragmenty jakiejś powieści.

Ale Strandstedet to nie była Kopenhaga. Nie przechadzały się pod drzewami w cienkich, letnich sukniach. Ich buciki nie stukały o bruk. Usiłował przypominać sobie sytuacje, zdarzenia, żywe obrazy. Zawsze z kobietami spoglądającymi spod kapeluszy o szerokich rondach. Zwróconymi plecami. I ten kolisty ruch bioder. To jasne, że stwórca musiał być lubieżnym Szatanem!

Miłość?

Północ była bezludnym miejscem. Dla kogoś takiego jak on.

*

Pewnego dnia odwiedził Hannę. Wynajmowała dwie izby w niepomalowanym domu obok telegrafu.

Minęło wiele miesięcy, odkąd widział ją po raz ostatni. Rzadko bywała w Reinsnes.

Kiedys odszukała go w Strandstedet, bo potrzebowała kropli na kaszel dla Isaka. Siedziała w malutkiej poczekalni i zachowywała się tak, jakby nie znała go ani trochę lepiej niż kogokolwiek innego.

Trzymała się z daleka. A może to on?

Wyraźnie zaskoczona, przyjęła go w malutkim saloniku za szwalnię. Był przytulny, ale ciasny.

Zaproponowała kawę i obwarzanki, a potem usiadła, żeby przyfastrygować stanik sukni.

Wiedział, że ciężko pracuje, żeby zarobić na najniezbędniejsze sprawy. Kilka razy wetknął Stine parę banknotów. Poprosił, aby dała je Hannie, nie mówiąc, skąd pochodzą.

Teraz jakoś niemiło było mu o tym myśleć. Jakby próbował sobie w ten sposób coś kupić.

Najpierw rozmawiali o dzieciach. Przyniósł dla Isaka ołowianego żołnierzyka.

– Bawi się gdzieś nad wodą – powiedziała.

Kilka dni wcześniej zabrał Isaka ze sobą na przejażdżkę doktorską łódką. Była ładna pogoda, a on i tak miał wrócić wieczorem do Strandstedet. Chłopiec snuł się sam po plaży w pobliżu miejsca, gdzie zacumowana była jego łódka. Zapytany, czy chce z nim popłynąć, odpowiedział roztropnie, że musi najpierw powiadomić Hannę. Starał się ukryć, jak bardzo się ucieszył.

Rozmawiali o wielkim świecie ukrytym za horyzontem. I o wrzodzie na palcu, który Beniamin przeciął na jego oczach.

Chłopiec ufał światu inaczej niż Hanna. Dziwne było wszakże to,

że ta cecha u niego najwyraźniej stanowiła jej dzieło. Inne wdowy w takiej sytuacji chroniły i rozpieszczały, a Hanna dawała Isakowi wiele swobody. Załatwiał sprawunki, jeździł na wizyty z doktorem, wiosłował w porcie i odwiedzał kuźnie położone wzdłuż nadmorskiej drogi.

To Isak wspomniał o ekspedytorze z przystani dla parowca.

– Przyprawia mamie klientki do szycia. Zna tak dużo ludzi.

– Ach tak?

– Mówi, że możemy się przeprowadzić do niego do domu.

Chciałby się z nami ożenić.

– Słyszałeś to?

– Zaraz słyszałem... Coś takiego tylko obito mi się o uszy, po prostu! Byłem już w łóżku, ale nie mogłem spać.

– A co odpowiedziała twoja matka? – zadał lekkim tonem pytanie.

– Nie słyszałem. Ale dostała broszkę.

Chciał opowiedzieć Hannie o wycieczce z Isakiem. Wtedy dostrzegł broszkę w zagłębieniu między jej piersiami. A może odwrotnie – zauważył piersi po obu stronach broszki?

Koniec końców skomentował tylko biżuterię.

– Ten ekspedytor parowca miał ją w domu i nie była mu do niczego potrzebna... Ale jeszcze za nią nie zapłaciłam.

Zdecydował się na żartobliwy ton:

– Ekspedytora parowca stać chyba na wyrzeczenie się broszki bez pieniędzy?

Zrobiła się czujna. Mówiła szybko. Olaisen będzie budował przystań dla parowca.

– Przystań?

Opowiedziała jeszcze szybciej, że odziedziczył trochę pieniędzy po

wuju z Ameryki.

- Często go widzisz?
- Od czasu do czasu. Isak go lubi.
- A ty?
- Ja? – zapytała, upuszczając swoją robotę.
- Czy to coś poważnego?
- Masz na myśli, czy prosił mnie o rękę?
- No, coś w tym rodzaju.

Oczy miała wlepione w trzymany materiał. Chyba obrabiała właśnie dziurkę. Robiła błyskawiczne, dokładne węzłki z takim wyrazem twarzy, jakby ich nienawidziła.

- Czy ty też chcesz sprawić, żeby mi się dobrze powodziło?
- Nie, tylko pytam. Jesteśmy przecież jak rodzeństwo.
- Jak rodzeństwo?

Jej palce znieruchomiały. Potem igła wykonała zdecydowany obrót i przeszła do następnej dziurki. Była jak w transie. Kłuła raz za razem.

– Nie, wcale nie jesteśmy jak rodzeństwo. Mamy wiele wspólnego. Ale rodzeństwem nie jesteśmy! Ja jestem niechcianym bękartem lapońskiej służącej. Ty jesteś synem na Reinsnes, który studiował w Kopenhadze i wyuczył się na doktora.

Miał ochotę jej opowiedzieć, czym synem jest naprawdę. Chciał rzec coś o tym, że ją lubi i poważa. Ale nic takiego nie padło.

Kto powiedział to o lapońskiej służącej?

Nie był w stanie wymówić słowa „bękart”.

- Moja teściowa.
- Nie przejmowałbym się taką teściową.
- Nie, dlatego jestem tutaj i szyję dla wielkich państwa.
- Jesteś rozgoryczona?

– Na co?

– Na życie?

– Nie, czemu miałyby to służyć?

– Ja czasem jestem.

– Ty? No cóż, problem nie w tym, kto jak ma w życiu, tylko jak swój los przyjmuje.

Nie uznał, żeby warto było zgłębiać ten temat.

Po krótkiej chwili powiedziała na wdechu:

– Oświadczył się.

Poczuł coś na kształt przykrości.

– Ach tak?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Co powinnam mu odpowiedzieć?

– Zgodnie z wolą serca, tylko to ma znaczenie – odparł.

– O tym na pewno coś wiesz?

Hanna nie przebierała w słowach. Musiał uważać.

– Chyba znajdzie się jakieś wyjście, żebyś nie musiała...

– Czekam tygodniami na zapłatę za to, co uszyłam, bo boję się powiedzieć, że potrzebuję tych pieniędzy. Że te eleganckie panie się zdenerwują i nie przyniosą tutaj więcej swoich materiałów na suknie.

Podniósł się. Stanął za jej krzesłem.

Zerwała się jak oparzona i odłożyła robotę na stół.

– Pewnie musisz już iść? – zapytała.

Zanim sam zdążył się zorientować, co robi, objął ją ramionami. Już prawie nie pamiętał, kiedy ostatni raz tulił w nich kogoś innego niż małą Karnę lub chorych.

Ta ciepła powłoka. Żywa, młoda skóra. Zanurzył twarz w zagłębienie koło jej szyi. Broszka od Wilfreda Olaisena ukłuła go

w policzek.

Mocno, bardzo mocno objął całe jej ciało.

Przez chwilę trwała w całkowitym bezruchu, jakby nie wierząc w to, co się dzieje. Potem uwolniła swoje dłonie i objęła nimi jego twarz. Uniosła ją ku sobie i spojrzała mu badawczo w oczy.

Chciał być blisko niej. Przecież pragnął tylko tego. Mamrotał jej imię. Muskał ustami jej policzek i szyję. I ciągle mocno ją trzymał.

Wtedy jakby podjęła postanowienie. Wyrwała się i wycofała, opierając plecami o najbliższą ścianę. Wpatrywała się w niego, łapiąc oddech, jakby przed chwilą wykonała ciężką pracę.

– Musisz wiedzieć, że nie mogę pozwolić sobie na tę zabawę, Beniaminie. Za dużo mam do stracenia. A my... – przerwała, wygładzając kołnierzyk sukni drżącymi, ale zdecydowanymi palcami.

Ruszył w jej stronę, powtarzając niefrasobliwie:

– A my?

Wtedy uderzyła pięścią w ścianę, aż ta zadźwięczała.

Zatrzymał się na środku izby, spoglądając na starą farbę na deskach podłogi.

– Wybacz mi. To się więcej nie powtórzy – powiedział.

Wówczas oparła czoło i obie dłonie na ścianie. Spod zaciśniętych powiek płynął strumień.

Czekał, nie wiedząc, co powinien teraz zrobić. Zatrzasnęła się w sobie. Zdjął więc z kołka swoją marynarkę. Wyciągnął trzy banknoty z portfela i położył je na stole, pochwycił swoją doktorską torbę i wyszedł.

*

Po plaży krążył Isak, usiłując poznać tajemnice piaskówek drążących tunele.

Poczochnął go po włosach i wypróbował jego drewnianą łódeczkę, puszczając ją na małe bajorko pomiędzy skałami. Chłopiec paplał bez przerwy o tym, że na pewno przyjedzie do Reinsnes, jak tylko mama skończy szycie.

– Możesz chyba pojechać sam, jakby coś nie wyszło – rzekł Benjamin, poklepując go po ramieniu.

– Teraz, od razu?

– Nie, nie dzisiaj...

Dłoń, którą trzymał na ramieniu chłopca, osunęła się. Tak jakby od dawna marzła i straciła wszelkie czucie.

Isak odchylił głowę do tyłu i spojrzał na niego. Z zaufaniem. Potem z powagą skinął głową. Po męsku, zręcznie wypchnął doktorską łódkę poza przybrzeżne kamienie i stał tam z dłonią uniesioną na pożegnanie, aż Benjamin zniknął za cyplem.

Najpierw wiosłował jak szalony. Potem złapał wiatr w żagle. Udało się! Odłożył wiosła i usiadł przy sterze.

Jak to się często zdarzało, uświadomił sobie, że brakuje mu Aksela. Kogoś, z kim można by porozmawiać. Poradzić się. Spierać. Bić.

Nie była to ta sama paląca tęsknota czy obsesja, z jaką potrafiła wyłonić się przed nim Anna. Przypominała bardziej tęsknotę za ciepłym płaszczem. Piwem i knajpkami! Za chwilą swobody, dzięki której można było odpocząć od codzienności.

A gdyby tak wytrzymać jakoś do końca lata, a potem po prostu wyjechać? Tak jak Dina?

Dyskutował sam ze sobą. Karna była tylko małym dzieckiem. No i ta padaczka. Kto by się nią zajął? Wyjaśniał? Pocięszał?

Dlaczego nie postępował tak, jak inni mężczyźni. Nie wziął sobie kobiety, która chciałaby poświęcić dla niego wszystko?

Rozdział szósty

Kalendarz wskazywał trzeciego lutego 1876 roku, Dzień świętego Błażeja. Głosił: „Jak na Błażeja wieje, zazielenią się wiosną knieje”.

Tego dnia nadszedł zupełnie inny list od Anny.

Drogi Beniaminie, zaczynała. I jak zawsze kończyła słowami: Twoja przyjaciółka Anna. Ale sam list nie był już aż tak możliwy do przewidzenia. Przyjmowała w nim bowiem zaproszenie, którym on z kolei zawsze kończył swoje listy: Przyjedź do Reinsnes, Anno!

Był tak przyzwyczajony, że albo w ogóle o tym nie wspominała, albo odpowiadała uprzejmą, podyktowaną praktycznymi względami odmową. Teraz było napisane: Moja siostra Sophie i ja przyjeżdżamy!

Mimochodem wspominała w liście, że odrzuciła właśnie trzecie oświadczenia, chociaż Beniamin nie wiedział o odrzuceniu dwóch pierwszych. I że każdej wiosny, odkąd się rozstali, zmagala się z pragnieniem przyjazdu do Reinsnes.

Po tym ostatnim zdarzeniu, które o szczególną rozpacz przyprawiło jej matkę, ojciec nagle wypalił, że powinna pojechać na północ, żeby rozprawić się z dawnymi duchami.

Pozwoliła sobie nawet podowcipkować nieco ze zmartwień rodziców spowodowanych jej staropanieństwem.

A więc Anna nadal była rzeczywistością.

Uświadomił sobie, że wywyższył ją do stanu duchowego towarzysza. Swojej powiernicy. Tak jakby dzięki listom od Anny jego życie było nieco bogatsze.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie przyszły mu do głowy, było to, że jeśli przyjedzie, listy przestaną przychodzić.

A teraz faktycznie miała przyjechać. I Sophie! Ciągłe w szoku, usiadł bezwiednie na krześle w biurze składziku.

Rozejrzał się po kątach tego pomieszczenia, w którym zwykle przyjmował pacjentów. Dzisiaj sprawiało wrażenie wyjątkowo mrocznego i przestarzałego. Zamykana na klucz witryna z instrumentami i lekami kiedyś była biała. Teraz stała się szara i miała brzydkie placki w miejscach, gdzie odpadała farba. Kupił ją używaną.

Fotel, na którym siedział, zasługiwał już na nowe obicie. Z przetartej tapicerki podłokietników wychodziło wypełnienie. Miała nieokreślony, brunatnoczerwony kolor. W sumie praktyczny, biorąc pod uwagę plamy krwi. Ale zapewne ani elegancki, ani higieniczny, jeśli spojrzeć oczami Anny.

Biurko było nowe. To już lepiej. Podobnie krzesło przy biurku i dwa zwykłe. Ale wrażenie biedy wynikające z pracy doktora w biurze składziku było nie do przewyciężenia.

Był luty. Ile mógłby zrobić do czerwca?

Jak Reinsnes wypadnie w oczach Anny?

Poprzedniego lata budynek główny otrzymał od strony morza warstwę nowej, białej farby. Ale sklepik przedstawiał smutny widok, podobnie jak jeden z pomostów. W altanie kilka szyb było stłuczonych, a w ławce stojącej na głównych schodach brakowało deski. Nagle przypomniał sobie, że tapeta w najlepszym salonie

zaczęła obłazić pod oknami. Chyba okna trzeba od nowa zakitować?

Chodził tam i z powrotem po zużytych deskach podłogi, a bliżej nieokreślony ból głowy zaczynał rozsadzać mu czaszkę.

Gdzie ma je położyć? Czy powinien udostępnić im największą izbę gościnną? Nie, ona była za mała. Na pewno będą miały ze sobą mnóstwo garderoby i będą potrzebowały miejsca. Będzie musiał sam wyprowadzić się z sali sypialnianej.

Ale jak ludzie w gospodarstwie przyjmą to, że opuści własną sypialnię, żeby zrobić miejsce dla Anny z Kopenhagi? Będą sądzili, że już co najmniej się oświadczył i został przyjęty.

Zastanawiając się z niepokojem nad wszystkimi szczegółami naraz, unikał myślenia o najważniejszym. Że Anna przyjeżdża.

Dla Oline zaczął się właśnie siedemdziesiąty ósmy rok życia. Zarządzała teraz kuchnią i domem ze stołeczka na kółkach.

Kilka lat temu na stopie zrobiła jej się niegojąca się rana. Nie skarżyła się ani słowem, ale za to wzdychała jeszcze więcej. Włosy jej się przerzedziły. Zaczesywała je na głowie, najlepiej jak umiała, zaplatała warkoczyk i za pomocą trzech szpilek wiązała w mały, ścisły koczek. Skórę miała uderzająco gładką i świeżą. Niczym mleko z miodem, jak mawiał Anders, kiedy chciał jej zrobić przyjemność.

Słuchała tego łaskawie. Oline nie przyjmowała pochlebstw od byle kogo. Przyglądała się ludziom i ważyła ich słowa. I kiedy uważała to za konieczne, odpowiadała miazdzącą repliką.

Niektórych ludzi widziała na wylot, jakby składali się z powietrza. A wzrok miała nadal dobry, w przeciwieństwie do Andersa. Za to jego włosy ciągle rosły bujną czupryną.

*

Beniamin wyczekał, aż dziewczka kuchenna wyszła. Wtedy

wśliznął się do środka i usiadł na końcu stołu.

– Oline, muszę poprosić cię o radę.

– Ach tak?

Odsunęła swój stołeczek od pieca i przyjrzała mu się od góry do dołu zmrużonymi oczami.

– Latem, rozumiesz, przyjadą tu ważne osoby.

– Ooo?

– Panienska... dwie panienski z Kopenhagi.

Oline zasznurowała usta, kładąc na nich palec wskazujący. Już w jego dzieciństwie oznaczało to, że Oline rozmyśla.

Pozwolił jej myśleć przez chwilę.

– Ale to nie są zapewne jakiegokolwiek panienski?

– Nie.

Skrzyżowała swoje pełne ramiona na piersi, przyglądając mu się z rozbawieniem.

– Jak ona się nazywa?

– Anna Anger.

– Anna. Chrześcijańskie imię. A co ta Anna będzie robiła w Reinsnes?

Beniamin gwałtownie się zaczerwienił.

– Jej siostra ma na imię Sophie. Przyjadą w odwiedziny do mnie – odparł.

Oline zmarszczyła czoło, ale nie skomentowała tego sprytnego uniku.

– A więc Beniamina w końcu odwiedzi jakaś kobieta. No tak, przecież jesteś już dostatecznie dorosły. Przekroczyłeś trzydziestkę. Ojciec, a żony nie ma. Samotny człowiek nie ma dobrze. Już sam Bóg to powiedział.

Z zapalem pokiwała głową. Zupełnie jakby miała bezpośredni

kontakt z Najwyższym, który właśnie przyznał jej rację.

– Czy tu odbędą się zaręczyny? – kontynuowała.

– Pomalutku, Oline. Tylko mnie odwiedzają. Nigdy nie była tak daleko na północy. Są córkami jednego z profesorów, który był moim wykładowcą. Ale chciałem cię prosić o radę...

– Prawdziwa profesorska córka? Wielkie nieba! Co ona może jadać? Boże, zmiłuj się! Teraz będzie w Reinsnes dokładnie jak za dawnych czasów. Wielcy państwo, steki cielece i dwanaście osób przy stole. I późne obiady. Musimy wynająć jeszcze jedną dziewczynę. Olaboga, jak to się skończy? Tyle czasu minęło.

Rozpromieniła się i wyglądała teraz naprawdę dobrze.

– Potrzebuję tylko rady.

– Rady?

– Wydaje mi się, że będą miały ze sobą mnóstwo bagażu. Izba gościnna jest taka ciasna.

– Izba gościnna! Dla córki profesora ze skrzynią pełną ubrań, pudłami kapeluszy i wszelkimi fidrygałkami! Nie, trzeba, żebyś wyprowadził się z sali sypialnej. Doktor czy nie doktor. Wszystko jedno. Musi mieszkać w sali. Masz jej zdjęcie?

– Nie.

Oline westchnęła i ostrożnie dotknęła bandaża przykrywającego ranę na stopie.

Beniamin również westchnął.

– Czy jest ładna?

– Tak. Jej siostra Sophie również.

– Chrzanić ją. Czy Anna jest wesoła?

– Nie, tego nie wiem.

– Ładna. Ale niespecjalnie wesoła?

– Zazwyczaj chyba jest raczej poważna – przyznał. Potem

szczególnie starannie opatrzył jej ranę.

– Zupełnie nie pojmuję, jak udało mi się zachować stopę przez ten czas, kiedy ciebie nie było, jakim cudem mi jeszcze całkiem nie zgniła. Ale co to ja miałam powiedzieć...? Czy Hanna wie o paniencie Annie?

– Nie, ty jesteś pierwsza.

– Nie żeby to miała być moja sprawa, ale gdybym była tobą, to powiedziałabym jej, zanim dowie się od kogoś innego.

– Dlaczego?

Oline przyglądała mu się długo, kiedy tak klęczał przy niej, mocując bandaż.

– Po prostu tak czuję...

*

Lekarz okręgowy posłał po niego, więc uznał, że chodzi o coś związanego z raportem zdrowotnym. Stary doktor nie lubił papierów i zestawień, rok po roku do znudzenia podobnych. Więc teraz Beniamin mu w tym pomagał. Szczególnie kłopotliwy był długi rozdział dotyczący „Chorób w okręgu”.

Beniamin ruszył w stronę doktorskiego domu w Strandstedet. U starego lekarza czekał go zazwyczaj poczęstunek i poncz. Dom był gościnny, a jego pan mądry. Ale wolał zajmować się ludźmi niż raportami zdrowotnymi.

Od pierwszego dnia, kiedy to Beniamin odwiedził go z pytaniem, czy nie będzie mu przeszkadzało, jeśli otworzy własną praktykę, stary w zasadzie go adoptował. A nawet jeszcze więcej. Okazywał mu wyraźną wdzięczność za to, że Beniamin jeździł na wizyty do chorych. Dzięki temu mógł siedzieć na swojej urzędowej posadzie w Strandstedet, nie mocząc sobie stóp, jak sam to ujął.

To, że miał problemy z komisją socjalną, kiedy w imieniu

Beniamina domagał się wypłaty za wyjazdy lekarskie, których wcześniej nie zgłaszał, przyjął z uśmiechem, za którym skrywała się wściekłość. Wygłosił wykład dla Beniamina i swojej żony na temat braku rozsądku u najważniejszych ludzi w okręgu.

Prowadził długotrwałą, zawiłą korespondencję z Pettersenem, przewodniczącym komisji socjalnej. Z ostatniego listu wynikało, że człowiek ów nie życzył sobie, aby lekarz okręgowy zgłaszał swoje skargi naczelnikowi okręgu.

Lekarz okręgowy odesłał list z prośbą, aby przewodniczący komisji socjalnej zgodnie z obowiązującymi zasadami datował swoje pisma. Pettersen odpowiedział natychmiast, nazywając to niedopuszczalną niegrzecznością ze strony lekarza okręgowego, któremu „ledwie chciało się włożyć buty, żeby gotować w potrzebie chorych ludzi”.

To ostatnie zdanie wprawiło lekarza okręgowego w niezwykle dobry humor. Napisał do gubernatora, że nie rozumie języka pana przewodniczącego. Bo zarzut, jakoby gotował swoich pacjentów, musi być chyba jakimś nieporozumieniem, które za pozwoleniem pana gubernatora pozwoli sobie zupełnie zlekceważyć.

Beniamin dotarł do domu doktora, spodziewając się kontynuacji opowieści o wymianie listów. Zabrał również ze sobą notatki w sprawach, za które odpowiadał w raporcie o stanie zdrowia.

Widać jednak było wyraźnie, że lekarzowi okręgowemu nie podobała się obecna sytuacja. Jego twarz, szara i poorana, zdradzała coś w rodzaju dystygowanej wściekłości. Z dużych nozdrzy wystawały mu kępki sztywnych włosów. Tego wieczoru w świetle lampy wydawały się szczególnie nastroszone.

Uniósł szklankę z ponczem w stronę Beniamina z taką miną, jakby pił właśnie krew wroga. A zatem naczelnik najwyraźniej go

napomniął za dowcipkowanie z komisji sanitarnej. Z jakiegoś powodu doktor zwlekał z ewentualnym sarkastycznym komentarzem, więc Beniamin wyciągnął brudnopis raportu o stanie zdrowia.

– Jeśli chodzi o tyfus plamisty, dur brzuszny, zakaźne zapalenie opon mózgowych i ospę wietrzną: brak przypadków. Cztery przypadki szkarlatyny, z czego trzy śmiertelne. Odra: brak przypadków. Dyżenteria: brak. Gorączka połogowa: brak. Cztery przypadki róży, z czego dwa śmiertelne. Różyczka: dwa lekkie przypadki w gospodarstwie Sørland. Wszy, świerzb, to dość powszechne sprawy w wioskach rybackich...

W tym momencie lekarz okręgowy podniósł dłoń w obronnym geście.

– Dziś wieczorem raport o stanie zdrowia robi mi źle! Musi poczekać. Otrzymałem podły list ze stolicy!

Beniamin odłożył papiery i czekał.

– A więc, rozumiesz, tam na południu nie we wszystkim mają dostatecznie dużo zdrowego rozsądku...

– Zatem?

– Ach, nie! Uznano tam, że słuszne będzie wpisanie Beniamina Grønelva na listę jako znachora.

Zakryta chmurą dymu z doktorskiego cygara, gdzieś tam siedziała uroczą żona doktora i haftowała coś okrągłego. Miał wrażenie, że będzie to obicie na krzesło. Kolory składały się z odcieni brązowych i żółtych.

Teraz podniosła się lekko niczym elf i wyszła. To nie było zwyczajne zachowanie z jej strony. Zawsze siedziała z nimi przez dłuższą chwilę przed pójściem spać. Beniamin doznał dławiącego, złego przecucia. Jak gdyby ją obraził.

– Stwierdzili, że nie masz prawa do wykonywania zawodu, bo nie kształciłeś się w Norwegii. I wyznaczyli mnie do roli twojego kata! Niech ich szlag trafi! Odwołamy się! – usłyszał głos lekarza okręgowego.

Głowę Beniamina wypełnił hałas, którego źródła nie potrafił określić.

– Powiedz coś! – polecił lekarz okręgowy po dłuższej chwili przyglądania się mu.

– Czy doktor uważa, że nie mam prawa być lekarzem, ponieważ studiowałem w Kopenhadze?

– Nie, ja tak nie myślę, ale tam w Kristianii ustalili w tej kwestii ścisłe wytyczne o narodowym charakterze. Norwescy lekarze dla Norwegii.

– Ale przecież jestem Norwegiem!

– Oczywiście. I zapewne lepiej wykształconym niż gdybyś studiował w Kristianii.

– O co zatem chodzi?

– Mówią, że takie są zasady. Prawo. Ja zaś twierdzę, że to czysty protekcjonizm.

– To nie może być prawda!

– Obawiam się, że jednak jest. Nie da się ochronić przed głupotą. Jest wszędzie dookoła. W radzie okręgu, w komisji sanitarnej, w Kristianii... Ale będziemy się odwoływać. Wyjaśnię im, że nie poradzę sobie bez twojej pomocy. Nie poddamy się!

Beniamin nie był w stanie zapanować nad szumem w głowie. Wszystkie te lata w Kopenhadze. Czy były nadaremne? Czy jacyś przekłęci panowie z Kristianii mieli taką władzę, żeby odmówić mu prawa do wykonywania zawodu, chociaż miał na jego potwierdzenie papiery najlepsze z możliwych?

- Ale przecież zgłosiłem doktorowi po powrocie do domu i...
 - Przekazałem zgłoszenie dalej i sądziłem, że wszystko jest w porządku. Młyny urzędowe miały wolno, choć nieubłagane.
 - Ale czyż wydział medyczny w Kristianii nie był przypadkiem tworzony z udziałem duńskich profesorów?
 - Z pewnością. Ale teraz mamy być bardziej norwescy. Norweska lewatywa, norweskie serum, norweskie gazy, norweska śmierć i norweskie choroby weneryczne. A niech ich wszyscy diabli wezmą! I do tego obdarzą chroniczną, norweską biegunką!
 - Dania i Norwegia były przecież kiedyś jednym krajem! Nie zrobiłem absolutnie nic prócz tego, że studiowałem medycynę właśnie w tym kraju.
 - Powinniśmy byli pomóc Duńczykom pod Dybbøl... Zawiedliśmy jak najgorsi tchórze! – zawołał Beniamin. – Jestem pozbawiony praw! Co mam zrobić?
 - Odwołać się od decyzji! Trochę to potrwa.
 - A do tego czasu?
 - Do tego czasu zagwarantuję, że jesteś cholernie dobrym znachorem! – zawołał ze złością lekarz okręgowy, a potem wezwał swoją Helene takim głosem, jakby to wszystko była jej wina. Przyniosła im dolewkę ponczu.
- Po chwili, kiedy siedzieli tak, opijając zaistniałe nieszczęście, stary powiedział:
- Niech to pozostanie między nami. Nie ma powodu, aby niepotrzebnie narażać na szwank twój autorytet. Zobaczymy, co czas przyniesie.
 - Ale nie mogę przecież prowadzić praktyki bez podstawy prawnej, to byłoby zbyt...
 - Musisz się do tego przyzwyczaić! Potrzebujemy cię! Gdyby nie

było cię tutaj tej ostatniej zimy, to zapewne już bym nie siedział w tym miejscu. Takich rzeczy nie rozumieją tam, w Kristianii. Tam jeżdżą sobie narodowymi konnymi dorożkami, snując sobie narodowe myśli, a koń w tym czasie sra narodowym gównem. A tutaj, na północy, sam widzisz, młody człowieku, tutaj najprawdziwsze gówno to wiatr szalejący po morzu. Ale tacy jak my oprą się dzielnie zmieniającym się nacjonalistycznym przepisom! Wierzaj mi!

– Największą ochotę mam się utopić.

– Mów jak mężczyzna! Inaczej wezmę i umrę, zanim zakotwiczymy w porcie. I zastąpi mnie jakiś ten lub ów idiota z Kristianii. I kto wtedy będzie walczył o twoją sprawę?

Tego wieczoru nie był w stanie popłynąć do Reinsnes. Leżał na wąskim łóżku w biurze, bezskutecznie próbując zasnąć.

Zapomniał o Annie. Teraz wyłoniła się w jego myślach i wstyd stał się jeszcze większy. Co znachor mógł zaoferować w życiu córce profesora?

Rozdział siódmy

Stało się to, przed czym ostrzegła Oline. Hanna przyjechała do Reinsnes na Zielone Świątki i pierwsze, co usłyszała, to nowina o panience z profesorskiej rodziny z Kopenhagi, która miała przybyć w odwiedzinach do doktora.

Dziewka kuchenna trajkotała bez przerwy. To dlatego w sali sypialnej powieszono zostały nowe letnie firanki.

Hanna poszła do swojej izby na górze. Stała przy oknie, patrząc w dal na morze. Później powoli spakowała swoje marzenia razem z kilkoma osobistymi rzeczami, które trzymała tutaj dla zaznaczenia swojej przynależności.

Poszło szybko. Skorzystała z jednej ze starych walizek Diny. Zamek i tak był zniszczony, więc nikomu nie będzie jej brakowało.

Najpierw zamierzała wyjechać, zanim on powróci do domu. Ale nie mogła rozczarować Isaka, który tak cieszył się na tę wyprawę. Dlatego wepchnęła spakowaną walizkę pod łóżko i przebrała się w codzienne ubrania. Następnie zeszła do kuchni z pytaniem, w czym mogłaby pomóc.

Oline przyjrzała jej się badawczo. A potem wydała kilka dobrodusznym poleceń, o nic więcej nie pytając. Odezwała się dopiero, kiedy zostały same.

Im więcej Hanna mówiła, tym zwyczajniej brzmiał jej głos. A przynajmniej tak sądziła, stojąc tam pochylona nad blatem kuchennym i przecierając twarz. Potem pobiegła. W dół aleją. Ku plaży. Tam zobaczyli, jak z drżącymi ramionami zasłania sobie twarz mokrą zydwestką.

W chwili przyjazdu Hanny Benjamin był w odwiedzinach u chorych na wysepkach położonych bardziej na północ. A kiedy wrócił do domu późnym wieczorem, wszyscy już się położyli.

Poszedł do kuchni, żeby znaleźć coś do jedzenia.

Panowała cisza. Wyżęte ściereczki wisiały na sznurze przy schodach kuchennych. Wokół roznosił się delikatny zapach ługu, tak jak zawsze po wieczornym sprzątnięciu kuchni.

Oline go usłyszała.

Nadal było tak, że schody prowadzące do izb dziewczyn kuchennych przebiegały nad łóżkiem Oline. Dzięki temu porządni ludzie mogli bezpiecznie wysyłać swoje córki na naukę prowadzenia gospodarstwa do Reinsnes. Żaden nocny zalotnik nie mógł do nich wejść niezauważony.

Cóż z tego, że to tylko doktor chciał wziąć sobie coś do jedzenia. Kiedy zamierzał wejść na górę, żeby obudzić którąś z dziewczek, Oline zatrzymała go ruchem dłoni. Jedzenie czekało w spizarni nakryte ściereczką.

Posłał jej zmęczony uśmiech, życząc dobrej nocy.

Ale Oline jeszcze nie skończyła. Była zła.

– Ta nowa dziewczyna ze Strandstedet powiedziała Hannie.

– Powiedziała?

– O paniencie z Kopenhagi.

Zatrzymał się w drzwiach.

– Ach tak.

– Pochorowała się!

– Pochorowała?

– Tak, niech Bóg się zmiłuje nad twoją grzeszną duszą – rzekła Oline, wycierając nos.

– Masz na myśli... że jest chora?

Oline przytaknęła całym ciałem. Następnie rzuciła się na swoje łóżko jak rozjuszony mors.

– Idź jej coś poradzić. Natychmiast!

– Teraz? Mam do niej wejść?

– Potrzebuje doktora.

Zapomniał o jedzeniu czekającym w spiżarni. Poszedł w górę po schodach i stanął pod drzwiami izby Hanny, a Oline nadśluchiwała, dokąd prowadzi skrzypienie desek.

Czyżby zasnęła? Nie, usłyszał ze środka cichy odgłos.

Ostrożnie zapukał.

Ledwo słyszalny głos odpowiedział: Proszę.

I tak znalazł się w środku, patrząc wprost w jej oczy pełne niedowierzania.

– Oline powiedziała, że jesteś chora, więc...

Nie odpowiedziała. Jej mroczne spojrzenie wymierzyło mu cios prosto w żołądek.

To doktor podszedł i usiadł na krawędzi jej łóżka. Położył jej dłoń na czole.

– Gorączki nie ma – stwierdził.

Wpatrywała się w niego pustym wzrokiem.

– Hanno... – rzekł, głaszcząc ją po policzku.

Wtedy schwyciła jego dłoń. Zamknęła ją w żelaznym uścisku.

– Wyjdź! – powiedziała ostrym głosem. – Tak, rozchorowałam się przez ciebie już wtedy, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, a ty

kładłeś się w trawie koło letniej obory razem z tą Else Marie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek ci to powiem. Ale teraz już wiesz. I kiedy przyjedzie twoja narzeczona z Kopenhagi, myśl sobie tak: A ona tam w Strandstedet jest chora.

A więc Hannie puściły nerwy. Z jego winy.

Nie mógł tego znieść. A jednak został i siedział.

– Hanno? – wyszeptał po chwili.

Nie odpowiedziała.

– Mógłbym równie dobrze powiedzieć, że ona nie jest moją narzeczoną, i to też byłaby prawda... Rozumiesz?

– Nie.

– W tym czasie, kiedy ją znałem, była nieosiągalna. Teraz napisała i chce przyjechać. Nie wiem, co z tego będzie ani czego sam chcę. Nie wiem nawet, czego ona chce. Rozumiesz?

– Nie!

– Chcesz coś na sen?

– Nie.

To było szaleństwo. Ale zrzucił z siebie kurtkę i skopał z nóg buty. Potem wślizgnął się do łóżka. Wsunął ramię pod jej głowę, czekając, kiedy zaatakuje go słowami. Nie zrobiła tego.

Ciało w cienkiej lnianej koszuli nocnej płonęło tuż przy nim. Odwrócił się w jej stronę i objął ją również drugim ramieniem.

– Pamiętasz, jak będąc dziećmi, sypialiśmy w jednym łóżku?

Nie odpowiedziała. Zamknęła tylko oczy i zwolniła twarde uścisk, w którym trzymała jego rękę. Wyswobodził się i delikatnie pogładził dwoma palcami wierzch jej dłoni.

– Nikt na całym świecie nie dał mi tyle, ile ty, Hanno. I do tego przyjechałaś przywitać mnie w Bergen. Że też po prostu tam stałaś. Że jesteś taka dobra dla Karny.

Nocne słońce wkroczyło do izby. Ostrożnie myszkowało wokół należącej do Hanny torby podróżnej stojącej w kącie. Potem dotarło na krawędź łóżka.

– Miałem zamiar powiedzieć ci o Annie. Ale odwlekałem to. Wydawało mi się, że nie ma to większego znaczenia. Poza tym przy ostatniej rozmowie byłaś taka zła.

Sam słyszał, jak beznadziejnie to brzmi.

– Wtrącałeś się w to, czy mam starającego się, a sam...

– To było głupie – odparł szybko, z ulgą.

Przyglądała mu się przez ledwo uchylone powieki.

– Nie jestem twoją własnością, chociaż dorastaliśmy razem.

– To prawda – zgodził się.

– Nie możesz mnie pilnować, żebym zawsze była pod ręką, a sam sprowadzać sobie tutaj narzeczoną z Kopenhagi, o której nikt wcześniej nie słyszał.

– Nie.

– Czego ty ode mnie chcesz, Beniaminie?

Wziął głęboki oddech, pozwalając czasowi płynąć. Nocne słońce dotarło do jej ramienia. Leżało uwite na pledzie niczym złote gniazdo.

– Mam wrażenie, że coś jest ze mną nie tak – zaczął. – Czuję się zagubiony. Kiedy myślę o tym, że miałbym spędzić resztę życia w Reinsnes, to... Tu jest tak ciasno. Zawsze trzeba wypływać w morze. A ja nie jestem żeglarzem. Boję się pływać samotnie w złą pogodę. Nigdy nie słyszałem, żeby Anders albo ktoś inny obawiał się wody. Krążę tutaj, marząc o innym życiu. Gdzieś daleko. Marzę o wielu innych głupstwach. Czy wiesz, Hanno, że pragnę zostać słynnym specjalistą? Czyż to nie idiotyczny pomysł?

– Nie.

Zajrzał w jej obnażoną twarz. I z wdzięczności za to, że przybyła mu na spotkanie, o mało tego nie powiedział: Chodź, wyjedziemy. Wyjedźmy, Hanno!

Ale nie wyrzekł tych słów. I pustka, jaką czuł z tego powodu, była nie do wytrzymania. A jednak leżał tam jak gdyby nigdy nic.

Zamiast tego ona się odezwała:

– Chodź!

Słowo to otuliło niczym pieszczota jego ucho, kiedy poczuł, jak oplatają go jej ramiona. Wszystko było nierzeczywiste. Rozpłynął się w tym. I cała reszta zniknęła.

Nawet jeśli doktor Grønelv na polecenie Oline dał Hannie tej nocy coś na sen, to nie wypędził z niej gorączki. Wręcz przeciwnie. Gorączki dostali oboje. Nie troszcząc się nawet o to, czy drzwi są zamknięte.

Przez jakiś czas spali spleceni niczym skręcona przędza. I za każdym razem, kiedy jedno odrobinę się poruszyło, drugie budziło się tylko po to, aby sobie przypomnieć:

Ona tu jest, obok!

Albo: Benjamin jest przy mnie i to nie sen.

Potem stał za własnymi drzwiami i niczego nie można już było odwrócić.

Odrzucił głowę do tyłu, starając się oddychać spokojnie i rozbierając się w tym czasie po raz drugi. Ciągłe jeszcze wypełniało go mdlące oszołomienie. Utkwiła w jego ciele. Jej zapachy go otaczały, przeniknęły jego własną skórę. Emanował Hanną. Stał tam, wdychając ją w siebie, jakby stanowiła dla niego życiodajne powietrze, a nie doznanie zostawione za zamkniętymi drzwiami.

Mózg chciał się włączyć. Ale on stawiał mu zdecydowany opór.

Wszystko było tak, jak powinno. Hanna zawsze stanowiła jego część.

Ale w najśmielszych przypuszczeniach nie sądził, że jest taka gorąca. Bliska i dzika. Oddała mu się z siłą równie wielką jak ta, z jaką od prawie czterech lat trzymała go na dystans.

Zmieniła się w zakazaną część jego samego. W tajemną zabawę, o której nikt nie mógł wiedzieć. To rozniecało w nim takie cholerne pragnienie. Mógł teraz krzyczeć, śpiewać, cokolwiek. Ale nie życzył sobie uwagi, jaką mógłby tym na siebie ściągnąć.

Zamiast tego zaczął wyczekiwać kolejnego razu. Oczekiwanie to nie miało sobie równych. Już czuł głód jej ciała, chociaż dopiero co został zaspokojony. Dodawał mu siły. Mógłby teraz bez chwili snu pójść prosto z powrotem do doktorskiej łódki.

Oline siedziała na swoim stołeczku, pilnując imbryka z kawą. Trzymała służące z dala od części mansardy przeznaczonej dla gospodarzy.

– Ma być cisza. Doktor jeździł na nocne wizyty do chorych, a Hanna też coś niedomaga.

Karna przyszła po cichutku ze swojej izby i dostała wielki obwarzanek. Potem pozwolono jej wdrapać się na blat kuchenny i obserwować, czy zielonoświątkowe wiedźmy^[2] przypadkiem nie przelecą nad dachem obory.

A kiedy Isak wpadł do oficyny i chciał iść do swojej matki, też dostał obwarzanek. W żadne wiedźmy nie wierzył. Ale i tak chciał posiedzieć razem z Karną na blacie w kuchni.

I Oline pozwoliła na to, chociaż był już dużym chłopcem.

Być może napytała sobie jakiejś biedy do rozliczenia z Najwyższym za swój udział w grzechu popełnionym na strychu. Ale zachowała to dla siebie.

W izbie w mansardzie Hanna wypakowywała wszystkie rzeczy schowane uprzednio do walizki Diny. Ustawiała je jedna po drugiej na swoje miejsca. Od czasu do czasu przekrzywiała głowę, z uśmiechem przyglądając się różnicy.

A kiedy myła się w chłodnej wodzie, którą polewała się z porcelanowego dzbana w niebieskie kwiatki, zaczęła pogwizdywać.

Nie był w stanie trzymać się z daleka. Głaskał jej ciało w każdej chwili, kiedy nikt ich nie widział. Zachowywał się nierozsądnie i miał z tego tyle radości.

– Chodź ze mną do letniej obory – poprosił, dmuchając jej w kark. Przez chwilę byli sami w jadalni, a ona nakrywała do stołu.

Uśmiechnęła się, udając, że nie wie, o co chodzi.

– Spotkaj się ze mną nad sadzawką dziś w nocy – rzekł, gdy zносиła wszystko ze stołu, a on jako jedyny jeszcze przy nim siedział.

Uśmiechnęła się bez odpowiedzi.

Po południu posłano po niego do mężczyzny, który mocno zranił się siekierą w stopę.

– Popłynij ze mną, Hanno – szepnął.

Potrząsnęła głową.

Ale kiedy w tym momencie wpadł Isak z pytaniem, czy zostaną w Reinsnes jeszcze trzy dni, usłyszał, jak mu odpowiada:

– Tak, jeszcze trzy.

Nie wyjedzie dalej niż do Strandstedet, pomyślał, narzucając na siebie kurtkę. Schwycił torbę lekarską i pobiegł do łodzi.

*

Płynął, aż woda tryskała spod wiosel. Widząc na dziobie rozłożone uda Hanny. Nie był w stanie myśleć o niczym innym niż

jej łono. Spienione jak morze.

Opadał na wielkich falach. Znów unosił się w górę. Wznosił się i opadał, ciągle od nowa. Żądza szalała w nim jak uwięziona łasica. Stanął w łodzi i płynął pod fale, aż zupełnie go przemoczyły. Przeszyły solą, chłodem. Zapanował nad tym. Zwyciężył.

Beniamin Grøneltv był dzisiaj niepokonany. Mógłby ścigać się z samym diabłem dokąd oczy poniosą. Pojedzie do Kristianii i im pokaże! Udowodni im, kto tutaj jest znachorem!

*

Wieczorem, kiedy wracał, wypatrzyła jego łódź na długo przedtem, zanim dopłynął do plaży. Siedziała nad wodą w mżącym deszczu.

Jasnoszary płaszcz, który sama uszyła, pociemniał od wilgoci.

Poczuł, jak otwierają mu się pory, jak przy spotkaniu z ciepłym wiatrem. Obrazy z dzieciństwa stanęły mu przed oczami. Hanna i on. Hanna, która się uderzyła. Płacząca u niego na kolanach. Hanna biegnąca po polach. Z dala od niego. Z warkoczami powiewającymi niczym puszczone luzem cugle.

Jej widok coś w nim poruszył. Coś kruchego. Poczuł pragnienie, aby ją chronić.

Włosy miała mokre, okalały teraz jej twarz i szyję ciemnymi pasmami, a ona nic sobie z tego nie robiła. Na nogach miała rybackie buty, które zupełnie nie pasowały do eleganckiego płaszcza.

Brodziła teraz między oślizgłymi od wodorostów kamieniami, żeby przyciągnąć jego łódkę.

– Nie zamocz sobie zanadto płaszcz – zawołał ostrzegawczo, wyskakując na ląd.

Nie odpowiedziała, tylko zdecydowanie schwyciła razem z nim

łódź. Wyciągnęli ją tak daleko, że aż przechyliła się na bok.

Wiedział, że może widzieć ich ktoś z domu, a jednak musiał ją objąć.

– Jesteś lekkomyślny – stwierdziła spokojnie.

– Co masz na myśli?

– Ludzie widzą.

– Niech widzą.

Wtedy przytuliła się mocno do niego.

– Musiałeś szyc?

– Tak, rana wyglądała paskudnie. Ale wylize się z tego. Jestem dobry w szyciu.

– Oboje szyjemy.

– Tak, faktycznie, to prawda!

Mimo woli roześmiali się oboje. Tyle było śmiechu na świecie. Radośnie musowały ich myśli.

*

Kiedy szli w górę alei pod ociekającymi wodą koronami drzew, opowiadała mu, że dla okolicznych ludzi samo wymawianie nazwiska doktora Grønelva lub po prostu słowa „doktor” oznaczało coś szczególnego. Bardzo często słyszała to w Strandstedet. Był w tym szacunek, takie miała wrażenie.

Kilkoma drobnymi słowami, przez czas, który zajęło im dojście do domu, przemieniła jego umiejętności w szlachetne cechy.

Bez wielkiego szumu, bez mówienia tego wprost, jego posługa uzyskała nagle większe znaczenie.

Bo czyż doktor Grønelv nie przybywał samotnie łodzią w każdą pogodę? Czyż nie dźwigał ciężkiej doktorskiej torby na ląd, żeby każdemu pomóc? Bogatemu i biednemu. Wyleczyć to, co potrafił. Zszyć. Nawet ziejącą rozpadlinę po uderzeniu siekierą.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Ale nie zaprzeczył.

I wtedy, nie wiedząc, skąd przyszło mu to do głowy, pomyślał sobie: Tego Anna nigdy by nie powiedziała.

Począł, aż wszyscy się położyli. Poszedł jeszcze do wychodka, żeby mieć alibi na wypadek, gdyby ktoś go usłyszał. A potem wślizgnął się do niej.

Radość! To płonące ciało. Musiał je mieć. Chyba miał prawo do odrobiny życia.

A ona? Widział przecież, że nie tylko on korzysta na szczęściu Hanny.

Później, już we własnej izbie, w wielkim lustrze między oknami zobaczył obcego. Ale tylko przez mgnienie oka.

Przyszłość? Zastanowi się nad nią po Zielonych Świątkach.

*

Bliźniaki ułożone poprzecznie! Nie było to aż tak przerażające, zważywszy że pogoda pozwoliła młodemu doktorowi dojechać z pomocą. Był niezrównany! Wypił później z kobietami kawę ze spirytusem i z cukrem jak, nie przymierzając, kolejna położna.

Kiedy inni mężczyźni uciekli z gospodarstwa do czasu, aż wszystko się skończy, doktor pozostał na posterunku. Trzymał za rękę, zagadywał między skurczami i chwalił za dzielność w najgorszych chwilach.

Żona szewca Persena opowiadała szczegółowo o tym, jak jej siostra, Else Marie, rodziła bliźniaki. Stała w pracowni krawieckiej u Hanny i przymierała suknię, w której miała jechać do Tromsø na uroczystość z okazji siedemdziesiątych urodzin.

– Znałyście się przecież z Else Marie w dawnych czasach, prawda?

Hanna przytaknęła. A ta druga paplała dalej. Słyszała, że

kobiety udawały gorsze bóle, niż miały naprawdę, tylko po to, żeby posłano po doktora. Ale nie Else Marie! Gra toczyła się o jej życie.

Stara położna nie życzyła sobie chłopca do pomocy, ale w końcu zmuszona była po niego posłać. Pani Persen powiedziała jej:

– Jeśli ona umrze bez pomocy młodego doktora, to będzie twoja wina.

Wszystko tylko dlatego, że dzieciak, który miał przyjść na świat pierwszy, uznał za stosowne odwrócić się do tego padołu plecami.

Bogu dzięki, że doktor był już w Strandstedet. Przybiegł w samej tylko koszuli. Trzymał cierpiącą za rękę. Dokładnie wypytywał o wszystko. Kiwał głową i pocieszał, że to tylko kwestia czasu, że zaraz będzie po wszystkim.

Między tymi informacjami pani Persen rozprawiała o plisach w spódnicy. Miały być grube, solidne. Tak, aby opadały w dół bioder. O, w ten sposób!

A zatem doktor poszedł od razu do miski, żeby umyć ręce i przygotować instrumenty, zupełnie jakby miał zamiar wyjąć dzieciaka przez cięcie. Zbadał i z przodu, i z tyłu. Brzuch. Zmierzył dłońmi i zajrzał w okolice niewymowne, zupełnie tak, jakby zaglądał do pieca, a mówił tak spokojnie, jakby chodziło o wyjęcie z tego pieca dwóch bochenków świątecznego chleba.

Położna była zdania, że to niedopuszczalne, żeby doktor nie miał trochę więcej szacunku dla półnagiej kobiety. Chciała przykryć Else Marie i pozbyć się doktora jak najszybciej. Miał tylko powiedzieć, co mam robić, stwierdziła położna, i sama bym się tym zajęła.

– I cóż takiego on na to odpowiedział? – wykrzyknęła pani Persen spomiędzy draperii na staniku sukni.

Muszę sam wyjąć pierwsze dziecko, odpowiedział jej doktor, i zanim położna zdążyła się zorientować, już znalazł się między

kolanami Else Marie. A Else Marie wiła się i jęczała.

Pójdzie szybko. Bądź teraz dzielna!, tak powiedział, dając jej łyk wódki ze swojej piersiówki. Była bardzo błyszcząca. Może z czystego srebra?

Nie, niech Hanna zbierze trochę pod biustem. O, tak!

I Hanna zrobiła, o co ją proszono.

– I wtedy, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, rozszerzył, co trzeba, i wyjął pierwsze dziecko. Wyciągnął je za stopy jak jakiegoś cielaka. No ja to prawie wtedy zemdlałam. Ale doktor stanął na wysokości zadania. Trzymał dzieciaka tak pewnie, jak gdyby robił to w każdy Boży dzień. W okamgnieniu oba były wyjęte. Oczywiście dużo krwi się lało, ale nie więcej, niż można się spodziewać. Potem zszył ją tak dobrze, jakbyś to ty zrobiła, Hanno. I cały czas ją chwalił, jaka jest dzielna. I że pamięta, jak bardzo lubiła poziomki, kiedy jeszcze przyjeżdżała ze swoją matką do Reinsnes. I że potrzebuje teraz dużej szklanki rumu i porządnego jedzenia. Dużego posiłku! Nie pozostało mi nic innego, jak wziąć się do nakrywania do stołu. Siedzieli tam oboje i jedli, jakby to wszystko było ich wspólnym dziełem. Czy wyobrażałaś sobie kiedykolwiek...?

– Ależ nie, tutaj trzeba jeszcze trochę zebrać. O, tutaj! – rzekła, wciągając oddech i przytrzymując suknię w pasie.

Opowiadała dalej o Else Marie, która w czasie, gdy doktor szył, krzyknęła ze dwa razy. I jak Hanna sądzi, co doktor wtedy zrobił? Niech sobie wyobrazi, że przerwał na chwilę i przeprosił! Czy Hanna słyszała o czymś takim? Żeby jakikolwiek mężczyzna tak postępował?

Najbardziej nieprawdopodobne było jednak zakończenie. Bo kiedy już wszystko zostało zrobione, a on znów stał pochylony nad

miską, łzy leciały mu strumieniami po policzkach. Niezwykłe. Patrzyli na niego z nabożnym szacunkiem.

Stara położna powiedziała, że doktor ma dobrą rękę. Jeśli tylko trochę wydorosłeje i nabierze większego respektu dla nagości, to naprawdę będzie sobie nieźle radził. Ha, ha! Co za durna baba!

Ale Else Marie, która była pewna, że umrze, nie mogła pozwolić odejść doktorowi bez uściśnięcia mu dłoni.

*

Hanna rzadko mieszała się do opowieści pań podczas przymierzania kreacji. Teraz też tego nie robiła. Była świadkiem reszty tej historii, ale nie wspomniała o tym.

Bo kiedy Beniamin wrócił do domu, podszedł prosto do zdjęcia matki Karny. Nawet nie zdjął płaszcza. Stał tam, opierając się o komodę obiema dłońmi, i mamrotał coś, czego nie była w stanie usłyszeć.

Chciała zapytać, jaką miał podróż. Czy jest głodny.

Wtedy ukrył głowę w ramionach. Jego plecy wydawały się dziwnie delikatne. Drżały.

Po prostu stanęła blisko niego w drzwiach. Nic nie mówiąc.

[2] W niektórych rejonach Skandynawii wierzono, że w Zielone Świątki zaczynają działać magiczne moce.

Rozdział ósmym

Wiedzieli, którego dnia ma przybyć.

Sara zaciągnęła Karnę na wzgórze z masztem, skąd obserwowały zatokę. Służące co chwilę przerywały pracę i podbiegały do okien, a Oline zupełnie nie miała czasu, by pozwolić Beniaminowi zmienić sobie opatrunek na stopie. Ale gdy wybąkał coś na temat możliwego smrodu, poddała się.

Kiedy kończył owijać nogę w czyste ściereczki, parowiec zagwizdał w cieśninie.

Zmusił się, żeby skończyć, tak jakby to był całkiem zwykły dzień, w którym przybywał najzwyklejszy na świecie statek.

Oline westchnęła niespokojnie, usiłując go odgonić. Rozległy się szybkie kroki i zduszone okrzyki. Parowiec wyłonił się zza szkieł!

– Ruszaj! – pisnęła Oline, popychając go stopą.

Wstał i przez chwilę wpatrywał się w drzwi prowadzące z sieni na dwór, a potem długimi krokami przemierzył kuchnię i wyszedł.

W chwili, gdy razem z Tomaszem wsiadał do łódki bosmańskiej, poczuł śmieszne walenie serca.

Rozpoznał postać stojącą przy relingu, nie do końca w to wierząc. Dopiero dużo później zarejestrował, że nigdzie nie było Sophie.

Po rozwiązaniu wszystkich możliwych problemów trap został w końcu spuszczonej. Schwycił go obydwoma rękoma i wdrapał się do połowy, żeby ją odebrać.

Schodząc w dół, próbowała dystyngowanie owinać się spódnicą. Przez chwilę jej rąbek musnął go po twarzy. Wyciągnął rękę i pochwycił jej dłoń. Zeszła ku niemu, zwrócona plecami.

Dopiero stojąc w łódce, wyłoniła się z mirażu i nabrała realnych kształtów. Ostre światło słońca, odbijające je drobne fale, albo też jeszcze coś innego powodowało, że zdawała mu się postacią bez twarzy.

Usiadł, nie puszczając jej rąk. Chciał, aby również usiadła, ale nie przyszło mu do głowy, żeby to powiedzieć.

Same oczy. Dwa otwory w niebie nad jego głową.

Ludzie stali dookoła, przyglądając się im. Do diabła, jakże natarczywie! Poczuł, jak zalewa go rumieniec i czyni z niego największego głupka na całej północy.

Ale świat wokół niego składał się z błękitu i srebra.

I kiedy z własnej inicjatywy usiadła na środku ławki i znalazła się naprzeciwko niego, pomyślał sobie: A Hanna tam w Strandstedet jest chora.

Bo w chwili, gdy napotkał spojrzenie Anny, cała jego egzystencja spłonęła w mgnieniu oka. Jak kiedykolwiek mógł uważać, że Anna to tylko korespondencja krążąca pomiędzy nim a Kopenhagą.

– Witaj w Reinsnes, Anno!

Ćwiczył to. Sądził, że wypowie te słowa tak łatwo, jak zapalał fajkę. Ale się mylił.

Kiedy Tomasz pomógł już majtkowi spuścić na dół dwa kufry, on

ciągle jeszcze nie był w stanie powiedzieć niczego więcej.

– Uważasz, że tak strasznie się zmieniłam – powiedziała ze śmiechem.

– Ależ nie, dlaczego?

– Tak się wpatrujesz.

Ze śmiertelną powagą wstał i pomachał czapką nad głową. Potem usiadł z takim impetem, że cała łódka się zakołysała. Żeby już w następnej chwili wstać i ponownie ściągnąć czapkę z głowy.

Anna trzymała się ławki obiema rękoma, patrząc na niego z lekką niepewnością.

I kiedy on walczył o utrzymanie równowagi w bujającej się łodzi, wpatrując się równocześnie w jej oczy, wymawiał przychodzące mu do głowy wersety z Pieśni nad Pieśniami. Słowa płynęły ponad cieśniną.

– „Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy. [...] «Kimże jest ta, która świeci z wysoka jak zorza, piękna jak księżyc, jaśniejąca jak słońce, groźna jak zbrojne oddziały?»»^[3].

Tomasz przestał wiosłować. Łódka teraz dryfowała, a wiosła ociekały wodą.

Anna siedziała, patrząc na swoje buty. Ale kiedy skończył, wyprostowała się i zaklaskała. I zaraz dostroiła się do jego tonu wierszem Oehlenschlägera.

Wśród cieni błędzimy
wśród zielonych traw,
tam kwiat już widzimy,
kwiecie, ty nas zbaw.
Płateczki złociste
tak jasne i czyste,

łodyżki zielone,
przez źdźbła traw chronione.^[4]

Jej głos był czysty i zwycięski. Jakby śpiewała hymn pochwalny.
Rozpoznał tekst z tamtego wieczoru, kiedy obchodzili noc
świętojańską na wzgórzu Dyrehavsbakken.

Na koniec zaintonowała strofę z *Rejsu przez Øresund*, zamiast
„Øresund” śpiewając „północ”, a zamiast „spowitym mrokiem” –
„wiecznie jasnym”:

Zbierajcie się w drogę, wy, którzy pragniecie,
Parowiec już czeka, więc może ruszycie
Wraz z nami w rejs po najpiękniejszym w świecie
Wspaniałym północy wiecznie jasnym błękicie.

Wychyleni przez reling ludzie słuchali. Dopiero kiedy skończyła,
parowiec zagwizdał, sygnalizując odjazd.

Kilku pasażerów posłało im ponad lekko zmarszczoną
powierzchnią morza słowa pozdrowienia i koła ruszyły do pracy.

„Praesident Christie” skierował się na północ.

Pozostały do przepłynięcia kawałek drogi do lądu wykorzystał na
spokojne oddychanie i planowanie, jak suchą nogą sprowadzić ją na
brzeg. Co ona takiego powiedziała? Że się wpatruje? To było
beznadziejne z jego strony.

*

Napreżył mięśnie ramion i schwycił ją mocno poniżej bioder.
Potem przeniósł ją na ląd. Trzymał ją przytuloną blisko i myślał
triumfująco: Mogę sobie na to pozwolić! Nie jesteśmy
w Kopenhadze. U nas chwyta się panie mocno przy wynoszeniu ich

z łodzi.

Trzymał najdłużej, jak się dało, biorąc pod uwagę te wszystkie wpatrzone oczy. Jego oddech powiedział, że było to trochę zbyt długo.

Dopiero kiedy postawił ją na ziemi, odważył się poczuć, jak to było. Rozkoszować się zapachem. Czuć dotyk aksamitnego zakietu i ciepło ud przenikające przez spódnice.

*

Anna ukucnęła przed dziewczynką, ujmując ją za rękę.

– A więc to ty jesteś Karna?

Karna skinęła głową, jednocześnie uważnie przyglądając się obcej. Potem zrobiła się nagle bardzo zajęta. Biegała pomiędzy ludźmi, wskazując ich kolejno i podając imiona.

– Sara, Ole, Tomasz, Anders. Oline i Bergljot są w kuchni, Stine w oficynie, a Isak w Strandstedet. I Hanna...

Kiedy wymówiła imię Hanny, przerwała, podbiegła do Beniamina i przytuliła się do jego uda.

Ale kiedy szli wszyscy w kierunku domu, ponownie wzięła Annę za rękę i uważnie przyglądała się jej pierścionkowi i bransoletce.

*

Oline była zdania, że należy wyprawić porządne przyjęcie. Ale on nie chciał zapraszać żadnych innych gości. Tylko Andersa, oczywiście.

Niemniej Oline miała trudności w zarządzaniu wszystkim ze swojego stołeczka, więc Stine przyszła jej pomóc. Dwie dziewczyny obsługiwały trzy osoby! Choć tyle się należało.

Najpierw podano zupę z trybuli. Nazbierała jej Stine tego samego dnia o świcie, opłukała starannie i drobno posiekała. Gotowała ją

przez pół godziny w porządnym wywarze mięsny z dodatkiem kawałka imbiru, potem zaprawiła dziesięcioma żółtkami i śmietaną. Podała z jajkami w koszulce i posiekanym imbirem.

Następnie wjechał na stół łosoś z pieca. Dokładnie umyty, wysuszony, oprószony delikatnie mąką, tłuczonym pieprzem, gałką muszkatołową i drobno pokrojoną cebulką, do tego cztery filety z sardeli, sól i masło. Na koniec skropiony białym winem, wodą i sokiem cytryny i w tym stanie wstawiony do pieca. Podany z dużymi, gotowanymi ziemniakami, co prawda zeszłorocznymi, oraz domowymi, własnoręcznie wypiekanymi cienkimi plackami i kwaśną śmietaną.

Na deser były moroszki z bitą śmietaną i kruchymi wafelkami.

Winem nie mógłby pogardzić nawet mieszkańiec Kopenhagi. Białe i czerwone wina z Bordeaux, Haut Sauterne, Pondensac oraz portwajn w cenie jednego talara za butelkę.

Wszystko ze sklepu delikatesowego Olego M. Gundersena, który szybko wysyłał zamówienia poza miasto.

Rachunek końcowy zaległ ciężarem na piersi Andersa. Ale cóż było robić?

Oline przygotowała cały posiłek do podania na stół, stopa ją bolała, a cała twarz ociekała potem od ciepła i wysiłku.

Niczym wszechwładna Katarzyna Wielka królowała na swoim stołeczku na kółkach, biorąc w posiadanie ten kawałek świata, nad którym zapanowanie wydawało jej się możliwe.

Pozwoliła zawieźć się do izby i pomóc sobie w zdjęciu fartucha i butów. Potem na chwilę opadła na łóżko z czterema dużymi poduszkami podłożonymi pod plecy i z kieliszkiem madery na stoliku.

Jeść nie chciała. Wystarczyło jej, że musiała wszystkiego

spróbować.

– Nie da się mieć jedzenia równocześnie w myślach i w brzuchu – stwierdziła.

*

Spódnica opinała biodra. Już unosił dłonie, żeby za nie schwycić. Ale szybko schował je do kieszeni.

Anna zeszła po trapie spowita niebiańskim błękitem. Unosiła się, falując w powietrzu. Jak wróżka. Leciutko. Niewyraźnie mignęła mu powiewająca wstążka, którą jej włosy zebrane były na karku. Żadnych ozdób ani bransolet. Starał się skupić na jej twarzy. Ale ciągle mu umykała.

To było takie nierzeczywiste. Wyjął ręce z kieszeni. Chyba mógł jej dotknąć? A gdyby potknęła się teraz i upadła? Mógłby wtedy rzucić się i ją złapać.

Och, nie. Nie mógł przecież być pewien, czy zdąży na czas, czy dość szybko pochwyci ją w ramiona i uchroni przed złamaniem sobie kości.

Stał zatem, nie czyniąc więcej żadnego ruchu.

Przypomniał sobie teraz, że w Kopenhadze również otaczała ją swego rodzaju obronna bariera, zdająca się mówić: „Nie pozwalaj sobie! Nie flirtuj z tobą”.

*

Kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, z Andersem u szczytu stołu, zauważył, że na przedramieniu ma znamię. To było coś nowego.

Odkrywał Annę na nowo. Znamię uwidocznilo się na jej skórze, żeby sprawić mu radość! Nie spuszczał z niego wzroku. Jakby się bał, że zniknie.

Anders jak na siebie był naprawdę wylewny. Anna już przy zakupie

dwukrotnie roześmiała się z czegoś, co powiedział. Za pierwszym razem Anders wysunął podbródek i odwzajemnił uśmiech.

Beniamin wiele rozmyślał nad tym, jak to zrobić, żeby mieć Annę jak najwięcej dla siebie. Teraz uświadomił sobie z zakłopotaniem, że gdyby nie obecność Andersa, to z Anną nie miałyby kto konwersować.

Wszelkie dobre wychowanie, cała jego elokwencja, wszystko wyparowało. Nie był w stanie znaleźć ani jednego tematu do rozmowy. Nawet jednego pytania.

Znamię. Dzięki niemu jego spojrzenie było w miarę stabilne i mógł skupić się na podawaniu soli i pieprzu.

Anders wspomniał, że za kilka dni jedzie do Bergen. Zaprosił Annę do przyścia na pokład klipra, zanim wyruszy. Miał jechać do Strandstedet po załadunek, może miała ochotę na wycieczkę? Na nowym żaglowcu kobieca stopa gościła znacznie rzadziej niż na kliprze „Matka Karen”, ale chyba udałoby się dopłynąć do celu bez katastrofy.

– Czy istnieje dużo przesądów na temat łodzi i kobiet? – zapytała.

– Nie nazywałbym przesadami wszystkiego, czego nie da się wyjaśnić – odparł lekko Anders.

– Twoja matka też dużo mówiła o podróżach statkiem, pamiętasz, Beniaminie?

– Dina, no cóż... – zaczął i zaraz przerwał. Chyba za sprawą wyrazu twarzy Andersa. Jego wargi i spojrzenie jakby rozmyły się w przestrzeni. Mężczyzna pochylił się powoli, wygrzebał swój zegarek kieszonkowy i spojrział na niego. A oni w tym czasie siedzieli i jedli.

Zapadła cisza. Anna zauważyła, że coś jest nie tak.

– Smakowało wspaniale! – stwierdziła, próbując pochwycić wzrok Beniamina.

– Znamię! – wypalił.

Spojrzała w dół, na swoje ciało.

– Masz takie... znamię na przedramieniu! – zawołał niemal triumfująco. Odłożył sztućce, pochylił się w jej stronę, kładąc na znamieniu palec wskazujący. Z taką powagą, jakby właśnie miał postawić rzadką diagnozę.

Anna spojrzała na niego z zakłopotaniem.

Wtedy mu się udało. Zobaczyć ją całą. Stała się nagle wyraźna, tam przy stole.

Wciągnął powietrze i wypuścił je powoli przez nozdrza. Potem wziął jeszcze głębszy oddech, trzymając cały czas palec wskazujący na niewielkim, brązowym wzniesieniu.

Anders ostrożnie zabrał się ponownie do jedzenia. Kiedy przełknął, rzekł:

– Kuchnia Oline jest najlepsza w całej okolicy!

Nikt nie odpowiedział.

Anna nie poruszyła ramieniem. Delikatny rumieniec oblał jej szyję i policzki.

Pochylił się jeszcze niżej. Wstał zgięty w pasie i wyciągnął się ponad stołem w jej stronę. Wziął jej rękę i uważnie przyglądał się znamieniu.

– A więc pisane mi było zobaczyć je ponownie – wymamrotał, puszczając jej ramię.

Tego wieczoru Anders położył się wcześniej do łóżka.

Fortepian Diny stał w jadalni. Anna zsunęła z niego pokrowiec.

– Cóż za piękny instrument!

Zagrała kilka akordów, ale zmarszczyła nosek.

– Jest okropnie rozstrojony.
– Tak, z pewnością – odparł z zawstydzeniem.
– Czy nikt z niego nie korzysta?
– Jutro poślę po stroiciela. Powinienem być o tym pomyśleć przed twoim przyjazdem.

Trzymał ręce w kieszeniach i mówił bardzo szybko.

Przykryła instrument z powrotem.

– Czy tylko twoja matka na nim grała?
– Zdaje się, że Sara też zaczęła – wymamrotał.
– Sara?
– Córka Tomasza i Stine.

Skinęła głową. Z każdym z nich przywitała się zdawkowo zaraz po przyjeździe. Ale było ich tak wielu. Nie była w stanie spamiętać wszystkich imion. Nie miała pewności, kto jest służbą, a kto krewnym.

Przy obiedzie zdawała już sobie sprawę, że tylko Anders jest bliską rodziną. Oraz mała Karna.

– Czy kiedy zacznę grać, poruszy to jakieś wspomnienia?
– W jakim sensie?
– O twojej matce?
– Tyle już czasu minęło.

Słyszał sam, że to chyba zabrzmiało z lekka buńczucznie.

– Być może Karna mogłaby się uczyć? – zapytała.
– Jest jeszcze tak mała.
– Im wcześniej, tym lepiej.
– Może potrafisz ją skłonić?
– Jeśli zechce. To mogłoby być zabawne.

Chciał dolać do jej kieliszka. Uśmiechnął się pytająco. Ale potrząsnęła głową.

– Czy możemy się przejść przed pójściem spać? – zapytał. – Jest tak jasno. Trudno uwierzyć, że to taka późna pora.

Poszli przez ogród i po drodze minęli altanę.

– Jak tu romantycznie! – zawołała, zaglądając do środka.

– Dina miała zwyczaj siadywać tutaj nocami i pić wino, kiedy nie mogła zasnąć. Nie było w tym nic szczególnie romantycznego... kiedy ją znajdowałem. Z pustą butelką i na wpół wypalonym cygarem.

Powiedział to nieco bardziej ponuro, niż zamierzał.

– Najwyraźniej nie miała się dobrze?

Zrobił się czujny. Ale zebrał się w sobie i odrzekł wesoło:

– Reinsnes nie jest miejscem dla kobiet takich, jak Dina. Albo ty?

Szła jakieś dwa kroki przed nim i w tym momencie odwróciła się.

– Czy to miało być ostrzeżenie?

– Może?

Stała teraz przed nim. Drobny, biały piasek chrzęścił lekko, gdy poruszała stopami.

– Ja w każdym razie właśnie tu przyjechałam.

Mógł powiedzieć to od razu. Nadarzyła się przecież okazja. Czy bierze pod uwagę, żeby tu zostać? Albo: Że ma jej mało do zaoferowania. Bo tu, we własnym domu na północy, jest zaledwie znachorem.

Jej twarz tuż przy jego twarzy. Bezbronna.

Nie był w stanie wykrztusić słowa. Nie miał odwagi jej dotknąć. Mógł ją niechcący odstraszyć. Czuł się jak góra zsyłająca lawinę kamieni na coś kruchego, stojącego na ścieżce w ogrodzie.

– Co tak naprawdę próbujesz mi powiedzieć, Beniaminie?

Jakim cudem jest w stanie zachować taki spokój? – pomyślał, przełykając ślinę. Potem utkwiał wzrok w bezpiecznym miejscu na

jej nosie.

– Że cieszę się z twojego wrażenia, iż jest tutaj romantycznie.

– Nie przyjechałam przecież tylko po to, żeby zobaczyć odległą północ.

– Nie po to?

– Stało się to za sprawą twoich pięknych listów. Uważasz, że to niewłaściwe?

– Nie, odważne.

– Dlaczego?

– Jestem przecież dzikusem spod bieguna północnego.

– Który cytuje Pieśń nad Pieśniami – uśmiechnęła się.

Zrobili kilka kolejnych kroków, kiedy odwróciła się ponownie w jego stronę.

– Dlaczego do mnie napisałeś, Beniaminie?

Pomyślał szybko: Jestem zmuszony jej to powiedzieć. Że nie mam prawa wykonywania zawodu lekarza. Ale nie teraz!

– Nie byłem w stanie pogodzić się z całkowitą utratą ciebie. Chciałem znać przynajmniej niektóre z twoich myśli. Listy można czytać wiele razy. To nie ma końca... ile razy można odczytać jeden, jedyny list. Pomyślałem sobie tak: jeśli ona wyjdzie za męża, będzie miała mnóstwo dzieci i tak dalej, to przynajmniej będzie mogła przysyłać mi od czasu do czasu listy bez niepokojenia tym swojego męża. Bo jestem niegroźnym przyjacielem z daleka. Kimś z lat młodości. A lata mogą sobie płynąć, pomyślałem, bo przecież będę miał listy. A te myśli, którymi nie będzie miała odwagi podzielić się ze mną, bo nie będzie chciała nikogo zranić, te myśli odczytam i tak między wierszami. A tego, za czym tęsknię, nikt mi nie odbierze.

Zamilkł gwałtownie. Bo zobaczył, jak się od niego odwraca.

*

Zszedł z nią aż do przystani. Patrzyli na mewy i edredony Stine. Pisklęta już się wykluły, a matki próbowały wprowadzić je do wody.

– Wszystko jest tutaj jak w bajce! – zawołała, biorąc głęboki oddech.

Zrobiło mu się od tego ciepło.

– A czego się spodziewałaś?

– Och, nie wiem. Zimna... Pomyśleć, że słońce świeci, a zaraz będzie północ. Wiedziałam o tym, oczywiście. Ale przeżyć to samej – to coś zupełnie innego.

Chciał jej pokazać, jak słońce zawraca nad horyzontem. Ze wzgórze z masztem. Robił to tak gorączkowo, że nie mogła za nim nadążyć.

Potem stał na środku łąki pełnej czerwcowych kwiatów, czekając na nią. Nadeszła pod światło, otoczona całą tą czerwienią i fioletem. Blask tak mocno przenikał przez cienką suknię, że wydawała się naga.

Bóg oprawił Annę w złoto i zapalił płomień w jej włosach. A on pomyślał sobie, że gdyby mimo wszystko miał umrzeć, najchętniej zrobiłby to teraz, kiedy tak szła ku niemu.

Potem siedzieli na ławce, nic nie mówiąc. Tarcza słońca zanurkowała w morzu. Horyzont się rozmył. Granice przestały istnieć.

W miarę, jak słońce zawracało, stawała się coraz bardziej przezroczysta. Mógł ją przejrzeć na wylot. Jak pod mikroskopem. Puszek na górnej wardze. Delikatne żyłki na powiekach. Puls bijący w zagłębieniu szyi. Delikatny obłoczek pary tworzył wokół niej rodzaj aury.

Być może nie była do końca rzeczywista? Dotknął jej ostrożnie

czubkami palców. Znamienia na ręce odkrytej szalem.

Z westchnieniem oparła się o niego całym ciężarem.

Wtedy ją pocałował. Ale tylko tak, jak zrobiliby to dżentelmen. A nie tak, jak pragnął. A ponieważ nie mógł przestać myśleć, nie było w tym rozkoszy. Może dla niej też nie?

W tym wszystkim przypomniał sobie ostatni raz, kiedy ją całował.

Czy też to pamiętała?

Jasne, że mógł ją zapytać. Ale to byłoby zaproszenie do rozmowy o przyszłości. A wtedy musiałby jej powiedzieć, jak niewiele ma do zaoferowania.

Poszedł z nią spacerem z powrotem do domu i stojąc już przed drzwiami sali sypialnej, powiedział dobranoc. Nawet zapytał, czy niczego jej nie brakuje.

Ale gdy tylko zamknęły się między nimi drzwi, zaczęło się. Myśl o tym, że przebywa pięć, sześć metrów od niego. Po drugiej stronie korytarza. W jego łóżku.

Sen oddalił się bezpowrotnie. W głowie kołatała tylko jedna myśl: Nie może tam wejść.

A jednak wyszedł na korytarz chwiejnym krokiem. Podszedł do drzwi i ponownie wrócił pod swoje. Wpadł na pomysł, że mógłby zacząć otwierać szafy z bielizną, wtedy go usłyszy, podejdzie do drzwi i zaprosi do środka.

Musi przecież tak zrobić. Na co czekała?

Ponownie zakradł się pod same jej drzwi. Zawrócił wzdłuż schodów. Przystanął. Nadśłuchiwał. O tym, że słyszy go również Anders lub pozostali, zupełnie nie myślał.

W ostatniej chwili ruszył szukać ratunku na zewnątrz. Przeszedł przez podwórze. Zbiegł w stronę spichrzów. Skończył na starej sofie

w kantorku składziku, nakryty końską derką.

Obudził się od słońca grzejącego prosto w twarz i z powodu muchy, która uznała, że nadaje się na posiłek.

Zesztywniały i wymęczony wyciągnął się, klnąc w duchu, że jest takim kompletnym tchórzem.

*

Anna zeszła na śniadanie, oświadczając, że spała w cudownym łóżku w najprzyjemniejszym pokoju, w jakim kiedykolwiek mieszkała.

Uśmiechnął się słabo i podziękował. Byli sami. Anders i Karna zjedli o świcie w kuchni.

– Anno, za twoją sprawą czuję się całkowicie bezradny – stwierdził, ukrywając twarz w dłoniach.

– Co masz na myśli?

Otworzył usta, żeby wyjaśnić. Ale zamknął je ponownie. Przyszło mu do głowy, że ludzie z otwartymi ustami wyglądają jak ryby.

– Dlaczego to mówisz? – wyszeptała.

Odłożył sztucce i starannie złożył serwetkę, tak jakby było już po posiłku, a potem zaczął.

– Tęskniłem. Tak się bałem, co sobie pomyślisz... myślałem... zaplanowałem szczegółowo, co chciałbym ci powiedzieć. Jak będzie pięknie. Że poczujesz się jak w domu. A teraz nawet nie potrafię prowadzić rozmowy. Nawet spać w tym samym domu bez...

Anna również złożyła serwetkę. Umieściła ją starannie w srebrnym kółku z monogramem Jakuba Grønelva.

– Chcesz, żebym wyjechała?

Zerwał się i obiegłszy stół, znalazł się przy niej, a potem przyklęknął.

– Beniaminie, proszę cię – uśmiechnęła się do niego z góry.

W tym momencie do pokoju weszła Karna. Stała teraz w drzwiach, wpatrując się w swojego ojca klęczącego na podłodze i w obcą panią przy stole. Potem powiedziała tonem Oline:

– Tatusiu! Trzeba siedzieć przy stole, dopóki wszyscy nie skończą!

Beniamin podniósł się i rozłożył ramiona.

– Masz rację, moja droga! Dzień dobry!

Cała trójka wymieniła poranne słowa powitania i wszystko z pozoru wróciło do normy.

Karna przyciągnęła sobie krzesło do ojca i wspięła się na nie. Mała twarzyczka ledwie wystawała ponad kant stołu. Brunatne i niebieskie oko stwarzały wrażenie, jakby zezowała. Spojrzenie miała bezpośrednie, a dwa grube warkoczyki tańczyły wokół głowy. Ale włosy nie chciały trzymać się w ułożonej fryzurze. Tu i ówdzie wystawał jakiś loczek.

Tuż po urodzeniu jej włosy miały ciemny kolor, taki jak włosy jej ojca. Ale kiedy przybyła do Reinsnes, była łyśa jak stary człowiek. To, co odrosło, było jasne jak u matki, której nie znała. Potem pociemniało i włosy nabrały koloru miedzi. Zupełnie jakby chciała uwzględnić wszystkich, od których pochodziła.

– Oline powiedziała, że dostanę trochę miodowego ciasta – rzekła.

Beniamin podał jej kawałek.

Małe paluszki odłamywały kawałeczki ciasta. Wkładała je w zamyśleniu do ust, przyglądając się im po kolei.

– Ile masz teraz lat, Karno? – zapytała Anna ostrożnie.

– Cztery!

– To wkrótce już zaczniesz uczyć się liter i cyfr?

Karna patrzyła na Annę wielkimi oczami, żując ciasto.

– Długo tu zostaniesz? – zapytała.

Anna rzuciła Beniaminowi szybkie spojrzenie.

– Jakiś czas.

– Potrzebujesz dużo lekarstwa?

– Nie, lekarstwa nie – odparła Anna z szerokim uśmiechem.

– Jesteś zdrowa? Ona jest zdrowa – oświadczyła Karna i trąciła Beniamina w ramię. – Czy mogę dostać jeszcze kawałek?

– Nie – odpowiedział, ale nie był w stanie ukryć uśmiechu.

Karna zrozumiała to i przekrzywiła główkę.

– Tylko jeden?

– Po obiedzie.

– Nie, teraz!

– Karno! Oline mówiła, że nie.

Drobne usta zmieniły się w zaciśniętą kreskę, ale więcej już nie zapytała. Po chwili zsunęła się z krzesła i wyszła.

Kiedy zniknęła, Anna rzekła:

– To niezwykle dziecko!

Przesunął parę razy ręką po włosach.

– Dziwnie widzieć cię w tej roli... jako ojca. To do ciebie tak dziwnie niepodobne. Mam na myśli... w Kopenhadze byłeś zupełnie inny.

– Zmiana na lepsze? – usiłował być zadziorny.

– Mam nadzieję – odparła z przekorą.

W chwili, gdy nachyliła się w jego stronę, dostrzegł niewyraźnie zarys jej małych, twardych piersi. I kark. Kiedy lekko odwróciła głowę. Włosy miała uniesione i zebrane w ciężki węzeł, odsłaniający ich linię przy skórze.

Ogarnęło go szaleństwo. Jak kiedyś w pokoju Aksela. Kiedy odmowę wziął za przyzwolenie i wszystko się rozpadło.

Teraz jednak była tu. Musiał się kontrolować. Kontrola.

[3] PnP 4,7; 6,10.

[4] Tłumaczenie wszystkich wierszy: Karolina Drozdowska.

Rozdział dziewiąty

Tomasz zawiózł Stine łodzią do Strandstedet. Jednak do niepomalowanego domu poszła sama, żeby powiedzieć Hannie o przyjeździe gościa. Panienci Anny z Kopenhagi.

Być może Beniamin przyjmował tę miejską pannę z czystej gościnności, stwierdziła Stine. A Hanna w to właśnie chciała wierzyć. Na pewno powie to tej całej Annie. „Zostaję z Hanną. Jesteśmy teraz razem”.

Stine cicho wspomniała o tym, że ludzie nie zawsze tacy są. Że wola mężczyzn czasami jest jak żelazo włożone do ognia. Mięknie i przybiera niezrozumiałe kształty, zależnie od formy. A jeśli się nie pilnuje, wszystko, w co wierzymy, może zmienić się w szerniąłą grudkę.

Hanna siedziała po nocach, wykańczając suknię dla siostry Wilfreda Olaisena. Następnego ranka spakowała swoją torbę podróżną, wzięła Isaka za rękę i popłynęła ze Stine do Reinsnes.

Oficjalnie mówiło się, że Stine pojechała sprowadzić pomoc dla Oline ze względu na przyjazd szacownych gości. Chyba tyle to wszyscy musieli rozumieć.

A Hanna nie była byle kim. Miała swoją stałą izbę w głównym budynku gospodarstwa. Ściana w ścianę z tą, w której spał

Beniamin. W ten sposób sprawowała zawsze nocami pewną kontrolę nad sprawami.

*

Kiedy zobaczył ją wkraczającą do jadalni, uświadomił sobie, że ufał, iż będzie się trzymała z daleka. Chociaż jej o to nie prosił. Ale w sumie dlaczego miałyby tak postąpić?

Chciał wyjść i zniknąć.

Anna i on właśnie zjedli śniadanie, a Bergljot sprzątała ze stołu. Kiedy Hanna pojawiła się w pokoju, dziewczyna wyszła do spiżarki i już tam pozostała.

Niezwykły charakter tej sytuacji uderzył go dopiero, kiedy został sam. Dlaczego Bergljot się wycofała?

Podniósł się i dokonał prezentacji.

– To jest Hanna! Hanna Haervik! O której ci opowiadałem. Panna Anna Anger!

Anna wstała. Podały sobie dłonie i wymieniły uprzejmości.

– Hanna i ja jesteśmy jak rodzeństwo, wyrosliśmy razem i wspólnie nauczyliśmy się czytać i pisać.

– Jest pani córką Stine i Tomasza? – zapytała Anna z uśmiechem.

– Nie, mój ojciec zmarł, a potem mama wyszła za Tomasza. Anna skinęła głową.

– A teraz mieszka pani w Strandstedet razem z synem?

– Tak. Jestem wdową. Mam mały salonik krawiecki, o ile tak to można nazwać.

– A więc szyje pani. To interesujące.

Hanna przez chwilę patrzyła w sufit, a potem stwierdziła sucho:

– To raczej bezsenne noce i obolałe palce.

– Chyba najlepiej by było, gdybyście przeszły na ty? – zapytał tak

lekką, jak tylko potrafił.

Anna spojrzała na niego. Nie był w stanie tego zinterpretować. Czuł się nieswojo. Trudno. Trzeba będzie jakoś ostrożnie między nimi lawirować.

– Zapewne tak – odparła grzecznie Anna.

– Tak, ja ze swej strony nie jestem przesadnie formalna – rzuciła szybko Hanna w sposób świadczący o tym, że poczuła się urażona.

*

Już po wszystkim uznał, że poszło całkiem nieźle. Ale to było, zanim dowiedział się, że Hanna zostanie w domu i będzie pomagać Oline przez cały czas pobytu Anny.

Poczuł intensywną złość, lecz jednocześnie musiał uznać, że w tych sprawach kobiety miały prawo decydować same. Nawet bez pytania go o radę.

Jeśli wypowie choćby jedno niewłaściwe słowo, nastąpi eksplozja. Anna mogłaby domyślić się, o co chodzi.

Domyślić się czego? Że przyjechała tu z cywilizowanej Kopenhagi tylko po to, aby dowiedzieć się, że Benjamin Grøneltv był i nadal jest kurwiarzem. W związku z tym mogła równie dobrze wyjść za mąż za Szkota. A może to był Anglik?

*

Anna podtrzymywała rozmowę. Z zainteresowaniem wypytywała o Strandstedet i szycie sukien. A Hanna odpowiadała, nie przestając ani na chwilę oceniać tej drugiej. Jej sukienki, włosów, figury. Zupełnie jakby zastanawiała się nad tym, jaką przewagę ma nad nią ta nowa. Albo: Co on w niej widzi?

Wściekłość odebrała mu mowę. Pozwolił im rozmawiać. Po chwili zaczął wsłuchiwać się w krążące między nimi słowa. Porównywać.

Uprzejme, pełne stosownej rezerwy zainteresowanie Anny. Wyczuwalną podskórną niechęć Hanny. Przyglądał się Annie, która nie dawała nic po sobie poznać. A na pewno zauważyła każdy szczegół.

Złożył kilkakrotnie serwetkę. W zetknięciu ze spoconymi dłońmi wydawała się chłodna.

Czyż on, kurwa, mógł mieć tu jeszcze na cokolwiek wpływ?

A w środku tego wszystkiego, kiedy tak przyglądał się obu ukradkiem, przez ciało przebiegały mu dreszcze. Bo to powinno być dozwolone. To jasne, że powinno być dozwolone! Bez poczucia, że jest się jakimś cholernym zdrajcą. Mieć je obie.

Anders przypomniał Annie, że któregoś dnia ma popłynąć łodzią „Svanen” do Strandstedet. A Hanna oświadczyła, że chętnie dotrzyma towarzystwa i oprowadzi ją na miejscu.

Anna odparła, że to byłoby bardzo miłe.

Beniamin miał uczucie, że pomylił sztuki w teatrze i znalazł się w niewłaściwej sali.

*

Wczesny obiad dla czterech osób zasiadających wokół stołu. Plus dzieci. Coś zupełnie innego niż wcześniej sobie wyobrażał. Choć nie pamiętał, żeby wyobrażał sobie coś konkretnego.

To były przecież tylko głupie marzenia. Późne obiady jedzone z Anną, kiedy Karna była już w łóżku. Jedzenie i picie do późna. Rozmawianie o tym wszystkim, czym z nikim przez te ostatnie lata się nie dzielił. Spacer, tak jak pierwszego wieczoru. A może wino w altanie? Miała wszystko podziwiać. Sprawić, że on spojrzy na swoją posiadłość cudzymi oczami.

A poddasze mieli mieć dla siebie!

*

Słyszał, jak Hanna przewraca się w łóżku. Oznaczało to, że ona również go słyszy. Zmieniła się w jego strażnika. Pajęczycę, która tylko czeka, aż jego niewidzialne grzechy złapią się w jej sieć. Była to ostatnia myśl, z którą zasnął, i pierwsza, z którą się obudził po niespokojnej nocy.

I ze świadomością, że po drugiej stronie korytarza Anna śpi w jego łóżku.

Ten wyraz twarzy Hanny, gdy pojęła, że Anna mieszka w sali! Zaczęła wtedy wpatrywać się w niego oczami pełnymi obnażonej rozpacz.

Czy Anna też to dojrzała?

Jesteśmy jak rodzeństwo, tak powiedział Annie. Hanna nie zaprotestowała. Nie tym razem.

*

Następnego dnia podczas śniadania służąca Bergljot podeszła do stołu z informacją, że doktor jest wzywany do młodego chłopaka w cieśninie Sund.

Doznał groźnego upadku z dachu pralni na nabrzeżu i nie mógł się poruszać ani mówić.

Beniamin podniósł się i opuściwszy towarzystwo przy stole, oddalał się długimi krokami, jak to miał w zwyczaju robić po każdym wezwaniu. Pochwycił swoją doktorską torbę z półki w korytarzu i zanim zdążył się zastanowić, już siedział w łodzi. Dopiero kiedy wciągnął żagiel i poczuł wiatr muskający go po włosach, zdał sobie sprawę, że Anna prawdopodobnie uznała za dziwne, iż tak bez słowa rzucił się do drzwi.

Chłopiec zmarł w czasie, gdy przy nim siedział. Był jedynym synem wdowy, którą Tomasz wziął do pracy na sztokfiszowych

skałach. Beniamin został tam aż do wieczora.

Kobieta sztywno wpatrywała się przed siebie. Od czasu do czasu przez jej ciało przebiegało drzenie. Potem uspokajała się i po prostu siedziała. Z wyrazem pustki na twarzy i suchymi oczami.

– Dam pani coś na sen.

W tym samym momencie uświadomił sobie, że ostatnią osobą, której powiedział coś takiego, była Hanna.

Kobieta tutaj nawet nie odpowiedziała.

– Proszę... Spróbować płakać. Proszę płakać... – rzekł ostrożnie, obejmując ją.

Ale ona była nieosiągalna.

Córka natomiast krążyła pomiędzy szopą a chatą, głośno zawodząc. Sąsiadka krzątała się pomiędzy nimi. Właśnie obmyła zwłoki i je przykryła.

Z jednej strony prześcieradła wystawały nagie stopy, a z drugiej kilka jasnych loków.

*

Był w Dybbøl. Wszystko ucichło. Działa. Wykrzykiwane rozkazy. Wzywianie mamy. Przekleństwa. Zapach zakrzepłej krwi zamienił się w smród. Karna siedziała, trzymając na kolanach głowę młodego mężczyzny. Dawała tylko swoją obecność. Tak jak on teraz.

*

W drodze do domu był sam na sam z morzem i słońcem. Czysty, słony zapach. Smoła na biało-zielonej burcie. Panowała zupełna flauta, więc musiał chwycić za wiosła. Pomogło.

*

Anna siedziała na stołku przy fortepianie przed otwartymi

nutami ustawionymi na pokrywie instrumentu.

Hanna wyszukała gdzieś wszystkie nuty Diny. Powiniennem był sam to zrobić, na długo przed jej przyjazdem, pomyślał. Podobnie jak należało zadbać o nastrojenie instrumentu.

Kobiety zetknęły się głowami ponad kartkami. Musnęły się dłońmi. Dopadło go nieprzyjemne uczucie.

Ale to na pewno z powodu młodego mężczyzny pod prześcieradłem.

– Wiem o kimś, kto potrafi stroić. Przez znajomego...

Migdałowe oczy Hanny ukryte były w półcieniu. A jednak wiedział, że mu się przygląda. Usłyszała, jak wchodzi, lecz to zignorowała. Ale teraz musiała zareagować, bo Anna również go zobaczyła.

– Ależ dobry wieczór! Czy doktor na coś się przydał? – zapytała prowokująco i podeszła do niego, wyciągając dłonie.

Po co to robiła? Nigdy nie miała zwyczaju tak się zachowywać?

– Niestety, raczej nie – wybąkał w odpowiedzi i niby przypadkiem okrążył ją łukiem. Dlaczego jej unikał? Zobaczył, że zadała sobie to samo pytanie. Dlaczego on mnie unika?

– Czy możemy otworzyć okno, jest parny wieczór – poprosił, siadając.

Hanna otworzyła okno.

– Jak on się ma? Chłopiec? – zapytała Anna, zbierając nuty w stosik.

– Umarł.

Lepka cisza rozlała się pomiędzy nimi.

Odchrząknął, zapalił fajkę i rozejrzał się za gazetą.

– Boże jedyny! – zawołała Hanna.

Anna nic nie powiedziała. Jednak czuł na sobie jej wzrok.

– Czy nic nie mogłeś zrobić?

Wiedział, że gdyby Anny tu nie było, Hanna nigdy nie męczyłaby go takimi pytaniami. Odgrywała idiotyczną rolę, przez co wydawała się osobą płytką i prostacką. Po co to robiła? Anna mogła przez to uzyskać jej zupełnie zafałszowany obraz. I jego przy okazji.

Zauważył, że on również odgrywa pewną rolę. Pobłażliwego. Który zwraca się do drugiego człowieka, nie traktując go przy tym poważnie.

– Nie, moja droga, nie mogłem.

Chłód i ten ton delikatnie podszyty szyderstwem. Którego nigdy nie używał, rozmawiając z Hanną w innych okolicznościach.

Wyszła po coś do korytarza, ale szybko wróciła. Zaczęła szukać tego czegoś na stole. Wręczyła mu gazetę, udając, że to o nią chodziło.

Nie patrzył ani na nią, ani na gazetę, której nie przyjął.

– Hanna zna kogoś, kto potrafi nastroić fortepian – usłyszał głos Anny.

– O, a kogóż?

– Ten Wilfred... Olaisen...

– A więc Olaisen stał się również muzykalny – odgryzł się.

Poczuł na sobie wzrok obu kobiet.

– Właśnie ma w odwiedzinach kogoś z Trondhjem, kto to potrafi – odparła Hanna lekko. Trochę zbyt lekko.

– Ach tak – stwierdził rzeczowo.

– To dopiero zbieg okoliczności – orzekła Anna.

– A więc zaprosz tych panów tutaj jak najszybciej, Hanno. Miejmy trochę życia towarzyskiego. Teraz, kiedy Anna tu jest.

Wziął gazetę i usiadł. Szeleścił nią nieco zbyt głośno, niezdolny do przeczytania ani jednego słowa.

– Kiedy? – zapytała Hanna niepewnym tonem.

– Kiedykolwiek. Jak najszybciej.

– W sobotę wieczorem?

Hanna przenosiła pytający wzrok z jednego na drugie.

– W sobotę wieczorem! – zdecydował.

Anna odłożyła stos nut na fortepian.

– Czy twoja matka to wszystko grała?

– Tak, i nie tylko to. Ale grała na wiolonczeli, którą... Te nuty chyba zabrała ze sobą.

Wstał i odłożył gazetę.

– A więc, Anno? Czy nudzisz się w takim zapomnianym przez Boga miejscu?

– Ależ skąd! To piękne i interesujące okolice. Żałuję, że nie umiem malować. Tutejsze światło jest takie szczególne.

*

Później, kiedy Hanna z Isakiem byli już w oficynie, a on mógł wreszcie odetchnąć swobodnie, Anna rzekła:

– Znacie się zapewne na tyle dobrze, że ona to znosi?

– Co takiego?

– Że ją poniżasz.

– Czyżbym to robił?

– Nie wiesz o tym?

Nie odpowiedział. A więc Hannie się udało, pomyślał. Zachował się w taki sposób, że Annie się to nie spodobało. A w następnej chwili: Kurwa! Przecież to nie wina Hanny, tu chodzi o mnie!

– Nie wiem, co mnie naszło. To pewnie z powodu śmierci tego chłopca – wybąkał, wstydzając się, że się usprawiedliwia.

Nie powiedziała nic więcej. Stała przy otwartym oknie.

Patrzył na jej plecy. Miały takie miękkie zarysy.

*

Popłynęli z Andersem do Strandstedet, gdzie Hanna całkowicie przejęła stery. Wiedziała wszystko o ludziach. Opowiadała historie, zajmowała się dziećmi i zabawiała się kosztem jego i Andersa. Wiedźma!

Opowiadał o dawnych czasach w Kopenhadze, tylko po to, aby usłyszeć, jak Hanna zadaje pełne zainteresowania pytania. Annie.

Między kobietami panował nastrój, który w żaden sposób nie przystawał do jego własnego stanu.

A jednak powstrzymywał się od upokarzania Hanny. Bo Anna mogłaby być tego świadkiem.

Kilka razy zamierzał zaprosić Annę na wspólny wyjazd do Tromsø. Ale to mogłoby się wydawać kompromitujące. Zdaje się, że już dostatecznie naraziła na szwank swoją reputację, przyjeżdżając tutaj samotnie, żeby jeszcze ruszać dokądkolwiek tylko z nim.

*

Piątkowa noc. Odgłosy pogrążonego we śnie domu. Cisza. Ptaki morskie. Wiatr w alei. Świadomość, że Hanna czuwa.

Leżąc bezsennie, poczuł niemal ulgę, usłyszawszy pukanie do drzwi ganku, a zaraz potem głosy, bo wiedział już, że ktoś przyszedł wezwać doktora.

Ubrał się w pośpiechu i właśnie schodził po schodach, kiedy spotkał służącą idącą go obudzić.

Morskie powietrze stanowiło wyzwolenie. Podniósł żagiel. Fala była dobra. Miał popłynąć na wyspę Grytøy zbadać wymiotujące dziecko z biegunką. Już trzecią dobę nie było w stanie przyjąć żadnego pokarmu.

Ojciec przyплыł po niego osobiście. Teraz żeglował przodem.

Kiedy szli do kantoru sklepu po proszek z węgla drzewnego

i inne rzeczy, które mogły mu być potrzebne, starał się najlepiej, jak potrafił, uspokoić mężczyznę:

– Wszystko będzie dobrze! Ale oczywiście popłynę z panem i obejrzę malucha.

Mężczyzna dreptał niecierpliwie, kiwając głową, ale zapewne nie usłyszał ani słowa z jego wypowiedzi.

Został prawie do rana. Wtedy biegunka ustała. Wobec tego nie był to tyfus. Chłopiec utrzymywał w żołądku płyny i nabrał lepszego koloru skóry. Poprosił rodziców, aby nie wpuszczali innych dzieci do chorego wcześniej niż za dwa dni. Wyglądało to na zwykłe zatrucie, ale lepiej było zachować ostrożność.

Żona żywiła przekonanie, że to „czerwonka” albo jeszcze coś gorszego.

Zaprzeczył. Poprosił, aby sprawdziła uważnie, czy nie ma w domu jakiejś zepsutej żywności. Oczywiście obraziło ją to, ale zapanowała nad sobą. Chodziło przecież o jej syna.

– Proszę wyrzucić stare jedzenie. Wszystko umyć i wyszorować jak najdokładniej.

Kiedy mężczyzna z zakłopotaniem powiedział, że nie ma z czego zapłacić, Benjamin potrząsnął głową.

– Macie łowisko łososi?

– Tak.

– Przyślijcie mi ładnego łososa, jak chłopak będzie już zdrowy i nadarzy się okazja!

Potem przyłożył trzy palce do czapki, zgodnie ze zwyczajem, którego nabrał, będąc studentem, i począpał do łodzi.

*

Wiał silny wiatr przeciwny. Próbował go przejść. Szło mu ciężko. Potem nadeszła ściana deszczu.

Wciągnął sztormiak i usiłował rozniecić żar w fajce. Nie było to łatwe. Ale na tyle umiał wyczuć kierunek, że od czasu do czasu orientował się w swoim położeniu na morzu.

Mógł przynajmniej myśleć tutaj jak wolny człowiek. Anders tak właśnie robił od lat.

Czerwcowy deszcz był zimny. Smagał twarz i dłonie. Ciekł strumieniami po wręgach i burcie, zbierał się na dnie łodzi. Uderzał o ławki i kamienie balastowe.

I za każdym razem, kiedy wiatr szarpał żaglem, a łódź się chwiała, woda zmieniała kierunek i leciała w przeciwną stronę.

A w środku całej tej wilgoci: Obraz Hanny, która przyjechała do domu odgrywać wielką panią. I Anny przy rozstrojonym fortepianie.

Rozstawiał to wszystko w myślach niczym pionki, rozgrywając je przeciwko sobie. Zgodnie z własnym kaprysem. I musiał przyznać, że chyba tym samym kierował się w swoim życiu.

Musiał porozmawiać z Hanną. Zanim stanie się coś złego.

Potem zajął się całkowicie ratowaniem żagla i przełamywaniem fali.

*

Kiedy w końcu dopłynął do przystani, zamierzali właśnie wyruszyć na poszukiwania. Anders i Tomasz stali na plaży. Obaj wskoczyli do wody, zalewając sobie buty, żeby schwycić łódkę.

Kiedy znaleźli się już w korytarzu prowadzącym do kantoru składziku, Anders zauważył, że doktor nie powinien narażać się na przewalanie się po morzu jak ciasto w dzieży.

Beniamin posłał mu znużony uśmiech i wydał dźwięk oznaczający zgodę, jednocześnie ściągając z siebie sztormiak.

Tomasz stwierdził, że to prawdziwa pogoda styczniowa.

Zauważył jego spojrzenie. Ten człowiek bał się o niego. Poczuł to w sobie niczym osobliwą, małą radość.

*

Kiedy szedł w stronę domu, jarzębinowa aleja zwieszała się nad drogą, ale deszcz już nie padał.

W oknach, ukryte za roślinami doniczkowymi, poruszały się głowy. Był zbyt zmęczony, żeby zwrócić na to uwagę.

Anna zbiegała już schodami prowadzącymi z poddasza ze spódnicami unoszącymi się wokół niej jak żółta chmura.

– Boże jedyny, jesteś! – wyszeptała, zarzucając mu ręce na szyję.

Karna śmiała się w swojej izbie. Z kuchni dobiegły go odgłosy młynka do kawy, a ze spiżarki głos Bergljot. Czyjeś kroki chrzęściły na żwirze. A błogosławiony wiatr ciągle jeszcze przewalał się ponad budynkami.

Przez kilka sekund stał jak dureń. Aż zrozumiał nadarżającą się okazję. Objął ją mokrymi ramionami.

– Tak bardzo się baliśmy.

W chwilę potem miał ich wszystkich wokół siebie. A jego ramię nadal otulało Annę.

Hanna w drzwiach salonu. Ich oczy spotkały się ponad ramieniem Anny. Zaraz potem zniknęła.

Kiedy tam stał, uratowany przed zachłannym morzem i wyniesiony do roli umiłowanego patriarchy, zrozumiał, że Hanna dopięła swego. Zabrała mu radość.

Gdy w chwilę później siedzieli, jedząc śniadanie, Hanna wstała, żeby przynieść coś z kuchni. Kiedy mijala Annę, pochyliła się i coś powiedziała. Obie się zaśmiały.

Wtedy poczuł znużenie. Wymówił się uprzejmie. Nie spał w ogóle tej nocy...

– Ależ oczywiście, zdajemy sobie sprawę – rzekła współczująco Hanna.

W chwilę później pomyślał:

Stary, zmęczony mężczyzna idzie w górę po schodach.

*

Leżąc tam i próbując zasnąć, kilkakrotnie usłyszał, jak obie kobiety się śmieją. W półśnie przesuwają mu się przed oczami sceny z młodości. Else Marie. Hanna i Else Marie. Śmiejące się z niego.

Hanna była zbyt sprytna, pomyślał, zasypiając. Zawsze taka była. Usiłował dyskutować o tym sam ze sobą. Może nie zbyt sprytna, tylko zbyt podstępna? Zbyt skomplikowana? Ależ nie, bronił jej, stara się po prostu być miłą dla Anny.

W samym środku tego wszystkiego próbował odszukać Else Marie. Mlecznobiałą, nakrapianą piegami skórę. Rude włosy i białe rzęsy.

Chodził wokół letniej obory i nanizywał jagody na źdźbło trawy. Wtedy Tomasz przyszedł z koniem na postronku i powiedział mu, że się ożenił i będzie miał bliźnięta. Potem stał gotowy, ze skalpelem w dłoni. Else Marie. Krzyknęła, gdy zbliżył się do niej. Wówczas zobaczył, że to nie jest Else Marie. Tylko Hanna.

– Hanna jest wdową – powiedział Tomasz, przepychając się obok niego na wąskiej ścieżce. Kopyta końskie omal nie wgniotły go w ziemię. Musiał szybko zejść z drogi. Ale stopy nie chciały go słuchać.

Wtedy Tomasz puścił konia. To była Else Marie. Wskoczył na jej biało nakrapiany grzbiet. Prychała pod nim, a potem rzuciła się gwałtownie w stronę mrocznej przepaści. Powolny upadek był miękki i wilgotny.

Rozdział dziesiąty

Gdy tylko wiatr ucichł, Wilfred Olaisen i Julius Lind wyruszyli łodzią ze Strandstedet, żeby nie stracić okazji do spędzenia wieczoru w Reinsnes.

Już na miejscu Wilfred Olaisen oddał się odpoczynkowi w altanie ze szklanką wybornego ciemnego piwa z Trondhjem, podaną na tacy przez usługującą mu Hannę.

Po burzy wszystko pachniało świeżą rosą, było cicho i jasno. Jeśli pominąć odgłosy dochodzące z jadalni. Oline wyrzekała, że już zaczynają hałasować, a doktor jeszcze śpi. Poza tym trwało to tak długo, że zaczęła się niepokoić, iż Bergljot nie nakryje do stołu na czas.

Julius Lind nalegał, aby mógł zostać za zamkniętymi drzwiami sam ze swoim plumkaniem.

Rozbrzmiewało teraz przez otwarte okna i szpary w starych drzwiach. Jak ostrzeżenie z innego czasu.

*

Beniamin zaczął się budzić, ale zasnął ponownie.

Zauważył, że Dina zaciągnęła fortepian do altany. Rozbiła całą ścianę, żeby go tam wstawić. Siekierę odrzuciła na polerowaną,

czarną pokrywę. Miała na sobie ciemnoczerwony szlafrok, a z kieszeni wystawał jej koniuszek nadpalonego cygara. Jedną ręką rozlewała wino na struny. W drugiej trzymała zieloną butelkę z długą szyjką, z której na zmianę piła i uderzała nią w klawisze. Wydawały dźwięki podobne do szmeru strumienia i kamiennej lawiny. Na stole stało kilkadziesiąt pustych butelek.

Kiedy odwróciła się w jego stronę, zobaczył, że nie była Diną. Tylko Anną.

Po południu przyszła Karna i obudziła go.

– Tatusiu! Nie ma już burzy. I przyjechali ci dwaj panowie. Jeden psuje fortepian.

– Chyba nie jest aż tak źle.

– Chcę mieć własne kury! – powiedziała, włączając do jego łóżka.

– O, tak? – zapytał, usiłując się obudzić.

– Isak mówi, że to nie są moje kury. Zebrał sam wszystkie jajka i dał je Stine.

– Isak nie ma kur w Strandstedet. Chyba może sobie pozbierać jajka, kiedy jest tutaj?

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Mówi, że dziewczynki nie mogą mieć kur!

– To ja mu powiem, że nie ma racji.

– Nie, tatusiu. Wtedy będzie wiedział, że wypaplałam.

– Ale przecież tak było.

– Tak, ale on o tym nie wie.

– A czy nie moglibyście pozbierać każde po dziesięć jajek?

– Dziesięć jajek każde... A kto pozbiera te, co zostaną?

– Parobek.

– Ech! Nic nie rozumiesz. Parobek nigdy nie zbiera jajek.

- Dobrze już, dobrze, teraz muszę wstać.
- Właśnie dlatego przyszedłam.
- Myślałem, że z powodu jajek?
- Nie, jajka... Muszę przecież coś ci opowiedzieć, żebyś się obudził.

Zniósł ją na dół. Oboje byli zgodni co do tego, że jest już na to za duża.

- Ale kiedy taki jesteś, to nie – odparła z wyższością.

*

Anna usiadła przy fortepianie, żeby dać mały koncert przed obiadem. Zebrali się goście, gospodarze i służba. Drzwi i okna były otwarte.

Karna stała tuż przy fortepianie, odbijając na błyszczącej powierzchni ślady palców. Patrzyła na przemian na twarz Anny i na jej palce oparte na klawiszach.

Sonata Patetyczna Beethovena porwała wszystkich słuchaczy.

Julius Lind nie krył, że jest koneserem. A ekspedytor parowca siedział w fotelu z kciukami wsuniętymi pod kamizelkę i podbródkiem skierowanym do góry. Jego klatka piersiowa godna była mężczyzny, a białe, nieskazitelne zęby połyskiwały między mięsistymi, kształtnymi wargami.

Hanna stała bez ruchu za pustym krzesłem i z nieodgadnioną twarzą trzymała w swej dłoni rękę Isaka. Miała na sobie czerwoną letnią sukienkę, podkreślającą jej drobną posturę. Wykrój znalazła w magazynie z Kristianii. Szyła ją po nocach, kiedy od dawna już powinna była leżeć w łóżku.

Suknia Anny była biała i została uszyta przez krawca miarowego.

Dostrzegał różnicę. Ale duma Hanny coś w nim poruszała.

Isak miał katar sienny, przez który z trudem powstrzymywał się od kichania, więc Hanna pochyliła się i wytarła mu nos, patrząc na niego napominająco.

Anders nie dostrzegał Anny, bo cały pokój wypełniła Dina.

Tomasz słyszał muzykę aż w oficynie. Właśnie zakończył tydzień pracy i zajęty był goleniem się. Znienacka przerwał.

Krew zaczęła kapać z rozciętej górnej wargi.

Wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Nagle szare niczym popiół.

Beniamin stał oparty o ścianę za pozostałymi. W pewnym momencie Anna podniosła wzrok znad nut i spojrzała prosto na niego. Karna włożyła kciuk do ust i zamknęła oczy, przytulając się jeszcze bliżej do instrumentu. Dudniło jej w całym ciele. Tony nią zawładnęły. Uderzały i się rozpryskiwały. Coraz bardziej dziko.

Palce tańczyły po klawiszach. Teraz dosięgły jej głowy. Rosły. Były tak blisko. Przeistoczyły się w ogromne węgoryze. Wiły się i sięgały po nią. Teraz zmieniły się w wielkie gałęzie, usiłujące ją pochwycić.

Oparła się o nie i poddała. Pozwoliła im unieść się w tarczę słońca i całą tę błyszczącą czern.

*

Zobaczył, jak upada. Prosto w tył. Bełkotliwe wycie zagłuszyło muzykę. Potem małe ciało stało się łukiem wzniesionym nad podłogą.

Znalazł się przy niej w mgnieniu oka i wetknął jej w usta dwa palce. Małe, ostre ząbki przebiły mu skórę i mięsień. Rozległ się trzask. Ale wytrzymał.

Ramiona jej podskakiwały, a stopy uderzały w deski podłogi. Twarz miała czerwoną i błyszczącą, a mieszanka piany i krwi, co do

której miał nadzieję, że jest jego krwią, przeciekała mu przez palce.

Szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami patrzyła na wskroś niego.

Anna stanęła wyprostowana, z pobielającą twarzą i rękoma zwisającymi w powietrzu.

Ostatnie gwałtowne tony nie były zapisane w nutach. Teraz rozbrzmiewały ciągle między pełnymi niedowierzania twarzami.

Ale cisza miała większą moc.

Kiedy zobaczył, jak dziecięca buzia staje się niebieskawa, uwolnił siłą palce spomiędzy zaciśniętych szczęk i oczyścił jej drogi oddechowe. Jakby łamał rybi kręgosłup i wyciągał żołądek przez otwór w skrzelach. Potem poluźnił jej ubranie w pasie, aż guziki odświętnej sukienki rozprysły się po pokoju.

Drobne, białe szklane guziczki z czerwonym serduszkami. Jeden potoczył się pod nowe letnie buty Wilfreda Olaisena. Leżał tam przez chwilę, chybocząc się.

Jakieś skurcze powiedziały Beniaminowi, że będzie wymiotowała. Położył ją na boku, słysząc własny głos rozbrzmiewający gdzieś daleko, w pustce.

Wypowiadał jej imię. Prosząco i spokojnie. Raz za razem.

Oczy miała skierowane wprost przed siebie, a jej ciało wyprostowało się w jego dłoniach. Powoli ucichła i zbladła.

Oboje byli mokrzy od potu, kiedy nie patrząc na nikogo, niósł ją do jej izby.

*

Spokój zapadający potem zawsze stanowił ulgę. Tak było i tym razem.

Otrzymał jednak ostrzeżenie. Padaczka Karny mogła być gorsza, niż to początkowo wyglądało.

Stine miała już gotowy odwar z przywrotnika. Wślizgnęła się cicho i bez słowa postawiła go na stole.

Nie protestował przeciwko takim praktykom. Mimo że wiedział, iż naraża dziecko na działanie silniejszych środków, które z trudem dają się pogodzić z jego leczeniem.

Po zmyciu z niej potu i przebraniu jej w suchą odzież, pozostał przy łóżku.

Powoli doszła do siebie.

– Tatusiu, leci ci krew – brzmiały jej pierwsze słowa.

Spojrzał na siebie. Odgryzła mu kawałek skóry ze środkowego palca.

– Karna musi teraz spać, bo mocno upadła – rzekł, odsuwając mokry kosmyk włosów z pobielającej buzi.

– Nie bój się rąk Hanny. Nie są groźne – wymamrotała.

Potem zapadła w ciężki sen.

*

Stół został wystawnie nakryty i na niczym nie oszczędzano.

Lind i Olaisen bywali już wcześniej na przyjęciach, więc teraz popisywali się przed paniami swoim obyciem w świecie.

Sześć osób przy stole, z Andersem i Beniaminem po obu szczytach. Poczul irytację, dla której nie potrafił znaleźć żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Przygotowano stół tak mały, że ledwo się przy nim mieścili. A jednak siedział u jego szczytu sam.

Musiał przyznać, że Olaisen bez wątpienia zaliczał się do kategorii prawdziwych mężczyzn. Najwyraźniej tacy rozpanoszyli się tu na północy. Zgodnie z tym, co usłyszał, stroiciela fortepianów można było ponadto zaliczyć do znawców sztuki.

Natychmiast po powrocie do salonu odczuł męskie niedowierzanie z powodu swojej ojcowskiej roli.

Miał wrażenie, że słyszy, co powiedzą, gdy zostaną już sami: Oczywiście, że to groźnie wyglądało, a Grønelv jest w końcu doktorem. Ale czy w związku z tym musi zaraz być niańką?

Nikt jednak się nie odezwał. Doznał uczucia, że zaszło coś, o czym nie wolno mówić. Doświadczył tego przecież już wcześniej. Ludzkiego zażenowania i milczącego dystansu, kiedy Karna dostawała ataku. Wzburzało go to, chociaż zupełnie nic nie mógł z tym zrobić.

*

Anna została posadzona obok Andersa. Wydawało mu się, że to bardzo daleko. Może dlatego nie usłyszał, czy zapytała o Karne.

Hanna usiadła obok niego. Po drugiej stronie były szerokie dłonie Olaisena. Trzymał je przed talerzem jak dwa rzadkie klejnoty na wystawie, wołające: oto dłonie prawdziwego mężczyzny! Potrafią wiosłować!

Anders trzymał ręce pod stołem. Jakby obawiał się, że ktoś go posądzi, że ma zamiar wycisnąć z nich życie.

Ten Olaisen natomiast miał nie tylko mocne pięści, ale też ciętą replikę. I plany. Zamierzał budować przyszłość i ustawić wszystko na swoim miejscu.

Przypomniawszy sobie, że kiedy po raz pierwszy widział tego człowieka, wydał mu się bystry. Nieco naiwny, odrobinę zbyt otwarty i przechwalający się. Teraz siedział w Reinsnes, bo sprowadził stroyiciela, żeby Anna mogła czysto grać. Poza tym starał się o rękę Hanny i zamierzał budować przystań.

– Nie dla żadnych łódeczek z papieru, o nie, dla samego parowca!
– powiedział skromnie.

W pewien sposób przypominał Aksela. Więc w sumie powinien dogadywać się z tym jegomościem. Ale tego wieczoru wszystko było

nie tak. Szczególnie gdy Wilfred Olaisen się odzywał. A robił to często. Słowa płynęły z jego pięknej twarzy. Ale, Boże uchronij, starał się też dopuścić do głosu Hannę.

– Panna Anger jest bardzo uzdolniona muzycznie – rzekł Julius Lind. – Ale kilkakrotnie zagrała akordy nieco zbyt ciężko. Chętnie pokażę jej po obiedzie, jak to powinno brzmieć, jeśli sobie życzy – dodał łaskawie.

A zwracając się do Hanny, oświadczył:

– Ma pani piękną suknię! Zgaduję, że sama ją pani uszyła? – Przybysz z Trøndelagu cmoknął i poklepał Hannę dyskretnie po ręce, a potem kontynuował.

– W Trondhjem panie ubierają się nieco inaczej. Ale jest pani czarująca w tej sukni, panno Hanno.

Beniamin czuł, jak dłonie Olaisena i wyniosłość Linda odbierają mu apetyt. Poza tym zauważył, że Anna uśmiecha się do Olaisena całą sobą.

Gdyby Aksel tu był, mógłby wziąć go na stronę i powiedzieć głosem pana Linda: „Piękna suknia, nieprawdaż?”

A Aksel odrzuciłby głowę do tyłu i wydał te swoje gardłowe dźwięki, przypominające bulgot beczki opróżnianej z piwa. Ale Aksela tu nie było. Bynajmniej. Siedział gdzieś w Berlinie pod spódnicami Diny.

Wiedział, że brak snu powoduje uczucie osamotnienia. Ale tego wieczoru życie było niczym uknuty przeciwko niemu skomplikowany spisek. A nad tym wszystkim królowało spowijające go szczelnie zmęczenie.

Ponownie opróżnił kieliszek z winem.

Bergljot pospiesznie podeszła do niego z karafką.

– Czy doktor chciałby wypić kawę z koniakiem w palarni?

I nieco ciszej:

– Czy panie też tam pójda?

On również zniżył głos. Poprosił, żeby zaglądała do Karny. Często. Potem z uśmiechem odwrócił się do pozostałych.

– Jeśli panie zniosą trochę dymu w naszym towarzystwie, to w palarni wkrótce zostanie podana kawa z trunkiem.

Anna miała zaróżowione policzki. Zaśmiała się i powiedziała, że Benjamin chyba dobrze pamięta z czasów studenckich, iż zawsze wołała palarnię.

Zwrócił uwagę, że mówi nieco zbyt szybko.

Hanna łaskawie skinęła głową. Zażyłość, jaka musiała istnieć pomiędzy Beniaminem a Anną w palarniach Kopenhagi, odbijała się w jej źrenicach niczym czubek ostrza.

Ale Olaisen roześmiał się i z roziskrzonym spojrzeniem powiedział:

– Ach tak, a więc przywykło się do palenia już za czasów kopenhaskich. No proszę, proszę...

Pan Lind podniósł się i pomógł Annie odsunąć krzesło, szepcząc przy tym do niej coś, za sprawą czego stała się jeszcze piękniejsza.

Olaisen podskoczył i pomógł Hannie, zupełnie jakby właśnie nauczył się nowej zabawy towarzyskiej.

Jednak pan Lind chciał ponczu, a nie koniaku. Jeśli można prosić? I wolałby raczej posiedzieć w altanie. O ile to możliwe?

– Chyba będzie trochę za zimno – stwierdziła Hanna.

Ale Anna chciała wyjść. To przesądziło sprawę.

Tak więc Bergljot zmuszona była wynieść filizanki i kieliszki, ciepły poncz i koniak w pokojowej temperaturze do altany. O godzinie dziewiątej wieczorem.

Panie musiały otulić się szalami i podłożyć sobie poduszki pod

siedzenia, zanim w końcu można było zapalić cygara.

Beniamin przeprosił i wyszedł zajrzeć do Karny.

Kolor jej twarzy i tętno były normalne. Skóra prawie sucha.

Kiedy położył rękę na jej dłoni, chwyciła go za zraniony palec, jakby w odruchu, zassała język i westchnęła.

Przez chwilę poczuł, jak unosi się w powietrzu. Wszystko inne zniknęło. Nie był nawet w stanie przypomnieć sobie, o co chodziło. W tym wszystkim innym.

*

Bergljot przemknęła obok niego przez korytarz z pełną tacą i z rozczochranymi włosami. Sprzątała w spiżarni.

Delikatnie poklepał ją po ramieniu.

– Zagląдай do Karny... często. Siedzimy w ogrodzie, niczego nam nie potrzeba. Uchylę drzwi. Zawołaj mnie w razie potrzeby.

– Nigdy wcześniej nie upadła tak strasznie – powiedziała, unikając jego wzroku.

– To prawda – odparł.

W tym samym momencie uświadomił sobie, że była jedyną osobą, która cokolwiek powiedziała.

– Doktor jest zmęczony?

Coś w nim się przewróciło. Utknęło w gardle.

Boże święty, pomyślał, czy naprawdę tak niewiele potrzeba? Jedno małe słowo. Że ktoś rozumie, ile to dziecko znaczy.

Wziął od niej tacę i wyniósł do kuchni. Kiedy wsuwał ją na swoje miejsce na przepelnionym blacie, przyszła za nim.

– Doktor nie powinien... Oline będzie bardzo zła.

Na stole stało pół butelki madery. Znalazł dwa kieliszki i je napełnił. Wręczył jeden z nich Bergljot i stuknął się z nią, wołając jednocześnie w stronę izby Oline:

- Twoje zdrowie, Oline! I dziękujemy za posiłek! Jesteś aniołem.
- Jak się ma dzieciak? – usłyszał w odpowiedzi.
- Dobrze. Bergljot też jest aniołem.
- Musiała strasznie cierpieć, biedna dziewczynka.
- Już po wszystkim – rzekł, wtykając głowę do środka.

Oline królowała w łóżku ze swoim nieodłącznym kieliszkiem w dłoni.

- Biorę lek na rozrzedzenie krwi – rzekła zażenowana.
- Słusznie czynisz – zaśmiał się, zamykając drzwi.

Kiedy przechodził przez kuchnię, Bergljot stała przy blacie. Zatrzymał się.

- Chyba też musisz być zmęczona?

Spojrzała na niego, czerwieniąc się.

- Ależ skąd.

– Spróbuję wkrótce skłonić gości do rozjechania się – powiedział w taki sposób, jakby mówił do sojusznika, a nie do służącej.

- Och, nie trzeba – zapewniła ponownie.

*

Kiedy otworzył drzwi od korytarza, z altany dobiegł go śmiech.

Przez krótką chwilę chciał zawrócić. Potem podjął decyzję. Ruszył w czerwcową noc, żeby zobaczyć, czy ma coś do stracenia.

Już w chwili, gdy sadowił się obok otwartych, przeszklonych drzwi i zapalał cygaro, poczuł pierwsze komary.

Zaraz potem Olaisen zaczął opowiadać o przystani.

Zainwestował swój kapitał w drewno budowlane. Teraz tylko trzeba było pozyskać ludzi do pracy. Za niewielkie pieniądze. Gdyby doktor lub Anders, z którym nieco zbyt szybko przeszedł na ty, mogli znaleźć środki na coś takiego? Na rzecz przyszłości, bo ona czekała w Strandstedet.

Przemowa była długa. Anna wtrąciła swój hymn pochwalny na cześć krajobrazu i światła. Zieleni. Wszystko było tutaj tak strasznie zielone. Liście, pola...

Olaisen dalej mówił o swojej sprawie. Przewidywał, że już niedługo parowiec przestanie zawijać do małych miejscowości. Nie powiedział wprost, że jednym z tych małych miejsc jest Reinsnes. Ależ skąd. Zamiast tego stwierdził, że dobrze byłoby dla Reinsnes mieć więcej nóg do podpory. Że kupno, sprzedaż i transport budowały Reinsnes przez całe pokolenia. Teraz pozostawało zrozumieć nadarzającą się okazję. A taką okazją była przystań. Przystań w Strandstedet. Nikt nie był w stanie zatrzymać rozwoju. Załadunek i rozładunek. Ekspedycja. Z przystani.

Anders napomknął, że jest za stary, aby o tak późnej godzinie dyskutować o interesach, i że prosi o wybaczenie. Potem opróżnił swój kieliszek i życząc wszystkim dobrej nocy, wyszedł.

Beniamin pomyślał sobie, że Olaisen mógłby być kaznodzieją. Miał powołanie. Nazywało się Przystań.

Napełnił ponownie swój kieliszek i zajął miejsce opuszczone przez Andersa. Obok Anny. Podziękował jej cicho za sympatię do jego rodzinnych stron.

Zwróciwszy się do Olaisena, zgodnie z prawdą rzekł, że jego aktywa ulokowane są w nieruchomości i praktyce doktorskiej. Więc raczej nie będzie jego współnikiem. Kapitałem i handlem w Reinsnes zarządzał Anders.

– Ale cieszy nas troska pana Olaisena o Reinsnes – dodał.

Anna spojrzała na niego w zdumieniu. Przejrzała ironię. Przyszło mu do głowy, że tyle zrozumieliby nawet zamiatacze ulic na rynku Kongens Nytorv, choć może Olaisen nie pojął.

Mężczyzna zerwał się.

– Ależ, na Boga, mów mi Wilfred!

Beniamin nie miał żadnej możliwości zapobieżenia temu i po chwili już wszyscy byli po imieniu, a on zaznał więcej ugryzień komarów, niż był w stanie zliczyć.

Pozostali mężczyźni najwyraźniej nie przyciągali komarów. Anna oganiała się coraz większą częścią szala, ale Hanna siedziała nieporuszona.

Przyglądała się insektom z nieobecny wyrazem twarzy. A później, gdy zataczając się, próbowały ciężko unieść się w powietrze z odwłokiem napełnionym krwią, wymierzała im celne klaśnięcie. Nieapetyczny zwyczaj, który pamiętał z czasów, gdy byli dziećmi. Takie sprawy zawsze dawały jej przewagę. I nadal na swój sposób ją miała.

– No nie! – oświadczył zdecydowanie. – Przenosimy się do środka! Od komarów, które nie czują respektu przed dymem z cygar i koniakiem, należy trzymać się z dala.

Anna spojrzała na niego z wdzięcznością. A on ku własnemu zdumieniu pojął, że skoro tak powiedział, wszyscy muszą się dostosować.

No cóż, musiał korzystać jak najlepiej z przynależnych mu atrybutów. Nie potrafił nastroić fortepianu i nie miał pojęcia o szczegółach przystani. Ale przynajmniej mógł przejąć stery w obliczu inwazji komarów.

Szczerze mówiąc, żywił nadzieję, że stanie się to hasłem dla panów, aby się pożegnać i zapowiedzieć ruszenie w drogę do domu. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

O godzinie jedenastej nadal siedzieli w palarni. Julius Lind był bardzo zajęty wyjaśnianiem Annie szczegółów życia kręgów muzycznych w Trondhjem, a Hanna wyszła zajrzeć do dzieci.

Po powrocie skinęła głową w stronę Beniamina, mówiąc:

– Oboje śpią jak aniołki.

Czerwieniąc się, wyobraził sobie, jak mówi w obecności wszystkich:

– Pamiętasz, jak w Bergen zapytałeś, czy możesz ze mną spać?

Hanna nie powiedziała tego. Ale zaznaczyła swoją pozycję w Reinsnes.

Dla Wilfreda? Dla Anny? Dla obojga?

*

W ten wieczór poszło sporo butelek wina. Bergljot właśnie przyniosła kolejną i w nieco niezgrabny sposób na ich oczach przelała ją do karafki.

– Rób to w spizarni – rzekła Hanna zdecydowanym głosem.

Anna spojrzała na nią w zdumieniu. Dwaj mężczyźni kontynuowali swoją rozmowę, nie zauważając tego upokorzenia.

Gorączkowo pragnął, aby przybył posłaniec z informacją, że ktoś potrzebuje doktora. Zamiast tego podniósł się, podszedł do służącej i wyjął jej z rąk butelkę.

– Idź już spać, Bergljot. Poradzimy sobie sami.

Dziewczyna lękliwie spoglądała to na Hannę, to na niego, i znów na Hannę. Ta gra nie uszła uwadze Anny.

– Dobranoc, Bergljot! Dziękujemy ci! – rzekł.

Dygnęła, wymamrotała ciche dobranoc i wymknęła się z palarni.

Nalał wina, nie wyjmując cygara z ust.

Hanna piła sok malinowy, który nalewała sobie z karafki z grawerowanym monogramem Diny i Jakuba Grønelva.

Dina używała jej do portwajnu zabieranego do sali sypialnej.

Irytowało go, że Hanna korzysta z niej do soku. Podobnie jak to, że Hanna była piękna. Jej barwy, głos, sposób poruszania się.

Jakby zwracała się do każdego z osobna ze słowami:

– Popatrz! Spróbuj mnie zdobyć! To nie jest łatwe!

Anna zaś siedziała pogrążona w cichej rozmowie ze stroicielem fortepianów. O czym mówili? Czy długo to trwało? Czy przybysz z Trøndelagu nie sprawiał wrażenia, jakby już się zaręczyli?

Próbował włączyć się do ich dyskusji. Ale ręka opadła mu w taki sposób, że prawie upuścił cygaro na kolana Anny.

Poczuł chęć, żeby ją poniżyć. Nie, Hannę! Obie? Mógłby powiedzieć:

– Hanno, jest późno. Czy mogłabyś odprowadzić gości. Anna i ja chcemy się położyć.

Nagle roześmiał się głośno na myśl, co takie stwierdzenie mogłoby wywołać. Cała czwórka spojrzała na niego.

Wilfred, który nadal głosił słowo o cudzie: Przystani Przyszłości, przerwał i powiedział:

– Przepraszam?

Beniamin oglądał cygaro, z którego popiół spadł mu na dywan. Coś nie tak było z jego ręką.

– Czy ktoś tutaj wierzy, że miłość jest trwalsza od przystani?

Nikt nie odpowiedział.

Nastrój zrobił się co najmniej złowróżbny. Nikt nie miał nic do powiedzenia w tak ważnej kwestii.

– No cóż – oświadczył najbardziej dobrodusznie, jak potrafił. – To wobec tego nie mamy tu nic więcej do roboty. Chyba trzeba się kłaść.

Wilfred zerwał się. Jego twarz wydawała się równie biała jak zęby, widoczne w półotwartych ustach.

– Ależ nie, siedź, sam znajdę drogę do wyjścia – rzekł, przechodząc obok mężczyzny i poklepując go po ramieniu. Ten

człowiek miał chyba dwie głowy. Obie równie piękne, ale nieco roztargnione.

*

Kiedy leżał nago w łożu z baldachimem stojącym w sali, zrozumiał, że chyba to planował. A na pewno przez ostatnie minuty.

Jej zapachy unosiły się w powietrzu, przenikały pościel. Były wszędzie. Wokół pachniało Anną. Otwarte okno zapraszało morze do środka. To nie było tylko jego morze. Pachniało też morzem Anny.

*

Obudził się, kiedy nim potrząsnęła.

– Co ty wyprawiasz?

– Chodź mnie pocieszyć – wymamrotał.

– Ach, ci mężczyźni! Wstawaj i ruszaj do siebie!

– Jestem u siebie.

– Kompromitujesz mnie przed całą twoją rodziną!

– Czy Przyszań i Stroiciel już pojechali?

– Tak! Wyłaż i idź!

Wyciągnął ręce, żeby ją objąć i przytulić, ale się wyswobodziła. Jak przez mgłę dotarło do niego, że chyba się odsunęła. Ale nie miał siły jej gonić. Odwrócił się tylko na drugi bok i zasnął.

Rozdział jedenasty

Wczesnym rankiem następnego dnia Bergljot poszła zanieść panience Annie ciepłą wodę do mycia. Kiedy weszła do sali sypialnej, znieruchomiała z wybałuszonymi oczami. Drżącymi rękami odstawiła dzbanek z wodą, dygnęła i zawołała:

– Niech doktor wybaczy! Nie wiedziałam.

Obudził się w ułamek sekundy. Gniew utkwiał mu w głowie niczym kula ze sztucera. Poza tym uświadomił sobie, że leży nago na łóżku i nie ma kołdry.

Bergljot wychodziła już pospiesznie.

– Poczekaj! Poczekaj, do jasnej cholery, Bergljot. Chyba zabłądziłem... pozbawiłem Annę sypialni.

Wyskoczył z łóżka, szukając czegoś, co mógłby na siebie włożyć.

Przestraszona dziewczyna wycofała się do kąta, ale nie miała śmiałości tak po prostu wyjść. Wpatrywała się ciągle w nagiego mężczyznę.

– Gdzie ona może być? Musisz... mam na myśli, to musi pozostać między nami, moja droga!

Skinęła głową ze śmiertelną powagą i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

– Nie widziałaś jej?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Ale może ona... jest... jest w pokoju doktora.

Włożył już spodnie, teraz schwycił koszulę.

W chwili, gdy przebiegał obok służącej, zdał sobie niejasno sprawę, że teraz są w zмовie. Poklepał ją po policzku.

– To będzie tajemnica tylko między nami! Dobrze? Nie pożałujesz! Nikomu ani słowa!

Bergljot miała siedemnaście lat. Jasnowłosa anioł z porządnej rodziny. Była w Reinsnes już drugi rok, żeby nauczyć się prowadzenia domu i dobrych obyczajów. Nigdy w życiu nie widziała nagiego mężczyzny.

– Ani słowa!

I wybiegła przed nim z pokoju.

*

Nacisnął ostrożnie klamkę i skonstatował, że drzwi są zamknięte. A zatem była w środku. Nie miał jednak odwagi zawołać.

Próg był wydeptany pośrodku i utworzyła się tam niewielka szpara. Poszedł z powrotem do sali, znalazł przybory do pisania i skreślił: Droga Anno! Droga jest wolna. Wybacz mi, wybacz! Twój Benjamin.

Sprawdził, czy nie słyhać kroków. Potem wymknął się cicho z sypialni, wetknął kartkę w szczelinę i czekał. Stali każde po swojej stronie drzwi, świadomi swojej obecności. Nasłuchiwał jej oddechu.

Wtedy przekręciła klucz i stanęła naprzeciw niego. W skromnym, niebieskim szlafroku. Jej suknia wisiała na krześle w pokoju.

W tym samym momencie na korytarz wyszła Hanna.

Dwie kobiety wpatrywały się w siebie.

*

Starał się przypomnieć sobie jakieś słowa, które można by powiedzieć w takich okolicznościach. Ale ból łomoczący mu w głowie wykluczał wszelkie rozsądne zachowanie.

Hanna wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Dzień dobry! Dobrze się spało?

– To nie jest tak, jak myślisz – wyjąkała Anna.

– Ależ, moja droga – przerwała jej Hanna, podchodząc do poręczy schodów.

– To moja wina – rzekł idiotycznie.

Wtedy Hanna zaśmiała się cicho swoim mrocznym śmiechem.

– Oczywiście, przecież wiem, jak bardzo nie lubisz spać sam!

Zrobił w jej stronę kilka długich kroków. Później zdał sobie sprawę, że gdyby zdążył podejść, to by ją uderzył. Ale ona pomknęła po schodach jak wiatr.

Anna minęła go, nie patrząc na niego. Dopiero kiedy zamknęły się za nią drzwi do sali, dotarło do niego znaczenie tego wszystkiego.

Poszedł za nią bez pukania.

Stała przy oknie zwrócona plecami i udawała, że nie zauważyła jego wejścia.

– Anno?

– Wiem, że jestem w twoim pokoju, ale czy byłbyś tak dobry i wyszedł, żebyśmy mogła się ogarnąć, skoro już tu jestem.

Głos miała lodowaty. Schwycił go za gardło. Podniecił. Czyżby był w nim delikatny cień urazy?

– Czy możesz wybaczyć idiotcie?

– Wybaczyłam ci już jakieś trzy–cztery lata temu. Ale nie mogę wybaczyć, że również i ze mnie robisz idiotkę. Na oczach twojej

rodziny i służby. Na to nie zamierzam sobie pozwolić.

Odwróciła się w jego stronę. Oczy. Intensywnie niebieski blask. Jak migotanie lodowca. Znów wydawała się znajoma. Boże, jak doskonale ją rozpoznawał! To właśnie była Anna. Wściekła. Inteligentna. Lodowata. Piękna. Nowoczesna kobieta, wykorzystująca okazję, żeby pokazać swoją siłę. Podporządkować go sobie! Usadzić na właściwym miejscu.

Przeczesała ręką włosy, powiedziała:

– Anno, nie miałem na myśli nic złego. To, co zrobiłem, było bezwstydnym. Jeśli chcesz, żebym zamieścił anons szeroki na dwie szpalty w gazecie „Tromsø Stiftstidende” i przeprosił, zrobię to. Tylko wybac mi, bardzo cię proszę!

– Ile osób wie?

– Nikt – skłamał.

– Hanna sądzi, że wie.

– Wyjaśnię...

– Zważywszy odpowiedź, jakiej udzieliłeś w tej sprawie, nie sądzę, aby to na coś się zdało.

– Mogę poinformować cały dom, jeśli tylko chcesz.

– Poinformować o czym?

Zaczęła przekładać jakieś bardzo kobiece elementy odzieży z jednego krzesła na drugie. Gorączkowo.

– Jestem wściekła! – powiedziała z zaciętym uporem.

– Masz po temu wszelkie powody. To przez tych mężczyzn. Irytowali mnie. Nie spałem za wiele... Chyba się upiłem. Nie pamiętam dokładnie. To było głupie.

– Tak! Niezwykle głupie!

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Zniknij stąd, żebym mogła się ubrać. Postaraj się być trzeźwy

przy śniadaniu. A potem pójdz ze mną na długi spacer po plaży. Nadal równie trzeźwy! Tylko my dwoje.

*

Nocą spadł deszcz. Kiedy szedł przez podwórze do wychodka, wokół pachniało wilgotną trawą i liśćmi brzozy.

Zamknął drzwi od środka na haczyk i stał tam, oddychając głęboko. Wreszcie był sam na sam ze sobą i swoją tęsknotą. Za skórą. Skórą.

Oszołomiony chwycił się sam i zamknął oczy.

Poszło szybko. Po chwili odsunął Hannę i pozwolił Annie dokończyć. Lekkiej dłoni obejmującej jego członek.

*

Hanna jadła w kuchni. Demonstracja.

Postanowił, że z nią porozmawia. Tego samego dnia. Albo następnego. Wkrótce. Kiedy nadarzy się okazja.

Anna niewiele się odzywała. Skrobanie sztućców o porcelanę działało mu na nerwy. Filizanka z kawą zaatakowała spodeczek niczym lawina kamieni, kiedy ją odstawiał.

Chleb miał osobliwy kolor, który go odrzucał. Masło było nieapetyczne, podobnie jak konfitury. Zupełnie nie rozumiał, jak to możliwe, że zaledwie pół godziny wcześniej było w nim dość siły, aby odczuwać pożądanie.

Teraz był pusty. Pozbawiony głowy. Najchętniej położyłby się tu na miejscu i leżał całkowicie bez ruchu.

Usłyszał, jak Karna mówi coś w kuchni, i uświadomił sobie, że zapomniał o jej istnieniu. A co, jeśli dostała w nocy kolejnych napadów? Równie silnych? Chociaż zazwyczaj nie zdarzały się tak często.

Jakby mogło to cokolwiek pomóc na jego nagły wyrzut sumienia, zaczął myśleć, że powinien ją zabrać do Kristianii lub Kopenhagi. Po poradę. Może brom mógłby ją uleczyć?

– Czy coś ci podać? – zapytała Anna, wskazując głową jedzenie.

– Anno, jest mi wstyd!

Kiedy podniósł wzrok, dotarło do niego, że ona siedzi tam z promiennymi oczami. Coś było z nimi nie tak. Z kobietami. Człowiek nigdy nie wiedział, czego się spodziewać.

Czy ona tylko udawała, że za jego sprawą wydarzyła się katastrofa? Siedziała tam i drwiła z niego? A jego mdliło i wyznawał jej, jak bardzo się wstydzi? Czuł się groteskowo. A więc one takie były? Byle tylko biedak padł na kolana i już miały to, czego chciały. No cóż. A więc zobaczy go. Na kolanach.

Rozejrzał się po pokoju. Drzwi do spiżarki były uchylone. Nachylił się ku niej przez stół i mówił ledwo słyszalnym szeptem.

– Pragnąłem cię. Chyba myślałem o tym przez cały wieczór. Byłem wyczerpany, zmęczony i smutny. I mimo to cię pragnąłem.

Usta jej drgnęły, ale zagryzła lekko wargę. Ta poczerwieniała od tego i zrobiła się pełniejsza. Wiedziała o tym! Siedziała tam i wiedziała.

Dekolt jej sukni nie był głęboki. Ale tkanina cienka. Unosiła się i opadała. Niewielkie zagłębienie pośrodku. Wąskie, koronkowe lamówki pod brodą. Sięgnęła do nich dwoma palcami.

Napawała się tym, że tkwi tam, przyglądając się jej? Cieszyła się, że siedzi tam i jest blady, rozbity i skacowany. Że nie jest nawet w stanie jeść. Ale że mimo to pozostaje na miejscu, pożerając ją wzrokiem.

– Anno... do szaleństwa doprowadza mnie twoja bliskość i to, że nie mogę... Porwę cię. Za skały na pastwiskach. Nie, w góry. Mech

jest tam miękki jak aksamit. Zobaczysz...

– Doktorze Grønelvie! – napomniała go ostrzegawczym szeptem, cichym niczym tchnienie, z roziskrzonymi oczami i zaróżowionymi policzkami, przygryzając przy tym ponownie wargę.

*

Nieco później, kiedy szli w stronę ogrodzonych pastwisk i sadzawki, wszystko było już zwyczajne, a on zapytał bezbarwnym głosem:

– Nudziłaś się wczoraj? Kiedy byłem w odwiedzinach u chorego?

– Dlaczego cały czas o to pytasz?

– Zła pogoda i to opuszczone przez Boga miejsce...

– Bzdury! Oglądałam żurnale Hanny i bałam się, że utoniesz. Głównie to drugie. Przeprowadziłyśmy z Karną głęboką rozmowę o mrowisku za oborą. To mądre dziecko. Szkoda, że ma te napady. Być może ojciec byłby w stanie jej pomóc albo zna kogoś, kto by to potrafił. A poza tym byłam w stajni z tym przemiłym Tomaszem. Lubię go. Wspomniał, że twoja matka trzymała konie pod wierzch, kiedy jeszcze tutaj mieszkała. Ale to były inne czasy, jak powiedział.

Zaśmiała się na wspomnienie słów Tomasza.

Tomasz, no tak!, mógł rzec, Tomasz to mój ojciec, więc sama rozumiesz!

Ale nic takiego nie powiedział. Zamiast tego odparł:

– Zdaje się, że Tomasz i Dina znali się przez całe życie.

– Masz od niej jakieś wiadomości?

– Od czasu do czasu.

– Mała Karna opowiadała, że jej babcia mieszka na ciemnym strychu.

– Tak, jest o tym przekonana. Rozmawiam z nią o Dinie. Anders

nigdy tego nie robi, o ile naprawdę nie musi. Są małżeństwem, sama rozumiesz.

– Małżeństwem? Macie tu dziwne powiązania rodzinne.

– Jest o wiele gorzej, niż myślisz.

Dotarli do płaskiej skały, na której można było usiąść. Słońce stało już wysoko na niebie i przeświecało przez brzozowy zagajnik.

– Opowiedz o tym!

– Wyszła za Andersa, żeby powierzyć Reinsnes i mnie w dobre ręce.

– Tylko dlatego? Przecież to wspaniały mężczyzna.

– W każdym razie uciekła od niego. A może od siebie samej?

– Co masz na myśli?

– Sam do końca nie wiem – odparł wymijająco.

– Może miłość się skończyła?

– Kiedy Anders o tym mówi, to... Ale pewnie jest rozgoryczony.

– Dlaczego nie pojechał za nią?

– Anders jest człowiekiem morza, umarłby w wielkim mieście.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

Jeszcze chwilę temu była na niego zła. Teraz mogli razem milczeć i zupełnie nie budziło to w nich zakłopotania.

Wtedy powiedziała nagle:

– Skoro już mówimy o takich rzeczach, taka myśl uderzyła mnie wczoraj wieczorem... Dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

Pytanie podkradło się od tyłu. Atak. Próbował na nią patrzeć. Udawać, że nie rozumie.

– Z kim?

– Z Hanną. Ona cię pragnie. Wiesz o tym?

Czy wiem?, pomyślał.

– Masz na myśli... bo znam ją przez całe moje życie? – spytał

lekkim tonem.

– Z tego powodu również. Jest piękna i... umie... postępować z Karną!

– Ale ty nie wyszłaś za Aksela?

– On nie jest ani piękny, ani zdolny, po prostu znam go, odkąd pamiętam – odparła ze śmiechem.

Musiał się uśmiechnąć. Nastrój nieco zelżał. Po tej wzmiance o Hannie.

– Wszyscy kochają Aksela, tak kiedyś powiedziałaś. Pamiętasz? – zapytał.

– Tak. Pamiętam. A Hannę? Czy ją też wszyscy kochają?

– Wydaje mi się, że tak.

– Ty również?

Łatwo byłoby powiedzieć: Ależ skąd, ja przecież nie Kocham Hanny. Ale coś mu podpowiadało, że ona mu nie uwierzy. I wtedy to kłamstwo będzie zbędne.

– Oczywiście, że bardzo lubię Hannę. Zawsze lubiłem. Ale...

– Ale?

– To inny rodzaj uczucia.

– Niż co?

W tym momencie powinien był powiedzieć: Niż to, co czuję do ciebie! Ale nie zrobił tego. Zamiast tego rzekł:

– Rozumiesz, co mam na myśli.

Nie odpowiedziała. Po chwili zapytała:

– Wiesz, że Aksel żyje z Diną w Berlinie?

Przełknął ślinę.

– Ja wiem, ale nie miałem pojęcia, że ty...

– Ona... Dina napisała do mnie parę listów.

– Co ty mówisz? Do ciebie? – rzekł zaskoczony.

Nie dała nic po sobie poznać.

– Od razu w pierwszych słowach zapytała mnie, czy miałam jakieś wieści od ciebie.

Odczekała chwilę, a potem kontynuowała:

– I czy to Aksela pragnęłam, czy może... Bo jeśli Aksela, to obiecała wysłać go do domu. Ale postawiła jasne warunki.

– Warunki?

– Że mu wybaczę.

– To ci dopiero!

– Nie chcesz wiedzieć, co odpowiedziałam?

Wpatrywał się w nią jak idiota.

– Odpowiedziałam, że może go sobie zatrzymać. Że po prostu znam go przez całe życie. I to wszystko. Po pewnym czasie napisała z pytaniem, kogo wolę.

Wstała teraz i z rękoma wspartymi o biodra patrzyła na niego wyzywająco. Czegoś od niego chciała.

Nie był w stanie odnieść się do tego. Nie mógł powiedzieć, że nigdy nie zostanie lekarzem okręgowym. Nie tutaj. Nie teraz. Ten dzień był już dostatecznie okropny.

Potem owinęła się ściśle szalem. Lekki wiatr próbował jej go wyrwać. Rozwiął ubranie i włosy.

Nie zdobył się na powiedzenie niczego innego prócz:

– Zdaje się, że zaczyna wiać.

Wtedy odwróciła się i ruszyła ścieżką w dół, w stronę pól. Szal żeglował za nią. Żółte frędzle w białym świetle.

– Anno! – zawołał.

Zatrzymała się i odwróciła. Głos miała smutny.

– Jesteśmy na świecie tylko przechodniami. To wszystko.

Szła szybkim krokiem. Pobiegł za nią, ale dogonił ją dopiero

w miejscu, gdzie byli już widoczni z domu.

Kac, gwałtowny wysięk, świadomość, że ich widzą. Od tego wszystkiego zakręciło mu się w głowie. Dysząc, wsparł się na niej, zupełnie bez godności. Ale nie uciekła.

– Nie mam odwagi cię o to prosić. Nie mogę cię tutaj uwięzić, Anno. Umrzesz w tym miejscu. Ledwie sam tu wytrzymuję.

– To wyjedźmy. Razem! – zawołała, chwytając go za ramię.

– Karna...

– Zabierz ją!

– Dałabyś sobie z tym radę?

– Dlaczego nie?

– Nie jest twoja.

– Ty też nie jesteś mój. A jednak oświadczam ci się. Teraz!

Zapomniał już. Jaka Anna jest.

– Przemyślałaś to?

Zarzuciła na niego swój szal.

– Myślałam o tym przez cztery lata. Potem przyjechałam tutaj. Całkiem sama. Sophie miała płynąć ze mną tylko dla spokoju matki. Inaczej w ogóle nie mogło być o tym mowy. W ostatniej chwili zasymulowała chorobę, żebym mogła wyruszyć sama. Czy ty nic nie pojmujesz, idioto!

Złożył równo jej szal. Przyjrzał się mu. Złożył go jeszcze raz na pół i spróbował wetknąć do kieszeni. Nie dawał się wcisnąć. Wypływał. Porwał go wiatr, owinał nim jego uda, łaskotał w pachwiny.

– Zgadzam się!

– To już coś! Że się do tego przyznajesz – rzekła.

– Nie! Mam na myśli, że przyjmuję. Odpowiedź brzmi „tak”! Ale jest coś, co muszę ci najpierw powiedzieć.

Wpatrywała się weń podejrzliwie.

Rozłożył bezradnie ramiona. Wiedział, jak beznadziejnie to wygląda. Jakby chodziło o nieszczęśliwy wypadek. A jednak zrobił to po raz kolejny.

– Norweskie władze nie chcą przyznać mi prawa do wykonywania zawodu lekarza – wypalił.

Ciągle wpatrywała się w niego. Teraz ją stracił. No cóż. Czyli już po wszystkim.

– Co zrobiłeś?

– Zrobiłem? Nic. Nie chcą uznać mojego wykształcenia z Kopenhagi.

– To niemożliwe! – zawołała ze zgrozą.

– Wysoko postawieni panowie w Kristianii tak uważają! Więc sama rozumiesz, że nie mam ci wiele do zaoferowania.

Wciąż nie spuszczała z niego wzroku. Czy jeszcze nie skończyła? Żeby mógł zagrzebać się głęboko pod ziemią. Zniknąć. Wtedy usłyszał jej głos.

– Chcę, żebyś mnie zapytał. Mniejsza o licencję lekarską. Mogę dawać lekcje gry na fortepianie. Możemy uprawiać ziemniaki na tamtym polu.

Gorzej już być nie mogło, więc musiał się roześmiać.

A więc klamka zapadła. Zostało, do diabła, postanowione! Raz na zawsze. Anna i on będą razem!

– Chcesz mnie?

– Kiedy? – zadała praktyczne pytanie.

– Kiedy tylko chcesz! Tej jesieni. Nie, jak najszybciej!

Czuł się przewiany na wskroś, miał mdłości, a w środku tego wszystkiego poczuł w piersi drgnienie ogromnej, kruchej radości.

Stała tam, promieniejąc. Jej oczy iskrzyły się błękitem. Widział

to już wcześniej. Czuł ból. Cholerny ból.

Jak miał temu sprostać? Spowodować, żeby jej oczy promieniały szczęściem przez resztę życia?

– Twoje oczy...

– Co takiego? – wyszeptała przytulona blisko do niego.

– Będiesz mnie kiedyś winiła za to, że się zgodziłem.

– Kocham cię, Beniaminie!

Chwyił ją mocno w ramiona. Była chyba o wiele za lekko ubrana. Poczul, jak delikatnie chwieją się razem. Stał na szeroko rozstawionych nogach. Jedną dłoń położył zdecydowanym ruchem na jej biodrze. Przycisnął ją do siebie. Była taka ulotna. Jednocześnie miękka i twarda.

Dziecięce kolana zmarłej Karny widniały gdzieś pośrodku poszarzałego nieba. Spomiędzy nich wypływała na szkiery czerwona rzeka.

Czy kiedykolwiek odważy się spłodzić z Anną dziecko?

*

W kobiecym podejściu do spraw było coś tak praktycznego, że poczul się zupełnie bezradny.

Anna miała od razu wyjechać do Kopenhagi poczynić przygotowania do ślubu. Potem on miał do niej dołączyć. I musiała napisać do domu. Dzisiaj. Nie było co zwlekać. Wszystko musiało zostać zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Żeby „matka nie umarła ze zgryzoty”.

Napomknął, że nie może opuścić Karny na długie tygodnie.

– Zabierzesz ją ze sobą. Muszą się oswoić z myślą, że masz córkę, i równie dobrze mogą zacząć to robić od razu.

Był zaskoczony tym wyzywającym tonem. Ale jednocześnie czuł ulgę, że przyjmowała to jak największą oczywistość.

*

Tego samego popołudnia zebrał wszystkich mieszkańców domu, bo chciał podzielić się nowiną.

Anna i on się zaręczyli.

Przyjęli wiadomość z błyszczącymi oczami. Nie stanowiła dla nich wielkiej niespodzianki.

Oline siedziała na swoim stołeczku w otwartych drzwiach do kuchni i głośno wyrzekała, że ślub nie odbędzie się w Reinsnes. Ale to było tylko dla zachowania pozorów. Nie czuła się na siłach sprostać tak wielkiej odpowiedzialności. Niedomagała bardziej, niż skłonna była przyznać.

Anders okazał radość i pocałował Annę w rękę.

– Gdybym był młody, to przypłynąłbym z całą załogą na wesele.

– Koniecznie! – wykrzyknęła Anna.

Uśmiechnął się i ucałował ją w oba policzki.

Kiedy Hanna podeszła im pogratulować, twarz miała poszarzałą i nieporuszoną. Ciemne oczy spoczywały na czymś poza Beniaminem. Bardzo daleko z tyłu.

– Potrzebna jest kobieta, która zajmie się Reinsnes – rzekła cicho.

W jej tonie przebijało się ledwo słyszalne szyderstwo. To go rozjuszyło. Miał nadzieję, że Anna nie zrozumiała. Powinienem był przygotować Hannę na to, pomyślał. Ale jak można przygotować na coś takiego?

*

Następnego dnia Hanna oświadczyła, że musi wracać do Strandstedet. Powinna uszyć suknie dla dwóch sióstr Olaisena. Wybierały się do Bergen.

Beniamin zaoferował się, że odwiezie ją łodzią do domu. Nazwał

jej izbę wynajmowaną w Strandstedet „domem”, czego nie zrobiłby jeszcze zaledwie dzień wcześniej.

Ale Hanna już załatwiła sobie transport. Wilfred Olaisen wybierał się do Reinsnes, żeby przedyskutować kilka spraw z Andersem. Miał przyjechać osobiście i zabrać ją w drodze powrotnej.

Wymawiając z naciskiem słowo „osobiście”, patrzyła prosto na niego. Oczy błyszczały jej jak w gorączce. Rzęsy trzepotały przez krótką chwilę, a potem ułożyły się, ocieniając policzki niczym dwa wachlarze.

Skinał głową. Skoro tak, to zapewne była w najlepszych rękach.

Nie rozmawiał z nią od czasu niedzielnego poranka na korytarzu poddasza. Nie był w stanie stwierdzić na pewno, kto kogo tutaj unikał.

– Przyjadę któregoś dnia do Strandstedet zobaczyć, jak się masz – rzekła Anna.

– Zapraszam! Jest tam skromniej niż w Reinsnes – odparła Hanna z lekkością.

Karna przybiegła, a Hanna pochyliła się i objęła dziecko. Kiedy się wyprostowała, powiedziała do Anny:

– Ona potrzebuje matki! Powodzenia!

Twarz Anny skurczyła się i odbiło się na niej zakłopotanie. Jakby nagle dotarło do niej, że ta druga wątpi w jej zdolność sprostania takiemu zadaniu.

*

Wilfred Olaisen przybył do Reinsnes z dokumentami zebranymi w teczce z wołowej skóry. Pokazał Beniaminowi projekty nowej przystani w Strandstedet i wyrażał się przy tym ciepło o współpracy z Reinsnes w kwestii transportu.

Na przystani zamierzał postawić budynek. Z przeznaczeniem na mały urząd pocztowy, z odrębnym pomieszczeniem na planowany telegraf. Tak bardzo potrzebował poczty i telegrafu. Chciał porozmawiać o interesach z Andersem. Wedle tego, co słyszał, ze skałami oczyszczonymi przez Tomasza nie szło najlepiej. Chyba nie przynosiły zysku?

Beniamin przytakiwał każdemu słowu mężczyzny, w ogóle go nie słuchając.

Poczuł ulgę, kiedy Anders w końcu zabrał go ze sobą do biura w składziku.

Nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu spotkał człowieka, którego bez żadnego powodu darzyłby taką niechęcią jak Wilfreda Olaisena.

Z tym właśnie mężczyzną Hanna i Isak odpłynęli po wzburzonym morzu. I zamiast doznać ulgi, stał w oknie i gdzieś w środku czuł się na swój sposób głęboko nieszczęśliwy. Niech szlag to wszystko trafi! Ale chyba nie mogło być inaczej.

Kliper „Svanen” pod dowództwem Andersa wyruszył do Bergen. W końcu miał ją tylko dla siebie. Oszołomiony radością pobiegł do sali i znalazł tam Annę zalaną łzami.

Słyszała, jak ludzie w gospodarstwie gadali. Że Hanna nie czuje się dobrze. Że przeżywa jakąś żalobę. Bo Beniamin wybrał Annę.

– Kto, do cholery, męczy cię czymś takim? – wypalił.

– Słyszałam, jak służąca mówiła, że wydawało jej się, iż jesteście zaręczeni już od Zielonych Świątek. Nic sobie nie robiła z tego, że słyszę, chociaż ta druga, Bergljot, kazała jej być cicho.

Wydmuchwała nos i otarła łzy, a potem rzekła twardo:

– Powiedziała, że wyglądaliście jak zaręczeni.

– I ty w to wierzysz?

– Karna powiedziała mi, że „prawdziwa” Hanna płakała przed wyjazdem, bo chciała zostać z jej tatusem – wyszeptała Anna.

To całkowicie zbiło go z tropu. Karna?

Wściekły wypadł z pokoju, żeby znaleźć dzieciaka. Nie przejął się wołaniem Anny, że ma wracać.

Biegał wokół domu i po ogrodzie, nawołując Karne. Coś podpowiadało mu, że nigdy nie ujawniłaby się, widząc go w takiej złości. A kiedy wrócił do sali sypialnej, znalazł ją w ramionach Anny.

Wyrwał jej dziecko. Dziewczynka przestraszyła się i zaczęła głośno płakać, ale trzymał ją z całej siły.

Teraz wszystko zniszczę, bo tak bardzo boję się stracić Annę, pomyślał, wynosząc z izby wierzgającego dzieciaka.

– Chcę na górę, do babci! – krzyczała Karna.

Bez słowa postawił ją na podłodze i otworzył właz prowadzący do ciemnej części poddasza. Potem wniósł ją aż do samej krawędzi i twardo postawił na deskach.

– Powiem babci, jaki jesteś dzisiaj niedobry!

– Powiedz sobie co chcesz, ty gówniaro!

– Nigdy już nie zejdem! – zawołała.

– To przyjdę po ciebie.

– Nie znajdziesz mnie.

– Znajdę cię wszędzie! Jesteśmy tylko my dwoje na całym świecie! – prychnął tam w górę.

– Czy na pewno, tatusiu?

Wychyliła się ku niemu z włazu, trzymając się mocno krawędzi obiema rączkami, tak jak zawsze ją uczył.

I kiedy tam stał, patrząc na przepelnioną lękiem buzię widoczną u góry, złość go opuściła. Zastąpił ją bezradny wstyd.

*

Poszedł do Anny, zapukawszy uprzednio do drzwi. Okazywała rezerwę, ale była spokojna. Zamknął drzwi i zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Wybacz, że się tak rozzłościłem!

Skinęła głową i zaczęła przekładać coś na komodzie.

– Hanna jest nieszczęśliwa – rzekła, zwrócona do niego plecami.

– I co możemy z tym zrobić? Ty i ja? – zapytał z rezygnacją.

– Możemy zachowywać się jak przyzwoici ludzie.

– I na czym nasza przyzwoitość miałyby polegać? Na włączeniu Hanny do naszych zaręczyn? I będziemy żyli w trójkę, utrzymując się z dochodów znachora?

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Nic nie może poradzić na to, że chce być z tobą – szepnęła.

– A czy ja mogę coś na to poradzić?

– Nie wiem, czy możesz, czy nie, ale ja wybieram się do Strandstedet, żeby z nią porozmawiać. Sama!

– I czemu to ma służyć? – zapytał ostrzej, niż zamierzał.

– Nie wiem – odparła nieco niepewnie.

– To beznadziejny pomysł, Anno!

– Nie, wcale nie – stwierdziła z uporem.

Rozdział dwunasty

Zawiózł ją łodzią do Strandstedet i pokazał drogę do Hanny. Potem poszedł do jedyne go wyszynku w tym miejscu. Cztery stopnie w dół do piwniczki. Znalazł sobie miejsce przy zakurzonem oknie, żeby wypatrywać nadejścia Anny.

Po godzinie zobaczył ją schodzącą ze wzgórza. Jej postać sprawiała wrażenie lekko przygarbionej.

Kiedy wyszedł, kiwnęła tylko głową i bez słowa ujęła go pod ramię. Nie dało się w tej sytuacji o nic zapytać.

- Przekąsimy coś małego w hotelu Central – powiedział lekko.
- Nie jestem głodna.
- Ale ja jestem – odparł zdecydowanie.
- Jak chcesz.

Kiedy tak szli ulicą Strandveien, usiłował rozmawiać z nią o swoim życiu doktora w tym opuszczonym przez Boga miejscu. Czy chciałaby zobaczyć jego ubogi gabinet? Ostatnio, kiedy przyплыnęli tu z Andersem, nie starczyło im czasu.

– Często stołuję się w Centralu, ale oczywiście nie podają tam jedzenia tak dobrego jak to, do którego jesteś przyzwyczajona – paplał.

Przez cały czas udawało mu się znaleźć kolejne tematy do

rozmowy.

Przez chwilę miał wrażenie, że go słucha. Ale zniemacka chwyciła go za ramię i zajrzała mu w twarz.

– Mieszka w takiej biedzie! Pracuje dniami i nocami! Nie radzi sobie. Czy nie pojmujesz, że miała nadzieję?

– Nadzieję na co?

– Na to, że wrócisz do domu, żeby ją poślubić.

– Anno, ona była zameżna. Jest wdową. Żyła swoim życiem i nie słyszałem, jakoby miała nadzieję na cokolwiek.

– Jesteś aż tak zimny? Czy tylko udajesz?

Przystanął.

– Dobrze, proszę, powiedz mi, co mam zrobić.

– Zadbać o nią.

– Próbowałem. Ona tego nie chce.

– Zamierzaliście się pobrać?

– Nie, dlaczegoż by?

– Bo musiała o tym myśleć, jak u niej spałeś! Tuż przed moim przyjazdem!

Grom w tym momencie uderzył. Krew została wyrzucona z ciała. Stał tam. Całkowicie zdany na łaskę grawitacji.

– Powiedziała tak?

– Nie wprost.

Ruszył dalej. Założył ręce na plecach i szedł przed siebie, jakby od tego zależało jego życie. Po kilku metrach uświadomił sobie, że jest sam, i zatrzymał się. Odwrócił się w jej stronę.

Została tam, gdzie ją opuścił. Opuścił? Tak wyglądała. Zawrócił i objął ją ramionami.

Ale nie zwróciła na niego uwagi.

– Wiedziałam, że to nie będzie łatwe. Ale sądziłam, że ojcostwo

sprawiło, iż zmądrzałeś. A więc poruszasz się w tych samych koleinach, co w czasie studiów? Czyż nie?

– Nie. Co powiedziała Hanna?

– To pozostanie między nią a mną.

– Wypytywałaś ją? Pojechałaś do Strandstedet, żeby dowiedzieć się od Hanny, czy z nią spałem?

– Skoro wiedziałeś, że muszę się z nią spotkać... Dlaczego nie powiedziałeś mi, że tak właśnie było? – wyszeptała.

Ujął ostrożnie jej dłoń.

– Jak mówi się coś takiego, Anno?

Szli wolnym krokiem po zwirowej ścieżce. Padał deszcz. Cofnęła dłoń i obeszła łukiem kałużę. Czekał na nią.

*

Byli już prawie przy białym budynku z zielonymi drzwiami i szyldem „Hotel Central”, zawieszonym między szeregiem okien. Przy samych schodach odwróciła się w jego stronę.

– Każdej nocy, od czasu, kiedy podjęliśmy decyzję... czekałam na ciebie.

Poczuł takie zdumienie, że zaczął się jąkać.

– Ja... Nie wiedziałem, nie sądziłem... Wstydzilem się za ten wieczór, kiedy tak się upiłem.

Nie wiedział, co zrobić z rękami. Usprawiedliwiał się urywanymi słowy. Stała stopień wyżej, oblana płomienną czerwienią.

– Nie tylko ty jesteś żywym człowiekiem – wyszeptała.

Potrząsnął głową, chwytając jej dłoń. Z przesadną galanterią otworzył drzwi. Dwoje świeżo zaręczonych ludzi z twarzami pełnymi godności weszło do hotelu Central z zamiarem spożycia posiłku.

*

Pomieszczenie było jasne i przestronne. O wiele za jasne, pomyślał. Śmieszne krzesła z haftowanymi siedziskami. Były bardzo niewygodne. Wszystkie stoły nakryto krwistoczerwonym aksamitem, a na nim ułożono koronkowe obrusy, upstrzone tu i ówdzie okruchami jedzenia.

Kiedy złożyli już zamówienie i zostali sami, szepnęła:

– Jest coś, co chcę powiedzieć.

– O Hannie?

– Nie, o tym poznanym mężczyźnie.

– On, zdaje się, był kimś, kogo twoja matka określiłaby jako lepszą partię? Pod każdym względem?

Nie odpowiedziała, tylko zaczęła bawić się sztucami.

– Nigdy nie będę tak bogaty jak ten... Anglik?

– Szkot.

Przyglądała mu się pobłaźliwie z przekrzywioną na bok głową. Rozwścieczyło go to.

– A tak w ogóle, to spałeś z nim?

W chwili, gdy wypowiadał te słowa i zobaczył jej wyraz twarzy, zrozumiał, co takiego naprawdę powiedział.

Przełożyła rękawiczki ze stołu na wolne krzesło.

– Anno! Nie chciałem! Wycofuję te słowa!

Utkwiła w nim wzrok. Otwarcie. Jakby zapomniała, że właśnie się poróżnili. Jakby przeciwnie, zamierzała mu się zwierzyć.

– Tak. Spałam z nim. W izbie na wieży walijskiego zamku z tysiąc trzysta pięćdziesiątego siódmego roku. Tam oboje byliśmy z dala od domu. A ja powzięłam mocne postanowienie, żeby nigdy więcej nie poświęcić ani jednej myśli Benjaminowi Grønelvowi.

Mógłby przysiąc, że śni. Że te potworne słowa, które zawisły

między nimi, to tylko sen. Znalazł coś, na czym mógłby skupić wzrok. Ścianę za jej głową. Monotonia tapety paliła go w oczy.

Odchrząknęła. Suchy kobiecy głos, który go nie dotyczył.

– Był pewien, że się pobierzemy. To nie była jego wina.

– O, co ty powiesz? – zapytał w końcu, nadal na nią nie patrząc.

– Wyjechałam już następnego dnia. Uciekłam, tak należałoby to chyba nazwać.

– Ach tak? – odparł najbardziej szyderczym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

Ona jednak sprawiała wrażenie, jakby tego nie słyszała. Jakby zwierzała się przyjaciółce z najbardziej intymnych spraw.

– Przejrzałam sama siebie – kontynuowała bez tchu, przez cały czas patrząc mu w oczy. – To było fantastyczne! Mam na myśli, że w końcu zrobiłam coś całkowicie nie do pomyślenia. Byłam taka nieprzyzwoita! Czy jesteś w stanie to zrozumieć?

To było zbyt brutalne, aby mogło być prawdziwe. Anna po prostu ostro teraz grała. Tylko tyle.

– Czułam się w osobliwy sposób grzeszna. Wiesz, Beniaminie, w tym była nieopisana wolność! Ale kiedy wróciłam do domu i nie byłam w ciąży ani nic takiego, i nie potrafiłam sobie nawet przypomnieć, jak on wygląda, to sam rozumiesz... napisałam wtedy do twojej matki i zapytałam o radę po takim beznadziejnym uczynku.

– Napisałaś... do Diny?

– Tak, nie mogłam przecież zwierzyć się własnej matce. A już na pewno nie tobie. Ale ona odpisała mi, że takie rzeczy już wcześniej zdarzały się kobietom z dobrych rodzin i że powinnam otrząsnąć się z tego grzechu i pojechać do Reinsnes. Bo ty najmniej ze wszystkich miałbyś prawo mnie osądzać.

Nie widział wyraźnie. Ale na czole miała nieładną bruzdę. Kołnierzyk bluzki był przekrzywiony.

– To mi pomogło. Zatem jestem tutaj. I wszystko zostało już wypowiedziane.

Nigdy nie przepadał za letnim stekiem z tłustym sosem. Przyniesiono mu coś, co po prostu było niejadalne.

A jednak nie był w stanie oderwać oczu od jedzenia. Coś było w naturze sosu i tego ostygłego, wysmażonego mięsa. To zwierzę straciło życie całkowicie bez sensu.

Wręczyła mu ponad stołem półmisek. Czyżby się uśmiechała? Ta szatańska przewrotność, że ona siedzi tam i się uśmiecha, kiedy serwują im beznadziejne, prowincjonalne żarcie, rozjuszyła go.

Nałożył sobie obficie borówek. Kiedy wbił widelec, sok trysnął i wylądował na czerwonym nakryciu stołu.

Coś było nie tak ze sztuccami. Wziął je i zważył w dłoniach. Wydało mu się, że trzonki są zbyt ciężkie. Przechylały się jakoś dziwnie w stronę brzegu talerza. Po prostu nie dało się nimi jeść w zwykły sposób.

W chwilę potem wezwał ubraną na czarno kelnerkę z koronkowym fartuszkim i zwrócił jej uwagę, że jedzenie jest niesmaczne, a konstrukcja sztucców dziwaczna. Może mogłaby dać mu coś innego?

– To są te same noże i widelce, którymi doktor zawsze tutaj je. Ale oczywiście mogę zapytać, czy mają coś innego. A jedzenie, mogę je przecież podgrzać... odrobinę?

Z wielką godnością zabrała jego talerz i zamierzała sięgnąć również po talerz Anny.

Jednak Anna przyjaźnie potrząsnęła głową.

– Ależ nie trzeba, droga pani, zjem takie, jak jest. Wyśmienite!

Wtedy czarno odziana spojrzała wymownie na doktora i wymaszerowała przez wahadłowe drzwi.

Przejechał ręką przez włosy. Gest, którego u siebie nienawidził, ale nie potrafił się od niego powstrzymać, bo uświadamiał go sobie dopiero wtedy, gdy już było za późno.

Jadła, nie podnosząc wzroku. Żuła powoli, z zamkniętymi ustami. Przełykała prawie niezauważalnie. Brała na widelec kolejny kęs odpowiedniej wielkości. Mięso, warzywa i niewielką porcję sosu, a potem otwierała usta i wkładała tam wszystko razem.

W tym momencie zmuszona była spotkać się z nim wzrokiem. Coś było w ułożeniu jej głowy. Oczy jej błękitniały i robiły się błyszczące.

Ma nade mną władzę, pomyślał. Za jej sprawą zachowuję się jak tchórz i nikczemnik. Przez te wszystkie lata, kiedy się nie widzieliśmy, jej wiedza o mojej niedoskonałości stała się jeszcze pełniejsza. Zacisnął lekko pięść, kładąc ją na brzegu stołu. Drugą wetknął w kieszeń i odchylił się na krześle tak mocno, że oparcie wbijało mu się w plecy.

Z uniesionym podbródkiem przyglądał się jej z typowo zawodowym zainteresowaniem lekarza. Niezbyt intensywnie, lepiej się było nad sobą nie litować. Z pogodnym, ale stosownym dystansem. Dokładnie tak, jak patrzyłby na wymagającego pacjenta.

– Cóż jeszcze, moja droga Anno? – odezwał się w końcu. Pytająco, tak jakby jeszcze coś leżało jej na sercu, coś, czym dotąd nie miała odwagi się z nim podzielić.

– Co masz na myśli?

– Właśnie, cóż mam na myśli? – odparł lekko.

Żuła bez najmniejszego zmieszania i przełykała spokojnie.

– Czujesz się dotknięty? – zapytała.

Ona w sumie w ogóle nie jest kobieca, nie tak pociągająca, jak na pierwszy rzut oka – pomyślał.

– Jak, do diabła, mogłaś coś takiego zrobić? Ze Szkotem! – syknął zrozpaczony.

W tej samej chwili nadeszła czarno odziana, niosąc jego posiłek. Minęła cała wieczność, zanim wypowiedziała swoje pełne chłodu „proszę bardzo”, dygnęła i odeszła. A ściślej mówiąc, zaczęła składać serwetki, przystanąwszy w kącie.

Wtedy odwrócił się w jej stronę z wyczuwalną groźbą.

– Czy tutaj można mieć przynajmniej trochę prywatności?

Istota ludzka podskoczyła wysoko i wyparowała. Na podłodze została po niej złożona do połowy serwetka, wskazująca kierunek.

– Jesteś naprawdę nie do zniesienia – stwierdziła Anna.

Skończyła jeść.

– Jak mogłaś to zrobić, skoro nie miało to nic dla ciebie znaczyć?

Spojrzała na niego z namysłem, prawie skruszona.

– Nie jestem do końca pewna. Byłam taka samotna i opuszczona. Ciągle słyszałam, że lata lecą, a moje przyjaciółki wychodzą za mąż. Chciałam wyrwać się z domu, zaznać wolności. Pragnęłam być kochana... chciałam kochać kogoś, kto mnie też darzy uczuciem. Przynajmniej przez chwilę albo dwie. Wiesz chyba jak to jest, Beniaminie?

Nie tknął sztućców.

– Jedz, mój drogi... zrób to dla mnie – powiedziała.

– Jaki on był?

– Mam wrażenie, że to chyba najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam. Miał w sobie wiele galanterii i pewien

rodzaj humoru. Ale nie był zdolny do ironii pod własnym adresem. Obdarzał nią wyłącznie wszystkich dookoła. Jego istnienie składało się w dużej mierze z herbów rodowych.

– Herbów rodowych?

– Tak, miał je wszędzie, nawet na kijach golfowych. Oczywiście to typowe dla szlachty w tamtych okolicach, ale mimo wszystko... Z całą pewnością nauczył mnie kilku sprytnych sztuczek.

– Jakich sztuczek?

– Ironii. W stosunku do innych.

Zapanował nad sobą i zaczął grzebać w jedzeniu. Widelec i nóż skrobały od wewnątrz w jego głowie.

– Co on robi... ten tam... teraz?

– Jest w Kopenhadze i stara się przydać na coś mojemu ojcu. Zajmuje się badaniami nad chorobami serca. Wiedział wszystko o moim sercu. I koniec końców, o wyjątkowej kontroli serca nad mózgiem. I o chemii! Która czyni z nas dobrych albo złych ludzi. O uderzeniach pulsu! I tych jakże potrzebnych komorach w sercu. Godzinami wykladał mi na temat bodźców, od których nie mogłam się nie zaczerwienić.

– To co ty tu teraz robisz? – zapytał gorzko.

– To moje nieokiełznane serce, doktorze Grønelv, moje błogosławione, dzikie serce. Nie mogłabym siedzieć całe życie w Londynie, oblewając się rumieńcem, schowana za herbem rodowym.

Spojrzał na nią z rozpaczą.

– Nie poradzę sobie z tym, Anno. Co zrobimy?

– Pobierzemy się i dzięki temu grzechy stracą na znaczeniu.

*

W drodze do domu morze błyszczało, a słońce otuliło się mgiełką.

Wieczór wkraczał czerwienią i bielą od zachodu.

Opuścił żagiel i pozwolił im dryfować w słabym wietrze od lądu. Potem wyjął ławkę i rozłożył sztormiak oraz zapasowy żagiel ponad balastem.

Śledziła wszystkie jego ruchy szeroko otwartymi oczami.

– Anno! Chodź! Jesteśmy sami.

Nieco niepewnie i z wahaniem uniosła spódnice, żeby przestąpić przez ławkę. Wtedy ukląkł i ją pochwycił. Uda i biodra pod cienką tkaniną. Talia. Usta. Ostrożnie zdjął z niej zakiet i gorsecik. Potem spleli się ze sobą.

Tego wieczoru morze oddychało powoli. Gdzieś poza wszystkim czuł powolne uderzenia fal. Potężną wolę płynącą z największej głębin. Wyczekującą. Natarczywą, ale spokojną. Rozlewającą się po deskach pokładu z radosną, wilgotną czułością.

Dryfowali w stronę otwartego morza. Daleko. Gdzie nikt ich nie mógł dosięgnąć.

*

Minęły trzy nocne godziny, zanim wiosłując, dopłynął z nią do Reinsnes.

Rozdział trzynasty

Oline obudziła się z dziwnym uciskiem w głowie. Wstała i dołożyła do ognia, żeby zagotować kawę. Kiedy już jej sobie naląła i usiadła popatrzeć na ptaszki, których drobne cienie tylko śmigały w alei, z pewnym smutkiem pomyślała o własnym życiu.

Miała wrażenie, że widzi siebie stojącą po raz pierwszy w Reinsnes. Od tamtej chwili nigdy nie przyszło jej do głowy, że można mieszkać w jakimś innym miejscu. Jakub Grøneltv już od dawna nie żył. Ale gdyby nawet wciąż był przy życiu, różnica polegałaby jedynie na tym, że mogłaby siedzieć tutaj, patrząc, jak się starzeje.

Rana na stopie nie bolała jej dzisiaj tak bardzo.

Bez innych doznań niż chwilowy silny ucisk w głowie, znieruchomiała, siedząc na swoim miejscu, w niebieskiej kuchni w Reinsnes.

Aż do chwili, gdy przyszła Karna i jej dotknęła, a potężne ciało Oline rozciągnęło się na podłodze.

Było w tym poddanie się. Spokój.

*

Słońce muskało właśnie najniższe deski obory oraz pokrywę

studni, kiedy mocno objęci szli w górę od strony przystani.

Wiosłując, dowiózł do domu i ją, i opadły żagiel. Nie obyło się bez bólu w całym ciele. Kiedy jednak wpłynęli do zatoki, a ona zobaczyła ławice czarniaka kotłujące się blisko lądu, chciała połowić ryby.

Poddał się. Patrzył na wszystko jej oczami. Plaże, góry, tarcza słońca, morze. Kolory. Minęły jakieś dwie godziny, podczas których spokojnie woził ją po zatoce od brzegu do brzegu.

A Anna łowiła ryby na trolling. Brawurowo i z uciechą. W końcu wypatroszyła je sama, aż krew pryskała dookoła. Oboje przesiąkli rybim zapachem.

Kiedy przybili do lądu, przyniósł z cumowni wiadro na ryby. Nieśli je między sobą w górę alei. Szła bosą, z brzegiem spódnicy zatkniętym za pas.

Niósł na szyi jej buty związane sznurówkami, pożerając ją przy tym wzrokiem. Kiedy tak patrzył, jak stąpa przed siebie tu, w jego krajobrazie, całe jego wnętrze zmieniało się w świątynię. Do sklepienia była cała wieczność, a wszystkie świece woskowe tego świata płonęły jednocześnie. Był małym chłopcem i dorosłym mężczyzną, i to nie miało znaczenia. Bo Anna tu była.

Wszystko zostało wyczyszczone. Nic więcej nie miał przed nią do ukrycia. Nie w swoich sprawach. O Tomaszu opowie jej kiedyś, przy okazji. I o Rosjaninie we wrzosach.

Później.

– Wślizgniemy się od strony kuchni i poszukamy czegoś do jedzenia – szepnęła wesoło.

Skinął głową. Nikogo nie było w zasięgu wzroku ani słuchu. Zegar nie wskazywał jeszcze nawet piątej.

Położyła palec na ustach w geście oznaczającym „ciii” i cichutko

otworzyła drzwi do kuchni. Potem otworzyła je przed nim na oścież.

*

Leżały obok siebie na podłodze. Małe i duże ciało.

Dziecko odwrócone bokiem, jedną dłoń miało opartą na piersi starej kobiety. Drugą wetknęło w usta. Wpatrzone w coś, co tylko ono widziało. Nasłuchujące. Nie kroków na podłodze ani skrzypienia klamki. Czegoś innego. Czegoś, co słyszało po raz pierwszy, co było do niczego niepodobne.

*

Podszedł i ukląkł tuż obok nich. Wymówił szeptem imię Karny, próbując ją podnieść. Ale nie był w stanie. Leżała na drewnianej podłodze ciężka jak ołów.

Z wielkimi, szeroko otwartymi oczami nie było żadnego kontaktu. Widział jednak, że nie jest to zwykły napad.

Zanim schwycił przegub Oline, już wiedział.

Nie było jej z nimi.

Kiedy położył różową dłoń z powrotem na podłodze, pod stołeczek potoczył się obwarzanek. Tam rozpadł się na kilka mniejszych części, które spokojnie ułożyły się w równy wzór podobny do pierwotnego kształtu.

– Oline nie chce swojego ciasta.

Usłyszał głos Karny, miał uczucie, że to jego własny. Sprzed wielu lat. A może obecny?

– Możesz wstać, Karno, bo Oline już nie potrzebuje ciasta.

*

Nie chciała wyjść z kuchni, więc tatuś pozwolił jej posiedzieć przy piecu na kolanach tej drugiej Hanny.

Bergljot wzięła chrust i rozpałała pod imbrykiem z kawą. Ale to

nie ona powinna to robić, tylko Oline. Wąskie, ostre płomienie lizały czajniczek, aż szerniał i pokrył się meszkiem sadzy. Tak absolutnie nie powinno być, tego Karna była więcej niż pewna.

Druga Hanna nie pachniała tak jak zawsze. Czuć było od niej rybą. A może to dlatego, że w otwartych drzwiach ganku stało cynowe wiadro pełne ryb?

– Czy Oline będzie gotować te wszystkie ryby? – zapytała.

– Nie, od tej chwili będziemy musieli robić to sami – powiedziała cicho ta druga Hanna. O wiele za cicho.

Wszyscy po kolei wchodzili do kuchni. Ale zaraz wychodzili. Niektórzy płakali. Inni siedzieli tylko albo stali w milczeniu i powadze.

Stine powiedziała, że Oline już od jakiegoś czasu się starzała. Potem naląa wody do miski i poszła z nią do izby, gdzie tatuś i Tomasz ułożyli Oline w jej łóżku.

Tomasz miał przywieźć trumnę ze Strandstedet. Tę, którą zawsze mieli na wszelki wypadek na poddaszu stodoły, otrzymał stary wyrobnik. Położył się po prostu i umarł w blasku słońca, orząc pole.

Oline powiedziała wówczas, że miał piękną śmierć. Ale to było wtedy. Teraz z tej przyczyny nie miała trumny dla siebie.

– Co będziesz robić? – chciała wiedzieć Karna, widząc Stine z miską.

– Umyję Oline.

Uśmiechnęła się swoim poważnym uśmiechem, najbardziej ze wszystkich pozostając sobą w całej tej sytuacji.

– Mogę ci pomóc?

– Nie, Oline chce, żebyśmy były tylko we dwie.

– Skąd to wiesz?

– Takie rzeczy się po prostu wie. Ale możesz przyjść, jak skończę.

*

Później Karnie pozwolono do nich wejść. Były tam tylko we trzy, a Oline wyglądała zupełnie zwyczajnie. Nawet bardziej zwyczajnie niż na co dzień. Oprócz tego, że leżała na stolnicy zamiast na materacu i pod kołdrą. I sprawiała pod każdym względem bardzo porządne wrażenie. Ręce złożone na piersi. Stine o to zadbała. Ale oczu nie chciała otworzyć. Za nic na świecie.

– Dlaczego ona leży na stolnicy?

– Żeby było łatwiej włożyć ją do trumny bez robienia bałaganu z ubraniem.

– Czy po prostu przechylicie stolnicę i ją tam wrzucicie? – zapytała Karna.

– Coś w tym rodzaju.

Trochę pomagało to, że Stine miała taki jasny głos. Rozświetlał ciszę, która zapadła dookoła.

A potem Stine zniżyła głos do szeptu i zapytała, czy Karna mogłaby zrobić coś, co pozostanie tylko między nimi. Nikt nie może o tym wiedzieć, nie wolno o to pytać ani o tym opowiadać. Czy Karna to rozumie?

– Co to ma być?

– Najpierw musisz obiecać i wtedy się dowiesz.

Karna obiecała.

Chodziło o to, że musi przeczołgać się trzy razy pod łóżkiem Oline, a Stine w tym czasie będzie odmawiała *Ojciec nasz* za nie wszystkie.

Wtedy Karna pojęła, że to chodzi o padaczkę, pieśń morza i jedno piwne, a jedno niebieskie oko.

Stine najwyraźniej po wieki wieków nie zamierzała zrezygnować

z wyleczenia jej, chociaż tatuś powiedział, że nie powinna tego robić.

Pierwszym takim zdarzeniem zapamiętanym przez Karnę było przeciąganie jej przez wydrążony pień sosny, a Stine w tym czasie odmawiała *Ojcie nasz*. Innym razem dała jej krew zająca. Wtedy tatuś się rozzłościł.

A jednak Stine próbowała nadal. Za pomocą ziół, napojów o smaku krwi i smoły, zgniłych ziemniaków czy zdechłych much.

Karna gotowa była zrobić wszystko, żeby Stine była zadowolona, tym razem również.

To nic nie szkodziło, bo babcia powiedziała, że jak już minie trochę czasu, może spokojnie opowiedzieć to wszystko tatusiowi. O ile przysięgnie, że nie powie tego nikomu więcej. Stine też nie.

– Nigdy nie wiadomo, co może pomóc – twierdziła Stine, patrząc przed siebie zmrużonymi oczami. Jakby rozmawiała z Bogiem.

– Nie chcę wcale wyleczyć cię z Daru, chodzi tylko o to, żebyś nie upadała tak mocno ani nie przygryzała sobie ust – mawiała Stine.

Karna kucnęła i przeczołgała się pod łóżkiem. Jeden raz, dwa, trzy. Kiedy zerknęła w górę na ciemny spód łóżka, zobaczyła w półmroku niewyraźne zagłębienie po ciele Oline. Było tam, chociaż ona sama leżała na stolnicy. Może działa się tak, że kiedy tak jak Oline przez tyle nocy spało się w jednym łóżku, to ono takie się robiło. Zaokrąglone.

Za każdym razem, kiedy Karna wynurzała główkę spod łóżka, Stine wyciągała ją, odmawiając *Ojcie nasz*. Trzy razy Stine kazała jej przejść pod łóżkiem, przenosząc ją potem z powrotem nad Oline.

Karna wyciągała ręce i nogi i robiła się w powietrzu lekka jak wałka. Ale Oline leżała z zamkniętymi oczami i nie chciała na to wszystko patrzeć.

*

Tomasz powrócił ze Strandstedet po prawie całym dniu spędzonym przez Karnę w kuchni i w izbie Oline. Przywiózł ze sobą prawdziwą Hannę i trumnę.

Isak też z nimi przyjechał. Ale co z tego. Nie chciał spać w jednej izbie z Karną. Bo nie miał zamiaru leżeć z trupem za ścianą.

Hanna błyskawicznym ruchem chwyciła go za włosy na karku. Łzy trysnęły z oczu chłopca. Ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Hanna rzadko robiła coś takiego. Tylko kiedy była zmuszona. Zazwyczaj wówczas, kiedy nie miała czasu wyjaśnić, co jest nie tak.

Złapała również Karnę za włosy na karku. Ale nie tak mocno jak Isaka.

Tatuś też starał się mieć jasny głos. Jednak nie trzymał się zbyt mocno na nogach. Pewnie dlatego nie odzywał się za wiele. Nawet do Karny.

Ale wieczorem to on przyszedł pomóc jej położyć się do łóżka. Teraz, kiedy byli sami, mogła mu wreszcie coś powiedzieć.

- To nie ja to zrobiłam?
- Nigdy nie wolno ci tak myśleć.
- Ona po prostu upadła, jak tylko jej dotknęłam.
- Oline siedziała tam i już nie żyła.
- Wyglądała zupełnie zwyczajnie. Nie była popsuta... tak jak kacząta – chciała dodać, ale się powstrzymała.
- Nie trzeba wcale być popsutym, żeby być martwym.
- A skąd to wtedy wiadomo?
- Inni to wiedzą.
- Martwi ludzie nie odpowiadają, jak się do nich mówi?
- Nie.

- A coś słyszą?
- Już nie potrzebują słyszeć.
- Nie myślą o nas?
- Nie potrzebują myśleć.
- Ależ tatusiu, nie będziesz o mnie myślał, jak umrzesz?
- Wtedy ty będziesz myślała o mnie i o sobie za nas oboje!
- Nie dam rady.
- Dasz!
- Nie umieraj, tatusiu!
- Będę żył najdłużej, jak dam radę! Ale Oline była już stara i zmęczona.
- Ty też jesteś już trochę stary...
- Ale nie tak stary jak Oline.

Udała, że to jej wystarczy. Ale nie czuła spokoju. Obudziła się w nocy z krzykiem. A tatuś zabrał ją do siebie do sali. Druga Hanna też tam była. Dziwne. Nie miała pewności, czy to się jej podoba.

No ale to łóżko było w sumie za duże dla jednej osoby.

– Czy zdarza się, żeby dziewczynki umierały wcześniej niż ich tatusiowie? – zapytała, zwracając się do baldachimu.

Druga Hanna nic nie odpowiedziała. Ale już tak bardzo nie pachniała rybą.

– Pewnie tak się zdarza. Ale nie z tobą, Karno.

– Skąd to wiesz?

– Tak czuję.

– To sprawdzaj, co czujesz... codziennie – poprosiła, zasypiając.

Pogrzeb był wielkopański. Ludzie powiadali, że takiego pogrzebu nie widziano od czasu, kiedy Matka Karen udała się w swoją ostatnią podróż do kamiennego kościołka.

Niektórzy uważali, że to gruba przesada. Oline nie była przecież członkiem rodziny. Przesiadywała sobie tylko na stołeczku w kuchni.

Ale patrząc na kondukt żałobny, trudno było w to uwierzyć. Najwyraźniej Oline z jakiegoś powodu pamiętało więcej ludzi niż tylko mieszkańcy Reinsnes.

Hanna przyjechała pomóc. Stine nie byłaby w stanie dać sobie ze wszystkim rady.

Reinsnes powoli opuszczało jej duszę. Im częściej zagniała i wyrabiała ciasto, im więcej cięła, składała i szorowała, tym bardziej oddalało się Reinsnes i całe jej życie. Zostało zamknięte. Koniec! Musiała się teraz przyzwyczaić do zamierzającego wybudować przystań ekspedytora parowca.

Gdy tylko powróci do Strandstedet, planowała wysłać mu wiadomość. Isak miał pójść jako posłaniec, niosąc zalakowany list.

„Panie Wilfredzie Olaisen. Długo zastanawiałam się nad Pańską propozycją. Przyjmuję ją. Z uszanowaniem, Hanna Haervik”, tyle zamierzała napisać.

Ani mniej, ani więcej. Chciała wydobyć się z biedy, z mgły marzeń, z beczynnego czekania na coś, co nie miało się zdarzyć.

Miłość nie była dla takich jak ona. Ale zaznała tej łaski, że wybrał ją sobie mężczyzna ze spadkiem z Ameryki i wolą dokonania czegoś wielkiego.

Zamierzała skłonić go do wybudowania domu z ornamentami na kalenicach i barwionym szkłem w oknach werandy, tak jak w Reinsnes. Będzie miała obity aksamitem szezlong z frędzlami na podłokietnikach. I oszklony regał na książki!

A kiedyś może nawet będzie mogła sobie pozwolić na służącą!

Myśl o tym sprawiła, że pogrzeb Oline pod kierownictwem

Hanny należało uznać za szczególnie udany.

Kiedy siedzieli w kościele, aż się wzdrygnęła, słysząc słowa pastora o zdolności człowieka do odnalezienia swojego miejsca na ziemi. Tak jak Oline. Bez zła i nienawiści.

Wtedy Hanna pojęła, jak powstaje nienawiść. Rodziła się, kiedy ci, co nigdy nie kiwnęli palcem, dostawali wszystko. A tacy jak ona skazani byli na odczuwanie zazdrości.

Potem zrozumiała sama siebie. Chyba nie była złym człowiekiem. I nie chodziło wcale o to głupie słowo. Miłość. Ależ skąd. Miała je gdzieś! To tylko zazdrość, jak powiedział pastor.

Gdyby miała prawo przedstawiać się nazwiskiem Grøneltv, nie czułaby tej zazdrości. Wtedy nie musiałyby pozwolić się wybrać rybakowi, a potem ekspedytorowi parowca. Mogłaby po prostu usiąść i rozkoszować się miłością. Jak dama z miasta.

Ale nienawiść była gorsza niż zazdrość. Nienawiść trzeba było ujarzmić. Inaczej nie dałoby się zajmować niczym innym. A do zawiści biedny człowiek mógł się chyba przyznać, nie narażając się od razu na ogień piekielny.

Tam, w pierwszej ławie kościelnej, siedział Beniamin. Widziała go jak przez mgłę. Oline najwyraźniej zabrała go ze sobą.

*

Wieczorem w dniu pogrzebu zszedł do kuchni, żeby im wszystkim podziękować. Stine, służącym i jej.

Wypadła przez drzwi ganku, zanim zdążył do niej podejść. Nie pobięł za nią.

Dopiero kiedy wróciła do Strandstedet, była w stanie opłakać wszystko, co odeszło wraz z Oline.

Rozdział czternasty

Na ostatni czwartek Anna miała wykupione miejsce w kajucie do Bergen, a stamtąd dalej do Kopenhagi.

Ale w Reinsnes panował taki smutek. Zostawała mała Karna. I Benjamin. Prawie nie widział na oczy. Zupełnie jakby Oline była jego matką.

Anna nie miała żadnego doświadczenia z żałobą. Nikt z bliskich jej nie umarł. Teraz budziła się w nocy, bo on przychodził do niej i się tulił, nie chcąc nic prócz bycia blisko niej.

Pewnej nocy wyraźnie było widać, że znalazł się na polu bitwy pod Dybbøl. Innej wołał kogoś imieniem Leo.

Anna nigdy wcześniej nie czuła, żeby ktoś jej potrzebował, wszyscy oczekiwali jedynie, żeby zachowywała się poprawnie. W swoim życiu podjęła tylko kilka, ale za to bardzo stanowczych decyzji.

Po tak długim czasie tęsknoty za miłością dotarło do niej, że musi pozostać tam, gdzie ta miłość obecna była czysto fizycznie. I że to miejsce nie jest wśród przygotowań przedślubnych czynionych przez jej matkę w Kopenhadze.

Poza tym był dopiero sierpień, jeszcze trochę czasu pozostało do jesiennych sztormów. Podróżujący z krajów północy niechętnie

wyprawiali się w okresie sztormowym. Tyle już wiedziała.

Ale Beniamin był zdania, że powinna pojechać, żeby jej matka nie umarła ze zgryzoty ani – co byłoby prawie równie straszne – nie znieawidziła go za wstrzymywanie jej powrotu. Przypomniawszy jej, iż dostatecznie okropna jest już konieczność opowiedzenia jej rodzicom, że nawet nie ma jeszcze prawa do prowadzenia praktyki lekarskiej.

– Ale przecież się odwołałeś, na pewno wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz.

– Nie jestem aż takim optymistą. Ale mam nadzieję.

Jego głos był raczej ponury niż pełen nadziei.

Anna poczuła się odrzucona, ale spakowała w końcu najniezbędniejsze rzeczy.

W nocy przed jej wyjazdem żadne z nich nie spało. Poszli na spacer wzdłuż plaży.

Pod wpływem rosy włosy Anny kręciły się, a wilgotny brzeg spódnicy uderzał ją po łydkach.

Zupełnie jakby szła w drogę pokutną, zdjęła buty i bez mrugnięcia okiem brodziła w kłującym piasku pełnym kawałków muszelek oraz wśród ostrych źdźbeł turzycy.

Po zakończonej wędrówce kochali się w sali sypialnej, jakby to była ich ostatnia noc. A kiedy przez okno zajrzało światło poranka, posłane przez niebo równie szare, jak wszystkie te miesiące, kiedy mieli być z dala od siebie, rozplakali się oboje.

*

Zawiózł ją łodzią do parowca, w przetykanej słońcem ścianie deszczu.

Chciała powiedzieć, że nigdy nie widziała czegoś takiego, ale dolna warga zaczęła jej drżeć.

Kiedy dotarli do czarnego kadłuba, w którym miała za chwilę zniknąć i odpłynąć, nie mając odwagi na nią spojrzeć, rzekł:

– Na wiosnę przecież przyjadę. I się pobierzemy. Zima szybko minie, wiesz o tym?

Marynarz właśnie krzyknął z góry, że dziś nie ma żadnych rozładunków i stał w gotowości do opuszczenia trapu.

Wtedy jej twarz stężała w maskę pełną determinacji. Krzyknęła do niego coś, co brzmiało jak norweski z duńskim akcentem.

– Zmieniłam zdanie. Nie wyjeżdżam dzisiaj!

Marynarz zwinął dłoń w trąbkę przy uchu i przechylił się przez reling. Wtedy z wielką energią powtórzyła swoje słowa.

To było takie proste. Powiedzieć o tym głośno przy wszystkich.

Nic nie odpowiedział. Cóż by to dało? Zamiast tego zawrócił łódkę, kierując dziób w stronę lądu.

Ciągle nie miał odwagi na nią spojrzeć. Wiosłował tylko powoli, żeby dać jej czas, gdyby ponownie miała zmienić zdanie.

Ale ona zaczęła się śmiać. Śmiała się tak, że łzy spływały jej po policzkach, a wszystkie skały odpowiadały echem. A kiedy przestała, zaczęła śpiewać. Na przemian psalmy i ludowe przyśpiewki.

W końcu oparł się na wiosłach i na nią spojrział.

Niełatwo było zrozumieć jej zachowanie. Ale jedna sprawa była pewna: Skrywała w sobie znacznie więcej, niż kiedykolwiek miał okazję doświadczyć w Kopenhadze.

– Mam bezpieczne schronienie. Nie chcę go opuszczać – śpiewała od czasu do czasu kilka wersów na chwałę Bożą.

Spłynął na niego wielki spokój. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek wcześniej czuł się tak bezpiecznie.

Wieczorem z fortepianu Diny wydobywały się radosne dźwięki. Anna grała i śpiewała dla Karny wszystkie piosenki dziecięce, jakie знаła. Bożonarodzeniowe, wielkanocne, związane z Zielonymi Świątkami i nocą świętojańską. Niekiedy unosiła dłoń znad klawiszy i z udawaną groźbą wskazywała palcem dziecko: „Hejże dzieci, hejże ha, nie upada Karna ma, nie upada dziś”...

Karna wpatrywała się w nią wielkimi oczami, potrząsając głową.

*

Pewnego ranka, kiedy jeszcze leżeli w wielkim łożu z baldachimem, powiedział:

– Nie możemy żyć w taki sposób. Co będzie, jeśli staniesz się brzemienna? Pastor musi nam udzielić skromnego ślubu. Oczywiście chodzi tylko o tymczasową ceremonię, żeby twoja matka nie umarła ze zgrzyoty...

– Mama już wielokrotnie umarła i zmartwychwstała. Zdaje sobie sprawę, jak żyjemy. Nie miałam siły pokazać ci jej ostatniego listu.

Nic jednak nie wskazywało na to, żeby przyprawiało ją to o jakieś większe cierpienie.

*

Beniamin i Anna odwiedzili pastora i poprosili o jak najszybszy ślub bez żadnego rozgłosu.

A pastor zgodził się, że w tych okolicznościach to rozsądne rozwiązanie. Przez cały czas jakoś tak się składało, że młodej Annie żadnym parowcem nie udało się odpłynąć do Kopenhagi. Rozumiał też, że dla jej rodziny przyjazd tutaj na północ był wykluczony.

Jeśli chodzi o zapowiedzi, to powinny one zostać dane w parafii będącej miejscem zamieszkania kobiety. Ale panna Anna zamierzała tu przecież zostać? Miała zapewne ze sobą dokumenty?

Anna skinęła głową.

Zapowiedzi zostaną więc ogłoszone, a trzy tygodnie mogli chyba jeszcze poczekać?

Beniamin i Anna szybko spojrzeli po sobie i zaczerwienili się pod spojrzeniem pastora. Beniamin odchrząknął i uznał, że to on powinien odpowiedzieć.

– Trzy tygodnie? No, cóż.

*

Pastor przybył do Reinsnes trzy tygodnie później. Z walizką, zupełnie jakby przypadkiem przejeżdżał w pobliżu. Ale w niej miał sutannę, kołnierz i księgę.

Anders, który właśnie przyплыwał z Bergen, był jedyną osobą, którą poinformowano o planowanym wydarzeniu. Wszystkim powiedziano, że młodzi wybierają się na przejażdżkę po fiordzie Andfjorden. Ani domownicy, ani załoga nie wiedzieli, o co tak naprawdę chodzi.

Pastor i Anders zgodnie uznali, że miejsce zaślubin powinno zostać zaakceptowane, chociaż obaj mieli drobne wątpliwości. Ale to, czego ani wielebny, ani szyper nie wiedzieli na pewno, Bóg powinien potraktować z wyrozumiałością.

I nagle, daleko w szarej, morskiej mgle, Anders dał rozkaz opuszczenia żagla. Bez większych ceregieli, licząc się z reprimendą od biskupa, pastor udzielił im ślubu w kabinie sternika.

Świadkami byli Anders, młody wioślarz i nowa kucharka, którą przy tej okazji zabrali z wyspy Andøya.

W drodze powrotnej mocno wiało. Kiedy przekraczali Andfjorden, panna młoda musiała zwymiotować. Wtedy wielebny pomyślał w cichości ducha, że dla doktora i panny Anny był już najwyższy czas na ceremonię ślubną. Oby Najwyższy wybaczył, że uległ temu

pośpiechowi i nie zmusił młodych do przejścia całego rytuału zgodnego z majestatem Kościoła.

Zadbał jednak o to, żeby aż trzykrotnie pobłogosławić młodą parę. I wygłosił piękną przemowę. Naturalną koleją rzeczy dotyczyła ona głównie pana młodego, którego znał najlepiej. Niemniej nakłaniał w niej mężczyznę do okazywania właściwych uczuć dziewczynie z miasta, która zdecydowała się żyć tak daleko na północ od cywilizacji. Niewykluczone, że już pierwszej zimy zatęskni za domem, ostrzegł i zakończył czwartym błogosławieństwem. Skierowanym tylko do panny młodej.

Po wszystkim pastor pożegłował do domu, dopiero około północy opuściwszy zatokę przy Reinsnes. Wtedy Anders zsunął czapkę z głowy, przyłożył tubę do ust i władczym głosem obwieścił w stronę łądu:

– Mam zaszczyt ogłosić przyjazd doktora Beniamina Grønelva z żoną Anną Grønelv, z domu Anger. Przesiadają się właśnie do małej łódki. Podnieście natychmiast flagę! I proszę podać poncz w jadalni, tak żeby dla wszystkich starczyło miejsca.

Ci, którzy już położyli się spać, zapewne nie do końca pojęli doniosłość tej informacji. Ale kiedy Anders powtórzył ją po raz trzeci, z komina nad kuchnią uniósł się dym.

Młoda Bergljot, która w krótkim czasie stała się odpowiedzialna za kuchnię i dom, wskoczyła w bieliznę oraz spódnicę i rozpałała w piecu, żeby szybko podgrzać poncz.

I stało się tak, że wszystkie kobiety w Reinsnes przyszły na wesele z rozpuszczonymi włosami i w przypadkowym stroju, mężczyźni zaś mieli nieogolone policzki, rozpięte koszule i potargane włosy.

Chociaż było już po północy i dosyć ciemno, flaga została

wciągnięta. Gniewnie uderzała w maszt smagana ostrym wiatrem.

Kiedy minęło pierwsze oszołomienie, wszyscy po kolei zaczęli podchodzić i gratulować uściskiem dłoni. Z nieśmiałością, niepewni, jak powinni się zachować na takim weselu. Po pewnym czasie zapanował jednak lekki nastrój, a poncz został wypity do ostatniej kropli.

O godzinie drugiej w nocy pan młody oświadczył, że jest tak głodny, iż mógłby zjeść konia z kopytami. Nowa kucharka musiała dowieść swych umiejętności, jeszcze zanim przespała choćby jedną noc w łóżku Oline.

O czwartej nad ranem kuchnia była posprzątana, a ludzie zaczęli rozchodzić się do łóżek.

*

W oficynie panowała cisza, ale Tomasz i Stine nie spali. Siedzieli przy stole kuchennym. W taką noc nie można było zwyczajnie się położyć.

– A więc jednak wziął sobie dziewczynę z miasta – rzekł Tomasz, ziewając.

– No cóż, byleby okazało się to błogosławieństwem dla Reinsnes i Karny...

– Masz jakieś wątpliwości?

– Niech Bóg broni! Nie da się jej nie lubić, chociaż trudno powiedzieć, żeby była gospodynią.

– Dina też nie była żadną gospodynią – odparł sucho.

– Nie, ale za to była wszystkim innym. I z korzyścią dla każdego potrafiła ustawić właściwych ludzi na właściwych miejscach.

Na obrusie widniało załamanie, które koniecznie należało wygładzić. Zdjęła obrus, doprowadziła do porządku i rozłożyła ponownie.

– Myślałam o tym – powiedziała po chwili.

Odwrócił się w jej stronę, sądząc, że znów usłyszy o Dinie.

– Wiesz, że mam te pieniądze... po Nielsie. Te, które Dina wpłaciła do banku. Tak się złożyło, że przez ostatnie lata sporo ich przybyło.

– Ale chyba nie aż tak dużo?

– Od czasu do czasu dawałam coś Hannie. Potrzebowała ich.

– Dziewczyna musi przecież dostać pieniądze po własnym ojcu, nawet jeśli żaden był z niego ojciec.

– Tak, ale to, co zostało... Tomaszu! Chcę, żebyśmy pojechali do Ameryki!

– Oszalałaś?

– Zabierzemy ze sobą Hannę i chłopaka, bo tu w Reinsnes nie ma dla Hanny żadnej przyszłości.

– Do Ameryki!

– Sam to mówiłeś wiele razy. Ostatni raz, kiedy tak się męczyłeś z tymi skałami pod sztokfiszę, żeby przynosiły dochód. Rzucimy to wszystko i pojedziemy do Ameryki!, tak wtedy powiedziałeś.

– Tak, ale mówić a zrobić...

– Zrobimy to! Zanim będziemy za starzy. Po co mamy siedzieć tu w Reinsnes, patrząc tylko, jak wszystko podupada i się marnuje, życie przechodzi obok nas, a my ciężko pracujemy bez żadnej korzyści.

Otworzył szeroko usta ze zdumienia. Najwyraźniej przemyślała to już kilkakrotnie pod każdym względem, zanim zdecydowała się z nim porozmawiać.

Oczywiście, że miał marzenia i snuł swoje fantazje. O tym, że Stine ma oszczędności w banku, również wiedział. Ale nie miał pojęcia, że wystarczy ich na wyjazd trojga dorosłych z dzieckiem do

Ameryki.

Powiedział jej to. A ona zgodnie z prawdą odpowiedziała, że nigdy o to nie pytał.

– A Sara i Ole?

Zawahała się przez chwilę.

– Mogą przyjechać później, kiedy kupimy już ziemię. Jeśli będą chcieli.

– Sara jest chyba za młoda, żeby zostać tu całkiem sama.

– Poradzą sobie na pewno. Nie przeżywają takiego smutku jak Hanna. Widziałam to, kiedy przyjechała zająć się pogrzebem. Musi stąd wyjechać.

– Sądzisz, że będzie szczęśliwa na prerii, grzebiąc w ziemi? Dobrze czuje się w Strandstedet.

– Zobaczymy.

*

Po tej nocy dzielili wielką tajemnicę. Siedzieli z pochylonymi obok siebie głowami, liczyli i uzgadniali. Co posiadali i co mogli sprzedać. Co musieli zabrać. Z kim mogli się skontaktować, żeby załatwić sobie niedrogi transport na południe kraju. Mogliby pojechać z Andersem do Bergen. Podniecenie było w ich relacjach czymś nowym.

Pisali listy i układali plany. Tomasz miał dalekiego krewnego, który wyjechał wcześniej. Popłynął do domu odwiedzić brata i dostał adres. Wszystko szło bardzo powoli. Ale decyzja zapadła.

*

Jednak Hanna, którą pragnęli ratować przed smutkiem, zupełnie nie chciała im towarzyszyć. Nie wierzyła w takie opowieści. Miała inne plany, o których nie chciała mówić.

Poza tym słyszała, że ludzie bardzo chorowali podczas podróży przez morze. Że tracili zęby, dostawali wysypki i umierali i trzeba było ich zwłoki wrzucać do morza, gdzie zjadały je rekiny i inne potwory.

Za żadną cenę nie zamierzała z nimi jechać.

Jednak pieniądze należały do Stine, a nie do niej, więc mogą ruszać w drogę, jeśli tak źle sami sobie życzą. Ale powinni zabrać Olego i Sarę. Bo Sara ich potrzebowała. Miała tę swoją stopę.

Tego okropnego popołudnia, kiedy pojechali do Strandstedet porozmawiać z Hanną, wszystkie marzenia o podróży Stine i Tomasza zostały wywrócone do góry nogami. Ze spuszczonej na kwintę nosami, jak skarczone dzieci, wiosłowali do domu.

Ale kiedy byli już prawie przy nabrzeżu, Tomasz splunął w pięści i zawołał w stronę morza:

– Koniec z niewolnictwem na cudzej ziemi, nawet jeśli to ziemia Beniamina. Niech dzieci mówią sobie, co chcą, ale ty i ja, Stine, my jedziemy!

Poluźniła nieco swój fartuch i odpowiedziała radosnym głosem małej dziewczynki:

– Tak, Tomaszu, my wyjeżdżamy!

Rozdział piętnasty

Oline nie przychodziła więcej do kuchni. Rankami Karna budziła się z myślą, że dzisiaj już na pewno tam będzie.

To jednak nigdy nie nastąpiło.

Zmuszona więc była sama siadać na jej stołeczku i zmieniać się w Oline. Nie było to łatwe. Od tego coś narastało w gardle. Uciskało w piersi.

Nikt teraz nie widział, że potrzebuje skarpetek i maślanego obwarzanka. Bo Oline położono do trumny i zakopano w ziemi w Strandstedet.

Kuchnia przestała być ważna. Skurczyła się wokół niej i stała się ciasna. Albo rozciągała się tak daleko na podwórko, że było w niej równie zimno, jak na zewnątrz.

Na ciemny strych też nie mogła wejść, dopóki tatuś nie wstał. Nie miała odwagi budzić go zbyt wcześnie.

Czuła, że to dlatego, że miał tę drugą Hannę.

*

Przez chwilę jeszcze mogła czasem sypiać u niego. Ale pewnego wieczoru powiedział:

– Musimy z tym skończyć. Karna będzie odtąd spała sama.

Druga Hanna stała za parawanem. Pomachała dłonią do tatusia i coś szepnęła.

– Nie! – odparł tatuś prawie ze złością.

– Jest taka mała, no i... – rzekła ta druga Hanna.

– Nie! – powiedział tatuś i odprowadził Karnę do jej izby.

Najpierw zamierzała się rozplakać. Ale zamiast tego powiedziała:

– Lubisz tę drugą Hannę bardziej niż mnie?

– Co ty opowiadasz? Drugą Hannę?

– Tę na górze. Przecież wiem.

Mimo wszystko się rozplakała.

Zniósł ją z ostatnich stopni schodów, przez korytarz, spizarkę i do izby. Dmuchał jej w szyję i buczał w ucho, aż musiała się śmiać.

Ale kiedy ją okrył, powiedział z powagą:

– Ona nie nazywa się „ta druga Hanna” i dobrze o tym wiesz. Ma na imię Anna! Rozumiesz?

Musiała przytaknąć, bo był bardzo poważny. A mimo to nie dał jej spokoju.

– Powiedz Anna! – odezwał się tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Anna...

– Jeszcze raz!

– Anna! – rzekła ze złością.

Wtedy powiedział to, co najbardziej chciała usłyszeć:

– Tylko ty jesteś Karną tatusia.

– To skoro tak, to... Anna może spać w mojej izbie, a ja na górze – ośmieliła się powiedzieć.

– Nie, bo Anna jest moją żoną i musi spać ze mną.

– Dlaczego?

– Pastor tak powiedział.

– Nie wierzę.

– Wobec tego zapytaj go, kiedy znów tu przyjedzie!

Powiedział to tak zdecydowanie, że zrozumiała, iż to chyba prawda.

– Ale kogo ja będę teraz miała – wyszlochała.

– Jak będziesz duża, znajdziesz sobie męża.

– Ale do tego jeszcze cała wieczność. I aż do tego czasu będę musiała spać w izbie całkiem sama...

– Możesz sobie otworzyć drzwi do kuchni.

Potrząsnęła głową.

– Niech ta druga Hanna sobie otworzy!

– Anna! – poprawił.

– Dobrze, Anna!

– Jeszcze raz!

– Anna, Anna, Anna! – krzyknęła i ukryła twarz, wtulając ją w niego.

Isak przyjechał do Reinsnes. Podobno Hanna była bardzo zajęta, bo miała wyjść za mąż za kogoś, kto nazywał się Olaisen.

Isak nie sprawiał wrażenia smutnego. Pomagał parobkowi i Tomaszowi zbierać ziemniaki.

– Dużo jest w tym roku ziemniaków, dziadku – rzekł, rozprostowując plecy dokładnie tak jak Tomasz.

Karna również zbierała ziemniaki. Ale nie tak szybko jak Isak. Poza tym tak okropnie marzły jej dłonie, że musiała je na zmianę ogrzewać w ustach.

– Dlaczego jesteś dziadkiem Isaka, a moim nie? – zapytała, usiłując wyjąć z ust ziemię, która trzeszczała jej między zębami.

Kiedy spojrzała na Tomasza, miała wrażenie, że dziwnie wygląda. Jakby krzywo.

– Mogę być równie dobrze dziadkiem dla was obojga – powiedział

w końcu.

Potem zaczął zbierać ziemniaki jeszcze szybciej. Zostawił ich daleko w tyle.

*

Wieczorem zapytała tatusia o to samo. Zgadzał się z Tomaszem, że mógłby być dziadkiem dla obojga. Ale coś było w jego głosie, szczególnie kiedy rzekł:

– Czy ktoś rozmawiał z tobą o tym, że Tomasz jest twoim dziadkiem?

– Nie – odparła – to ja zapytałam. Bo Tomasz jest mi potrzebny tak samo jak Isakowi!

Ale zrozumiała doskonale, że nie należy używać słowa „dziadek”.

Zamiast tego zaczęła trzymać się z Sarą. Sara kulała, ale za to świetnie czytała. I wpisywała jakieś różności w grube protokoły, siedząc w kantorku składu. Czasami pozwalała Karnie pójść ze sobą, kiedy miała poszukać starych towarów dla ludzi, którzy przyplýwali, bo czegoś im zabrakło.

Anders mawiał:

– Sara jest mądrą, małą osobką.

Kiedy ją o coś pytała, Sara odpowiadała wprost. A jeśli Karna miała zły humor, dostrzegała to i potrafiła wymyślić rozwiązanie, które poprawiało sytuację.

Po plecach spływał jej gruby warkocz. Kiedy rozpuszczała włosy i siedziała bez ruchu na krześle, wyglądała jak huldra z książki z bajkami. Ale jak tylko wstawiała i zaczynała iść, utykając, znów przypominała siebie.

*

Próbowała również trzymać się z Olem. Miał włosy bardziej rude

niż ona. Nawet jeszcze bardziej rude niż Tomasz.

Ale on tak rzadko bywał w domu. A kiedy był, to mówił o wyjeździe w inne miejsce. Na Lofoty albo do Finnmarku. I potem zaraz przy pływała łódka i go zabierała.

Kiedy przyjeżdżał do domu, przywoził ze sobą połamane, kupne obwarzanki. Albo ogromne ryby, z czymś w rodzaju brody pod pyskiem.

Ole i jego ryby pachniały zupełnie tak samo.

*

Babcia mieszkała w ciemnej części strychu. Ale nie zawsze była równie miła. Czasami Karna musiała sama wymyślać, co będą robiły. Albo babcia nie chciała jej pomóc ze skrzyniami i kuframi.

Pewnego razu, gdy wyjęła suknię, babcia nie zamierzała jej włożyć. Umieściła lalkę w starym wózku i wozila ją dookoła w ciemności, udając, że nie rozumie, iż babcia jest zagniewana.

Ale kiedy to nie pomogło, usiadła i zaczęła do niej mówić.

– Powinnaś teraz włożyć suknię, babciu.

Panowała cisza. Jeśli pominąć wszystkie odgłosy, jakie docierały przez otwarty właz.

Słyszała, jak Anna gra tam na dole. Szybko. Jakby była radosna.

Z belki nad jej głową wystawało sporo dużych haczyków. Wisiało tam kilka starych lamp. Szklane klosze były całkowicie szare, tak zszarzałe, że nie była w stanie dojrzeć, czy jest w nich knot.

Przy niektórych tonach wybijanych przez Annę szklane klosze śpiewały. To było dziwne. Chciało jej się płakać od tego dźwięku.

– Mogłabyś włożyć sukienkę, żebym ja też kogoś miała – spróbowała ponownie.

W końcu suknia się poruszyła. Wypełniła się. Powstała. Szumiała. Bransoletki śpiewały.

– Oline nie ma już w kuchni – rzekła szybko.

Ale babcia nie odpowiedziała.

– Musisz odpowiadać, jak do ciebie mówię – stwierdziła surowo.
Nie pomogło.

– Bo nie wiem, kogo teraz mogę mieć!

Klosze od lamp znów zadźwięczały. Tylko teraz zupełnie cicho.

Wtedy babcia wstała i uniosła ramiona nad głową. Aż powiał drobny wietrzyk. Pajęczyna w kącie nad kołlawą komodą również zaczęła się kołysać.

– Chodź! – szepnęła babcia.

Karna wstała i schwyciła brzeg babcinej spódnicy. Wtedy poczuła to wyraźnie. Babcia tańczyła z nią wkoło.

– Nie chcesz ze mną dziś rozmawiać, babciu? – wyszeptała.

– Cicho – odrzekła babcia, obracając nią.

Musiała się temu poddać. Na swój sposób było to miłe. Obracać się ciągle w kółko. Aż straciła orientację, gdzie jest, i babcia musiała wziąć ją na kolana.

Czasami nie wiedziała, gdzie ma się podziać. Kiedy myślała o Oline.

Pnące róże zaczęły narzekać. Skrobały kolcami i zwiędłymi gałązkami w okno jej izby. To był tylko przykry dźwięk. Zbyt bliski, żeby coś znaczył. Zbyt ostry. Jak szyderstwo.

A jednak krzak róży i pieśń morza miały ze sobą coś wspólnego. Potężny ton omiatał śnieg z gałązek i uderzał nimi o szybę. Niektóre listki były pozwijane i sztywne, ale nadal trzymały się gałązki, wbite pomiędzy czerwobrnatne kiście kwiatów.

Nie zawsze tak było. Zanim nadszedł śnieg, były czerwone i miękkie, opromienione światłem. Jak skóra. Albo czerwone i ciężkie od deszczu. Dawno temu.

To było wtedy, gdy Anna układała jej palce na czarnych i białych klawiszach i śmiała się, kiedy Karna wydobywała z nich dźwięk.

Tatuś prawie zawsze był zadowolony. Pewnie dlatego, że Anna nie zamierzała odpływać parowcem.

Kiedy Karna spytała ich, co się wydarzyło na kliprze „Svanen”, kiedy się pobrali, spojrzeli na siebie, wybuchając śmiechem.

Nie podobało jej się to.

Tatuś wziął ją na kolana i powiedział, że Anna będzie jej nową mamą, bo zmarła Karna nie mogła.

Wtedy powiedziała im to całkiem po prostu.

– Mamy przecież prawdziwą Hanne.

Tatuś się rozgniewał.

Pojęła wtedy, że dwóch słów nie należy w ogóle wymawiać. Dziadek i Hanna. Za każdym razem, kiedy myślała o tych wyrazach, widziała zmarznięte kiście róż za oknem.

Mróz był niczym ciemność i noc. Pojawiał się zniecka. Skąd przychodził?

Rozdział szesnasty

Beniamin i Anna zostali zaproszeni do domu pastora na poczęstunek. Po posiłku wielebny zaczął mówić o złej sytuacji komisji szkolnej w parafii. I o tym nieudolnym kuratorze, którego nigdy nie było, kiedy coś się działo. Właśnie przysłał pismo z prośbą o zwolnienie go z funkcji na okres jesienny, bo musiał zebrać ziemniaki z pola i miał kilka innych rzeczy do załatwienia.

Przy takim kuratorze nie należało się dziwić, że dzieci zaniebdywały szkołę. A kary pieniężne nakładane na rodziców trudno było egzekwować.

– Jeśli chodzi o biedotę, nie pomoże nawet „prawo cesarskie” – stwierdził z rezygnacją pastor.

A potem chciał zapytać, czy Beniamin brałby pod uwagę zastąpienie Larsa Larsena na tym stanowisku. Potrzebny był młody człowiek, który znałby wartość formalnej nauki, ale jednocześnie rozumiał trudne warunki najbiedniejszych. On jako doktor był odpowiednią osobą.

Beniamin okazał zaskoczenie, ale pochlebiła mu ta propozycja. Potrząsnął jednak głową i poprosił pastora o wybaczenie, uważał, że nie nadaje się do takiej pracy. Gdyby natomiast chodziło o udział w komisji sanitarnej, to w tej materii czuł się bardziej

kompetentny.

– W komisji sanitarnej mamy naszego drogiego lekarza okręgowego, ale w charakterze kuratora brakuje nam kogoś takiego jak pan.

Wielebny bezskutecznie starał się go przekonać i opowiadał o najbardziej leżącej mu na sercu sprawie, jaką było kształcenie przyszłych pokoleń.

I to nie kwestia tych kar spędzała mu sen z powiek, tylko to, że dzieciaki nie dostawały takiej możliwości nauki, jaka wedle prawa im się należała.

Anna zapytała, dlaczego rodzice nie posyłają dzieci do szkół.

– Są dwa ważne powody. Jeden to choroby, szczególnie te zakaźne, jak doktor sam wie, a drugi to pogoda. Ludzie chcą trzymać dzieci w domu do prac sezonowych, jako pomoc przy połowach czy wyrękę w innych robotach. Niektórzy są tak biedni, że nie mogą zapewnić dzieciom nawet ubrań i jedzenia, żeby mogły pójść do szkoły. Są zbyt dumni, żeby poprosić komisję socjalną o pomoc. W takich wypadkach łatwiej jest powiedzieć, że dziecko jest chore. No i jeszcze mamy kwestię rodziców zastępczych, wykorzystujących te biedne dzieciaki do pracy, no i w związku z tym wymyślających wszelkiego rodzaju kłamstwa, żeby zachować tanią siłę roboczą i nie być zmuszonym wyposażyć dzieci w rzeczy niezbędne do szkoły.

– Ale czy nic nie możecie z tym zrobić? – zapytała Anna.

– W tym roku wezwaliśmy pięcioro dzieci na przymusowe nauczanie w Strandstedet, bo ani razu nie stawily się w szkole. Problem polega na tym, że mimo dwóch ogłoszeń nadal nie mamy nauczyciela. Jedną z przyczyn jest pewnie płaca. Niestety, rada okręgu tego nie widzi. Ale też i w naszej parafii nie ma wielu ludzi,

którzy mogliby przyjąć takie stanowisko. Dzieci, które trafiają na przymusowe nauczanie, często nie są łatwe.

Anna zapytała, co jest wymagane.

– Na szczęście znajomość lapońskiego nie jest konieczna, ale potrzebna jest solidna wiedza na tematy dotyczące Kościoła, biegłość w nauczaniu czytania, pisania i rachunków. No i autorytet. To często jest przyczyną porażki. Nauczyciele wolą korzystać z różgi niż z naturalnego autorytetu.

– Szkoda, że nie mówię porządnie po norwesku – rzekła Anna.

Małomówna żona pastora, która rzadko wtrącała się do rozmów prowadzonych przez męża, ożywiła się.

– Pani Grønelv czuje powołanie nauczycielskie?

– Nie wiem, czy mogę użyć tak wielkich słów. Ale ciekawie byłoby spróbować. Mój ojciec zadbał o moje wszechstronne wykształcenie, jeśli mogę sobie pozwolić na taką nieskromność. Ale zdobyłam je oczywiście w Kopenhadze, a tutaj to chyba nie wystarcza? – rzekła, rzucając szybkie spojrzenie w stronę Beniamina.

Popatrzył na nią ostrzegawczo. Wzrokiem, który mówił: Nie, wielebny nic nie wie o moim braku prawa do wykonywania zawodu.

– Ale pani Grønelv ma pewnie więcej niż dosyć pracy z prowadzeniem dużego domu? – stwierdziła żona pastora.

Anna zaczerwieniła się i poczuła nieswojo.

– W domu wszystko dzieje się we własnym rytmie, mamy dobrych ludzi – rzekł szybko Benjamin.

Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Anna nosiła się z zamiarem nauczania. Podejrzewał, że ona sama też tego nie wiedziała. Ale nie chciał widzieć jej skrępowanej.

Pastor, który pojął, że mylił się, przypuszczając, iż udziela ślubu brzemiennej pannie młodej, zapalił się do pomysłu.

– Gdyby mogła pani wyobrazić sobie sytuację, w której czyniłaby takie dobro, to może duński nie byłby przeszkodą? Poprzedni nauczyciel był w końcu Kwenem i niespecjalnie radził sobie zarówno z pisaniem, jak i mówieniem po norwesku. Mówi pani przecież piękną duńszczyzną, pani Grønelv. A chodzi tylko o parę tygodni przed świętami Bożego Narodzenia. Gdyby pani zechciała zaszczepić im najważniejsze kwestie z norweskiego katechizmu. A zrozumienie liczydła jest możliwe w dowolnym języku świata – dodał z uśmiechem.

Ku zdumieniu Beniamina Anna odparła, że jest pewna, iż dałaby sobie z tym radę, jeśli pastor ma odwagę ją polecić.

– Mój ty Boże! – zawołała entuzjastycznie żona pastora.

Pastor zamierzał porozmawiać z komisją szkolną. Nie mieli wyboru. Bo jaka inna możliwość czekała te sieroty trafiające pod opiekę ludzi, którzy nie brali ich z chrześcijańskiego obowiązku, tylko jako darmową siłę roboczą?

– Ale to nie będzie dla pani łatwe zadanie! – dodał.

– Nie mogę się doczekać! – odrzekła Anna.

– Kiedy mam dla pani spędzić te zagubione owieczki do sali parafialnej?

– Kiedykolwiek.

– Serce pastora się raduje. A pan, doktorze? Ma pan jakieś zastrzeżenia?

Beniamin nie miał czasu zastanowić się, czy i jakie ma zastrzeżenia. Ale potrząsnął głową z uśmiechem.

– Świetnie! Powiadomię komisję szkolną. Trzeba poczynić przygotowania. Co to ja takiego miałem powiedzieć: Aha, czy

kiedykolwiek stała pani przed grupą uczniów?

– Tylko uczniów gry na fortepianie.

– Na fortepianie! No tak, przecież. Pani jest utalentowana muzycznie. Ale skoro tak, to musi mieć pani do dyspozycji psalmodikon.

– O ile dzieci chodzi? – zapytała Anna.

– Pięcioro. Od dziesięciu do piętnastu lat. Czterech chłopców i jedną dziewczynkę.

– Czy nie lepiej byłoby prowadzić nauczanie w Reinsnes? Jest tam dosyć miejsca. I fortepian. Chłopcy mogliby spać w izbie czeladnej, a dziewczynka ze służącymi w głównym budynku.

– Ależ droga pani, to wielka gościnność z pani strony. Ale o tym powinniście porozmawiać najpierw we dwójkę. Bo nawet nie wiem, czy dzieci nie mają świerzbowca lub innego robactwa.

– Tego damy radę się pozbyć – powiedział Benjamin bezbarwnym głosem, jako że wszystko zaczęło go nieco przerastać.

Ale Anna najwyraźniej gotowa była ratować nieuków z północy. On chyba też powinien. I kiedy opuszczali dom pastora, Anna przeszła już na „ty” z nim i z jego rodziną. Benjamin zwrócił uwagę, że wielebny z największą oczywistością powiedział „do zobaczenia, droga Anno!”.

*

Wkrótce potem dostali wiadomość, że nauczanie przymusowe odbędzie się w Reinsnes w pierwszych dwóch tygodniach listopada. Mieli otrzymać zwrot za noclegi i wyżywienie pięciorga uczniów, prócz tego uczniowie musieli sami co nieco zabrać. Mieli jednak dostawać na miejscu prostą, codzienną strawę.

Pani Anna Grønelv, która w swej dobroci przyjęła na siebie tę odpowiedzialność, miała otrzymywać wynagrodzenie w wysokości

dwóch talarów tygodniowo.

Wielebny osobiście miał przeprowadzać inspekcje i nadzorować sprawę, aby mieć pewność, że nauczanie odbywa się w odpowiedni sposób, zgodnie z norweskim prawem. Miał już okazję stwierdzić, iż jej język jest dostatecznie zrozumiały, a wiedza i umiejętności w wymaganych dziedzinach są właściwe i oparte na solidnych podstawach.

Anna przybiegła, niosąc list, i triumfująco rzuciła go na stół przed Andersem i Beniaminem.

Beniamin odczytał go głośno.

– No proszę, proszę. Ale zdajecie sobie sprawę, o jakich nicponi tutaj chodzi? – zapytał Anders.

– Dwoje z nich już wysłałem na porządne odwyszawianie – zarechotał Beniamin, patrząc prowokacyjnie na Annę.

– Chodzi tylko o to, żeby nie wyzarli nam wszystkiego w domu – takie było kolejne zmartwienie Andersa.

– Będą przecież mieli ze sobą jedzenie – stwierdziła Anna.

– Jeśli dobrze znam Bergljot, to nie będzie tak wyglądało, że siadą zjeść samotnie swoje kawałki zapleśniałego chleba – odparł Anders.

– Ale przecież dostanę cztery talary jako wynagrodzenie i pokrycie kosztów wyżywienia. I będą to tylko dwa tygodnie!

– Tak, oczywiście, oczywiście! – wymamrotał Anders i nie miał już nic więcej do dodania. W jego oczach Anna była w Reinsnes jedyną osobą pozbawioną wad. Miał wiele radości z przytakiwania jej w większości spraw.

Sara pomogła Annie w zorganizowaniu szkoły dla tych obcych chłopców, nocujących w izbie czeladnej. Ta sama dziewczyna, która nigdy na nikogo nie patrzyła ani nic nie mówiła, tylko dygała.

Miała tak dziurawe pończochy, że Stine zrobiła jej na drutach nową parę.

Powiedziano im, że są na nauczaniu przymusowym. Karnie też pozwolono brać udział w lekcjach pod warunkiem, że będzie siedziała cicho. Zajęli największe pomieszczenie w izbie czeladnej, w piecu huczało, a Anna odpytywała obce dzieci z lekcji, opowiadała, śpiewała albo czytała.

Mówiła tak powoli i wyraźnie, że można było zasnąć. Ale nagle, w środku opowieści, zmieniała ton, bo wydarzało się coś, czego nie warto byłoby przeoczyć.

*

Karna słuchała, jak Sara i Anna planują następny dzień nauki. Anna starała się przyzwyczać do norweskich słów w podręcznikach.

– Szybko się uczysz! – rzekła Sara.

Wtedy tatuś i Anders uśmiechnęli się, a Sara zaczęła mówić o Mathilde, która nigdy się nie odzywała.

– Mam wrażenie, że nie potrafi czytać – stwierdziła z ubolewaniem Anna.

– Ależ nie, czyta codziennie. Widziałam i słyszałam za każdym razem, kiedy siedziała w izbie czeladnej. Nikt z nich nie czyta tyle co ona.

– To dlaczego nie odpowiada, kiedy ją pytam?

– Ty mówisz: Powiedz mi, ilu ludzi Bóg stworzył na początku! Ale wydaje mi się, że powinnaś powiedzieć: Przeczytaj mi o tym z książki.

– Dlaczego? Przecież nie powinna czytać, tylko znać to na pamięć.

Sara westchnęła, spoglądając na Andersa i tatusia

w poszukiwaniu pomocy. Ale najwyraźniej mało ich to obchodziło. Zajmowali się każdy swoimi sprawami.

– Ona boi się, kiedy ma coś opowiedzieć. Bo nie uważa, że ma cokolwiek do powiedzenia. Ale jeśli powiesz, że ma przeczytać fragment z książki, to będzie wiedziała, co ma robić.

Następnego dnia Anna powiedziała do dziewczynki:

– Wstań, Mathilde, i przeczytaj lekcję, której miałaś nauczyć się na dzisiaj, o stworzeniu świata według Biblii!

A dziewczynka podniosła się, złożyła dłonie pod brodą, skierowała wzrok na lampę wiszącą wysoko u powały. Potem zaczęła mówić. Słowa płynęły z jej ust nieprzerwanym strumieniem. O Bogu, Adamie i Ewie. Karna miała uczucie, że pastor nie zrobiłby tego lepiej.

Głos dziecka brzmiał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy się zwyczajnie odzywała. I trwało to tak długo, że Karna bała się, iż będzie musiała iść do wychodka. To okropne, jak długo mogła ciągnąć się lekcja.

Dziewczyna nie miała nawet czasu odetchnąć. Przez cały czas mówiła i gwałtownie wciągała powietrze, kiedy już nie mogła dłużej wytrzymać. Więc Karna pomyślała sobie, że teraz na pewno upadnie. Ale nie upadła.

Potem nagle ucichła. Powiedziała „Amen”, dygnęła i usiadła.

– Dziękuję, Mathilde, nigdy nie słyszałam tak doskonale wyuczonej lekcji! – powiedziała Anna. Sprawiała wrażenie tyleż zadowolonej, co przestraszonej. Raczej przestraszonej, zdaniem Karny.

Natomiast Sara i chłopcy byli tak zachwyceni, że wszyscy szczyrzyli zęby w uśmiechu. U jednego z największych chłopców Karna mogła nawet dostrzec czerwony język.

Od tej pory Anna mówiła zawsze: Wstań i „przeczytaj” lekcję.

*

Pewnego dnia Karna upadła w samym środku przymusowej nauki, zanim zdążyła się czegokolwiek przytrzymać.

Po tym zdarzeniu zrozumiała, że już jej tam nie chcą. Nie powiedzieli tego, ale patrzyli na nią tak dziwnie.

Spytła tatusia, dlaczego tak się dzieje, a on stwierdził, że przestraszyli się, bo to wyglądało dla nich bardzo groźnie, kiedy tak po prostu upadła, a oni nie wiedzieli dlaczego. Nie było co się tym martwić.

Zanim stali się świadkami jej upadku, rozmawiali z nią i zabierali ją na plażę, gdy szli się bawić. Ale teraz tylko wpatrywali się w nią szeroko otwartymi oczami.

Obcy zawsze patrzyli dziwnie na jej oczy, jedno niebieskie, a drugie piwne. To jeszcze można było znieść. Poza tym prawie nigdy nie chadzała gdziekolwiek bez tatusia.

Ale kiedy te dzieciaki przyjechały do Reinsnes i dziwnie na nią patrzyły, chciała tylko, żeby pojechały już w swoją stronę.

Tatus pomógł jej zrobić pięć linii na kartce. Każdego dnia miała przekreślać jedną z nich, tak żeby powstał krzyżyk. Dzięki temu wiedziała, ile dni jeszcze zostało. Trochę to pomogło, ale nie za wiele.

Kiedy tatuś i ona byli razem, nie przeszkadzało jej, że Anna trzyma się z tymi obcymi.

Pragnęła, aby wyznał jej, że nie mógłby bez niej żyć. Za każdym razem tego chciała. Ale on nigdy tak nie powiedział.

Natomiast czasami mówił:

– Karno! Moje ukochane dziecko!

Zawsze w tym dziwnym języku.

Kiedy pytała, dlaczego tak mówi, odpowiadał:

– Tu u nas ludzie używają słów do nazywania przedmiotów i opowiadania, co robią. Kiedy mówię po duńsku, mogę wyrazić, co czuję i jak mi jest.

Rozdział siedemnasty

Zima była ciężka, a wiosna nie chciała nadejść. Śnieg ciągle leżał. Ale w kwietniu zła pogoda odpuściła i pokazały się wczesne oznaki wiosny. Nadeszła pierwsza wiosna Anny na północy.

Niewiele na ten temat mówiła, ale przez pewien czas, kiedy miała świadomość, że w rodzinnej Danii jest już ciepło, a ona tutaj musi nosić futro, jej oczy były pełne rozpacz.

Pewnego dnia znalazł ją w ogrodzie obejmującą ramionami młodą brzoźkę. Drzewo i ona sama zanurzeni byli w metrowej warstwie śniegu. Ten widok sprawił, że poczuł się słaby. Stali tam przez chwilę blisko objęci, a on ją kołysał, tak jak robił, pocieszając Karnę.

– Anno! Anno! Jest ci ciężko?

Nie odpowiedziała.

– Możesz pojechać na trochę do Kopenhagi – szepnął.

Ale ona potrząsnęła głową, objęła go za szyję i ukryła w nim twarz.

Od tej pory przyglądał jej się uważnie. Starał się umilać jej czas. Zabrał ją na wyspy położone na południu. Nad otwarte morze, gdzie nie było już śniegu. Miał wrażenie, że to pomaga. Znów zaczęła mówić o tym, że chciałaby być malarką i uwieczniać

światło.

– W twoich stronach światło jest zielone. Przebija się jak kolumny przez chmury. Spójrz! – rzekła z zadziwieniem, które go poruszyło.

Pewnej nocy w połowie czerwca nadpłynęło letnie ciepło i roztopiło ostatni kawałek śniegu za altaną.

Rankiem Anna zauważyła, że trawa pod śniegiem chyba się zazieleniła. Wpadła do domu, jeszcze zanim wstał z łóżka, i chciała, żeby poszedł razem z nią obejrzeć wiosnę.

I kiedy tak stała boso na lodowatej, zielonej trawie i płakała urywanym, twardym szlochom prosto w jego ramię, poczuł coś na kształt wdzięczności. Bo oczy Anny dostrzegały i radowały się rzeczami, które on sam ledwo zauważał.

*

Zobaczył to od razu. List z Kristianii. Parzył go w dłonie.

Anna stała przy stole i czekała. Słyszał, jak nabiera powietrza. Ale już go nie wypuściła.

Na zwirowej ścieżce słyhać było czyjeś głosy. Dźwięk wiadra spuszczanego do studni. Zaraz potem dobiegł go pisk korby i szcęk łańcucha uderzającego o żelazne okucie. Minęła wieczność, zanim wiadro uderzyło w krawędź studni.

Poszedł na drugi koniec pokoju po nożyk do otwierania listów, ale go nie znalazł.

– Anno, gdzie jest nożyk do listów? – zapytał cicho.

– Boże święty, musisz mieć nożyk?

Słyszał, że wypuściła powietrze, chociaż tego nie zauważył.

– Tak byłoby najlepiej – odrzekł tylko.

Przeszła pospiesznie obok niego i udała się do spiżarki, skąd wróciła z nożem kuchennym.

Wziął go, pojmując, że teraz już musi otworzyć.

Stała i niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, wyciągając ku niemu ręce. Jakby najchętniej zrobiła wszystko sama.

Wtedy rozdarł kopertę i wyjął z niej sztywną kartkę papieru. Ważył ją w dłoni przez chwilę, odłożywszy kopertę na stół jadalny, a potem rozłożył list.

...na mocy ustawy z dnia 29 kwietnia 1871 roku przyznaje się prawo do wykonywania zawodu obywatelowi norweskiemu, kandydatowi Benjaminowi Grøneltowi z Reinsnes, absolwentowi uniwersytetu medycznego w Kopenhadze, Universitas Hafniensis, i wyraża się zgodę na prowadzenie przez niego praktyki w Norwegii z takimi samymi zobowiązaniami, jakie spoczywają na lekarzach kształconych w Królestwie, obejmuje to obowiązek składania corocznych raportów medycznych, zawiadamianie o epidemiach i przypadkach chorób zakaźnych oraz zgłaszanie zmian miejsca zamieszkania właściwemu lekarzowi urzędowemu itp.

Podał Annie list, wydając gardłowy dźwięk niepodobny do jakiegokolwiek słowa.

Przez wiele tygodni czuł się niezwykły.

*

Od chwili, gdy Hanna stała się panią Olaisen, widywali się tylko wtedy, gdy absolutnie nie dało się tego uniknąć. Sporadyczne wizyty, do których planowania starał się nie przyczyniać i nie włączać w przygotowania.

Jakoś pogodził się z białymi zębami i samozadowoleniem ekspedytora parowca. Hanna wybrała tego mężczyznę. Cóż więcej można było powiedzieć?

Olaisen budował przystań i pomieszczenie na telegraf. Kupił ziemię od szczytu wzgórza aż do morza i przejął wszystkie najlepsze skały pod sztokfiszę. To, że wszystkie jego działania przynosiły pieniądze, było przecież z korzyścią dla Hanny.

Po ożenku zabrał się do budowy domu, jeszcze zanim mróz puścił ziemię. Piętrowy budynek wznosił się teraz na szczycie wzgórza. Pomalowany na biało, z płotem ze zdobionych desek otaczającym ogród i gołębnikiem łudzaco podobnym do tego, który stał w Reinsnes.

Beniaminowi to się podobało. Podobnie jak reprezentacyjna weranda z kolorowymi szybami i kogut na kalenicy wskazujący kierunek wiatru.

Hanna nie szła już dla ludzi, tylko chadzała na wizyty. Z rzadka zajeżdżała również do Reinsnes. Z wielką torbą zakupów i walizką pełną wszelkiego rodzaju prezentów dla Stine i Tomasza.

Ale nigdy nie informowała o swoim przyjeździe Beniamina i Anny, zanim sami jej nie zobaczyli.

Pewnego czerwcowego dnia siedziała jako ostatnia pacjentka w ciasnej poczekalni w Strandstedet.

Uprzejmie zaprosił ją do gabinetu.

Kiedy wstała i podeszła do niego, poczuł w piersi jakiś ciężar. A gdy drzwi się zamknęły, rzucił wzrokiem ponad parawanem w stronę okna, żeby zobaczyć, czy ktoś tam nie stoi. Dlaczego to robił? Wiedział przecież, że zajrzenie do tego pomieszczenia jest prawie niemożliwe. A jednak niepokój zagnieździł się w jego głowie, jakby przyjmując Hannę w ten czwartek w charakterze pacjentki, dopuszczał się czegoś niedozwolonego.

Zmusił się, żeby myśleć rutynowo, i podszedł do miski umyć ręce, tak jak zawsze to robił. Potem wytarł je starannie, usiłując

wymyślić coś zupełnie zwykłego, co mógłby powiedzieć.

– W czym można dziś pomóc Hannie?

Lekko niespokojnym ruchem przesunęła torebkę na kolanach.

– Nie, chyba nic mi nie jest, w zasadzie...

Przerwała.

Próbował zgadnąć, co takiego może trapić Hannę, o czym trudno byłoby jej mówić. Przyglądał jej się ukradkiem. Szukał wzrokiem oznak tego, co zwykle dolegało od niedawna zameżnym kobietom. Ale miał wrażenie, że w takim wypadku nie przyszłaby do niego, bo to przecież nie choroba.

– Chciałam tylko popłynąć z tobą do Reinsnes, o ile jedziesz dziś do domu?

Ze wszystkich rzeczy, jakie przemknęły mu przez głowę przez tę krótką chwilę, tej możliwości nie wziął pod uwagę. Chodziło więc o coś innego, czego nie miała odwagi powiedzieć?

Nie widział jej od świąt wielkanocnych. Wyglądała bardziej świeżo i zdrowo niż kiedykolwiek. A więc sprawy raczej miały się tak, jak od razu sobie pomyślał. Doznał nieprzyjemnego uczucia.

Opromieniał ją złocisty blask. Żakiet ciasno opinał piersi.

Popłynąć z nim? Oczywiście, nie ma problemu. Ale po drodze musiał zawinąć do Vika, żeby obejrzeć jakieś szwy, które zaczęły się paprać.

– Nie zawsze zrasta się równie dobrze, nawet jeśli jest ładnie zszyte – rzekł z lekkością.

Ależ to nic nie szkodzi, ona również miała ze sobą robotę do szycia. Będzie mogła czekając popilnować łódki w razie przypiływu.

Uśmiechnęła się z wahaniem i zapytała, kiedy ma być gotowa.

– Jeśli dolega ci tylko tęsknota za domem, to płynmy od razu – rzekł.

Zaczerwieniła się, ale nie odpowiedziała.

*

Kiedy szli razem, chciał pomóc jej nieść koszyk. Ale stwierdziła, że nie jest ciężki, i przełożyła go do drugiej ręki.

Wyjął go jednak z jej dłoni i zapytał, co słyhać u Isaka.

– Zarówno mój mąż, jak i Isak mają się dobrze.

Głos miała cichy. Zupełnie jakby się bała, że ktoś czai się w przydrożnym rowie i nadśluchuje.

Kiedy oddalili się już nieco od domów, zebrał się w sobie i zapytał:

– A ty sama? Jak się ma Hanna?

– Dobrze, dziękuję – chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– Wyglądasz kwitnąco!

Zerknęła na niego z ukosa, a potem rzekła szybko:

– Spodziewamy się dziecka.

Nie, że ona się spodziewa. Nie ona, my! Był w tym triumf. Może nawet szyderstwo? Cóż mógł o tym wiedzieć.

Oczywiście, że była brzemienna. Widać to było na pierwszy rzut oka. Odchrząknął i uśmiechnął się ostrożnie, przyglądając jej się cały czas.

Była taka drobna. Zawsze czuł się przez to większy, niż faktycznie był. Doszli teraz do miejsca, gdzie osłaniały ich zabudowania przystani. Na błotnistej, polnej drodze nikogo nie było widać, więc pomyślał, że może jej dotknąć. Życzyć jej szczęścia czy coś w tym rodzaju.

Począł jednak, aż zeszli do pomostu na przystani i koszyk stał już na ziemi.

– Ekspedytor pewnie się cieszy, prawda? – zapytał, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Cieszy? Ależ oczywiście.

Cofnął dłoń i nałożył rękawice, żeby wyciągając łódkę, nie zniszczyć sobie doktorskich rąk.

– Drugi miesiąc?

– Czwarty.

Skinął głową i schwycił łódź. Zsunęła się z szarpnięciem po śliskich kłodach. Zawisł w powietrzu, czując się niezdarnie i głupio.

Kiedy łódź już kołysała się na falach, a ona chciała dojść do niej, brodząc w wodzie, wydał ostrzegawczy okrzyk. Potem wziął ją na rękę.

Kamienie pod stopami były oślizgłe, ale stał pewnie. Przyprawiające o zawrót głowy uczucie pożądania sprawiło, że chwycił ją mocniej, niż zamierzał. Nie widział wyraźnie. Czuł tylko jej oddech na twarzy.

Zarzuciła mu ramiona na szyję tak jak kiedyś. Jak dawno temu? Kto wiedział coś pewnego na temat czasu?

Stanął nieruchomo. Łódź odsunęła się i zaczęła kiwać, objając się o jego udo. Raz za razem. Łódź była czasem dźgającym go po ciele. A ona była taka lekka. Jak złocisty, dobrze znany ptak. Który stał się obcy i zniknął.

Teraz stał, trzymając ją w ramionach. Tamtych ramionach z dawnych czasów. W sianie. Na ugorach. Na strychu. W stajni. W jednej z wielu komórek w wielkim domu. I ostatnio, w izbie.

– Postaw mnie – szepnęła, trzymając go mocno.

Zrobił, jak prosiła, a ona zwolniła uścisk.

Ale już nie byli dla siebie obcy.

Z zachodu wiała rześka bryza, więc kiedy postawił żagiel, ruszyli dość szybko.

Podał jej swoją kurtkę z foczej skóry, a ona zawinęła się w nią

i siedziała bez ruchu na dziobie łodzi.

Kiedy musieli zmienić kierunek, żeby zawinąć do Vika, morze uderzyło w nich z boku. Unieruchomił ster i znalazł zapasowy żagiel, którym mogła dodatkowo się okryć.

Otuliła się najszczelniej, jak umiała, ale widział, że już jest przemoczona.

– Mam nadzieję, że się nie boisz? – zawołał z miejsca dla sternika.

Potrząsnęła głową.

Kiedy znaleźli się już na spokojnej wodzie przy nabrzeżu, powiedział:

– Nie powinienem był żeglować tak ostro, cała przemokłaś.

– Nie można było płynąć inaczej – stwierdziła.

*

Kiedy powrócił z Vika, siedziała na skrzynce, patrząc w przestrzeń. Węzeł włosów rozplótł się i wysunął spod czepeczka. Podmuchy wiatru uniosły ciemne pasma wysoko w powietrze, wyglądały teraz jak czarne smugi na niespokojnym niebie.

Strzepnęła z pończoch krople wody i powiesiła je do wyschnięcia na wietrze. Pozostawiły po sobie mokre ślady na najbliższym kamieniu. Kiedy podszedł bliżej, wsunęła różowe palce u stóp pod spódnice.

Przez ten gest poczuł słabość. Miał przemożną ochotę uklęknąć przed nią i schować jej stopy w dłoniach. Wetknąć je sobie pod koszulę i trzymać tam tak długo, aż się ogrzeją.

Naciągnęła pończochy oraz buty i sama wskoczyła do łódki, opierając się o kamień.

Kiedy opłynęli przylądek i wiatr boczny uderzył w prawą burzę, pojął, że dalsza żegluga może być trudna. Morze pociemniało

i zrobiło się groźne.

Krzyknął do niej, że zamierza płynąć wzdłuż lądu i między wyspami, chociaż potrwa to dłużej.

Nie był w stanie dosłyszeć odpowiedzi.

Ustawił łódź dziobem do fali, próbując się na niej położyć, ale zrobił to za późno i fala przewaliła się przez nich. Poczul lodowaty szok i w mgnieniu oka został przemoczony do suchej nitki.

Widział, że skuliła się, trzymając się mocno ławki, a on w tym czasie miał ręce pełne roboty, usiłując wydostać ich z niebezpieczeństwa.

Potem nadszedł deszcz. Runął na nich. Uderzał raz z góry, raz zacinał z boku. Z tym wszystkim mieszała się wysoka fala. Lodowata i natarczywa.

Łódź przyspieszyła, zanurzyła się między fale, zadrżała i wypłynęła z powrotem niczym korek miotany po morzu.

Musimy schronić się przy lądzie, pomyślał, ale nie był w stanie zawrócić. Przez chwilę próbował chociaż dryfować po wodzie między falami. Po krótkim czasie zmienił kierunek na tyle zdecydowanie, na ile pozwoliła mu odwaga, i skierował łódź do najbliższej wysepki. Jakoś się udało. Dziób z dziką siłą zaszorował o przybrzeżne kamienie.

Wychylił się przez burtę i przy kolejnym uderzeniu fali wciągnął łódkę na ląd. Hanna wyskoczyła i pomogła mu wyjść. Stali teraz oboje oparci o burtę i przemoczeni na wskroś, ciężko dysząc.

Równocześnie podnieśli wzrok. Szczękała zębami, a dłonie jej drżały.

– Boże jedyny, Hanno – jęknął.

Nie odpowiedziała.

Kiedy unieruchomił już łódź między dwiema skałami, wyjął

skrzynkę, torbę doktorską, balast i wszelkie inne podrózne drobiazgi, próbował obrócić łódź kilem do góry.

Złapała za burtę po drugiej stronie. Wiedziała, co należy robić. Przednie i tylne ławki uderzyły z hukiem o ziemię, a woda gwałtownym strumieniem przelała się między dulkami.

Wciągnęli łódź na skałę wystarczająco głęboko, że powstał pod nią otwór, przez który mogli dostać się do środka. Na ile dał radę, przykrył piasek zapasowym żaglem i pokazał jej gestem, że ma wczłgać się pod łódź.

– Musisz zdjąć te mokre ubrania – rzekł.

Skuliła się tylko, obejmując ramionami kolana.

– Masz chyba coś suchego w koszyku?

W tym momencie zrozumiał, że nie chce się przebierać w jego obecności.

– Hanno, odwróć się – spróbował ponownie.

Nie odpowiedziała.

– Proszę, bądź rozsądna – powiedział i odrętwiałymi palcami zaczął mocować się z jej guzikami.

Siedziała bez ruchu i nadal drżała.

Wtedy sam zdjął mokrą koszulę oraz podkoszulek i z nagim torsem podpełzł w stronę otworu. Pozwolił deszczowi się obmyć, potrząsając jednocześnie czupryną z boku na bok z czymś w rodzaju wściekłości.

Właśnie szykował się, żeby półnagi wyjść na deszcz i wiatr, aby mogła zostać sama, kiedy poczuł na plecach lekkie klepięcie dłoni. Lodowatej i wilgotnej.

– Ty głuptasie – usłyszał spod łodzi.

Minęła chwila, wieczność, sekunda. Któż to wie w takich momentach. Potem wycofał się pod skorupę łodzi.

– A więc? – zapytał, szcękając zębami.

Wtedy tak jakby się przebudziła. Zaczęła grzebać w swoim koszyku, aż znalazła lnianą koszulę, bluzkę i parę niewymownych.

Na wpół leżąc, a na wpół klęcząc pod nisko sklepionym schronieniem, zdejmowała z siebie z mozołem kolejne rzeczy.

Usiłował nie patrzeć.

Włosy! Wyżeła je, jakby to była znienawidzona część garderoby. I raz tu, raz tam w półmroku jarzyły się jej oczy. Jak drobne zwierzęta morskie jaśniejące w czarnej wodzie. Prosiły o łaskę i prowokowały.

Dlaczego zdjęła z siebie wszystko? Dlaczego rozbierając się z kolejnych ubrań, nie wkładała od razu nowych? Dlaczego?

Kiedy sięgnęła po pierwszą suchą rzecz, stracił rozum.

*

Leżeli jak najdalej od siebie na twardym, mokrym pościaniu. Ale kiedy nadeszła noc i dała im poznać swoją władzę, przysunął się do niej, nakrywając ich tym, co było pod ręką.

– Bylebyś nie rozchorowała się z przemarznięcia – wyszeptał.

Dopiero gdy poranne słońce wdarło mu się pod powieki, pojawił, że na dłuższą metę może ich to kosztować więcej, niż będą w stanie zapłacić.

– Musisz odwieźć mnie do domu, do Strandstedet – powiedziała, kiedy siedzieli już w łodzi.

Nic na to nie odpowiedział. Nie zapytał.

– Wysadź mnie na ląd w zatoce na zachód od kościoła – poprosiła.

– Dlaczego? Stamtąd masz daleką drogę do przejścia.

– On mógłby nas zobaczyć – odparła ledwo dosłyszalnie.

Chciała zostać wysadzona na ląd ukradkiem, żeby mąż ich nie

zauważył.

– Hanno, ludzie widzieli, jak wsiadamy razem do łodzi. Nic nie możemy poradzić na to, że pogoda się popsuła – stwierdził, zmuszając się do uśmiechu.

Przeszli przez Vaeret, mijając po drodze wiele okien. A on niósł jej koszyk.

– Wszystko jedno, nie chcę, żeby teraz nas ktoś zobaczył.

– Żałujesz, że popłynęłaś?

Minęła chwila. Któż, do cholery, wie coś pewnego o czasie? Zanim pojmie, co się dzieje.

– Nigdy w życiu, nawet jeśli miałabym za to umrzeć w połogu!

Wyrzuciła te słowa, spluwając po nich tak, jakby wymawiała zaklęcie. Utkwione w nim oczy nie miały dna. Ciemne włosy były ciasno związane pod czepcem, a wysokie kości policzkowe promieniały blaskiem.

Podeksytowane mewy łowiły ryby, tocząc boje. Słońce raz za razem przedzierało się przez niespokojne niebo. Wiatr był jak zamówiony, żeby wpłynąć do zatoki za kościołem.

W samym środku cieśniny Sund zapytała:

– Jeśli znów będę spodziewała się dziecka, będziesz miał odwagę się ze mną spotykać? Tak jak teraz?

Chwilę trwało, zanim zrozumiał znaczenie jej słów. Była zaczerwieniona aż po szyję, ale wpatrywała się w niego wyzywająco.

– Jeśli znów będziesz spodziewała się dziecka? Dlaczego tak mówisz?

– Moje dzieci nie będą bękartami. Mój grzech pozostanie tylko moim grzechem.

Starał się zrozumieć, co czuje. Wymyślić, co powinien

odpowiedzieć, żeby nie kłamać.

– Nie, Hanno! Ale niczego nie żałuję.

W sporej jeszcze odległości od lądu unieruchomił ster i przysunął się do niej blisko.

– Nie odchodź ode mnie i nie stawaj się obca, Hanno. Popatrz na mnie!

Tulili się do siebie w milczeniu.

*

Kiedy był w drodze do domu, nadszedł lęk.

Czy ona to zaplanowała? Sprowokowała ich oboje? A może to on? Tylko czekał na okazję? Albo, co gorsza, może jednak powinien był związać się na zawsze z Hanną?

*

Anna szalała z niepokoju na myśl, co mogło się stać. Jej niepokój zmienił się w równie gwałtowną radość, kiedy zobaczyła jego łódź opływającą wzgórze z masztem i cumującą w przystani.

Narzuciła szal i pobiegła mu na spotkanie, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Kiedy ją objął, nie był sobą. Zrobił to ktoś inny. Ktoś, kto przyglądał się jej z zewnątrz i widział, jak bardzo schudła.

Ten drugi uspokoił go, że nie mogła stać się taka przez jedną noc.

Czy dlatego miał takie uczucie, bo jeszcze trzymał w ramionach tę drugą?

Nie chciał o tym myśleć, czuł jedynie bezradność, zrobiła się taka szczupła, a on tego nie zauważył.

– Jesteś mokry! – krzyknęła przerażona. – Myślałam, że morze cię zabrało!

– Nie, tym razem też mu się nie udało. Ale teraz już, jak mi Bóg

miły, na pewno naprawię drogę przez góry – wymamrotał.

*

A kiedy wieczorem leżeli w łóżu z baldachimem, a on opowiadał jej o sztormie, o nocy pod skorupą łódki, brzmiało to tak, jakby wszystko, co mówił, zostało już oczyszczone i promieniało prawdą.

Hanny tam nigdy nie było. Dlatego nie wspomniał o niej ani słowem.

– Ale że też udało ci się odwrócić łódź samemu! – wykrzyknęła.

Ten drugi mężczyzna zajął Annie w oczy, całował ją w nosek, gładził po włosach. I nawet nie czuł winy, że poszło mu tak łatwo.

Rozdział osiemnasty

W Berlinie panowała lodowata zima, chociaż powinno już być wiosennie. Służąca przez cały dzień paliła w piecu. W końcu mury się rozgrzały.

Dina siedziała, trzymając w wypielegnowanych dłoniach dwa listy. Jeden nadszedł z Reinsnes, a drugi pochodził od znanego adwokata.

List z Norwegii szedł bardzo krótko, za to drugiemu dotarcie do niej zajęło wyjątkowo dużo czasu. Bo oba były datowane na dwudziestego drugiego lutego tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku.

W tym dniu kalendarz księżycowy wskazywał kamień. Znak wiary w to, że owego dnia święty Piotr rzucił rozżarzony kamień na ziemię, żeby ją rozgrzać i pozbawić lodu.

Siedziała naprzeciwko dużego lustra. Jej włosy przetykane były srebrem, ale zmarszczki ciągle jeszcze stanowiły raczej domysł niż rzeczywistość. Jakby skóra wiedziała, jak ma się bronić przed wiekiem, i okryła twarz cienką osłonką ochronną.

W trudnych chwilach lub wobec nagłych uczuć, tak jak w tej chwili, ta ochronna warstwa pękała, ujawniając prawdę.

Pokój był duży i zdradzał kosztowny gust, a jednocześnie był

niemal nagi w swej prostocie. Na ścianach wisiała sztuka. W kącie stała wiolonczela, a na środku pokoju fortepian. Nad tym wszystkim zwisał ogromny, kryształowy żyrandol, który dyskretnie dźwięczał, kiedy ktoś trzy piętra poniżej otwierał bramę albo gdy za oknem przetaczał się wóz.

Biały piec kaflowy zajmował cały jeden kąt od podłogi aż po sufit. Dzisiaj jego mosiężne drzwiczki były otwarte, a ogień rzucał błyski na regularny wzór parkietu.

List od adwokata złożyła starannie i schowała do szuflady pod koperty i arkusze papieru listowego.

Z drugim listem podeszła do jednego z trzech okien zwróconych w stronę ruchliwej ulicy, obsadzonej lipami. Otworzyła je i się wychyliła.

Pora dnia była późna, a w powietrzu wisiał śnieg. Uniosły się ku niej odgłosy końskich kopyt, pospiesznych kroków, toczących się beczek i kół powozów. Spod koron drzew spływały pasma słońca.

Rozłożyła list i trzymając go mocno pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, pozwoliła mu trzepotać miękko wśród płatków śniegu.

W tym samym momencie do bramy podszedł wysoki mężczyzna i chciał wejść.

Pomachała mu listem.

Nie podniósł głowy, więc włożyła do ust dwa palce i zagwizdała. Wtedy skierował twarz do góry, zdjął kapelusz i pomachał w jej stronę.

Uniosła dłoń trzymającą list i oddała go wiatrowi. Z powagą i bez jednego słowa lub okrzyku pozwoliła mu żeglować w powietrzu, podczas gdy oboje śledzili go wzrokiem.

Mężczyzna odstawił lekarską torbę i usiłował pochwycić arkusz.

Wyciągnął do góry swoje potężne ciało, próbując złapać go, ale na próżno. Wykonał kilka bezładnych, idiotycznych małych podskoków, zupełnie bezskutecznych.

Ale lekki wiatr bawił się listem, utrzymując go w powietrzu między płatkami śniegu, które zaczęły powoli przesiąkać przez papier. Atrament zaczął się rozpląwać, jeszcze zanim list stał się na tyle ciężki, że opadł na ziemię.

W końcu go złapał i stał przez chwilę z głową pochyloną nad arkuszem. Potem ponownie zwrócił twarz pod wiatr.

Ale ona zdążyła już zamknąć okno.

*

Wręczył jej list, całując ją. Ale nie przyjęła go. Przez chwilę leżał pomiędzy nimi. Z zamkniętymi oczami upuścił go tam, gdzie, jak sądził, stała jej toaletka z lustrem.

– Ty czarownico! Dlaczego zabawiasz się ze mną, rzucając list, którego po złapaniu już nie jestem w stanie przeczytać? Od kogo to?

– wymamrotał tuż przy jej ustach.

– Od Anny – odparła, pomagając mu zdjąć płaszcz.

Podszedł prosto do pieca i zaczął rozcierać ręce przy ogniu. Dmuchał w nie i rozmasowywał.

– Ach, od Anny – rzekł z roztargnieniem. – A co pisze?

– Osiadła w Reinsnes. Ale teraz jest tam mroczniej niż latem.

– W jakim sensie? – zapytał szybko.

– Zima.

– Ach, o to chodzi... A Benjamin?

– Dostał w końcu licencję lekarską.

– Ci Norwegowie są kompletnymi idiotami – rzekł z gniewem.

– No ale przynajmniej teraz już ją ma.

– Będziemy świętować?

Odwrócił się do niej i skinął głową, wskazując uchylone drzwi do sypialni.

– Nie teraz.

– Dlaczego jesteś taka niełaskawa?

– Myślę.

– O czym?

– O nich tam w domu.

Zaśmiał się, obejmując ją.

– A co sobie o nich myślisz?

– Jeszcze nie wiem.

– Ach, tak. A co jeszcze było w liście od Anny?

– Prosi, żebym przyjechała.

– Ale przecież cały czas o to proszą. Moglibyśmy w końcu pojechać!

– My?

– Tak, pojedę z tobą.

– Nie.

– A dlaczego nie?

– Gdzieś na północy czeka mój małżonek i krewni, których opuściłam.

– Ale przecież od tamtej pory minęło już pół życia. Twój mąż wie, że ty, że my...

– I dlatego mam go znieważać, przywożąc mu swojego kochanka?
Nie!

Przeszła spokojnie do sypialni i włożyła kapelusz.

Ruszył za nią i przyglądał się jej uważnie, myjąc ręce.

– Gdzie będziemy jedli? – zapytała.

Odwrócił się tak gwałtownie, że woda z mydłem rozprysnęła się dookoła.

– Rozwiedź się – powiedział ze złością.

Upięła mocno kapelusz szpilkami i schwyciła lusterko, żeby zobaczyć, jak to wszystko wygląda z tyłu.

– Nie!

– Chyba już najwyższy czas! Nieprawdaż?

– Nie mogę rozwieść się z Andersem.

Złapał ręcznik i chwiejnym krokiem podszedł do niej, wycierając się jednocześnie.

– A dlaczego nie, jeśli mogę zapytać?

– Nie sprowadzę hańby na brata, który nigdy nie uczynił mi nic złego, tylko samo dobro.

– Niech Najwyższy się zmiłuje, a zatem wysłaś za brata! Kazirodztwo, którego nie uprawiasz od lat. Poza tym zhańbiłaś go już dostatecznie, opuszczając go.

– Cicho!

Położyła mu palec wskazujący na ustach i potrząsnęła głową.

– Nie, do kurwy nędzy – rzekł zdecydowanie. – Czas podjąć tę decyzję. Pojedziesz do domu i wyjaśnisz sobie z nim wszystko. Anders to stary mężczyzna, zrozumie. Później możemy wrócić do Berlina i wziąć ślub.

– Później – kiedy?

– Jak już zobaczysz, że postąpiłaś słusznie, jadąc, postąpiłaś właściwie, wracając, podjęłaś dobrą decyzję, rozwodząc się z mężczyzną, który cię nie obchodzi.

– Akselu, jest jedna sprawa, o której cały czas zapominasz.

– Co takiego?

– To nie ty jesteś władny zmieniać moje życie i wpływać na moje myśli. Poza tym Anders mnie obchodzi.

– Pięknie. To dopiero szczerłość! Jedź zatem sama. Wybierz!

Pomiędzy mną a... nim tam. Dobrze!

– Wydaje mi się, że tę rozmowę, czy jak to nazwać, przeprowadziliśmy już wcześniej. Że jest podobna do tej, którą odbyliśmy po poprzednim liście.

– Kurwa!

– Cóż, jest jednak mała różnica.

– Jaka?

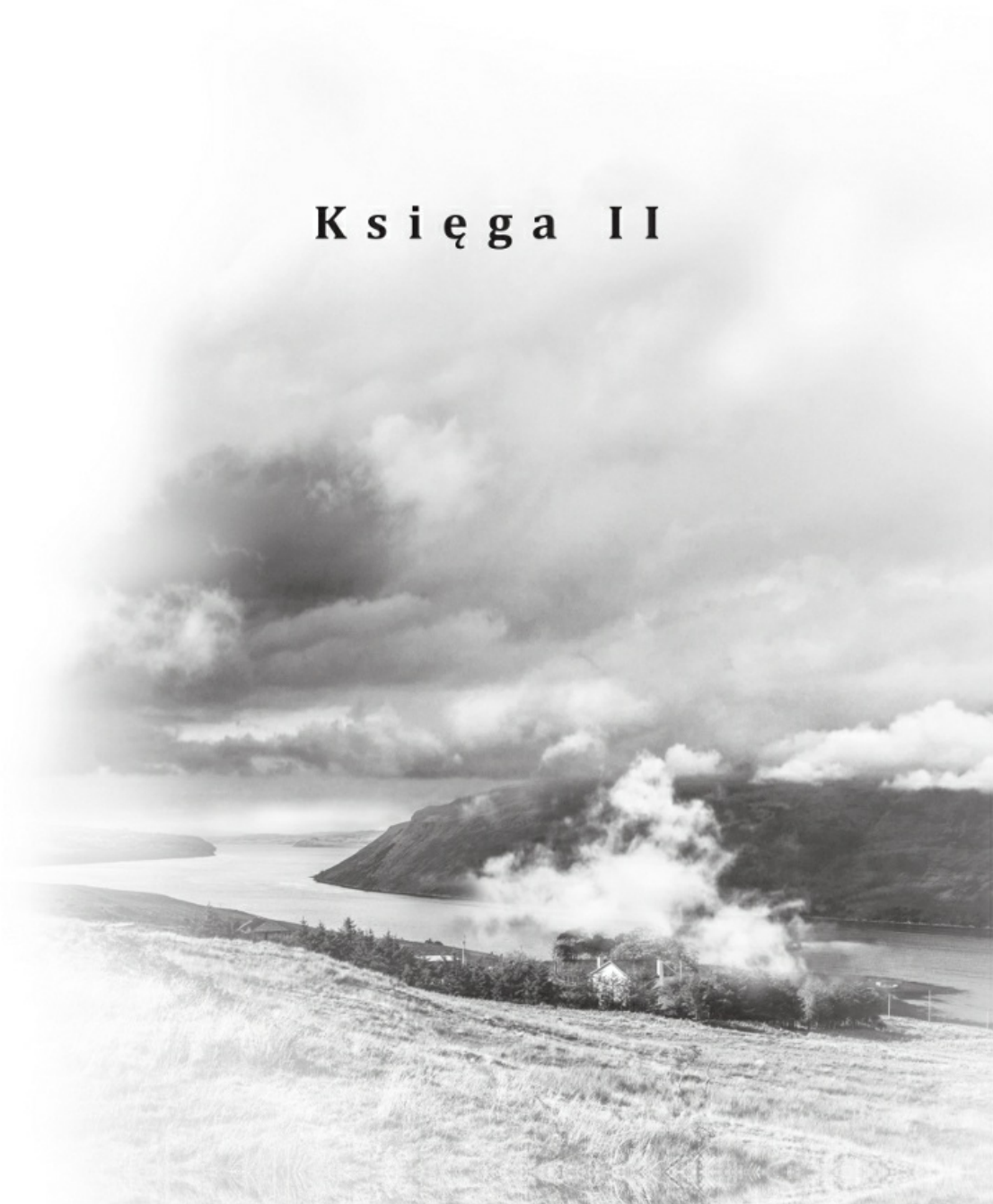
– Tym razem pojedę. Tego lata. Sama.

Nie spodziewał się tego. Zwinął ręcznik w kulę i rzucił nim o ścianę. Przeszedł przez pokój, chwycił płaszcz i kapelusz. Nie tracił czasu na ubieranie się. Pobiegł po prostu do drzwi.

Odłożyła lusterko na komodę, przyjrzała się sobie po raz ostatni, naciągając rękawiczki. Ale za jasnymi oczami już czaiła się pustka.

Kiedy wyszła z bramy, stał i palił papierosa. Zajadle, jakby chodziło o życie. Już żałował tego incydentu. Ale było za późno. Wiedział o tym w chwili, gdy napotkał jej wzrok. Rzuciła karty na stół.

K s i ę g a I I



Rozdział pierwszy

OBLICZE ODBIJA SIĘ W WODZIE, A W SERCU ODBIJA SIĘ CZŁOWIEK.

(Księga Przysłów 27,19)

Było chłodne majowe popołudnie roku Pańskiego tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego i wszyscy zebrali się w salonie. Anna stała przy oknie, wyglądając łodzi Beniamina.

Sara zajrzała, żeby przeczytać Andersowi gazetę, bo jego wzrok bardzo się pogorszył. Jak zwykle Anna i Karna również się przysłuchiwały. Niekiedy zabawiała ich, odcytując nazwiska z list pasażerów parowca. Zmieniała głos i czytała jak elegancka dama albo wydobywała z siebie tubalny bas, zależnie od tego, kogo z prominentnych, utytułowanych osób oczekiwano tu lub ówdzie.

Zdążyła już pośmiać się zarówno z naczelnika okręgu, jak i z angielskiego lorda, kiedy zapadła cisza.

Trwała tak długo, że Anders, wyjąwszy fajkę z ust, zapytał nieco zniecierpliwiony:

– Co jest?

Wtedy usłyszał cichy, ale wyraźny głos:

– Statkiem „Harald Haarfager”, płynącym z Hamburga na północ, który zawija do Bergen trzeciego dnia maja, przyplynie

pani Dina Bernhoft.

Sara siedziała w fotelu bujanym, opierając obie stopy o poprzeczkę, ale nie kiwała się teraz przy każdym słowie, tak jak to miała w zwyczaju. Zastygła w milczeniu z wyprostowanymi plecami. Kiedy skończyła, nie patrząc na Andersa, odłożyła gazetę na kolana.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał.

W końcu Anna odwróciła się od okna i spojrzała na Andersa.

Mężczyzna w ułamku sekundy zrobił się chorobliwie blady. Podniósł prawą dłoń do piersi. Podbródek opadł mu nieco, a oczy miał zamknięte, jakby czuł wielki ból. Potem wyprostował się na krześle i rzekł:

– Przeczytaj to jeszcze raz.

– Ja przeczytam! – zawołała Karna, wyciągając rękę po gazetę, którą Sara z wahaniem jej podała.

Trochę minęło, zanim zdołała przedrzeć się przez wszystkie litery i ustalić, które z nich należy połączyć, żeby powstało słowo. Dużych trudności dostarczył jej „statek z Hamburga”, więc Sara podpowiedziała jej szeptem co trzeba.

Karna posłała jej obrażone spojrzenie, a potem czytała dalej.

Anders wciągał powietrze głębokimi haustami i wydychał je w sposób, który brzmiał jak krótkie, ostrzegawcze sapnięcia.

– A więc ta-a-a-k! – taki był jego jedyny komentarz.

Anna poszła do spizarki i nalała z dzbanka wody do szklanki, którą wręczyła Andersowi. Ale sprawiał wrażenie, jakby tego nie zauważył. Stała przy nim, trzymając szklankę, żeby mógł się napić, zupełnie jakby był chory.

Potem posiedział przez chwilę w swoim wygodnym fotelu, ze zgaszoną fajką zwisającą z dłoni, a następnie podniósł się powoli

i ruszył na poddasze.

Anna szła tuż za nim. Odprowadziła go na korytarz. Zatrzymała się jednak przy schodach, jakby wiedziała, że urazi starego żeglarza, idąc za nim na górę.

W końcu drzwi się za nim zamknęły.

Stała, patrząc z bezradnym wyrazem twarzy w górę pustych schodów. Potem wróciła do salonu i zabrała Karnie gazetę, żeby na własne oczy zobaczyć to, co było w niej napisane.

– Przecież przeczytałam... – zaczęła Karna, ale przerwała.

– Tak, Karno, twoja babcia w końcu przyjedzie! – rzekła Anna. Głos miała pozbawiony radości, jakiej można by się spodziewać w obliczu takiej nowiny.

Łódź Beniamina przybiła do brzegu. Zauważono to dopiero, kiedy jego głos rozbrzmiał w korytarzu.

Karna pobiegła mu na spotkanie, wykrzykując wiadomość.

Sara powiedziała „dzień dobry” i nieśmiało wymknęła się z salonu. Dzięki temu informacja o przyjeździe Diny dotarła również do oficyny.

Beniamin przez dłuższą chwilę stał przy drzwiach. Potem odstawił na półkę swoją torbę doktorską i starannymi ruchami zaczął rozpinąć kamizelkę.

– A to dopiero... Gdzie jest Anders?

– Poszedł do góry – szepnęła Anna i wróciła do salonu.

Karna została i chciała, żeby wziąć ją na ręce i wyściskać. Ale on najwyraźniej zapomniał, jak to się robi. Wziął ją zwyczajnie za rękę i poszedł za Anną.

– Jak on to przyjął?

– Zupełnie się rozsypał. Mam wrażenie, że ma jakiś kłopot z sercem.

Beniamin pobiegł w górę po schodach, nie mówiąc nic więcej.

Anna chodziła tam i z powrotem.

– Dlaczego jesteście tacy dziwni? Nie chcecie, żeby babcia przyjechała? – zapytała Karna.

– Ależ oczywiście, moje dziecko! Ale jesteśmy zaskoczeni – odparła Anna ze spokojem.

– Czy tylko Anders nie chce jej tutaj? Czy to dlatego poszedł na poddasze?

– Anders też chce, żeby przyjechała, ale nie wierzył, że to kiedykolwiek nastąpi.

Beniamin wrócił.

– Mówi, że to tylko szok. Nic więcej. Nie boli go serce ani nic takiego.

– Ale widziałam, że nie czuje się dobrze – odparła z uporem Anna, wręczając mu gazetę.

Usiadł na skraju krzesła. Jego spojrzenie natychmiast padło na listę pasażerów statku.

– Tak! To dopiero nowina! – stwierdził.

– Ty też się z tego nie cieszysz? – zapytała Karna, wspinając mu się na kolana.

– Cieszę się! – odrzekł zdecydowanie.

– To dlaczego jesteście wszyscy tacy dziwni?

– Nie spodziewaliśmy się tego, sama rozumiesz – wyjaśnił z zakłopotaniem.

– Że też nie napisała i nie uprzedziła, żebyśmy mogli poczynić niezbędne przygotowania! – zawołała Anna.

Karna patrzyła to na jedno, to na drugie.

Anna otworzyła drzwi do jadalni, przeszła tam i usiadła do fortepianu. Zagrała kilka próbnych akordów, ale zmieniła zdanie

i zaczęła grać coś innego, śmiejąc się przy tym.

– W końcu przyjeżdża tutaj osoba z wielkiego świata, wiecie! W końcu ktoś, z kim można porozmawiać! Zagrać! Człowiek, który wie coś o muzyce! Beniaminie, to naprawdę wspaniałe!

Tylko tyle było potrzebne. Wybuch radości ze strony Anny. Karna zobaczyła to i zarzuciła ojcu ramiona na szyję.

– Idź do kuchni i powiedz, że babcia przyjeżdża, a ja jestem głodny i muszę dostać coś do jedzenia. Może być nawet ostygły obiad – powiedział z lekkością.

Kiedy Karna wyszła z pokoju, Anna przerwała grę i rzekła:

– Jeżeli parowiec przyplynie na czas, będzie tutaj za trzy dni.

Karna wróciła pędem, wołając:

– Bergljot pyta, czy babcia wie, że parowiec już tu nie zawija i będzie musiała zejść na ląd w Strandstedet?

Na pewno wie, stwierdziła Anna.

Beniamin nic nie powiedział, stał zwrócony plecami i patrzył na cieśninę.

– Ach tak, a więc to ta nowobogacka gazeta, w której Olaisen jest głównym akcjonariuszem, przyniosła nam tę nowinę. I do tego zjedzie na ląd w przystani Olaisena! No proszę, proszę – wymamrotał jakby sam do siebie.

– Czy to ma jakieś znaczenie, Beniaminie? – zapytała Anna, podchodząc do niego.

– Nie, oczywiście, że nie – roześmiał się.

Problem Bergljot związany z powrotem Diny do domu nie do końca mógł być oficjalnie roztrząsany. Spróbowała najpierw zasięgnąć rady u Stine. Ale ta też była bezradna.

Bergljot zwróciła się więc szeptem do Anny, która nie do końca mogła pojąć, o co chodzi dziewczynie.

– Ale co chciałabyś wiedzieć?

– Chodzi o to, czy pani Dina będzie mieszkała... o to, gdzie będzie spała? W izbie Andersa czy...?

– Możesz zapytać jego.

– Nie, Boże zmiłuj się... Jeszcze się źle poczuje. Tak jak wtedy, kiedy dowiedział się o jej przyjeździe.

– Ach, o to chodzi... Spróbuję się dowiedzieć.

Tak więc Anna w cztery oczy zapytała o tę sprawę Beniamina, a ten uznał, że Dina powinna spać w wielkiej izbie w mansardzie. Andersa nie należało wprawiać w zakłopotanie takimi pytaniami.

– Ale czy to nie wygląda na odbieranie mu prawa do decyzji? – zapytała niepewnie Anna.

– Nie. Jeśli zapytamy, będzie zażenowany. A to jeszcze gorzej.

*

Kiedy zobaczyła, jak Anders schodzi samotnie w dół drogą w stronę cumowni, pobiegła prędko za nim, żeby mieć go przez chwilę tylko dla siebie.

Od razu przeszła do rzeczy, usiłując przy tym nadażyć za jego długimi krokami.

Nie robił z tego wielkiego problemu. Uniósł tylko nieznacznie kącik ust i poruszył wąsem.

– Dina i ja jesteśmy małżeństwem wyłącznie formalnie. Nie spaliśmy w tej samej izbie od czasu, kiedy Beniamin był małym chłopcem, a ona potrzebowała pomocy w jego wychowaniu. Myślę, że nie warto zawracać jej głowy drobiazgami. A ja ze swej strony szczerze się cieszę, że wybrała się zajrzeć do domu.

Anna starała się nadal nadażyć za jego tempem, nie mówiąc już nic więcej. Wtedy zatrzymał się i dobrodusznym gestem ujął ją za ramię.

– Wiesz, większość ludzi żyjących w dobrych warunkach ma osobne izby. Tylko Anna i Beniamin są od siebie tak strasznie zależni.

Przyglądała mu się przez chwilę. Na swój sposób stał się jej przyjacielem. Choć byli tak niepodobni, zdarzało im się prowadzić przyciszonym głosem rozmowy na wiele tematów. Nauczyła się słyszeć treści ukryte za jego prostymi słowami. On z kolei miał zwyczaj słuchać z przymkniętymi oczami, kiedy grała. Często przesiadywali tylko we dwoje.

Jego włosy były białe i gęste. Wąsy krótkie i nastroszone, a policzki gładko ogolone. Patrzył zawsze zmrużonymi oczami. Jakby dostrzegał istotę czegoś, czego nie widział nikt inny. Nosił się prosto, a ciało miał szczupłe i umięśnione.

– Kiedy ostatnio ją widziałeś, Andersie?

– Całe życie temu. Już dawno przestałem liczyć te lata. Staję się od tego tylko utopcem.

– Utopcem?

– Tak, wiesz, tym potworem z zatopionej łodzi.

Skinęła głową z namysłem. Potem uścisnęła go za ramię i przytuliła się do niego.

– Denerwujesz się?

– No cóż... Trudno byłoby zaprzeczyć.

– Czy ciągle ją kochasz?

– Zdaje się, że zanosi się na deszcz – odparł, ocieniając dłonią przymrużone oczy.

Przypatrywała mu się z boku, ukradkiem.

Wtedy trącił ją z lekkim zakłopotaniem w ramię i powiedział:

– Najważniejsze, że ty przyjechałaś tutaj do Beniamina. To jest przyszłość! Wiesz, przeszłość już została przeżyta. Nie pokierujemy

nią lepiej. Nie zaprzataj sobie tym głowy, Anno.

*

Karna miała uczucie, że wszyscy stali się dla niej obcy. Każdy wiedział coś, czego nie mówił. Coś z czasów na długo przed jej narodzinami. Coś związanego z babcią. A teraz wyglądało tak, jakby wszyscy bali się, że wraca do domu. Miała straszne uczucie, że kiedy nie ma jej w izbie, rozmawiają o tym między sobą.

Anders ostatnio prawie nie zjawiał się w salonie. Chodził samotnie pomiędzy przystanią a kantorkiem składu. Przy posiłkach nie dostrzegał Karny, tak jak wcześniej. Siedział bez słowa, wpatrując się w coś ponad ich głowami.

Poza tym wszyscy biegali, każdy w swoim kierunku, żeby przygotować co trzeba na ten wielki powrót do domu, a jednocześnie wstrzymywali oddech. Anna i Sara wydawały się najmniej obce, ale nawet ich twarze głośno mówiły: Nie mów do mnie! Myślę!

*

Wspięła się na ciemny strych, żeby opowiedzieć babci, czego może się tutaj spodziewać. Wzięła ze sobą czerwoną suknię i tak jak zawsze rozłożyła ją na podłodze.

Ale babcia nie chciała dzisiaj włożyć sukni.

– Ubierz się w suknię, babciu! – wyszeptała najgłośniejszym głosem, jak miała odwagę. Kłapa była przecież otwarta i ktoś mógł ją usłyszeć.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Rozumiała przecież, że babcia teraz płynie po morzu i być może cierpi na chorobę morską. Ale nawet jeśli, to mogła to powiedzieć. A nie tylko udawać, że Karna jej nie obchodzi.

– Czyli ja mam nikogo nie mieć, tak? A więc o to ci chodzi? –

rzekła ze złością.

Suknia nadal leżała bez ruchu, tak jak ją sama ułożyła.

– Jeśli nie włożysz sukienki, to ją zwinę w kulkę i wrzucę do gnojówki – zagroziła, po czym znów odczekała chwilę.

Ale nadal nic, babcia nie chciała się dzisiaj pokazać.

– Jeśli nie włożysz sukni, to zrobię się tak samo zła jak tamci, że przyjeżdżasz!

To również nie pomogło.

Wtedy zaczęła myśleć, że może babcia została gdzieś porwana przez pieśń morza. Że to dlatego nie może pojawić się w sukience na strychu. Ale gdyby Karna upadła, to babcia będzie jej pilnować.

Wstała, wpatrując się w blask dnia wpadający przez świetlik. Patrzyła i patrzyła. Promień światła bawił się dwiema zdechłymi muchami przy brzegu schodów. Ledwo wyczuwalny powiew powietrza poruszał sztywnymi skrzydełkami, które drgały lekko.

Ale ona widziała przecież, że są martwe.

A może babcia też była martwa? Tuż przed swoim przyjazdem! I to dlatego nie chciała ubrać się w suknię.

Ze wszystkich sił próbowała upaść, żeby się tego dowiedzieć, ale jej się nie udało. W końcu usiadła, opierając głowę na rękach, i się rozplakała.

Słyszała Annę, Bergljot i służącą, jak krzątają się i robią coś tam na dole. Przez to była całkowicie sama. Chyba utraciła babcię na rzecz tej obcej, która miała przyjechać parowcem.

Rozdział drugi

Smagani zachodnim wiatrem, pod niespokojnym niebem, popłynęli dwiema łodziami do Strandstedet.

– W takie dni jak ten człowiek myśli sobie, że powinien popłynąć do Strandstedet kliprem „Svanen” – stwierdził Anders.

Beniamin nie odpowiedział. To, że Olaisen odkupił kliper i przebudował na parowiec, to jedno. Ale osobną kwestię stanowiło, że ten człowiek używał klipra do dowożenia przynęty na Lofoty i do Finnmarku, czyniąc z niego bardzo opłacalny interes.

Dzisiaj przybywała Dina.

Do Strandstedet w każdym tygodniu zawijały trzy statki. Jeśli nie było opóźnień, poczta przychodziła dwa razy w tygodniu, a statek z Hamburga w czwartki.

*

Znaleźli miejsce na łodzie przy palach cumowniczych w przystani Olaisena. Miał tam trapy umocowane na stałe i wszystko, co trzeba. Pachniało świeżo smołowanym drewnem.

Kiedy rozległ się gwizd parowca, już od dawna czekali na lądzie. Beczki dudniły, obijając się o deski przystani, przez drzwi zabudowań portowych wykrzykiwano rozkazy, słychać było pisk

żurawi.

Oczekujący prowadzili nerwowe rozmowy o drobiazgach, o których nigdy nie wspomnieliby w innych okolicznościach.

Słońca nie było widać. Padał deszcz, ale wiatr ucichł, gdy tylko zaczął się odpływ.

*

Karna zwisała z ramienia Beniamina. Miała na sobie nowy zielony płaszcz z aksamitnym kołnierzem. Ale jak wszystko inne, co na nią wkładano, on też sprawiał wrażenie, jakby chciał uciec. Jakby niespokojne ciało nie było w stanie zgodzić się na porządne, dziewczęce ubrania.

Ją samą niewiele to obchodziło, ale dorośli niekiedy napominali dziecko: – Zapnij zakiecik! Zawiąż sznurówkę! Czapeczkę zakłada się odwrotnie! I tak dalej.

Czasami czyniła próby, żeby ich zadowolić. Ale nie zawsze były równie szczerze. Widać było wyraźnie, że tego rodzaju reprimendy niewiele ją obchodziły.

Dziś nie słyszała niczego, o czym mówiono, i pozwolono jej spokojnie stać na wietrze z rozpiętym płaszczkiem. Zwłaszcza że w drodze do Strandstedet dwa razy o mało nie dostała napadu.

Beniamin trzymał Karnę za rękę, kłaniając się na prawo i lewo. Starał się, żeby wymiana zdań była najkrótsza jak to możliwe bez obrażania ludzi.

Anna, przytrzymując swój czepiec, szeroko otwartymi, błękitnymi oczami wpatrywała się w szare morze. Od czasu do czasu spoglądała na Beniamina i się uśmiechała.

Anders stał w tyle z plecami opartymi o sztapel skrzynek równy jego wysokości. Jego twarz nie zdradzała nic innego prócz tego, co ludzie zawsze na niej widywali. Nie sposób było odgadnąć, co

myślał lub czuł. Nie do pomyslenia było jednak, żeby uchylił się od przywitania Diny powracającej z wielkiego świata.

W czasie gdy statek, pomrukując i gwizdząc, przybijał do nabrzeża, kilkakrotnie wyjmował a to okulary, a to fajkę, jakby nie mogąc zdecydować się, co będzie najbardziej sensowne.

W końcu poddał się i wsunął oba przedmioty do kieszeni. Stał tylko z prawą ręką zaciśniętą w pięść i przyłożoną do piersi w miejscu, gdzie rozpiął koszulę, a drugą zwisającą wzdłuż ciała.

Rozniosły się pogłoski, że Dina z Reinsnes przyjeżdża po wielu latach spędzonych za granicą. Na spotkanie statku z Hamburga przyszli więc ludzie, którzy na własne oczy chcieli się przekonać, jak też obszedł się z nią upływający czas. Szczególnie ci, którzy kiedyś ją znali.

Nie stała przy balustradzie, kiedy statek cumował przy nabrzeżu. Gdy zrzucono mostek prowadzący na ląd, również nie było jej widać. Wszyscy wypatrywali. Mniejsi wzrostem wspinali się na palce, żeby zobaczyć cokolwiek zza mężczyzny w cylindrze, matrony z workiem ziemniaków na plecach, telegrafisty w czapce z daszkiem albo ekspedytora ze skórzaną teczką.

Powiadano, że Olaisen jest zbyt zajęty, żeby samemu pełnić obowiązki ekspedytora. Do tej funkcji zatrudnił młodego mężczyznę z jednej z wysepek, przebierając go w stosowny uniform.

Skoro Dina z Reinsnes nie pokazała się od razu, ludzie wkrótce zainteresowali się czymś innym.

Kiedy kładka prowadząca na ląd opustoszała, drzwi salonu otworzyły się ponownie. Ukazała się w nich wysoka, wyprostowana postać w ciemnozielonym stroju podróżnym. Wyrazu twarzy nie sposób było dostrzec. Ukrywała go pod kapeluszem z szerokim rondem, zawiązanym wstążką luźno pod brodą.

*

Anders rozpoznał ją i nie rozpoznał jednocześnie. Miał wrażenie, jakby szła w białej mgłę unoszącej się nad moczarami. Okulary leżały w kieszeni.

Zastanawiał się, jak będzie wyglądać. Nie chodziło o to, żeby przypuszczał, iż stała się brzydka albo stara, ależ skąd, spodziewał się tylko delikatnej zmiany jej kształtów i kolorów.

Nie była już tak krągła jak kiedyś, tyle widział. Ze szczupłością było jej do twarzy, ale jednocześnie wydawała się inna. Obca. Być może bardziej krucha na tym silnym wietrze? Jaśniejsza, z ciemniejszymi paskami wzdłuż szwów. Jak żagiel po długiej podróży.

Uderzyło go, że widywał ją już w różnym stanie. Nie zawsze w równie dobrej formie i z pewnym siebie wzrokiem. W tym sensie należał do wybrańców. Taka, jaką zobaczył ją teraz, przypominała mu tamto lato, kiedy o mało nie wykrwawiła się na śmierć na Foldhavet.

Ale ta istota, która w tej chwili szła w jego stronę, nie była dotknięta nieszczęściem. Najwyraźniej odnalazła swoje miejsce. A może było inaczej?

Przez chwilę stała przy zejściu na ląd. Chwyciwszy się prawą ręką balustrady, zeszła do nich powoli, stopień za stopniem. Na pewno była świadoma, że patrzy na nią ponad pięćdziesiąt krytycznych par oczu.

Zwrócił uwagę, że idąc, pochylała głowę. To naturalne, patrzyła przecież na kładkę pod nogami. Jak by to wyglądało, gdyby po tych wszystkich latach nieobecności teraz potknęła się i upadła, wysiadając na ląd.

Wyjął dłoń z za gorsu marynarki i bardzo przyspieszył, idąc jej na

spotkanie. Przeżywał to w marzeniach. Tak nieskończenie wiele razy podbiegał do niej i mocno ujmował jej dłonie.

W czasach, gdy parowiec zawijał jeszcze do Reinsnes, sam wypływał łódką na wiosłach, żeby ją spotkać. Pozwalała opuścić się ze statku i zawsze była taka bliska i wyraźna. I nie tylko dlatego, że w tamtych czasach miał o wiele lepszy wzrok. Chodziło o to, że ciągle nosił w sobie jej obraz. Nie tylko w głowie. Ale w całym ciele.

W ostatnich dniach ciągle odbierał ją w Strandstedet, tak jak teraz. Raz za razem. Z niewielkimi różnicami w szczegółach, czyniących to spotkanie coraz doskonalszym.

Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że mogłaby mieć rękawiczki. Przez te rękawiczki została w pewnym sensie pozbawiona skóry.

Ale nie zamierzał się tym przejmować, ujął jej ukryte pod rękawiczkami dłonie i odchrząknął. Potem powiedział tak głośno i wyraźnie, że mogli go usłyszeć wszyscy stojący dookoła ludzie:

– Niech Bóg cię błogosławi, Dino! Witaj w domu!

Słowa te unosiły się w powietrzu nad Strandstedet przez kilka kolejnych godzin. Rozchodziły się niczym zapach jedzenia wśród głodnych robotników sezonowych. I pomyśleć, że tak powiedział, po tych wszystkich latach! Niech Bóg cię błogosławi, Dino! Witaj w domu. Żeby Anders z Reinsnes, pozbawiony kobiety i samotny ze swoim wstydem, witał uciekinierkę takimi słowami? To było nie do pojęcia!

Bo po cóż przyjechała? Co zamierzała tu robić?

Nadal była piękna, ale nie tak bardzo jak w czasach, które pamiętali. Mogła sobie nosić miejski kapelusz, robiła to też i wcześniej, i tak widzieli, że włosy jej posiwiały. I wychudła, czy jak to nazwać? Widać było wyraźnie, że w tym Berlinie nie jadała

samego boczku i ciast.

Jednak ci, którzy podeszli na tyle blisko, by móc spojrzeć jej w oczy, zauważyli, że są pełne wigoru. Ten i ów, który winien jej był pieniądze jeszcze z dawnych czasów, poczuł się nieswojo. Jej wzrok czysty jak szkło wytrzymywał każde spojrzenie. Nie sprawiała wrażenia, żeby zapomniała o choć jednym szylingu, nawet jeśli witała się serdecznie.

I teraz, tak jak zawsze wcześniej, zeszła na ląd ze swoją małą pompadurką zwisającą z przegubu i ze spoconymi mężczyznami stojącymi w kolejce, aby nosić jej bagaże.

Widać było wyraźnie, że zamierza pozostać dłuższą chwilę. Jej trzy kufry były ogromne i ciężkie jak ołów, widać to było po tych, którzy zataczali się pod ich ciężarem. Poza tym marynarze znieśli na ląd trzy torby podróżne, trzy pudła z kapeluszami oraz futerał z wiolonczelą. No, czyli na pewno chciała trochę zostać!

Ale że też się na to zdobył, bez przeciągnięcia jej za karę pod kilem? Anders? Że ją pobłogosławił i powitał w domu. Chyba istniały jakieś granice bycia dobrym człowiekiem.

Nie chodzi o to, że przyszli na przystań patrzeć, jak z niej szydzi, przeklina ją czy przegania kijem. Ależ skąd! Ale żeby ją błogosławił, tego już było za wiele.

Niektórym kobietom zwilgotniały oczy i mówiły, że pięknie postąpił. Ich serca podpowiadały im, że Anders jest prawdziwym mężczyzną. Honorowym człowiekiem. Inne zgadzały się ze swoimi chłopami. Jego brak urazy był dowodem słabości.

Nikomu nie przyszło do głowy, że w bezsenne noce Anders wyuczył się na pamięć tego, co powinien powiedzieć i zrobić, jeśli – lub kiedy – to się zdarzy: Że ona wróci.

Te słowa. Uściski dłoni bacznie przez wszystkich obserwowane.

Każdy człowiek taki jak Anders wiedział, że nie sposób uniknąć katastrofy morskiej, jeśli się nie ma dokładnej wiedzy, co należy zrobić, kiedy wiatr nagle zaczyna smagać. Kiedy przyszło co do czego, bez zastanowienia robił to, czego się nauczył.

Gdyby miał opowiedzieć, co czuł dokładnie w tamtym momencie, popatrzyłby na ludzi swoim czystym wzrokiem i potrząsnął głową.

– Jak to, co czułem? Co masz na myśli?

*

Jeśli kiedykolwiek wyobrażała sobie, jaka w rzeczywistości będzie babcia, to na pewno nie taka. Była zarówno wyraźniejsza, jak i bardziej przerażająca niż na ciemnym strychu.

I inna, niż opisywali ją tatuś i Anna.

Była trochę taka, jak na pożółkłej fotografii, którą miał tatuś. Siedziała tam pod parasolem i unosiła dłoń w stronę kogoś, kogo nie było na zdjęciu.

Dziwne też, że okrywała ją zielenią, skoro Karna widywała ją jedynie w czerwonym. Na fotografii śmiała się. Tatuś uważał, że to do niej niepodobne.

W sumie Karna nie była w stanie wyobrazić sobie tego spotkania. Ani jak wygląda babcia. Zapewne sądziła, że przybędzie w czerwonej sukni, z rozśpiewanymi bransoletkami, dźwięczącymi przy każdym ruchu.

Teraz pojęła, jakie to było głupie.

Zawsze działało się tak, że wszyscy z wyjątkiem tatusia robili się dziwni i poważni, gdy pytała o babcię. Dlatego wiedziała tylko tyle, ile opowiedział jej tatuś. A on mówił o babci, jakby była jednym z tych chorych, których nie spotkał już więcej, bo wyzdrowieli: Wysoka. Ciemne włosy. Małomówna. Znakomita w żeglarstwie, rachunkach i jeździe konnej. I w grze na wiolonczeli. Tatuś

niewiele poza tym pamiętał. No może to, że potrafiła wpaść w taki gniew, iż mróz człowieka przenikał.

Akurat to trudno było sobie wyobrazić. Bo babcia na stryszku nie była taka. Ale rozumiała dość, żeby wiedzieć, iż Dina nie jest taką babcią, jaką Stine była dla Isaka.

Teraz ta obca pani zeszła na ląd, podała jej obleczone w jedwabne rękawiczki dłoni i powiedziała głosem niepodobnym do żadnego, jaki Karna kiedykolwiek słyszała:

– A więc to ty jesteś Karna! Zaiste! Byłaś taka malutka, kiedy ostatnio cię widziałam. Byłaś cudem. A teraz, proszę! Gdzie kupiłaś takie piękne włosy?

Chciała odpowiedzieć, że same jej urosły, ale nic z tego nie wyszło.

A kiedy babcia ukucnęła i przez chwilę się sobie przypatrywały, wiedziała już, że u tej babci, co przypląnęła parowcem, najlepszą sprawą były jej oczy. Przypominały kryształowe ozdoby zwisające z żyrandola nad stołem jadalnym. Były jak pieśń morza, zmienne, ale cały czas takie same.

Babcia ściągnęła rękawiczki. Karna dostrzegła błysk czterech pierścionków. Potem babcia pochwyciła ją w pól, podniosła i okręciła dookoła. Spódnice wirowały wokół nich jak wiatraki.

Ludzie na przystani nie odrywali oczu i też się obracali. W końcu wszyscy wpadli do takiego lejka. Szybko, szybko! I ten niespokojny wzrok tatusia! Chyba się obawiał? Że ona upadnie. Ale przecież nie mogła upaść, kiedy babcia ją trzymała, tyle chyba rozumiał.

I nic to nie szkodziło, że ta babcia, co przyjechała parowcem, nie miała bransoletek, a rondo jej kapelusza drapało Karne w policzek, bo w tych pięknych, kobiecych ubraniach coś jakby dziwnie szeleściło. Jakby ktoś ją podpalił. A dookoła unosił się obcy,

przyjemny zapach. To było takie osobliwe, bo miała uczucie, jakby ktoś czytał jej na głos z książki, w której były zapachy i wszystko inne.

Kiedy babcia postawiła ją na ziemi, nadszedł zawrót głowy i mdłości. Ale udało jej się to przemóc i w końcu powiedziała:

– Jeden pan z Tromsø nastroił fortepian.

– Dobrze!

– Też mamy coś takiego! – rzekła, wskazując palcem na pudło z wiolonczelą.

– Wiem.

– Skąd?

– Dostałam to od pana, który uczył mnie liter.

– Kto to był?

– To długa historia. Opowiem ci ją kiedyś później.

A więc może jednak nie utraciła babci. Ona po prostu tylko zeszła z ciemnego strychu.

*

Jeśli ich spotkanie ułatwiło innym przywitanie się, to Karnie nie przyszło to do głowy. Ale może Dinie tak?

Beniamin usiłował zachowywać się zwyczajnie, tak jakby często się spotykali. Ale z twarzy Diny wyczytał, że dla niej też nie do końca było to wszystko łatwe.

Ostatni raz widział ją w Kopenhadze przed sześcioma laty. Osiemnaście lat po tym, jak opuściła Reinsnes.

Jej oczy! Zapomniał już, jak szeroko są otwarte i jakie jasne. Zapomniał o cieniach błakających się w tej jasności. To go poruszyło. Żałował ich obojga, bo zapomniał, jak ona wygląda.

Wybawiło go to od łez. Za nic nie chciał na oczach całego Strandstedet stać tam, pociągając nosem, bo jego matka w końcu

zdecydowała się go odwiedzić. Poczuł, jak zaciskają mu się usta na samą myśl o takiej możliwości.

– Dzień dobry, Beniaminie – rzekła po prostu.

Mógł ją zapytać, jak minęła podróż. Ale coś było nie tak z jego szczękami, nie był w stanie ich rozewrzeć. Chyba musiała to dostrzec? Jak wiekowa może być wściekłość małego chłopca, a mimo to jak żywa. Jaką świeżą, krwawiącą raną jest dzieciństwo, nawet jeśli ktoś mieni się doktorem Grønelvem.

Kiedy ujął jej dłonie i krótko je uścisnął, czuł fale niechęci, pomieszane z dawno już zapomnianą tęsknotą. Jej oczy napełniły się łzami, a on pomyślał: Nie, wcale nie zapomniałem o tej tęsknocie. Ale chyba tęsknota i nadzieja są ostatnimi uczuciami, które opuszczają człowieka.

*

Anna przygotowała się na to spotkanie, a jednak czuła się niepewnie. Ostatnim razem widziała Dinę sześć lat wcześniej podczas obchodów nocy świętojańskiej na wzgórzu Dyrehavsbakken. Była wtedy sama tak strasznie nieszczęśliwa i dostrzegała tylko Beniamina. Ale tych kilka listów od Diny uczyniło jej postać wyraźniejszą w oczach Anny.

– Witamy! Tak bardzo się cieszę, że Dina przyjechała! – rzekła.

Druga kobieta przytrzymała ją przez chwilę w pewnym oddaleniu, przyglądając się jej.

– Anno! Udało ci się! Nic się nie zmieniłaś. Beniaminie, szczęście ci dopisało!

*

Ludzie wyciągali szyje, nadsłuchując. Mówiła na tyle wyraźnie, że można było usłyszeć, iż lubi swoją synową. Trochę to było na

wyrost. Synowe nigdy nie okazują się takie, jakie się wydają w pierwszej chwili. Ale przecież teściowe też nie. A już na pewno nie Dina z Reinsnes, o ile dobrze ją pamiętali.

O żonie doktora nie można było powiedzieć jednego złego słowa. Miała jednak niewiele kontaktu z ludźmi, chociaż prowadziła lekcje w zastępstwie nauczyciela, gdy ten był zajęty. Dzieci ją lubiły. Nie używała różgi. Ludzie słyszeli, jak śpiewała w kościele. Tak pięknie, że i aniołowie mogli uronić łzę.

Wiadomo, że była nazbyt dystyngowana i krucha. I nikt nie widział jej nigdy wśród kosiarzy na łące. Coś jednak musiała mieć w sobie ta żona doktora, bo dogadywała się równie dobrze z wielebnym, jak z zasmarkanymi dzieciakami. Ale była za bardzo wydelikaccona i wąska w talii. No i jak dotąd w Reinsnes ciągle jeszcze nie zdarzyły się narodziny.

Ale ludzie nie wspominali o niczym, póki stali na pomoście przystani. Ależ skąd! Tylko słuchali i patrzyli. Śliniąc się niewinnie, jak nowo narodzone cielęta.

Ale za to później! Podzielili się na małe grupki, najczęściej na pary, i omawiali to wszystko, siedząc nad kawą. Sytuacja dodawała kawałkowi ciasta wytęsknionego smaku. Najświeższe wydarzenia przyprawione odrobiną starych historii. Jak szczypta kosztownego szafranu w daniu, do którego zazwyczaj używano kurkumy.

– Mam dla ciebie kłącza i nasiona, Stine. Niektóre dostałam od przyjaciela z Holandii!

Radość rozjaśniła ogorzałą twarz Stine i nadała jej blasku. Jakby dotknęła jej dłoń przemienienia. Piękno tego rodzaju, które tylko wybrańcy widzą i zachowują w sercu, czyniąc je wiecznym.

Tomasz patrzył. Zdawał sobie sprawę, że od czasu wyjazdu Diny niewielu ludzi, pominąwszy jego samego, dostrzegało Stine.

I kiedy Dina zapytała, co takiego zrobili tutaj w Strandstedet, że tak bardzo się zmieniło, te wszystkie gęsto stojące domy, przystań dla parowca, i powiedziała, że to naprawdę zbyt wiele, że tylu ludzi przyjechało ją przywitać, no cóż, wtedy zrobiło się zwyczajnie i codziennie, a on odpowiadał jej, jakby byli starymi znajomymi.

Zaczął mówić o tym, że do Reinsnes już nie zawijał parowiec i że to było smutne, ale na tym polegał postęp. Anders kilkakrotnie skinął głową, zgadzając się z tą oczywistą prawdą. I że należało za to podziękować Wilfredowi Olaisenowi, bo ten człowiek był w stanie zrobić wszystko, co postanowił.

Dina chciała wrócić i obejrzeć cały ten cyrk. Ale teraz pragnęła popłynąć do Reinsnes, usiąść tam w niebieskiej kuchni i przypomnieć sobie, jak smakowała niegdyś zupa rybna Oline.

Wzięła Karnę za rękę, popatrzyła na nich wszystkich po kolei i rzekła, iż to nieprawdopodobne, że bez Oline, która nieustannie krzątała się i gotowała, zupełnie nie wyglądają na zagłodzonych.

*

Wtedy Karna po raz czwarty tego dnia poczuła nadchodzącą pieśń morza.

Jednak tatuś zobaczył to i chociaż była taka duża, wziął ją na rękę. Siedziała tam z nosem wciśniętym w grubo tkaną marynarkę, czując ponownie, jak to było w momencie, kiedy Oline rozciągnęła się i leżała na kuchennej podłodze, nie chcąc z nią rozmawiać. I przez krótką chwilę dzień nie był taki sam jak przed tą chwilą, w której babcia wspomniała o Oline.

Ale dorośli zmienili już temat, a babcia mocno ujęła Andersa pod ramię.

– Anders, nic się nie zmieniłeś! To nie jest normalne! – i łagodnym głosem dodała coś w obcym języku.

Karna nie zrozumiała tych słów i Anders najwyraźniej też nie. W tym momencie babcia szturchnęła go w bok, tak jak on zawsze szturchał Karne.

I kiedy tak przytulała się do tatusia, czując jego ciepło, rozumiała, dlaczego Anders tak robił. Po prostu także brakowało mu zabawy z babcią.

Pojęła też coś jeszcze: To był właśnie taki Dzień Cudów, o którym często opowiadała Stine. Zdarzał się bardzo rzadko. A to dlatego, żeby człowiek go zauważył i dostrzegł różnicę pomiędzy nim a wszystkimi innymi dniami.

I pomyśleć, że obca babcia przyjechała parowcem i wszystkich odmieniła! Kiedy na nich patrzyła, miała wrażenie, jakby radość tryskała z ich twarzy. Najwyraźniej zapomnieli o tym, że po przeczytaniu nowiny w gazecie byli tacy niechętni!

*

Kiedy dotarli do przydomowej przystani, babcia zdjęła kapelusz i wstążkę, buty i pończochy. W rozpiętym zakiecie i podkasanej spódnicy wskoczyła do lodowatego morza aż do połowy łydek. A potem wyciągnęła ich wszystkich na ląd!

Karna nigdy w życiu czegoś takiego nie widziała.

– Cóż, tak właśnie powinno to wyglądać! Tak się robi tu, w Reinsnes! – zawołała babcia, zupełnie jakby to ona przez cały czas była tutaj, a pozostali przyjechali z Berlina. Potem szybkim krokiem poszła przodem, stąpając bosą po zwirowej ścieżce, a drzewa łagodnie pochylały się ku niej, lekko kołysząc gałęziami na wietrze.

Szli za nią powoli i z mozołem. Nieśli jej rzeczy. Zatrzymywali się, kiedy przystawała. Ostatni raz tuż przed schodami.

Stała tam przez dłuższą chwilę, obciążony z powrotem

spódnicę. Potem odwróciła się, rozłożyła ramiona i krzyknęła do nich:

– Ależ podejdźcie tu wszyscy! Chodźcie! Chodźcie!

I wszyscy się zbliżyli. Ludzie z gospodarstwa. Ci, którzy pracowali na zewnątrz, i ci, którzy byli w domu. Służąca, Bergljot i Sara. Najpierw niepewnie. Potem nadeszła przemiana. Radość. Dokładnie tak, jak się stało z pozostałymi.

Karna była zdania, że zaraz po pieśni morza radość była najpotężniejsza na świecie. Zaraźliwa. Otuliła ich teraz wszystkich niczym silne ramię.

Coś działo się z Anną. Promieniała.

Być może to nawet nie sama babcia stanowiła przyczynę. Tylko to, że była taka radosna. Że pokazała im, że się cieszy, iż jest w Reinsnes razem z nimi. I że oni się tego nie spodziewali.

Może czekali na kogoś innego, dokładnie tak jak Karna?

*

Od tej chwili wszystko potoczyło się tak szybko, że niepostrzeżenie zapadł zmrok. Babcia, która potrząsając głową, stroiła swoją wiolonczełę. Nasłuchiwała. Anna i babcia pochylone nad nutami. Anna mówiąca, że Karna im zagra.

Nie była jednak w stanie. Dłonie miała całkiem mokre, a serce wypełniało jej małe ciało swoim dudnieniem. Tak było przez cały dzień.

Potrząsnęła przecząco głową i Anna nie nalegała.

Potem one zagrały, a Anna śpiewała. Twarz tatusia stała się taka bezbronna. A wszyscy stali wokół, mrugając oczami. Anders wyjął zegarek, nie patrząc na niego. I okulary. Ale ich nie nałożył.

Jak było w Reinsnes, zanim nastąpiła radość?

Jak to możliwe, że obca babcia przybyła parowcem i wszystko

odmieniła? Kiedy ona, Karna, nawet nie miała odwagi zagrać tych kilku nut, które znała tak dobrze?

*

Następnego ranka babcia zeszła z poddasza w żółtym jedwabnym szlafroku, który z wierzchu miał naszytych kilka warstw cienkiej koronki.

Karna nigdy w życiu nie widziała czegoś równie ładnego, stała więc ze złożonymi dłońmi, starając się przyjrzeć jeszcze lepiej.

– Teraz brakuje mi tylko jednej, jedynej rzeczy – stwierdziła babcia.

– A czego? – zapytała Karna, schodząc za nią po schodach.

Włosy babci były siwe i czarne jednocześnie. Zmieniały kolory w powiewach wiatru.

– Dzwonów kościelnych w Berlinie.

– Czy w Berlinie jest dużo kościołów?

– O, bardzo wiele! I każdy z nich ma własną pieśń.

– Odróżniasz je?

– Te najbliższe. Ale często dzwonią jednocześnie, więc brzmią jak chór. Głos niektórych rozbrzmiewa w oddali, prawie niczym echo. Dwa są całkiem blisko. Niektóre mają bardziej przenikliwe, inne łagodniejszy dźwięk.

Wtedy to zrobiła! Dokładnie tak jak na ciemnym stryszku. Podniosła ramiona nad głowę, obróciła się dookoła i tanecznym krokiem ruszyła przez podwórze w stronę wychodków. Tam zgubiła swoje domowe pantofle, ale w ogóle się tym nie przejmowała!

Było zimno. Na ocienionych zboczach ciągle leżały splachetki śniegu. Ale babci najwyraźniej to nie przeszkadzało. Tylko Karna miała zwyczaj biegać do wychodka w samej bieliźnie. Teraz robiły to już one dwie.

Karna stała w nocnej koszuli i patrzyła.

– Mamy tutaj piosenki śpiewane przez morze! Prawie zawsze! – zawołała odważnie za nią.

– Tak, tego też bardzo mi brakowało w Berlinie! – odkrzyknęła babcia, nie odwracając się.

Karna musiała się zaśmiać. Poszła do swojej izby, znalazła atlas i palcem wskazującym otoczyła kółkiem Berlin, który pokazał jej na mapie tatuś. Wiedziała! Babcia też musiała to wiedzieć? Tam nie było morza! Jak oni się, na Boga, przemieszczali, skoro nie mieli morza?

Babcia weszła do jej izby i stała teraz, rozglądając się wokół.

Kiedy zobaczyła czerwoną suknię, która zawsze wisiała na fotelu Matki Karen, o ile nie była akurat z Karną na ciemnym stryszku, podeszła i położyła na niej dłoń. Potem wzięła ją w ręce i przyłożyła do siebie, nucąc melodię, której Karna nigdy nie słyszała.

Otaczał ją taki blask. Zewsząd napływały kaskady światła. Karna stała przy łóżku, chwyciwszy się go. Trzymała się wezglowia. Ale miała wrażenie, że to nie wystarcza. Nie wiedziała, gdzie ma włożyć palce.

Wtedy babcia zdjęła koronkowy szlafrok i położyła go na łóżku, potem uniosła czerwoną suknię wysoko ponad głowę. Kiedy spódnica omiotła podłogę, Karna zobaczyła słup światła, przecinający głowę babci na dwie części.

– Nie, babciu! – zawołała głośno.

Płoneła! To tak strasznie bolało. Nie dało się tego wytrzymać. Usłyszała własne wycie, a potem wszystko zniknęło.

*

Jeszcze zanim otworzyła oczy, poczuła pod policzkiem aksamit babcinej sukni. Tak jak za pierwszym razem na ciemnym stryszku.

Wtedy zrozumiała, gdzie jest, chociaż ponad głową słyszała głos tatusia.

Leżała na kolanach u babci. A obok stała Anna z dzbankiem wody w dłoniach. Była taka blada. Prawie nie miała ust. To smutek. Był taki wyraźny po jej upadkach. Nie żeby go dostrzegą. Ale wiedziała.

Niekiedy sądziła, że widzi ich myśli. A zwłaszcza myśli Anny. Jakby ktoś popełnił w stosunku do Anny straszny grzech i nie poprosił o przebaczenie. Taki grzech, o jakim pastor mówił z ambony.

Dzisiaj usłyszała, jak tatuś wymawia to dziwne słowo, określające coś, co przestał jej dawać, bo siedziała tylko, podsypiając jak stara kobieta. Brom!

Otwierali usta. Stali, kołysząc się nad nią, jak ryby w wodzie pod stromą skałą. Otwierali i zamykali usta, z których wychodził brom. Po troszeczkę. A jednak poczuła w buzi okropny smak i zrobiła się obca sama dla siebie.

Twarz babci się rozplynęła. Ale przedtem spojrzała na Karnę tak, jakby patrzyła na kogoś, kogo nie znała.

A może ona nie była Karną? Może tylko im się tak wydawało? Może ona była kimś, kogo wszyscy się obawiali, ale nie mieli odwagi wymienić jego imienia? Kimś, kto widział wszystko, o czym się nie mówiło?

Czuła się tym taka zmęczona. Tak strasznie zmęczona. Gorsecik sukienki miała zupełnie mokry.

Babcia uniosła nieco jej głowę, żeby mogła się napić. I piła. Potem zamknęła oczy i odpłynęła.

Dwa razy obudziła się z powodu czegoś dziwnego w izbie. Babcia siedziała przy łóżku, patrząc na nią. Za każdym razem się

uśmiechała.

– To tylko babcia...

Dużo później, kiedy była znów w stanie mówić, rzekła:

– Nie chodź już na ten ciemny strych, babciu.

– A byłam na ciemnym strychu?

– Tak, ale lepiej tam nie chodź.

– A dlaczego, moja mała?

– To dla ciebie niebezpieczne. Spalisz się.

Rozdział trzeci

Dina kilkakrotnie wybrała się do Strandstedet. Zatelegrafować, nadać listy i złożyć parę wizyt.

Anders krążył między domem a zabudowaniami przystani. Przychodził, kiedy byli goście, i poza tym też nie wymigiwał się od niczego, jeśli był potrzebny. Ale chadzał własnymi ścieżkami. Pozornie z powodu wyższej konieczności.

*

Zanim przyjechała, miał trzy dni na przemyślenie swoich oczekiwań. Nie było to wiele. A jednak dosyć, żeby coś w nim pękło, kiedy przyjechała i wszystko przestało mieć znaczenie.

Zapewne miał nadzieję, że ona go dostrzeże. Ale nie wysłała takiego sygnału. Przyjazna i uprzejma, to wszystko. Zaczął przygotowywać się na to, że będzie chciała znów wyjechać. I zagadką było dla niego, po co przyjechała.

I wtedy, po dwóch tygodniach, przyszła do niego, kiedy siedział w kantorku sklepiku. Po raz pierwszy byli teraz sami. Poprosił, żeby usiadła, i zaoferował jej trunek, tak jak nakazywał obyczaj przy spotkaniach partnerów w interesach.

Usiadła, ale pić nie chciała. Przyszła porozmawiać o Reinsnes.

O finansach i księgach rachunkowych.

Nałożył okulary i wręczył jej protokół oraz zestawienie rachunków, żeby sama mogła przeczytać. Trwało to tylko moment i w niczym nie przypominało dawnych czasów.

Nie narzekała przesadnie. Prawdę mówiąc, w czasie, gdy z piórem zatkniętym za ucho analizowała chłodne cyfry, nie padło ani jedno słowo. Widział, że przelicza je w głowie i sprawdza, czy podane przez niego sumy końcowe się zgadzają. Kiedy skończyła, rzekła niemal z wesołością w głosie:

– Źle to wygląda!

Anders wbił wzrok w stół, zdjął okulary i na chwilę przymknął oczy.

– Powinnaś chyba była znaleźć sobie lepszego dzierżawcę niż Anders Bernhoft – powiedział z goryczą.

– Moje przemyślenia na ten temat są nieco inne.

– A jakie?

– Staraleś się zrobić wszystko jak najlepiej. Nowe czasy nie są łatwe. Strandstedet i tak pograżyłoby Reinsnes. Ostatecznym ciosem było przejęcie ekspedycji parowca i poczty.

– Mówisz o tym Olaisenie. Ale przecież to za sprawą mojego braku pieniędzy dostał kliper „Svanen”.

– Twój brak pieniędzy był raczej brakiem pieniędzy w Reinsnes – stwierdziła.

– A więc uważasz, że takie gospodarstwa jak nasze skazane są na zagładę.

– Z pozoru tak to wygląda. Skoro nie ma tu porządnego portu, a podróż lądowa musi odbywać się po stromych górskich drogach, gdzie zagrażają lawiny.

– Niech piekło pochłonie tego całego Olaisena i cholerne

Strandstedet. Telegraf i pocztę też! Niech grom z jasnego nieba uderzy i spali to wszystko!

Wsparła się na łokciach, a jej zwężone oczy były pełne wesołości.

– Dalej, proszę!

Złość z niego wyparowała i musiał się uśmiechnąć.

– Napiję się teraz łyeczka, żeby jakoś poradzić sobie z tą całą okropnością. A ty?

Przytaknęła ruchem głowy, zamykając z trzaskiem ostatni protokół.

Kiedy bez okularów usiłował nalać im trunku i nie udało mu się trafić do małego kieliszka, bez słowa odwróciła wzrok.

Ale zauważył to i poczuł się zakłopotany.

– Najtrudniej zobaczyć to, co najbliżej – powiedział i wytarł alkohol ze stołu, strzepując krople na podłogę.

– To dotyczy chyba nie tylko ciebie.

– Jednak większość z nas wzrok zawodzi dopiero po opróżnieniu kieliszka.

Unieśli kieliszki i skinęli ku sobie głowami.

– Przyjechałam nie tylko po to, żeby zobaczyć, jak jest źle – oświadczyła, patrząc mu prosto w oczy.

– Ach tak?

– Zamierzam uratować to, co się da.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, tej wiosny coś mnie spotkało. Dostałam pieniądze, których się nie spodziewałam.

Spojrzał na nią z uwagą, nic nie mówiąc.

– Postanowiłam, że spłacę za to długi i przywrócę Reinsnes świetność.

Po chwili padła cicha odpowiedź, a jego głos brzmiał tak, jakby

usłyszał nowinę, która go nie dotyczy:

– To wielka sprawa.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego?

Wtedy pochylił głowę, jakby usiłował przypomnieć sobie coś, co powinien był pamiętać i z tego powodu nie mógł odpowiedzieć od razu.

– Po pierwsze, mówisz mi to dość nagle... Po drugie, jesteś w domu od tygodnia i nic o tym nie wspominałaś. Po trzecie, Reinsnes jest przecież twoje, nawet jeśli bardzo długo pozostawało na mojej głowie.

Na tym skończył. Zamiast mówić, zaczął szukać po kieszeniach czegoś, czego najwyraźniej nie mógł znaleźć.

– Oskarżasz mnie, Andersie?

– A czemuż to miałyby służyć? Wiem przecież, dlaczego wyjechałaś... Ale za to, że tak powiem, nie rozumiem do końca, po co wróciłaś do domu... po osiemnastu latach. Teraz wiem, że celem jest spłata długów i może pomalowanie cumowni.

– Mogłam wysłać pieniądze.

– To prawda – przytaknął zmęczonym głosem.

Spojrzała na niego. Szczerze i otwarcie.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie musisz spłacać długów, bo kliper należy już do Olaisena. A w sumie tylko on był mój.

– Robię to dla siebie. I dla Karny.

Skinął głową.

– Ale czy to rozsądne wydawać pieniądze na Reinsnes, zważywszy że, jak przed chwilą sama mi wyjaśniałaś, ono wypadło już z gry? Mogłabyś przecież za to żyć sobie dobrze w Berlinie.

– Spłata długów to sprawa honoru.

– To prawda! Słuszne słowa! – rzekł i w końcu spojrzał jej w oczy.

Hardo.

– Jest chyba parę spraw, o których muszę ci opowiedzieć – stwierdziła spokojnie.

– Tak, też tak sobie pomyślałem...

Siedział, kiwając głową, jakby słuchał muzyki. Ogorzałe od wiatru dłonie oparł na podłokietnikach. Kciuk niczym haczyk zaczepił od wewnątrz. Po drugiej stronie wspierały się pozostałe palce, tworząc mocny łuk. Widać było, że są nawykłe do innych prac.

– Jestem właścicielką przedsiębiorstwa budowlanego i pośrednictwa nieruchomości. W Berlinie i Hamburgu. Mam tam ludzi, którym mogę ufać. Oba interesy przynoszą solidne zyski.

Trudno byłoby zgadnąć, co myśli, ale jego szczęka poruszała się szybko i w napięciu.

– To nieprawdopodobne, ile dokonałaś, Dino!

– Nie! – odparła prawie ze złością i zaczęła machinalnie szukać pióra za uchem. Nie trafiła i niechęć pociągnęła za włosy, a wtedy pióro z trzaskiem spadło na stół.

– Dostałam po kimś spadek. Przez całe lata pomagałam mu w rachunkowości i interesach. Kupiłam, ot, tak sobie, trochę akcji w jego firmie.

– Zapewne... pomagałaś mu w tych sprawach, na których tak dobrze się znasz.

Dolna szczęka wyraźnie zarysowała się w jego twarzy. Podbródek wystawał niczym ostry kamień.

– Przez pewien czas z nim żyłam.

Wtedy pochylił się głęboko do przodu, jednocześnie wstając z krzesła. Ostatnie oderwały się dłonie wsparte na podłokietnikach.

– Nie odbieraj godności naszym relacjom, Dino. Niech to, co było,

pozostanie niezmienione. Nie mam potrzeby, żeby o tym słuchać, jestem za stary, żeby gorszyło mnie prowadzenie się innych ludzi! Więc wybacz, ale najbardziej chciałbym, żebyś zachowała to wszystko dla siebie.

Wyprostował się i patrzył na nią przenikliwie, aż musiała odwrócić wzrok.

– Nie chcę, żeby cokolwiek pozostało między nami niedopowiedziane – rzekła.

– Lepiej, żebyś z takimi sprawami poszła do pastora zamiast do mnie. Nigdy nie poczuwałem się do tego, żeby udzielać komukolwiek odpuszczenia grzechów.

– Ale jesteś mi najbliższy.

– Wiele czasu minęło od chwili, kiedy byłem ci najbliższy, Dino.

Założył ręce na plecach, jakby nagle zauważył, że są zbyt ciężkie do uniesienia, potem podszedł do okna i stanął tam zwrócony do niej plecami.

– Powiedz mi, co sobie myślisz, Andersie! – odezwała się po chwili.

– Co myślę? Ależ proszę, możesz to usłyszeć. Zastanawiam się, kiedy ruszysz w podróż powrotną do Berlina. Albo w jakieś inne miejsce.

– Czy wolałbyś, żebym wyjechała?

Przy oknie panowała cisza. Tak wyraźna, że słyszeli, jak Anna gra w domu na fortepianie. Dźwięki niosły się przez otwarte okna jak wspomnienie czegoś nieokreślonego.

– Nie, do diabła! Ale jedno z nas musi sobie chyba znaleźć inne miejsce do mieszkania. Bo ja nie mogę szwendać się tutaj obok ciebie jak jakiś stary, samotny głupek! Tyle musisz zrozumieć, nawet ty, która zwiedziłaś świat i wróciłaś do domu z dużymi

pieniędzmi!

Był teraz niczym rozjuszony byk, czekający na razy biczem za to, że bódł.

– Przejdź się ze mną po wzgórzu z masztem, tutaj trudno oddychać – rzekła cicho.

– Nie, wyjątkowo potrzebuję dookoła siebie ścian!

Siedziała jeszcze przez chwilę, potem się podniosła. Otworzyła drzwi i wyszła.

Kiedy usłyszał jej kroki na żwirowej drodze, odwrócił się od okna i przez chwilę trzymał się za pierś. Z trudem dotarł do krzesła, a barwa zimy musnęła jego skamieniałą twarz.

*

Łodzie przybywały i cumowały w przystani. Albo wiązano je do pali przy starym nabrzeżu. Goście z rozbawieniem pozwalali się wyciągać na ląd za pomocą żurawia, a potem dość niepewnie stawali na deskach pomostu.

Przybywali grupkami albo samotnie, dokładnie tak jak w czasach, kiedy skład nie był jeszcze tylko zakurzonym interesikiem, w którym nic się nie działo. Zaczęło się od tego, że przyjechał nauczyciel z żoną wypytać o nowiny ze świata i przypomnieć Dinie, iż są spokrewnieni. Choć co prawda dość daleko.

Potem przybył wielebny z zamiarem napomknięcia Andersowi i Dinie, że są mile widziani w kościele. Chciał również poprosić Annę o zaśpiewanie podczas nabożeństwa świętojańskiego. Spodziewał się wielu wiernych i żywił nadzieję na dobrą pogodę.

Karna dość niegrzecznie wtrąciła się w mowę pastora i z ufnością poinformowała, że babcia tęskni za dzwonami kościelnymi w Berlinie, więc na pewno wszyscy razem przyjadą do kościoła.

– No proszę, proszę – rzekł pastor z zadowoleniem – dzieci zawsze wiedzą najlepiej.

Później przybywali ludzie ze Strandstedet. Komornik Hartvigsen, który w swoim czasie miał obowiązek pracy w Fagerness u referendarza Holma, zabrał po prostu całą rodzinę i przyjechał, żeby powitać Dinę w domu.

Porzucił życie na wsi i najął się jako przewoźnik w jedynym zajeździe w okręgu. Więc gdyby Dina z Reinsnes, i Anders oczywiście również, potrzebowali innego transportu niż własnymi łodziami, to z przyjemnością będzie im służył pomocą.

Przybył naczelnik telegrafu. Chudy mężczyzna z kozią bródką, ubrany w spodnie w biało-czarne prążki. Dotarło do niego, że Dina Bernhoft, lub też Dina Meer, jak niektórzy z jakiegoś powodu ją zwali, prowadziła interesy w Berlinie. W związku z tym chciał zaproponować, że z przyjemnością zajmie się całą jej korespondencją telegraficzną.

Dina odparła, iż dobrze to wiedzieć, ale że tutejsi mieszkańcy zdecydowanie rozdmuchiwali kwestię jej interesów. Przyznała, że faktycznie prowadziła firmę za granicą pod nazwiskiem Meer.

– Ale skąd pan telegrafista Vaage wie, że mam interes, którego muszę doglądać?

– No cóż, skąd może wiedzieć telegrafista? – rzekł mężczyzna z dumą i rozejrzał się po salonie, jakby był jego właścicielem.

– A to, co wie telegrafista, wiedzą wszyscy? – zapytała nieco kwaśno.

– Skądże, niech pani tak nie myśli. Rozmawiam o tym tylko z porządnymi, godnymi zaufania ludźmi – odparł mężczyzna, skwapliwie pozwalając dolać sobie portwajnu.

Im więcej poczęstunku serwowano, tym bardziej telegrafista

zwracał się do porządnych ludzi. Dina wiele się dowiedziała o interesach i transakcjach w Strandstedet, o klientach radcy oraz o wyjątkowej smykałce Olaisena do handlu.

*

A Wilfred Olaisen przyjechał z całą swoją rodziną, czyli Hanną z małym chłopcem przy piersi. I Isakiem, który bardzo wydorósł w ostatnim czasie.

Olaisen błyskał bielą uśmiechu i promieniał dumą, od razu też przeszedł do rzeczy: Chciał, żeby Dina zainwestowała swój kapitał w nową stocznnię, którą zamierzał budować w Strandstedet.

Dina powtórzyła spokojnie, że kwestia jej kapitału została zdecydowanie rozdmuchana tu w rodzinnych stronach i nie do końca odpowiadała rzeczywistości.

Wilfred Olaisen odgrywał rolę dyskretnie poinformowanego i określił tę wypowiedź jako wyraz skromności pani Diny.

Pochylił się ponad stołem w jej stronę, ignorując innych mężczyzn w pokoju, i całą swoją uwagę oraz uwagę poświęcił Dinie.

– Transport to znak nowych czasów! Gazety. Parowce. Przedsiębiorstwa! Dające pracę i przynoszące zyski. Sama pani rozumie, pani Dino, że trybom nie można pozwolić zardzewieć! Muszą się kręcić. Ja sam uruchamiam tylko te wszystkie małe trybiki. Potem one zaczynają się obracać i w ten sposób buduje się społeczeństwo. Sam nie miałem nic więcej prócz niewielkiego spadku po wuju – i dwóch rąk do pracy. Gdybym tylko, tak jak pani, miał solidne przedsiębiorstwo za granicą... Jednak jakoś to wszystko ruszyło! Po kilku latach interesy kwitły. Oczywiście, na miarę skromnych środków. Dobrzy ludzie na uczciwej pensji. Załadunek i rozładunek. Ale nie mówmy już o mnie! Słyszało się

przecież sporo w dawnych czasach o zmyśle pani Diny do interesów. A ludzie z upływem lat nie tracą przecież na mądrości! Proszę wybaczyć, że śmiem przypominać o latach. Ale to dotyczy nas wszystkich.

– Na szczęście! – wtrąciła, podniosła się i oświadczyła, że czas na jej wieczorną przechadzkę po wzgórzu z masztem.

A co powiedziałyby na to, żeby dotrzymał jej towarzystwa? Bo wtedy mógłby wprowadzić ją w procedury i finanse. Dotyczące planowanej stoczni.

– Nie, dziękuję, o tej porze zawsze chodzę na spacer sama, pan Olaisen musi wybaczyć.

Kiedy narzuciła szal na ramiona i już wychodziła z salonu, rzekła z uśmiechem:

– Zdaje się, że Olaisen zabrał już swoją główną inwestycję z Reinsnes?

– Nie rozumiem? – odrzekł zmieszany mężczyzna.

– Hannę! Nieprawdaż?

Wilfred musiał szybko zapanować nad sobą. Obrażanie się nie było opłacalne w interesach. Zgodził się z nią najbardziej ochoczo, jak potrafił.

– Jest piękna, pracowita i zmyślna – rzekł, przyglądając się jej okiem znawcy.

Hanna znalazła punkt na ścianie za głową Diny. Utkwiła tam oczy, powierzając mu cały swój wstyd. Miała uczucie, że Dina wyśmiewa się z jej męża. Że prowokuje go do upokarzania jej, chociaż sam nie rozumiał, że to robi.

A Benjamin? Od jej przyścia ledwie wymienili spojrzenie. Obcy dla niej, tutaj wśród samych swoich. Czy przyszedł jej na ratunek? Nie! Siedział tuż obok i sprawiał wrażenie, jakby on również dobrze

się bawił.

Dwie bruzdy pojawiły się w kącikach ust Hanny i pozostały tam przez cały dzień.

*

Dina jednak w żaden sposób nie zamierzała deprecjonować młodego wizjonera. Jeszcze tego samego wieczoru po wyjeździe gości Anna, Beniamin, Anders i Dina siedzieli w salonie, kończąc powoli wieczór. Wtedy podzieliła się swoimi przemyśleniami.

– Ten Wilfred Olaisen... Od kiedy tak wybił się w Strandstedet? Anders i Beniamin wymienili pytające spojrzenia.

– Zdaje się, że w tym czasie, kiedy Beniamin wrócił do domu. W siedemdziesiątym drugim. Przyjechał tutaj do pracy jako ekspedytor parowca – rzekł Anders.

– Słyszałam, jak nauczyciel w Strandstedet wspominał, że zamierzano zrobić go przewodniczącym okręgu – dodała nagle Anna.

W tym momencie Beniamin już od dłuższej chwili miał serdecznie dość Wilfreda Olaisena. Ziewnął i z wyższością skinął głową.

– Tak, koniecznie, na pewno będzie z niego pierwszorzędny przewodniczący.

Anna rzuciła mu zdumione spojrzenie, tak jak zawsze, gdy jego komentarze przekraczały granice taktu i dobrego tonu. Nic jednak nie powiedziała.

– Ile on ma lat? – kontynuowała Dina.

– Trzydzieści pięć – odparła Anna.

– Widzę, że się orientujemy w sprawach – powiedział kwaśno Beniamin.

Anna milczała, ale Dina udała, że niczego nie zauważyła.

– Trzydzieści pięć to dobry wiek dla maszyny jego kalibru.

Mężczyźni spojrzeli na nią z zainteresowaniem. Jakby poszukując właściwego znaczenia. Anna natomiast, nie czekając, zadała pytanie:

– Co masz na myśli?

– Nie widzieliście? Wy, którzy go znacie? Ten człowiek zawsze dostaje to, czego chce.

– Czy to coś złego? – zapytała Anna.

– Nie, to dar dla wszystkich. Musimy tylko nauczyć się znosić jego sposób bycia, żeby jak najlepiej wykorzystać osiągnięte cele.

Teraz Anders również poczuł, że zaczyna mieć dosyć zainteresowania Diny Olaisenem. Pożegnał się, życząc wszystkim dobrej nocy.

Małżonkowie wstali zaraz potem.

Dina posiedziała jeszcze chwilę, a potem, jak za dawnych czasów, poszła z kieliszkiem do altany. Ale była pewna różnica. Kiedy kieliszek był już pusty, nie wróciła po butelkę, tylko zrobiła dodatkowe okrążenie po wzgórzu z masztem.

*

– Dlaczego nie lubisz Wilfreda Olaisena? – zapytała Anna.

Beniamin, stojąc, zdejmował kamizelkę.

– Kto mówi, że go nie lubię?

– Ja. Ale jest to więcej niż widoczne dla wszystkich. I rani Hannę.

– Nie wiem – odrzekł nieco szorstko, ziewając.

– Czy to z powodu Hanny?

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Dlaczego z powodu Hanny?

– Bo uważasz, że powinna była wziąć sobie kogoś innego?

- Być może.
- To nie jest wina Wilfreda.
- Nie, to nie jest wina Olaisena.
- Dlaczego jesteś taki ironiczny?
- W stosunku do Olaisena?
- Wobec mnie.

Szybko zrzucił z siebie ostatnią część garderoby i stanął nago przed oknem w czerwcowym świetle.

- Nie miałem takiego zamiaru – rzekł, obejmując ją ramionami.
- Czasami bywasz nie do wytrzymania!
- Ale nie dla ciebie?
- Zdarza się! Tak jak dziś wieczorem, kiedy rozmawialiśmy o Olaisenie. A ja sobie na to nie pozwolę!
- Postaram się poprawić – wymamrotał w jej włosy.
- Żałujesz?
- Tak! I składam obietnicę! – wymruczał.
- Dobrze, niech będzie.

Była taka delikatna. Prawie idealna. Zupełnie wolna od humorów i skłonności do zła. Jego najlepsza towarzyszka. Ale nie mógł rozmawiać z nią tak, jak robiłby to z Akselem. Bo ona się nie odgryzała, tylko czuła się zraniona. Nie mogła służyć za przeciwnika w innym sensie niż przy dyskusji o sztuce i muzyce.

Kiedy szciotkowała swoje brązowe włosy, tak jak chwilę temu, a one falami spływały jej na ramiona, miał poczucie szczęścia. Bo z nim była. Kiedy tak jak teraz wbijała w niego spojrzenie swoich pięknych, niebieskich oczu i rozliczała go z tego lub owego, zdarzało mu się poczuć silną niechęć. Prawie złość. Szczególnie z tego powodu, że często miała rację, a on mimo to się bronił.

Ale nie dziś wieczorem. Zamierzał przyznać jej rację bez względu

na to, co powie. Stał, obrysowując dłońmi linie jej ciała. Jej usta bardziej niż cokolwiek innego mówiły o nastroju. Bywały wąskie i bezkrwiste niczym przysypany śniegiem płatek róży. Albo czerwone i pełne, jak wyczekiwany od dawna kieliszek wina. Dzisiaj wydawały się raczej wąskie i zdecydowane.

– Zostałaś wyrzeźbiona przez prawdziwego artystę. Użył formuł matematycznych, żeby wszystko w tobie obliczyć zgodnie z harmonią między planetami we wszechświecie. Stworzyć nie za mało ani nie za dużo Anny. Gwiazda, a jednak żywa – wyszeptał, prowadząc dłonie zgodnie z kształtem jej głowy.

– Twoje myśli, Anno, są jak spadające gwiazdy. Jak komety! Piękne, ale niebezpieczne. A twoje słowa trafiają oszołomionego pełnią księżyca wilka w samo serce. I w ten sposób oswajasz wilka.

Odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i się zaśmiała.

– Weźmy choćby dzisiejszy wieczór, kiedy wilk zranił Annę, bo miał już dość Diny i jej wychwalania Wilfreda Olaisena. Wtedy Anna go zdemaskowała i mogłaby łatwo go wyszydzić. Ale groźna kometa umie przemienić się w boginię, która nie poniza, tylko chroni! Raczej sama powie, że jest urażona, niż ośmieszy przegranego wilka. Bo dobrze wie, że gdyby z niego szydziła, to przegryzłby jej gardło. O tak!

Stała w cienkiej koszuli nocnej, przytulona do jego nagiego ciała i pozwalała się delikatnie gryźć. Z lubością patrzył, jak się poddaje.

*

Dużo później, kiedy sądził, że już zasnęła, usłyszał:

– Czy myślisz, że pozostaniemy bezdziejni?

Odwrócił się do niej i mocno ją objął.

– Chyba jest za wcześnie, żeby o tym myśleć.

– Dwa lata to dużo czasu... na myślenie.

– No dobrze, skoro tak uważasz, to niech ci będzie. A co ty myślisz?

– Że powinienes być wziąć sobie bardziej płodną kobietę.

– I cóż miałbym robić z nią takiego, czego nie mógłbym z tobą – zaśmiał się.

– Jesteś niemądry.

Puścił ją i ułożył się z ramionami pod głowę.

– Próbuję zbagatelizować myśl, że być może to moja wina – rzekł.

– Twoja wina? O tym nie pomyślałam.

– Więc na przyszłość bierz to pod uwagę.

Leżeli przez chwilę.

– Masz przecież Karnę.

– Po Karnie stałem się innym człowiekiem. Więc czemuż by nie i pod tym względem?

– Tylko mnie pocieszasz... dzieląc winę.

Zanim zorientował się, co robi, już to powiedział:

– Przynajmniej nie obawiasz się, że będziesz brzemienna, tak jak...

To małe „tak jak”. Czy usłyszała? Czy powiązała to z matką Karny? Czy z kimś innym? Co sobie dopowiedziała?

Dlaczego akurat teraz chciała rozmawiać o bezdzietności? Po wizycie Hanny?

Jeśli nawet dzisiejszego wieczoru usłyszała, jak położył akcent na „tak jak”, to przynajmniej na pewno nie powiązała tego z Hanną.

A może jednak? Czy znał Annę? Czy aby nie skończył poznawać jej głębiej od dnia, w którym stała się jego?

Nigdy nie naciskała nań, żeby przyjął pomoc jej ojca i studiował dalej. Zajął się badaniami. Jeśli o tym rozmawiali, to zawsze on wywoływał ten temat.

A może lepiej niż on sam słyszała w jego głosie, że tak naprawdę nie mówi tego poważnie? Czy dlatego go tym nie męczyła? Czy to dlatego mieszkał tu na północy, żeby Karna miała bezpieczne miejsce dla swoich upadków, bez obecnych wokół ludzi, patrzących z przerażeniem, odsuwających się, żałujących jej? A może nie wyjeżdżał, bo obawiał się konieczności sprostania nieznanemu?

Przytulił ją i szepnął:

– Dziękuję, że mówisz mi, o czym myślisz! To nowość tu w Reinsnes.

– Nie...

– Chciałbym cię o coś zapytać... Czy masz wrażenie, że miłość to tylko coś takiego, o czym pisze się listy, a kiedy już żyje się z kimś, rozmywa się i znika? – zapytał.

– Tak to odczuwasz?

Usłyszał, że znów mu się udało. Zranić ją.

– Nie, ale obawiam się, że ty tak czujesz. Że widzisz, iż nie jestem tym, za kogo mnie brałaś. I że zauważyłaś to zbyt późno.

Zastanawiała się przez chwilę. Do kurwy nędzy, zawahała się! Jakby trafił w najczulszy punkt. Zaczął czuć się nieswojo.

– Nie miałam wyboru. To nie takie proste. Nie byłam w stanie żyć bez ciebie. Opowiadałam ci przecież, że bardzo próbowałam, ale się nie udało.

Odetchnął. Być może tylko go pocieszała. Kłamała. Skąd mógł wiedzieć? Ale ta myśl nie opuściła go już. Dotarło do niego, że nie miał odwagi zapytać, jak się czuje, żyjąc tu z nim. Nie zrobił tego od pierwszej wiosny, kiedy jej tęsknota za domem była taka widoczna.

– Ty zrobiłaś coś konkretnego. Przyjechałaś. A ja tylko siedziałem tutaj, pisałem listy i marzyłem o miłości – rzekł.

– To te listy sprawiały, że wszystko żyło – uśmiechnęła się.

– Ale listy to nie rzeczywistość. Nie mówią całej prawdy.

– Prawdy? To chwila jest prawdą, Beniaminie! Tylko chwila. Nie dać się zwieść temu, co było, ani nie marzyć o tym, co będzie. Liczy się teraz! Że leżę tutaj przy tobie i że dzielimy się ważnymi dla nas obojga sprawami. I że jesteś jedynym człowiekiem, którego kocham bez żadnego nakazu. To właśnie jest prawda, dokładnie teraz.

Rozdział czwarty

Pewnego ranka Dina oświadczyła, że chce popłynąć sama do Strandstedet. Sprawdzić, czy po tych wszystkich latach jeszcze potrafi. Karna natychmiast chciała jechać z nią.

– Zanim zabiorę pasażera, muszę najpierw zobaczyć, czy dam radę dowieźć łodzią sama siebie, na pewno to rozumiesz – powiedziała zdecydowanie Dina.

– Jeśli nie wiesz, czy dasz radę utrzymać się w łodzi, to nie możesz płynąć, bo wtedy utoniesz – stwierdziła Karna.

– Pewnie sobie poradzę. Ale cieszę się na myśl, że pierwszy raz zrobię to sama. Beniamina też nie zabiorę. Możesz ze mną popłynąć następnym razem.

Dla Karny, która od samego przyjazdu Diny wszędzie za nią dreptała, nie doznając odrzucenia, to był zły dzień. Ale chociaż nikt jej tego nie powiedział, pojęła, że nie można sprzeciwiać się babci, żeby przeforsować swoją wolę.

*

Pomiędzy przylądkiem a głęboką zatoką osada wgryzała się w ląd i pięła dalej po skałach odsłoniętych przez niegdysiejsze odpływy. Jakby przyniosły ją tu jakieś potężne fale, pozostawiając

za sobą w niespodziewanych miejscach kłody, drewno, wodorosty i deski z dawnych łodzi.

Kamienny kościół stał tam, gdzie zawsze, samotny po wewnętrznej stronie przylądka, w sporej odległości od świata otaczającego port i przystań kupiecką.

Pola uprawne rozciągały się głównie po stronie zachodniej, zwrócone ku cieśninie, ponad morenowym wybrzeżem, nienadającym się do celów handlowych.

Strandstedet położone było na zacisznym zboczu, osłoniętym od strony morza wysepkami. Dobrze ukryte przed wiatrem wiejącym z trzech cieśnin i od lodowatego morza.

Wokół przystani parowca stało kilka spichrzy w różnym stanie i rozmiarze. Budynki mieszkalne, szopy na drewno, stajnie i stodoły rozrzucone były przypadkowo wzdłuż dróg. Wokół nabrzeża i magazynów znajdowała się garstka kantorów kupieckich, mały urząd pocztowy, ponadto zajazd i stacja telegraficzna.

Na niewielkim wzniesieniu, dokładnie na wysokości, z której widoczny był dla wpływających, stał pomalowany na biało hotel Central ze swoimi ciemnozielonymi framugami okien i rzeźbionymi ornamentami.

Na dachu królowały cztery solidne kominy. Przynajmniej z dwóch powinien był buchać dym, jeśli ludzie mieli sądzić, że hotel przynosi porządne zyski. Pokój w mansardzie na pierwszym piętrze miał werandę podtrzymywaną przez trzy przechodzące na wylot belki z ukośnym podparciem. Wytworne żłobienia w drewnie pomiędzy belkami nadawały całości wygląd korony.

Dina przechyliła głowę na bok, przez chwilę z uśmiechem przyglądając się hotelowi, a potem ruszyła dalej.

*

Drogi wiły się między rzędami domów, biegnąc ku szczytom wzgórz, gdzie duże wille stały w większej odległości od siebie, otoczone pomalowanymi płotami, ładnie utrzymanymi krzewami porzeczek oraz zielonymi jarzębinami.

Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła młody modrzew i krzaki róż, rosnące pomiędzy przeszkloną werandą a ścianą salonu w zwróconym na południe zakątku ogrodu. Wyczuwało się, że ktoś tutaj wydał sporo pieniędzy, żeby wznieść się wysoko ponad własny stan. Albo próbował urzeczywistnić marzenie o życiu pod inną szerokością geograficzną.

Niektórym na pewno wydawało się to egzotyczne i godne największego podziwu, inni natomiast otwarcie pogardzali próbą udawania kogoś, kim się nie jest.

Że Hanna, córka lapońskiej służącej i subiekta, który własnoręcznie powiesił się na sznurze w stodole, marzyła o ogrodzie podobnym do tego w Reinsnes, na pewno zdaniem niektórych stanowiło dowód arogancji.

Jednak w miarę zbliżania się do domu widać było coraz wyraźniej, że pani Olaisen robiła to, co chciała. Ścieżki wysypane białym piaskiem i obłożone kamieniami grządki, modrzew i pierwiosnki na pewno sprawiały, że ludzie udawali się na spacer po wzgórzu, żeby zajrzeć sobie do jej ogrodu.

Później te same osoby potrafiły powiedzieć redaktorowi gazety, jak trudno uwierzyć, że matka pani Olaisen urodziła się w ziemiance.

Wieść o tym, iż Hanna posłała męża do czasochłonnej pracy przy kopaniu i plantowaniu, dotarła aż do Reinsnes. Zupełnie jakby nikt w Strandstedet nie miał ogrodu, zanim rodzina Olaisena nie

wybudowała domu na wzgórzu. No i ta spiżarnia, o wiele za duża! Co najmniej jakby mieli trzymać rozliczne zwierzęta na mięso, które trzeba było potem zawiesić i zabezpieczyć.

Być może jedyną okoliczność łagodzącą stanowiły w oczach ludzi pospolite pędy rabarbaru, rozpościerające swoje liście w kolorze jadowitej zieleni ponad wzniesionym przez Isaka kopczykiem z robakami.

*

A Hanna częstowała wszystkim, co najlepsze. Tarta z rabarbarem stanowiła oczywistość. Dina głośno mówiła, że jest lepsza nawet od ciasta Oline. A co najmniej równie dobra.

Hanna uśmiechała się, proponując bez końca dokładki, jak nakazywał obyczaj. Dina była inna, niż ją zapamiętała. Przyjazna, ale nie taka surowa. Hanna zapomniała, że kiedyś trochę się jej bała.

Prawie z radością rozprawiała o pożytku z rabarbaru. Już w czasach gdy była dziewczynką i nadchodziło lato. Pamiętała, jak Beniamin i ona... Tutaj zawsze robiła małą pauzę, jej spojrzenie przelotnie zatrzymywało się na mężu, a potem wracała do swojej opowieści. Miała zwyczaj jeść całe łydgi na surowo. Stała, marszcząc nos, a cudownie kwaśny smak ścisnął jej ślinianki i przyprawiał o ból mięśni za uszami. Czasami dostawali trochę cukru od Oline.

Kontynuowała, już nieco bardziej gorączkowo. Opowiadała, jak gotuje zupę albo kisiel o czerwonej i ciepłej barwie, tak bardzo lubiany przez Wilfreda. Oczywiście zużywała przy tym sporo mąki ziemniaczanej. Ale sprawa była tego warta, o ile ktoś, jak to ujmowano, miał taką możliwość. Laska cynamonu albo dwie oraz pokaźna ilość cukru czyniły z tego posiłek, na który można by

zaprosić naczelnika okręgu.

Dina wzięła sobie kolejny kawałek ciasta i stwierdziła, że o rabarbarowej tarce Hanny nie można byłoby powiedzieć jednego złego słowa. Jej sława sięgała aż do Reinsnes.

*

Wilfred Olaisen był gościnnym gospodarzem i nie przejmując się tym, że jest mężczyzną, dolewał im wszystkim trojgu kawy. Portwajn stanowił oczywistość.

Oprowadził Dinę po przestronnym domu. Od piwnicy po strych wszystko było bez skazy. Dzięki jego małżonce, jak się z galanterią wyraził.

Dina chętnie wyrażała aprobatę. Nieźle znała się na porcelanie i sztuccach, więc z zainteresowaniem oglądała kolejne szuflady i kredensy, otwierane dla zaprezentowania wszystkich wspaniałości. Chwaliła meble i tkaniny. Świeżo posadzoną aleję drzew, które jeszcze nie zdążyły się w pełni ukorzenić. I werandę z kolorowymi szybami, skierowaną w stronę drogi.

– Ale czy ona nie miała wychodzić na morze? – było jej jedynym krytycznym komentarzem.

Jednak Olaisen wiedział o morzu już wszystko. Miał go dosyć. Przez pęcherzyki w czerwonym, żółtym i zielonym szkle zamierzał przyglądać się ludziom. Dawał pierwszeństwo mieszkańcom, jak stwierdził, posyłając Dinie jeden ze swoich najlepszych uśmiechów. Chciał zobaczyć, kto przechodzi obok, kto jest pieszo, a kto jedzie końmi. To drogi stanowiły przyszłość, o tym Dinie nie wolno było zapominać.

Ależ oczywiście, pamiętała. A co z parowcem? Ostatnio mówił, że to właśnie parowiec jest przyszłością.

Olaisen był tego popołudnia w świetnym nastroju i przypomniał

jej, że parowiec to brakujące ogniwo. Czyż nie zarobił sporych pieniędzy, przebudowując kliper „Svanen” na parowiec, żeby przewozić ryby na przynętę na Lofoty i do Finnmarku? Czyż nie powiedział Andersowi już wiele lat temu, że powinni postawić na parowiec? Budując przystań, zaproponował mu spółkę. Ale Anders nie miał wiary w takie rzeczy.

Jego sprawa. Olaisen wybudował wszystko z własnych środków. I oczywiście za pożyczkę. Uzyskanie pożyczki doprawdy nie było trudne, o ile posiadało się stosowne kontakty. Ale nie należało brać zbyt dużo. Zdecydowanie nie za wiele. Nie więcej niż tyle, żeby nadal spokojnie spać.

Odkupił również od Andersa włóki śledziowe. I skały pod sztokfiszę. To prawda, że póki co nie przyniosły zbyt wiele zysku. Ale jeśli nie miał czegoś, nad czym mógłby się głowić i w co mógłby wierzyć, czuł się niespokojny.

Najgorsze, co mogło go spotkać, to przeoczenie jakiejś ciekawej okazji. A jeśli chodziło o śledzia, to należało go traktować jak pory roku. Powtarzały się, ale nie rok w rok takie same. Trzeba było mieć wiarę. Cierpliwość. Poczekać.

I pewnego dnia przychodziła nagroda! Wtedy liczyły się tylko włóki. Szkoda było marnować czas na jakieś małe haczyki i tego rodzaju ręczne robótki. Trzeba było wyciągać morskie srebro w ilości zesłanej przez Najwyższego. Całymi ławicami!

Dina wtrąciła parę słów na temat tego, że zapewne dostał włóki tanio, skoro wziął wszystkie trzy, i skoro Anders jeszcze długo potem spłacał swój dług, który na ten cel zaciągnął w Bergen?

Ale o tym Olaisen nic nie wiedział. Było mu przykro. Być może to inny dług Anders spłacał. To prawda, że dostał je za przyzwoitą cenę. Dla obu stron. Za jaką dokładnie, nie pamiętał. Tak się

zdarzało. Ale za żadną nieprzyzwoicie niską. Ależ skąd.

Dina zauważyła, że chyba nie jest szczególnie oszczędnym człowiekiem interesu, skoro nie pamięta ceny za trzy włóki śledziowe. Doskonale rozumiała, że sypia spokojnie. Pewnie nie przeszkadza mu w tym fakt, że ceny śledzia nie były przesadnie wysokie w ostatnich latach?

Spojrzał na nią zdumiony jej dobrą orientacją w temacie i przyznał, że ceny były niskie, a podaż nieprzewidywalna. Ale on, który dodatkowo dostarczał przynęty, cieszył się stałym dochodem. Świeże przynęty!

Całe Strandstedet rozwinęło się w ostatnich latach. Pani Dina na pewno pamiętała, jak wyglądało przed jej wyjazdem do Berlina? Nie było specjalnie czym się chwalić? Nie, to prawda. Ale on miał swój udział w obecnym wzroście i rozwoju! Jeśli wolno mu tak powiedzieć? Dzięki pracy ludzie mogli wygrzebać się z biedy. W mieście zagościło czterech nowych kupców. Droga wzdłuż morza została zabudowana, podobnie jak Skjaeret i port.

Ale zbyt mało ludzi chciało inwestować. Wszyscy byli tacy podejrzliwi. Tacy wsteczni. Pełni obaw, że ktoś zarobi sobie parę koron.

Weźmy na przykład taki hotel Central. Właściciel przyjechał tutaj z Trondhjem z zamiarem prowadzenia gościńca na prowincji. Już samo to wystarczyło, żeby ludzie nabrali podejrzeń. Żona awanturnica nie ułatwiała mu sprawy. Biedak i tak umarł. A jego szwagier, ten piekarz, przejął cały ów splendor i przeniósł swoją piekarnię do piwnicy.

Tylko że nigdy nie planował prowadzenia hotelu. Miał dość roboty z chlebem. To prawda, że na prawo i lewo tryskał humorem i radością życia. Ale na tym trudno było zbudować hotel.

Poza tym miał teraz na głowie wdowę, do tego swoją własną siostrę. Wtrącała się do wszystkiego, nie mając pojęcia o niczym prócz najświeższych plotek. Dlatego wszystko poszło na dno! Ale czy pani Dina myśli, że piekarz wystawił hotel na sprzedaż? Ależ skąd!

Olaisen nosił się z zamiarem postawienia nowego hotelu. A może kupienia Centrala... kiedy już pójdzie pod młotek. Na przymusowych licytacjach często można było dostać korzystną cenę, gdy okazywało się, że zainteresowanie jest niewielkie.

Jeśli hotel miał się opłacać, powinien oferować coś więcej niż kawałek chleba i kawę. Trzeba było znać się na gotowaniu i na eleganckich deserach! To oczywiste!

Nie trzeba było bać się prowadzenia tego interesu. Tylko znaleźć własny styl. I kapitał. Oczywiście, zawsze najpierw musi być kapitał! Dlatego chciał zaprosić do spółki panią Dinę. Właśnie, czy używała nazwiska swojego pierwszego, czy też drugiego męża? Miał wrażenie, że obu, czy tylko mu się tak wydawało?

– Olaisen nieźle się orientuje, ale nie ma racji – rzekła krótko i bez wyjaśniania, w czym tej racji nie ma. Poprosiła go natomiast, żeby opowiedział o postępach w budowie drogi na południe. Czy z czasem goście hotelowi z dalszych okolic będą mogli przyjeżdżać końmi i wozem? Zajazd przecież już był.

Olaisen z ożywieniem stwierdził, że trafiła w samo sedno. Znała, zdaje się, tego człowieka, który prowadził zajazd? Kiedy w tym miejscu stanie ratusz i odbywać się będzie coroczny jarmark, to dopiero zobaczy! Prawdziwą przyszłość stanowiły drogi. Pojazdy. Wspomni jego słowa. Trzeba było patrzeć w przód. A nie rozpamiętywać przeszłość. Czas mijał tak szybko. Jeśli tylko uda im się zacząć...

- A gdyby piekarz sprzedał, żeby uniknąć bankructwa?
- Biedak nie ma dość umiejętności, żeby poprowadzić sprzedaż.

Nie widzi niczego poza swoim piecem chlebowym.

- Olaisen jest bardziej zainteresowany budową nowego hotelu?

Konkurencją?

Roześmiał się, podekscytowany.

- Piekarz nie stanowi żadnej konkurencji.

- Ale ktoś inny? Jeśli piekarz sprzeda.

– Cała przyjemność byłaby po mojej stronie. Ale co takiego miałem powiedzieć? Ach tak, skoro już siedzimy tutaj i rozmawiamy o wielu sprawach, to na sercu leży mi obecnie budowa stoczni.

W tym miejscu zrobił pauzę i z galanterią dopełnił jej kieliszek, a potem mówił dalej.

- Gdyby pani Dina miała jakiś wolny kapitał...

Uniosła brwi, mierząc go wzrokiem z dyskretnym uśmiechem.

– Mój drogi Olaisenie, o szczegółach interesów mam zwyczaj rozmawiać w cztery oczy. I przyjechałam tutaj zupełnie prywatnie, żeby odwiedzić Hanne.

Olaisen natychmiast zmienił temat. Ale po upływie stosownego czasu posłał Hannie znaczące spojrzenie. Podniosła się i oświadczyła, że musi położyć dziecko.

Olaisen doprowadził do wyczekiwanej rozmowy. W cztery oczy.

Kiedy Dina poszła, krążył po pokoju, rozkładając triumfalnie ramiona. Hanne poinformował tylko, że sprawa została szczęśliwie zamknięta.

Nikt nie był lepszym człowiekiem interesu w Strandstedet niż Wilfred Olaisen! Bo pani Dina Grønelt i on mieli budować stocznię. Razem, jako prawem potwierdzona spółka. Na plaży obok przystani

parowca.

Pozostawało załatwić formalności i czekać na zatwierdzenie przez zwierzchność, na jego pożyczkę i na kapitał pani Diny z zagranicy.

Powiadomiła go jednak o czymś. Miał zachować sprawę dla siebie do czasu, aż omówi to z najbliższymi.

Po spotkaniu z Olaisenem Dina poszła prosto do hotelu Central i poprosiła o pokój na jedną noc.

Przyjrzała się dobrze wyposażeniu przybytku i uważnie zlustrowała trzy pokoje, zanim zdecydowała, w którym będzie spać. Była bardzo wrażliwa na kurz, jak wyjaśniła.

W salonie i jadalni dominował przybrudzony aksamit, zużyte meble i zapach starego jedzenia. Temu dałoby się zaradzić. Na tyle, na ile mogła zobaczyć, okna były w niezłym stanie. Trochę trzeba by unowocześnić budynek z zewnątrz i od środka.

Kiedy usiadła przy oknie w mansardzie, odtworzyła z pamięci dumne obliczenia Olaisena dotyczące kosztów budowy nowego hotelu, cen drewna i szyb. Wspomniał, że dach i kominy są tutaj szczelne.

Kiedy siedziała tak pogrążona we własnych rachunkach, które wykonywała znacznie szybciej niż Olaisen, zaczęła cicho gwizdać. Brzmiało to jak ciche poświstywanie przez zęby gazeciarzy w Berlinie, gdy sprzedaż dobrze szła.

Zapytała dziewczynę w jadalni, czy piekarz Nikolaisen jest w domu i czy miałby czas, żeby porozmawiać z Diną z Reinsnes.

Została zaproszona do prywatnej części. Parający się wypiekiem chleba właściciel hotelu był miły, lecz zdezorientowany. Wiele wskazywało na to, że Olaisen nie mylił się w swoich analizach. Chociaż piekarz przyczesał włosy i zdjął roboczy fartuch.

Ale człowiek ten nie był głupi, a buty na pewno miał nowe. Skrzypiały. Mimo tego przeskoczyła dość szybko przez część zwyczajowych fraz grzecznościowych, których użyłaby w Berlinie, i bez zbędnej zwłoki zadała pytanie, czy było coś z prawdy w pogłoskach, jakoby nosił się z zamiarem sprzedaży hotelu.

Zmieszał się i zaczął tłumaczyć. Ale miał dość przytomności umysłu, żeby zapytać, skąd ma takie informacje.

Słyszała to z kilku źródeł, przyznała. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć jej nic pewnego. I ponieważ nie leżało w jej zwyczaju zajmowanie się plotkami, przysłała tutaj, żeby zapytać.

Mężczyzna skinął głową nieco zażenowany. Zaczął narzekać na transport. Opowiadać o niechęci ludzi do ponoszenia kosztu najprostszego łóżka i kawałka chleba. Musiał przecież jeszcze wynagrodzić pomocnika w piekarni i dziewczynę w Centralu. Do takich rzeczy jego siostra się nie nadawała.

Słuchała go z pełnym zrozumieniem, potem zapytała, nad jaką ceną się zastanawiał. Po kolejnej rundzie słuchania z pełnym zrozumieniem udało jej się skłonić go do wymienienia kwoty.

Wtedy szybko oświadczyła, że jeśli zgodzi się na połowę tej ceny, ona kupi hotel za gotówkę przekazaną z ręki do ręki.

– Do ręki? – zapytał mężczyzna szybko i nieco zbyt ochoczo.

– Tak! Ale wtedy transakcją musi zostać objęte również podpiwniczenie z piekarnią i całym sprzętem. W zamian dostanie pan dzierżawę na pięć lat.

Trochę się skurczył. Potem energicznie potrząsnął głową. Piekarnia była jego całym majątkiem.

Przytaknęła ze zrozumieniem, utrzymując wszak nadal, że nie może kupić nieruchomości, w której ktoś inny posiada piwnicę oraz grunt. Na pewno to rozumiał.

– A gdybym mógł korzystać z piekarni dożywno?

Nie, stwierdziła, może zrobić się stary i niedołężny, a wtedy byłby właścicielem tylko z nazwy. A ona musiałaby się użerać z jakimś trudnym czeladnikiem okupującym piwnicę. Nie była w stanie kupić na takich warunkach.

Mężczyzna przez chwilę siedział z podbródkiem opuszczonym na pierś, a potem niechętnie skinął głową.

– Do czasu załatwienia wszystkiego sprawa pozostanie między nami? – zapytała.

Przytaknął ponownie, wyciągając dłoń. Była biała jak śnieg i prawie pozbawiona paznokci.

Rozdział piąty

Pewnego wieczoru Anders siedział na ławce przy maszcie, kiedy nadeszła Dina.

Zatrzymała się na chwilę pomiędzy nim a słońcem. Czarna sylwetka otoczona płonąca obwódka.

Oślonił oczy dłonią i podniósł wzrok.

– Siedzisz sobie tutaj, Andersie?

– Latem to mój stały zwyczaj.

– Nie widziałam cię tu nigdy wcześniej.

– Nie, bo słyszałem, że chcesz pochodzić sama po wzgórzu z masztem.

– I zrezygnowałeś? Ze względu na mnie?

– Można tak to ująć.

– Ale dziś nie?

– Dziś nie.

Zrobił jej miejsce na ławce.

Usiadła w pewnej odległości, nic nie mówiąc. Siedzieli tak, patrząc na coś ukrytego w odległym blasku morza. Wspólnie.

– Ładnie jest dziś wieczorem – rzekł, nie poruszysz się.

– Tak.

Jakaś łódź zbliżała się powoli. Ruch wiosł. Od czasu do czasu

znikała w słabych falach. Morze było niczym ogromne, ruchome lustro.

– Dużo jeździsz do Strandstedet?

Wpatrywała się prosto w tarczę słońca.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, zrozumiałam to tak, że trudno ci... kiedy jestem tutaj. Że ludzie gadają.

Anders kiedyś skaleczył się mocno we wnętrze dłoni. W miejscu tym pozostała duża szrama. Teraz jego prawa ręka próbowała się upewnić, czy blizna jest ciągle na swoim miejscu. Kciuk wolnym ruchem gładko przesuwiał się po niewielkim wzniesieniu.

– Gdybyś trochę pomyślała, pewnie nietrudno byłoby zrozumieć, co właściwie miałem na myśli? – rzekł ze spokojem.

– Potraktowałam twoje słowa poważnie i zorganizowałam sobie inne miejsce do mieszkania.

Odwrócili się ku sobie jednocześnie.

Ona skrzyła całe ciało. Coś w jej ruchu wydawało się groźne. Ale kiedy zaczęła mówić, jej głos był niemal radosny.

– Kupiłam hotel Central i mam zamiar go unowocześnić.

Nie był pewien, czy dobrze usłyszał ani co powinien odpowiedzieć.

– Mówisz poważnie czy tylko żartujesz?

– Poważnie.

– Boże miłosierny... – zaczął w oszołomieniu.

– To raczej ja powinnam tak powiedzieć – odparowała.

– Co będziesz z nim robić?

– Prowadzić! Mieszkać tam. A przynajmniej póki co.

Klepnął się dłońmi po udach.

– Czy to ja w swej głupocie doprowadziłem cię do takiego cholernego nonsensu?

Nie odpowiedziała, ale zamiast tego oświadczyła:

– Kupiłam również udziały w stoczni tego Olaisena. Wierzę w tę sprawę.

– Czy Benjamin o tym wie? – zapytał ze zgrozą.

– Nie, ty jesteś pierwszy.

– Benjamin będzie wściekły!

– Olaisen nie jest trędowaty, ma wyjątkowy talent jako przedsiębiorca. Potrzebuje wspólnika. To będzie opłacalne! Dla Reinsnes.

– Z tego nie wyniknie nigdy nic dobrego. Ale zrobisz, jak zechcesz.

– Właśnie – odparła lekko.

– To nieczęsto ujrzymy cię tu w Reinsnes.

– Wystarczy, że pošlesz po mnie, a przyjadę. Ale nie dam rady powstrzymać ludzi przed plotkowaniem o mnie, zawsze to robili. Na pewno gadali mnóstwo również w tych latach, kiedy mnie tutaj nie było.

– Skąd wiesz?

– Ludzie, których jeszcze nie było na świecie w chwili mojego wyjazdu, rozpoznają mnie na ulicy.

– To dziwnie brzmi... Co miałaś na myśli, mówiąc... o posłaniu po ciebie?

Nakryła jego dłoń swoją. Szybkim ruchem, na chwilę. Odczuł to jak tchnienie wiatru.

– Wiem, że nie mogę oczekiwać tego samego, co było między nami przed moim wyjazdem. Zaprzepaściłam to. Ale jeśli chcesz, to teraz jestem w domu. Dla ciebie!

Nad ich głowami zabrzmiało leniwe pokrzykiwanie mew. A mała plamka łódki nadal znikąca co chwilę na łowisku czarniaka.

– Chyba mają tam dobry połów – rzekł.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Czy przeżywałaś smutek po jego śmierci, Dino? – zapytał nagle.

– Tak! Chyba tak. On z kolei przeklinał mnie przez wiele lat, bo odeszłam od niego w chwili, kiedy naprawdę kogoś potrzebował. Więc to był dziwny żal.

– On też kogoś potrzebował?

– Tak.

– A jednak dał ci wszystko, co posiadał? A ty wróciłaś do domu budować, kupować i unowocześniać. Podzielić się z nami tu w Reinsnes i w Strandstedet.

Zamrugła, patrząc na niego. Kilka razy. Jakby niepewna, czy tylko się z nią nie drażni.

– Koniec końców robię to dla siebie. Teraz mam okazję. Więc muszę postarać się uczynić coś dobrego. W końcu! Tyle mam win do odkupienia. Od czegoś muszę zacząć.

Przesunął ręką nad jej dłońią. Postarał się, żeby było to zaledwie muśnięcie wiatru, dokładnie takie jak jej dotyk. Potem zmienił zdanie. Nakrył jej dłoń swoją. I tam ją już pozostawił.

– Nie posiadam zbyt wiele kapitału do włożenia w to nowe miejsce, ale ciągle jeszcze żyję. Tylko wzrok pozostawia wiele do życzenia. O ile mogę tak powiedzieć.

Z pewnym wysiłkiem spojrzał wprost na nią i mówił dalej:

– Nie wiem, jak wszystko się potoczy. Ale kiedy będziesz miała dość mieszkania w Strandstedet i przyjedziesz do domu... to chciałbym, żebyś spała ze mną w jednym łóżku, Dino. Jeśli chcesz?

Siedziała zupełnie bez ruchu. Nie widział jej wyraźnie, gdyż była zbyt blisko. Ale dłoń nakryta jego ręką czegoś chciała. Dzisiaj była bez rękawiczki.

Szukając słów, zaczęła opowiadać. Początkowo nic nie rozumiał. Coś o jakimś pokoju. Potem pojął, że mówi o swoim domu w Berlinie. Opisywała widok z okien. Wielkie drzewa.

Pewnie chciała się z nim czymś podzielić, tak pomyślał, bo nie pamiętał, żeby miała w zwyczaju snuć opowieści. A na pewno nie przy użyciu tak wielu słów.

Po drugiej stronie ulicy mieszkał pośrednik w handlu nieruchomościami. Wyglądał dziwnie, jakby nie do końca wiedział, gdzie jest. Jakby niezupełnie należał do tego świata. Całkiem jak ona. Był z pochodzenia Polakiem. Sądziła, że to zapewne dlatego. Ale zachowywał się nienagannie. Nigdy nie doświadczyła jego legendarnego skąpstwa. Ludzie tylko tak o nim gadali.

I kiedy mówiła, Anders poczuł zrozumienie, nie tyle dla mężczyzny w Berlinie, ile dla niej. Jak się czuła, będąc obcą.

Opowiadała o rzece i pojął, że nie chodzi o zwykłą rzekę. Chciał zapytać, jak się nazywała, ale nie był w stanie przerwać jej opowieści. Mówiła o nieskończonym strumieniu wody pomiędzy dwoma brzegami. Zawsze wciśniętej między dwa brzegi. Nie tak jak tutaj, gdzie po drugiej stronie widoczny był tylko horyzont. Nie, tak niepojęcie odmienna. Płynąca woda skazana na miejsce pomiędzy oddzielnymi lądami.

Opowiadała o drzewach. Ogromnych i tak szumiących, iż nie mając pewności, można było pomyśleć, że to szum morza.

Wiele razy z jej opowieści wyłaniały się kwestie, o które chętnie by zapytał, bo mogłyby go zainteresować. Ale nie było miejsca na pytania. Ani przez chwilę. A w miarę, jak posuwała się coraz dalej w swojej historii, kolejne sprawy bladły i znikały.

I w tę właśnie opowieść o drzewach powoli coraz wyraźniej wplatała mężczyznę. Pośrednika, którego istnienie chciała mu

uświadomić wtedy w kantorku składu. Z którym żyła? O co tu chodziło?

Kiedy tak mówiła, Anders z całą jasnością pojął, dlaczego podróżni napotykający na swojej drodze drzewo szybko znajdują schronienie pod jego konarami. Nie dlatego, że odczuwają silną namiętność, tylko z tego prostego powodu, iż drzewo ze swoim cieniem znalazło się tam w momencie największej potrzeby.

Kiedy tak na nią patrzył, wypełniło go coś na kształt słabości. Otaczała ją biel. Światło morza? A może mgła znad bagien kłębiąca się w jego własnej głowie?

Wszystko jedno. Przecież wiedział, jaka jest. Usta, z których drobnymi falami wypływały słowa. Nozdrza rozchylające się w takt oddechu te słowa wypychającego. Rzęsy muskające policzki. Niech Bóg jedyny zmiłuje się nad nim, starym człowiekiem! Jej szyja. Na pewno gładka i mocna, chociaż wiek odcisnął na niej swoje piętno.

Jej dłoń nadal spoczywała pod jego dłonią, a ona wyczarowywała kolejne obrazy. Siebie samej. Zielonych brzegów rzeki. Teraz wymieniła nazwę: Sprewa. Dachy domów jak okiem sięgnąć. O wiele, wiele więcej niż w Bergen. I kominy. Trudno byłoby je zliczyć.

I chociaż nie wiedział, jak to się stało, wszystkie te lata zostały wymazane. Te samotne, pełne rozpacz, znienawidzone lata, które przesiedział w Reinsnes jako utopiec.

Czuł się, jakby nigdy nie wyjechała. A nawet lepiej. Bo zanim go opuściła, też nie było wyłącznie dobrze. Ale jakie to wszystko miało znaczenie, skoro tu była? Czemu miałyby służyć pytania i odpowiedzi, skoro człowiek już od dawna rozumiał, że życie trwa tylko między jedną minutą a drugą.

Jego chwila nadeszła właśnie teraz. I siedzieli razem na wzgórzu

z masztem i wspólnie podróżowali przez morze, przez ujścia potężnych rzek do wielkiego miasta i obcego języka.

Dlatego siedział całkowicie bez ruchu i ewentualne ludzkie gadanie obchodziło go tyle, co bzyczenie komara. Niech sobie brzęczy. Mężczyzna nie mógł zwracać uwagi na takie rzeczy. Nie zamierzał brać tego pod uwagę.

Bo cóż ludzie zajmujący się bzdurami i komarami mogli wiedzieć – o najważniejszym? Jeśli siedzieli i rachowali te wszystkie lata, przez które jej nie było, to przecież nic nie wiedzieli. Na temat tej opowieści, którą podarowała jemu i nikomu innemu. O tym osobliwym słowie, które kiedyś posiadał, a potem je stracił. A które teraz odnalazł, nie przyłożywszy do tego ręki. O miłości.

I to oddanie, którego nie potrafił ukryć, najwyraźniej czyniło coś również z nią. W miarę, jak mówiła, nachylała się ku niemu coraz bliżej. A nawet dotknęła jego ramienia, opowiadając najdziwniejsze rzeczy o muzyce w Berlinie. O orkiestrach. Operze.

I chociaż musiała mieć świadomość, że on nie wie o muzyce wiele ponad to, co dawno temu grała dla niego, to wspomniała jednak, że chciałaby tego wieczoru zagrać dla niego specjalny utwór. Bo sądziła, że mu się spodoba. Do końca swego życia zapamiętał słowa, którymi go określiła: *Wiegenlied*, skomponowany przez kogoś, kto nazywał się Johannes Brahms. Zamierzał zapytać ją, co to znaczy. *Wiegenlied*? Ale nie zrobił tego, bo wtedy musiałby przerwać jej opowieść.

I kiedy tak słuchał jej głosu, krew zaczęła krążyć mu w żyłach. Nie tak jak zawsze, żeby podtrzymać życie. Nie, raczej jak rzeka Sprewa wciśnięta między dwa brzegi. Gwałtowna siła, świadoma, gdzie chce płynąć. Między tymi dwoma brzegami miała tylko jeden cel.

Wystarczyło pozwolić utopcowi zniknąć.

Od czasu powrotu Diny, jak za dawnych czasów, jadali późne obiady w soboty i niedziele lub kiedy mieli gości. Tego dnia Anders zszedł do spiżarki i odciągnął Bergljot na stronę.

– Rozłóż, proszę, moje łóżko! I zadbaj o to, aby zanim położę się spać, były tam dwie kołdry i tyleż poduszek!

Twarz Bergljot nawet nie drgnęła. Dziewczyna skinęła tylko głową i dygnęła, całą dolną oraz górną połową ciała, ruchem tak zręcznym, jak praca nożyc w czasie strzyżenia owiec. Ale przy Annie nie była w stanie się powstrzymać.

– Pani Anno – wyszeptała przy pierwszej nadarzającej się okazji – pani Anno! Anders mówi, że mam posłać dwie kołdry i rozłożyć jego łóżko.

Anna uroczyście skinęła głową, jakby Bergljot miała do wykonania prawdziwie godną szacunku pracę.

– Dobrze, moja droga Bergljot! Bardzo dobrze!

Rozdział szósty

Stine i Tomasz przybyli do Strandstedet, żeby poinformować o dacie swojego odjazdu. Ale Hanna nie chciała o tym słyszeć ani słowa. Ameryka! Mogli zginąć! Zostać obrabowani i pobici! Albo coś jeszcze gorszego.

To prawda, że dobrze wyszła za męża i miała wszystko, czego potrzebowała. Ale Ole i Sara? Co z nimi?

Pojadą również, powiedziała jej Stine.

Tomasz poszedł obejrzeć parcelę pod stoczną, więc Hanna i Stine siedziały same w salonie.

– A zatem mnie zostawiacie! – zawołała Hanna.

– Pamiętasz, jak cię pytałam, gdy podejmowaliśmy decyzję? Kiedy jeszcze byłaś wdową. Chcieliśmy zabrać Isaka i...

– Tak. Ale w tamtym czasie nie byłam gotowa wyjechać tak daleko.

– A gdyby nie Olaisen, Hanno? Pojechałabyś z nami?

Wtedy Hanna nagle zaczęła płakać.

– Mogłabyś wtedy odnaleźć tam swoje szczęście. Zyskać wolność!

– Wolność od czego?

Zapadła cisza tak długa, że Hanna powtórzyła swoje „Wolność od czego?”

– Od Olaisena! – zabrzmiało cicho.

Stine stała, składając kilka lnianych ręczników, które przywiozła Hannie. Sama je utkała.

– Uratował mnie od biedy. On chyba jako jedyny spróbował mnie uwolnić, mammo.

– Przez pewien czas sądziłam, że zostaniesz w Reinsnes. W głównym domu...

– Co sprawiło, że tak myślałaś? – zapytała twardo Hanna, wycierając nos.

– Miałam wrażenie, że widzę to po nim.

– Po kim?

– Wiesz dobrze, chociaż nie wymienię imienia.

– To są marzenia biedaków, mammo.

Stine utkwiała wzrok w podłodze i nie odpowiedziała od razu. Nagle jednak zmięła i odłożyła trzymany ręcznik, po czym usiadła na najbliższym krześle.

– Ty i Beniamin powinniście być razem! – rzekła tak głośno, że Hanna rozejrzała się czujnie, sprawdzając, czy nie mają słuchaczy.

– O czym ty mówisz...

– Jeszcze to widzę! Byliście sobie przeznaczeni. Dostrzegam coś jeszcze: Żadne z was nie czuje się dobrze w życiu. Ty znów będziesz miała dziecko, a on jak dotąd nie ma. Ona... ona potrafi tylko grać i rozmyślać.

– Mammo! – zabrzmiało prawie jak krzyk.

– Oline powiedziała mi... że ty i on... w tamte Zielone Świątki... Nie powinnaś była wychodzić za Olaisena! On cię nie obchodzi. Widzę to.

– Mammo, skończ, proszę! – jęknęła Hanna, zwijając się w kącie przy piecu.

– Jeśli nie jest się w stanie kogoś kochać, będzie z tego tylko nieszczęście.

Hanna z pociemniałymi oczami odwróciła się w jej stronę.

– Kochać? Kochanie jest tylko dla lepszych ludzi. Tych, którzy przez całe życie mogą wybierać i odrzucać. Czy ty mogłaś? Czy jestem córką kobiety, która mogła pozwolić sobie na miłość?

– Tak, jesteś, Hanno! – A twój ojciec był pierwszy. Gdyby poprosił, żebym pojechała z nim do Ameryki, to tak bym zrobiła. Zamiast tego teraz Tomasz i ja wyjeżdżamy za własne pieniądze. Tak dopełnia się ta historia. Bo Tomasza kocham, bądź tego pewna!

– A więc jedź sobie do Ameryki! Proszę! Jedź!

Stine przyglądała obiema dłońmi włosy, jakby spodziewała się kogoś obcego. Bez lustra, machinalnie. Miękkim, nieobecny ruchem.

– On ciągle patrzy na ciebie, Hanno. Wiesz o tym...

– Zamilknij!

– Nadal o nim myślisz, Hanno.

– Zostaw mnie w spokoju!

– Kiedy byłaś w stanie błogosławionym, przyszła do mnie pewna kobieta ze Strandstedet. Była zdumiona, że jeszcze nie przyjechaliście do domu, bo widziała, jak wsiadacie razem do łódki... I pewna, że doktor płynie do domu w Reinsnes.

– Jaka kobieta? Kiedy?

Stine przyglądała jej się błyszczącymi oczami.

– Przecież powiedziałam. Kiedy spodziewałaś się małego Rikarda.

– Co jej powiedziałaś? – szepnęła Hanna.

– Że Beniamin musiał odwiedzić chorego na wyspie

i popłynęliście najpierw tam, ale że spodziewaliśmy się waszego przybycia.

Hanna zupełnie przestała płakać, patrzyła teraz w podłogę i miała trudności ze znalezieniem miejsca dla rąk.

– Beniamin przyплыł dopiero następnego ranka. Sam – kontynuowała Stine. – Ale ona już wtedy wyjechała.

Hanna znalazła na podłodze kawałek nici, w który teraz intensywnie się wpatrywała. Potem podbiegła do drzwi, wypadła na korytarz i ruszyła schodami do pokoju, gdzie stało duże dębowe łóżko.

Stine nie poszła za nią. Powiedziała to, co musiała. Ale teraz, kiedy została sama, kilkakrotnie przetarła dłonią oczy.

Tak bardzo chciałyby mieć bęben. Czarodziejski. Poszłyby wtedy na rumowisko i posłałyby siłę miłości tam, gdzie przynależała. A ludzi z Kopenhagi z powrotem na swoje miejsce, ale tak, żeby ich nie skrzywdzić. Wypuściłyby smutki i zaprosiła radość dla nich wszystkich. I urodzaj? Przede wszystkim urodzaj.

W dniu, w którym przyjechał Tomasz i opowiadał wszystkim, że sprawa została przesądzona, Beniamina nie było w domu. Wiosną wyjeżdżają do Ameryki. Zamierzał pomóc w znalezieniu dzierżawcy dla gospodarstwa.

– Ale że też nic nie powiedziałaś wcześniej? – zdziwił się Anders.

– Nie było co mówić, dopóki wszystko nie zostało ustalone.

Dina nie wygłosiła żadnych ostrzeżeń.

– Zawsze można wrócić do domu, jestem tego dowodem – rzekła i zaoferowała pomoc w przygotowaniach do wyjazdu. Potrzebowali jej? W spojrzeniu posłanym przez nią Tomaszowi było wyraźne uznanie.

– To smutne dla nas, którzy tu pozostaną. Ale życzę wam jak

najlepiej – powiedziała Anna, uroczyście podając im rękę.

Usłyszawszy nowinę, Beniamin ruszył przez podwórze do oficyny. Wyraźnie chciał się spotkać ze Stine, bo Tomasza widać było w polu.

Zaczął od tego, że jego zdaniem to odważna decyzja. Potem ostrzegł przed niebezpieczeństwami, z jakimi wiązała się taka podróż do Ameryki.

Nie odpowiedziała, wysiliła się tylko na uśmiech i podała mu kubek kawy z obwarzankiem na spodeczku.

– Nie martwię się ani o nas, ani o podróż – rzekła spokojnie. – Martwię się Hanną...

– Hanną?

Nadarzała się okazja. Opowiadając, patrzyła w stół, żeby nie musiał czuć się zakłopotany z jej powodu. O kobiecie ze Strandstedet. Ostrzegła go. Na wypadek, gdyby ludzie mieli więcej powodów do snucia domysłów? Jej zdaniem sprawa nie była tego warta.

Bo pogłoski były jak zgnilizna w drewnie. Ciągle się rozrastały. Powinna była powiedzieć to wcześniej. Gdyż od samych swoich narodzin był dla niej jak syn i pił mleko z jej piersi. Mleko, które miało dostać jej martwe dziecko. Dziecko, któremu nie było dane tu pozostać.

Słuchał bez przerywania. Starał się pojąć jej słowa o dziecku. Ale myślał tylko o Hannie i kobiecie ze Strandstedet.

– Złapał nas sztorm. Musieliśmy przybić do wysepki – wyjaśnił, starając się pochwycić jej wzrok.

– Hanna nigdy tu nie dotarła.

– Była mokra i wycieńczona, i...

– Dziwne, żeby wolne od winy serce próbowało się ukrywać?

Hanna nigdy nic nie powiedziała. Usłyszałam o tym od tej kobiety, która was widziała.

Przyjął to z płonąca twarzą.

– No cóż, zapewne obawialiśmy się, że stanie się to pożywką dla plotek.

Skulił się teraz, siedząc przed tą niedużą kobietą, którą przez całe swoje życie traktował jak największą oczywistość. Dotarło do niego, że nigdy zanadto się nie zastanawiał, co ona dostrzega ani co przeżywa. Ani jak się ma.

– Tak czy owak, Beniaminie, chcę cię poprosić o jedną rzecz. W zamian za to mleko, które kiedyś piłeś.

Skinął głową.

– Czy możesz zaopiekować się Hanną po naszym wyjeździe? Bo widzę, że ona przestała czegokolwiek pragnąć w tym życiu. Ma w sobie tę dziką wolę, dumę... za sprawą której ludzie się wieszają. Tak jak jej ojciec. Docierają do miejsca, gdzie nie ma już nic prócz mgły. I nie są w stanie żyć dalej. To my, matki, ponosimy za to winę. Dopóki Bóg jest bez winy, tylko my możemy wziąć ją na siebie. Ale gdybyś mógł mieć ją pod opieką?

Nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Przeczesał palcami włosy w oczekiwaniu na znalezienie jakiegoś wyjścia z sytuacji. Ale ona mówiła dalej.

– W Reinsnes zawsze było tak, że nie mówiło się najważniejszych rzeczy. Mnie też to dotyczy. Ale teraz, kiedy mam wyjechać... Patrzymy na siebie i nie zawsze widzimy prawdę. Jeśli próbujemy wyglądać inaczej w cudzych oczach, to na próżno. Ludzie widzą to, co im się wydaje. Dlatego chcę wyjechać do Ameryki. Tam nikt nie wie, że jestem tylko Laponką. Czy zrobisz to dla mnie i zaopiekujesz się Hanną?

– Będę opiekował się Hanną dla ciebie – rzekł najbardziej zdecydowanym głosem, na jaki potrafił się zdobyć.

– To wobec tego wszystko będzie dobrze – odparła, patrząc na niego łagodnie.

*

Czternastego września kalendarz księżycowy wskazywał krzyż. Tomasz stawiał sobie zawsze za punkt honoru, żeby w tym dniu wszelkie plony były już zebrane. W jego ostatnim roku w Reinsnes wszystko odbywało się o właściwym czasie.

Ale Dina nie zaprosiła Tomasza, kiedy pewnego przedpołudnia oświadczyła, że chciałaby porozmawiać z nimi wszystkimi w kantorku składu. Z Andersem, Beniaminem i Anną. Zamierzała omówić ważne sprawy.

– Pewnie znowu coś wymyśliła – szepnął wesoło Beniamin do Anny, kiedy schodzili aleją w pewnej odległości od pozostałych.

Dina nie usiadła na krześle za biurkiem. Ani na doktorskim fotelu Beniamina. Zwinęła się w kłębek na starym szezlongu i czekała, aż reszta usiadzie, gdzie im się podoba. Potem rozsznurowała buty, zrzuciła je kopniakiem i zapaliła fajkę marki Prince of Wales, częstując najpierw wszystkich dookoła cygarami. Beniamin i Anna podziękowali, a Anders pozostał przy własnej fajce.

Kiedy łapczywie zaciągała się pierwszymi haustami dymu, siedzieli, przypatrując się jej. Tylko Anders był w miarę przygotowany. To za jego sprawą poczekała z tą rozmową dosyć długo.

Zaczęła tak, jak jej doradził.

– Odziedziczyłam spory majątek. Spłaciłam wszystkie długi ciężące na Reinsnes, a wiosną zaczniemy remontować dom. Już

jesienią zrobimy dach na głównym budynku.

W izbie zapadła cisza. Jakby każdy ruch stanowił wysiłek.

Beniamin zmarszczył czoło. Potem wyciągnął nogi przed siebie, splótł ramiona na karku i powiedział z uśmiechem:

– Masz nieprawdopodobnie dobre nowiny! O ile wiem, będzie to sporo kosztowało. Któż jest tym łaskawym donatorem?

– Pewien człowiek interesu z Berlina, którego znałam przez wiele lat. To długa historia. Kiedyś ją wam opowiem.

– To fantastycznie! – wykrzyknęła Anna, podbiegła do Diny i ją uścisnęła.

– Dowiedziałaś się o tym właśnie teraz? Telegramem? – zapytał Beniamin.

– Nie, wiosną.

– I od maja trzymałaś tę wiadomość dla siebie?

– Można tak to nazwać – odparła przyjaźnie.

Jedno spojrzenie na Annę wystarczyło, żeby zarzucił ten temat.

– Chyba zaczniemy od podratowania sklepiku? Prawda, Andersie? – zapytał.

– Albo salonów? – dodała Anna, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

Anders nie odpowiedział. Dym z fajki otaczał go niczym gęstą chmurą.

– Szczegóły ustalimy później – stwierdziła Dina tonem człowieka interesu. – Mam jeszcze jedną sprawę.

Odczekała krótką chwilę, a potem kontynuowała.

– Będę do spółki z Olaisenem budować stocznię!

Beniamin stracił na chwilę panowanie nad swoją twarzą. Mięśnie walczyły ze sobą o wyrażenie uczuć, których nie sposób było odróżnić, tak szybko wszystko się działo: niedowierzanie, złość,

zraniona duma, szyderstwo. Głosu udzieliło mu to ostatnie.

– Wnoszę z tego, że masz sporo pieniędzy do wyrzucenia?

Przedłożyła krótko, czym zarządzała za granicą, bez podawania liczb. I bez reakcji na obraźliwą uwagę. Ale zakończyła stwierdzeniem, że w interesach nie zawsze można sobie pozwolić na myślenie o osobistych niechęciach. Trzeba było kupować tam, gdzie towar był dobry.

– Sądziłem, że jesteś mądrzejsza i że nie przyjdzie ci do głowy inwestować w cokolwiek wspólnie z tym dorobkiewiczem! – powiedział Benjamin.

Ale Dina wyrażała się jasno. Może i Olaisen był nuworyszem, ale umiał osiągać założone cele. Człowiek z dobrym wyczuciem interesu. Stwierdziła, że to rzadkość tu na północy. Każdy siedział i czekał, aż ktoś nakryje go kołderką i będzie do niego ładnie przemawiał. Nikt nie chciał ryzykować. Wystarczyły dwa miesiące, żeby to dostrzec. Reinsnes mogło przeżyć tylko, przyłączając się do handlu w Strandstedet i odnajdując dla siebie miejsce w nowych czasach. Nie miała zamiaru inwestować wyłącznie w stocznię Olaisena, kupiła również hotel Central od piekarza Nikolaisena.

– Hotel Central! Który jest na skraju bankructwa! – wykrzyknął Benjamin. – Postradałaś rozum?

– Piekarz nie ma pojęcia o hotelu, nigdy w żadnym nie mieszkał oprócz własnego. Wiem, jak uczynić go opłacalnym – stwierdziła Dina dobitnie, ale nadal z rozbawieniem.

– Tomasz i Stine wyjeżdżają do Ameryki. A ty inwestujesz w Strandstedet!

– Właśnie! Kiedy odejdzie stąd tych dwoje, którzy uprawiali ziemię, przeminą też nieodwołalnie dawne czasy. Musimy wymyślić coś nowego. Bez klipra i handlu z Bergen, bez sklepu i obsługi

parowca jesteśmy niczym. Nikt z nas nie potrafi uprawiać ziemi! Ty też nie, Beniaminie! – powiedziała ostro.

Uderzył pięścią w stół, aż podskoczyła popielniczka Andersa. Popiół rozleciał się dookoła, a potem osiadł na jego przedramieniu.

– A ty! Przyjechałaś do domu z pieniędzmi, które zdecydowałaś się postawić na Wilfreda Olaisena! I kupiłaś hotel, tak po prostu. Czy po to właśnie wróciłaś?

Z każdym gwałtownym słowem wypowiedzianym przez Beniamina kąciki ust Anny coraz bardziej drżały. Spojrzała na niego z wściekłością, lecz nic nie powiedziała.

Twarz Diny niewiele zdradzała, ale kiedy skończył, odezwała się niemal przyjaźnie:

– Z temperamentu przypominasz starego referendarza. Czeka cię więc pewna praca do wykonania.

Potem kontynuowała, mówiąc, że jest w błędzie, przyjechała nie po to, żeby kupić hotel Central. Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, że jest tu jeszcze tyle do odratowania. Sądziła, że wszystko zostało wystawione na licytację. Bez odwrotu. Ale to przecież nieprawda. Wiele można było zrobić, jeśli dopisze zdrowie i zachowa się zdrowy rozsądek. Ale najpierw należało zadbać o to, żeby mieć swój udział w sprawach dziejących się w Strandstedet.

– Ty, Beniaminie, musisz mieć stały gabinet, a nie tylko nędzną izbę na zapleczu, do której przychodzisz prosto z łodzi. Jeśli Anna i ty zamierzacie pozostać na północy, to zapewne powinniście przeprowadzić się do Strandstedet. Anna lubi przecież uczyć w zastępstwie nauczyciela, kiedy ten ma inne zajęcia. I na pewno pojawi się pytanie, czy nie chciałbyś przejąć stanowiska lekarza okręgowego po starym doktorze.

Mężczyźni jak na komendę podnieśli wzrok. Skąd to wiedziała?

– Od redaktora tej nowej gazety.

Beniamin nie był w stanie ukryć swojej pogardy:

– Redaktor zwierza się Olaisenowi jak stara plotkara!

Dina przyglądała mu się przez chwilę rzeczowo, potem zdjęła zakiet i oświadczyła, że oczekiwała większego zainteresowania tym, co mogli wspólnie zrobić dla przyszłości Reinsnes. Spodziewała się na przykład, że zapytają o budżet albo wniesiony kapitał.

Wyciągnęła teczkę z dokumentami i rozłożyła papiery na wytartym szezlongu. Rysunki i dokumenty, bez podejmowania kolejnych prób obrony swoich projektów.

– Najpierw stocznia.

Wyjaśniała, wskazywała, podawała liczby, odczytywała umowę o odpowiedzialności finansowej obowiązującej obie strony. Nie czekając na ich akceptację lub sprzeciw, zaczęła objaśniać rysunki. Stan surowy miał stanąć jeszcze przed zimą. Wiosną zamierzali przyjąć pierwsze zamówienia. Latem, do czerwca tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego roku, stocznia miała być ukończona!

Anders dał się porwać.

– Ale tutaj brakuje finansowania na jedną piątą? – zapytał.

Wskazała palcem na zdanie w umowie stanowiące, że Olaisen i ona mieli wnieść do spółki po dwie piąte, w gotówce. Ostatnią jedną piątą Olaisen miał pożyczyć, zastawiając swój dom. Już zostało to załatwione. Każde z nich miało prawo pierwokupu na wypadek, gdyby to drugie z dowolnego powodu chciało się wycofać lub nie było w stanie wypełniać swoich zobowiązań. Poza tym mieli sporządzić na piśmie umowę: Gdyby między stronami zaistniały poważne spory wewnętrzne, każde z nich mogło niezwłocznie wycofać swoje fundusze bez wypowiedzenia.

– A jeśli się pokłócicie i on zabierze swój kapitał? – zapytał Anders.

– Jakoś to uniosę – odparła z uśmiechem.

– A jeśli ty się wycofasz? – zadała pytanie Anna.

Dina wzruszyła ramionami.

– To będzie problem Olaisena. Zważywszy że pożyczył pieniądze pod zastaw własnego domu, raczej będzie wolał tego uniknąć.

– Tak czy owak, Olaisen posiada o jedną piątą więcej, a zatem ma większość – zauważył Anders.

– To jest uzasadnione. Jego pomysł. Jego przygotowania. Jego ryzyko związane z pożyczką. Ja przecież wnoszę tylko gotówkę z nadzieją na zyski w przyszłości.

Przenosiła wzrok z jednego na drugie. Ponieważ nadal panowało milczenie, zebrała ostatnie papiery w stosik.

– A jeśli wszystko się zawali? – spytał ponuro Benjamin.

– Do tej pory nic z tego, co zrobił Olaisen albo ja, się nie zawaliło. Dlaczego teraz wyczucie interesu miałyby nas zawieść? Armatorzy zmuszeni są korzystać ze stoczni położonych na południu. Olaisen musiał jechać aż do Trondhjem, żeby przebudować kliper „Svanen” na parowiec. Może kiedyś można byłoby robić takie rzeczy tutaj? Ale zaczniemy małymi krokami, od łodzi drewnianych i dalej się zobaczy. Stocznia budująca statki stalowe? Co sądzicie?

– Jesteś szalona – wymamrotał Benjamin. – Co możesz wiedzieć o budowie statków stalowych?

– Nic, ale są inni, którzy to wiedzą. Przynajmniej w Niemczech.

– Mogłabyś użyć tych środków do postawienia Reinsnes na nogi.

Wtedy zobaczyli wyraźnie, że ma już dość prób. Ze zmarszczonymi brwiami zgasiła fajkę i pochyliła się ku niemu.

– Jakie interesy możemy prowadzić tu w Reinsnes? I za co

Reinsnes i my przetrwamy, jak skończą się pieniądze? Za twoje doktorskie dochody?

Beniamin wstał, a jego twarz zmieniła kolor.

– Rób, jak chcesz! – stwierdził krótko i ruszył w stronę drzwi. Już w progu przystanął i zapytał, czy zamierza pozostać na miejscu do czasu ukończenia stoczni.

– Tak! Tutaj i w Strandstedet.

Wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym rozpaczony pomieszanej z szyderstwem.

– A Anders? On też pojedzie do Strandstedet? Czy będzie tylko do użytku od czasu do czasu?

Wtedy Anna wstała i podskoczyła w jego stronę. Zaczęła bić go pięściami po piersi. Wydawała z siebie dziwny dźwięk. Nie był to płacz.

Dina zaczęła głośno oddychać. Ze świstem.

– Beniaminie! – powiedziała ze złowróżbnym spokojem.

*

Opuścił izbę. Usiadł na krześle przy ladzie w sklepiku. Zaczął przyglądać się wszystkim szufladom po kolei. Niektóre były do połowy otwarte i roztaczały zapach stuletniej zawartości. Sto lat? A może o wiele więcej? Nagle poczuł, że za wszelką cenę musi się dowiedzieć, od jak dawna w Reinsnes był skład. Jak stara jest historia, która rozmywała się powoli, a nikt nie kiwnął palcem. On też nie.

Ogarnęło go dobrze znane poczucie bezsilności. Mały chłopiec siedział, czekając, aż jego władcza matka Dina skończy dyskutować w kantorze o interesach.

Zdarzenia przesuwwały się przez jego głowę jak węże. Budziły w nim wściekłość, nad którą nie potrafił zapanować. W końcu

znalazł się w czerwonej mgle, gdzie nic już nie miało znaczenia.

Nie wiedząc, jak to się stało, znów stał na środku biura składu. Ledwie zauważył, że tych troje ponownie analizuje papiery Diny. Wszyscy zgromadzili się wokół biurka. Ale nie zamierzał zwracać na to uwagi. Chciał powiedzieć jej kilka słów.

Kiedy gwałtownie wkroczył do izby, cała trójka podniosła wzrok.

– Możesz sobie wyjeżdżać i wracać, ile razy chcesz, Dino, ale jedną rzecz muszę ci powiedzieć: Nie machaj nam przed nosem pieniędzmi, które mogłyby uratować Reinsnes, żeby potem poświęcać je na marzenia Olaisena!

Dina pierwsza otrząsnęła się ze zdumienia.

– Jasno się wyraziłeś. Ale ja nie dałam Reinsnes w zastaw. Wręcz przeciwnie, odremontuję Reinsnes. Nie pożyczam na to ani jednego øre.

Jej ton przyprawił go o jeszcze większą wściekłość.

– Niech ci będzie, że uciekłaś ode mnie, od Andersa i od Reinsnes, ale nie uda ci się uciec od zmarłych!

Oparła obie dłonie o biurko i usiadła w obrotowym krześle. Zaskrzypiało tylko odrobinę.

– Teraz mógłbyś wyrażać się jaśniej – powiedziała szeptem, patrząc na niego wyzywająco.

– Rosjanin! Czy widywałaś przez te wszystkie lata Rosjanina? Strzał padł późną jesienią pięćdziesiątego szóstego?

– Beniaminie!

Z jakiegoś miejsca w izbie dobiegł władczy, męski głos Andersa.

Ale nie zamierzał go słuchać.

– Pamiętasz, jak leżał? Ta krew!

Rozkazujący ton Andersa przeszedł w błagalną prośbę.

– Nie odzieraj nas wszystkich z godności... na Boga,

Beniaminie...

Ale on wylewał z siebie kolejne kadzie gnoju. Prosto jej w oczy. Aż stały się tak brudne, że trudno jej było jasno widzieć. Opowiadał o małym dzieciaku z Reinsnes, który do chwili, kiedy stał się wykształconym w Kopenhadze doktorem, nie miał pojęcia, kto jest jego prawdziwym ojcem! O chłopcu pokładowym, który zamiatał wymiociny pod pokład. Przez kolejne sezony. Teraz się wylały. O wszystkich tych razach, kiedy była bardziej Diną Grønelv niż matką. O tym, że pozwoliła mu przeżyć całe życie z trupem. A potem jeszcze ich opuściła! Uciekła! Nie znaczył dla niej więcej niż pudło z kapeluszami, które można było zostawić wyjeżdżając. Anders też nie. A teraz Reinsnes. Zmiatała ich ze swojej drogi! Jak gówno!

Słowa były na przemian upojeniem i bronią. Iskrzyły wokół niego. Wreszcie!

Kiedyś go zapytała, czym jest miłość, czy pamięta to? Miłość? A kto, kurwa, jej zaznał? Zabijano ją, gdy tylko pojawiła się w Reinsnes. I to ona była tego powodem. Tak, ona!

Dźgał w powietrzu w jej stronę palcem wskazującym, którego mógłby mu pozazdrościć każdy straszący ogniem piekielnym kaznodzieja. Niewidzialny wiatrak wyrzucał z niego słowa. Bezsilność i zazdrość z całego życia walczyły o miejsce, każda chciała ukazać się w pełni.

Aż w końcu poczuł się pusty. Skurczył się jak niewyprawiona skóra łasicy. Zwolniło go to, ale nie powstrzymało. Poprosił ponownie, żeby opisała Rosjanina. Jak leży tam, we wrzosach.

– Zabity! – wrzasnął w końcu, jakby dopiero teraz wynalazł to słowo. Potem już tylko stał, parszcząc. I na swój sposób zapanował spokój.

Anna wpatrywała się w niego. W tego mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widziała. Potem skrzyżowała ramiona i oplotła się nimi w obronnym geście.

Dina przez cały czas śledziła go wzrokiem. Ale jej twarz nie miała żadnej barwy. Kiedy w końcu zamilkł, wciągnęła głęboki, urywany oddech. Jakby cała ta sytuacja stanowiła wyzwolenie.

– Czy to wszystko, Beniaminie? – zapytała szeptem.

*

Wtedy trudny do nazwania, cichy dźwięk wkroczył między nich i sprawił, że wyczuli, iż coś dziwnego dzieje się z Andersem. Tak jakby zapadł się w siebie. Jego dłoń skierowała się w stronę rozpięcia kamizelki. Potem opadła. Ciało usiłowało uwolnić się od krzesła, ale nie było w stanie. Również dlatego, że lewa dłoń pochwyciła podłokietnik i trzymała go w żelaznym uścisku.

Kiedy po chwili rozległ się ogromny rumor, jego źródłem nie było upadające ciało Andersa, lecz krzesło. Było takie toporne i pełne ostrych, wystających części. Anders natomiast cicho osunął się na podłogę i pozostał tam, na wpół leżąc na przewróconym krześle.

Ale dzięki niemu godność powróciła do izby.

W chwilę później, a może całe życie później?, doktor Grønelt stał przy nim na trzęsących się nogach, stwierdzając, że Anders nie żyje.

Serce stanęło.

*

Karna aż na górze drogi słyszała, że tatuś jest strasznie zły. Ale mimo to musiała pobiec do niego z wiadomością. Spieszyło się!

Gwałtownie zatrzymała się w drzwiach, nie do końca pewna, co widzi. Ale tatuś już nie krzyczał.

– Jakiś człowiek przypląnął nadmorską drogą z Plassen, bo ktoś tam bardzo krwawi! – rzekła, stojąc i trzymając się drzwi.

Babcia lekko uniosła dłoń w geście, jakby prosiła o ciszę. Jednak nic nie powiedziała. Jej ręka wypłynęła gdzieś z miejsca, w którym siedziała, ukryta we własnych włosach.

Na jej kolanach leżał Anders rozciągnięty na całą długość. A Karna pomyślała sobie szybko, że leżąc tak, Anders ma o wiele dłuższe nogi, niż kiedy chodzi.

Wszyscy czworo siedzieli na podłodze w półmroku. Najbardziej Anders. A poza tym to nie był Anders, tylko Oline. A po chwili znów Anders.

Poczuła odrętwienie. Jej usta nie chciały zachować spokoju. Drżały. Usiłowała je zamknąć. Ale otwierały się ponownie.

Tatuś był jak skamieniały, nie patrzył na nią i nic nie mówił.

– Chodź tu, Karno! Wiesz... Anders właśnie umarł – poprosiła babcia, kładąc dłoń na twarzy Andersa.

Kiedy uniosła rękę, Anders nie miał oczu. Leżał tylko. Jakby spał i trzeba było go za chwilę obudzić z drzemki, kiedy przyjdzie Sara, żeby przeczytać mu na głos gazetę.

Nie była w stanie zrobić tych kilku kroków. Kolana miała całkiem sztywne.

Tatuś podniósł się niepewnie, jakby miał zaraz upaść.

– Dino! Anno! Wybaczcie mi! Boże jedyny, Andersie! Wybacz mi!

Słowa wydobywały się z jego brzucha. Słyszała, jak płaczą, usiłując się wydostać.

– Biedne dziecko, które ma takiego ojca! – szepnął, gładząc ją przelotnie po włosach, kiedy opuszczał izbę. Jego kroki odbiły się echem w sklepiku. Potem usłyszała, jak szybko biegnie do góry, w stronę domu.

Anna wstała i ruszyła pędem za tatusiem. Karna nie była pewna, czy go dogoni. Zawsze biegł tak szybko, dostawszy wiadomość, że ktoś gdzieś krwawi. Ale chyba to było ważne dla Anny. Dogonić go.

Zaczęła się trząść. Nie mogła przestać. Zęby jej szczękały.

– Chodź tutaj i usiądź przy mnie – usłyszała głos dobiegający gdzieś z dołu, gdzie była babcia i Anders.

Wtedy spróbowała. Doszła po omacku i osunęła się na podłogę, przytulając się do ciała babci. Zęby szczękały jej tak strasznie, że poczuła wstyd. Nie miała pojęcia, jak mogłaby to powstrzymać. W końcu zagryzła je na szalu, aż poczuła w ustach poddający się wełniany splot i pełno nitek.

Czy to zawsze tak wyglądało? Że po prostu upadali? Wszyscy, którzy byli nam bliscy? Nie tak jak ona. O, nie. Upadali tylko ten jeden, jedyny raz.

– Z kim Anna będzie teraz rozmawiać? – usłyszała swój własny głos. Myśli, o których nie wiedziała, że je ma.

Babcia nie odpowiedziała, ale uścisnęła ją mocno jednym ramieniem, gdy drugie w tym czasie przyglądało włosy Andersowi.

– Mówił, że Stine go ostrzyże – rzekła Karna.

Siedzieli tam ciągle, kiedy usłyszeli, że ktoś pędzi w dół drogi i po piasku wbiega na przystań. Był odpływ i buty mlaskały w zgniłych wodorostach.

To pewnie był tatuś i ten obcy, którzy teraz wyciągali łódkę przez kłody, a ona obijała się o kamienie. Żadnych głosów. Tylko te dźwięki, które słyszała już tak wiele razy. Teraz miała uczucie, że zaraz się rozplacze od tego głupiego odgłosu.

Nie mogąc już wytrzymać, zapytała:

– Dlaczego tatuś powiedział to o biednym dziecku, co ma takiego ojca?

– Poczul się bardzo nieszczęśliwy, bo był bardzo zły na mnie właśnie w chwili, gdy Anders umarł – odparła babcia.

– Czy to jego wina?

– Nie! Nie wolno ci nigdy tak myśleć – powiedziała babcia.

– Dlaczego był taki zły?

– Za coś, co zrobiłam kiedyś, a co dla niego było bardzo trudne.

I że zostawiłam go i wyjechałam do Berlina.

– Czy jesteście teraz pogniewani?

– Nie! – odparła babcia, kołysząc Andersa.

Dzięki temu kołysała również Karę.

*

Rozległy się kroki wielu osób. Najpierw na zewnątrz. Potem na deskach podłogi. Anna, Tomasz, Stine, Sara i Ole. Stine niosła ze sobą świece. Bez słowa zapaliła je po obu stronach miejsca, gdzie siedziały, ale Karna wiedziała przecież, że to dla Andersa. Żłocista chwila otuliła całą trójkę.

Białe, gęste włosy i wysunięty podbródek jakoś pośliznęły. I ten zabawny mały wąsik. Ta dziwna kulka na przedzie jego szyi, która zawsze skakała w górę i w dół, kiedy jadł albo się śmiał.

Dłonie babci spoczywały na nim.

Potem płomienie stały się białe i wysokie.

Rozdział siódmy

Anna leżała w łóżku całkowicie ubrana, kiedy usłyszała daleki odgłos łodzi wciąganej na brzeg. W chwilę później była już w korytarzu na dole, zdjęła z wieszaka jakieś przypadkowe okrycie i ruszyła w stronę plaży.

Spotkała go na dole alei.

Odstawił torbę i tkwił tam, wpatrując się w jej buty. Twarz miał szarą i zarośniętą, a oczy ogromne i puste. Nie nosił kurtki, chociaż była zimna noc. Ani szalika i czapki. Jeden rękaw koszuli był mokry. Cała jego postać sprawiała wrażenie zapadniętej. Nie był długonogim mężczyzną i w czasie tych kilku godzin jego nabite, sprężyste ciało jakby się skurczyło. Głowa wyłobiła rozpadlinę między ramionami. Jakby zamierzała za wszelką cenę się ukryć. Ciemne, falujące, teraz splątane włosy okalały twarz, w której nawet oczy pozbawione były życia.

Kiedy tak stał przed nią w całej swojej nędzy, pomyślała: – Tak! Kocham go. Wybrałam tego człowieka! A jednak go nie znam. Jak to możliwe?

Powiedziała jednak coś innego:

– Wiem, że musisz być zmęczony, ale czy możemy gdzieś tutaj usiąść na chwilę?

Nic nie odpowiedział, zostawił tylko torbę doktorską i ruszył przodem, nie do kantorku składu, tylko ku przystani Andreasa. Zawiasy wielkich drzwi zakrzyczały. Panował półmrok i lodowate zimno. Tak jakby mieszkał tu chłód wszystkich wytęsknionych wiosen.

Otworzył drzwi wychodzące na morze, żeby wpuścić nieco światła. Kroki zmieniły się w głuchy łoskot, kiedy przechodzili pod wysięgnikiem z żelaznym hakiem na końcu. Zwisał przez dwa kolejne otwory w podłodze, tworzące szyb.

Anna była tu zaledwie dwa razy. I miało to miejsce latem. Zwoje starych sieci i lin zwisały z belek. Tu i ówdzie, niczym oczy w sieciach, błyskały zielone szkiełka pływaków. Słabe fale uderzały o kamienie i pale pod zmurszałą podłogą. W paru miejscach między szparami widać było wodę.

Stał, trzymając się drewnianej poręczy zagrządzającej otwór, umocowanej na dwóch solidnych, żelaznych okuciach. Ciągle jeszcze nie wyrzekł ani słowa.

Usiadła na skrzynce. I pomimo że się przygotowała, nie miała pojęcia, co powinna dalej zrobić.

– Mam wrażenie, że musisz opowiedzieć mi kilka niezbędnych rzeczy – zaczęła.

Minęła dłuższa chwila. Nie patrzył na nią. Poczowała coś na kształt opuszczenia. Nie była pewna, czy to jej samotność, czy może jego.

– Sądzę, że powiedziałem dosyć. Więcej niż dosyć! – jego głos brzmiał młodo i dziwnie świeżo.

– Nie mam siły, żeby żyć tutaj jako jedyna osoba, która nic nie wie. Dopóki nie rozumiem, nie potrafię rozgrzeszyć.

– Rozgrzeszyć?

– Tak. Bo nie mogę cię nienawidzić, Beniaminie.

– Może to byłoby najlepsze – szepnął.

Ściany pochwyły te słowa, odrzucając je ku nim ponownie.

Pochyliła głowę i zasłoniła twarz dłońmi.

– Nie rozpoznaję cię już.

– Sam się nie rozpoznaję. A z tego, co zrobiłem dzisiaj, chyba nie da się w żaden sposób rozgrzeszyć.

– Dlaczego? Jak mogłeś powiedzieć coś tak okropnego? Morderstwo?

– I tak jest już za późno na cokolwiek. Bo trudno zaprzeczyć, że sposób, w jaki to z siebie wyrzuciłem, zakończył życie Andersa!

Nie zaprzeczyła tym słowom. Siedziała tylko spokojnie, usiłując pochwyć jego wzrok. Rozpacz.

– Gdzie go położyli? – zapytał po chwili.

– W izbie czeladnej.

Poczuła ulgę, że o to zapytał.

– Czy to była zbłąkana kula? – zadała pytanie.

– Nie, kłótnia po pijaku o butelkę wódki. Z użyciem ostrej broni. Zadane pod kątem, szerokie na centymetr rany układały się w rząd. Jak od myśliwskiego potrzasku – rzekł, nawet nie mrugnawszy okiem. Tak jakby wykorzystał czas podróży łodzią, żeby nauczyć się tego na pamięć.

Wpatrywała się w niego.

– Chcesz powiedzieć, że zabiła mężczyznę w pijackiej kłótni o butelkę wódki?

Wówczas zaczął się śmiać. Jego śmiech przeszedł w przejmujące wycie. Kiedy zrozumiała, że płacze, podskoczyła w jego stronę i objęła go ramionami.

– Beniaminie – wymamrotała, niezgrabnie poklepując go po plecach. Pachniał potem i mężczyzną przemoczonym morską wodą.

Słono i ostro. I czymś jeszcze, niósł ze sobą woń medykamentów albo środków odkażających, która towarzyszyła mu zawsze po odwiedzinach u pacjentów. Bezpieczny zapach z dzieciństwa. Przed czasami Beniamina kojarzyła ten zapach ze swoim ojcem.

Oparł o nią głowę i ucichł.

– Ten dzisiaj to tylko zwykła rana. Poradzi sobie. Tamten... to był wystrzał ze sztucera... Nic nie można było zrobić.

– Zastrzeliła człowieka?

– Nie pytaj! – poprosił.

Chciała usiąść na skrzynce, nie rozejrzawszy się uprzednio dookoła. Podbiegł i ujął ją za ramiona, żeby przypadkiem nie usiadła na podłodze.

– Dina zastrzeliła człowieka! – powtórzyła, przyciskając się na przemian do skrzynki i do niego.

Nie odpowiedział.

– I to z tego nie mogłeś nikomu się zwierzyć? Aż do dzisiaj? Nikomu?

– Powiedziałem o tym Akselowi, kiedy chciał jechać za nią.

– Akselowi? Ale nie mnie?

– Musiałem go ostrzec. Co może się zdarzyć...

– Co masz na myśli?

– Mam wrażenie, że Rosjanin chciał ją opuścić i to chyba dlatego...

– Zastrzeliła go... bo ją zawiódł?

– Tak mi się wydaje.

Pociągnęła go za sobą na skrzynię. Tuliła się do niego mocno. Chciała go objąć, we wszystkich miejscach naraz.

– Gdzie wtedy byłeś?

– Na wzgórzu.

Kiwnął głową w kierunku góry.

– Stałeś tam i patrzyłeś?

Wtulił się w nią. Nigdy nie chciał już wyjść na światło.

– Ile miałeś lat? – zapytała bez tchu.

– Chyba jedenaście.

Obejmowała go. Mocno. Coś szeptała. Bezładnie i niezrozumiale, nawet dla siebie samej. Ale to działało. Uspokoił się.

– Czy byłeś w stanie jej wybaczyć? – zadała po chwili pytanie.

Nie odpowiedział od razu. Oddychał ciężko.

– Tak. Czyż miałem jakiś wybór? Ale to tak niewiele znaczy. To nie ode mnie ona potrzebuje przebaczenia. Niezależnie od tego, z jakiej gliny jest ulepiona, to na pewno nie miała w życiu zbyt łatwo.

Obejmując go dłonią za kark, poczuła, że włosy ma sztywne od soli. Głębokie bruzdy rysowały się obok ust. Nie zauważyła ich nigdy wcześniej.

– Twój ojciec, o którym nie wiedziałaś, kim on jest? – zapytała.

– Ona twierdzi, że to Tomasz.

– A on? Co on mówi?

– Nic.

– Chcesz powiedzieć, że znałeś go całe życie, nie wiedząc, że wy... że on...?

– Tak.

I w chwili, gdy wymawiał to małe słowo „tak”, zaczął się śmiać. Nie potrafił przestać. Ona również wybuchnęła śmiechem. Najpierw nieco wbrew własnej woli. Lękliwie. Jakby nie była pewna, czy jego śmiech również tym razem nie zmieni się w płacz. Ale kiedy ciągle zanosił się śmiechem, zawtórowała mu. Siedzieli, tuląc się do siebie nawzajem i do swojego śmiechu.

– Gdybyś wiedział, nie stanowiłoby to przecież żadnego nieszczęścia? – wykrztusiła.

– Nieszczęścia? Nie. Jakub i tak już nie żył.

– Dlaczego trzymała to w tajemnicy? Z powodu wstydu?

– Sądzę, że najbardziej dlatego, iż chciała, żebym odziedziczył Reinsnes. Opowiadałem ci o Johanie, synu Jakuba z pierwszego małżeństwa. Pewnie wołała, żeby nie zgłaszał roszczeń do Reinsnes.

– Ale on przecież był najstarszy?

– Tak. Ale spłaciła go w czasie, kiedy uczył się na pastora. I dopóki uchodziłem za syna Jakuba, łatwiej było jej pilnować moich praw. O ile znam Johana, to nie był waleczny. Ale kiedyś mnie uderzył.

– Dlaczego?

– Ja też pewnie jako chłopiec nie byłem aniołkiem.

– Nie przypominasz znanego Tomasza.

– Nie, słyszałaś przecież, co dzisiaj powiedziała. Przypominam starego referendarza, jej ojca.

– Czy on był okropny?

– Tak mi się wydaje.

Znów zaczęli się śmiać. Nie mogli przestać.

– Chodźmy teraz do łóżka – powiedziała ze śmiechem.

Wtedy zeszywniał, a śmiech zamarł mu na ustach.

– Idź sama! Muszę najpierw pójść do izby czeladnej, gdzie leży Anders.

– Pójdę z tobą! – odparła z wyraźnym północnym zaśpiewem, na które żadne z nich nie zwróciło uwagi^[5].

Kiedy wstawali, rzekł niewyraźnie:

– Kiedyś jako mały chłopiec zapytałem Andersa, czy nie mógłby

być moim ojcem.

– Co odpowiedział?

Jego oddech stał się świszczący i miał spore trudności z wymówieniem tych słów:

– Siedzieliśmy na przystani, właśnie tutaj, i naprawialiśmy sieci... Powiedział: „Jeśli uważasz, że przyniesie ci to coś dobrego, to chętnie będę twoim ojcem”. Potem podał mi rękę na potwierdzenie umowy.

*

Karnę obudził jej własny głos rozbrzmiewający w ciemności nocy. Otworzyła oczy, a mimo to nadal pogrążona była we śnie. Znalazła się sama w wielkiej pustce. Nie unosiła się w powietrzu ani nie upadała. Nigdzie nie podążała i nie wiedziała, gdzie jest. Wtedy tatuś pojawił się w świetle padającym od okna. Miał taką bladą twarz, a jego oczy zniknęły. Kiedy wpatrywała się w niego, stało się. Upadł! Upadł!

Krzyk był jej własny, a jednak nie należał do niej. Trwał tak długo. Całą wieczność. Wciągała oddech, bez przerwy krzycząc. Krzyczała i krzyczała bez ustanku.

A wołając tak, wiedziała, że nic nie odmieni tego, że tatuś leży na podłodze. Upadł tylko ten jeden raz.

Następną rzeczą, z której zdała sobie sprawę, była obecność babci. I że coś mówi. Nie była jednak w stanie usłyszeć słów, więc wskazała tylko na miejsce, gdzie leżał tatuś.

Babcia zapaliła lampę, więc zapewne chciała na niego popatrzeć. Ale nie zrobiła tego. Karna próbowała jej to powiedzieć. Że tatuś upadł. Jednak nie była w stanie. Nie było miejsca na nic poza krzykiem.

Rzucała się i chciała do niego podbiec, ale babcia trzymała ją

mocno. Strasznie mocno. Tak mocno, że aż bolało. Kiedy poczuła siłę tego bólu, krzyk ustał. Jakby ktoś włożył w nią korek.

– Tatuś upadł i teraz tam leży! – wskazała palcem w stronę okna.

Wtedy babcia zaprowadziła ją do niego. Chciała go dotknąć i sprawdzić, czy coś mu się stało. Ale kiedy uniosła dłoń, dojrzała tylko pustkę. Nie było go tam. Zniknął!

Teraz w drzwiach izby stała Bergljot i wyglądała tak, jakby też widziała upadek tatusia. Wtedy Karna zaczęła płakać.

*

Potem, leżąc w łóżku babci, usłyszała, że to, co widziała, nie było rzeczywistością.

– Śniło ci się, że tatuś upadł, bo boisz się, że umrze i że go stracisz, tak jak Andersa.

– Ale przecież nie ma go w sali. Sama widziałaś?

– Anny również tam nie było. Pewnie poszli na spacer po plaży albo są na wzgórzu z masztem.

– Może Anna też upadła?

– Nie, wkrótce wrócą. Widziałam, że łódka jest zacumowana przy pomoście. Będziemy czuwały, aż przyjdą.

– Ale przecież widziałam. Tatuś upadł.

– Czasami człowiek widzi rzeczy, które nie muszą być prawdą... Albo tylko je śnimy.

– Nie. Miałam otwarte oczy! Mówisz tak tylko, bo nie chcesz, żebym krzyczała.

– Mam gdzieś to, czy krzyczysz. Krzycz sobie, ile chcesz. I jak dla mnie, możesz też widzieć, co chcesz. A teraz otworzę drzwi na korytarz. I obiecuję ci, że zaraz zobaczysz Beniamina, który zapyta, dlaczego mamy otwarte drzwi. Annę też.

Pojęła, że nie pozostało jej nic innego, jak czekać.

*

Drzwi do izby Diny były na wpół otwarte. Zatrzymali się na chwilę przy poręczy schodów. Potem Beniamin postanowił zajrzeć do środka.

– Dlaczego drzwi są otwarte? Czy mam...

– Karna miała koszmary, więc chciała sprawdzić, czy żyjesz – dobiegł z mroku głos Diny.

– Napad? – zapytał.

– Nie, tym razem sny – odparła cicho.

Jej głos brzmiał tak, jakby nic się nie stało. Jak ona to robi?, pomyślał.

– Nie obawiaj się o mnie, tatusiu, śpię tutaj, bo widziałam, jak upadłeś.

– Upadłem?

– Tak samo jak Anders.

Wszedł do izby i po omacku poszukał Karny. Ale w ciemności natrafił na obie. Dłoń Diny uścisnęła go mocno.

Wymknął się i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

*

Anna odczytywała głośno raport dla referendarza. Właśnie skończyła przepisywać go na czysto.

„Czternastego września przed południem zostałem wezwany do Gunnara Olsena z Plassen, który podał, że został uderzony w głowę przez Pettera Pedersena. Włosy na całej głowie miał przesiąknięte krwią. Krew znajdowała się również na policzkach i w zewnętrznych przewodach słuchowych. Trzy rany na skórze głowy. Jedna tuż nad lewą skronią, jedna na środku czaszki i jedna po prawej stronie czoła. Wszystkie były zadane pod kątem i skierowane w lewo. Rany sięgały aż do kości, zadane zostały

ukosem od prawej do lewej strony w taki sposób, że odcięta skóra oderwała się od kości. Kość i okostna były uszkodzone, a brzeg rany był tłuczony, nie przecięty lub odrąbany. Użyto z wielką siłą ostrego narzędzia. Mimo szybko wdrożonego leczenia powstał guz i opuchlizna z towarzyszącą gorączką na skutek zakażenia. Objawy te ustąpiły po zastosowaniu okładów leczniczych”.

Beniamin z westchnieniem złożył swój podpis.

– Dziękuję! To ulga, że nie musiałem pisać tego sam! Robi mi się niedobrze od samego przyglądania się temu na papierze – rzekł.

– Nigdy tego nie pojęłam, że możesz poczuć się źle od widoku ran?

Gdyby nie śmierć Andersa, zapewne śmiałyby się ze mnie, pomyślał.

Wtedy to usłyszał. Śmiech!

– Nie od ran. Od krwi – odparł, wtórując jej śmiechem.

– Ale skąd to może się brać?

– Nie wiem. To zapewne forma pokuty za coś. Może za Rosjanina.

W tej samej chwili pojął, jaka to ulga. Móc to przyznać. Mówić o tym. Wypowiedzieć przed człowiekiem, który wiedział, to proste słowo: Rosjanin.

Stali po obu stronach sekretarzyka. On z raportem w dłoni.

– Muszę cię o coś zapytać – powiedziała.

– Tak?

– Broń, której użył? Dlaczego nie piszesz o swoich przypuszczeniach, czym uderzył?

– Bo mogę się mylić. Nie jestem od prowadzenia śledztwa, muszę tylko opisać rany.

Skinęła głową.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Wiem, że tyle smutnych rzeczy

zdarzyło się ostatnio... ale chciałabym, żebyś się dzisiaj ogolił! Dla mnie – dodała, ujmując w dłonie jego twarz.

Odłożył raport i przyciągnął ją do siebie.

Kiedy poczuł przy sobie tę miękką, żywą skórę i pojął, że już od jakiegoś czasu musiała o tym myśleć, nie dając nic po sobie poznać, zaczął płonąć.

Świeża woń lawendy wślizgnęła się pomiędzy nich, kiedy rozpinał stanik jej sukni.

Poczuł jej dłonie we włosach. Na karku. Przyciskała się do niego całym ciałem. Usta miała duże i wilgotne. Z dziką radością napawał się wolą Anny. Chciał się w niej ukryć. Zniknąć. Gdzie nic już nie miało znaczenia.

Pomogli sobie zdjąć najniezbędniejsze rzeczy. Niewiele tego było. Oddychała gwałtownie, a na jej twarzy malowała się rozkosz.

W chwili, gdy opadł, poczuł czułość. Wypełniała mu całe usta i gardło. Zagnieździła się w brzuchu i pachwinach. Jak fala. Poddanie. Potem niczym ściana nadeszło zmęczenie. Ciało nie słuchało. Odpływało.

Najpierw nie zamierzał tego uznać. Usiłował się przemóc. Potem zrozumiał, że to bezowocne, i leżał zupełnie spokojnie, ukrywając swoją porażkę w Annie.

Wtedy objęła go udami oraz ramionami i zaczęła powoli kołysać. Zwiądnął i kołysał się w niej. A wstyd, który czuł na początku, rozpląwał się w łączącym ich oddechu.

Zapewne wiedział to już wcześniej, ale dopiero teraz zrozumiał, że pomiędzy Anną a nim nie ma miejsca na porażkę.

Uroczystości pogrzebowe trwały od piątku do niedzieli. Odkąd ludzie sięgali pamięcią, nigdy tyle łodzi jednocześnie nie zostało zacumowanych i wciągniętych na ląd w Reinsnes. Dina wydawała

rozkazy, jakby te wszystkie lata za granicą miały tylko jeden, jedyny cel – zorganizowanie pogrzebu drugiego męża.

Nad wejściem do ogrodu kazała zbudować portal. Na dekorację trzeba było poświęcić co najmniej dwadzieścia iglastych drzew. Bo miał być wiecznie zielony, jak w raju. Chłopak ze Strandstedet za pomocą brzeszczotu wyciął napis w drewnianej tabliczce.

„W dziele twej męskości przetrwa twoja pamięć”. I czarny krzyż po obu stronach. Poprosiła Sarę, aby pod flagą uplotła z gałęzi jałowca litery A i B. Misternie połączone na kształt korony zamkniętej w sercu.

Gdyby ktoś jeszcze miał w to wątpić, mógł teraz na własne oczy zobaczyć, że Andersa Bernhofta kochano, szanowano i że był człowiekiem o wielkim znaczeniu. Ludzie, którzy uznali, że nie przystoi im wybrać się do Reinsnes po wzniesieniu portalu i rozpoczęciu ceremonii, w wielkiej liczbie wiosłowali i żeglowali dookoła. Bo szybko rozniosły się pogłoski, że Dina z Reinsnes kazała wystawić Andersowi tak nadzwyczajny pomnik, że trzeba było to zobaczyć. A nawet uwiecznić na fotografii.

Obecni na pogrzebie opowiadali, że przed wyjazdem do kościoła pewnym głosem wygłosiła przemowę. I że zagrała na wiolonczeli kilka światowych tonów dla swojego męża, który otoczony świecami leżał w izbie czeladnej na katafalku. Nazwała to *Kołysanką* Johanna Brahmsa. Dziwne, że grała kołysankę dla dorosłego mężczyzny. Ale ładną! Temu trudno zaprzeczyć.

Ci, którzy nie do końca byli pewni, co mają o tym myśleć, spokojnie czekali na opinię telegrafisty i redaktora. Gdyby ci dwaj uznali, że to piękne i wyjątkowe, nazwano by to miłością, która gwałtownie rozkwitła po latach spędzonych za granicą.

I wszystkie dawne historie o Dinie, których nie zdążyli opowiedzieć w czasie oczekiwania na jej przybycie, historie sięgające lat, kiedy jeszcze prawie jako dziewczynka została wydana za Jakuba Grønelva, zaczęły krążyć wśród ludzi. Jej doskonałą głowę do rachunków i nocne popijanie ubarwiali tylko trochę, bo już i tak były dostatecznie nieprawdopodobne. Opowiadano o tym w kółko, wzdłuż dróg i na polach, z rzadka w kuchni, gdzie mogli usłyszeć je państwo.

A w spekulacjach dotyczących powiązań Diny z Reinsnes z Wilfredem Olaisenem wynosili Olaisena do roli jednego z nielicznych wybrańców. Coś szczególnego musiało być w człowieku, którego pani Dina odwiedzała i z którym się spotykała.

Wielu ludzi utrzymywało, że mają pewne informacje, jakoby przekazała sporą sumę na stocznię Olaisena. A pogłoski o majątku Diny rosły z każdą kolejną opowieścią.

Tylko niektórzy byli dostatecznie powściągliwi, żeby zachować pewien umiar. Jednym z nich był Olaisen. Jednakże pławił się w tym szacunku, jaki wynikał z bycia zaufanym człowiekiem Diny, jak to sam skromnie określił.

Portal żałobny Andersa również Hannie przydał szacunku. Bo nawet jeśli była córką lapońskiej posługaczki, to została wychowana w Reinsnes prawie jak córka. Przez samą Dinę! I czyż nie otrzymała tych samych nauk w rachowaniu i pisaniu oraz we wszystkich możliwych kwestiach wyższych i katechizmach co doktor Grønelv? Czyż nie miała zręcznej ręki do tych wszystkich eleganckich materiałów, lamówek i falban, i czyż nie potrafiła wyczarować najpiękniejszych strojów, zupełnie jakby wyciętych wprost z żurnali albo kupionych w Bergen czy w Bremie?

Kobiety, szczególnie te bardziej zamożne, ubolewały głośno, że została panią Olaisen i nie chciała już przyjmować szycia, ale za to sama obszywała się teraz jak jakaś królowa. Hanna Olaisen, idąc do kościoła, wkładała aksamitny płaszcz koloru kawowego brązu. Obsyty zimowym króliczym futrem i z grubymi jedwabnymi pętelkami na guziki, którego mogłaby jej pozazdrościć sama naczelnikowa!

Inni zaczęli dywagować, co też popchnęło Dinę do wyjazdu za granicę i skłoniło potem do powrotu do domu. Znajdowali różne tego przyczyny i scenicznym szeptem przekazywali je dalej. Że podobno cierpi na wstydliwą chorobę i musiała szukać rady gdzie indziej.

Żona nauczyciela była zdania, że jest taka zarozumiała, iż chciała zostać słynną pianistką. A może chciała grać na tych wielkich skrzypcach, jak tam one się nazywają? Ale że Dinę pochłonęło dostatnie życie w wielkim mieście. Zaczęła ucztować w towarzystwie książąt i generałów zamiast ćwiczyć przy fortepianie. I w ten sposób zmarnowała sobie całe życie.

Żona kowala miała pewność, że wyjechała z nudów, bo nie rozumiała jeszcze, że Anders jest dla niej właściwym mężczyzną. Ale że wróciła do domu i dostrzegła swój błąd. Każdy, kto widział zielony jak w raju portal, musiał to pojąć.

Telegrafista twierdził, że zrezygnowała z muzyki, żeby zamieszkać z jakimś finansistą, który zdaje się był Żydem! I że została jego współniczką, bo jej zmysł do interesów był nieprzeciętny.

W odnogach fiordu i na wyspach, a nawet w Strandstedet, ludzie żyli bez zachwytów i zagrożeń. Jeśli pominąć Olaisena, nie działo się nic ciekawego, o czym można by mówić. Tylko tyle, że

mężczyźni wrócili z połowów na Lofotach i w Finnmarku albo z polowania na foki. Wyjątek stanowiły oczywiście drobiazgi, o których pisano w gazecie, takie jak pijaństwa, wiarołomstwo i bójki.

Ponad to nie wydarzało się nic znaczącego, co można by podczas rozmowy mieć na podorędziu. Mizerne życie potrafiło być tak pozbawione zdarzeń, że człowiek nie pamiętał nawet roku własnej konfirmacji.

Ale w chwili, gdy rozniosły się pogłoski, że Dina z Reinsnes kazała wystawić dla Andersa okazały portal nad wejściem do ogrodu, zaczęto mówić o królewskim pogrzebie. To było jak przyłożenie krzesiwa do hubki. Ogień rozprzestrzeniał się szybko i wywołał serię niespójnych, żyjących własnym życiem historii. O Dinie. O rodzinie z Reinsnes i wszystkich, którzy u nich żyli i zarabiali na swój chleb.

Ktoś wspomniał ślub Diny. Kiedy młodziutka panna młoda ku ogólnemu zgorszeniu wspięła się na drzewo, bo pan młody zaczął ją podszczypywać, zanim była gotowa. Oraz wypadek świętej pamięci Jakuba. I jeszcze tego rosyjskiego szpiega, co to się dla niej zastrzelił. Pomyślcie, że można tak kochać!

To, że Dina przybyła do kamiennego kościoła odziana od stóp do głów w czarne wiedeńskie koronki i z twarzą okrytą woalką wyszywaną perłami, żeby nie można było jej zobaczyć, dodawało jeszcze smaku starym opowieściom.

Ale w ostatniej ławce kościelnej siedziała dwójka ludzi, którzy pogaduszkami wypełniali sobie czas oczekiwania na przyjście krewnych i orszaku pogrzebowego. Opowiadali, że Dina zabiła kiedyś swojego konia. Własnoręcznie!

I kiedy muzyka organów niosła się cicho ponad odzianymi

w czerń ciałami, oczy wszystkich skierowane były na wdowę. Nikt jeszcze nie widział takiej wdowy.

Później jednak przypominali sobie również żonę doktora, która stała na chórze i śpiewała Andersowi na pożegnanie pieśń Pettera Dassa. Bez jednej fałszywej nuty. Tam w górze wyglądała, jakby ktoś ją narysował w powietrzu.

Ci, którzy pogwałciwszy wszelkie zasady przystojności, odwracali się ukradkiem w jej stronę, mogli na nią popatrzeć. Była nie z tego świata.

[5] Chodzi o głoskę „ae”; to aluzja do coraz lepszej znajomości dialektu północnonorweskiego u Anny.

Rozdział ósmym

Babcia pozwoliła jej pojechać ze sobą do Strandstedet. W miejsce nazywane stoczną. Wokół chodziło tam sześciu mężczyzn, którzy byli cali brudni. Jeden z nich był zaledwie chłopcem. Nawet jego twarz była czarna. Przypominał figurkę, którą miała Anna. Przedstawiała poważnego Murzyna w liberii, trzymającego tacę. Na tej tacy Anna stawiała swoje nuty.

Ten tutaj nie nosił liberii. A nawet gdyby ją miał, to nie wiedziałyby, jak wygląda. Taki był czarny. Kiedy otworzył usta, żeby przywitać się z babcią, uznała, że jego zęby przypominają te w czaszce w doktorskiej książce tatusia.

Ale w chwili, gdy chłopiec ściągnął czapkę, okazało się, że jego włosy są złote i z przodu sterczą prosto w górę. Wtedy pojęła, że nie jest żadnym Murzynem. Bo w obwódce odciśniętej wokół czoła, gdzie wcześniej miał nasadzoną czapkę, skóra była biała.

Poczuła się oszukana, bo bardzo chciała zobaczyć prawdziwego Murzyna.

– Jak tam idzie, Peder? – rzekła babcia, trącając brudnego chłopca w ramię.

– Dziękuję, nie narzekam – odparł.

Wtedy ujrzała, że ma normalne oczy z białym wokół czegoś

okropnie niebieskiego, co zawierało w sobie światło. Jakby w słoneczny dzień patrzeć na morze daleko poza szkiełkami.

– Przeprowadziłam tu dzisiaj ze sobą Karnę – powiedziała babcia.

Chłopiec wyciągnął czarną rękę i przyjrzał się jej. Potem uklonił się Karnie, jakby była dorosłym, z którym musi się przywitać.

– Dzień dobry, Karno Grøneltv – rzekł, kłaniając się ponownie.

Kiedy mówił, wewnątrz czarnych warg pokazywał się różowy okrąg. Zmieniał się z każdym wychodzącym słowem.

Wypatrywała potem tego okręgu.

Na końcu wąskich schodów było coś, co babcia nazywała „biurem budowy”. W środku siedział Wilfred Olaisen, który powiedział do niej „Chodź tutaj, młoda damo”.

Podeszła do niego i dygnęła. Był czysty od góry do dołu. Jego dłoń przypominała rękę tatusia. Ale tatuś miał czystsze paznokcie.

Babcia również podała mu rękę. Sprawiała wrażenie, jakby lubiła przebywać w „biurze budowy”, bo zmarszczka między jej brwiami stała się prawie niewidoczna, a kąciki ust miała uniesione do góry.

Olaisen mówił dużo rzeczy, za którymi trudno było nadążyć, ale od czasu do czasu spoglądał na Karnę i mówił „wy”, tak jakby ona też była dorosłą panią.

– Spotkałyśmy twojego brata na dole w kuźni – rzekła babcia.

– Peder się przydaje, chociaż brak mu jeszcze wieku i mądrości. Jest silny! – powiedział z dumą Olaisen.

– Nie sprawia wrażenia olbrzyma. Ile on ma lat?

– Skończy piętnaście w grudniu. Ma dobrą głowę! Chyba będę musiał wydać trochę pieniędzy na jego szkołę. Ale najpierw niech nauczy się używać do pracy rąk i trochę dorośnie – stwierdził

Olaisen.

Karna miała wrażenie, że u żadnego mężczyzny nie widziała tak ładnego uśmiechu, jak u tego Olaisena, kiedy mówił o swoim bracie, który prawie był Murzynem.

– Czego chciałby się uczyć? – zapytała babcia, siadając na starym krześle, podsuniętym jej przez Olaisena.

– Jeśli ja mam za to płacić, to musi nauczyć się naprawiać łodzie. Nie zamierzam wyrzucać pieniędzy przez okno.

Babcia nic nie odpowiedziała. Więcej krzeseł nie było, więc posadziła sobie Karnę na kolanach.

Wtedy Olaisen wyskoczył z pomieszczenia i wrócił ze stołkiem pokrytym zaschniętymi plamami farby.

– Siadaj, proszę! – zwrócił się do niej.

Usiadła, starając się wydać większa, niż jest.

Olaisen zdjął koszulkę i powiesił ją na gwoździu wystającym ze ściany. Potem uniósł się wysoko na palcach i zaraz opadł swobodnie na pięty. Wtedy zrozumiała, dlaczego Ole nazywał go bujanym fotelem Hanny. Ze spojrzenia przypominał niedźwiadka, którego dostała za ostatnim powrotem Andersa z Bergen. Miał kluczyk w plecach. Kiedy go przekręcała i stawiała misia na podłodze, odchodził, robiąc dziesięć sztywnych kroków.

Olaisen uniósł się na piętach trzykrotnie. Potem przestał.

Kiedy znów usiadł, babcia zapytała, jak miewa się mały Rikard i czy już zaczął chodzić.

– Nie, dopiero w listopadzie skończy roczek – odparł Olaisen.

– A jak się ma Hanna? – zapytała babcia.

– Kwitnie i cieszy się doskonałym zdrowiem – odrzekł pospiesznie i zaczął mówić o tym, że wkrótce stocznia będzie skończona i powinni zacząć reklamować ją w gazetach.

Wtedy babcia wyjęła ze swojej torby kartkę i odczytała ją na głos, a Olaisen siedział w tym czasie odchylony do tyłu, z palcami jednej dłoni dokładnie przylegającymi do palców drugiej dłoni.

Zgłoszenie spółki. Do Magistratu w Tromsø. Zgodnie z ustawą o rejestrze firm z dnia trzeciego czerwca tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku zgłasza się niniejszym, że niżej podpisany Wilfred Olaisen i Dina Bernhoft na wspólny rachunek otworzyli kuźnię oraz stocznnię pod firmą: Olaisen & Co. Oboje są związani powinnością, ale tylko ja, Olaisen, mogę składać podpis w imieniu spółki. Siedziba firmy znajduje się przy przystani parowca w Strandstedet.

Strandstedet, dnia trzydziestego października tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku.

Wilfred Olaisen

Dina Bernhoft

Kiedy czytała, Olaisen zamknął oczy. Teraz je otworzył, podskoczył ku babci i ponownie uścisnął jej dłoń.

– Jak ona dała radę wpaść na to, że „tylko ja, Olaisen, mogę składać podpis w imieniu firmy”? Cóż za szczodrość! Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

– To oczywistość przy tego rodzaju zgłoszeniach – odrzekła babcia.

Potem oboje podpisali papier. Olaisen włożył go do koperty i przystawił lakową pieczęć.

Uroczysty zapach laku był taki sam jak w domu.

Babcia włożyła list do torebki, żeby go wysłać.

Potem Olaisen napełnił kieliszki. Karna też dostała kroplę. Ale jej nie wypięła.

Babcia była zdania, że muszą nająć więcej mężczyzn, żeby zdążyć z wszystkim przed zimą.

– Dobrze, że zaczęłaś prace ziemne bez mojego kapitału. Inaczej przepadłby nam sezon wiosenny. Potem założyła sobie za ucho pióro Olaisena i zaczęła przeglądać dokumenty, które przed nią położył. Ale zaraz odsunęła je i zebrała w stosik.

– Wezmę je ze sobą do Centrala. Zwrócę jutro – oświadczyła babcia.

Olaisen znalazł szary papier i sznurek, po czym zapakował dokumenty jak paczkę, bo nie mieściły jej się do torby. Już była wypchana.

– Nie chcecie przenocować u mnie i Hanny? – zapytał i podniósł się, żeby dolać babci do kieliszka.

– Nie, już się zagospodarowałyśmy w Centralu. A skoro o tym wspominasz, Olaisenie, to możesz mi pogratulować jako nowej właścicielce hotelu.

– Właścicielce hotelu?

Głos Olaisena zabrzmiał jak cios, a lądowanie na obu piętach było gwałtowne. Aż zadrżały mu włosy i policzki.

– Kupiłam hotel Central. Trochę to trwało, bo byłam zajęta kwestią naszej stoczni. Ale teraz jest mój.

Mężczyźnie jakoś dziwnie zmieniła się twarz. Nabrała innego koloru. Na końcu zrobił się prawie różowy. To jakoś nie pasowało. Karna miała wrażenie, że razem z babcią żeglują na kawałku kry. Nie było to miłe. Mimo to nie chciałyby tego nie zaznać.

Olaisen zmienił się jakby za sprawą złych czarów. W jednej chwili. Na ich oczach.

Zacisnął powieki i spojrzał na babcię w taki sposób, jakby właśnie rzuciła w niego śnieżką.

Nie zwracał uwagi na Karnę. Po kilkukrotnym odkaszlnięciu wydobyło się z niego coś na kształt syku.

– A więc ona załatwiła wszystko po cichu!

– Tak. Nigdy nie opowiadam o niesfinalizowanych interesach.

I chwilę później stwierdziła, że chyba w tej kwestii trochę się różnią.

Olaisen znów usiadł za stołem. Poprawił sobie kołnierzyk koszuli i nic nie odpowiedział. Karna dostrzegła, że coś porusza się w jego ustach. Jakby kawałek mięsa utkwił mu w dziurze w zębie.

– Pamiętam, że mówiłem ci, że chcę kupić ten hotel – rzekł tym samym syczącym głosem.

– Pamiętam, że powiedziałeś, że masz zamiar budować nowy – poprawiła babcia. – I oczywiście lepiej, jak wszystko pachnie świeżo heblowanym drewnem.

Karnie lekko spociły się dłonie.

Cisnął rachunkami o biurko i gniewnie przestawił brązowe, obrotowe krzesło.

– Sądziłem, że jesteśmy współnikami?!

– W kwestii stoczni tak, ale nie w sprawie hotelu.

Karna widziała, że Olaisen walczy ze sobą, żeby nie okazać złości. Ale był zły! Nie chciał jednak tego pokazać. Nagle zaczął wyglądać groźnie.

– A zatem nie w sprawie hotelu, ach tak, no proszę. No proszę.

– Olaisen! Nie próbuj bezczelnie oszukać dorosłej kobiety. Oszczędź sobie odgrywania roli obrażonego. W świecie interesów widziałam gorsze rzeczy. Lepiej byłoby, gdybyś przywdział maskę pokerzysty, żeby konkurowanie z tobą stanowiło jakąś przyjemność. Zachowujesz się tak, że zaczynam się zastanawiać, czy jesteś dla mnie odpowiednim współnikiem!

Babcia była całkiem obca. Teraz wstała z krzesła.

Olaisen nie był już różowy. Tylko fioletowy.

Babcia naciągnęła rękawiczki i chwyciła paczkę z rachunkami. Kiedy przemykała obok, Karna pilnowała, żeby wyjść w fałdach jej spódnicy. Odwróciła się jednak odrobinę, żeby dygnąć na pożegnanie mężczyźnie za biurkiem. Kiedy były już przy samych drzwiach, babcia odwróciła się i powiedziała prawie wesoło:

– Spróbuj pogodzić się z tą myślą do czasu, kiedy jutro wrócę tu z papierami! Zmienię nazwę na hotel Grand!

Kiedy wyszły, czarny Peder uchylił czapki, chociaż akurat stał i trzymał w obcęgach coś zanurzonego w wielkim ogniu. Zrobiło się popołudnie i było dość ciemno. Mimo to widziała światło w jego oczach. Nic jednak nie powiedział.

*

W hotelu babci Karna zjadła frykadelki i kisiel z rabarbarem na deser. To była naprawdę wielka sprawa.

– Babciu, czy stół i krzesła też są twoje?

– Tak. I dziękuję ci za pomoc tam u Olaisena!

– Jak to?

– Gdyby cię tam nie było, to na pewno byłby bardziej zły za to, że kupiłam hotel.

– Dlaczego?

– Po prostu! Zrozumiał, że jest nas dwie! – odparła poważnie babcia.

Uniosła wysoki kieliszek z winem, a Karna podniosła swój, napełniony malinowym sokiem. Było to równie uroczyste jak w kościele, ale znacznie zabawniejsze.

Kiedy pomyślała o kościele, wymknęło się jej:

– Czy tęsknisz za Andersem, babciu?

– Tak, brakuje mi, żeby krążył dookoła, kładł się do łóżka wieczorem... Ale poza tym czuję cały czas, że jest przy mnie. A ty nie?

– Rozmawiasz z nim? – wyszeptała.

– Zdarza się. Ale nie na głos, tak jak z tobą. No dobrze, pewnie zdarzyło się również, że gadałam głośno – uśmiechnęła się.

Karna skinęła głową, patrząc w swój talerz, a łzy popłynęły jej po twarzy, kiedy rzekła:

– Ludzie nie powinni umierać.

Babcia nadal siedziała w milczeniu, potem jej dłoń powędrowała przez stół w kierunku Karny.

Szybko podniosła wzrok. Wtedy babcia powiedziała cicho:

– Cieszę się, że zdążyłam przyjechać do domu, zanim umarł.

– Ja też – powiedziała Karna, niepewna, czy wcześniej o tym pomyślała.

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

– Wiedziałaś o tym? Czy dlatego przyjechałaś, babciu?

– Chyba myślałam, że pewnego dnia może być już za późno. Nie tylko dlatego, że ktoś umrze... A potem przyszedł list... z rysunkami jakichś martwych piskląt, pamiętasz? No i Benjamin i Anna. Oraz Anders... Wydaje mi się, że mogły być jeszcze inne przyczyny.

– Wiesz, babciu, to ja rozdeptałam te jajka. To dlatego.

– Tak właśnie sobie myślałam.

– Czy zrobiłaś kiedyś coś tak złego?

– O wiele, wiele gorszego.

– A co?

– Opowiem ci, jak będziesz większa.

Babcia zamknęła na chwilę oczy, jakby przez chwilę zamyśliła się nad tym, co było gorsze. Potem je otworzyła i z uśmiechem

spojrzała na Karnę:

– Dzisiaj świętujemy!

*

Na początku listopada lekarz okręgowy wezwał Beniamina i powiedział, że poprosił o zwolnienie ze stanowiska. Chciał pojechać na południe i tam się zestarzeć. Do miasta swojego dzieciństwa, gdzie „r” wymawiano gardłowo i gdzie ludzie siadywali na dworze w samych koszulach już od kwietnia, w ogóle nie marznąc. Chciał, żeby Beniamin złożył wniosek o przyjęcie na posadę lekarza okręgowego.

– Kupisz wtedy po mnie ten dom i pomożesz mi w ten sposób pozbyć się instrumentów i całego tego majdanu! I obaj będziemy zadowoleni. A na pewno ja!

Poza tym lekarz okręgowy beznadziejnie się obecnie czuł, może Beniamin mógłby przejąć ze dwie wizyty w parafiach pod koniec zimy? Dopilnuje, żeby miał trzech stałych przewoźników. Te doktorskie porady, po które ludzie przychodzili do kościoła, to prawdziwa męka. Albo przybywali z błahostkami, albo byli tak zjedzeni przez choroby, że nie było już na to lekarstwa. Gdyby jeździł w soboty, żeby być na miejscu przed drugą i prowadzić konsultacje po południu? To prawda, takie sprawy potrafiły przeciągać się do wieczora, a na pewno póki gospodarzom starczyło oliwy do lamp. Ale Beniamin był przecież młody, przeżywał teraz swoje najlepsze w życiu lata.

– Tylko uważaj i uciekaj, zanim zaczniesz się niedzielne nabożeństwo, inaczej miejscowi po pobycie w kościele dojdą do wniosku, że są śmiertelnie chorzy. I już nie dotrzesz tego dnia do domu.

Miał jeszcze jedną sprawę, która leżała mu na sercu, czy

Beniamin mógłby załatwić ją jak najszybciej, korzystając z własnej mądrości? Napisanie pisma do komisji socjalnej na temat ubogiej, chorej Kristine Olsen. Cierpiała na chorobę weneryczną, trzeciorzędowy syfilis o takim nasileniu, że niezbędne było leczenie szpitalne.

– Zglądałem do niej, biedna kobieta, i zarezerwowałem miejsce w Tromsø. Ale musimy dostać środki od komisji socjalnej, i to natychmiast. Cholera wie, gdzie to złapała? Przez tę godzinę spędzoną u niej nie udało mi się wydusić z niej ani słowa. Moja żona powiada, że obilo jej się o uszy, jakoby Finka zaraziła jej męża podczas pobytu w Finnmarku. Ale on przecież już dawno ją opuścił.

– A zatem powinniśmy go odszukać? – zamyślił się Beniamin.

– No właśnie, też się nad tym zastanawiałem – rzekł z ożywieniem stary doktor. – A ty masz na to przecież więcej sił.

– No i ostatnia sprawa na dziś: Secilie Andreasdatter, dwadzieścia cztery lata, cierpiąca na ciężką epilepsję. Pamiętasz, mówiłem ci o tym wcześniej. W tej sprawie masz przecież doświadczenie, więc pomyślałem sobie, że może mógłbyś zaangażować się w to, żeby w jej przypadku zadziałały paragrafy... Ma napady codziennie, zazwyczaj nocą, a poza tym jest dosyć przytłumiona. Generalnie miła i grzeczna, ale potrafi się niebezpiecznie zdenerwować, kiedy dzieci zaczynają ją przedrzeźniać. Moczy się. Twoja porada co do bromu nie pomogła. Rodzice są biedni i nie mają nawet dosyć pościeli, więc musimy posłać pismo do komisji socjalnej i poprosić o umieszczenie jej pod opieką. Trzeba skorzystać z możliwości zapewnienia jej opieki przez państwo.

– Co masz na myśli?

– Ustawę o chorobach psychicznych, paragraf dziewiętnasty.

Beniamin pobladł.

– Tak, wiem, że masz inne zdanie, bo twoja Karna na pewno nie jest psychicznie chora. Ta kobieta też nie. Ale nie ma nikogo. Tylko ten ubogi dom...

– Spróbuję załatwić jej opiekę w domu.

– Masz dobre intencje. Ale ona jest zaszczuta również przez własną rodzinę. Trzeba ją zabrać z tego domostwa. Znalezienie odpowiedniej rodziny zastępczej będzie drogie. Dlatego musimy objąć ją odpowiednim paragrafem, żeby komisja socjalna dała pieniądze.

– Nie mogę przyjąć, że jest psychicznie chora, żeby dostać pieniądze.

– Jak najbardziej możesz, jeśli nie ma innego wyjścia. Czy chcesz, żeby utonęła we własnym gównie? – odparł ze złością stary.

Nie po raz pierwszy lekarz okręgowy wygrał z nim bitwę. A poncz również tego wieczoru pojawił się na stole.

Jednak Beniamin przez cały czas miał w duszy widok uciekających do góry oczu Karny, piany wokół jej ust i drgających kończyn. Czuł bicie własnego serca, kiedy to się działo.

A gdy miał już iść, stary lekarz powiedział:

– Sprawiedliwością nikt się jeszcze nie najadł. Korzystajmy więc z prawa najlepiej, jak potrafimy, skoro dane nam są takie możliwości.

Liczne zadania zlecone przez lekarza okręgowego sprawiły, że Beniamin przebywał głównie w Strandstedet. Nie oszczędzał się. Bywało, że żeglując między pacjentami, musiał się zdrzemnąć. Na szczęście pogoda w miarę mu sprzyjała.

Stary dotrzymał słowa i Beniamin dostał trzech stałych przewoźników, co umożliwiło mu dotarcie w niedzielę do wioski

wokół kościołów. Nie musiał już samotnie pływać po wzburzonym morzu po zmroku, co stanowiło ulgę. Ale konieczność stałego przebywania z obcymi mężczyznami też była utrudnieniem. Często leżał okryty skórą, udając śpiącego.

*

Anna również tej jesieni zajęła się przymusowym nauczaniem. Poza tym uczyła w Strandstedet oraz w pozostałych okręgach, gdyż nauczyciel musiał przygotować się do połowów na Lofotach.

To ostatnie zapewne stanowiło wymówkę. Został oskarżony o zabicie ucznia po dłoniach tak mocno, że ten nie był w stanie przyjść do szkoły.

Beniamin pomógł rodzicom napisać skargę do komisji szkolnej, jako że sam opatrywał chłopca, jego liczne złamania i uszkodzenia mięśni.

W odpowiedzi na skargę kurator stwierdził, że nauczyciel skorzystał z łagodnej kary: trzech uderzeń w każdą dłoń płaską stroną liniału. Tylko dla zwalczenia u chłopaka nieuctwa. Nauczyciel utrzymywał, że kiedy odpytywano tego ucznia z lekcji, nie potrafił zacytować nawet jednej kropki z dzieł Pontoppidana. Twierdził, że to rodzice spowodowali obrażenia u chłopca już w domu, żeby jakoś usprawiedliwić fakt, że ich potomek jest leniwy i nie ma zapału do zdobywania formalnego wykształcenia.

Doprowadziło to do tego, że komisja szkolna ukarała rodziców grzywną za nieposyłanie syna do szkoły.

Beniamin pomógł im napisać kolejną skargę. Po tym z kolei nie minęło wiele czasu, a kurator zaczął mieć liczne uwagi do prowadzonego przez Annę nauczania. Na przykład, że grała i śpiewała świeckie pieśni podczas przymusowego nauczania w Reinsnes. I to na lekcjach, które miały być wykorzystane na

wychowanie w Bogu.

Anna odpowiedziała komisji szkolnej na piśmie. Twierdziła, że dopóki realizuje wszystkie inne zadania, ma prawo również do grania i śpiewania świeckich piosenek. Ale kurator nie był przyzwyczajony do tego, żeby jakaś baba „w swoim niestosownym samouwielbieniu pisała bez przerwy pisma”, jak się wyraził. Anna, ze swej strony, nie była przyzwyczajona do bycia nazywaną jakąś babą, więc rozpoczęła z komisją szkolną ostrą wymianę zdań. A wszystko ku zgryzocie wielebnego, który chciał zachować ją na stanowisku.

Beniamin śledził tę korespondencję z uśmiechem. Zaczął dostrzegać w niej osobę, jaką znał z listów pisanych niegdyś do niego.

W niektóre dni jej usta przypominały mały, czerwony koreczek w środku twarzy, a błękitne oczy rozświeślały czarną zimę.

*

W pewną sobotę, kiedy nigdzie nie wypadały dni kościelne i dzięki temu nie musiał być w pracy, przybył do domu i zastał Annę wściekłą. Dostała kolejne pismo. Nie od komisji szkolnej, lecz od kuratora.

– Nie zamierzam tego dłużej tolerować! Jadę do Strandstedet porozmawiać z pastorem.

Kurator pisał, że otrzymał skargę od Olego Tobiassena, który miał u siebie pod opieką dwunastoletniego Larsa. Chłopiec powiedział, że Anna przyprowadziła na lekcję swoją pasierbicę Karnę, a ta dostała drgawek i upadła. Dla uczniów było to niemiłe i wytrąciło ich z tematu. Zdarzyło się tak dwa razy i za każdym podłoga pokryła się pianą z ust i innymi obrzydliwymi płynami. Kurator uznał zatem za słuszne poprosić na piśmie Annę Grønelv,

aby zaniechała przyprowadzania tego dziecka na lekcje.

Wysłuchał zdania wielu osób twierdzących, że najlepszy byłby na tej posadzie mężczyzna zdolny uczyć dzieci w ich ojczystym języku. Poza tym Anna Grønelt wielokrotnie, mimo upomnień, zaczynała dzień od śpiewania świeckich pieśni przed odczytaniem stosownego tekstu z Biblii. Nie dopilnowała również, aby dzieci nauczyły się na pamięć swojego fragmentu Pontoppidana. Co należało uznać za godne pożałowania.

Beniamin zaczął się śmiać.

– Uważasz, że to jest zabawne?

– Nie, ale nie jestem w stanie przyjąć tego całkiem na poważnie. Ten człowiek boi się ciebie. Poza tym jeszcze nie dotarło do niego, że ziemia jest okrągła.

– No tak, ale tu chodzi o Karnę – rzekła.

– Co odpowiedziałaś?

Podeszła do sekretarzyka i wzięła gotowy już list.

Szanowna komisjo szkolna, w osobie pana przewodniczącego!

Otrzymałam pismo od kuratora i zakładam, że komisja dysponuje jego kopią. Zabrania mi w nim przyprowadzania do sali lekcyjnej mojej pasierbicy, Karny. Informuję niniejszym, że dziecko siedzi spokojnie, umie czytać i zna liczby, znakomicie śpiewa i na wiosnę skończy siedem lat. Uzasadnieniem odmowy, które podał kurator, są występujące u niej czasem ataki padaczki.

Ujmę to krótko: Nie zamierzam zastosować się do poleceń kuratora!

Proszę natomiast, aby komisja szkolna dopilnowała, żeby kurator zajął się swoimi właściwymi obowiązkami.

Mimo moich niezliczonych próśb nie spowodował jak dotąd, aby

opiekunowie zastępczy Oskara Pedersena wysyłali chłopca do szkoły w niepodartych ubraniach i z odpowiednią ilością jedzenia. Przez trzy tygodnie poprzedzające Święta chodził w tej samej odzieży, która ani razu nie była prana. Nie miał również ze sobą nawet najbardziej podstawowego posiłku, co stawiało go w kłopotliwej sytuacji w stosunku do pozostałych dzieci. Nazywały go żebrakiem, kiedy zorientowały się, że dzielę się z nim swoim śniadaniem.

Był często nieobecny w szkole, na co nie miał nigdy lepszego wytłumaczenia niż brak butów, brak jedzenia albo że nikt nie chciał podwieźć go na lekcje. To wszystko musi zapewnić dom zastępczy, otrzymujący na ten cel zapłatę od komisji socjalnej.

W tej sprawie kurator nie wykazał się szczególną wrażliwością na potrzeby dziecka, choć wskazywałam mu je kilkakrotnie. Pozwoliłam sobie zatem uznać, że troska kuratora o to, jak dzieci zniosą bycie świadkiem napadu padaczkowego mojej pasierbicy, nie jest wiarygodna.

Jeśli chodzi o skargę, że nie nauczam dzieci w ich ojczystym języku i nie jestem mężczyzną, pragnę przypomnieć komisji szkolnej, że nauczyciel zatrudniony w placówce szkolnej co prawda jest mężczyzną, ale nie pedagogiem. Nie ma wykształcenia wyższego od każdego innego potwierdzonego mężczyzny. Poza tym jest fińskiego pochodzenia, przez co jego język niekoniecznie jest bardziej zrozumiały niż mój duński.

Proszę panów, aby ponownie przyjrzeni się nadesłanym przeze mnie świadectwom i uważnie ocenili mój język. Zapraszam również do wzięcia udziału w prowadzonej przeze mnie lekcji.

Jeśli chodzi o czytanie katechizmu, komentarzy Pontoppidana oraz interpretację historii biblijnych Hersleba, to mam wiele zrozumienia dla faktu, że niektórzy moi uczniowie nie są w stanie

wyuczyć się tego na pamięć. Częściowo dlatego, że zbyt rzadko przychodzą do szkoły, a częściowo za sprawą zbyt ciężkiej pracy w domu, braku odpowiedniego wyżywienia i ubrań.

Poza tym ośmielam się twierdzić, iż bez odrobiny podyktowanego miłością bliźniego zrozumienia, że dziecko potrzebuje spokoju i wypoczynku w domu, nie da się zmusić tegoż dziecka do nauczenia się czegokolwiek.

Nie można za to obwiniać nauczyciela, nawet jeśli jest kobietą.

To, że uczniowie tak bardzo boją się swojego nauczyciela-mężczyzny, a także jego liniatu, iż nie są w stanie wykrztusić ani jednego słowa ponad to, które przeczytali w książce, nie przyczynia się do pomnażania ich wiedzy, tylko strachu. A jest to znacznie gorsze niż konieczność bycia świadkiem niezawinionego ataku epilepsji u małego dziecka.

Na koniec pozwolę sobie przypomnieć komisji szkolnej, że przy dwóch okazjach składałam już zażalenie na tego samego kuratora, który nie zadbał o przewoźnika dla mnie na użytek niezbędnych wyjazdów w ramach okręgu. Pewnego razu zmuszona byłam iść pieszo przez trzy godziny w głębokim śniegu, żeby trafić do gospodarstwa, gdzie miałam prowadzić lekcję. Kiedy byłam już na miejscu, okazało się, że skrzynia szkolna ze wszystkimi materiałami nie została tam dostarczona, więc nie miałam nawet psalterza ani rysika, którym mogłabym się posłużyć.

Kiedy poinformowałam o tym tego samego kuratora, utrzymywał, że panowała w tym dniu zła pogoda. Pozwoliłam sobie przypomnieć mu, że jesteśmy na północy i że nawet w Danii słoneczne niebo i niewielkie fale nie są uważane za złą pogodę. Mogę to powtórzyć kuratorowi w dowolnym momencie w obecności komisji.

Wnioski:

1) Nie dostosuję się do poleceń kuratora.

2) Korzystam z niniejszej okazji, aby złożyć skargę na tego samego kuratora, ponieważ nie przestrzega instrukcji dotyczących jego własnej pracy.

3) Jeśli komisja szkolna na tej podstawie zamierza zwolnić mnie ze stanowiska, nie poprawi to sytuacji dzieci, za to na pewno przyniesie ulgę kuratorowi.

Z szacunkiem, Anna Grønelt.

– I co powiesz? – zapytała.

– Jestem z ciebie dumny! Wysyłaj!

*

Anders nie wyprowadził się, nawet jeśli nie żył. Anna codziennie z nim rozmawiała. Jakby przyjęła na siebie obowiązek wypowiedzenia słów chroniących przed zapomnieniem.

Beniamin zauważał, jak bardzo ułatwia to wszystkie sprawy.

Ale do Anny przyszedł list. Po Świątach napisała do niej matka i zapowiedziała, że wiosną ona i ojciec chcieliby przyjechać z wizytą.

Spodziewał się, że to wprawi ją w dobry humor, jednak przez wiele dni chodziła niespokojna i małomówna.

Kiedy po kilku dniach jego pobytu w Strandstedet sytuacja pozostawała niezmieniona, zapytał, czy się martwi tym, że robotnicy nie skończą napraw do przyjazdu jej rodziców. Albo czy uważa, że nie mają im nic do zaoferowania.

– Nigdy nie wyobrażaj sobie nawet, że mogłabym tak pomyśleć! – zawołała, patrząc na niego z przerażeniem.

– O co więc chodzi?

– Stali mi się tacy dalecy... Życie w Kopenhadze jest dla mnie

obce. Obawiam się, że wprowadzą tu niepokój. Że zaczniemy myśleć o innych miejscach na świecie.

– Musimy jakoś żyć z myślą, że są inne miejsca. A jeśli nie damy rady, trzeba będzie się przeprowadzić.

– Ale przecież starasz się o stanowisko lekarza okręgowego.

– Wcale nie jest pewne, że je dostanę.

– Dostaniesz. Dina powiada...

– Dina niech nie wróży z kart na temat mojego życia! – odparł ze złością.

– Beniaminie – rzekła ostrzegawczo. – Znowu zaczynasz!

– No już dobrze.

Zaśmiał się, podnosząc obie ręce do góry, jakby groziła mu bronią.

– Skoro jesteś tak dobrze nastawiona do Diny, to przekonasz się, że zdołam przyjąć jak najlepiej twoich rodziców.

Byli sami w sali sypialnej, a ona przepisywała za niego na czysto list do komisji socjalnej. Po chwili podniosła wzrok.

– Czy rozmawiałeś z Diną o tym, co się stało wtedy, kiedy umarł Anders?

– O tyle o ile – odparł wymijająco.

– Czy mogę zapytać, jak poszło?

– Przeprosiłem za swoje grubiańskie zachowanie.

– A co ona na to powiedziała?

– Twierdziła, że nie mam jej za co przepraszać. Na pewno między wierszami chciała powiedzieć, że to ciebie i Andersa powinienem...

– I nie mówiłeś, że już to zrobiłeś?

– Nie, Anno, czyż nie rozumiesz? Nie da się rozmawiać z Diną!

– Wobec tego to dziwne, że ja potrafię?

Westchnął.

– Może masz rację.

A w chwilę później, po przeczytaniu raportu, rzekł:

– Chciałbym umieć równie dobrze wyrażać swoje myśli jak ty!

– Nie musimy umieć tych samych rzeczy – odparła wesoło. – Rób tylko całą resztę, a będę zadowolona!

Trącił ją żartobliwie, aż upadła na łóżko.

– Nie tak od razu! – pogroziła mu palcem upapranym atramentem. Ale jej oczy lśniły.

Rozdział dziewiąty

W wieczory spędzane w Strandstedet Benjamin po wielokroć wybierał się na wzgórze, gdzie stał dom Olaisenów. Dina chadzała tam przecież dość często, zważywszy że przebywała głównie w hotelu Grand, żeby nadzorować jego przebudowę.

Nie znalazł jednak dostatecznie uzasadnionego powodu do złożenia odwiedzin. Ze dwa razy natknął się na Olaisena. Coś było nie tak w jego spojrzeniu. Później tłumaczył sobie, że tylko mu się wydawało, iż mężczyzna ten patrzy na niego wilkiem.

Pewnego styczniowego przedpołudnia zamierzał właśnie wyruszyć do domu, kiedy dostrzegł Hannę siedzącą na kamieniu przy jego łódce. Prawie nie rozpoznał jej pod grubymi ubraniami.

Podniosła się i stała bez słowa.

– Chcesz popłynąć ze mną? – zapytał niepewnie, nie przywitawszy się nawet.

Skinęła głową.

– Jeśli ci to nie przeszkadza. Muszę zajrzeć do mamy. Poprosiła mnie o pomoc przed wyjazdem do Ameryki... i...

Poczuł, jak wysychają mu usta.

Mimo to dokładnie tak jak ostatnio podniósł ją i postawił w łodzi. Ulokował na ławce i odepchnął się od brzegu.

*

Nie rozmawiali. W półmroku pilnował kursu, czując, jak zimna mgła wciska mu się pod ubranie. Kiedy mijali wysepkę, na której ostatnim razem znaleźli schronienie, wypuścił mocniej żagiel.

– Upływający czas tyle zmienia – odezwała się.

Nie odpowiedział.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– O...?

– On uważa, że dziecko, które teraz noszę, jest twoje!

Podniósł się, żeby poprawić żagiel. Zapanował nad sobą i zachwiawszy się lekko, usiadł.

– Chyba nie mówisz poważnie? – zapytał chrapliwie.

– On tak sądzi – odparła twardo.

– Skąd coś takiego mogło mu przyjść do głowy? – zadał pytanie, nie patrząc na nią.

– Ktoś mnie zobaczył, jak siedziałam przy twojej łodzi.

– Ależ Hanno! Przecież to lata temu!

– Nie. Próbowałam się z tobą spotkać... Ale poszłam, widząc nadchodzących ludzi.

To było zbyt nieprawdopodobne. I te myśli, gdzie był, kurwa, jego rozsądek.

– A mimo wszystko przyszłaś dzisiaj? – zapytał.

– Tak.

– Ale może lepiej było tego nie robić, skoro on uważa...?

Odwróciła się, jakby patrzyła na szlak przed nimi.

– Musiałam z kimś porozmawiać... Uważaj na skały! – krzyknęła.

Szybkim szarpnięciem skrzył ster i w ciemności ujrzał niewyraźnie szary, kamienny grzbiet. Przepłynęli obok.

– Skąd przyszło mu to do głowy? – zapytał głośno, jednocześnie

myśląc: Tak to jest na morzu. Można głośno krzyczeć o rzeczach, o których w innych okolicznościach mówiłoby się tylko szeptem.

– Kobieta ze Strandstedet widziała nas razem w łodzi wtedy, dawno temu. I wiedziała, że nie dotarłam do Reinsnes. Ostatnio obito się to o uszy również Wilfredowi.

– Powiedziałaś, jak było?

– Nie. Powiedziałam, że zawróciłam, bo byłam zupełnie przemoczona. Ale mi nie uwierzył. Od tamtej pory wymyślił wiele okazji, kiedy my mogliśmy...

Siedząc na dziobie łódki, wydawała się dziwnie wyprostowana. Jakby opowiadała coś, co jej nie dotyczy.

– Jakie to okazje? – zapytał.

– Ostatnio, kiedy w listopadzie popłynął do Trondhjem kliprem „Svanen”. A ty byłeś tak często w Strandstedet, bo pomagałeś staremu doktorowi.

– Hanno! To jakieś szaleństwo! Porozmawiam z nim.

– Nie sądzę, żeby to się na coś zdało.

– Co powiedział?

Skuliła się. Kąciki ust jej opadły. Potem przełknęła to, co groziło zburzeniem spokoju.

– Że ty, który leczysz kobiety i wsadziłeś mi tam tego dzieciaka, musisz go teraz wyrwać. Bo on nie chce widzieć tego czegoś w swoim domu.

– To niemożliwe.

Nie odpowiedziała.

– On nie mógł mieć tego na myśli, Hanno. On jest tylko...

Przerwał, kiedy zaczęła odpinać płaszcz i wyplątywać się z szali.

To przerosło możliwości Hanny, pomyślał, i to moja wina.

– Nie rób tego. Jest zimno. Hanno! – krzyknął.

Ale ona rozbierała się nadal z dzikim wyrazem twarzy i zaciśniętymi powiekami.

– Hanno! Przestań!

Rzucił się do przodu łodzi, żeby powstrzymać ją przed całkowitym rozebraniem się od pasa w górę. Kiedy puścił ster, zmienili kurs. Łódź przechyliła się, więc musiał wrócić, żeby poprawić ster.

Kiedy znów podniósł wzrok, siedziała z odsłoniętymi piersiami i szyją. Z trudem chwycił oddech, nie wierząc w to, co widzi.

Przez jedną pierś i wysoko pod szyję biegł szeroki strup otoczony żółto-sinymi plamami.

Poczuł wściekłość, od której żołądek podszedł mu do gardła, a ster w jego dłoni zmienił się w nic niewartą szczapę.

– Skąd to masz? – zapytał ochrypłym głosem.

Nie odpowiedziała. Zaczęła tylko ubierać się z powrotem.

Siedział w oszołomieniu, nie odzywając się więcej. Potem skierował łódź w stronę morza, ustawił kurs z wiatrem, unieruchomił ster i wyciągnął do niej ramiona.

Podpełzła ku ławce i usiadła zwrócona twarzą do niego. Objął ją, opierając się czołem o jej czoło. Jej lodowate palce parzyły go w kark.

– Kiedy to się stało? – zapytał najspokojniej, jak potrafił.

– W zeszłym tygodniu.

– Czy to zdarzało się też wcześniej... przed tą sprawą z dzieckiem?

Podniosła głowę i skinęła w milczeniu.

– Jak często?

– Kilka razy...

– Dlaczego?

– Bo Isak za dużo opowiadał o tobie... i o Reinsnes.

Już miał zawołać, że Wilfred Olaisen to diabeł wcielony, i powiedzieć jej, żeby zabrała swoje dzieci i przeniosła się do Reinsnes. Ale Anna przesunęła się obok we mgle. Szybko. Podniosła głowę i skierowała na niego to swoje poważne spojrzenie. Potem rzekła: – Ależ Beniaminie, a jakie masz prawo?

Chciał zsunąć jej ubranie i obejrzeć ranę. Ale ona odepchnęła jego dłoń.

– Przyjrzę się temu w domu – powiedział bezbarwnie.

Potrząsnęła głową.

– Może powinnaś go zostawić? – zaryzykował.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Dokąd miałabym pójść, Beniaminie? – szepnęła.

Kiedy nie odpowiedział, krzyknęła w stronę morza:

– Dokąd? Z dwójką dzieci za rękę i z jednym w brzuchu? Dokąd?

Potrafisz mi to powiedzieć?

– Porozmawiam z nim – stwierdził z mocą. – Zapewne się uspokoi, kiedy pojmie, że się myli, i nabierze trochę dystansu. I kiedy będzie wiedział, że ja wiem.

– Nie znasz go – odparła tylko.

– Nie, ale nie może cię bić i krzywdzić nawet, jeśli go nie znam.

Jest teraz w domu?

– Nie, na Lofotach.

– A kiedy się go spodziewasz?

– Za dwa dni.

– Dobrze! Popłynę z tobą do Strandstedet i porozmawiam z tym człowiekiem.

– Wtedy zapewne mnie zabije.

– Nie może tego zrobić w mojej obecności.

– Nie zawsze będziesz...

– Może powinniśmy jeszcze komuś o tym powiedzieć. Lekarzowi okręgowemu... Żeby przemówił mu do rozsądku.

– Wypływamy na pełne morze – rzekła nagle, dopuszczając do głosu swój zmysł praktyczny.

Byli już daleko poza najbardziej wysuniętymi wysepkami.

Zwolnił ster i zawrócił. Chwilę to trwało. Wiatr nie pomagał, a żagiel był mokry.

– Boisz się? – zapytał.

– Morza? Nie! – odparła twardo.

A po chwili:

– A ty? Boisz się? Jego?

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Nie, czemu miałbym się bać? Najgorsze jest to, że bije ciebie...

– Ale dla ciebie może skończyć się jeszcze gorzej.

– Jak to?

– On chce porozmawiać z Anną.

– Nie!

– Tak powiedział.

– Wiedziałem, że jest ostatnim gnojem, ale żeby...

– Chyba nie jest gorszy niż inni. Tylko inaczej to okazuje.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem zaczął się śmiać. Odpowiedziała mu wściekłym spojrzeniem.

– Bronisz go?

– Nie! Żadnego z was nie bronię!

Miał uczucie, że siedzą przed sobą teraz tak jak wtedy, gdy byli mali. Ale gdyby byli dziećmi, to by na nią naskoczył. Zbeształ. Że w ogóle porównuje go z tym człowiekiem. Teraz jednak czuł, jak ucieka spojrzeniem, a ster staje mu się wrogiem.

A mimo to cofnął się w czasie. Zabierając ją ze sobą. Zawsze była podrapana, wtedy też. I trzeba ją było pocieszać. Wskakiwali w pachnące siano, chociaż im tego zabraniano. Mogło się zapalić, mówili dorośli, którzy bronili im też spania w jednym łóżku. Bo byli już za duzi. Ale zawsze znaleźli sobie jakieś miejsce. Może nadal tak było? Że Hanna i on ciągnęli do siebie nawzajem?

I znów Anna przemknęła obok. Spojrzała na niego. Bez oskarżeń. Raczej ze zdziwieniem. Jakby mówiła: – Nikt cię nie zmuszał, Beniaminie.

– Dobrze, Hanno! A więc nie bronisz żadnego z nas. Mimo wszystko zawiozę cię do Strandstedet przed jego powrotem.

– Nie, teraz – odparła.

– Przecież zaraz będziemy w Reinsnes! A ja obejrzę twoją ranę.

– Już widziałeś. A ja powiedziałam, co miałam do powiedzenia.

– Czyli przez cały czas wiedziałeś, że chcesz płynąć z powrotem?

– wykrzyknął.

Nie odpowiedziała, przepęłzyła tylko z powrotem na dziób łodzi.

– Dlaczego? – spytał nieco spokojniej.

– Bo chciałam z tobą pomówić bez świadków! Czy to tak trudno zrozumieć? Nie rozmawialiśmy w cztery oczy od czasu...

Chciał zapytać, dlaczego siedziała przy jego łódce, dając w ten sposób mężowi powody do podejrzeń. Teraz, tak długo po tamtym zdarzeniu. Ale się powstrzymał.

– Co chcesz, żebym zrobił? – powiedział zamiast tego.

– Zawieź mnie do domu do Strandstedet. Wysadź mnie w zatoczce za kościołem, żeby nikt mnie nie widział. I może dasz radę ocalić jeszcze własną skórę.

Zacisnął usta, nie mówiąc już ani słowa. Ułatwiła mu zawrócenie.

*

Wynurzył się z zarośli w chwili, gdy Beniamin wypuścił ją na ląd. Zrobiło się już dosyć ciemno. Ale oboje go wyczuli. Płaszcz i kamizelkę złożył starannie i zostawił na kamieniu przy linii wody. Wysoki i szeroki w ramionach, z podwiniętymi rękawami koszuli, stał teraz wśród przenikniętego chłodem krajobrazu. Jaśniejący rząd białych zębów. Oczy miał jasne i zdecydowane. Już od jakiegoś czasu pewne, na co czekają. Stojąc mocno na szeroko rozstawionych nogach, lekko ugiętymi rękami pochwycił Hannę i postawił ją na brzegu.

Przez głowę Beniamina przemknęła myśl, że w starciu z tym człowiekiem nie wystarczy dobrze wiosłować. Zimne napięcie zagnieździło mu się w dołku, gdy powiedział:

– Dobry wieczór, Olaisenie!

Mężczyzna nie odpowiedział. Podeszedł do nich tylko z wyciągniętymi ramionami, jakby zamierzał ich oboje objąć. W sumie tak właśnie można było to nazwać.

Już pierwszy cios rzucił Beniamina na kamienie, którymi usłana była plaża. Ale nie na tyle mocno, żeby nie był w stanie uklęknąć, prosząc mężczyznę o opamiętanie się.

Drugie uderzenie było gorsze, bo upadł na spory głaz.

Usłyszał trzaśnięcie łamanej chrząstki. Chyba w uchu. Jednak nic nie czuł. Najwyraźniej szok pozbawił go czucia.

– Już ja nauczę doktora, jak się kończy brzuchacenie cudzych bab. A masz!

Mężczyzna zamachnął się nogą i celnie wymierzonym kopniakiem trafił go w przyrodzenie. Ból. Mdłości. Czuł, jak żołądek chce mu wyskoczyć. Tylko leż spokojnie. Bądź martwy. W ten sposób...

Kiedy Olaisen uniósł stopę do kolejnego kopnięcia, zebrał siły i chwycił go obiema rękami za kostkę. Przedsiębiorca ze Strandstedet również się przewrócił. Twarzą w lodową breję.

Beniamin rzucił się na niego i unieruchomił mu ręce na plecach. Kiedy odzyskał oddech, zawołał, kładąc nacisk na każde słowo:

– Hanna powiedziała mi, że chcesz, żebym spędził z niej dziecko, bo uważasz, że jestem jego ojcem. Ale to nieprawda! To fizycznie niemożliwe! Rozumiesz to! Nie doprowadzaj Hanny do takiej rozpacz, żeby chciała rzucić się do morza. A jeśli jeszcze raz ją uderzysz, to powiadomię referendarza!

Mężczyzna odpowiedział coś z twarzą zanurzoną w piasku. Nie dało się tego zrozumieć. Beniamin puścił go, żeby w miarę możliwości coś wyjaśnić.

Olaisen z trudem przewrócił się na plecy. Beniamin pozostał, siedząc przy nim na piasku, i obaj mierzyli się teraz wzrokiem.

– Ty jebany kurwiarzu! – warknął Olaisen. – Mógłbym ci porachować wszystkie kości, gdybym chciał!

– Tak! – wysapał Beniamin. – Jesteś silny jak bestia! Ale nie bij Hanny!

– Gdzie byliście?

Beniamin powoli odzyskiwał normalny oddech.

– Kiedy przyszedłem do łódki, siedziała na kamieniu. Wzburzona. Chciała z kimś porozmawiać po tym, jak ją pobiłeś, oskarżając o najgorsze rzeczy! Byłem jedyną osobą, do której mogła się zwrócić, czyż tego nie rozumiesz, człowieku?

– I musiała wypłynąć z tobą aż na wyspę, żeby uzyskać pociechę?

– Nasza stopa nie powstała na żadnej wyspie!

– To dlaczego wsiadła z tobą do łodzi? Powiedziała służącej, że wróci do domu wieczorem.

– Chciała tylko porozmawiać...

Olaisen odwrócił się do Hanny i wrzasnął:

– Chciałaś porozmawiać z tym gnojem? Zapomniałaś o dzieciach?

Hanna stała przy łódce. Beniamin nie widział jej dokładnie. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi ani poruszenia.

– Tak! Bo tak zrozpaczona może być brzemienna kobieta, jeśli jej mąż przejawia kompletny brak rozsądku! Jesteś szalony, człowieku, czy tego nie rozumiesz? – rzekł cicho, ale z naciskiem.

– Ty kurewski...

Mężczyzna podniósł się z groźną miną. Beniamin wstał, żeby uniknąć kopnięcia w głowę. W sekundę później poczuł na sobie jego zaciśnięte pięści. Próbował się uchylić. Ale ten człowiek nie walczył po pijaku. Bił celnie.

Beniamin starał się utrzymać na nogach. Zebrał wszystkie siły. Jeśli upadnie, to po nim.

Trzy razy został posłany na ziemię. Ale za każdym razem udało mu się ponownie wstać. Między ciosami wciągał powietrze. Wyjaśniał. Uspokajał. Przemawiał jak do przerażonego konia. Zapomniał, że jest uczestnikiem tego wszystkiego.

Po pewnym czasie pojął, że mężczyzna w zasadzie chciał mu uwierzyć. Niczego bardziej nie pragnął. Nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby żałował swego czynu. Kiedy Beniamin ponownie zachwiał się na nogach, tamten chwycił go pod ręce i posadził na oślizgłym od wodorostów kamieniu. Jakoś nawet siedział.

Beniamin wytarł spod nosa krew i w zadziwieniu przeczesał włosy, oszołomiony i zdezorientowany. Postać Anny przesunęła mu się przed oczami. Wyglądała na zadowoloną, ale nic nie powiedziała. Wydawało mu się, że w oddali, przy ujściu fiordu do morza, widzi wyraźnie jaśniejszy kawałek wody. Dobre i to. Nos

miał porządnie obity, ale zęby na swoim miejscu.

Przez czerwoną mgłę zobaczył, że Hanna wymiotuje, obiema rękoma trzymając się mocno łodzi. A więc to działa się naprawdę. Myślał intensywnie, że teraz musi się pozbierać i wszystko jakoś załagodzić. Wykrztusił więc:

– Zabierz ją do domu i więcej nie bij. I postaraj się, żeby to, co działa się tutaj, jej nie zaszkodziło.

Siedział, patrząc w ślad za nimi. Przyszło mu do głowy, że wszyscy troje wyglądają równie żałośnie.

Mężczyzna szedł przodem szybkim krokiem, a ona wlokła się za nim. Kiedy ich cienie zniknęły mu z zasięgu wzroku, zaczął się trząść.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, zanim zdołał wciągnąć łódkę. Początkowo miał zamiar zapalić fajkę, ale pojął, że to zbyt ambitny pomysł. Zamiast tego niezgrabnie powycierał się z krwi i piasku, siedząc cały czas na kamieniu.

Ten dzień okazał się już dostatecznie długi. Dzisiejszej nocy z przyjemnością skorzysta z noclegu w komórce przylegającej do gabinetu w Strandstedet.

Obudziło go walenie w ścianę. A może do drzwi? Wyszedł z łóżka i potoczył się do gabinetu, gdzie podszedł do okna. W ciemności widniała drobna postać.

Jej widok sprawił, że natychmiast oprzytomniał. Potykając się, pokonał korytarz, który był zarazem poczekalnią, i otworzył drzwi. Ale nikt do nich nie podszedł.

Musiał wyjść, żeby ją wprowadzić do środka.

Jej twarz była nie do rozpoznania. Włosy i krew. W środku tego chaosu płonęły wpatrujące się weń oczy Hanny.

Chwycił ją w ramiona i wniósł do gabinetu. Umościł na fotelu

przy biurku i zapalił lampę.

Była tak zakrwawiona, że trudno było ustalić, co właściwie należy zrobić. Ostrożnie uniósł jej twarz w stronę światła. Odsunął włosy na bok i zaczął przyglądać się ranom.

Ten człowiek gruntownie zabrał się do roboty. Wargę miała rozdartą, a nad okiem głębokie rozcięcie. Poza tym rany na całej głowie.

Nastawił imbryk z wodą i bez słowa wyjął potrzebne mu rzeczy. Para czujnych oczu śledziła jego ruchy. Kilka razy próbowała się podnieść, ale opadła z powrotem na fotel. W końcu uniosła dłoń i wskazała na dolną część ciała.

Oderwał wzrok od poranionej twarzy i spojrzał w dół. Wokół jej stóp tworzyła się ciemna kałuża.

Pomógł jej położyć się na stole do badań i zdjął z niej ubrania. Jakimś sposobem zdołał ustalić, że niewiele da się zrobić, pozostaje czekać.

Kiedy ją badał, leżała z zaciśniętymi powiekami. Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby ograniczyć jej poniżenie. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby nie rany na twarzy, to pewnie leżałaby w domu, ryzykując, że wykrwawi się na śmierć.

Podłożył jej poduszkę pod miednicę, umieścił dwa kompresy między nogami i okrył ją kocem. Drżała tak, że aż się trzęsła, więc poszedł po kołdrę.

Wmusił w nią tyle rumu, na ile starczyło mu odwagi, przemył rany i założył sześć szwów na twarz. Przysięgał, że blizny nie będą widoczne. Potem nakazał sobie spokój, którego nie czuł. Trochę to potrwało.

Nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Musiał na chwilę przestać

szyc, bo trzęsła się tak, że nie był w stanie pracować. A może to on sam drżał?

*

Około trzeciej nad ranem zaniósł ją do łóżka.

W zmęczeniu przeplatany paniką uświadomił sobie, że powinien był sprawdzić, czy okna i drzwi są porządnie zamknięte.

Potem napalił również w izbie i usiadł na krześle przy jej łóżku. Małe okienko wychodzące na komórkę zostało znów całkowicie zasypane śniegiem, a on tego nie zauważył.

Krwawiła cały czas i zaraz po tym, jak kogut sąsiada ogłosił nadejście nowego dnia, pojawił się płód. I jej łyzy!

Pracując, miał w głowie tylko jedną myśl: – Pomóż mi! Panie Boże, pomóż mi! Niech ona się teraz nie podda.

Ale nie był w stanie nawet pogłaskać Hanny po włosach, bo całe ręce miał pełne niej. Gdzieś w mózgu czuł ranę.

Wtedy przyszło mu do głowy, że ona poczuje się lepiej, jeśli da radę do niej przemawiać. Spróbował, lecz bezskutecznie. I jeszcze raz. W końcu zdołał wydobyć z siebie kilka słów na tyle jasnych, że drugi człowiek miał szansę je zrozumieć. Coś o tym, że zagrzeje mleko z miodem. Dokładnie tak jak Oline. Że rany się zagoją, niech tylko leży spokojnie. Że wkrótce nadejdzie ranek, a wtedy spojrz na wszystko innym okiem. Że jest silna i piękna. Strasznie silna! On to wiedział najlepiej. Poradzi sobie z tym! Pomoże jej znaleźć rozwiązanie. Jakąś radę na to wszystko.

Do pieca w gabinecie dołożył do pełna chrustu i węgla. Przez chwilę nadśluchiwał wściekłego huku ognia. Poszedł sprawdzić piec w izbie. Dobrze się paliło. A jednak wokół panował mróz.

I znów znalazł się przy łóżku. Czy było jej ciepło?

Masował jej dłonie i stopy, aż przestała się trząść. Uniósł

ostrożnie nogi i miednicę, żeby podłożyć pod nią coś czystego.

Wygotowało mu się mleko, więc nastawił nowe. Wokół roznosił się mdlący zapach przypalonego mleka i krwi. Razem z napojem podał jej coś na sen. Przez jeden kącik ust. Połowa się wylała.

Nie próbowała mówić. Zdawał sobie sprawę, że jest gorzej, niż na to wygląda. W myślach dyskutował sam ze sobą, co można by jeszcze zrobić. Rozwazał wszystko ciągle od nowa. Kogo mógł pozyskać jako sprzymierzeńca? Potrzebna była kobieta, to pewne.

Stine? Wykrztusił to pytanie do niej, ale zareagowała odmownym gestem.

Kiedy zapadła w drzemkę, śledził kolor jej twarzy, myśląc jednocześnie, ile krwi mogła stracić, zanim do niego przyszła.

Usiłował posprzątać i zmyć krew, tak jak robił to zawsze po dramatycznych wizytach chorych w gabinecie. Podążanie utartym szlakiem najwyraźniej służyło znękanemu ciału. Od czasu do czasu sam się pocieszał. Że krew Hanny nie jest straszniejsza niż krew dowolnego innego pacjenta. Ale przejrzał sam siebie na wylot. Miał mdłości.

W ciągu tych lat odebrał sześć porodów martwych dzieci. Zamknął oczy czterem kobietom, których życia nie był w stanie uratować. Za każdym razem tracił kawałek własnego. Procedury stały się silniejsze od strachu przed błędem. Zmuszanie się do postępowania według nich już samo w sobie stanowiło pokutę. Za to, że nie zdołał uratować życia Karny. Im lepsze rutyny wypracował sobie doktor Grøneltv, tym mniejszy mógł być jego ewentualny grzech. Czy naprawdę w to wierzył?

Bał się, że pewnego dnia w przyszłości będzie zmuszony pomóc Annie. Anna! Teraz pojął, dlaczego czuje ulgę, że Anna nie zachodziła w ciążę.

*

Siedział przy łóżku owinięty wełnianym kocem i drzemał. Nagie stopy wetknął do niej pod kołdrę. Nakrył jej dłoń swoją, tak żeby bez wysiłku mogła go obudzić.

Pogrążony w płytkim śnie czuł jej wilgotne ciepło. Palce, które rozprostowały się, kiedy zapadła w sen. Żeby już po chwili nagle się zacisnąć. Wbijala w niego paznokcie, jakby sądziła, że jest jej wrogiem.

*

Potem pożeglował z nią po spokojnym morzu daleko poza szkiery. Patrzyła na niego promiennymi oczami. A kiedy jej to powiedział, z uśmiechem wyjęła oboje oczu i mu je podała. Miał wrażenie, że coś jest nie tak, ale je przyjął. A kiedy to zrobił, zmieniła się i zniknęła w morzu.

Nie umiał zapobiec temu, że teraz Anna usiadła na jej miejscu. Pozbawiona oczu. Z dwóch czarnych dziur spływała ropa. Im bardziej się wpatrywał, tym więcej jej leciało.

Pomyślał, że mógłby dać jej oczy Hanny, ale najpierw powinien je oczyścić. I kiedy tam siedział, trzymając w każdej dłoni po jednym iskrzącym się oku, pojął, że nie da rady ich obmyć, skoro nie ma wolnej ręki.

*

Schwyciła jego stopę. A on zerwał się ze snu. Odgłosy z zewnątrz uświadomiły mu, że ludzie zaczynali już nowy dzień.

Ledwo dostrzegał jej zarys w mroku poranka. Na tle ściany najwyraźniej odcinał się biały bandaż.

– Jak się czujesz? – szepnął, ujmując ją za przegub. Puls bił wolno. Miała lekką gorączkę, ale nie większą, niż można było

oczekiwać. Wyraźnie usiłowała coś powiedzieć, jednak żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Szwy na pewno ją bolały.

Styczeń jest ciemny jak cholera, pomyślał sobie i podniósł się, żeby napełnić lampę, która zaczęła dymić z braku oliwy. Olaisen na pewno zaraz tu przybiegnie z krzykiem. Żeby jeszcze raz to zrobić.

Wściekłość stłumił gdzieś w sobie. Zachował na później. Była tak straszna, że nie miał odwagi wypuścić jej na światło dzienne. Bo wtedy by przegrał. Ten człowiek był niebezpieczny. A on sam był słaby, tchórzliwy i pusty.

A w środku tego wszystkiego sam sobie zadawał pytanie, czy on mógłby się taki okazać. Czy pozbawiłby kogoś życia? Gdyby był pijany? Gdyby dowiedział się, że Anna...?

Nie! Odpowiedzią było zdecydowane „nie”. Ale on dysponował słowami. One też potrafiły zabijać, przyszło mu nagle do głowy.

Usłyszał, jak ona łka, próbując coś powiedzieć, i pośpiesznie podszedł znowu do łóżka.

– On to wszystko widział! – wydusiła.

– Kto?

– Isak...

– Czy Isak był w tym samym pokoju? – we własnym głosie usłyszał niedowierzenie.

– Tak. Dowiedział się, jaką ma matkę...

Chciał ją objąć, ale nie widział żadnego miejsca, którego można by dotknąć. Pochwycił więc jej dłonie.

– Hanno, spokojnie! Zabiorę chłopca! Jemu przecież chyba nic nie zrobił?

– Nie... – zabrzmiała pełna wahania odpowiedź, jakby chciała jeszcze coś dodać.

Czekał.

– Nie widział go... Isak... podszedł od tyłu. Z tłuczkiem do mięsa. Krzyknął: Uciekaj, mamó! Uciekaj!

– Czy widziałaś, jak to się skończyło?

– Nie – załkała. – Wilfred leżał na podłodze, a Isak go bił... i nie przestawał.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym w nocy?

– Bo dopiero teraz sobie to przypomniałam! – zawyła, usiłując wstać z łóżka.

– Spokojnie, Hanno! – rzekł władczo, przyciskając jej ramiona w taki sposób, że musiała znów usiąść na łóżku. – Poślę po Dinę.

Wykonała jakiś ruch. Miało to być skinienie głowy. Jej ręka skurczyła się w jego dłoni.

*

Kiedy zobaczył przez okno przemykającego obok ze swoim wózkiem chłopca z piekarni, przywołał go do siebie. Poprosił, żeby zostawił wózek i pobiegł do hotelu sprowadzić Dinę. Jak najszybciej.

– Tak, doktor strasznie źle wygląda! – zawołał przerażony chłopak i rzucił się pędem.

Przyszło mu do głowy, że przed rozmową z kimkolwiek powinien był obejrzeć się w lustrze. Widok można było uznać za komiczny. Ale nie był w stanie się roześmiać. Wyglądał żałośnie. Nie tylko oczy miał podbite, ale całą twarz w sińcach. Jednak same rany nie były tak straszne.

Zawołał do kolejnego przechodzącego w pobliżu chłopca, żeby pobiegł szybko do domu Olaisenów i odszukał Isaka.

Na dźwięk imienia Isaka Hanna zaczęła przecząco machać rękami. Zamknął okno i podszedł do niej.

– Powiem mu, że jesteś tutaj i nic ci nie grozi, a on, nie mówiąc

tego nikomu, ma iść do hotelu Central i czekać tam na powrót Diny. Wszystko będzie dobrze.

*

Stał na szczycie wzgórza i patrzył na Rosjanina leżącego w czerwonych wrzosach. Czuł ostrą woń spalonego prochu. Zobaczył, jak ona opuszcza strzelbę. Jeszcze dymiła. Niemal ze spokojem. Jak przygasające ognisko. Wyraz jej twarzy, kiedy podbiegła, żeby objąć głowę Rosjanina. Siedziała tam z tą czerwoną głową na kolanach. Oczy. Niektórzy mieli oczy, które wszystko wytrzymały. Oddawały smutek tym, którzy znaleźli się w pobliżu przypadkiem i byli tylko świadkami.

*

Chłopak powrócił, nie załatwiwszy sprawy, i wpatrywał się teraz w doktora.

- Isak wypłynął łódką, żeby nałapać ryb na obiad.
- Rozmawiałeś z Olaisenem?
- Nie, ze służącą. Kazał sobie nie przeszkadzać.
- Dobrze! Zajrzyj któregoś dnia, dostaniesz drobną zapłatę.
- Czy doktor uderzył się głową w drzwi?
- Nie, walczyłem z niedźwiedziem – wyszczerzył zęby w uśmiechu i pozdrowił chłopaka dwoma palcami.
- O rany! – odparł chłopak, zamierzając odejść.
- Wyświadczysz mi jeszcze jedną przysługę? – zapytał Beniamin.
- To zależy?
- Czy możesz mi przynieść jeden chleb z wózka piekarza?
- O nie, kraść to ja nie kradnę!
- Zapłacę mu, jak wróci.

Chłopiec spojrzał na niego z powątpiewaniem, ale podał chleb.

- Jak doktor da radę jeść... z takim wyglądem?
- Zęby mam całe! – odparł, zamykając okno.

*

Przybyła po chwili. Czekał w gotowości, żeby jej otworzyć.

Zmierzyła go szybkim spojrzeniem, nie dając zbyt wiele po sobie poznać.

– A więc? – brzmiało jej jedyne powitanie.

– Hanna tu jest! Olaisen pobił ją do nieprzytomności. Straciła dziecko. Isak uciekł na morze, bo próbował bronić matki tłuczkiem do mięsa. Chyba jakoś sobie poradził.

Słyszał sam, że mówiąc, używa teraz tego samego oszczędnego, powściągliwego tonu, z którego ona korzystała przy załatwianiu interesów.

– Widzę, że ty też nieźle oberwałeś! – stwierdziła, wchodząc do poczekalni. Rozejrzała się szybko po gabinecie. Zdjęła płaszcz i żakiet, a potem rzuciła je na krzesło.

W izbie stała przez chwilę nieruchomo, zanim podeszła do łóżka.

– Wyjdź! Zamknij drzwi! – poleciła, nie odwracając się.

*

Stał już przy oknie całą wieczność, obserwując, jak mewy pożywiają się ze skrzynki z rybimi flakami, którą ktoś wystawił dla nich na plażę, kiedy drzwi się otworzyły i Dina rzekła:

– Przyprowadź Olaisena!

Wpatrywał się w nią jak sparaliżowany.

– Oszalałaś?

– Nie. Idź, teraz!

– Nie.

– A dlaczego nie?

Machnął rękoma i warknął:

– Nie chcę więcej widzieć tego gnoja!

– Ale wszyscy będziemy zmuszeni na niego patrzeć, o ile rozumiem. Więc lepiej zacznijmy od razu.

– O czym rozmawialiście?

– To ciebie nie dotyczy!

Kiedy tak stali, wpatrując się w siebie, usłyszał płacz Hanny. Brzmiał jak woda chlupocząca cicho w zatkananej rynnie.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – powiedziała Dina, zamykając drzwi.

– Nie mogę iść po tę kreaturę – odparł zdecydowanie.

– Czasami trzeba przemóc się i coś zrobić.

– I czemuż to miałoby służyć? To szalenie!

– Człowiekowi trzeba pokazać w świetle dnia skutki jego nocnych czynów!

Wsparła dłonie na biodrach i przy każdym słowie kiwała głową. Potem dodała cicho:

– Co zrobiłeś z płodem?

– Dino! – zawołał pełen obrzydzenia.

– Gdzie on jest?

– W cynkowej balii... w komórce.

Mdłości. Żelazny uścisk w pachwinie przypomniał mu wymierzony celnie cios Olaisena. Ból go przeszywał. Dźgał w każdej żyłę.

– Nie pójdę po niego – stwierdził zdecydowanie.

Nie czekając dalej, włożyła płaszcz i zniknęła za drzwiami.

*

Minęła godzina. Miał mnóstwo czasu, żeby poczuć się jak nikczemnik. Słyszał, jak blacharz wychodzący na obiad zamyka

warsztat, a chłopak z piekarni z hałasem ciągnie pusty już wózek. Podgrzał dla Hanny kolejną porcję mleka i ją napoił. Ale nie starał się dowiedzieć, o czym rozmawiały z Diną.

Przez większość czasu leżała z zamkniętymi oczami. Stwierdził, że gorączka spada, a jej twarz nabiera zdrowszego koloru.

Naszły go znów niejasne myśli o winie. A Dina? Co z tego zrozumiała? Co powiedziała jej Hanna? Ale nie zapytał.

Zamiast tego skłonił ją do zjedzenia kilku kawałeczków chleba, oderwanych z pachnącego bochenka. Oddech miała świszczący. Przyszło mu do głowy, że coś mogło być nie tak z jej klatką piersiową. A może tamten ją kopnął albo uderzył w pierś? Podszedł i zapytał o to, żeby nie męczyć jej od razu badaniem. Ale potrząsnęła głową i pokazała gestem, że chciałaby wydmuchać nos. Pochylił się, żeby jej pomóc.

– Hanno – rzekł – czy pamiętasz, co spowodowało, że znów zaczął bić?

Jeszcze raz wytarła nos w ściereczkę, którą trzymał jej przy twarzy. Otarł ją ostrożnie, a potem usiadł na brzegu łóżka i czekał.

– Tak! – z pokiereszowanych ust dobiegły zdecydowane słowa.

– Co to było?

– Że może mnie zabić, bo to ciebie kocham...

*

Potem przyszli. Dina wprowadziła go do izby. Rozsunęła zasłony, a szare styczniowe światło oświetliło postać leżącą w łóżku.

Olaisen stał tam, gdzie go zostawiła. Na środku izby. Ze zwieszonymi ramionami i zamkniętymi ustami. Twarz miał poszarzałą, ale świeżo ogoloną.

– Gdzie Isak? – dobiegł głos z łóżka.

– Isak wypłynął w morze – odparł niewyraźnie mężczyzna.

– Jest cały i zdrowy?

– Tak, a czemużby miał nie być? Hanno, ja... – zaczął, ale nie był w stanie nic więcej powiedzieć. Przenosił tylko bezradne spojrzenie z jednej na drugą.

– A więc? – rzekła Dina pytającym tonem.

Nie czekając na odpowiedź, rozejrzała się badawczo po izbie. Następnie ściągnęła obrus ze stołu, odwróciła się na pięcie i wyszła. Chwilę potem wróciła, trzymając w dłoniach ten sam obrus.

– Chodź ze mną, Olaisenie – rzekła niemal przyjaźnie. Gorączkowo chwycił się możliwości opuszczenia izby. Kiedy byli już w gabinecie, kopniakiem zamknęła drzwi i z płonąca twarzą stała teraz przed nim. Potem podsunęła mu obrus pod same oczy i rozchyliła go.

Osobliwy dźwięk rozniósł się po izbie. Jakby odgłos duszenia. Wilfred Olaisen dzikim wzrokiem wpatrywał się przez chwilę w zawartość obrusa. Potem jego dobrze zbudowane łydki ugięły się pod nim i z łoskotem upadł na podłogę.

– I to by było na tyle – stwierdziła Dina, pozostawiając go leżącego.

Doktor Grøneltv usłyszał łomot, jednak nic nie zrobił. Stał przy łóżku, pojąc Hannę wodą z łyżeczki. Gdzieś w głowie kołatała mu myśl: – Chyba nie dała rady powalić tego bydlaka na ziemię?

Otworzył drzwi i zobaczył człowieka leżącego samotnie na podłodze.

– Beniaminie, musisz mu pomóc... – wyszeptała Hanna.

Zbliżył się do mężczyzny, przewyciężając mdłości podchodzące mu do gardła od samego przebywania w pobliżu tego drania. Rozpiął mu koszulę pod szyją, sprawdził puls i bicie serca.

– Tylko zemdłał – rzekł w stronę łóżka, odpinając jeszcze jeden

guzik koszuli. W tym momencie dostrzegł na karku i przy nasadzie włosów ślady po uderzeniach tłuczkiem do mięsa przypominające oparzenia. Zapomniał o tym.

Pomacał palcami skórę głowy. Obrzęk w dwóch miejscach. Żadnych ran. A zatem tłuczek do mięsa w domu Olaisenów zrobiony był z drewna – skonstatował z goryczą.

Dina weszła, obrzuciła Olaisena przelotnym spojrzeniem i powiedziała lekkim tonem:

– Jestem ci winna nowy obrus, Beniaminie.

Potem zajrzała do Hanny i zapytała:

– Mam okropną ochotę na kawę, a ty?

Jak przez mgłę Beniamin usłyszał, jak przesuwa na piecu fajerki, żeby zagotować wodę w imbryku. Potem otworzyła okno i wciągnęła w płuca świeże powietrze. Stała na szeroko rozstawionych nogach delikatnie odchyłona w tył i z dłońmi wspartymi na biodrach.

– Boże święty, jak w tym wszystkim pięknie i świeżo pachnie morze! – westchnęła. Potem odwróciła się i ruszyła w stronę leżącego na podłodze mężczyzny.

Beniamin podniósł się i podszedł do swojego biurka. Stamtąd przyglądał się im z poczuciem nieobecności. Pozwolił sobie na myśl, że rzeczywistości nie zawsze można ufać.

Pochyliła się i przyjrzała leżącemu. Nie z wściekłością czy szyderstwem, jak można by się było spodziewać. Raczej z łagodnym zainteresowaniem.

– Musimy znaleźć kobietę, która zajmie się wszystkim w domu Olaisenów, jedna służąca nie wystarczy. Dzieciaki potrzebują opieki na czas choroby Hanny – rzekła Dina gdzieś w dół do Olaisena, jakby mówiła do głuchego.

Mężczyzna doszedł już do siebie i usiłował odzyskać nieco godności.

– Nieprawdaż, Wilfredzie?

– Pomóż mu! – poprosiła Hanna z nieoczekiwaną mocą.

Beniamin ruszył jak lunatyk i przyniósł poduszkę, którą położył tamtemu pod głową.

*

W końcu Olaisen wstał na nogi. Wszedł do izby i usiadł na krześle przy stole. Po chwili nawet pił już kawę. Beniamin, nie chcąc brać w tym udziału, wyszedł coś załatwić.

Ale zamierzał wrócić. Coś go ciągnęło. Hanna? Ciekawość, jakie będzie następne posunięcie Diny?

Mężczyzna wodził za nią wzrokiem jak pies. Jakby raz na zawsze wbił sobie do głowy swoje własne powiedzonko: W interesach obrażanie się jest nieopłacalne.

– Zazdrość to godna ubolewania rzecz. Naciska na mózg, wydobywając z niego najgorsze rzeczy – stwierdziła Dina, nalewając wszystkim czworgu kawy.

Beniamin nie miał siły wysłuchać reszty tego monologu ani wyjaśniać jej, że Hanna nie jest w stanie pić z filiżanki. Ale zobaczył, jak Olaisen kilkakrotnie kiwnął głową. W końcu mężczyzna podniósł się i podszedł do łóżka. Tam osunął się na kolana i położył głowę na piersi Hanny.

Beniamin pomyślał: Teraz go zabiję! Czego mógłbym użyć? Wtedy poczuł na ramieniu rękę Diny. Chwilę później stali w gabinecie, a zamknięte drzwi oddzielały ich od tamtych dwojga.

Zabrała ze sobą filiżankę z kawą. Stała teraz i zwinąwszy usta w trąbkę, siorbała kawę ze spodeczka. Jej oczy cały czas miały na niego baczenie.

– Nie możemy zostawiać jej tam sam na sam z nim! – warknął i chciał wejść do środka.

Odstawiła spodeczek z kawą i zagroziła mu drogę.

– Mam wrażenie, że w tej sprawie zrobiłeś zarówno to, co powinienesz, jak i to, czego nie należało robić.

– Czy nie rozumiesz, że on jest niebezpieczny?

– Uświadomiłam już przedsiębiorcy ze Strandstedet, że jeśli jeszcze raz ją tknie, to wycofam cały mój kapitał i doprowadzę go do bankructwa.

– I sądzisz, że będzie to respektował?

– Zobaczymy.

– A Hanna? Mamy pozwolić, żeby w międzyczasie ją zabił?

– Hanna również musi myśleć w kategoriach zysków i strat. Utraciła już dostatecznie dużo. Żadne z was nie jest całkiem bez winy, nieprawdaż?

Spojrzał na nią spod oka, zamierzając się odgryźć, ale milczał. Nie miał siły zaczynać teraz tej rozmowy. Na pewno nie z Olaisenem za ścianą.

*

Mężczyzna wyszedł z izby z rozjaśnionym obliczem. Trudno byłoby uwierzyć, że zaledwie poprzedniej nocy pobił Hannę do nieprzytomności. Szczere, pełne smutku oczy bez mrugnięcia patrzyły prosto na nich. Jasne włosy opadały miękko na wysokie, łagodnie zaokrąglone czoło. Prosty nos zdradzał siłę. Delikatne usta wyginały się w smętny łuk pod zadbanym wąsikiem.

Podszedł do Diny i ją objął. Podziękował. Kiedy wyciągnął dłoń do Beniamina i jemu również zamierzał złożyć podziękowanie, ten wycofał się aż pod drzwi.

Ale mężczyzna podszedł mimo to. Poprosił o okazanie mu łaski.

Przecież musiała być możliwość jakiegoś zadośćuczynienia z jego strony, inaczej całe jego życie legnie w gruzach. Chciał podziękować za to, że pomógł Hannie, kiedy do niego przysłała. Podziękować na kolanach. Nigdy nie zamierzał... Nie rozumiał, co go naszło. Jak mógł... Ale jeśli doktor Grønelv kiedykolwiek sam czuł rozpacz, to może mógłby podać mu rękę...

Dina stała na środku izby. Czuł na sobie jej wzrok. Czekwała, co będzie chciał zrobić. A Hanna w łóżku? Co myślała? Co było najlepsze dla Hanny? I on sam... Anna! Anna przemknęła mu przed oczami z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy. Ale teraz przypomniał sobie, że powinien był wysłać jej wiadomość, dlaczego nie przyjechał do domu poprzedniego wieczoru. I w tej nierzeczywistej chwili, kiedy przyjmował wyciągniętą dłoń, pomyślał: – Anna boi się o mnie.

A wraz z obrazem Anny pojawiły się w jego głowie rzeczowe myśli, za sprawą których powiedział:

– Olaisen, musimy porozmawiać o tym, co będę zmuszony napisać w raporcie dla referendarza i komisji sanitarnej.

Oczy Olaisena wypełniły się łzami. Siadł na krześle dla pacjentów stojącym przy biurku i pustym wzrokiem patrzył przed siebie.

– Sądziłem, że to nie jest konieczne.

– Odebrałem dziś w nocy martwy płód. Jeśli tego nie zgłoszę, dopuszczę się poważnego naruszenia prawa.

– Co napiszesz?

– Że Hanna Olaisen została pobita i skopana, muszę szczegółowo opisać obrażenia, ich położenie, rozmiary i wdrożone postępowanie lekarskie. Muszę również opisać płód i przedwczesny poród. I zakończyć wnioskiem, że nastąpił jako bezpośredni skutek

przemocy albo pod wpływem szoku z powodu doznanego gwałtu. Muszę też poprosić lekarza okręgowego o przeprowadzenie obdukcji płodu, żeby ustalić, czy został uszkodzony już w łonie matki.

– Czy nie możesz tego sam zrobić? – poprosił ciekawym głosem mężczyzna.

Ledwo mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Nie – odparł krótko.

– Dlaczego nie? Bo to twoje?

Beniamin zacisnął pięści.

Dina niczym wielki cień niepostrzeżenie wsunęła się między nich.

– Będę przy tym obecny. Ze względu na Hannę. I żeby cię przekonać, że nie jestem ojcem – wydusił z siebie.

Wilfred Olaisen cicho płakał.

– Napiszesz, kto to zrobił?

Nie wiedząc, jak to możliwe, stał tam i czuł osobliwą litość dla tego człowieka. Litość, do której – jak sądził – nie byłby zdolny jeszcze kilka minut wcześniej.

– Nie, to na szczęście nie należy do moich obowiązków. Ale referendarz będzie o to pytał Hannę. To ona zadecyduje, czy zgłosi...

Dina nadal stała między nimi. Teraz dotknęła ramienia Olaisena.

– A zatem będzie tak, jak uzgodniliśmy? – zapytała.

Podniósł wzrok, oszołomiony i pełen ulgi. Wydobył z siebie przeciągłe i zgodliwe „tak”.

Beniamin poczuł się niedobrze. Jak, kurwa, jej się to udało?

– A co takiego uzgodniliśmy?

– Hanna zostanie u ciebie, aż wyzdrowieje...

– I?

– I nie uderzę jej nigdy więcej! – zawołał, kryjąc twarz w dłoniach.

Beniamin odwrócił się i wyszedł do poczekalni. Usiadł na jednym z trzech stojących tam krzeseł. Uświadomił sobie, że podłoga jest jeszcze ubrudzona krwią.

*

Kiedy Olaisen wyszedł, żeby sprowadzić konia z saniami do przewozu Hanny, z szopy wyłonił się Isak. Nie dało się wydobyć z niego ani jednego słowa prócz tego, że chce wejść do Hanny, a potem pojechać z Beniaminem do Reinsnes.

Ale po krótkim pobycie w izbie u Hanny wyszedł i oświadczył:

– Jak tylko będę dorosły, pewnie go zabiję.

– Sądzę, że powinieneś najpierw to trochę przemyśleć – odparła poważnie Dina.

– Czy on na to nie zasługuje? – prychnął chłopiec.

– Ależ oczywiście, że zasługuje! Ale jesteś zbyt dobrym człowiekiem, żeby brać na siebie taką brudną robotę. Lepiej, żebyś wybrał się do Reinsnes i pomógł w uboju. Wiesz, że Stine i Tomasz wkrótce wyjeżdżają do Ameryki, więc muszą już teraz zarżnąć część zwierząt. Nie starczy im paszy dla wszystkich owiec do wiosny.

– Chyba chciałbym też pojechać do Ameryki.

– Mówisz poważnie? – zapytała.

– Tak! Nie chcę mieszkać z tym potworem! Ale z drugiej strony muszę opiekować się mamą.

– Z tym my powinniśmy sobie poradzić. Szczególnie teraz, kiedy wiemy, ile złego może się zdarzyć.

Siedział przez chwilę, wycierając coś palcami pod nosem.

– Tylko że bez pieniędzy Olaisena nie będzie mnie na to stać.

– Masz jeszcze przecież rodzinę w Reinsnes – stwierdził Benjamin.

– Tylko widzisz, oni nie mają dość pieniędzy i dlatego mieszkamy u Olaisena. Na pewno nie z innego powodu! – rzekł cicho i rzucił okiem w stronę drzwi do izby.

Dina posłała go z poleceniem do hotelu. Mają napalić w największym pokoju na pierwszym piętrze, żeby jego matka nie zmarzła. A poza tym miał zjeść to, co było w kuchni, i przespać się w którymś z łóżek.

– Teraz! Kiedy jest dzień?

– Chłopcy, którzy nie spali w nocy, muszą pospać w dzień! – orzekła zdecydowanie. Czy zapamięta to wszystko?

Skinął głową i już go nie było.

*

Benjamin pomógł przy noszach i Hanna, otulona, leżała już na saniach. Nie widać było żadnego fragmentu jej pokaleczonej twarzy. Pochylił się nad nią i rzekł głośno:

– Poproszę starego doktora, żeby do ciebie zaglądał. I przyjdę za jakieś dwa dni.

I do Olaisena:

– Isak popłynie ze mną do Reinsnes. Poproś dziewczynę, żeby przysłała dla niego ubrania na kilka dni.

Olaisen uprzejmie przywitał się z woźnicą i kiwał głową na prawo i lewo. Zamierzał wszystko zrobić jak najlepiej. To pewne. Potem pochylił się nad Hanną.

– Najbardziej chciałabyś pojechać do domu, co, Hanno?

Leżała z zamkniętymi oczami. Tylko jej rzęsy delikatnie się poruszały.

– Nieprawdaż, droga Hanno, że chcesz pojechać do domu? – powtórzył mężczyzna.

– Olaisen! – rzekła ostrzegawczo Dina.

Wtedy stało się. Hanna skinęła głową spomiędzy skór. I zaraz kiwnęła nią ponownie. A twarz Olaisena przeszła przemianę. Zatroškany, tragiczny wyraz zniknął. Promieniał!

– Ona chce do domu! – oświadczył, patrząc na nich wszystkich po kolei. W końcu ujął woźnicę za ramię i polecił przyjaźnie:

– Zawieź ją ostrożnie do domu!

Olaisen ponownie wyciągnął do niego rękę. Ale Benjamin udał, że jej nie dostrzega. Woźnica wpatrywał się w nich, głowiąc się, co takiego dolega pani Olaisen, skoro nie wiadomo było, czy pojedzie do domu. A pytania, których nie miał odwagi zadać, wprawiły go w taki niepokój, że udzielił się on koniowi. Noszami zarzuciło.

Benjamin widział, jak Hanna z bólu przymyka oczy.

– Ależ, do kurwy nędzy, panuj nad swoim koniem! – krzyknął do woźnicy, który aż podskoczył i zaczął się usprawiedliwiać.

W poczuciu bezradności znów podszedł do sań. Wymienili spojrzenia. Jej oczy były puste. Jakby on stanowił część białego, zimowego nieba. Nie mógł jej tam wysłać! Nie teraz! Niezależnie od tego, co sama miała siłę powiedzieć. Pochylił się nad nią i rzekł głośno:

– Dina mimo wszystko zabierze cię do hotelu na kilka dni. Potrzebujesz całkowitego spokoju. Jeśli doktor tak uważa, to trzeba tak zrobić!

Twarc Olaisena jakby pękła. Coś chciał powiedzieć, ale milczał.

Dina nic nie rzekła. Kiedy patrzyła na Beniamina, na jej oblicze wypłynął mały, krzywy uśmiezek.

Olaisen pojechał z nimi i pomógł przy noszach. Nie było sprawy.

Nióśł je sam od strony głowy, a woźnica i doktor dźwigali wspólnie od strony stóp.

Ale gdy Hanna została już ulokowana w jednym z przygotowanych pokoi na pierwszym piętrze, Dina podziękowała i wyprowadziła ich z hotelu.

Kiedy Beniamin zamierzał wyjść razem ze wszystkimi, powiedziała, że chce poprosić go o zawiezenie czegoś do Reinsnes, więc niech pójdzie do prywatnej części hotelu i tam na nią poczeka.

Rozdział dziesiąty

– Niewiele rozmawialiśmy ze sobą od czasu śmierci Andersa – zaczęła Dina.

– Nie – odparł Beniamin i poczuł nagle, że nie jest w stanie sprostać ani jednemu więcej człowiekowi. Usiadł ciężko na sofie. Miał ochotę tam pozostać i spać. Niezbyt długo. Tylko tyle, żeby móc potem dopłynąć do domu.

– Tego dnia, gdy umarł Anders, wygłosiłeś do mnie mowę, Beniaminie. Niczego mi nie oszczędziłeś.

– Czy sądzisz, że to odpowiedni dzień na przypomnienie mi o tym? – szepnął.

– Muszę korzystać z okazji, skoro jesteśmy sam na sam. Następną sposobność może nie zdarzyć się zbyt prędko.

Zamknął oczy i odchylił się do tyłu.

– Nie oskarżaj się o śmierć Andersa – usłyszał.

Nie znalazł na to żadnej sensownej odpowiedzi, więc milczał.

– Sądzę, że lepiej, żebyś poświęcał swoje siły dla żyjących. A jeśli chodzi o lekcję, której mi udzieliłeś, to masz rację! To wszystko prawda. Muszę ją znieść. A więc nie myśl już o tym. O ile myślisz?

– Dziękuję wobec tego! Ale Anders jej nie zniósł.

– Jako lekarz musisz przecież zdawać sobie sprawę, że jeśli nie

w tej, to w innej chwili zdarzyłoby się coś, co powaliłoby Andersa.

– Ale tym czymś byłem ja! Czy mogę tu na chwilę przycupnąć? Chyba muszę się przespać...

Zaczął ściągać buty.

– Dopóki jesteśmy tylko we dwójkę, to powiem ci jeszcze, jakie to dziwne, że najmniej przypominasz Tomasza, przejąłeś natomiast złe obyczaje Jakuba, nie spotkawszy go ani razu.

Zdjął wreszcie buty i padł jak długi na sofę. Dokąd teraz zmierzała?

– Widzisz, Tomasz jest wierny, a Jakub nie potrafił trzymać się tylko jednej kobiety.

Podskoczył. Zamierzał już wygłosić szyderczą uwagę, że miał jeszcze matkę, z którą w tej materii wiele go łączyło.

Anna przepłynęła obok z tym pełnym irytacji wyrazem twarzy, który często przywdziewała, kiedy nie miała ochoty odpowiadać na jego zaczepki.

Ugryzł się zatem w język i siedział cicho.

– W domu masz Annę, która wierzy, że wszystko jest dobrze. A tutaj leży Hanna, o mało nie pobita na śmierć z twojej przyczyny. To nie takie rzeczy przesądzają o wielkości mężczyzny, gdybyś żywił jakieś błędne przekonanie.

Wtedy postanowił, że ucieknie od wszystkiego, zapadając w sen.

Ale Dina usadowiła się wygodnie w fotelu tuż obok niego i kontynuowała.

– Miałam osiemnaście lat, a Jakub był starszy od mojego ojca. A jednak ja mu nie wystarczałam. Dziwne. Życie wypełniają umarli... Upadł po pijaku i złamał nogę. Odebrałam go od wdowy dokładnie z tej izby, gdzie teraz wynajmujesz gabinet. Hanna i Jakub, w tej samej izbie. No cóż.

W tym momencie zrobiła to, czego najmniej oczekiwał, wstała, wyciągnęła ręce ponad głowę i ziewnęła.

– Nie ułatwiasz sobie życia, mając dwie kobiety. Odnoszę wrażenie, że masz za słaby kręgosłup, żeby to unieść. Olaisen za to zawsze sobie poradzi.

– Przestań już! – rzekł bezbarwnym głosem, kładąc się z powrotem.

Musiała przecież pojąć, że teraz powinna wyjść.

– Dlaczego nie wybrałaś Hanny, skoro nie potrafisz się bez niej obejść?

– Czy sądzisz, że aż tak dużo wiesz?

– Dostatecznie dużo! Nie chcę ani osądzać, ani wiedzieć, rozmawiam z tobą po prostu.

– To nie było moje dziecko!

– No nie, tyle do mnie dotarło – odrzekła sucho.

– Nie masz do tego żadnego prawa!

– Nie, ale mimo to pytam.

– Dlaczego wybrałaś Andersa, skoro mogłaś się bez niego obyć? – wypalił, zmuszając się, żeby leżeć nadal z zamkniętymi oczami.

Nie odpowiedziała na to i kontynuowała, jakby nie usłyszała pytania.

– Wyjedź do Kopenhagi! Albo w inne miejsce. Zabierz Annę!

– Złożyłem wniosek o stanowisko lekarza okręgowego.

– I przeprowadzicie się wtedy do Strandstedet?

– Nie, będę dojeżdżał.

– Anna jest obecnie za dużo sama.

– Powiedziała coś takiego? – spytał gniewnie.

– Nie musi mówić tego, co mężczyzna bez mówienia powinien zrozumieć. I jest jeszcze jedna sprawa.

– Ach tak.

– Tu w Strandstedet jest Hanna!

Nie odpowiedział.

– Beniaminie?

– Słucham.

– Są takie rzeczy, których potem nie da się już odwrócić – odezwała się cicho gdzieś z głębi pokoju.

Pojął, że mówi o sobie. Dzięki temu mimo wszystko łatwiej było oddychać.

– Wiem o tym – odparł.

– To patrz w przyszłość, Beniaminie!

– Skąd wiadomo, co jest właściwe, Dino?

– Właściwe?

– W miłości? – wymamrotał.

Zamilkła zupełnie. A więc umknie przed odpowiedzią.

– Niektórzy dowiadują się o tym dopiero, kiedy jest już za późno. Miałam nadzieję, że nie będziesz jedną z tych osób.

– Nie mam siły o tym rozmawiać – powiedział.

Nie odezwała się więcej, ale słyszał jej obecność.

Tuż przed zapadnięciem w sen dotarł do niego własny głos:

– Karna musi mieć bezpieczne miejsce do życia, nie mogę ciągać jej ze sobą Bóg wie gdzie, skoro przy każdym napadzie gapią się na nią i dziwią.

– Często tylko za sprawą przeciwności losu stajemy się kimś.

– Stajemy się kimś?

Otworzył oczy. Stała w cieniu między dwoma oknami. Pokój zrobił się całkiem ciemny. Musiał ruszyć do domu, póki jeszcze było światło!

– Karna ma talenty, których nie wykorzysta, jeśli wyjdzie za mąż

w jakiejś zapadłej dziurze przy fiordzie, gdzie ludzie będą się nad nią litować i nie będą mieli odwagi z nią rozmawiać tylko dlatego, że od czasu do czasu przydarza jej się upadek. Nie zawsze będziesz tutaj, żeby ją chronić, Beniaminie!

Usłyszał, jak otwiera i zamyka drzwi. Sądził, że poszła. Ale pojawiła się w wyjściu z sypialni z kocem i go okryła. W następnej chwili poczuł jej dłoń na czole i włosach.

– Nie wyglądasz zbyt ładnie. Zdaje mi się, że ty też potrzebujesz wizyty doktora – usłyszał.

Ręka była chłodna, a głos niemal ciepły.

– Zajrzyj za mnie do Hanny, ale nie męcz jej gadaniem o niczym! Tak mówi doktor.

Przez rzęsy zobaczył niewyraźnie jej uśmiech.

*

Wie wszystko!, pomyślał, usiłując napotkać jej spojrzenie. Anna wyszła mu na spotkanie i stała teraz w drzwiach korytarza. Jej twarz wyrażała osobliwy, przenikający ją na wylot spokój. Jakby to nie skóra, lecz wola zapewniała utrzymanie jej w ryzach.

Ale zanim jeszcze zdjął z siebie futro, pozwoliła mu objąć się tak, jak zawsze.

– Jak ty wyglądasz, Beniaminie! – zawołała, ujmując w dłonie jego twarz.

Potem puściła go i stała bez ruchu z ramionami złożonymi na piersi.

Karna przybiegła po swoją porcję czułości. Pachniała świeżo umyтыми włosami i wywarem z jałowca. Powąchał ją i stwierdził, że roztacza woń niedzieli.

– Ale jesteś ciężka jak kamień. Będę musiał kupić sobie dźwig, żeby cię przenosić! – zażartował, usiłując mrugnąć do Anny.

Ale ona tylko się weń wpatrywała. Więc zapewne wiedziała o wszystkim?

– Tatusiu! Co ci się stało w twarz? – zawołała Karna.

– Nic wielkiego. Jeden pan był zły, bo nie chciał, żebym pomagał jego żonie.

– Uderzył cię!

– Tak, ale to się zagoi.

– Czy referendarz się nim zajmie?

– Tak, jeśli o tym zawiadomię.

– A nie chcesz zawiadomić?

– Jeszcze zobaczę – odparł lekko.

– Czekaliśmy dwa dni! Masz dla mnie obwarzanek?

– Zapomniałem. Sama rozumiesz, tyle było do zrobienia.

Płatki śniegu wpadały przez otwarte drzwi. Karna zadrżała z zimna i pobiegła do salonu.

Próg pokryty był lodem. Drzwi nie chciały się porządnie zamknąć. Wyjął scyzoryk, pochylił się i zaczął skrobać.

– Anno, powinienem był wysłać ci wiadomość, że nie wrócę zgodnie z umową, ale tyle było...

– Kto ci to zrobił? – zapytała.

Zastanowił się szybko. I tak wszystko wiedziała.

– Olaisen – odparł krótko.

Potem podniósł się i zamknął drzwi. Zrzucił futro i je powiesił. Kiedy odwrócił się, stała tuż obok i ponownie ujęła jego twarz, dokładnie mu się przyglądając.

– Dlaczego? – zapytała ostro.

O czym myślała? Czy zamierzała zaatakować go tak, że usłyszą ich służące w kuchni?

– Idę do góry – odrzekł cicho.

Potem wetknął głowę w otwarte drzwi do kuchni i zawołał, że chce zwykły posiłek podany do sali sypialnej. Mógł zjeść cokolwiek. Byle nie kaszę. I niech przyniosą wodę do mycia! Dwa dzbanki.

– Muszę to wiedzieć, Beniaminie!

– Oczywiście. Tylko na chwilę się położę... Jestem dość zmęczony.

Kiedy zdejmował buty, a potem ruszył w górę po schodach, cały czas stała nieruchomo.

– Mam list, który chcę ci pokazać. Parobek przyniósł pocztę, kiedy cię nie było.

Właśnie! Olaisen napisał list do Anny! – pomyślał.

– Czy mogę zobaczyć go później?

– To ważne!

– No dobrze – odparł bezbarwnie, podążając do góry schodami.

Należało je pomalować. Poza tym przedostatni stopień był nieco obluzowany.

Przyszła na górę dopiero, kiedy skończył myć się i jeść. Bergljot zapukała i podała mu gorący grog.

Siedział w szlafroku z opróżnioną do połowy szklanką, kiedy weszła Anna z listem w dłoni.

Starał się sprawiać wrażenie nieporuszonego.

Usiadła mu na kolanach. Dlaczego to zrobiła? Żeby poczuć własnym ciałem, jak to przyjmie? Kiedy wszystko zostanie ujawnione?

Ponownie wzięła w dłonie jego twarz i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Dlaczego cię uderzył?

– Nie ma o tym w liście?

Jej ciało zeszywniało. Ramiona obejmujące go za szyję opadły.

– W liście? – zapytała dziwnie słabym głosem.

– Tak, czyż Olaisen nie wyjaśnił ci wszystkiego dokładnie?

Przez chwilę wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– List jest od pastora...

Przerwała i wciągnęła powietrze, a potem kontynuowała jeszcze ciszej.

– Co takiego Olaisen miałby mi napisać?

Pochylił się nad stołem, sięgając po szklanę z grogiem. Opróżnił jej zawartość i odchylił się z powrotem.

– Oskarżył Hanne... Pobił ją do nieprzytomności. Przyszła do mnie... i straciła dziecko dziś w nocy.

– Boże przenajświętszy! Gdzie ona teraz jest?

– U Diny.

– Pobił cię dlatego, że przyszła do ciebie po pomoc?

Zastanowił się szybko i nic nie odpowiedział.

Siedziała na jego kolanach osamotniona. Nie mógł pozwolić jej zostać w całkowitej pustce. Ostrożnie otoczył ją ramionami, ale chyba tego nie zauważyła.

– Isak? I ten maluch?

– Isaka przywiozłem do Stine. Co do najmłodszego, to nie wiem...

Mają przecież opiekunkę do dziecka.

– Powinieneś był go zabrać!

– Nie, nie mogłem czegoś takiego zrobić.

– A on? – zapytała. – Siedzi u referendarza?

– Nie, w domu.

– Musisz złożyć zawiadomienie!

– Decyzja należy do Hanny.

– Ależ Beniaminie! To ty powinieneś to zrobić! Ona nie może wrócić do tego mężczyzny!

Czego się spodziewał? Przesłuchania, którym wymusi z niego

informację, iż Olaisen sądził, że jest ojcem tego dziecka? Zapewne. A ona go tu oskarża, że nie doniósł na tego człowieka.

– Dina wymusiła na nim zawarcie umowy.

– Umowy? Czy Dina i ty sądzą, że da się czegokolwiek zażądać od mężczyzny, który jest w stanie biciem i kopaniem spędzić płód własnej żonie? Oszaleliście? Zupełnie odebrało wam rozum!

Rozejrzała się wokół dzikim wzrokiem, potem skierowała się do drzwi i zdecydowanym krokiem wyszła do korytarza, gdzie sięgnęła po zupełnie przypadkowe buty. Jednak z jakiegoś powodu znalazła tylko dwa lewe.

Beniamin poszedł za nią i starał się ją uspokoić, wymawiając raz po raz jej imię.

– Musimy jechać do referendarza – rzekła, próbując zasznurować pierwszy z dwóch lewych butów.

– Nie napisałem jeszcze raportu lekarskiego. I muszę wspólnie z lekarzem okręgowym przeprowadzić oględziny zwłok... – rzekł cicho, usiłując ją ponownie wprowadzić do sypialni.

– Sekcję? Mój Boże! Nikt nie powinien mieć prawa, żeby bez...

Pokuśtykała do sali z jedną nogą obutą, a drugą bosą. Tam usiadła na krześle i wpatrywała się w przestrzeń, nie mówiąc nic więcej.

Wtedy podjął decyzję.

– Anno, jest jeszcze coś...

Zamknął drzwi na korytarz i podszedł do niej. Przez chwilę stał, a potem podsunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

– Sądził, że kto inny jest ojcem tego dziecka – powiedział cicho.

Odwróciła się powoli w jego stronę. Przyglądała się siniakom i podpuchniętym miejscom na jego twarzy. Lustrowała go uważnie, z lekko rozchyłonymi ustami. Potem zamrugowała kilkakrotnie

i uniosła dłoń w taki sposób, jakby usiłowała wyjąć sobie pyłek z oka.

Widział, że środkowy palec jej prawej ręki jak zwykle poplamiony jest od wewnątrz atramentem. Tuż przy paznokciu.

– Ty? – zapytała wyraźnie.

– Tak.

Schwyciła za kołnierzyk swojej sukni i odwróciła się od niego. Jej palce krzątały się pracowicie przy malutkich frywolitkach.

– Czy ma słuszność? – zapytała po chwili. Nadal nie patrząc na niego. W jej głosie było coś na kształt poufałości.

– Nie – odparł z mocą, odwracając ją ku sobie.

– Co spowodowało, że tak sobie pomyślał?

– Nieporozumienie, plotki, a bo ja wiem?

Uwolniła się z jego rąk i podeszła do okna.

Ruszył za nią.

– Anno... – szepnął, próbując jej dotknąć.

Wtedy odwróciła się ku niemu gwałtownie, a jej oczy miały błyskawice:

– Muszę ci wierzyć, skoro tak mówisz. Inaczej nie dam rady żyć.

Jej oddech przeszedł w świst, kiedy mówiła dalej:

– Ale nawet gdyby tak było, to nie miał prawa bić Hanny, aż dziecko... Nikt nie może w ten sposób rościć sobie prawa do czyjegoś ciała!

W ciszy, która zapadła, przyglądał się jej dłoniom. Były splecione. Potem znów zaczęła oddychać. W kontrolowany, powolny sposób wciągała powietrze. Do taktu z wiatrem, nawiewającym śnieg na szprosy w oknach. Spokojnym, oczywistym rytmem. Coś wyrzucała i ponownie cofała się w głąb siebie. Raz za razem.

*

Dziwne, że Isak przyjechał z tatusiem i miał mieszkać u Stine i Tomasza. Bo nic o tym wcześniej nie wiedziała.

Kiedy zjeżdżali na sankach z drogi do sklepiku i leżeli akurat w śnieżnej zaspie, zapytała go, jak długo zamierza zostać.

– Aż wyjadę do Ameryki! – odparł po męsku i nałożył zgubioną wcześniej rękawicę.

– Chyba ty nie jedziesz do Ameryki? – stwierdziła.

– Muszę, skoro Olaisen jest takim głupkiem.

– Jakim głupkiem?

Przekręcił się i rozciągnął jak długi na śniegu.

– On bije mamę – powiedział i nie wydawał się już taki męski.

– Dlaczego?

– Nie mogę powiedzieć, bo jesteś jeszcze gówniarą – odparł.

Wtedy zobaczyła, że Isak jest bliski płaczu.

– Nie masz odwagi tego powiedzieć – stwierdziła.

Podziałało.

– Mówi, że doktor jest ojcem dziecka. Tego, co miała urodzić...

– Jaki doktor?

– Twój ojciec!

Wiedziała przecież, że to niemożliwe. A jednak poczuła się tak, jakby zapomniała zamknąć na haczyk drzwi od wychodka i ktoś do niej tak po prostu wszedł.

– On jest moim tatusiem, więc to niemożliwe – powiedziała prędko.

Isak zmarszczył czoło i zrobił sobie twardą śnieżkę. Zdjął obie rękawice i ogrzewał ją w dłoniach. Trochę się roztopiła. A potem porosła lodem. Zrobiła się twarda jak należy. Ale chwilę to trwało.

– No właśnie, wiedziałem! Jesteś tylko małą gówniarą. Nie wiesz, skąd się biorą dzieci.

Wyglądał dziwnie. Nie przemogła się, żeby powiedzieć, że chyba to wie, ale nie chce o tym rozmawiać. Bo wyglądał tak smutno. Jakby najgorsze było dla niego, że jest zaledwie gówniarą.

– Kiedy ma się urodzić to dziecko? – zapytała, żeby go trochę rozchmurzyć.

– Urodziło się za wcześnie, żeby przeżyć. Ale twój ojciec pozszywał mamę. Na głowie też.

– Skąd to wiesz?

– Byłem tam. Próbowałem zabić Olaisena. Ale mi się nie udało...

– powiedział i cisnął śnieżką w stronę składu, aż zadudniła ściana.

*

Popołudniami w jadalni było pusto. Sara nie przychodziła już czytać Andersowi. A babcia była w Strandstedet. Została tylko Anna i ona. Dzisiaj tatuś też był z nimi. Najgorsza była ta cisza, która składała się z szelestu.

Tatuś właśnie rozłożył gazetę i w zasadzie nie należało teraz się do niego odzywać.

Anna usiadła przy fortepianie. Sonata Mozarta od dwóch dni stała na pulpicie do nut. Karna potrafiła odczytać znaki na pięciolinii, ale nie umiała grać.

Znowu zaszeleści!

– Jak Olaisen może tak mocno bić Hannę za to, że jesteś tatusiem dziecka Hanny?

Pojęła to od razu. Wiedzieli o tym! Anna również. W ogóle nie zaczęła grać. Teraz złożyła dłonie na kolanach. Tak jakby wycierała je w spódnicę.

– Kto opowiada takie głupstwa? – dobiegł głos zza gazety.

– Isak.

Tatuś złożył gazetę o wiele za starannie. Jakby zamierzał ją

zachować. Nigdy tego nie robił. Tylko Anna odkładała gazety.

– Isak pojedzie do Ameryki razem ze Stine i Tomaszem. Mówi, że nie może mieszkać razem z kimś takim jak ten Olaisen.

Anna prawie bezgłośnie zamknęła pokrywę fortepianu. Potem o wiele zbyt pieczołowicie ułożyła ręce na kolanach.

– Powiedziałam mu, że to niemożliwe – oświadczyła ostrożnie, pragnąc, aby na nią spojrzeli.

Wtedy tatuś gwałtownie wstał i odłożył gazetę na stół.

– To ładnie, że to powiedziałaś – stwierdził dziwnym głosem.

Ale nie mogła przecież być pewna, co tak naprawdę miał na myśli. Czy to ładnie, że powiedziała Isakowi, iż to niemożliwe, czy to, że im o tym opowiedziała.

Kiedy już miała zapytać, tatuś rzekł:

– Gdzie jest teraz Isak?

Był coś zbyt poważny. Poczowała, że musi do wychodka.

– W izbie czeladnej, o ile wiem – wykrztusiła.

Wtedy tatuś wyszedł i zamknął za sobą drzwi na podwórze.

Nagle zrozumiała, co powinna zrobić. W samych kapciach pobiegła za nim przez śnieżną zamieć.

– Nie złość się na Isaka, tatusiu!

Wtedy obejrzał się, zawrócił i ukucnął przed nią. Płatki śniegu przyklejały się do jego poranionej twarzy. Ładnie to wyglądało, ale jakoś nie czas było o tym myśleć.

Przytulał ją przez chwilę.

– Nie jestem zły na Isaka. Chcę z nim tylko chwilę pomówić. Żeby nie wierzył w to, co opowiada Olaisen. I żeby nie powtarzał nikomu słów Olaisena, bo jeszcze ktoś da temu wiarę.

– Czy to coś złego?

– To haniebne! Tylko Olaisen może być ojcem dzieci Hanny.

– Ale tatusiu, to dlaczego on tak okropnie bije?

– Tego nie wiem, Karno. Nie zaprzataj sobie tym więcej głowy!

Głos tatusia nie był całkiem pewny.

Wtedy usłyszeli, że Anna gra w salonie. Dźwięki były głośne, gwałtowne. To nie była sonata Mozarta.

– Idź teraz do Anny – szepnął tatuś, wstając.

Anna nie podniosła wzroku, kiedy Karno weszła do salonu. Miała nisko pochyloną głowę, a ramiona podciągnęła prawie pod uszy. Początkowo muzyka brzmiała jak bezsensowny łomot, potem stała się spokojniejsza, lecz równie głośna. Przesuwała dłonie jedna obok drugiej tam i z powrotem. Jakby były pokłócone i jedna ścigała drugą. Albo jakby chciała coś od siebie odgonić, ale jej się nie udawało. Szybko, najpierw w jedną stronę, potem z powrotem. Od czasu do czasu naciskała na pedał tak mocno, że aż wzdychał.

Anna spoglądała na coś, co Karnie trudno było zobaczyć. Intensywnie się wpatrywała. Pochyliła się i uderzała w klawisze, patrząc na to cały czas. I miała bruzdę między brwiami. Ale i tak grała.

Karnie przyszło do głowy, że wygląda jak dójka siedząca w letniej oborze o szarej godzinie, kiedy najgorzej tną komary, i dojąca ostatnią krowę. Jakby myślała: Już! Kończmy! Do cholery!

I kiedy w jej pamięci wyłoniła się letnia obora, przypomniała sobie migotanie wszystkich odcieni zieleni wzdłuż ścieżki. Kolory jakby ożyły w muzyce Anny. Sprawiały wrażenie błyskawic szalejących wokół jej głowy. Teraz biegły do niej, do Karny. Nie były tylko ładne. Ale też dzikie i zielone. Ostre i miękkie. Jednocześnie! Przepływały między nią a Anną. Teraz uniosły się też znad podłogi. Zielone i białe, jak jaśniejąca zorza polarna.

Otoczyły ją ostrymi dźwiękami. Nie tylko tonami Anny. Nie,

brzmiały tak, jakby ktoś strzepywał mokre prześcieradło przed powieszeniem go na sznurku.

Na pewno po to, żeby myślała o czymś innym i nie upadła.

Rozdział jedenasty

Zdarzyło się raz, że kiedy Beniamin zamiast lekarza okręgowego zajrzał do Hanny, Wilfred Olaisen siedział u niej w pokoju.

Najpierw uznał to za zbieg okoliczności. Potem wyszło na jaw, że to Dina po niego posłała.

Staremu doktorowi nie podobała się ta sytuacja. Obrażenia były poważne. I równie oczywiste było, kto za tym stoi. Ale Hanna nie chciała mieszać w to referendarza i oświadczyła, że jeśli złożą zawiadomienie, ona zamierza zaprzeczyć, jakoby sprawcą był Olaisen.

Wszystko skończyło się zatem na rzeczowym raporcie *visum et repertum*, wysłanym przez naocznego świadka do komisji sanitarnej, zakończonym następującym wnioskiem: Płód płci męskiej, około piątego miesiąca ciąży, prawidłowej budowy ciała, przedwcześnie i martwo urodzony. Prawdopodobny powód: Ciężkie obrażenia u matki oraz szok spowodowany uderzeniem lub upadkiem.

– Ta sprawa mnie obrzydza – rzekł lekarz okręgowy, patrząc na Beniamina zmrużonymi oczami.

Obaj złożyli na raporcie swoje podpisy.

Beniamin skinął głową, nic nie mówiąc.

– Ty ich znasz, więc... Czy sądzisz, że to się może powtórzyć?
Musiał spojrzeć staremu prosto w oczy. To było ważne.

– Nie znam Olaisena specjalnie dobrze. Sądziłem, że znam Hannę. Ale...

Usiłował zyskać na czasie. Wążył słowa.

– Ten człowiek oskarża mnie, że jestem ojcem dziecka Hanny.

Głos mu się łamał.

– A więc to tak! – zawołał stary, przyglądając mu się uważnie.

Beniamin odwzajemnił spojrzenie, mając jednocześnie uczucie, że robienie dobrej miny do złej gry nie za bardzo mu wychodzi.

– To dopiero... A czy z punktu widzenia ogółu społeczeństwa jego oskarżenie może być uzasadnione?

– Tak czy owak, jest niezgodne z prawdą – uciął Beniamin.

Stary miał krzaczaste brwi, przypominające bieloną, pociętą, lnianą przędzę. Kiedy coś go wzburzyło, tak jak teraz, zaczynał nimi gwałtownie poruszać.

– Lekarz okręgowy nigdy, w żadnych okolicznościach, nie może narażać się na takie plotki! – rzekł surowo, taksując Beniamina od góry do dołu zmrużonymi oczami.

– Nie.

– Cieszymy się więc, że Hanna Olaisen jest dość rozsądna, żeby zatuszować skandal. To uratuje wszystkim skórę.

– Pomijając jej własną.

– To zależy, jak na to patrzeć – odparł stary. A po chwili dodał:

– Posłałem pozytywne rekomendacje dla ciebie jako mojego następcy. Mam wszelkie powody, aby sądzić, że wszystko pójdzie dobrze. Dlatego nic nie wiem o tej sprawie.

*

W Reinsnes coraz bardziej widoczne były oznaki zbliżającego się

rozstania. Nerwowa atmosfera udzielała się wszystkim. Służba nie wiedziała, o czym można mówić, a czego lepiej unikać. Nawet najmniejsze przejęzyczenie mogło wywołać przerażenie. Na przykład takie, że ktoś zapytał Sarę, czy zabierze do Ameryki swojego kociaka. Albo czy Stine zabiera warsztat tkacki. Albo gdzie się zatrzymają po przybyciu do wielkiego miasta za morzem.

Stine i Tomasz sami szykowali wszystko do długiej i pełnej trudów podróży. Wśród westchnień z listy rzeczy do zabrania trzeba było skreślić niejedną pozycję.

Isak miał wyjechać. Nie wrócił do domu Olaisena i rodziny, a płacz ukrywał w zaciśniętych pięściach, schowanych zazwyczaj do kieszeni. W przeciwieństwie do Sary, on podjął już decyzję.

W końcu nadszedł dzień, po którym nie było odwrotu. W gazecie wydrukowano informację o licytacji:

„Z powodu wyjazdu do Ameryki dwunastego kwietnia w majątku w Reinsnes odbędzie się dobrowolna licytacja różnych sprzętów domowych, naczyń, nowego pieca chlebowego, mebli, pościeli, narzędzi, sprzętu do obróbki pierza, narzędzi rolniczych, ziół w torebkach oraz puszkach, a także wielu innych rzeczy”.

Sara odczytała to drżącym głosem, kulejąc dookoła izby.

– Czego będziemy używać do wyjazdu, jak teraz wszystko sprzedamy?

– Znajdzie się jakieś rozwiązanie. Najważniejsze, żebyśmy wiedzieli, ile koron mamy na początek – odparła Stine.

Sara zwierzyła się Karnie, że nie jest pewna, czy chce jechać, czy nie. To ją przerażało.

No i ta choroba morska. Żeglowanie tygodniami po morzu! Ludzie od tego umierali, tak słyszała. I że kiszki z nich na końcu wychodziły. A kiszki, które już opuściły ciało, trudno było

z powrotem włożyć na miejsce.

Beniamin pocieszał ją, mówiąc, że żadne tego rodzaju przypadki medyczne nie zostały udokumentowane, a takie historie opowiadali ludzie ze zbyt bujną fantazją. Ale Sara nie była do końca przekonana. Zaczęła mieć trudności z jedzeniem i dużo płakała. Anna poprosiła ją, żeby przemyślała, czy na pewno chce jechać, i starała się uświadomić jej, że nie będzie sama, jeśli zostanie w domu.

Ale to wszystko nie polepszało sytuacji. Sprawiała wrażenie, jakby wybór, którego nie była w stanie dokonać, pożerał ją od środka.

*

Dina przybyła ze Strandstedet, chcąc od razu zakupić wszystko, co jej zdaniem powinno pozostać w Reinsnes. Dowiedziawszy się o bolesnych rozterkach Sary, pod jakimś pretekstem poszła do oficyny, żeby z nią pomówić.

Oświadczyła, że Sara ma szczęście, iż jej rodzice są na tyle przedsiębiorczy, że chcą budować nową przyszłość. Będą na pewno różne przeciwności, ale wszystko pójdzie dobrze.

Od choroby morskiej nikt jeszcze nie umarł. Kraj za morzem oferował młodym dziewczętom tyle możliwości. O wiele więcej można było tam dokonać. Horyzont był szerszy, a świat nie stawiał tylu granic.

A Sara, taka mądra i ocytana, jeśli tylko zechce, będzie mogła pójść do szkoły, tego Dina była pewna. Z nauczeniem się nowego języka też poradzi sobie znakomicie. Człowiek mógł wszystkiemu podołać, kiedy był młody. Dina w porównaniu z Sarą była bardzo stara w momencie wyjazdu. A mimo to nauczyła się niemieckiego.

I ci wszyscy ludzie, których pozna! Młodzi mężczyźni... No

przecież powinna się tylko cieszyć.

Sara wysłuchiwała, jak się czuła Dina, przybywszy do Berlina tylko z wiolonczelą i niewielkim damskim bagażem, jak to określiła. I naprawdę dała się przekonać.

*

Stine była tak wdzięczna Dinie za uspokojenie Sary, że chciała zostawić w oficynie nowiutki piec chlebowy, który sami kiedyś kupili. W kuchni będzie tak smutno bez pieca. Dina nalegała, że zapłaci.

– Nie ma mowy, nie chcę czuć się taka biedna i potrzebująca. Przecież wiem, że płacisz za podróż Isaka, żeby nie musiał nic brać od tego tam... To więcej niż dość!

Dina ustąpiła i więcej nie wypowiadała się w tej sprawie. O „tym tam” też nie. Rozmawiały na inne tematy. O tym, co było kiedyś. Mówiły o rzeczach, które nigdy nie zostały wypowiedziane. Nadszedł czas, żeby je wyjawić. Droga przez morze była dłuższa niż do Berlina, a w tym świecie nikt nie miał na nic gwarancji.

W końcu Dina poprosiła Stine o pozwolenie na porozmawianie również z Tomaszem. O tym, co kiedyś się zdarzyło. W młodości. O czym nigdy nie wspominali.

A Stine przegoniła z oficyny wszelkie uszy i oczy, zawiązała na głowie chustkę i poszła na długi spacer wzdłuż plaży, żeby mogli zostać w izbie sami.

*

Kiedy Tomasz po skończonej pracy wrócił do domu, Dina siedziała w kuchni.

Otworzył szeroko oczy i zapytał o Stine. Dina odpowiedziała mu krótko:

– Przyszłam, żeby pomówić z tobą o różnych sprawach.

Chyba pojął, że ten czas wreszcie nadszedł. Być może przeczuwał to już w chwili, kiedy stał na przystani i był świadkiem szumnego powrotu do domu. Potem zapewne celowo o tym zapomniał. Że istnieje między nimi pewna niewypowiedziana rzecz.

– Beniamin wie, że jesteś jego ojcem – rzekła.

Musiał się uśmiechnąć. Mówienie ogródkami nigdy nie było w jej stylu.

– To wobec tego wie więcej, niż mnie kiedykolwiek powiedziano. Kto go o tym poinformował?

– Ja.

– Dzisiaj?

– Nie, kiedy studiował w Kopenhadze.

– A teraz, po tych wszystkich latach, ja też mogę to wiedzieć?

– Można i tak na to spojrzeć.

– I co mam zrobić z tą wiedzą?

– Tego nie wiem, Tomaszu.

Słyszał, że pozwala mu wygrać. Daje możliwość powiedzenia wszystkiego i nie ma zamiaru przywoływać go do porządku. Gdzieś w piersi czuł ucisk. Nie był w stanie wyrzec ani słowa skargi na to, co go spotkało. Ani na to wszystko, co przeminęło, niedopowiedziane, niezłaćwione. Pożerało go to.

– Jak on to przyjął? – zapytał.

– Tak jak to łatwo przewidzieć.

– A co można było przewidzieć?

– Niedowierzenie. Złość. Wszystko.

Zapomniał, że ma ręce. Nie wiedział, co z nimi zrobić. Były brudne. Położył je na stole i pochylił się w jej stronę.

– Przegoniłaś mnie w młodości raz na zawsze i przysięgałaś, że

nie jest mój. Podporządkowałem się temu aż po dziś dzień. Nie nękałem Beniamina wiedzą, że ma za ojca komorniczego syna. Ale zajmowałem się jego gospodarstwem jak swoim własnym.

Kiedy puścił blat i podszedł do umywalki, stół kuchenny zakołysał się odrobinę. Umył ręce w blaszanej misce i starannie je wytarł. Po to przecież przyszedł.

O tym, że zazwyczaj zdejmował koszulę i mył też szyję i górną połowę ciała, nawet nie pomyślał.

Dlatego w pierwszej chwili nie uwierzył, kiedy usłyszał:

– Czy nie zdejmiesz koszuli?

Podniósł wzrok i spojrzał w pofałdowane, nierówne lustro. Siedziała u szczytu stołu, nie spuszczając z niego wzroku.

Nic nie mógł na to poradzić. Minione lata zniknęły. W odbiciu w lustrze wszystko stało się kruche jak szkło. Ale bliskie. Młodość.

Przez lata nosił tu drągi i orał, sądząc, że to wszystko na darmo i tak czy owak przeminie. A teraz ona przyszła i przyodziała go w młodość samym swoim spojrzeniem.

– Koszuli? Co masz na myśli? – spytał ochrypłym głosem.

– Że pamiętam, jak zawsze ją zdejmowałeś... przed myciem... kiedy wracałeś z obory.

– Tak?

– Chciałabym zobaczyć twoje plecy... zanim wyjedziesz.

Wpatrywał się w jej odbicie w lustrze. Oczy! Nie wiedział, że postanowienie zostało już podjęte. Zrozumiał to dopiero, gdy zauważył, jak drżą mu dłonie, kiedy powoli odpinał guziki. Jeden po drugim.

Chciał poczuć wściekłość. Że bierze w tym udział. Ale ona wyczerpała się ponad trzydzieści lat temu.

I stojąc tam, na jej oczach, wyprostował się i zdjął koszulę. Kiedy

już to zrobił, nie mając pojęcia, co z nią począć, zmiął ją w dłoni w małą, twardą jak kamień kulę.

– Nie odwracaj się – usłyszał.

Nie, nie zamierzał. Po cóż miałby się odwracać? Widział ją przecież. Wciągnął głęboki oddech i uniósł podbródek.

Przez całe ich spotkanie w nierównym lustrze siedziała całkowicie bez ruchu. Kilka razy wciągał głęboko powietrze i je wstrzymywał. Dzięki temu rozumiał, że czas upływa.

Nie mogła zobaczyć jego twarzy, ale on widział Dinę. Kiedy dojrzał rozkosz malującą się w jej rysach, doznał dziwnego uczucia czegoś bezcennego.

– Twoje plecy, Tomaszu, te... twoje plecy... – szepnęła.

Ujrzał, jak jej usta się rozchylają. I zamykają ponownie. Jej głos. Słowa. Zawisły w powietrzu. Wdzierały się w jego ciało. Gnieździły się w zakamarkach. Chciał zabrać je ze sobą za morze. Na obce ziemie. Ale ciągle pod tym samym niebem.

Trzeba było jednak brać pod uwagę rzeczywistość. Więc coś można było odpowiedzieć na takie gadanie. Nikt na świecie nie był chyba zmuszony odpowiadać na coś takiego. Czemuż on miałby to robić?

– Czego chcesz, Dino?

– Zapytać, czy wybaczysz mi to, czym kiedyś w swojej niewiedzy cię obciążałam?

Ciągle jeszcze się nie odwrócił. Słowa? Wypowiedziała je?

– Co mówisz?

Powtórzyła. Stał bez ruchu. Plecy zdawały mu się raną. Bez ochrony. Bez odpowiedzi. Czy kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że będzie zmuszony odpowiedzieć na coś takiego?

– Na to wygląda – szepnął głosem młodego chłopaka.

Nadal siedziała nieporuszenie tam na stołku. Potem w jej twarzy coś drgnęło.

– Dziękuję, Tomaszu!

Chciał nałożyć koszulę, ale wtedy szybko się podniosła.

– Nie... nie rób tego... Pójdę już. Przyjechałam tylko po to. Długa to była droga. Aż z Berlina.

Doszedł do siebie dopiero, kiedy zamknęły się za nią drzwi.

Rozdział dwunasty

Tuż przed przyjazdem rodziny profesora naprawiono dach i komin, pomalowano główny dom, a sklepik został odremontowany z zewnątrz. W środku do czasu wyjazdu gości wszystko musiało zostać po staremu.

W tym roku nie czekały ich przecież żadne sianokosy. Ziemia została wydzierżawiona gospodarzowi z majątku w głębi zatoki Vika. Zwierząt nie było. Jeśli pominąć oczywiście kury i gołębie oraz kociaka Sary.

*

Beniamin chciał oddać salę sypialną do dyspozycji rodziców Anny, ale Anna się sprzeciwiła.

Spojrzał na nią przekornie.

– Obawiasz się, że będzie im za dobrze?

– Mnie ulokowano swego czasu w sali. I ciągle tu jestem! – zaśmiała się.

– Żałujesz?

– Czy twoim zdaniem coś na to wskazuje, zważywszy że się nie wyprowadzam?

Nie był pewien, czy to był jakiś powód do zadawania pytań, ale

zauważył, że na krótko przed ich przyjazdem prawie przestała grać i śpiewać. I to pomimo że Bergljot wyręczyła ją w większości przygotowań.

– Dlaczego już nie grasz? Nawet z Karną? I nie śpiewasz.

– Chyba ćwiczę się w nierobieniu tego.

– Dlaczego?

– Mamę zawsze bolała głowa od mojego grania. Albo od tego, że nie grałam dość dobrze...

– Jak więc ćwicyłaś w Kopenhadze?

– Korzystałam z instrumentu nauczyciela.

– Ależ... nie grywałaś nigdy w domu?

– Tylko jeśli mieliśmy gości, którzy przyszli wysłuchać określonego repertuaru, a ja wyuczyłam się go według wszelkich zasad sztuki.

– Wielkie nieba! Nigdy o tym nie mówiłaś!

– Nie, bo najwyraźniej czas spędzony z tobą pozwolił mi o tym zapomnieć.

– To damy jej coś na ból głowy. Masz grać!

– Zobaczymy – odrzekła, wzdychając.

– Już dawno zrozumiałem, że różnisz się od swojej matki, ale...

– Nie cierpię mojej matki! – stwierdziła, nie wkładając w to przesadnych uczuć. Potem usiadła na stołku przy pianinie, ale nie zaczęła grać.

Spojrzał na nią w zaskoczeniu, opierając się o instrument.

– Dlaczego?

– Usiłowała zrobić ze mnie poduszkowego pieska, którego ludzie mieli głaskać i podziwiać. A ja powinnam była merdać ogonkiem i nie szczekać.

Widząc uśmiech na jego twarzy, kontynuowała zajadle:

– Nie cierpię jej za to, że zdołała zmienić Sophie w pudła, przez co zmuszona jestem nie lubić również jej.

– Dlaczego mi o tym nie mówiłaś?

– Lepiej się zastanów, czego ty mi nie mówiłaś!

Rzucił jej szybkie spojrzenie. Co miała na myśli? W pierwszej chwili chciał zapytać. Ale nie zrobił tego.

– Zagraj dla mnie! Coś, czego od dawna nie grałaś! Coś, czego wcale nie umiesz! I basta! – poprosił zamiast tego.

Gniewnie przerzuciła nuty, otworzyła pokrywę fortepianu i zaczęła grać.

Po przybyciu rodziców Anna sprawiała wrażenie, jakby jej niepokój się ulotnił. Weszła w rolę gospodyni w taki sposób, że nie tylko on musiał ukrywać swoje zdumienie.

Wydawała ciche polecenia Bergljot i służącej. Kilkakrotnie napomniwała Karnę w drobiazgach, na które w innych okolicznościach nie zwróciłaby uwagi. Wszystko z zadziwiającym spokojem. Złapał się na myśli, że to nie Anna.

Był początek czerwca. I jak na zamówienie śnieg wycofał się daleko na górskie zbocza, na drzewach pojawiły się liście, a pola załśniły zielenią.

*

Pierwszego wieczoru z rodzicami Anny pozwolono Karnie towarzyszyć im w późnej kolacji.

Tatuś zastukał w swój kieliszek i powitał wszystkich na północy. Potem podziękował im za Annę i mnóstwo mówił o tym, jaka jest dobra oraz zdolna pod każdym względem. W końcu uniósł kieliszek, zwracając się do każdego po kolei. Do Karny również.

Ojciec Anny wygłosił długą przemowę. Chciał wypowiedzieć się przed jedzeniem, jak stwierdził. Inaczej odbierze mu to apetyt.

– Czy pani też tak ma, pani Dino? – zapytał babcię.

Babcia odpowiedziała tylko uśmiechem bez słów.

Potem zaczął mówić o czymś, co nazwał „ziemią obiecaną Anny, nad którą słońce nigdy nie zachodzi”. Powiedział, że Reinsnes jest jak bajka, i podziękował tatusiowi za możliwość przyjechania tutaj. Mówił o świecie dzikiej przyrody, gdziekolwiek to było.

– Co prawda potrafisz pisać, moja córko, ale tego miejsca trzeba zaznać! – powiedział profesor i wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. To było dziwne. I że powiedział „moja córko”!

Karna usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądała Anna jako mała córka, ale nie była w stanie.

W czasie jego przemowy matka Anny słuchała, potwierdzając skinieniem głowy albo mówiąc tak! i kiwając głową wiele razy. Dziwne, że ta pani nie siedziała cicho, bo wtrącanie się w wypowiedzi innych ludzi nie było uprzejme. Anna zawsze tak mówiła. W ogóle wyglądało na to, że Anna więcej wiedziała o dobrych obyczajach niż jej mama.

Matka Anny w zabawny sposób marszczyła nos. Przed kolacją Karna widziała, jak przechodząc koło stolika pod lustrem, wystawiła palec. Przeciągnęła nim po szkle dokładnie tak samo jak Bergljot, kiedy chciała sprawdzić, czy powinna wytrzeć kurz.

Więc Karna podeszła do niej i powiedziała:

– Kurz został wytarty!

Wtedy matka Anny podskoczyła i cofnęła palec. I zmarszczyła nos.

Kiedy profesor skończył już przemowę, nagle i on, i matka Anny zrobili się prawie tacy sami, jak inni ludzie.

Karna słyszała wyraźnie, jak tatuś Anny siorbie zupę. Nie do końca była pewna, dlaczego wcześniej wyobrażała sobie, że to

niemożliwe. Ale to zapewne dlatego, że Bergljot przez kilka tygodni powtarzała: „... kiedy profesor przyjedzie, to musimy...” albo: „... chodzi o to, żeby profesor i jego rodzina nie pomyśleli...”

Uznała, że profesor był najwyraźniej o wiele ważniejszy niż pastor albo naczelnik okręgu. Dlatego dziwne, że siorbał.

Mamusia Anny ciągle mówiła z jedzeniem w ustach. To też było osobliwe. Bo kiedy ona tak robiła, Anna zawsze na nią patrzyła. I nic nie mówiła. Tylko patrzyła.

Gdy Bergljot już trzykrotnie dołała do kieliszka profesora i raz albo dwa do kieliszków pozostałych, profesor pochylił się ku Karnie i powiedział:

– Szkoda, że twoja ciocia Sophie nie mogła przyjechać. Ale wiesz, właśnie urodziło jej się malutkie dziecko. Ale ty oczywiście musisz pojechać do Kopenhagi, żeby spotkać się z ciocią!

Karna nie mogła sobie przypomnieć, żeby za nią tęskniła, więc nic nie odpowiedziała.

– Przecież ona nie jest ciocią Karny – rzekła matka Anny i ponownie zmarszczyła nos.

Wtedy zapadła cisza. A Anna zaczęła prowadzić cichą rozmowę ze swoim tatusiem o Kopenhadze.

– Urodziłam się w Kopenhadze! – obwieściła Karna, rozglądając się dokoła.

Najpierw spojrzeli na nią przelotnie, a potem zaczęli rozmawiać między sobą. Ale nie z nią.

*

Po kawie Beniamin poszedł za Anną do spiżarki i poprosił, aby zagrała.

Rzuciła mu wymijające spojrzenie.

– Mama jest zmęczona. Zawsze wygląda na taką zirytowaną po

obiedzie.

– Tak jest w Kopenhadze. A tutaj grasz zawsze, kiedy mamy gości! Musi się do tego przyzwyczaić.

Jej twarz się zmieniła. Bardzo szybko. Roześmiała się.

– Masz rację! Tu, we własnym domu, gram, kiedy mamy gości.

Po chwili z jadalni rozbrzmiała muzyka Griega. Dźwięki Griega *Przechodzi orszak weselny* popłynęły do palarni, przez okna, ponad domem, do oficyny, ku pustej, wysprzątanej oborze, w dół alei ku spichrzom.

Matka Anny siedziała w palarni tylko z powodu Diny. Właśnie nerwowo przyłożyła dwa palce do szyi. Kąciki ust na moment jej opadły. Ale nie na tyle, żeby wydawała się nieładna. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć.

Profesor dostrzegł to i zamierzał rzucić ostrzegawcze spojrzenie przez drzwi do jadalni. Zamiast tego zaczął przypatrywać się Dinie, siedzącej w obłoku dymu z własnego cygara. Jej twarz wyrażała intensywną przyjemność.

*

Dina pojechała z powrotem do Strandstedet. A ojciec Anny z plecakiem, fajką i drugim śniadaniem chadzał w góry z Olem albo z Tomaszem, albo też brał pończochy na zmianę i płynął razem z Beniaminem w odwiedziny do chorych.

Anna nie skarżyła się, ale Beniamin widział, że obecność matki bywa dla niej uciążliwa. Wieczorami, już w sypialni, z kontrolowaną wściekłością opowiadała mu wydarzenia dnia z udziałem swojej matki, okraszone sarkastycznymi komentarzami. Jak wtedy, kiedy opowiadała o szkolnym kuratorze.

– Dzisiaj pouczyła mnie, że powinniśmy założyć rodzinę. Byłoby o wiele milej, jak stwierdziła!

– I co odpowiedziałaś?
– Nie odpowiedziałam.
– Dlaczego nie?
– Bo mnie zraniła. I ponieważ ciągle daję się zranić.
– A więc z ich przyjazdu masz tylko smutek?
– Nie. Karna bardzo mi pomaga. Nie uwierzysz, co powiedziała dziś mamie.

– Pewnie nie, ale mam nadzieję, że to nie było zanadto okropne?
– Mama właśnie pouczała mnie w kwestii mojej interpretacji Griega i mówiła, że miejscami gram zbyt wolno. Nie można grać z pełnym żołądkiem. Wtedy Karna się odezwała: Tutaj nikt nie może tak mówić do Anny!

– I jak ona to przyjęła?
– Była zbита z tropu i zmieniła temat.
Anna zaśmiała się cicho i szczerze.
– Chyba póki mama tu jest, będę chodziła przez cały czas z Karną za rękę.

Po dobrym obiedzie, na który podano łososia, i po kilku kolejnych kieliszkach wina ojciec Anny najwyraźniej uznał, że wieczór dobiega końca. Zwrócony do Beniamina oświadczył, że najwyższy czas porozmawiać o przyszłości.

Wychwalał Reinsnes i całą północ, ale mimo to wyraził zdecydowane życzenie, aby Beniamin i Anna przeprowadzili się do Kopenhagi.

– Nie możesz tu mieszkać całe życie, zajmując się drobiazgami. Jesteś na to zbyt uzdolniony, drogi zięciu – stwierdził.

Beniamin odparł zgodnie z prawdą, że zdanie teścia i jego wiara w niego mu pochlebia. Ale nie był póki co gotowy na tak wielką przeprowadzkę.

– Lata mijają szybko – stwierdził profesor – a tylko w młodości człowiek może...

I zaczął robić wykład na temat tego, że wydzielanie kwasu żołądkowego nie jest zależne tylko od nerwu błędnego, ale mogą go również wyzwalać czynniki lokalne natury chemicznej lub mechanicznej.

– Wiedza jest ważna dla ludzi! Dla nas wszystkich! Wiedza o zdolności tłuszczów i węglowodanów do zmniejszenia przerobu białka, a zatem do ograniczenia naszego zapotrzebowania na nie w pożywieniu – zapewniał gorąco.

Profesor wspomniał o młodym naukowcu, w którym pokładał wielkie nadzieje. Doszedł on do wniosku, że najwyraźniej istniała korelacja pomiędzy „stężeniem tłuszczu w próbce mleka a liczbą i średnicą tłuszczaków”. Warto zauważyć, że pomiary średnicy zostały skorygowane przy wzięciu pod uwagę kąta dyfrakcji.

W tym momencie matka Anny zaczęła drapać się w podbródek. Anna zaś wstała i oświadczyła, że w salonie nakryto do kawy.

Podczas przechodzenia z jednego pokoju do drugiego profesor nabrał przekonania, że Benjamin ma talent do chirurgii. Zauważył to, będąc z nim w odwiedzinach u chorych. Co prawda chodziło tylko o wrastający paznokieć. Ale miał dobrą rękę.

Zatrzymał się na środku pomieszczenia i chwilę rozprawiał o tym, że najważniejsze badania w obecnych czasach skupiają się w szczególności na przeszczepach skóry. To dopiero coś! Znał pewnego człowieka nazwiskiem H. Philipsen, który przeprowadził w tej dziedzinie bardzo obiecujące próby. Również na ludziach.

Tuż przed drzwiami do palarni Benjamin stanął, aby w cztery oczy udzielić mu ostrożnego wyjaśnienia.

– Mojemu sercu najbliższa jest specjalizacja ginekologiczna. To

straszne, że tyle kobiet i noworodków umiera.

Profesor pochwalił jego idealizm. Ale jego zdaniem tego typu badania raczej nie miały przed sobą przyszłości.

– Powinieneś dostać się do Holmera. To jest właściwy adres! Ma miejsca dla studentów i lekarzy z wszystkich krajów nordyckich.

– Holmer jest nieżonaty i mieszka z matką albo siostrą? I nienawidzi kobiet! – wtrąciła Anna.

Matka Anny rzuciła jej ostre spojrzenie, ale bez skutku. Anna zaśmiała się, ujęła ojca pod ramię i wprowadziła go do salonu.

– Czy dziecko nie powinno się już położyć? – zapytała matka Anny.

– Ależ nie, droga mamo! – odparła Anna, opierając się mocniej o ramię ojca.

*

Karna usadowiła się na podnóżku u stóp Beniamina. Profesor zerknął na dziecko i zmienił temat:

– Z rozmowy z Tomaszem w górach zrozumiałem, że jesteście spokrewnieni?

Beniamin poczuł się, jakby ktoś nałożył mu kaptur na głowę.

– Tak, choć to dość zawiłe pokrewieństwo, drogi teściu – odparł.

– Bardzo dalekie?

– Niezbyt.

– Widać to po małej Karnie. Bardzo interesujące! Całkowicie oczywiste. Niebieskie i piwne oko! Mój kolega przeprowadził pionierską pracę w dziedzinie eugeniki i wykonał ciekawe badania w kwestii ludzkich cech. W jego pracy *Inquiries into Human Faculty* pojęcie „eugenika” zdefiniowane jest jako studia nad czynnikami biologicznymi i społecznymi mogącymi mieć wpływ na poprawę bądź pogorszenie kondycji cielesnej lub duchowej

przyszłych pokoleń. Pozytywna eugenika zakłada promowanie cech pożądaných, a eugenika negatywna chciałaby wykluczyć cechy problematyczne. Takie jak choroby i defekty genetyczne.

Kiedy powoli wymawiał słowo „defekty”, ujął Karnę za podbródek i uważnie przyglądał się jej źrenicom.

Anna chwyciła dzbanek z kawą i chciała dolać ojcu. Ale on nie zwrócił na to uwagi.

Karna odsunęła dłoń profesora od swojej głowy i zapytała:

– A co to defekty?

– To poważne wady i różne braki, na przykład u ludzi – odparł zadowolony profesor i mimo wszystko poprosił o dolewkę kawy.

*

Poczuła się dziwnie. Chciała uciec. A przynajmniej wyjść na schody. Ale nie była w stanie. Sufit zamienił się na miejsca z podłogą, a ściany upadły. Potem usłyszała pieśń morza. Głośną. Wszystko porywała ze sobą. Bardzo szybko. Meble, okna, twarze, rośliny w donicach, wzór na tapecie, cygara, dym.

Kiedy się obudziła, tatuś i ojciec Anny stali pochyleni nad nią. Tego drugiego tam nie chciała. Tylko tatusia! Ale nie potrafiła tego powiedzieć. Wypluła jedynie drewniany patyczek i zamknęła oczy.

Słyszała, że o niej rozmawiają. Ten drugi wypytywał tatusia o wszystko. Jak często upadała. Jak mocno. Kiedy to się zaczęło.

– Zawsze tak? Bez ostrzeżenia? Z pianą, drgawkami i otwartymi oczami? – drążył ten drugi.

Nie miała siły słuchać, co odpowiada tatuś. A kiedy piła ze szklanki trzymanej przez Annę, usłyszała, jak mamusia Anny mówi:

– Widziałam, że dziecko jest zmęczone. Już dawno powinna być w łóżku!

Wtedy poczuła, jak bardzo chce, żeby ich tam nie było. Pragnęła tego tak mocno, że miała wrażenie, iż nadchodzi kolejny napad.

Żeby się przed nim obronić, zaczęła odmawiać w myślach *Ojciec nasz*, tak jak zawsze nakazywała jej Stine. Nikt o tym nie wspomniał, ale czuła, że się posikała.

Ktoś nakrył ją pledem. Pewnie Anna.

– Powinniście zabrać ją do Kopenhagi – usłyszała.

– Być może. Miałem nadzieję, że może z tego wyrośnie.

Ten drugi pochylił nad nią głowę i nią potrząsał. Miał takie ogromne dziurki w nosie. Wyrastały z nich włosy. Robiły się coraz dłuższe. W końcu dotknęły jej twarzy, a ona nie mogła temu zapobiec. Oddychanie stało się bardzo trudne.

– Napady epileptyczne. Uszkodzenie wewnątrzczaszkowe. Być może przy porodzie – usłyszała, walcząc jednocześnie o odrobinę powietrza wśród sztywnych, czarnych włosów.

Wtedy tatuś w końcu wziął ją na ręce i zaniósł do własnej izby. Kiedy po włożeniu jej czystych majtek ułożył ją już w łóżku, powiedział:

– Nie martw się tym wszystkim. Wiesz, on jest profesorem. A oni czasem tak gadają, ale nie mają na myśli nic złego.

*

Od tamtej chwili starała się nie przebywać w tym samym pomieszczeniu co ten drugi, żeby nie musiała zastanawiać się, na ile jest uszkodzona. I żeby nie robić kłopotu tatusiowi, gdyby upadła. Ale to było trudne, bo Anna cały czas brała ją za rękę. Jakby chciała mieć ją przy sobie.

Na szczęście nie dostała kolejnego napadu w czasie pobytu tych ludzi. Ale zrozumiała tyle, że ma uszkodzoną głowę i że nikt jej tego wcześniej nie powiedział. Była tym dziwnym słowem „defekt”,

bo upadała.

Tatuś miał w sumie zabrać ją do Kopenhagi po to, żeby się jej pozbyć. Wiedziała jednak, że nigdy tego nie zrobi.

*

Kilka razy poszła też do altany, żeby pomyśleć o słowach tego drugiego na temat Tomasza oraz jej oczu. Że są spokrewnieni. To nie było takie złe, bo Tomasz był miły.

Najlepiej było jednak przypominać tatusia. Chociaż potrafił się rozzłościć. W zasadzie nie chciała być podobna do nikogo poza nim.

Jedno oko tatusia było takie samo jak drugie. To prawda, że wydawały się zielone na morzu i szare wieczorami, kiedy przyplływał do domu. Ale one zmieniały kolor jednocześnie.

Po wyjeździe profesora z rodziną, kiedy Anna przestała już cały czas trzymać ją za rękę, mogła wreszcie połączyć za Tomaszem, żeby przyjrzeć się jego oczom. Znała je tak dobrze i nigdy nie przyszło jej do głowy, że są brzydkie. Teraz zmieniły się w nieładne. Bo tamten powiedział, że to defekt.

Kiedy przeglądała się w lustrze, wpatrywała się w nim prosto w oczy Tomasza. Mrugała mocno i długo, żeby zmieniły kolor. Stały się bardziej podobne do oczu tatusia. Ale to nie pomagało.

*

Pewnego dnia poszła do przystani Andreasa, gdzie Tomasz pakował kufry i skrzynie. Czekwała na moment, kiedy przerwał na chwilę i popluł na osełkę, żeby naostrzyć nóż. Wtedy po prostu zadała mu pytanie:

– Dlaczego tylko my dwoje mamy takie oczy?

Tomasz przestał ostrzyć. Nóż zawisł w powietrzu. Jakby trzymało go światło, a nie Tomasz.

– Profesor stwierdził, że jesteśmy spokrewnieni. Czy tak?

– Zapytaj o to swojego ojca, dzieciно.

– Ale teraz nie ma go w domu.

Wtedy odłożył kosę i osełkę, a potem otarł pot z twarzy.

– Chodź, usiądziemy sobie na chwilę – rzekł, siadając z rozsuniętymi kolanami na skrzyni podróźnej. Broda i rude włosy sterczały mu na wszystkie strony.

Usiadła przy nim i czekała.

– Wydaje mi się, że najlepiej, żeby to Benjamin opowiedział ci, kto jest z kim spokrewniony w Reinsnes.

No tak, tyle to już zrozumiała.

– Mam go o to poprosić?

Tomasz wyciągnął dłoń i położył ją na jej głowie. Leciutko.

– Możesz powiedzieć swojemu ojcu, że nie mam nic przeciwko temu pokrewieństwu.

Skinęła głową i postanowiła wstać, bo tu niczego więcej nie miała się już dowiedzieć.

*

Myślała o tym przez cały dzień, bawiąc się z Isakiem na skałach, gdzie łowili drobne płocie. Ale nie rozmawiała z nim o tym. Kiedy Benjamin tego wieczoru przyszedł powiedzieć jej dobranoc, rzekła:

– Tomasz mówi, że nie ma nic przeciwko temu, że jesteśmy spokrewnieni.

Najpierw tatuś wyglądał dziwnie. Potem zaśmiał się lekko i rozłożył ręce w taki sposób, jakby się poddawał.

Ale nie trwało to długo, bo potem znów zrobił się poważny i przeczesał dłonią włosy.

– Sprawa ma się tak, że Tomasz po prostu jest twoim dziadkiem, chociaż prawie nikt o tym nie wie i nie jest to zapisane w księgach

kościelnych.

– Dlaczego nikt nie wie?

– Bo to wstydliva sprawa. Dina i Tomasz nie byli małżeństwem – wyjaśnił tatuś.

– A kiedy coś jest wstydlive, to nikt nie może o tym wiedzieć? – zapytała.

– Tak, właśnie.

– Czy nie mogę tego nikomu powiedzieć?

– Jeśli chcesz, to powiedz, ale ja na twoim miejscu bym tego nie robił.

– Nawet Annie nie?

– Annie możesz mówić o wszystkim.

– A czy babcia wie o tej wstydlivej rzeczy?

Tatuś uśmiechnął się i powiedział, że to właśnie babcia mu to opowiedziała.

– Nie, tatusiu, nie pamiętasz! To profesor zobaczył.

Wtedy tatuś roześmiał się głośno. Dzięki temu pojęła, że nie jest to tak okropne, jak początkowo sądziła.

– Ale Anna i ty jesteście małżeństwem, ale ona nie jest moją matką. Czy to wstydlive?

– Nie! – odparł tatuś.

– Dlaczego?

– Wszyscy to od zawsze wiedzieli, więc jest w porządku.

– Ale skoro tak, to wystarczy, żeby wszyscy dowiedzieli się o Tomaszu i już nie będzie wstydu.

Wtedy objął ją mocno i zakląkał prosto w ucho.

– Obawiam się, że to nie jest takie proste. Ale teraz przynajmniej ty wiesz.

*

Musiał jakoś stawić temu czoła. Rozmowie z Tomaszem. Poszedł z nim na połoniny, żeby przynieść trochę drągów z nieużytków.

Zastanawiając się nad tym później, nie był w stanie odtworzyć tej rozmowy. Tylko fragmenty. Dzieciństwo stanęło mu przed oczami. Zobaczył siebie chodzącego samotnie po połoninach. Poczuł znów tę pustkę po wyjeździe Diny. Widział Tomasza opiekującego się zwierzętami. Pamiętał go jako z lekka nieobecnego człowieka, zajmującego się swoimi sprawami.

I kiedy zobaczył spłoszoną twarz mężczyzny, niemal pożałował, że cokolwiek powiedział. Jednak było już za późno.

Najlepiej zapamiętał z tej rozmowy uścisk rąk, który wymienili po ułożeniu drągów na stercie pod dachem stodoły. Nawet on rozumiał, że ten gest nie jest częścią zwykłych prac gospodarskich.

Rozdział trzynasty

Jednego z ostatnich dni przed wyjazdem Stine zabrała Karnę samą do kuchni w oficynie.

Nic tam nie leżało na swoim miejscu i wszędzie panował jeden wielki bałagan. Karna starała się na to nie patrzeć.

Stół kuchenny i taborety ciągle jeszcze stały. Więc usiadły na nich, a Stine dała jej kawy i mleka na spodeczku.

– Kiedy mnie już tu nie będzie, pamiętaj, proszę, co ci powiedziałam na temat twojego Daru, Karno. Zostałaś wybrana, żeby dokonać wielkich rzeczy – powiedziała Stine.

Karna skinęła głową, nie do końca rozumiejąc.

– Masz czytać Biblię i jak najczęściej odmawiać *Ojciec nasz*, żebyś nie upadała zbyt mocno. Wiesz o tym?

– Biblia babci ma takie trudne litery. Staroświeckie i zakręcone. Jest już bardzo stara, bo przecież mnie z niej chrzczono – odparła.

– Słyszałam, że potrafisz odczytać również i takie litery.

– Ale to trudne, naprawdę. A tatuś mówi, że więcej się nauczę, czytając książki.

– Ale nie w kwestii padaczki i wielkiej objawionej prawdy. O tym trzeba czytać w Biblii.

Karna ponownie skinęła głową.

– Obiecasz mi, że zmówisz głośno *Ojcze nasz*, kiedy poczujesz zbliżający się upadek? O ile zdążysz?

– Tak.

– I że zabierzesz Biblię ze sobą wszędzie, dokądkolwiek pojedziesz na tym świecie?

– Tak – odparła ponownie Karna i bardzo szybko wypła mleko ze spodeczka. Trochę się wylało. Ale to nic nie szkodziło, bo na stole nie było obrusa.

– Tatuś powiedział, że ta Biblia jest moja. Bo on ją dostał od babci. A ona z kolei dostała ją po swojej matce, Hjertrud. Ale jest stara i czarna... Dlaczego Biblie muszą być czarne?

Stine tego nie wiedziała, ale stwierdziła, że czarny to ładny kolor dla Księgi Pańskiej.

– Zabierasz ze sobą do Ameryki swoją Biblię?

– No oczywiście!

– Ale ty nigdy nie upadasz?

– Wiesz, słowa Pana pomagają na wszystkie bóle i smutki.

– Ale ja przecież nie przestałam upadać.

– Gdybyśmy we dwie nie modliły się i nie czytały Biblii, byłoby o wiele gorzej.

– Ciągle mam nitkę na ręce – rzekła Karna, zerkając na przetarty kawałek włóczki, który miała zawiązany na przegubie.

– Pilnuj jej dobrze! A jeśli ją zgubisz, to musisz do mnie napisać, a ja coś wymyślę.

– Dobrze. Spakowałaś już wszystkie ciasta?

Stine jeszcze tego nie zrobiła.

Siedziały tak przez chwilę, jedząc każda swój kawałek ciasta, popijając kawę ze spodeczków i rozmawiając o tym, gdzie teraz przebywają pisklęta edredonów.

Stine już dawno temu odniosła małe edredony na brzeg morza, żeby podczas swojej pierwszej wycieczki po świecie nie zostały zadziobane na śmierć przez mewy i wrony. Kiedy kierowała się z nimi w stronę wody, zawartość jej zgrzebnego fartucha drżała, podrygiwała i popiskiwała.

Karna i Anna szły za nią w odpowiedniej odległości, jak dzieci z baśni o szczurołapie. Po prostu musiały.

Na przedzie podążała Stine, niosąc pisklęta w fartuchu, za nią ciężko kroczyły dorosłe edredony, kołysząc się na boki i głośno wyrzekając. Na końcu szła Anna i ona. Ale przy dużym kamieniu u stóp wzgórza obie przystanąły. Stały i patrzyły, jak Stine po jednym bierze pisklęta w rękę i sadza je na wodzie tuż przy brzegu.

Kiedy Stine tak szła z pełnym fartuchem, a w nim rozpychało się małe życie, Karna miała wrażenie, że Stine nie jest całkiem rzeczywista. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłoby jej się stać cokolwiek złego.

Ale kiedy wróciła z pustym fartuchem, twarz miała poszarzałą, a jej oczy nie chciały popatrzeć na żadną z nich.

Być może wzięło się to stąd, że pomyślała o swojej rychłej zamorskiej podróży.

*

Karna podejrzewała, że zanim nadszedł ten dzień, tatuś jeszcze nie rozumiał, co się właściwie dzieje. Kiedy odprowadzali amerykańskich podróżników do Strandstedet, prawie nic nie mówił.

Stine mocno ścisnęła otrzymaną od Anny torbę podróżną i rozglądała się na wszystkie strony. To było do niej niepodobne.

Tomasz sprawiał wrażenie jeszcze nie do końca obudzonego. Przez cały czas miał oko na swoje buty, jakby obawiał się, że

wyjadą bez niego. Nosząc bez przerwy różne rzeczy, liczył coś, co nazywał sztukami bagażu. Puszki, worki i skrzynie.

Ole też nosił, ale żartował przy tym i czuł się bardzo męski. Miał dwurzędową kurtkę z błyszczącymi guzikami i nową czapkę z daszkiem.

Kiedy mieli już zabrać wszystko na pokład parowca, Isak powiedział, że chce tylko pomóc Tomaszowi nosić, a potem zejdzie na ląd się pożegnać. Ale już nie wrócił.

Sara wyglądała jak stara kobieta, a wokół głowy miała zapleciony warkocz. Z całej siły ścisnęła koszyk, chodząc wokół i podając każdemu dłoń. Przytrzymywała ją, mówiąc kilka zdawkowych słów. Ale przede wszystkim mocno trzymała się swego koszyka.

Kiedy nadeszła kolej Karny, twarz Sary skurczyła się i zmalęła, a potem Sara ujęła Karnę uroczyście za rękę i powiedziała „żegnaj”. Karna aż drgnęła, bo nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Sara do kogokolwiek mówiła „żegnaj”.

Nie była w stanie odpowiedzieć, więc tylko głęboko dygnęła. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że nigdy przedtem nie dygała przed Sarą.

Hanna i Olaisen przyjechali powozem, który zostawili przy wysokiej stercie skrzyń kawałek za mostkiem prowadzącym na ląd.

Kiedy Hanna razem z małym synkiem zamierzała wysiąść, Olaisen schwycił oboje na ręce i postawił na ziemi. Potem stali przez chwilę blisko przytuleni. A kiedy przyszli na przystań, widziała, iż Hannie jest tak smutno, że nawet się z nikim nie wita.

To pewnie z powodu Isaka, pomyślała Karna. I postanowiła, że nigdy nie wyjedzie i nie zostawi tatusia.

O tym biciu Olaisena nikomu nie powiedziała. Dzięki temu

wiedziała, że jest już dość duża, żeby powierzyć jej każdą sprawę.

Olaisen niósł synka na ramieniu, a drugim podtrzymywał Hannę. Wszyscy mogli zobaczyć, że są małżeństwem.

Kiedy Stine podeszła do nich się pożegnać, Hanna wydała z siebie głośny dźwięk. A Karna zrozumiała, że Hanna płacze. Potem jakby zgięła się w pół i zawisła na ramieniu Olaisena. Przez cały czas wydawała ten sam dźwięk.

– Już, już – powtarzał cicho Olaisen. Widać było wyraźnie, że nie wie, co zrobić z dzieciakiem, bo ma już dość kłopotu z Hanną. Babcia najwyraźniej to pojęła, gdyż podeszła szybko do nich i wzięła chłopca na ręce.

Wtedy Olaisen podniósł Hannę do góry, jakby ważyła nie więcej niż piórko. Jej szal powiewał wokół niego, kiedy kołysał ją i uspokajał, tak jakby to ona była jego dzieckiem.

Karna uważała, że jego włosy na wietrze przypominają loki anioła. A kiedy niósł Hannę na rękach do powozu, jej spódnice otaczały ich niczym ogromny, czerwony żagiel.

Dziwne to było. I piękne. Pomyślała, że nikt inny nie robił takich rzeczy na pomoście na oczach wszystkich. A to, co opowiadał Isak o podłości Olaisena, tak jakby skurczyło się w momencie, gdy zobaczyła, jak ostrożnie wsadza Hannę do powozu i sam wspina się w ślad za nią. Pozostał tam, siedząc i obejmując ją aż do odjazdu parowca.

Kiedy jednak zaczął się harmider i mostek miał zostać odsunięty, stało się! Sara pędem zbiegła po stromych schodkach. Warkocz obluzował jej się na głowie i powiewał teraz z tyłu niczym gruby sznur. Nawet nie wzięła koszyka. Ale wołała donośnym, zdecydowanym głosem:

– Hanno! Wracam! Nie jadę! Słyszysz? Już dość ludzi wyjeżdża.

Chcę zostać z tobą, Hanno!

Wszyscy ludzie na nią patrzyli. Tatuś również. Wpatrywali się w Sarę, jakby była zmartwychwstałym nieboszczykiem. Karna przypomniała sobie opowieść o tym, jak to Jezus wskrzesił umarłego.

W łodzi stał Tomasz, wołając do Sary, żeby wracała. I coś na temat kupionego biletu. Ale Karna słyszała, że nie jest zły. Tylko nieco zmęczony.

A Sara wielkimi susami podbiegła do powozu Olaisena i wspięła się do środka. Potem Karna nie mogła już odróżnić, która z nich jest Hanną, a która Sarą. Bo stworzyły jakby przenikający się kłębek ubrań.

Parowiec oddalił się od pomostu, a dźwięki wydawane przez Hannę ucichły.

Babcia stała z dzieckiem na ramieniu. Trzymała je w pewnej odległości od siebie. Jakby nie do końca była pewna, co ma z nim zrobić.

Po chwili podszedł Olaisen. Skinął głową, nie patrząc w oczy tatusiowi ani Annie. Potem podziękował babci za pomoc i zabrał chłopca. Pozostał jednak przy nich, stojąc i machając, dopóki parowiec nie skrył się za szkieletami.

Później, kiedy Sara i rodzina Olaisena już odjechali, a Karna nieco oddaliła się od reszty osób, usłyszała, jak jakaś pani mówi do drugiej:

– I pomyśleć, że nawet nie pomachała własnej matce, ta pani Olaisen!

A ta druga popatrzyła na morze, jakby na coś czekając, a potem odparła:

– Ale ten Olaisen to wspaniały mężczyzna! Widziałas, jak po

prostu wziął ją...

– Tak, wielkie nieba! – odrzekła ta, która odezwała się pierwsza. Potem dostrzegły Karnę i szybko oddaliły się wzdłuż pomostu.

*

Kiedy przybijali już do własnej przystani, usłyszała panującą ciszę. Dźwięki, które odjechały do Ameryki, leżały teraz, bulgocząc w brunatnych glonach. Zachręściły tylko niepokojąco, kiedy tatuś po raz ostatni machnął wiosłami i poczuli dotknięcie lądu.

Tylko nigdy nie wpuszczany do domu latem pies przybiegł im na spotkanie, przemykając przez zarośla. W gospodarstwie nie było nikogo poza Bergljot i służącą. Parobcy wyjechali.

Tatuś powiedział, że jeden zaczął pracę w stoczni u babci, a drugi dostał robotę u pastora.

Tutaj nie było już przecież żadnego zajęcia dla mężczyzn. Pomijając zmiatanie schodów i odśnieżanie zimą.

Kiedy doszli do podwórza i stali tam, patrząc na wszystkie pozamykane drzwi i okna, tatuś powiedział:

– Och!

Anna sprawiała wrażenie, że rozumie, co on ma na myśli, bo wsunęła rękę pod jego ramię.

Żuraw przy studni skrzypiał na wietrze, a brama do ogrodu była otwarta. Wcześniej nigdy jej tak nie zostawiano, bo zawsze było w pobliżu jakieś zwierzę domowe, które należało trzymać z dala od rabat kwiatowych.

Gołąbnik stał pusty.

Pewnego późnego wieczoru, kiedy sądzili, że śpi, usłyszała, jak Tomasz wabi gołębie. Towarzyszyło temu nie zwykłe, ciche wieczorne gruchanie, jakiego używał na co dzień. Teraz głos miał przestraszony, jakby ostrzegający przed czymś złym.

Rano panowała taka potworna cisza.

Isak powiedział, że Tomasz przyłożył worek do otworu gołębnika. Musiały do niego wejść.

Przez materiał doskonale słyszała zduszone gruchanie wynoszonych gołębi.

Pod gołębnikiem leżały lśniące, luźne pióra. Zebrała je do pudełka po tytoniu. Później poszła poszukać gołębi w gnojowni i w rozpadlinach za oborą. Ale nie znalazła. Kiedy spytała Olego, ten odparł, że Tomasz zrobił wszystko jak należy. Nie wiedziała, co miałyby to znaczyć, i nie była w stanie zapytać.

Nie czuła już zapachu świeżo wyszorowanych wiader na mleko. Zazwyczaj zawieszonych na palikach przy izbie czeladnej.

Tomasz zamiótł oborę, budynki gospodarcze i wszystko z nich usunął. Firanki niczym duchy wisiały za zamkniętymi oknami oficyny. Nie było widać w nich żadnej twarzy.

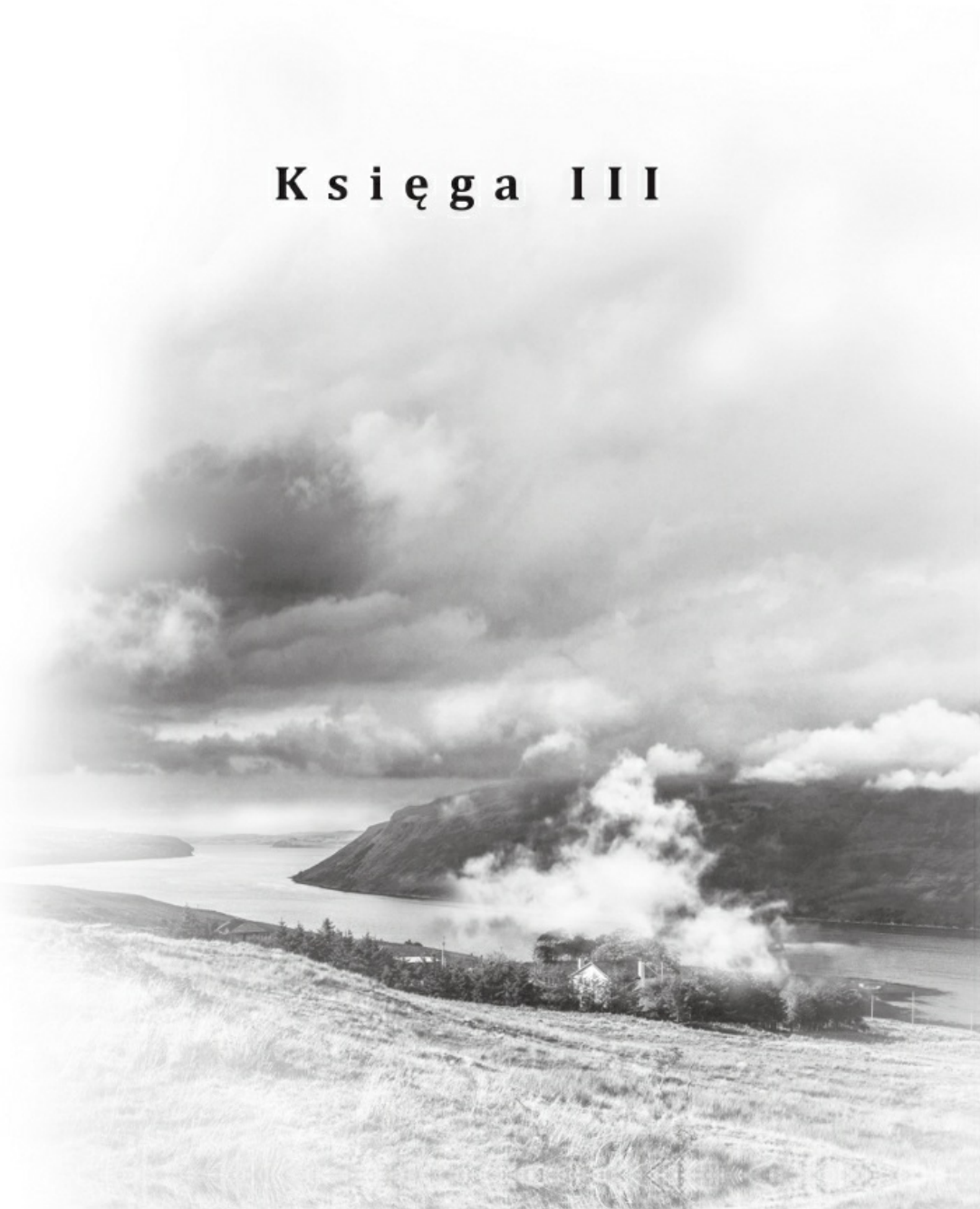
W środku było chyba prawie pusto. Obcy ludzie przyjechali do gospodarstwa i zabrali rzeczy Stine i Tomasza.

Kiedy pozostałych dwoje zniknęło za drzwiami domu, podreptała do oficyny. Ale nie zdobyła się na wejście do środka. Stała tylko chwilę w przedsionku, gdzie jeszcze w powietrzu unosił się zapach Tomasza. I czegoś jeszcze. Smoły?

A kiedy usiadła na schodach prowadzących na strych, nadpłynęły wonie ziół Stine. To było dziwne, bo haki przy wejściu na schody były puste.

Objęła kolana ramionami i rozglądała się dookoła, usiłując o niczym nie myśleć. Wtedy poczuła wyraźnie, że ma w ciele wielką przestrzeń, w której jest tylko pustka.

K s i ę g a I I I



Rozdział pierwszy

TERAZ WIDZIMY JAKBY W ZWIERCIADLE, NIEJASNO;
WTEDY ZAŚ [ZOBACZYMY] TWARZĄ W TWARZ:

TERAZ POZNAJĘ PO CZĘŚCI, WTEDY ZAŚ POZNAM TAK,
JAK I ZOSTAŁEM POZNANY.

TAK WIĘC TRWAJĄ WIARA, NADZIEJA, MIŁOŚĆ – TE
TRZY: Z NICH ZAŚ NAJWIĘKSZA JEST MIŁOŚĆ.

(Pierwszy List do Koryntian 13,12–13)

Nastał dziesiąty sierpnia roku Pańskiego tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego, a w kalendarzu księżycowym dzień ten został oznaczony specjalnym symbolem dla uczczenia męczeńskiej śmierci w płomieniach poniesionej przez świętego Wawrzyńca.

Ponieważ rozeszła się pogłoska, że w tym dniu zostanie spuszczone na ląd niespotykane wielka skrzynia, przeznaczona dla hotelu Grand przy ulicy Strandveien, na przystani pojawiło się wiele osób.

Niektórzy utrzymywali, że to podobno nowe pianino. Inni twierdzili, że fortepian, można wręcz rzec, iż prawdziwy klejnot, przysłany aż z Hamburga. Tylko niewielu widziało wcześniej coś

podobnego.

Kiedy skrzynia przybyła, jeden z tragarzy podał w wątpliwość, czy żuraw wytrzyma takie obciążenie. Inny zaproponował, żeby spuścić skrzynię pionowo, bo wtedy lepiej trzymałaby się w szelkach.

W tym momencie pani Dina w dzikim pędzie wpadła na mostek, krzycząc po niemiecku coś, czego nikt nie zrozumiał. Ale według co bardziej biegłych w językach były to chyba przekleństwa.

Wilfred Olaisen nadszedł za nią wielkimi krokami. Powiedział, że chce dokładnie obejrzeć kwit bagażowy. Tragarze zagłądali mu w tym czasie przez ramię.

Ależ oczywiście, że bez problemu! Ta skrzynia nie była cięższa niż niektóre ładunki żelazne, które jego ludzie spuścili ze statku kilka dni wcześniej. Skinął przyzwalająco głową w stronę Diny. Potem sprężystym krokiem ruszył w stronę mostku, żeby osobiście nadzorować, czy wszystko idzie dobrze. Bo czyż nie była to w końcu jego przystań i jego żuraw? Jego wielka odpowiedzialność?

Dina uważnie obserwowała opuszczanie skrzyni. Kilkakrotnie otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Parę razy o mało nie spadła ze sztapla skrzynek, na którym stała, ponieważ całym ciałem śledziła niepewne ruchy fortepianu. Jednak uratowała godność, w ostatniej chwili przytrzymując się relingu.

Kiedy klejnot zwisał bezradnie, zawieszony między niebem a pomostem, pojawił się inny problem. Trafienie nim w wóz, który miał go przewieźć dalej. Trudno było tu mówić o precyzji, chociaż używali zawieszonego na haku pionu, wskazującego kierunek. Ładunek trzeba było opuścić na tyle, żeby dało się zamocować jeszcze jedną linę. W tym momencie skrzynia groźnie się rozbijała. Wszyscy wstrzymali oddech.

Mżył deszcz, a od morza nadciągnęła ciężka od wilgoci mgła. Co oczywiście nie ułatwiało sprawy. Mocowanie liny i kolejna próba trwały bardzo długo. Olaisen wydał kilka nerwowych okrzyków. A ludzie zaczęli się niecierpliwić.

Chłopak od piekarza zabijał czas, opowiadając bractwu z kuźni, że nie ma żadnych szans, aby skrzynia zwisająca nad pomostem zmieściła się w drzwiach hotelu Grand.

Jakiś zuchwały łobuz, który zazwyczaj zamiatał śmieci w kuźni Olaisena, wykrzyknął, że najlepiej niech puszczą tę skrzynię prosto na wóz, to wszyscy się dowiedzą, czy ukrywa się w niej jakaś melodia.

Jego narzeczona trąciła go w bok i zerknęła z lękiem na panią Dinę. Właśnie dostała pracę jako pokojówka w Grandzie i obawiała się, że jej towarzysz nie okazał należnego respektu. Poprawiła czepiec, po czym wycofała się z lekka obrażona i narzeczony musiał stać samotnie.

*

Karna nie wszystko widziała, bo wiatr rozplótł jej warkocz. Rudobrunatne włosy momentami przykrywały jej całą twarz. Poza tym na jednej łydce miała ślad po ugryzieniu gza i musiała mu co chwilę poświęcać trochę uwagi. Zmuszona była schylać się i drapać, a jednocześnie przytrzymywać włosy z dala od twarzy i nie spuszczać z oka dyndającej w powietrzu skrzyni.

Zastanawiała się, jak w rzeczywistości wygląda ten fortepian. Babcia miała jego zdjęcie. Jeśli robota została porządnie wykonana, powinien być zrobiony z najlepszego, czarnego, lakierowanego palisandru, z wyraźnym, ciemnym rysunkiem słoików w drewnie. Pulpit na nuty miał być jak małe dzieło sztuki, opuszczany i podnoszony wedle potrzeby.

Dźwięk podobno był w stanie wypełnić całe Strandstedet, dokładnie tak jak gwizd parowca, więc babcie grającą na fortepianie w hotelu Grand byłoby słyszeć nawet w doktorówce.

Miał też mieć mosiężne kółka i zaokrąglone linie. Ze przy tym wszystkim był ciężki i nieporęczny, należało uznać za oczywistość. Babcia powiedziała, że samo przetoczenie go po podłodze wymagało udziału dwóch mężczyzn. O podniesieniu nie było nawet co myśleć. A jednak trzeba było to zrobić, skoro miał zostać przetransportowany. I żuraw krzyczał bez ustanku.

Przez wiele tygodni była zła na babcie, która zdecydowała, że Karna nie zagra na pierwszym uroczystym koncercie fortepianowym. To Anna miała dokonać inauguracji. Babcia zamierzała zagrać na wiolonczeli, a Karnie przypadł w udziale tylko śpiew.

Karna знаła wiele melodii na pamięć, nawet jeśli nie był to Brahms. Jednak zdaniem babci nie każdy mógł dostąpić zaszczytu zagrania po raz pierwszy na nowym instrumencie. Kiedy wymawiała to swoje „każdy”, Karna rozzłościła się, ale nic nie powiedziała.

Poskarżyła się Annie, ale ona stwierdziła, że to jest koncert babci i jej fortepian.

– Zrobimy to, co każda z nas umie najlepiej. Bardzo, ale to bardzo dobrze śpiewasz – rzekła Anna, chcąc zakończyć dyskusję.

Karna pozaliła się również tatusiowi, ale ten odrzekł tylko, że dobrze postąpiła, nie marudząc więcej babci. Bo o ile ją znał, mogłoby to co najwyżej doprowadzić ją do zmiany decyzji na taką, że Karna nie będzie również śpiewać. – Masz dwanaście lat i jesteś dość duża, żeby rozumieć, że fortepian to dla babci prawie świętość.

– Nie wolno czcić martwych przedmiotów – powiedziała Karna.

– Cicho bądź z tym swoim biblijnym gadaniem – odparł tatuś.

Ale ponieważ byli sami w salonie i nikt tego nie widział, dmuchnął jej w kark tak jak wtedy, gdy była mała. Rozległ się zabawny odgłos i poczuła łaskotki. Musiała się zaśmiać.

Ponieważ codziennie ćwiczyły program, trudno było unikać babci. Ale nie rozmawiała z nią, jeśli nie była do tego zmuszona.

*

A teraz, minionej nocy, śniła, że razem z babcią na ciemnym stryszku w Reinsnes grają sonatę Brahmsa na wiolonczelę i fortepian. Nie było tak ciemno jak zazwyczaj. Światło docierało z każdej strony i głośno szumiało.

We śnie znała wszystkie nuty na pamięć. Po prostu usiadła i grała, a babcia nic nie mówiła. Wtedy pojęła, że tony nie wydobywają się z nowego fortepianu babci, tylko z jej palców. Muzyka wypływała z niej. Należała do niej.

Nie wiedziała, czy babcia to zrozumiała, bo dalej grała na wiolonczeli. Wtedy Karna nagle usłyszała, że nie ma już żadnego dźwięku. Babcia cały czas grała, a z instrumentu nie wydobywał się najmniejszy odgłos!

I kiedy światło huczało tak wokół nich, babcia zniknęła. Została tylko wiolonczela. Smyczek pracowicie poruszał się ponad strunami bez wydawania najłżejszego dźwięku.

Kiedy się obudziła, nie była już w stanie złościć się na babcię.

*

Obok wozu stał postawny mężczyzna w roboczym ubraniu i myślał o czasach sprzed kilku lat, kiedy pracował jako stolarz w hotelu Grand. Potem wykonywał różne zlecenia dla dyrektora banku i dla Olaisena. Ostatnio dla przewodniczącego.

Kilka minut wcześniej zrozumiał coś, nad czym od bardzo dawna się zastanawiał. A nawet więcej – co wydawało mu się niewyjaśnioną tajemnicą.

Pani Dina nie wzięła pod uwagę jego uprzejmie wyrażonych protestów i kazała mu wstawić od zaplecza podwójne drzwi, prowadzące wprost do jadalni. Jego zdaniem nie służyło to niczemu. Nikt nie wchodził do środka od kuchni i nikt nie mógłby zobaczyć tych eleganckich drzwi od strony ulicy. Poza tym zimą narażałyby budynek na przeciągi.

– To trzeba będzie więcej palić – powiedziała, upierając się przy swoim. A on pomyślał sobie, że wyraża się tak nonszalancko o trudach zimy, bo zapomniała, że nie przebywa już w wielkiej zagranicy. Gdzie nie było zimy i mrozu, a kwiaty kwitły przez cały rok.

– Dobrze, ale wspomni pani moje słowa, że będzie zimno! – powiedział wówczas.

Ale kiedy fortepian zwisał, dyndając pomiędzy szarym niebem a brzydkim wozem z kuźni Olaisena, stolarz pojął niezwykłą doniosłość tego mebla. Od kilku lat miał swoje ukryte, tajemne podwójne drzwi, oczekujące na zapleczu hotelu. Tylko dla tego jednego transportu! No właśnie, bo przecież raczej nie będzie stąd kiedykolwiek wynoszony?

Już cieszył się na możliwość poinformowania wszystkich o tej osobliwej decyzji pani Diny, żeby wstawić niewidoczne dla nikogo drzwi wyłącznie dla instrumentu!

Inna kobieta nie miałaby dość pomysłu, żeby przewidzieć takie rzeczy, zorientowałyby się dopiero, kiedy ludzie stanęliby z tą potwornych rozmiarów skrzynią pod drzwiami, przez które nie daliby rady przejść, i trzeba byłoby zburzyć ścianę. I wpadła na to

już sporo lat wcześniej. To nieprawdopodobne!

Jej portfel zasługiwał na jeszcze większy szacunek. Bo jak to możliwe, że na tyle było ją stać? Reinsnes nie było już zanadto zamożne. Świeciło pustkami. Jako ostatni wyprowadził się młody doktor i jego żona. Byłoby ziarno prawdy w ludzkim gadaniu, że ona, kobieta, kupowała gdzieś za granicą domy, drewno i cegły? Nie będąc na miejscu? Czy może, jak powiadali inni, sprzedała dom i ulokowała wszystko w papierach wartościowych? Dla stolarza stanowiło zagadkę, w jaki sposób ludzie mogli przetrzymać swój majątek w papierach, i zupełnie nie dowierzał tym ostatnim.

A może brała na kredyt, starając się sprawiać na nich wrażenie bogatej? Ależ nie, to nie mogło być prawdą. Każdy, kto wręczył jej rachunek, dostawał zapłatę. Nie można też było powiedzieć, żeby była skąpa.

Ale przeprowadzała coś, co nazywała negocjacjami, a co dla stolarza było po prostu zwykłym dogadywaniem się. Polegało to na tym, że jeśli on zrobi to i tamto w taki sposób za określoną kwotę, to dostanie do roboty jeszcze tamto i owo za kolejną sumę.

Kiedy dla niej pracował, na początku wszystkie jej plany i rozmaite propozycje zapłaty przyprawiały go o okropny ból głowy. Aż do chwili gdy doszedł do wniosku, że najlepiej będzie udawać, iż rozumie z tych rachunków znacznie więcej, niż rozumiał w rzeczywistości.

Oczywiście na początku przeliczał to wszystko na kawałku szarego papieru, w żaden sposób nie będąc w stanie ustalić, czy próbuje go oszukać. Ale miał w tej kwestii na tyle silne podejrzenia, że w końcu musiał zapytać ją o różne sprawy.

Poprosiła go o przyście do swojego biura za hotelowym kontuarem. Położyła między nimi czystą kartkę papieru, rysowała

i wyjaśniała. Przy użyciu cyfr i nawiasów, plusów i minusów. Od czasu do czasu spoglądała na niego, pytając:

– Rozumiesz?

O, tak, oczywiście, że rozumiał! Ale co, gdyby nie wykonał dla niej wszystkich prac, których oczekiwała. Gdyby nie dał rady...

Wtedy zapłata będzie mniejsza, bo będzie musiała dodatkowo zatrudnić innego stolarza. Może z Tjeldsund albo aż z Tromsø. Może nawet ten stolarz wykona całą pracę i w ten sposób on stanie się zbędny i nie dostanie żadnej roboty.

Poddał się, ale chciał wiedzieć, dlaczego miał dostać większą płacę za prace końcowe niż za to, co robił na początku.

– Każdy wie, że robotę łatwiej jest zacząć niż skończyć. Mamy wyznaczony dzień oddania budowy – rzekła, zakreślając czerwonym ołówkiem datę zanotowaną na kartce.

– Rozumiesz?

W końcu przyjął jej warunki. Ale tak bardzo się bał, że ktoś się dowie, iż jakaś baba być może go oszukała, że nikomu nie wspomniał o swoich wątpliwościach. Przeciwnie, stał teraz tutaj na pomoście i wychwalał roztropność pani Diny. Jej niezrównaną zdolność przewidzenia, jak wnieść tak ogromną skrzynię do pokoju, w którym nigdy wcześniej nie zagościł taki wielki mebel. I to na rok przed tym, zanim została spuszczone z parowca na ląd!

Opowiadał również, że praca w hotelu Grand to był błogosławiony czas. Każdy dzień był inny. I to, że sama przychodziła doglądać prac i poczynionych postępów, że pytała i interesowała się oraz okazywała zadowolenie. Za sprawą tego czuł się jak stolarz królowej Saby!

Że miała również piekarnię, rozsiewającą zapachy aż po pokoje w mansardzie, że przychodziła dziewczyna w błyszczącej jedwabnej

sukni i nalewała mu kawy z dzbanka w błękitne kwiatki oraz podawała na niewielkiej paterze świeżo upieczone ciasteczka maślane, tego mógł już nigdy ponownie w życiu nie zaznać.

Bo czyż takie ciastko nie kosztowało całkiem sporo u piekarza? A czy odliczała mu je od pensji? Ależ skąd! Przeciwnie, zupełnie przypadkiem miał przy sobie papierową torebkę, do której wkładał zawsze kilka ciasteczek. Tylko tyle, żeby dzieciaki miały nieco przyjemności z ustawiania się w kolejce do jego torby, kiedy wracał do domu.

W tym czasie dobrze spał w nocy. Prawdę mówiąc, nigdy lepiej nie sypiał przez całe swoje życie. Pogwizdywał, chociaż z natury był małomówny. I nigdy w takim stopniu nie wierzył w swoje doskonałe umiejętności stolarskie, jak w czasie, gdy pracował w hotelu Grand. Czyż zarówno wielebny, jak i przewodniczący okręgu nie przyznali, że został wynajęty do budowy nowej szkoły dzięki rekomendacji pani Diny?

Czyż ona sama tego nie powiedziała? Że jest niezwykle zręczny i dokładny. Że tak doskonale potrafi dopasować złącza w listwowaniu, iż wyglądają, jakby były wycięte z jednego kawałka drewna. Gdyby miał być szczery, to miała rację.

I w chwili poczucia chwały powziął postanowienie, że włoży porządną koszulę z kołnierzykiem i wybierze się na ten wielki koncert inauguracyjny. Ten, który ogłaszała na rozwieszonych wszędzie afiszach.

Jeśli z powodu liczby ludzi uzna, że nie ma co się wpychać, zawsze będzie mógł stanąć gdzieś przy drzwiach. Zamierzał pozwolić sobie na przyjemność posłuchania występu muzycznego pani Diny i żony doktora.

Nie żeby sobie wyobrażał, że ma o tym jakieś pojęcie, o nie! Tylko

dlatego, że wstawił tu drzwi, które zadziałały zgodnie z oczekiwaniami. Wpuściły fortepian z Hamburga.

Sprawa nie przedstawiała się tak łatwo, żeby wystarczyło ot tak, po prostu, wypakować instrument i ruszyć do grania. O nie. Trzeba go było nastroić. Koncert musiał zatem zostać przełożony do czasu przybycia stroiciela z Trondhjem.

To, że pani Dina nie chciała sama wykonać strojenia, było tylko dowodem lenistwa, tak uważała wdowa po człowieku, który był właścicielem hotelu przed piekarzem. Robiła to wyłącznie dlatego, że chciała im pokazać, że może się wykosztować na wynajęcie poważnego pracownika. I to takiego, który musiał przez kilka dni jechać, żeby wykonać drobną dłubaninę, którą równie dobrze mógłby zrobić szydełkiem kto bądź. To dopiero wielkopańskie podejście!

Żona kierownika stacji pocztowej podzieliła się informacją, że do pianina w Reinsnes też wzywano stroicieli z Trondhjem. Ale wątpiący potrząsali głowami. To, co opowiadano o czasach wielkości Reinsnes, w obecnych brzmiało nieomal śmiesznie. Jak jakaś bajka i gruba przesada. A teraz, po śmierci Andersa i wyjeździe Tomasza i Stine do Ameryki, w Reinsnes na pewno się nie poprawiło? Czy to było w siedemdziesiątym dziewiątym? W tym samym roku, kiedy ukończono budowę stoczni?

Benjamin Grøneltv nie mógł przecież pozwolić, żeby żona i ten dziwny dzieciak marnieli w opustoszałym Reinsnes, kiedy on sam siedział na posadzie lekarza okręgowego w Strandstedet. Tyle chyba każdy rozumiał.

*

Olaisen utrzymywał, że to właśnie do Strandstedet wszyscy obecnie przyjeżdżali. Przybyło nawet dwóch Rosjan i jeden człowiek

z Finlandii. Nie licząc wszystkich młodych mężczyzn z rejonu Vestlandet i Helgelandu. Trzeba też było wziąć pod uwagę dziewczyny ze Steigen i Lofotów. Ludzie napływali również z głębi kraju. Wszystkie zaplecza i izby dostępne w domach były pełne.

Nowe czasy przyniosły ze sobą nowe drogi oraz możliwości, mówił Olaisen. Mieszkańcy dolin, przybywający z całym swoim dobytkiem, opuszczający ziemie położone od północnej strony i przy przesmyku, również powinni być wzięci pod uwagę. Kupowali buty i mąkę w Strandstedet tak jak inni ludzie. Reinsnes było dla umarłych. Niedługo nie będzie tam innych istot niż myszy i mrówki.

Ale zdaniem kierownika banku interes w hotelu Grand szedł dobrze. Pani Dina ulokowała ostatnio sporą sumę pieniędzy w banku Sparebank w Strandstedet. Ile? No nie, w takich sprawach bardzo dbał o dyskrecję!

Jednak radca mógł ich poinformować, że doktor Grønelv na pewno przyjął od swojej matki pomoc przy finansowaniu remontu domu po starym doktorze. Radca nie zamierzał o tym mówić nikomu oprócz redaktora gazety, ale jakoś ta sprawa i tak wyszła na jaw.

*

Gromadzili się. Wysocy i niscy, młodzi i starzy. Ludzie wyższego stanu i wszyscy pozostali. Na słupach i ścianach rozwieszono afisze. Serdecznie zapraszamy każdego! Za darmo!

W Strandstedet nie spraszano na swoje salony byle kogo. To miejsce zaistniało dlatego, że ktoś miał coś do sprzedania. Tak rozdmuchano te kwestie, że ludzie myśleli, iż głównie o to chodzi. Kupno i sprzedaż. To, czym poza tym zajmowała się biedota, żeby zarobić na swoje utrzymanie, było koniec końców nieistotne. Niech

cieszą się tym, co jest.

Ludzie siedzieli na krzesłach i stali wzdłuż ścian. Wszystkie okna były otwarte, bo taka masa ludzka dawała efekt kilku kaflowych pieców. Lekkie, białe firanki wpływały do środka niczym żagle.

Na wskazanym miejscu z samego przodu koło Olaisena siedziała Sara. Słyszała, jak mówił Annie i Dinie, że Hanna niestety zachorowała. I w pewnym sensie była to prawda. Nie chciała o tym myśleć w tym momencie.

Jej wzrok spoczywał na ogromnym, mieniącym się różnymi odcieniami brązu instrumencie w rogu salonu. Otworzyli go. Stał teraz, ukazując wszystkie swoje tajemne wnętrzości.

Elegancka, mała podpórka przytrzymywała wieko. Wyglądało, jakby w każdej chwili mogło opaść na dłonie albo szyję osoby stojącej w pobliżu. Na krześle niemal schowanym za palmą siedziała Anna ubrana w błękitną suknię z aksamitu. To ona miała zainaugurować koncert fortepianowy.

Sara myślała o tych wszystkich razach, kiedy trochę grała na pianinie w Reinsnes. Ale nigdy nie udało jej się poćwiczyć do woli. Zawsze coś stanęło na przeszkodzie. Kiedy w domu nastąpiła Anna, pojęła, że nigdy nie będzie umiała tak grać. Więc przestała.

Teraz nie miała wiele czasu na cokolwiek poza dbaniem o Hannę i dwóch małych chłopców. Nie narzekała, bo też niczego jej nie brakowało. I cieszyła się, że nie jest Hanną. Wiele razy myślała, żeby napisać do Ameryki i powiedzieć, jak się sprawy mają. Ale nie chciała przysparzać im trosk. Bo teraz mieli już ziemię i dobrych sąsiadów.

*

Przybył pastor z rodziną i wszyscy usadowili się w pierwszym

rzędzie. Z uśmiechem skinęli głowami w stronę Anny. Odwzajemniła gest, nie zmieniając wyrazu twarzy. Mocno przyciskała do siebie nuty.

Wielebny lubił tę łagodną żonę doktora, która potrafiła ni stąd, ni zowąd usadzić każdego na miejscu. I trudno byłoby zapomnieć jej pisma ze skargami wymagającymi odpowiedzi.

Pastor miał pewne problemy z uświadomieniem komisji szkolnej, że to ona, a nie Fin, który częściej dzielił się kuksańcami niż wiedzą, powinna nauczać w nowej szkole.

Najlepszą stroną Anny Grøneltv było jednak to, że śpiewała w kościele, jeśli ją poprosił. Kiedy stał na podeście dla chóru i widział ją wysoko w górze, stojącą obok organów, zdawała mu się drogocennym instrumentem, wręcz żywym obrazem kościelnym.

Ze względu na przyzwoitość parafianie musieli siedzieć zwróceniem do niej plecami, więc tylko on ją widział.

Niekiedy, szczególnie gdy śpiewała Pettera Dassa, unosiła ręce w sposób, który przywodził mu na myśl świętego Ambrożego. Łagodny autorytet, szlachetność.

Zauważył, że w te niedziele, kiedy zapraszał Annę, ludzie słuchali w inny sposób, niż gdy wygłaszał kazanie. Jakby swoją pieśnią zapewniała stadku zagubionych owiec poczucie spokoju, bardziej otwartą duszę, również na Słowo. Pastor z chęcią przyszedł posłuchać jej gry na instrumencie w hotelu Grand, lecz jej właściwym powołaniem była muzyka tworzona z myślą o wyższych celach. Kiedy śpiewała w kamiennym kościele, czyniła to na chwałę Boga – i pastora.

*

Przy samej ścianie siedziała osoba, która znała doktora Grøneltva z lat niewinnej młodości. Nie przyszła tutaj słuchać muzyki, tylko

go zobaczyć. Zachowała to jednak dla siebie. Nie chodzi o to, żeby nie poważała swego męża, niech Bóg broni! Ale przecież przyjście tu i popatrzenie na człowieka siedzącego i słuchającego z przymkniętymi oczami muzyki nie mogło być czymś bardzo złym.

Zawsze chodziła posłuchać gry Diny lub żony doktora, bo wtedy często był tam i on. A jeśli przez chwilę zwlekała z wyjściem po koncercie, zazwyczaj witał się z nią i pytał o bliźnięta, które przyjął na świat.

To przyglądanie się od czasu do czasu tym ciemnym firankom rzęs sprawiało jej taką przyjemność. Długie i wywinięte, rzucające cień na policzki. Patrzyła na jego ciemne włosy na karku i na ramiona. Łukowaty profil nosa i wyniosły podbródek. I kąciaki ust, które zawsze unosiły się w górę. Lekko wysuniętą do przodu dolną wargę. Zagłębienie w policzku. Zupełnie jakby Najwyższy zaplanował tam dołek, ale zapomniał o nim w połowie dzieła.

Poczuła dziwną radość. A może to jednak był smutek? Właśnie przeczesał dłonią włosy. Bezradny gest. Tak jakby wiedział.

*

Radca siedzący obok swojej żony w drugim rzędzie myślał raczej o beznadziejnej, głupiej dobroci doktora. W towarzystwie w chwilach rozochoceń zdarzało się, że śmiał się z lekką kpina i utrzymywał, iż doktor koniec końców będzie musiał płacić za przywilej leczenia ludzi.

Ale cóż, pewnie mając taką zamożną matkę, mógł sobie pozwolić na bycie samarytaninem.

Jego żona nie lubiła takiego gadania, więc w obecności pań tego nie mówił.

Radca zwrócił uwagę, że doktor ma nowy garnitur, który nosi z beztroską oczywistością. Odrobinę go to irytowało.

Kilku mężczyzn stało przy otwartych drzwiach, paląc fajki. Kościelny opowiadał redaktorowi, że doktor stawiał się w zarządzie okręgu na komisji socjalnej i wyjaśniał, że potrzebuje więcej środków.

Redaktor odszepnął, że z doktora najwyraźniej jest materiał na polityka. Może miał również poparcie właściwych ludzi? Na przykład pani Diny? On sam raczej nie był z tych, co rozpychają się łokciami. Ale nie zawsze działało się tak, że ci, którzy mienili się przywódcami, faktycznie się nimi okazywali. Kościelny przytaknął. Obawiał się jednak, że Olaisen uznawał za oczywistość, iż przejmie schedę po starym przewodniczącym.

Redaktor zdawał sobie z tego sprawę, ale odparł, że zdania w tej kwestii są chyba podzielone. Kościelny tak się zaperzył, że zaczął twierdzić, iż niejeden nie może znieść Olaisena. Był za bardzo impulsywny i nie tolerował sprzeciwu. Poza tym miał po prostu za dużą władzę. Człowiek ryzykował, że wszystko podporządkuje własnym korzyściom.

O tym redaktor nagle nie pragnął się wypowiadać. Kościelny powinien pamiętać, kto go zatrudnił.

– Właśnie! – szepnął dosyć głośno kościelny.

Ożywił się i stwierdził, że córka profesora z Kopenhagi byłaby lepszą żoną przewodniczącego niż ta wiecznie grzebiąca w ogrodzie, ciągle brzemienna Hanna Olaisen.

Ale redaktor takich rzeczy nie komentował. Musiały istnieć jakieś granice. Jednak wszystko zostało zasłyszane i zrozumiane po swojemu przez stojących w pobliżu. I już tego samego wieczoru zaczęła krążyć wieść, że doktor Grøneltv wkrótce zostanie przewodniczącym.

*

Kierownik banku siedział dyskretnie na uboczu. Przyszedł sam, gdyż jego żona była przewlekłe chora. Był panem około sześćdziesiątki, interesującym się nie tylko wkładami bankowymi.

Tego wieczoru zwrócił uwagę, że pani Dina nosiła czarną suknię z matowego jedwabiu. Kiedy się poruszała, pojawiały się interesujące cienie i kształty. Dekolt miała tak głęboki, że trudno było oderwać od niego oczy. Nawet tym, którzy czuli się zgorszeni, pomyślał. Stanik sukni był dosyć obcisły. Mógł dostrzec, że nie nosi gorsetu. Wydawało się to nieco frywolne, ale w sumie czemu nie? Poza tym suknia nie miała żadnych koronek ani ozdób.

Mogła była natomiast zrezygnować z opasek na rękawy. Zapewne pożyczyła je od doktora, żeby utrzymać szerokie rękawy sukni z dala od strun wiolonczeli.

Długie, ciemne włosy, wyraźnie przetykane srebrem miała luźno upięte klamrą, która przywodziła mu na myśl skorupę żółwia. Jedwabne matowe pończochy jaśniały spod brzegu spódnicy.

Kierownik banku spokojnie przyglądał się kształtom pod głębokim dekoltem. Kiedy zakładał nogę na nogę, dyskretnie podciągnął nogawkę spodni, żeby nieco zmniejszyć nacisk, myśląc jednocześnie o poprzednim domowym koncercie. Czekał na chwilę, w której pani Dina ostatecznie usadowi się przy wiolonczeli, pochyli się – i odda muzyce.

*

Młodszy brat Wilfreda Olaisena, Peder, stał przy drzwiach i nie do końca wiedział, czy ma wyjść, czy wejść. Ale w końcu nadeszła służąca, chcąc zamknąć drzwi, więc uznał, że jednak wejdzie.

Nie miał do kogo się odezwać ani z kim usiąść, ale do tego był przyzwyczajony. Jako że nie uważał, żeby miał jakiegokolwiek pojęcie o pogodzie, nie miał nigdy nic do powiedzenia. W zasadzie tak było

już od czasu, kiedy wczesnym latem powrócił z Trondhjem. Tam na koszt swojego brata zdał egzamin kończący gimnazjum.

Zwrócił uwagę na córkę doktora z jej miedzianymi, kręconymi włosami. Siedziała za palmą razem z panią doktorową. Dzisiaj włosy miała zaczesane do tyłu i przytrzymane opaską.

Powiadano, że jest trochę dziwna i że zniecka upada cała w drgawkach. A poza tym chodzi wszędzie z czarną Biblią w torbie, żeby się wyleczyć. Dzisiaj miała na sobie długą, białą sukienkę z muślinu i wyglądała na rozgniewaną. A może po prostu zawsze taka była.

W tym momencie pani Dina wyszła na środek i powitała wszystkich na uroczystym koncercie z okazji przybycia nowego fortepianu. Opowiedziała o morskiej podróży, jaką musiał odbyć. O podróży, która w swoim czasie była również i jej udziałem. Potem mówiła o synach Henry'ego E. Steinwaya, którzy przyjechali z Ameryki do Hamburga, żeby konstruować fortepiany.

To dopiero musi być miejsce, ten Hamburg!, pomyślał Peder Olaisen. Na pewno budują tam również łodzie.

Ci, którzy wcześniej nie byli w hotelu Grand ani nie słyszeli jej przemawiającej, uświadomili sobie, iż nie mieli pojęcia, że pani Dina potrafi bez żadnej przerwy wypowiedzieć tyle słów. Miała w sobie coś, co zniechęcało do poufałości.

*

Było coś przerażającego w kobiecie, która wszystko porzuciła i – można tak powiedzieć – zniknęła gdzieś w szerokim świecie. Żeby potem bez żadnych oporów wrócić i kupić sobie hotel oraz połowę udziałów w stoczni.

To, że redaktor, kierownik banku i pastor wydawali się być z nią bliżej niż ich żony, nie poprawiało sprawy.

Radca siedział wygodnie i domyślał się, że to wszystko było ekscytująco dziwne dla pospólstwa, na pograniczu niemoralności dla ogółu i prawie podejrzane dla lepiej sytuowanych. Bawiło go to. Dopiero od roku mieszkał w tym miejscu, ale teraz miał zamiar w końcu zacząć obracać się w stosownym towarzystwie.

W tym momencie Anna Grøneltv podeszła do fortepianu, usiadła i obydwoma dłońmi zebrała wokół siebie spódnice. Następnie otworzyła nuty i powiedziała, że zagra noweletę Roberta Schumanna, opus 21, numer 1. Potem przechyliła głowę do tyłu z dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy.

*

Stolarz poczuł, że dławi go w gardle coś, czego nie był w stanie się pozbyć. Miał uczucie, że delikatna żona doktora zajmuje się wypędzaniem złych duchów. Żeby potem je pocieszyć drobniutkimi, cichymi dźwiękami. Jakby tylko szeptem, przecuciem tonu. Jakby anioł grał na swojej harfie wysoko w niebiosach. Tylko dla wybranych.

A potem, w następnej chwili, ta wściekłość. Jakim cudem miała w ciele tyle mocy? Zupełnie jakby pracowała przy wznoszeniu stropów albo w kamieniołomie. I te nagłe zatrzymania. Ciało sztywniało, a tony żyły własnym życiem, odbijając się od ścian. Jak mały dzwonek albo echo z zaświatów?

Ale nagle, kiedy już czuł się zbawiony, szybko, jakby chodziło o życie, przebiegła po wszystkich tych białych i czarnych klockach jednocześnie.

Palce poruszały się tak szybko, ciało jej drżało, włosy opadły na czoło. Błękitna postać kuliła się i prostowała! Plecy zginały się w pałąk, jakby czekała na cios, żeby w następnej chwili wyprostować się aż po czubek głowy. Jak triumfująca fala.

Skąd pochodziła ta siła? Przecież nie z tej drobnej pani z Kopenhagi? I czym zmuszała ich, żeby w tym być, tkwić, zagłębić się? Zabrała ich do wnętrza, a potem wypchnęła i dryfowali teraz jak kawałki drewna po rozszalałym morzu.

Stolarz zdusił chrząknięcie w czapce, którą pospiesznie przytknął sobie do twarzy. Nic nie mógł poradzić na to, że coś utkwilo mu w gardle. Starał się stłumić odgłosy, aż łzy popłynęły mu po twarzy.

*

Kiedy ostatnie tony zamarły, zapadła nieznośna cisza. Nikt nie miał odwagi się poruszyć. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby klaskać. Dopiero wtedy, gdy Dina zaczęła uderzać dłonią w dłoń. Spokojnie, ale z mocą.

Wszyscy zrozumieli. Ludzie odłożyli, co kto tylko miał w rękach, i z radością zaczęli oklaskiwać występ. Klaskanie udzieliło się nawet porcelanie w kredensie i karafkom w barku.

Anna podniosła się i z opuszczonymi rękami głęboko skłoniła. Kilkakrotnie. Ale owacje nie ustawały. Nikt nie chciał być tym, który pierwszy skończy, chociaż pani Dina już dawno przestała klaskać.

W końcu powstała z uśmiechem i oświadczyła, że koncert w żadnym wypadku jeszcze się nie zakończył, bo teraz Karna zaśpiewa do akompaniamentu Anny.

*

Peder Olaisen patrzył na dziewczynę, która stanęła obok fortepianu z dłońmi złożonymi na brzuchu. Rozstawiła szerzej nogi, a żona doktora ogłosiła, że zagrają i zaśpiewają teraz *Der blinde Knabe* oraz *Die Forelle* Schuberta. Powiedziała również, kto napisał tekst, ale tego nie udało mu się zapamiętać. Bo Peder widział

wyłącznie postać koło fortepianu. Wetknął rękę w kieszenie i oparł się o ścianę. Dzięki temu stał mocno na nogach.

Była tylko dziewczynką. Ledwo mógł dostrzec dwa małe pączki pod stanikiem sukienki. A mimo to wydawała się prawie staroświecka.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy lubi śpiew. A ze słów nie rozumiał wiele, chociaż wkuwał kiedyś lekcje zadane z niemieckiego. Jednak ta blada, rozgniewana twarz otoczona burzą miedzianych loków była najdziwniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział.

Głos płynął tak miękko, niemal jak śmiech, i zupełnie nie współgrał z poważną twarzą.

Peder poczuł niejasny ucisk w piersi. Ucisk narastał, kiedy tak wpatrywał się w nią, przełykając ślinę. Przez cały czas patrzył i przełykał.

Kiedy ponownie rozległy się gwałtowne oklaski, nie był w stanie odnaleźć sam siebie.

*

Pani Dina usiadła, trzymając wiolonczelę pomiędzy kolanami, i ogłosiła, że ona i Anna będą teraz grały sonatę Brahmsa na wiolonczelę i fortepian, pierwszą i trzecią część. A między częściami nie należy klaskać.

Kiedy to mówiła, również ci, którzy jeszcze nie pojęli tego wcześniej, teraz zrozumieli, że słuchanie muzyki z fortepianu i wiolonczeli to nie to samo, co przysłuchiwanie się katarzyniarzowi albo wędrownym grajkom.

Człowiek musiał dostosować się do pewnych zasad. Istniały reguły, według których należało postępować. Nie można było tak po prostu, w dowolnym momencie, wyrażać swojego entuzjazmu. Ani

uwielbienia, jak robili to neofici, kiedy kaznodzieja powiedział amen. Trzeba było poczekać, aż zakończy się określony kawałek.

Jak długo miał trwać, to stanowiło zagadkę. Należało więc wstrzymać oddech i poczekać, aż ktoś bardziej obeznany zaklaska, żeby potem z wielką ulgą przyłączyć się do aplauzu.

Ale nawet ci, którzy poświęcali większość energii na robienie właściwych rzeczy we właściwym czasie, wyczuwali ten żarliwy nastrój, który pojawiał się wraz z pierwszym wybitym tonem.

Pani Dina pochyliła się nad wiolonczelą, a kąciki ust odrobinę jej opadły, jakby była bykiem, który z opuszczoną głową zamierza ruszyć w ich stronę do ataku.

Potem dołączył fortepian i instrumenty zaczęły przeplatać się nawzajem z czymś w rodzaju spokojnej równowagi. Jak oczyszczenie po wielkim smutku. Od pierwszego muśnięcia strun smyczkiem zostali porwani przez głębokie, wewnętrzne skupienie Diny. Przez jej ciało, falujące w rytm muzyki. Smyczek jak przedłużenie ramienia. Jak gałąź drzewa. Albo jakby była w niewoli własnej ręki. Skazana na groźne, ciemne tony wydobywające się z odmętów wiolonczeli.

I znów ten rytm, jakby zrodzony w jej własnym brzuchu. Uderzenia kapryśnej mocy. A sama moc zdawała się niewidzialna, bezimienna.

*

Żona pastora odczuwała głęboki, autentyczny podziw. Że Anna Grøneltv, siedząca za tym ogromnym instrumentem, była w stanie nadać za wiolonczelą, pozornie zupełnie bez kontaktu wzrokowego z panią Diną. Że podtrzymywała w nich wszystkich odwagę, pozwalając jaśniejszym tonom komentować wszystkie te melancholijne i mroczne.

Powstała w jej głowie myśl, że ma to coś wspólnego z ludźmi i z życiem. W którym wszystkie nastroje i codzienne wydarzenia przeplatają się ze sobą.

W taki sam sposób, jak jej mąż, który prawie nigdy nie mówił złego słowa, potrafił nagle wybuchnąć wściekłością w najmniej spodziewanym momencie, tak jak dziś rano, tak samo grzmiała wiolonczela. Grzmiała i dudniła. A potem, mając już dość mrocznej tyranii wiolonczeli, wkroczył fortepian ze swoim protestem. I wściekłość złagodniała w melodyjnym wyzwoleniu, w dialogu.

Słuchając tak, zrozumiała, że małżonek nie ma złych intencji, okazując jej złość z powodu czegoś, na co ona w zasadzie nic nie może poradzić. I pojęła jeszcze coś. Że ona, tak jak dziś rano, miała prawo się bronić.

Bóg również i ją obdarzył głosem. Nie powinna robić sobie wyrzutów z tego powodu, że traci cierpliwość, gdy jej mąż zachowuje się nierozsądnie.

Przeciwnie. Ona była tym instrumentem, który Bóg postawił u jego boku, żeby dopowiadała co trzeba i prowadziła. Dlatego również i ona miała prawo do bycia wysłuchaną. Dokładnie tak, jak głos fortepianu.

Kiedy zakończyły utworem *Minnelied* Brahmsa, żona pastora poczuła, że wcześniejsze nieporozumienie z tego dnia stało się niebyłe, że jakby skryło się z powrotem w ich ciałach. Że wędruje z krwią prosto do serca. Potem nadeszło oczyszczenie i wybaczenie. Którego długo pragnęła i nie przyszło jej do głowy, że może kogoś o to poprosić.

Rozdział drugi

Dom doktora był pomalowany na biało i miał zielone framugi. Stał nieco na uboczu w otoczeniu czterech małych jarzębin pośrodku wzgórza. Miał troje drzwi zewnętrznych, o jedno więcej niż w Reinsnes. To dlatego, że gabinet tatusia na parterze miał osobne wejście. Poza tym, zdaniem Karny, dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Bo w ogóle nie przypominał Reinsnes.

Ze swojego pokoju na piętrze mogła popatrzeć na morze. Ale musiała w tym celu prześlizgnąć się wzrokiem przez pola pokryte śniegiem albo porośnięte szczawiem, trzy rozpadające się stodoły, dwa niskie, szare domy odarte z desek i kilka szpetnych spichrzów.

Tutejsze plaże były takie opustoszałe. Kamieniste i pokryte brunatnymi masami cuchnących wodorostów. Prawie pozbawione białego piasku. Na początku to ją gniewało. Więc przestała chodzić nad wodę. Teraz mieszkała tu już cztery lata i niemal zapomniała, że gdzieś istnieją białe plaże.

Pamiętała każdą wyprawę do Reinsnes. Ciągle płakała, kiedy tam dopływali i kiedy odjeżdżali. Tatuś i Anna przestali ją już pocieszać. Czekali po prostu, aż jej przejdzie, i dopiero wtedy się do niej odzywali.

Kiedy zobaczyła Reinsnes pierwszy raz od czasu przeprowadzki,

dostała tak ciężkiego napadu, że nawet nie pamiętała potem, że została zniesiona na łód i zabrana do domu. A kiedy się obudziła, nie rozpoznała ich.

Dopiero późnym wieczorem zdała sobie sprawę z obecności Anny. Siedziała przy jej łóżku i mówiła, że to wszystko jej wina. Że razem z Karną chce przeprowadzić się z powrotem do Reinsnes. Ale obie wiedziały przecież, że to niemożliwe.

Następnego dnia tatuś na osobności wziął ją na kolana i powiedział, że powinna przestać reagować tak ciężkimi napadami.

– Spożytkuj lepiej siły na przyzwyczajenie się do mieszkania w Strandstedet. Bo to postanowione!

– Tylko do mnie mówisz w taki okropny sposób. Nigdy do innych chorych! – odparła wtedy.

– Nie jesteś chora! Po prostu marnujesz energię na rzeczy, z którymi nic nie da się zrobić!

– Czyli już nawet nie wolno mi upaść? – krzyknęła w odpowiedzi.

– Możesz chyba spróbować temu zapobiec! – powiedział tatuś.

– Nie sądziłam, że możesz być taki głupi! – płakała i zagroziła, że następnym razem oddali się gdzieś, zanim upadnie, tak żeby nigdy jej nie znaleźli.

Wtedy Anna złapała tatusia za ramię. Trzymała je tak, aż palce jej całkiem zbiały.

– W moich oczach głupi mężczyźni są gorsi od dziewczynek, które upadają! – stwierdziła.

*

Kiedy sądzili, że już śpi, usłyszała przez otwarte drzwi salonu, jak o tym rozmawiają. Anna ciągle jeszcze była zła na tatusia i nazywała go niemądrym.

– Muszę próbować wszystkiego! Pomyśl tylko, może udałoby mi

się skłonić ją do zmobilizowania wszystkich sił? Żeby sama zapobiegała napadom.

– Przecież to niemożliwe – rzekła Anna.

– To wszystko dzieje się w mózgu. Więc czemu nie?

– Ale nie możesz jej czymś takim obciążać.

– Więc jak mam to zrobić?

Wtedy usłyszała śmiech Anny. A później tatusia. Zatem nie pokłócili się z jej powodu.

Potem zastanawiała się nad tym wszystkim. Że tatuś uważa, iż ma to coś wspólnego z siłami. Siłami Karny. Gdyby sądził, tak jak profesor, że ma defekt w głowie, to nie powiedziałby czegoś takiego.

Stine powiedziała, że ma mieć przy sobie Biblię, a tatuś mówił o siłach. Poczula się tym wszystkim zmęczona. Dlaczego nie była taka jak wszyscy inni ludzie, którzy kręcili się wokół niej i nigdy nie upadali?

*

Chociaż była wtedy mała, pamiętała doskonale, że to zaczęło się przy przeprowadzce. Zaczynał boleć ją brzuch za każdym razem, kiedy ktoś wymawiał słowo Strandstedet.

To tam wyjeżdżał tatuś, kiedy je opuszczał. A kiedy ruszał w drogę, twarz Anny szarzała. To tam babcia miała tyle roboty, że tylko z rzadka przyjeżdżała ich odwiedzić. To tam zabierała ją ze sobą Anna, kiedy miała lekcje w szkole.

Przed przeprowadzką nikogo tam nie poznała, bo dzieciaki chodziły tylko wokół niej w oczekiwaniu, że upadnie i będą mogły na to popatrzeć.

Kiedy Anna była przy nich, rozmawiali z nią. Lecz gdy zostawała z nimi sama, tylko się gapili. Być może było po niej widać, że ma defekt w głowie.

Pocieszała się, myśląc sobie o Strandstedet jak najgorsze rzeczy. Że napotkani ludzie wyglądają ponuro. Że tylko nieliczne domy są pomalowane. Że dzieciaki chodzą zasmarkane. Że drogi są tak błotniste, iż podczas deszczu trzeba skakać po kamieniach. Że nikt ze znanych jej ludzi, pominąwszy pastora, nie ma oszklonej witryny z książkami. I wiele innych rzeczy, które przypominała sobie w razie potrzeby, ale potem ulatywały jej z pamięci.

*

Przeprowadzka w zasadzie rozpoczęła się pewnego dnia po świętach, kiedy tatuś musiał wziąć niespodziewany dyżur. Anna strasznie się rozzłościła. Nie była nieszczęśliwa ani poszarzała na twarzy. Tylko cała czerwona wyrzucała z siebie mnóstwo słów. W końcu zaczęła głośno krzyczeć, chodząc tam i z powrotem obok pianina.

– Poradzą sobie bez ciebie! Słyszysz?

– Nie, nie poradzą sobie! – odrzekł cicho tatuś i skinął głową na Bergljot, prosząc, żeby opuściła salon.

– Karno, bądź tak dobra i przynieś mi „Miesięcznik Medycyny Praktycznej”. Zabiorę go ze sobą. Leży na moim nocnym stoliku.

Anna zrobiła się z powrotem malutka.

Karna postanowiła, że stanie po stronie Anny, chociaż wiedziała, że tatuś ma rację.

– Nie, nie przyniosę! – odparła.

Tatuś wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem przesunął dłonią po włosach i zwrócił się do Anny.

– Buntujesz dziecko!

Głos miał zupełnie zimny. Jakby Anna była kimś najgorszym na świecie.

– Masz tak nie mówić do Anny! – krzyknęła, czując, jak wzbiera

w niej bunt.

Tatuś podszedł i chwycił ją za kark niczym szczeniaka.

– Siadaj! – polecił, jakby mówił do psa.

Potem sam również usiadł.

– Anno! Karno! Na Boga! Bądźmy przyjaciółmi! Inaczej nie podołam temu życiu.

Wtedy Anna zaczęła płakać.

– Wybacz mi! – zawołała i wybiegła z salonu.

Chwilę później wróciła z czasopiśmie tatusia i włożyła je do jego teczki. Już nie płakała.

W czasie gdy Anny nie było w salonie, tatuś nie spojrzał ani razu na Karnę.

Krótko potem zniknął, a ona nie odprowadziła go na przystań.

Ale po tym dniu zapadła decyzja, że przeprowadzą się do Strandstedet.

Przed przeprowadzką myślała często, że to wina babci. Ale wiedziała przecież, że to dlatego, że tatuś został lekarzem okręgowym i musiał przez cały czas być w Strandstedet.

No i jeszcze Anna. Zrobiła się niemal przezroczysta. Szczególnie po świętach, kiedy wszyscy goście już wyjechali. Tatuś również.

Chodziła dookoła owinięta dwoma szalami i przez cały czas powtarzała:

– Bergljot! Czy tu nie jest za zimno?

A Bergljot nosiła węgiel i drewno i przez cały czas paliła w piecu.

Na oficynie leżała taka czapa śniegowa, że nie było widać okien kuchennych. A kot nie chciał wychodzić na zewnątrz i załatwiał się po kątach.

Pewnego dnia również i Bergljot spakowała swoje rzeczy. Miała pomagać babci w hotelu. To dlatego, że nie była w stanie odrzucić

propozycji tych dwustu koron rocznie i do tego wyżywienia oraz kwatery.

To po powrocie babci wszyscy zaczęli wyjeżdżać z Reinsnes. Zdecydowała zatem, że to jej wina.

*

Ale z drugiej strony, kiedy była w hotelu Grand, pojmowała, że babcia zabrała radość właśnie tam. Anna śmiała się, będąc u niej. I we trzy grały oraz śpiewały.

Tego dnia, gdy tatuś wrócił do domu i obwieścił, że mają się pakować i ruszać w drogę, zapomniała o rozważaniach na temat radości. Poszła tylko do izby i zmięła czerwoną suknię w kłębek. Czowała, jaka jest delikatna, ale było jej wszystko jedno. Wepchnęła ją gwałtownym ruchem pod łóżko.

Ale w nocy obudziła się, bo suknia parzyła ją przez materac. Próbowwała ją pochwycić swoimi czerwonymi ramionami. Więc nie widziała innej rady niż wstać i wyciągnąć ją z ukrycia.

Położyła ją obok siebie pod kołdrą. Blisko ciała. Pachniała tą babcią, która kiedyś mieszkała na ciemnym stryszku.

Kiedy tak leżała, słuchając, jak pnące róże skrobią kolcami o szybę, przypomniawszy sobie coś, o czym całkiem zapomniała. Że to babcia przywiozła radość do Reinsnes. Później zabrała ją ze sobą do Strandstedet, więc nic dziwnego, że Anna posmutniała.

Ale jeśli radość mieszkała u babci w Strandstedet, to może dałoby się tam żyć?

*

Anna też chyba o tym wiedziała. Bo dzień po tym, jak powiedzieli jej o przeprowadzce, Anna zaczęła odśnieżać. Całą drogę od domu aż po brzeg morza.

Kiedy wróciła, nie miała już poszarzałej twarzy. Przypominała zawieszzonego na choince ręcznie malowanego aniołka z porcelany.

Dziewczynka przypominała jej, że dawno już minął dzień Trzech Króli, a Anna odrzekła:

– Zachowamy choinkę aż do końca świąt wielkanocnych. Bo wtedy, tak czy owak, już się przeprowadzimy!

Wtedy przerażona Karna wyszła do kuchni, zamykając za sobą drzwi. Ale Anna usiadła przy pianinie i przez całe przedpołudnie grała i śpiewała pieśni wielkanocne.

*

Kiedy zapanował już wielki chaos, a rzeczy pakowane były do pudeł i skrzyń, obudziła się w środku nocy z uczuciem takiej złości na babcię, że aż bolał ją brzuch. Wszystko za sprawą snu, którego nie potrafiła sobie przypomnieć.

Usiłując się obudzić, poczuła, jak zbliża się napad. Chyba zdążyła wstać, bo doszła do siebie, siedząc na podłodze z takim bólem głowy, jakby się uderzyła. Nie była w stanie zawołać Anny ani tatusia, bo ciągle jeszcze nie czuła języka.

Wtedy przez zamknięte okno weszła Stine. Usiadła na stole i przyglądała się Karnie, machając w powietrzu nogami.

– Zapomniałaś, co powiedziałam? Że masz czytać Biblię.

Było tak przenikliwie zimno. Ciepło pieca dawno już uleciało. Chciała odpowiedzieć, ale nie potrafiła.

Wtedy Stine zeskoczyła ze stołu i pomogła jej podejść do biblioteczki z książkami. Miała dobre ręce, chociaż przebywała daleko w Ameryce.

Początkowo nie była zdolna podnieść się, żeby otworzyć biblioteczkę, ale Stine lekko ją popchnęła. A jej głos był taki wyraźny.

– „Tamci się zachwiali i upadli, a my stoimy i trwamy”^[6], pamiętaj o tym! – powiedziała zgodnie ze swoim zwyczajem.

W końcu udało jej się otworzyć biblioteczkę. Z trudem dostrzegała cokolwiek w półmroku. Biblia. Kiedy wzięła ją do rąk, poczuła to. Księga żyła.

Wielka biblioteczka stała tu chyba od czasów, kiedy tatuś był mały, a w tej izbie mieszkała Matka Karen. Karna przeczytała wiele z tych książek. Albo Anna czytała je dla niej na głos. Niektóre ciągle od nowa.

Kiedy była jeszcze bardzo mała, pozwalano jej tylko popatrzeć na książki przez szybę. Pamiętała, jak siadała w kucki i odbijała ślady palców na zimnej, szklanej powierzchni.

Niektóre książki były żywe i oddychały. Zazwyczaj te, które miały grzbiety i rogi oprawione w prawdziwą skórę. Jak Biblia. Często o tym myślała. Że ktoś musiał umrzeć, żeby te opowieści przyodziały się w skórę.

Kiedy napotykała wzrok krowy albo konia, widziała to. W takich właśnie oczach zaczynały się te wszystkie historie.

Przy przeprowadzce do doktorówki biblioteczka została zabrana i wstawiona do gościnnego salonu. Tak to było w Strandstedet. Człowiek nie mógł nawet mieć biblioteczki tylko dla siebie.

^[6] Ps 9,20.

Rozdział trzeci

Dina często uciniała sobie pogawędkę w cztery oczy z młodym Pederem Olaisenem. Temu chłopakowi można było powierzyć każdą robotę. Układanie kamieni, kucie, prace biurowe, pomoc rybacka i naprawa włóków. Poza tym był doskonałym negocjatorem, jeśli robotnicy okazywali niezadowolenie.

Zazwyczaj niewiele się odzywał. Z tego powodu starsi mężczyźni milkli ze zdumienia, słysząc, jak krótko i rzeczowo przekazuje kwestie, o których od dawna myśleli.

Sam Olaisen wraz z upływem czasu miał tyle rozpoczętych spraw, że wyrażał przed Diną ubolewanie, iż do tych wszystkich prac potrzebuje ludzi.

Peder miał zęby prawie tak białe jak jego brat, ale poza tym nie było między nimi zbyt wiele podobieństw.

Dina była zapewne bardziej zainteresowana różnicami niż podobieństwami. Im lepiej poznawało się Pedera, tym jaśniejsze stawało się to, że również głowy używał w odmienny sposób niż jego brat.

Kiedy Wilfred stał, kołysząc się na piętach, aż powiewała jego jasna grzywa, i o czymś rozprawiał, Peder słuchał z powagą, spoglądając spod równie białej, nastroszonej czupryny. Zważywszy

na jego młody wiek, tylko by brakowało, żeby było inaczej.

I chociaż Peder również urodził się na małej wysepce, gdzie zgodnie z boskim planem wyłącznie kormorany i mewy zakładały swoje gniazda, to jednak zdał egzaminy w Trondhjem. A przez te lata, kiedy go nie było, Wilfred doszedł do wniosku, że jest mu absolutnie niezbędny.

Peder chciał zostać inżynierem. I żeby zarobić potrzebne pieniądze, pracował u swojego zamożnego brata, wykonując wszelkie możliwe roboty.

Na początku mieszkał bez kosztów w domu Olaisenów. Ale tylko do czasu, kiedy Wilfred uznał, że Hanna patrzy na niego zbyt życzliwym okiem. Wtedy został przeniesiony do niewielkiej izby za kuźnią. Była tak mała, że Peder musiał odpiłować kawałek łóżka i spać w pozycji pólśiedzającej.

Nikt jednak nie słyszał, żeby się skarżył. Wcale nie wiadomo, czy było mu przykro z powodu wyprowadzki spod oka i rządów brata. Gorzej czuł się z myślą o tych wszystkich policzkach wymierzanych Hannie, o których wiedział.

Wilfred miał pewne cechy odziedziczone po ich wspólnym ojcu. Więc tam, na wyspie, Peder obrywał z dwóch stron. Żeby chronić głowę, nauczył się pewnych prostych sztuczek. Na przykład uników i żeby nigdy nie oddawać.

Twarda ręka ojca spoczywała już na szczęście na cmentarzu. A ręka Wilfreda była niczym pogoda. Nigdy nie można było przewidzieć, kiedy człowieka dopadnie. Tyle że to szybko mijało. Do następnego razu.

Peder był o wiele zbyt nieśmiały, żeby mieć odwagę choćby spojrzeć na Hannę, jeszcze zanim otrzymał pierwsze razy. Potem na swój sposób jechali już na jednym wózku. Dostrzegał, że jest

ładna, chociaż od czasu do czasu była tak posiniaczona, że nie opuszczała domu.

Z Sarą natomiast mógł od biedy zamienić parę słów, nie zaczynając od razu się jąkać. Kulała. Dzięki temu czuł się bezpiecznie, bo nie naśmiewała się z niego.

W dniu przeprowadzki tylko Peder dostał cięgi. Były skutkiem tego, że pomógł Hannie przesunąć komodę w sypialni w czasie, kiedy nikogo innego nie było w domu. Dokładnie wtedy Wilfred wrócił do domu.

Peder traktował wybuchy wściekłości brata jak klęskę żywiołową. Rozgoryczenie nie miałoby sensu. Człowiek odkładający pieniądze na nauki inżynierskie doprawdy nie miał czasu na coś takiego. Trzeba było tylko pilnować, żeby umknąć, zanim zrobi się bardzo źle.

Zaczął jednak zastanawiać się, jak radzi sobie Hanna.

Pewnego dnia Dina pod jakimś pretekstem przyszła do biura już po wyjściu Olaisena i robotników.

Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to stółek, na którym leżał kawałek chleba i stał kubek po kawie. W kącie tkwił Peder zwrócony plecami do wejścia i usiłował umyć się w małej beczce z wodą. Przeszła szybko obok i skierowała kroki do kantoru.

Po chwili zeszła i rozpoczęła rozmowę, udając, że wcześniej go nie widziała. Przyszła po podsumowanie miesiąca, które Olaisen zostawił dla niej na wierzchu, wyjaśniła. Utało się, że to ona zajmowała się papierami, chociaż, jak to się nazywało, on firmował je podpisem.

Peder skinął głową, uważnie przyglądając się świeżo wykutej żelaznej śrubie. Przymknął jedno oko i oceniał ją wzrokiem. Włożył do tego prawie czystą koszulę.

Podeszła do niego.

– Musisz robić nadgodziny przy śrubach? – zapytała.

– Nie, nie muszę. Już skończyłem. Dzięki temu jutro będę mógł zająć się czymś innym.

Spojrzała na śrubę.

– Uczyłeś się kowalstwa?

– Człowiek się przyglądał, jak to robią inni – odparł zawstydzony.

Postała chwilę, a potem powiedziała:

– Jak to się stało, że nie mieszkasz już z Olaisenem i jego rodziną?

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Jest mi tu dostatecznie wygodnie.

– Ale nie tak jak w domu?

– No raczej nie.

– Pokłóciliście się?

Odwrócił się i odłożył śrubę.

– Lepiej żebym mieszkał tutaj.

– Czy ma to jakiś związek z tym, że Hanna nie przyszła na koncert ani w ogóle nie opuściła domu od czternastu dni?

Jasnobłękitne oczy spojrzały na nią z zakłopotaniem. Potem bez słowa skinął głową.

*

Kiedy Dina kupiła hotel, okazało się, że z dobrodziejstwem inwentarza dostaje też wdowę po poprzednim właścicielu.

Olaisen stwierdził, że pani ta przysporzy jej zapewne więcej szkody niż pożytku. Ale Dina póki co zatrzymała ją w kuchni. Na początku ta cała Ruth była nawet skłonna do współpracy, prawie poddańcza.

Jednak po pewnym czasie wyszło na jaw, że fakt zmiany właściciela chyba do niej nie dotarł.

– Zawsze robiliśmy to w ten sposób! – oświadczała Ruth, uważając, że to kończy sprawę.

Czuła się oszukana tą transakcją, zarówno w imieniu własnym, jak i piekarza, co nie poprawiało sytuacji. Czym innym było posiadanie hotelu, a czym innym wypiekanie chleba w dzierzawionym podpiwniczeniu. Kiedy żaliła się swemu bratu, odpowiadał w sposób, którego nauczył się używać, żeby zyskać coś w rodzaju przewagi:

– Podpis złożony w chwili nędzy zmienił już życie niejednego biedaka.

Piekarz zagryzał zęby i głęboko ukrywał własną dumę oraz niezadowolenie siostry.

Dina natomiast nie miała jego cierpliwości.

Pewnego dnia po zejściu do jadalni usłyszała Ruth prowadzącą ostrą sprzeczkę z brakarzem z portu rybackiego w Bergen, który chciał dostać na śniadanie smażone jajko i boczek.

– Tego tutaj nie podajemy, za dużo kosztuje! – twierdziła zdecydowanie Ruth.

Dina dość chłodno poprosiła ją o pójście do kuchni oraz usmażenie jajka i od razu przysłanie do gościa kelnerki.

Wtedy okazało się, że Ruth dała jej wolne. Dina wyszła z nią do spiżarni i zadała pytanie:

– Ach tak, a więc pani nie zamierza pracować tylko w kuchni, ale też pełnić obowiązki bufetowej?

Nikt nigdy nie nazwał wdowy Olesen bufetową! Wybiegła do kuchni, płacząc z upokorzenia.

Ale ci, którzy tkwią w błędnym mniemaniu, iż płacz kobiecy jest

równoznaczny z poddaniem się, niewiele wiedzą o kobietach. Dina zapewne wiedziała nieco więcej.

Co prawda gość w okamgnieniu dostał swoje jajko i boczek, ale podczas całego zajścia narodziła się strategia doszczętnego zniszczenia pani Diny.

Po tygodniu rozpowszechniania pogłosek o osobistych nawykach pani Diny i jej rozlicznych wadach, o jej rozrzutności i zadufaniu w sobie, plotki dotarły do uszu samej Diny.

Najpierw pojawiły się nieśmiałe informacje, zasłyszane gdzieś przez Sarę. Która już od dawna znała osobiście wszystkich ludzi, których warto było znać.

Ruth Olesen została natychmiast zwolniona.

– A więc to tak szanuje się pamięć mojego męża! – krzyczała kobieta.

– Nie znałam pani męża. Ja tylko kupiłam hotel. To kwestia wyłącznie handlowa. I zamierzam mieć takich pracowników, którzy będą działali dla dobra hotelu i każdego gościa – odparła Dina.

– Ale co ja mam teraz ze sobą począć?

– Proszę poradzić się w tej sprawie swojego brata. Ale przede wszystkim nauczyć się trzymać język na wodzy! Nie mogę mieć tu ludzi, którzy kłamią i zajmują się plotkami. Trzeba przestrzegać pewnych oczywistych zasad.

Chyba nigdy żadna kobieta, pani, służąca czy lafirynda nie powiedziała tak okropnych słów do innej. Wdowa pozwoliła sobie na drobne ubarwienie tej sprawy i opowiedziała każdemu, kto tylko chciał słuchać, że Dina z Reinsnes jest tak bezczelnie zarozumiała, iż nie jest w stanie tolerować na służbie ludzi, którzy nie przestrzegają zasad obowiązujących w interesach!

Zrobiono z tego prawie porzekadło, powtarzane przy wielu

okazjach. Nie szkodzi, że wywodziło się z buchalterii. Poza tym nadawane mu znaczenia bardzo się różniły. Mogło chodzić równie dobrze o utrzymywanie siłą posłuchu w domu, jak i o podział kandyzowanego cukru dokładnie między dwie osoby, kiedy trzecia w ogóle nie wiedziała, że cokolwiek jest dzielone.

Przekazywano to sobie również z ust do ust za każdym razem, kiedy okazywało się, że choćby nie wiadomo co zdecydował mężczyzna, to i tak wszystko diabli brali, jeśli kobieta zastawiła swoje pułapki, żeby osiągnąć to, co chciała.

Ale Dina zyskała sobie w Strandstedet wroga. Wróg ten miał brata wypiekającego chleby w piwnicy hotelu Grand.

*

Dina zdawała sobie zapewne sprawę, że ze względów praktycznych na każdego wroga powinno przypadać co najmniej dziesięciu sojuszników. I rozsyłała zaproszenia do wszystkich co bardziej możnych ludzi w Strandstedet. Na początku również do ich żon.

Młody telegrafista miał za małą czapkę i za duże uszy. Ale na swój sposób był rozsądny, bo o otrzymanych i wysyłanych telegramach rozmawiał tylko z wybranymi.

Inną osobą, wobec której słuszne było zachowanie pewnej ostrożnej otwartości, był redaktor, stary kawaler, który dzięki wolnemu stanowi miał spokój i zdolny był do myślenia o kilku rzeczach naraz.

Otwartość ta ujawniała się nie tyle w bezpośrednich kontaktach towarzyskich, ile w osobistych spotkaniach przy stoliku szachowym. Dina grała z nim w grę, którą można było nazwać szachami grogowymi. W te wieczory po całym hotelu Grand roznosiła się woń cygar.

Szachownica nie była w tym wszystkim najważniejsza. Grog także nie. Rozgrywka nie przebiegała też wcale w ciszy, jak by to było w wypadku zdyscyplinowanych szachistów. Ale rozmowy prowadzone były cicho i z obopólną korzyścią.

To, że redaktor przesiadywał za zamkniętymi drzwiami w prywatnym salonie Diny Grøneltv, niekiedy dłużej niż do północy, byłoby uznane za rzecz nieprzyzwoitą, gdyby nie to, że ludziom jakoś nie przyszło nic takiego do głowy.

Po pierwsze, nie stanowiło to żadnej tajemnicy. Po drugie, redaktor nie był akurat człowiekiem, którego ludzie od razu kojarzyli z uciechami ciała i sprawami niewymownymi. Poza tym nietykalność to prawo ludzi zamożnych.

Władza i pozycja redaktora były oczywiste. Plotkowanie o nim mogłoby się nie opłacać. Wiedział również rzeczy nieznane telegrafistom. Wyszło to na jaw przy wielu okazjach. Mógł wstawić jedno zdanie w krótkiej notce i nieszczęśnik zostałby napiętnowany i zniszczony.

Pozycja Diny była bardziej niejasna. Ale należało wystrzegać się osoby, która widziała człowieka na wskroś. O ile nie zostało się poważnie znieważonym, tak jak Ruth Olesen. Ta z kolei dzieliła się swoimi rozważaniami tak na pocztce, jak i po bazarach. Czasami na przystani parowcowej, gdzie słowa niosły się z wiatrem, stając się w mgnieniu oka własnością publiczną.

Ale partie szachów rozgrywane przez Dinę z redaktorem niepokoiły jednego człowieka, a był nim założyciel i sponsor gazety, Wilfred Olaisen.

Kiedy po raz pierwszy o tym usłyszał, po spotkaniu redakcyjnym rzekł:

– Słyszałem, że wczoraj wieczorem grałeś z moją współniczką

w szachy?

– Kto coś takiego powiedział? – zapytał krótko Oluf Lyng, schwycił kapelusz i nie czekając na odpowiedź, zakończył spotkanie.

Wilfred Olaisen przyjął z gniewem fakt, że redaktorowi, którego sam zatrudnił, tak dalece brakowało manier, żeby nie poczekać na odpowiedź. Poszedł do stoczni i przez godzinę chodził tam i z powrotem pomiędzy oknem a biurkiem.

Ale jego złość nigdy nie trwała długo. Kiedy minęła godzina, miał już gotową koncepcję, że po prostu nauczy się grać w szachy.

Po powrocie do domu podzielił się nią z Hanną. Nie skomentowała tego w żaden sposób, zwróciła tylko uwagę, że szachy są grą dla dwojga. A zatem nawet Hanna wiedziała, że redaktor jego własnej gazety grywał w szachy z Diną w cztery oczy?

Ale Olaisen szybko przemyślał kwestię związaną z kapitałem. Z tym jakże nieocenionym kapitałem, co do którego miał poważne podstawy sądzić, że jest znacznie większy, niż to się otwarcie mówi.

Poddał się więc i postanowił skupić raczej na osobach, które miały dość władzy, aby uczynić z niego przewodniczącego. Na kierowniku banku, który udzielił mu pożyczki na stocznię. Na telegrafistę, który wyraził sugestię, że Dina posiada więcej niż to, do czego głośno się przyznaje. I może na starym przewodniczącym?

Powtarzał to Hannie niejednokrotnie. Jeśli zostanie przewodniczącym, to na wszystkie sprawy będzie można wreszcie spojrzeć z właściwej perspektywy. No cóż, Strandstedet go potrzebowało. Ci, którzy się szarogęsili, byli zazwyczaj tylko starymi dziadami bez osiągnięć.

Czyż pani Dina nie powiedziała tego wprost?

– Na pewno zostaniecie przewodniczącym, Olaisen!

I czyż nie porobiło się tak w Strandstedet, że kiedy Dina coś powiedziała, wszyscy zapominali, iż jest kobietą? I czyż nie byli współnikami?

*

Jeśli chodziło o Wilfreda Olaisena, to Dina ściśle oddzielała sprawy prywatne od interesów. Rozmowy współników odbywały się zawsze w biurze i nigdzie indziej. Kiedy byli w większym gronie albo towarzyszyła im Hanna lub ktokolwiek inny, nigdy go nie prowokowała. Mimo to trzymała pewną kontrolę nad maszyną zwaną Wilfredem Olaisenem.

W tym celu związała ze sobą również Sarę. Ani w rozmowach prywatnych, ani przy załatwianiu interesów nie widziała powodu, żeby przypominać temu człowiekowi incydent z Hanną w dawnym gabinecie Beniamina. Ale kiedy okazało się, że Hanna znów jest brzemienna, Dina była jedyną osobą, która mu nie pogratulowała.

*

Sprzymierzeńcy Diny nie zawsze byli równie widoczni jak redaktor Lyng. Ale jej wrogowie też się nie afiszowali. Ile zdołała napsuć obrażona bufetowa, to jedna sprawa. Ale jakie intrygi mógł knuć po ciemnych kątach zraniony lizus, również nie pozostawało bez znaczenia.

Żeby uzyskać taką wiedzę, wystarczyło zaprosić na łyk kawy chłopaka od piekarza, wracającego z pustym wózkiem z rundy po mieście. Było to zresztą pożyteczne pod wieloma względami.

Ten cały Malvin rozpoczynał dzień, kiedy dla innych ludzi trwała jeszcze noc. Znał wszystkie nocne marki i ich ciemne interesy. Bo niezależnie od wszystkiego chleb każdy musiał mieć.

Rozdział czwarty

Pewnego dnia Karna usłyszała, że rozmawiają o niej. Drzwi między salonem a korytarzem były otwarte. Stała cicho na schodach, bo musiała dokończyć zaczęłą myśl. Wtedy usłyszała głos Anny.

– Karna tak szybko się uczy. Ale bardzo prędko znów zapomina. Nie sądzę, żebyśmy mogli wysłać ją samą do szkoły dla dziewcząt w Tromsø.

– Zobaczymy. Jeszcze mamy kilka lat – odrzekł tatuś.

Karna pojęła, że mówią o jej defekcie w głowie.

Najciszej jak potrafiła, weszła z powrotem na schody, bo przecież wiedziała, że płacz nic tu nie pomoże. Zdawała sobie również sprawę, że Anna, mówiąc to, nie miała na myśli niczego złego.

A jednak zaczęła myśleć o tym, że na inauguracyjnym koncercie fortepianowym w jej grze dwa razy zadźwięczała fałszywa nuta.

Babcia powiedziała, że nigdy nie słyszała, żeby Anna zagrała lepiej. Może i tak było. Ale w samym środku szybkiej partii w trzeciej części Brahmsa Anna uderzyła w zły klawisz! Babcia też przecież musiała to słyszeć? A mimo wszystko postanowiła, że to Anna, a nie Karna zagra na koncercie.

Czy to dlatego, że babcia wstydziłaby się, gdyby Karna upadła?

– Następnym razem – obiecała babcia. – Możesz ćwiczyć program, który zagrasz. Tylko ty!

Ale to nie było to samo.

Anna zagrała fałszywie! A ponieważ takimi sprawami potrafiła gryźć się bez końca, nie mogła jej tym drażnić. Ale Anna na pewno wiedziała, że ona wie.

*

Przez kilka dni Anna rozmawiała z nią o wszelkich możliwych sprawach. I grały oraz śpiewały. Może dlatego, że Anna miała tylko babcię i ją? Tatusia nie należało liczyć, bo on był dla wszystkich innych ludzi.

Anna często mówiła o rzeczach, o których Karna nie miała najmniejszego pojęcia. Czasami odnosiła wrażenie, że ona chciałaby mieć małe dziecko. Ale nie zdobyła się na zadanie takiego pytania.

Tego lata babcia zaprosiła ich oraz Olaisena z rodziną na kawę do hotelu Grand. Tatuś i Anna najwyraźniej byli tym zaskoczeni. Jednak nic nie powiedzieli.

Karna zauważyła, że Annie tak dziwnie zmienił się wyraz twarzy, gdy tatuś wziął na kolana najmłodszego synka Olaisenów, kiedy ten upadł i się uderzył. Było ich trzech. Dwaj najmłodszy bardzo zbliżeni wiekiem.

Anna zerwała się i zaczęła częstować wszystkich tartinkami. To było dziwne. Bo babcia przecież miała do takich rzeczy służące.

Kiedy rodzina Olaisenów już poszła, babcia powiedziała, że Hannie musi być ciężko z kilkorgiem małych dzieci. Anna tak jakby wyłączyła się i nic nie odpowiedziała.

Tatuś odparł nieco za wesoło:

– Na pewno jest mnóstwo zamieszania, jak przez cały czas ma się

wokół siebie tylu maluchów!

Babcia spojrzała na jedno i na drugie, a potem zapytała Karnę, jak to jest chodzić do szkoły razem ze wszystkimi innymi dziećmi u nowego bakałarza.

– Nie opowiada tak dobrze jak Anna. Odpytuje nas tylko z lekcji.

Anna stwierdziła, że bakałarz jest dobrym nauczycielem, tylko jeszcze dość młodym.

– Jest miły, prawda, Karno?

Anna zawsze broniła ludzi, którzy nie uczynili jej nic złego. Ostatnio Karna często miała taką straszną ochotę jej się przeciwstawić, sama nie do końca wiedząc, dlaczego. Tak jakoś się porobiło.

– On zna tylko dwie pieśni i dwa psalmy. I do tego fałszuje. A poza tym nazywa Emmę Edną, a Britę Berit, i złości się, kiedy nie odpowiadają.

– A co robi, kiedy upadniesz? – zapytała babcia.

– Wtedy biegnie do klasy maluchów poszukać Anny. A raz, kiedy Anny nie było, to jeden z chłopców powiedział mu, że nie jestem niebezpieczna.

– A ty? Jak ty się masz? – zadała pytanie babcia.

– Ja? Ja staram się nie wyglądać zbyt groźnie.

Wtedy babcia się roześmiała. Tatuś i Anna jej zawtórowali. To było na swój sposób dobre. Że się śmiali.

Później, kiedy Karna pobawiła się trochę na podwórku i ponownie zamierzała wejść do jadalni, usłyszała, że rozmawiają o rodzinie Olaisenów.

– No dobrze, ale czy to było konieczne zapraszać ich tutaj akurat wtedy, kiedy my mieliśmy przyjść? – zapytał z irytacją tatuś.

– Tak, od czasu do czasu jest to niezbędne – odparła babcia.

- Ten człowiek doprowadza mnie do... do...
- Ale będziesz przecież zmuszony spotykać się z nim w związku z pracami komisji sanitarnej i socjalnej.
- W jakim sensie?
- Zostanie przewodniczącym.
- Czy to już pewne?
- Tak.
- Komu udało się tego dopiąć?
- Potrzebuję współnika, który jest przewodniczącym.
- Dino!
- Jesteś mądry pod wieloma względami, Beniaminie. Ludzie potrzebują kogoś takiego jak ty. Ale ja akurat teraz muszę mieć Olaisena. Dlatego to będzie on.

Karna weszła do środka, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Zobaczyła, że tatuś jest zły, ale zreflektował się i wzruszył ramionami.

- Jak ci się to udaje, Dino? – zapytała z cichym śmiechem Anna.
 - Przez doprowadzenie właściwych osób do uznania, że to ich własny pomysł.
 - Oraz wpłacanie pieniędzy do banku i granie w szachy z redaktorem? – zapytał tatuś, wtórując im w ogólnej wesołości.
 - Nie można przecież trzymać pieniędzy w puszcze. A redaktor jest dobrym szachistą. Poza tym sami rozumiecie, zadomowiłam się w tym miejscu.
 - W Strandstedet? Które doprowadziło do końca Reinsnes? – rzekł tatuś i już się nie śmiał.
 - Właśnie dlatego – odparła babcia.
- A zaraz potem:
- Anno! Karno! Sprawy przyziemne zajęły nam cały dzień. Ale

dostałam nowe nuty z Kristianii. Wieczór będzie dla duszy!

Tatuś siedział i słuchał. Ale nie przymknął oczu i nie odchylił się w tył, tak jak zawsze. Tkwił na brzeżku krzesła i wyglądał, jakby był w drodze do innego miejsca.

I kiedy one grały, a Karna śpiewała *Ich fuhr über Meer*, pojęła, że tatuś jest zupełnie sam.

*

Karna wstała od razu po położeniu się do łóżka. Myśląc o tatusiu, podeszła do okna. Chyba dlatego nie mogła spać.

Chodziło o tych synków Hanny. Zaczęła się zastanawiać nad tym, co kiedyś powiedział Isak. Dlaczego Olaisen bił Hannę. I o tym, co odpowiedział tatuś, kiedy go o to zapytała: Tylko Olaisen może być ojcem dzieci Hanny.

I jeszcze coś o wstydzie. Wstyd? To chyba było gorsze od biedy. Dzisiejszego wieczoru tatuś wziął na kolana dziecko Hanny. A Olaisen na moment przestał gadać o inżynierze i drodze na południe. I Anna zupełnie niepotrzebnie zaczęła częstować wszystkich kanapkami.

Krajobraz i domy były spowite delikatną mgiełką i wydawały się nierzeczywiste. Oczami duszy ujrzała widok rozpościerający się z okna jej izby w Reinsnes. Właśnie w tej chwili. I kiedy tak stała, miała wrażenie, że krajobraz za oknem rozpląnął się i zniknął. Pomyślała o Annie, która też prawie zniknęła, kiedy tatuś wziął najmłodszego chłopca na kolana. Czy tatuś dostrzegł wtedy Annę?

Myślała też o tym, że tatuś, który zazwyczaj w większości spraw nie zgadzał się z babcią, jednak panował nad sobą, tak jak dzisiejszego wieczoru. Widziała to już wiele razy. Zarówno Anna, jak i on snuli myśli, z których nigdy się nie zwierzali. Może sobie nawzajem też nie?

Łzy spływały jej po twarzy. Nie umiałyby jednak powiedzieć, czy płakała nad innymi, czy nad sobą.

I jeszcze te pozostałe kwestie. Przemiana. Ciało, które przez cały czas ją zaskakiwało. Ostatnio miała wrażenie, że ta doczesna powłoka przestała być nią.

We wkraczaniu ciała w dorosłość było coś groźnego. Nie była pewna, czy tego chce. Dorośli bez przerwy coś udawali. Może również to, że ją kochają?

Anna od czasu do czasu mówiła trochę o tym, co czuje i jak się ma. Ale tatuś chyba przestał. Miała wrażenie, że to jest jakoś powiązane ze Strandstedet.

Może tatuś przestał dostrzegać i Annę, i ją? Może stały się jak Reinsnes? Po prostu były. I dla nikogo nie miało to znaczenia.

*

Kiedy tej jesieni Karna rozpoczęła naukę w nowej szkole w gospodarstwie kościelnego, zaczęła rozmawiać z dziewczynką imieniem Birgit. Kiedyś Birgit upadła i się uderzyła, więc Karna zabrała ją do domu, żeby tatuś wyciągnął jej żwir wbity w skórę na kolanie.

Birgit mieszkała przy samej stoczni. Miała tak przestraszone oczy, że człowiek prawie nie wiedział, jak wygląda, kiedy się nie boi. Jej twarz była wąska i blada, włosy przypominały frędzle przy żółtym letnim szalu babci i były niezwykle porządnie zaplecione.

Jej matka sprzątała u ludzi i zawsze była o coś zła. Słowa nie były najgorsze, tylko sposób, w jaki je wypowiadała. Przypominał wrzaski marcujących się kotów.

Birgit tak jakby kulila się i kiedy jej matka otwierała usta, pragnęła chyba całkiem zniknąć. Ale nie zawsze była w stanie to zrobić.

*

Pewnego dnia Karna jadła obiad z rodziną Birgit, bo Birgit stwierdziła, że już zbyt wiele razy gościła w domu doktora.

Nie była przygotowana na tyle par oczu zerkających na nią podejrzliwie wokół stołu. Dwaj starsi bracia i rodzice Birgit. Wszyscy mieli zwyczajne, niebieskie oczy. Zupełnie takie same.

Początkowo nic nie mówili. Podawali sobie ziemniaki, obierali je i kładli skórki bezpośrednio na ceracie. Matka Birgit nakładała im rybę wprost z garnka. Postawiła go na stole na płaskim kamieniu.

Zapewne dlatego tak się wpatrywali, że uznali jej oczy za dziwne albo spodziewali się, że upadnie. W sumie mogła im po prostu powiedzieć, że dzisiaj nie będzie upadać. Ale nie powiedziała. Bo przecież nie była tego całkowicie pewna.

Obrała ziemniaka i odłożyła skórkę na brzeg talerza. Wtedy coś się wydarzyło.

Za szybą kuchennego okna przeszła stara kobieta, a matka Birgit zaczęła coś mówić swoim jęklwym głosem. Nazwała starą Stellą Gorzałką.

– Coś późno dzisiaj! – zapiszczała, robiąc taką minę, jakby mówiła o czymś obrzydliwym.

Birgit skuliła się, nie patrząc na nikogo. Karna uznała, że lepiej będzie dla niej, jeśli ktoś coś powie.

– Dlaczego późno? – zapytała.

Ale wtedy wszyscy znów wbili w nią wzrok. A matka Birgit oświadczyła:

– Wlecze się tędy codziennie. Łazi do stoczni Olaisena zebrać o węgiel. Ale coś słabo jej się idzie.

– Przecież jest pijana, sama widzisz – wyszczerzył zęby najstarszy brat.

Potem zerwał się od stołu, zapukał w szybę i zaczął wygrażać staruszce pięścią.

– Siadaj i jedz! – warknął ojciec Birgit.

Ale brat nie miał zamiaru go słuchać. Przedrzeźniał sposób chodzenia starej, niosącej blaszane wiadro w jednej ręce, a w drugiej kostur, na którym się wspierała.

– Zgubiła pałąk! Ma tylko sznurek! Cha, cha, cha! Widzieliście ten ohydny fartuch w kratę, który miała na sobie? He? Nosi go przez calutki rok – zaśmiał się brat, patrząc z rozbawieniem na Karnę.

– Pewnie po to, żeby nie ubrudzić się przy noszeniu węgla – rzekła Karna.

Wtedy bracia spojrzeli po sobie.

Karna straciła apetyt na ziemniaka z rybą. Poczuli się najedzona.

Matka Birgit zaczęła opowiadać o Stelli Gorzałce, jakby noszenie fartucha nałożonego na szal i wełniany sweter było czymś grzesznym.

– Dlaczego nikt nie zawiezie jej tyle węgla, żeby mogła poradzić sobie przez całą zimę? – spytała cicho Karna.

Nagle wszyscy przestali żuć.

Ojciec Birgit otworzył usta. Między zębami miał rybę. Potem je zamknął i zaczął cmoktać. Sprawiał wrażenie, jakby sobie coś pomyślał, ale potem zmienił zdanie. Potem nabrał kolejną porcję jedzenia na nóż i zamasyście wsunął ją do ust.

Ciągle jeszcze nikt nie odpowiedział. Karna zrozumiała, że zapytała o coś niestosownego.

Anna uważałaby w takiej sytuacji, że udzielenie odpowiedzi na pytanie należy do zwykłych zasad grzeczności. Ktoś mógłby odrzec

na przykład: Tego niestety nie wiem. Albo: Musisz chyba zapytać kogoś innego. Ale to przynajmniej byłaby odpowiedź.

– Jest przecież taka zapijaczona, że babrze się we własnym gównie – stwierdziła w końcu matka Birgit i zaczęła sprzątać ze stołu, zanim wszyscy skończyli jeść.

– Powinni ją zamknąć! – kontynuowała znad blatu kuchennego, zwrócona do nich plecami.

– Jest niebezpieczna? – zapytała Karna, słysząc sama, że jej głos nie brzmi zbyt pewnie.

– Ona? Nie, czemu miałyby być niebezpieczna? Jest tylko rąbnięta! – odparł ojciec Birgit.

Beknął ostentacyjnie i podniósł się ociężale od stołu.

Od tego dnia była dla Birgit jeszcze miłsza. Na przerwach dawała jej kolorowe obrazki i ciastka. Nie do końca była pewna, czy robi to, bo jej żałuje, czy dlatego, że ją lubi.

Birgit odwzajemniła to, pytając nauczyciela, czy mogłaby usiąść obok Karny, skoro nikt inny tam nie siedzi. Dostała pozwolenie. Lecz nauczyciel powiedział, że musi pamiętać, iż Karna od czasu do czasu upada.

– Mam to gdzieś – wyszeptała Birgit niepewnym głosem.

Od tej pory Birgit i ona były na swój sposób nierozłączne.

*

Przebywając z Birgit, Karna spotykała wielu ludzi. Jej matka była członkinią stowarzyszenia abstynentów. Więc w to miejsce też miała okazję pójść. Dowiedziała się tam o przekleństwie i obrzydliwości, jaką był samogon. To zapewne dlatego matka Birgit nie lubiła Stelli Gorzałki.

Karna pojęła, że zarówno przez Reinsnes, jak i przez dom doktora przewijało się bardzo dużo zła. Nie wspominając już o babci

w hotelu Grand.

Dorośli pili wino, sznapsy i koniak, czy jak to tam się wszystko nazywało. Różnica polegała chyba tylko na tym, że nie byli biedni i nie zebrali o węgiel. Anna co wieczór przed snem wypijała kieliszek portwajnu. Ale Karna nie wspomniała o tym Birgit.

Matka Birgit słuchała również kaznodziei. Kiedy powiedziała o tym tatusiowi, odrzekł, że lepiej byłoby pójść do kościoła. Ale w dni powszednie było to niemożliwe. Więc chadzała z Birgit na spotkania z kaznodzieją.

Organizował zebrania w domu woźnicy. Było tam ciemno, ciasno i pachniało smażoną rybą. Ale Karnie podobało się to miejsce. Plusz, frędzle i rośliny w doniczkach. No i to, że ludzie śmiali się, płakali i padali na ziemię. I te pieśni!

Kiedy była tam pierwszy raz, głośno śpiewała razem ze wszystkimi, nie zauważając, że w końcu ludzie wokół niej umilkli. Potem starała się już więcej nie wydawać z siebie głosu. Ale to nie było łatwe.

Kaznodzieja poklepał ją po głowie i powiedział, że pięknie śpiewa na chwałę Bożą. Wtedy poczuła wstyd, bo wiedziała, że robi to sama dla siebie.

– Karna ma zawsze Biblię przy sobie – szepnęła Birgit.

Kaznodzieja bardzo się ożywił i koniecznie chciał zobaczyć. Kiedy biegła do drzwi, usłyszała, jak pyta, kim ona jest.

– To Karna, córka doktora, ta z padaczką – słyszała za sobą.

A kaznodzieja przywoływał ją z powrotem okrzykami „Chwała Panu!”. Ale za nic na świecie nie miałyby odwagi się odwrócić.

Przez dwa dni była pogniwana z Birgit o to, że powiedziała to o Biblii. Potem jakoś o tym zapomniała. A może chodziło o to, że Birgit miała taki nieszczęśliwy wyraz twarzy.

Po pewnym czasie odważyła się ponownie tam pójść. Starła się nie śpiewać. Ale nie udawało się. Nie miała odwagi zabrać ze sobą Biblii. Więc pewnie mogła w każdej chwili upaść. Jednak miała wrażenie, że tutaj to nie przeszkadza. Bo ludzie bez przerwy padali na kolana i się rzucali. Oczywiście nie w taki sposób, który tatuś nazywał gwałtownymi drgawkami. Niektórzy płakali i bez przerwy mówili o grzesznych istotach ludzkich i przekleństwach pijaństwa.

Nie była w stanie rozmawiać tam z żadnym człowiekiem, nie myśląc przy tym, jak wygląda kwestia jego grzechów. Albo czy jest taki jak matka Birgit, cały czas polująca na przewinienia innych. Doszła do wniosku, że najtrudniej musi być zliczać cudze grzechy. Bo tego człowiek przecież nie mógł dokładnie wiedzieć. Własne natomiast zawsze były z nami.

Otworzyła Biblię Hjertrud i stwierdziła, że wszystko, co obecnie robią grzeszni, zapijaczni ludzie, żeby zatracić swoją duszę, czynili również w tamtych czasach. To trochę poprawiło jej humor. A więc Anna, tatuś i babcia nie byli gorsi od większości ludzi opisanych w Biblii.

Czytała o grzechu, który najwyraźniej był straszniejszy niż zabicie człowieka. Było nim cudzołóstwo. Wtedy człowieka kamienowano na śmierć. Ale nie w obecnych czasach. I to Olaisen musiał być ojcem dzieci Hanny.

Oskarżył tatusia o coś, co trudno byłoby kiedykolwiek wypowiedzieć. Dlatego nie lubiła Olaisena, chociaż był miły i zawsze mówił jej i babci przyjemne rzeczy, kiedy przychodziły do stoczni.

Karna szybko pojęła, że rozmowa z tymi, którzy tropili grzechy innych ludzi, nie zawsze należała do najmiłszych. A przynajmniej, gdy się z nimi rozmawiało w cztery oczy. Na spotkaniach natomiast

wszyscy jednocześnie mruźli i wznosili okrzyki. To było trochę przerażające, ale ciekawe.

*

Miejsca, które odwiedzała razem z Birgit, zazwyczaj wyglądały bardzo biednie, ale za to niezwykle czysto. W czterech domach wisiał obraz Jezusa uciszającego burzę. Był ładny. Jezus kropka w kropkę przypominał Olaisena. To jej się nie spodobało.

W żadnym miejscu nie zobaczyła ani jednej książki, jeśli pominąć katechizm, psalterz i Biblię. I żadnego pianina.

Kiedy ludzie coś opowiadali, najczęściej były to rzeczy zasłyszane na przystani albo przez otwarte okna.

Karna uznała, że zaraz po byciu bardzo biednym, tak jak Stella Gorzałka, najbardziej przygnębiającą sprawą, jaką mogli zajmować się ludzie, był obowiązek poszukiwania grzechów. Więc rozumiała doskonale, że od czasu do czasu musieli się spotkać, żeby sobie wspólnie pośpiewać i poupadać.

Miała wrażenie, że mieszkańcy wysp i osad położonych w głębi fiordów są inni. Zdarzało się, że tatuś zabierał ją ze sobą i wtedy słyszała, jak przy ciężko chorych inni się modlą i śpiewają psalmy.

Ale nie mówili o grzechu. Woleli dowiedzieć się, co było napisane w gazecie i co zostało postanowione na radzie okręgu. Kto przybył do Strandstedet albo gdzie zdarzyły się pożary. No i te odwieczne gadki o rybach.

Trochę wyglądało to tak, jakby ludzie mieszkający w małych miejscowościach, gdzie był jeden dom albo dwa, jeszcze nie znali grzechu. Wydawali się zupełnie spokojni o swoje rachunki z Bogiem. Mówili o Nim tak, jakby był ich kuzynem. Tak jak Stine.

Karna uznała, że cała ta historia z grzechem najwyraźniej ma związek tylko ze Strandstedet.

Inną rzeczą, którą bardzo wyraźnie zauważyła w Strandstedet, było nieustanne rozprawianie o pieniądzach. Duże i mniejsze sumy, jak ogon szybko przebiegającej myszy, tak jakby nieuchronnie ciągnęły się za wszystkim, o czym gadano.

Niekiedy babcia również mówiła o pieniądzach. Ale nigdy nie wymieniała liczb. Używała słów „kapitał” i „zysk”. I nigdy nie wspominała o tym przy stole.

Karna uważała, że wszystko w Strandstedet bierze się stąd, że domy stoją zbyt blisko. W sumie było dość miejsca. Wszyscy mogliby oddzielić się od sąsiada sporym kawałkiem pola. A przynajmniej skrawkiem. Tymczasem domy niemal opierały się o siebie.

Kiedy mieszkało się w takiej ciasnocie, to człowiek wszystko widział i nie musiał za dużo sobie ani innym tłumaczyć. Jeśli pominąć te dwie sprawy. Grzech i pieniądze.

*

W początkowym okresie w Strandstedet o mało nie umarła z tęsknoty za Reinsnes. Pierwszego lata zniszczyła dwie pary butów, bo bez przerwy kopała kamienie. W końcu tatuś powiedział, żeby sobie chodziła bosą.

Wtedy zdjęła wszystko z nóg i godzinami wędrowała po kamienistej plaży. Kiedy wróciła do domu, tatuś musiał opatrzyć jej rany. Ganił ją i bandażował. Ale głównie to drugie.

– Pójdę do domu, do Reinsnes! – powiedziała wtedy.

– Nie wolno ci. To za daleko – odrzekł.

– Jestem zła na ciebie, że musimy tu mieszkać!

– Nie jesteś zła, tylko rozżalona – powiedział tatuś.

– A co to jest?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem przetarł dłonią twarz,

jakby trafił w pajęczynę, której teraz musiał się pozbyć.

– Kiedy miałem tyle lat co ty teraz, to żal był dla mnie tym, o czym nie byłem w stanie opowiadać.

Wtedy skinęła głową. Bo właśnie tak było.

Tatuś wziął ją na kolana, pokołysał trochę i dmuchnął jej w kark.

– Zdaje się, że najważniejsze rzeczy w tym życiu zaczynają się albo kończą smutkiem. Powinnaś być zadowolona, że smutek przyszedł na początku, to będziesz miała go z głowy – rzekł, dmuchając jej również na duży palec u stopy.

Zapamiętała na zawsze ten obraz, jak przyklada usta do jej stopy, jednocześnie patrząc na nią z powagą.

I pomyślała sobie: Czy widzę w tej chwili tatusia takiego, jaki jest naprawdę?

Rozdział piąty

To Sara przybiegła go sprowadzić. Mały Konrad już trzeci dzień miał wysoką gorączkę i nie poznawał ani jej, ani Hanny.

W doktorówce właśnie zjedzono kolację. Benjamin ruszył do gabinetu po potrzebne mu rzeczy. Nałożył płaszcz i wyszedł.

Śnieżna zamieć w okamgnieniu okryła ich bielą. Wokół stały wysokie zasy. Gdyby nie szereg domów, trudno byłoby odnaleźć drogę.

Sara, utykając, podążała szybko przed siebie, ale już na wzgórzu została nieco w tyle. Po chwili go dogoniła.

– Dlaczego wcześniej mnie nie wezwaliście? – wysapał.

– Hanna nie chciała.

– Dlaczego?

– Przez Olaisena.

– Nie chciał wezwać doktora, kiedy dziecko jest chore?

– Nie wiem – odparła bez tchu.

Szli pod górę, tupiąc nogami po zasypanej śniegiem drodze, a wiatr dmuchał im w plecy.

– Powiedz mi, co jest dziecku?

– Okropnie oddycha. Cały czas się trzęsie. Kaszle jak stary człowiek.

– Kiedy to się zaczęło?

– Trzy dni temu i jest coraz gorzej.

Przyspieszył, a ona dotrzymywała mu kroku.

– Jak tam wszystko wygląda u świeżo upieczonego przewodniczącego? – zapytał znienacka.

Nie odpowiedziała od razu, a potem usłyszał:

– Raz tak, raz siak.

– Co to znaczy? – wysapał.

– To diabeł wcielony – prychnęła.

– Wiesz, z czego to się bierze?

– Ostatnio stąd, że Dina zapłaciła za dalszą naukę Pedera w Trondhjem. Będzie się uczył naprawiać maszyny, a nie zapytała Olaisena o zgodę.

– Przecież on wyrzucił brata.

– Nie nazywamy tego w ten sposób.

– A jak?

– Że Peder miał trochę dorosnąć.

Dina mogła sobie oszczędzić mieszania się w sprawy rodziny Olaisenów, pomyślał sobie. Bo teraz musiała płacić za to Hanna i dzieciak.

– Czy on jest w domu?

– Nie, popłynął na Lofoty kliprem „Svanen”.

– Kiedy wyruszył?

– Dziś rano.

– Dlaczego od razu nie przyszłyście?

– Hanna zawsze się boi, że on zawróci do domu.

Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił w jej stronę.

– Czy to się wcześniej zdarzało?

– Tak! – krzyknęła pod wiatr i poczłapała dalej.

*

Hanna chodziła dookoła salonu z dyszącym Konradem na rękach. Miał zaledwie dwa lata.

Kiedy wszedł za Sarą do środka, nie podniosła wzroku.

– Dobry wieczór – rzekł Beniamin.

Wargi jej się poruszyły, ale nie dobiegł z nich żaden dźwięk.

– Gdzie mogę znaleźć trochę ciepłej wody, żeby ogrzać ręce?

– Tutaj! – odparła Sara, prowadząc go w stronę kuchni.

Kiedy powrócił już sam, Hanna wycofała się do kąta, cały czas trzymając dziecko.

Udał, że tego nie widzi, wziął od niej chłopca i położył go na jadalnianym stole do badania. Drobną pierś ciężko się unosiła. Liczba oddechów na minutę była bardzo duża. Nozdrza miał rozszerzone, a skórę ciepłą i wilgotną. Mierzenie temperatury było zbędne. Całe ciało się trzęsło. Osłuchał i opukał pierś. Tego dźwięku nie można było z niczym pomylić.

– Chyba ma zapalenie płuc – powiedział w końcu, usiłując pochwycić jej wzrok. Ale uciekła oczami.

– Gdzie on śpi? Musimy go podeprzeć poduszkami, żeby mógł łatwiej oddychać.

Skinęła głową i poszła przodem, prowadząc go schodami na pierwsze piętro. W pokoju stało tylko małżeńskie łóżko oraz łóżeczko dziecięce. W piecu huczało.

– Trzeba go wykąpać w letniej wodzie i trochę schłodzić. Potrzebuje też soku z wodą. Przyniesiesz?

Zniknęła, a on zajął się napadem kaszlu. Kiedy tak stał zmiotanym dreszczami ciałkiem w ramionach, poczuł dawną słabość. Bezsilność. A jeżeli mu się nie uda?

Przyniosła niedużą balię i rozebrała chłopca. Dłonie jej drżały,

więc starał się pomóc. Trzymał trzęsące się drobne ciało zanurzone w wodzie, chociaż nie widać było żadnej poprawy. Potem zawinął dziecko w podany przez nią ręcznik.

Nie rozmawiali. Dopiero kiedy razem z nią usiadł przy łóżeczku, odezwała się:

– Nie powinieneś był brać go na kolana wtedy u Diny.

Pojął od razu, co miała na myśli. Mimo to odparł lekko:

– Przecież to było pół roku temu. Chłopak nie pochorował się od siedzenia na moich kolanach.

– Nie, ale Wilfred tak.

Dziecko zaczęło kaszleć. Podniosła je szybko i przytuliła do siebie.

Beniamin wziął dziecięcą kołderkę i chciał otulić ich oboje. Podskoczyła gwałtownie, a on stał, trzymając kołdrę w dłoniach.

Chłopiec w napadzie okropnego kaszlu chwycił za gors jej sukni. A kiedy go potem starannie układała, zapięcie jej stanika się rozchyliło. Na szyi i dekolcie widać było wielkie ślady zadrapań i ciemne placki.

– Hanno!

Wtedy spojrzała szybko w dół i zasłoniła się dzieckiem.

– Połóż go i otul, żeby miał ciepło – polecił ochrypłym głosem. Świszczący oddech dochodzący z dziecięcego łóżeczka był jedynym dźwiękiem w pokoju.

Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że łóżko ich śledzi. Kapa, umywalka, komoda, nocny stolik. Oczy Wilfreda wyzierały z każdego sęka i zakamarka.

Sprowadziła lekarza do swojego dziecka i teraz czekała na reprimendę i ciosy ze strony męża, który był tak daleko, że powrót do domu zajmie mu cały dzień. A on? Niczym mdłości wróciła

pamięć o strasznym zdarzeniu w jego dawnym gabinecie.

Musiał o tym pomówić. Pocieszyć ją. Ale jak? Przyszedł przecież do dziecka. Wszystko inne powinno poczekać.

– Musisz już iść! – rzekła nagle.

– Nie, Hanno!

Usłyszał, jak Sara rozmawia w korytarzu z dwoma starszymi chłopcami. Mieli położyć się do łóżek.

Hanna poszła do nich, zamykając za sobą drzwi. Usłyszał, że coś mówi, ale nie odróżnił słów. Potem wróciła i zaczęła niespokojnie krążyć pomiędzy łóżeczkiem a oknem.

– Chłopiec jest chory. Poważnie chory. Zostanę tu na trochę. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała.

– Możesz przecież pójść do innego pokoju, a ja będę czuwał.

Potrząsnęła głową i podeszła do łóżeczka. Usiadła i schwyciła dłoń malucha.

Minęło pół godziny, a ona nadal jeszcze nie wyprostowała pleców i nie słychać było jej oddechu.

Posłał Sarę do Anny z wiadomością, że zostanie, dopóki nie minie kryzys.

Kiedy widział, że chłopcu chce się pić, i próbował dać mu trochę płynu, ten nie był w stanie utrzymać go w sobie z powodu kaszlu. Podniósł go z łóżeczka i trzymając przy piersi, wetknął mu do ust szmatkę zwilżoną sokiem.

Dziecko ze świszczącym oddechem i zamkniętymi oczami ssało łapczywie.

Beniamin uświadomił sobie, że ona siedzi tuż obok i patrzy na niego wielkimi oczami. Uśmiechnął się, próbując dodać jej otuchy. Nie odwzajemniła uśmiechu, przeniosła tylko spojrzenie na

chłopca. Potem przyniosła kolejną ściereczkę i wytarła główkę dziecku ciągle trzymanemu przez Beniamina.

Nagle coś wydało mu się znajome. Nerwowy zapach spoconego kobiecego ciała. Krągłe ramię. Ruch ręki ze szmatką na mokrym czole. Karna pod Dybbøl.

*

Zrobiło się późno. Sara wróciła z życzeniami powodzenia od Anny. Przemykała się tam i z powrotem, przygotowując im kawę.

Pachniało. Pił zachłannie. Ale Hanna nawet nie spojrzała na kubek.

– Wypij trochę kawy, Hanno. Inaczej nie dasz rady czuwać – rzekła Sara, kuśtykając z powrotem w stronę drzwi.

– Idę teraz spać, ale pukajcie, jakbyście mnie potrzebowali.

Kiedy wyszła, a dziecko zaczęło drzemać nieco spokojniej, musiał z nią porozmawiać.

– Wiem, że to nie jest najlepszy czas, żeby o tym mówić. Ale nie możesz tak żyć latami.

Spojrzała na niego niemal zdumiona. Jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i zaobserwowała w przyrodzie coś, co ją zadziwiło. Błyskawicę. Wysoki przypływ.

Około trzeciej w nocy wszystko wskazywało na to, że zbliża się koniec.

Byli bezsilnymi świadkami walki maleństwa o każdy oddech. Chciała wziąć dziecko na ręce, ale uprzedził ją, a ona się nie sprzeciwiła. Odgłosy duszenia się były jak fizyczny ból. W słabym świetle lampy widział wpatrzony w siebie rozszerzone źrenice Hanny. Przez moment miał wrażenie, że dojrzał w nich własną twarz.

Nie zastanawiając się wiele, wetknął palec w gardło chłopca.

Głęboko, aż dziecko zwymiotowało na niego. Śluzem i treścią żołądkową. Maluch walczył tak zajadle, że krople potu pryskały na wszystkich troje.

Od czasu do czasu zwisał bezwładnie w ramionach Beniamina. Jakby żyły już tylko jego płuca. Potem wracały odruchy wymiotne.

Wyciągnęła ramiona. Kiedy podawał dziecko, dotknął w przelocie jej dłoni, ramienia, włosów. Ale dopiero dużo później zdał sobie z tego sprawę.

Dziecko leżało teraz na jej rękach.

To koniec, pomyślał. Uświadomił sobie mgliście, że stoi, obejmując ich oboje.

Kiedy ponownie usłyszał szybkie oddechy, najpierw nie mógł w to do końca uwierzyć. Ale po krótkiej chwili chłopiec znów oddychał. Ciągle ciężko i świszcząco. Ale oddychał!

Nie miał odwagi na nią spojrzeć. Wysilił się tylko na słaby uśmiech posłany gdzieś w przestrzeń, jednocześnie biorąc od niej dziecko i kładąc je na łóżku. Osłuchał. Ostrożnie opukał pierś. Policzył oddechy. Odłożył malucha z powrotem do łóżeczka.

– Mam wrażenie, że to był przełom i zaczyna się poprawa – rzekł i w końcu znalazł odwagę, żeby spojrzeć jej w oczy.

Kiedy nie zareagowała, schwycił jej dłoń. Była zimna i bezwolna.

Przez chwilę siedział, tuląc jej rękę w obu dłoniach i jednocześnie nadsłuchując oddechu dziecka.

– Spróbuj dać mu pić – szepnął.

Cofnęła dłoń, pochyliła się nad łóżeczkiem i podała chłopcu sok. Mały pił łapczywie i nie kaszłał.

Kiedy odstawiła kubek, podniosła na niego wzrok. Otworzyła usta w grymasie, który nie był ani płaczem, ani śmiechem.

– Dziękuję! Możesz już iść!

Po chwili podniósł się i podszedł do pieca. Dołożył kilka bierwion i ostrożnie zamknął drzwiczki. Potem powoli odwrócił się w jej stronę.

– Tak, teraz mogę pójść. Ale masz po mnie przysłać, gdybym był jeszcze potrzebny. Niezależnie od wszystkiego! Słyszysz?

Czekał, ale nie dostał odpowiedzi. Zamknął torbę doktorską. Jeszcze chwilę odczekał. Potem szybko przeszedł przez pokój i położył dłoń na klamce.

Wtedy podbiegła do niego. Poczuł jej ramiona na karku i usta gwałtownie błędzące po jego szyi.

Podniósł ręce. Stał, trzymając je w powietrzu. Potem objął ją i kołysząc, przytulił do siebie. Kołysał bez przerwy. Tak jak robił to z Karną, kiedy budziła się po napadzie.

– Już dobrze, dobrze – szeptał w jej włosy. – Spokojnie, moja mała Hanno. Teraz Sara posiedzi przy dziecku, żebyś mogła się przespać. Trzeba spać, spać. Później o wszystkim pomyślimy.

Nie wiedział, jak długo tak stali. Ale kiedy chciał się uwolnić i wyjść, zawołała dziko:

– Nie idź! Nie odchodź ode mnie!

Rozdział szósty

Kwiecień minął bez innych oznak wiosny niż krzyki mew i zapach ryb. I blady krąg gdzieś wysoko w bezbrzeżnych przestworzach, dający poczucie istnienia słońca.

Ale księga zamówień w stoczni Diny i Wilfreda Olaisena była stale pełna, a w hotelu Grand ogień buzował niekiedy we wszystkich pokojach naraz.

Przybywali ludzie, których nikt wcześniej nie widział w tych okolicach i którzy pozornie nie mieli w Strandstedet nic do roboty.

Od czasu do czasu do hotelu zawitał jakiś portowy brakarz, kupiec albo kapitan łodzi. I mężczyźni oznaczający szlak morski. Rada okręgu organizowała w jadalni swoje spotkania. Niekiedy nocowali tu członkowie rodziny naczelnika. Chętnie zatrzymywał się też biskup, gdy przyjeżdżał na swoje wizytacje lub rozmowy z pastorem. Oraz pomieszkiwał niekiedy ten i ów kaznodzieja, z tych sprytnych, co to potrafili skłonić ludzi do dawania pieniędzy.

Najczęściej jednak gośćmi byli panowie z kieszonkowymi zegarkami i okuciami na walizkach, oczekujący na statek płynący na północ lub południe. Z jakiegoś powodu było ich coraz więcej. Jakby hotel pani Diny w Strandstedet stanowił oczywisty przystanek w podróży, zanim wyruszą dalej do Tromsø albo

skorzystają z transportu drogami wiodącymi na południe.

Przez jakiś czas w pokoju w mansardzie pomieszkiwała wróżka. Ale kiedy okazało się, że pomimo wielu mężczyzn, którym postawiła wróżbę, nie była w stanie pokryć rachunku, podkuchenna, chichocząc, zwierzyła się przyjaciółkom, że pani Dina posadziła babę do obierania ziemniaków i zabrała w zastaw szklaną kulę. Wróżka uciekła kuchennym wyjściem z rybakiem z Gratangen, ale kuli nie zabrała.

Zdarzało się, że ludzie dyskretnie i oczywiście całkiem niewinnie próbowali wypytać Bergljot, czy ktoś z podróżnych bywa też w części prywatnej. I dostawali odpowiedź.

– Dina gra u siebie w szachy z redaktorem i przyjmuje rodzinę doktora. Nie ma tam miejsca na wydawanie obiadów ani przyjmowanie obcych ludzi!

Ktoś słyszał, że Wilfred Olaisen musiał stawić się u pani Diny. Podobno tak bardzo chciał rozwijać działalność stoczni, że przyjmował naprawy na niedostatecznie jasnych warunkach finansowych. Ale Bergljot sprostowała to we właściwy sobie sposób.

– Ona nigdy nie rozmawia o interesach we własnym domu. Jak by to wyglądało? A o czym mówi w biurze, tego ja przecież już nie słyszę. Co macie na myśli? Nigdy nie słyszałam, żeby padło jedno złe słowo między Olaisenem a panią Diną.

Niemniej prywatna część hotelu Grand stała się pożywką dla ludzkiej ciekawości. Drzwi wejściowe, przez które nikt nie mógł swobodnie przechodzić tam i z powrotem, najlepiej w majestacie przyzwoitości i o każdej porze dnia i nocy, przyprawiały o ból głowy nie tylko Ruth Olesen.

Krażyły pogłoski, że Olaisen i Dina zamierzają zbudować nową pochylnię i rozszerzyć interes. I że to z tej przyczyny Peder Olaisen

został wysłany do Trondhjem.

Telegrafista wiedział prawie na pewno, że Dina zakupiła od kościelnego wyjątkowo długi kawałek ziemi wzdłuż plaży. Nie do końca wiadomo było, co zamierza z nim zrobić. Ale taki wąski grunt nie nadawał się do niczego innego niż na zakład powroźniczy. A zatem ubiegła Olaisena. Bo on już od dawna o tym mówił.

Kościelny, który po Olaisenie był największym obszarnikiem w okolicy, potwierdził zgodnie z prawdą, że ten kamienisty, usłany zgniłymi wodorostami nieużytek rzeczywiście został sprzedany pani Dinie. Ale zupełnie nie pojmował, do czego był jej potrzebny, bo nie nadawał się nawet do suszenia sztokfiszy.

*

Sara, stojąc za zamkniętymi drzwiami prywatnej części hotelu, wypowiedziała zaledwie kilka słów. Nawet na chwilę nie usiadła. I wyszła tylnymi drzwiami. Bo w ogóle jej tam nie było!

Dina włożyła wygodne buty oraz gruby płaszcz i ruszyła w drogę do domu Olaisenów. Bez zaproszenia. Hanna leżała w łóżku, a Wilfred Olaisen popłynął na południe kliprem „Svanen”. Dokąd ani jak daleko, tego Sara nie wiedziała.

Było więcej niż dostrzegalne, że najbardziej znaczący człowiek w Strandstedet mieszka właśnie tutaj. W szacownym miejscu, z trzema synami, żoną i jej siostrą. Jego dom był otwarty dla znajomych i partnerów w interesach. Przewodniczący miał dwie służące i opiekunkę do dzieci, a prócz tego człowieka do cięższych prac i pielęgnacji ogrodu.

Hanna wygodnie się urządziła. Trudno byłoby twierdzić coś innego. I nikt tego nie kwestionował. Dina słyszała, jak ludzie opowiadają, jakoby Wilfred Olaisen miał gwałtowną naturę.

Ale już w tym samym zdaniu wyrażali podziw dla jego osiągnięć.

Czegokolwiek się dotknął, stwarzał miejsca pracy. Każdy dostawał o czasie swoje wynagrodzenie. Pomagał w znalezieniu dachu nad głową i sprawach bytowych.

Obserwowanie go razem z synami stanowiło prawdziwą uciechę. Żaden ojciec nie był bardziej kochający niż Wilfred Olaisen. Żaden bardziej przyjacielski i pełen dobrego humoru. Pomijając oczywiście tę gwałtowność. Ale każdy miał swoje wady. Trzeba było pilnować własnego podwórka!

Na drzwiach domu Olaisenów wisiała kołatka. A służąca, która otworzyła drzwi, miała wykrochmalony fartuch. Na całej jej bladej twarzy odbijało się przerażenie widokiem pani Diny stojącej na schodach.

– Nie, pani Olaisen nie czuje się dobrze i nie przyjmuje wizyt i...

– Oczywiście, tyle rozumiem. Dlatego właśnie przyszłam – rzekła Dina, delikatnie odsuwając służącą na bok i wchodząc do środka.

Dziewczyna stała teraz przed zamkniętymi drzwiami wyjściowymi i nerwowo wylaamywała palce, a Dina w tym czasie szła już w górę po schodach.

– Gdzie ona leży?

Padła odpowiedź niejasna, ale wystarczająca dla osoby obytej z dużym domem i wieloma pokojami.

*

Zasłony były zaciągnięte. W powietrzu unosił się słaby zapach wody różanej i jodyny. Wszystko lśniło i panował nieskazitelny porządek. Łóżko było szerokie i okryte lekkim jak piórko baldachimem z muślinu, spływającym spod sufitu. Pozornie bajkowa atmosfera mogła przywodzić na myśl *Baśnie tysiąca i jednej nocy*.

Hanna z zamkniętymi oczami leżała w wielkim łóżu. Nie

otworzyła ich, kiedy weszła Dina. Jej czoło i jedno oko zasłonięte było okładem z ręcznika. Zimnym czy ciepłym? Górną wargę miała spuchniętą, a policzek zasiniony. Tyle można było zobaczyć bez odkrywania koca.

Dina zamknęła drzwi, chwyciła krzesło i bez słowa usiadła przy łóżku.

Hanna otworzyła oczy. Przesunęła odrobinę ręcznik, żeby lepiej widzieć. Spojrzenie miała matowe. Jakby nie do końca była obecna.

– To ty? – zapytała tylko ledwie słyszalnym głosem.

– Widzę, że nie tylko przewróciłaś się, potykając o dywan – stwierdziła Dina.

Hanna nie odpowiedziała. Spróbowała podnieść się nieco na łóżku, ale nie była w stanie. Wyciągnęła natomiast dłoń po szklanekę z wodą, stojącą na nocnym stoliku.

– A więc ciągle to robi? – zapytała Dina, pomagając jej.

Hanna opadła z powrotem na poduszkę.

– Otwórz okno, bardzo cię proszę – powiedziała zupełnie cicho.

Dina otworzyła. Stała przez chwilę, przyglądając się wypielegnowanemu ogrodowi. Młoda dziewczyna bawiła się w nim z dziećmi.

– Jak często cię bije? – zapytała, kiedy usiadła z powrotem.

Hanna zrobiła obronny ruch dłonią.

– Ale teraz właśnie tak było? Więc chyba możesz ze mną o tym porozmawiać.

Z łóżka dobiegł zduszony, piskliwy dźwięk. Ale najwyraźniej słowa nie istniały. Dłoń Hanny spoczywała na kocu. Niebieskawa, z wielką, otwartą raną.

– Jak to się stało z ręką?

– Ma dobre buty podróżne. Z metalowymi okuciami.

Dina wypuściła powietrze jednym kącikiem ust. Nozdrza jej się rozszerzyły.

– Poślę po Beniamina, może masz coś złamane?

– Nie! – Hanna zrobiła gwałtowny ruch. – Zrośnie się!

Przez otwarte okno dobiegały jasne, chłopięce głosiki. Najstarszy usiłował coś wyjaśnić pozostałym dwóm.

– Czy widzisz się jeszcze z Beniaminem? – zapytała nagle Dina.

Hanna wpatrywała się w nią oczami osadzonymi w bezkrwistej twarzy i nic nie odpowiedziała.

– Nie przyszedłam tu po to, żeby moralizować. Tylko zobaczyć, co należy zrobić – dodała Dina.

Słowa Hanny najpierw były bezładne i prawie niezrozumiałe. Jakby była już tak przyzwyczajona, że jeśli chce siebie ochronić, to musi kłamać, iż przestała dostrzegać, kiedy jest to niepotrzebne.

Beniamin był u niej pewnego zimowego wieczoru. Konrad miał zapalenie płuc, a Wilfreda nie było w domu.

– Sara poszła po Beni... doktora...

– Całe Strandstedet wie, że maluch był zimą chory. Więc skąd teraz nagle?

– Nie mówiłam Wilfredowi, że doktor tu był. I kiedy siedzieliśmy przy obiedzie... Rikard niechcący powiedział, że doktor wtedy przyjechał...

– Czy chłopak widział, jak on cię bije?

– Nie, bo poczekał. Aż w domu wszyscy zasną.

Twarz Diny na moment odsłoniła uczucia. Niedowierzenie. Wstręt. Wściekłość.

– A służące? Musiały przecież słyszeć?

– Dał im wolne. Poszły na tańce... We wszystkim, co robi... jest dobry.

Głos miała pusty. Nie było w nim nawet cienia oskarżenia.

– To musi się skończyć! – stwierdziła Dina.

– Następnym razem... może uderzy dostatecznie mocno.

– Nie życzę tego żadnemu z was. Nie zrobił się miłszy po tym, jak poroniłaś?

– To było już całe wieki temu.

– A Peder? O co chodziło?

– Chyba nie docierało do mnie, że jest aż tak źle, póki nie zaczął podejrzewać swego brata, tego chłopca...

Dina siedziała przez chwilę. Rozglądała się po pokoju. Patrzyła na zasłony. Lampkę nocną. W końcu spojrzała prosto na Hannę.

– A wcześniej przyszło ci to do głowy? Że on uważa, iż ma powód?

Twarz Hanny się rozplynęła.

– Zostanę tutaj do jego powrotu – rzekła Dina po chwili.

– To tylko pogorszy sprawę.

– Wówczas się z nim zmierzę! – powiedziała, a jej oczy się zwęziły.

*

Wieczorem Wilfred Olaisen uznał, że czas wracać do domu. Pogoda nie była najlepsza. W połowie drogi wydał rozkaz powrotu. Sternik spodziewał się tego. Nie tyle ze względu na pogodę, ile raczej z powodu wyrazu twarzy Olaisena, który nagle, właściwie bez uprzedzenia, postanowił wyruszyć na Lofoty bez ładunku.

Olaisen spodziewał się, że na niego czekają. Więc najpierw skierował kroki do stoczni. Długo i ze szczegółami omawiał różne sprawy z majstrem i robotnikami. Zajrzał do redaktora gazety, a około dziewiątej wynajął wóz, żeby dojechać do domu.

Dziewczyna pośpiesznie podbiegła do drzwi, żeby mu otworzyć, tak jak robiła to zawsze, kiedy pani Olaisen nie była w stanie.

Aniołki, jak nazywał je Olaisen, leżały już od dawna w łóžeczkach. Wiedział o tym, lecz mimo to zapytał o dzieci. Dawało mu to pewien rodzaj spokoju.

Widząc płaszcz wiszący w korytarzu, zeszywniał.

– Odwiedziny?

– Pani Dina tu jest. Przyszła tylko... Pani jest chora – dodała służąca takim głosem, jakby można było ją osobiście za to winić, nie patrząc przy tym na mężczyznę.

– Ach tak – stwierdził rzeczowo Olaisen. Ale twarz mu stężała. A wraz z tym nadeszła przemiana, którą nawet służąca potrafiła odczytać. Pomogła mu zdjąć płaszcz i odwiesiła go na miejsce. Przez chwilę zajęła się czymś pilnym w kącie korytarza, a potem dygnęła i zapytała, czy chciałby coś zjeść. Nie chciał.

Kiedy Olaisen został sam w przedpokoju, długo stał przed lustrem. Zazwyczaj jego gesty były szybkie i zdecydowane, ale tego wieczoru spokojnie wszedł do salonu i nalał sobie trunku.

Nawet jeśli ruchy miał powolne, to jego głowa pracowała pod ciśnieniem. Zanim opróżnił kieliszek, gotów był na spotkanie z panią Diną. Poszedł schodami w górę i zapukał do drzwi swojej własnej sypialni. Nikt nie powiedział proszę, więc odczekał chwilę, choć nie było to jego normalne zachowanie. Mógłby nazwać je przestrzeganiem koniecznych względów.

Dina wypełniła sobą całą framugę drzwi, ale on widział tylko niewyraźną postać w łóžku.

– Ależ Hanno, co się stało? – krzyknął w zdenerwowaniu.

Nie otrzymał odpowiedzi, więc kontynuował:

– Cóż za szok. Gdybym wiedział, że coś ci jest, w życiu bym nie wyjechał! Na szczęście musieliśmy zawrócić. Pogoda zrobiła się bardzo zła.

Wierząc już sam w swoje słowa, mówił dalej:

– Jeśli tylko miałbym pojęcie, że jesteś chora, to...

– Gdzie możemy porozmawiać w cztery oczy? – zapytała Dina bez powitania.

Chciał wejść do środka. Ale położyła mu dłoń na piersi i wypchnęła go do korytarza, wychodząc za nim. Potem zamknęła drzwi.

– Chciałam posłać po doktora. Ale ona nie ma odwagi.

– Czy to aż tak poważne? – spytał z troską.

– Nie zamierzam odpowiadać na takie niewinne zagajenia.

Możemy zejść do salonu?

Oczywiście, mogli. Zachowywał się w sposób pełen galanterii, puścił ją przodem po schodach, dziękując jednocześnie za to, że przyszła. To naprawdę nadzwyczajne z jej strony.

– Uspokój się! – poleciła Dina, schodząc po schodach.

Już w salonie to on zamknął drzwi do innych pomieszczeń, żeby zostali sami. Przez cały czas patrzył na nią z uwagą. Ktoś musiał zachować spokój.

– Usiądź! – nakazała, wskazując mu krzesło koło pieca kaflowego, jakby to on był tu gościem, a nie ona.

Usiadł, moszcząc się wygodnie. Potem dłonią wskazał jej miejsce. Nie miał trudności z patrzeniem w oczy.

Ale Dina pozostała na stojąco, z rękami wspartymi o biodra. Przypomniawszy sobie mgliście, że widział to już wcześniej.

– Ostrzegałam cię! A jednak znów to robisz!

Wpatrywał się w nią szczerym, pytającym spojrzeniem.

– Nie udawaj! Znów ją pobiłeś do nieprzytomności!

– Ależ droga... gdyby pani Dina zechciała zachować spokój, to mógłbym może...

– Twoje przekonanie, że Hanna ma romans z twoim własnym bratem i z Beniaminem, to nie moja sprawa. Ale to, że ją co chwilę bijesz, to już owszem! Postanowiłam, że to moja sprawa! Mam z tobą umowę w interesach, Wilfredzie Olaisenie. Nie dotrzymałeś swojej części. I będzie to miało daleko poważniejsze skutki, niż myślałeś.

Podeszła bliżej. Jeszcze krok i mógłby jej dosięgnąć. Miał białą twarz, usta wykrzywione, a całe jego piękne oblicze było zmienione.

– Nie rozumiem?

– Zapomniałeś już, co powiedziałam w dniu, kiedy pokazałam ci płód, który spędziłeś z ciała Hanny? – powiedziała szeptem.

Podniósł dłoń, ale zaraz położył ją z powrotem na kolanach.

– Pamiętasz, co powiedziałam?

Kolor twarzy mu się zmienił. Wściekłość zniknęła. Ładnie ukształtowane usta przypominały niespokojne, ale pełne męskości dzieło sztuki. Łuk kupidyna rozciągał się nerwowo pod starannie wypielęgnowanymi węsami.

– Czy Hanna skłamała tylko po to, żeby...?

– Nie musi kłamać na temat czegoś, co sama widzę.

– To kłamstwo! Kłamstwo!

Kiedy tak się bronił, coś stało się z jego głosem. Zmienił się w błagalny, jak u małego chłopca, który został przyłapany na oszustwie.

Wtedy zrobiła ostatni krok w jego stronę, chwyciła go za karczek koszuli i okręciła materiał wokół dłoni, ciągnąc go przy tym za włosy na piersi.

– To takie samo kłamstwo jak to, że stoję tu teraz i rzucam ci wyzwanie. Bij mnie! Uderz mocno! Bo bardzo pragnę ci oddać. Pobić cię do nieprzytomności za to, co zrobiłeś!

Usiłował się uwolnić, ale trzymała go mocno. Próbował wstać. Lecz ona przyciskała go całym ciałem.

– Marzę o tym, żeby dać ci taką nauczkę, że pożałujesz, iż kiedykolwiek tknąłeś córkę Stine.

W kącikach ust miała pianę, ale uśmiechała się, jakby napawając się tym wszystkim.

Wilfred Olaisen nie był przyzwyczajony do czegoś takiego. Mógłby jednym ciosem powalić ją na podłogę. Ale przecież nie bije się kobiety, która jest współniczką w interesach. To mogłoby się nie opłacać.

Wilfred Olaisen nic więc nie odpowiedział. Zamiast tego trzymał ręce wyciągnięte przed siebie. Bez żadnej groźby. Tylko jako zwykły gest obronny. Bo dotarło do niego, że ma przeciwnika.

Sytuacja stała się zupełnie niewiarygodna, kiedy go puściła i usłyszał:

– Podnieś się, chłopcze! Bij!

Zerkał na boki. Jakby chciał się wymknąć i uciec. Strzygł uszami w stronę drzwi i okien. Czy ktoś był świadkiem tych szalonych scen?

– Nie rozumiem... Nie mam przecież żadnego powodu, żeby...

– Nie, ale dostaniesz ten powód!

Stał sparaliżowany.

– Nie masz odwagi? Pokaż, że jesteś prawdziwym mężczyzną, który potrafi się bić! Uderz! Mocno! Zrób to, co potrafisz najlepiej! Katować kobiety! Prawda? Wal!

Jej szept przetaczał się nad nim jak grzmot. Ale nie należało bić się ze współniczką. Istniały przecież jakieś granice.

– Wstań! – syknęła nad jego głową.

– Dobrze, że nikt nas nie widzi. To jakieś szaleństwo –

wykrztusił w końcu.

– Nie masz odwagi? Mam uderzyć pierwsza?

Kręcił głową i trzymał wyciągniętą przed siebie dłoń, próbując ją uspokoić.

W tym momencie uniosła zaciśniętą pięść i wymierzyła mu cios w nasadę nosa. Rozległ się cichy chrzęst. Krew trysnęła na koszulę.

Zasłonił twarz rękami z wyrazem niedowierzania na twarzy. Potem zerwał się na nogi.

Błyskawicznie zrobiła dwa kroki w tył i schwyciła pogrzebacz.

– No, dalej! – wysapała z błyszczącymi oczami.

– Jesteś szalona! – zawołał z powątpiewaniem.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Patrzył na nią, jak stoi tam, oburącz ściskając pogrzebacz. Czujna. Miała coś dziwnego w spojrzeniu. Zdecydowanym, twardym i przejrzystym jak szkło. Przemyślała to. Planowała. Była zdolna to zrobić.

Z wyciągniętymi ramionami zrobił krok w jej kierunku. Jak poddające się zwierzę. Ale ona błyskawicznie uniosła pogrzebacz.

Kiedy próbował ocenić, na ile jest silna lub jak mógłby chwycić ją za przedramię, rzeczywistość rozmyła się wokół Wilfreda Olaisena. Czuł to i nie czuł zarazem. Ale głównie słyszał. A jednak nadal nie wierzył. Że uderzyła.

Musiał upaść, bo kiedy doszedł do siebie, leżał na przewróconym stole. Pogrzebacz wisiał spokojnie na swoim miejscu.

Służąca usłyszała hałas i stała teraz w drzwiach.

– Olaisen miał pecha i nieszczęśliwie upadł na piec. Przynies ściereczkę i obetrzyj go – usłyszał.

– Boże święty! – zawołała dziewczyna.

– Jeśli krwawienie nie przejdzie, musimy posłać po doktora –

rzekła zdecydowanie Dina.

Pomogły mu przejść na sofę, a służąca pobiegła po wodę.

– Daj mi lepiej wódki – wyjęczał cicho Olaisen.

Dziewczyna przyniosła kieliszek i karafkę.

– Możesz iść. On potrzebuje spokoju – stwierdziła Dina, biorąc kieliszek i przykładając mu go do ust.

Patrzył na nią z osobliwym wyrazem twarzy.

– Tylko teraz nie próbuj bić, już jest za późno – wyszczerzyła szyderczo zęby.

– Mogłaś mnie pozbawić życia – powiedział, łapiąc się za głowę.

– Może się zdarzyć, że następnym razem trafię niefortunnie... Ale wydaje mi się, że będę miała więcej przyjemności z doprowadzenia cię do ruiny. Musisz wybrać. Następnym razem, kiedy ją uderzysz...

Mierzyli się wzrokiem, usiłując w miarę możliwości ustalić, co dzieje się w głowie drugiego. Coś narodziło się między nimi. Świeża nienawiść? Rodzaj mściwego przymierza? Ciekawość? A może po prostu zrozumienie dla szaleństwa.

Trudno było ocenić, czy chodziło o to właśnie, czy też nie doszedł jeszcze do siebie po ciosie. Ale dosłownie w ciągu jednej chwili Olaisen doznał przemiany.

– Nie chciałem, żeby tak się stało. Nie wiem, co mnie napadło. Ale ich coś łączy. Cały czas. Wiem o tym! – rzekł takim tonem, jakby chciał jej się zwierzyć. Jego głos brzmiał, jakby rozmawiał z matką, a nie z partnerką w interesach. Pogrzebał w kieszeni i wyjął chusteczkę. Wydało się to naturalne. Miał przecież ranę na głowie. A potem powiedział parę słów o najgorszym, co mogło go spotkać. Byciu zdradzonym.

– Otwiera się we mnie jakaś śluza, prowadząca prosto do piekła.

Za jej sprawą... Przestaję być sobą.

Dina usiadła.

– Lepiej uważaj. Bo masz ciężką rękę. Następnym razem możesz ją zabić. Czy tego chcesz?

– Nie, Boże przebacz, oczywiście, że nie. I chłopaczki, moje anioły na ziemi. Przecież nie chcę skrzywdzić ich matki. Nie wolno ci tak myśleć.

Chusteczkę miał cały czas pod ręką, bo tak strasznie bolała go głowa.

– Nie sądzę, żebyś dał radę żyć z myślą, że ją zabiłeś. Zastanawiaj się nad tym dzień i noc, aż zrozumiesz. Również to, że jeśli ona zniknie z tego świata, to ty też nie będziesz jej miał.

Stwierdziła to w taki sposób, jakby rozmawiali o liczbie robotników, których mogą wziąć do pracy, nie tracąc przy tym nic z zysku.

Słuchał pełen czegoś na kształt uprzejmego przerażenia.

– Czy zamierzasz rozpowiedzieć o tym dookoła? – zadał po chwili pytanie.

Spojrzała na niego ze współczuciem.

– Ja? Nie, tym zajmą się inni. Już słyszałam pogłoski. Że Olaisen bije swoją kobietę.

– Kto tak powiedział?

– Cóż, twoi robotnicy w stoczni. Służąca też na pewno zwierza się tu i ówdzie.

Dwoma palcami dotknął ostrożnie tyłu głowy.

– Kurwa! Jak to boli!

– Tak, nie wątpię. Ale i tak skończyło się dobrze.

Nalał sobie kolejny kieliszek, nie pamiętając, żeby jej również zaproponować.

– Czy mówią też o tamtym? Że Hanna i on...

– Nie, to istnieje tylko w twojej głowie. Ale jeśli będziesz tak bił, to zaczną pewnie myśleć, że masz jakiś powód. Wyrzuciłeś przecież swojego brata. Chłopaczka! Więc ludzie będą mieli niezły ubaw, kiedy okaże się, że przewodniczący komisji jest po prostu durniem.

Wyprostował się.

– Chcesz kieliszek? – zapytał.

– Nie, dziękuję, przestałam topić swoje smutki w butelce. Na dłuższą metę tak jest najlepiej.

Uśmiechnęła się lekko, ale on jakby nie zrozumiał.

– Coś w tym jest. Z nimi!

– Łatwo jest wyobrażać sobie najgorsze rzeczy o dwojgu ludziach, którzy bawili się ze sobą, jeszcze zanim nauczyli się chodzić, spali w tym samym łóżku do czasu dorastania, płakali i śmiali się razem. Krążyli wspólnie dookoła choinki. Pocięzali się...

– Czy wiedziałabyś, gdyby coś między nimi było? Powiedziałałby ci?

– Nie, ale on jest słabym kłamcą.

– Ale te wszystkie spotkania... w wielu miejscach... o których ja nic nie wiem.

– Chyba wolno jej było wezwać doktora do Konrada?

– A wcześniej? W łódce? Nie mogę tego zapomnieć...

– To ją wyrzuć! Ale nie zabijaj. Na dłuższą metę przegrasz tę walkę.

Zapadła cisza.

– Czyż nie? – rzekła, wyciągając dłoń i kładąc mu ją na kolanie.

Podskoczył.

– To byłby straszny wstyd, gdyby ludzie się dowiedzieli – wybąkał.

– Kiedy uderzyłeś ją po raz pierwszy?

Schował głowę w dłoniach.

– Kiedy? – powtórzyła.

– Gdy zaraz po ślubie byliśmy w Reinsnes. Miałem wrażenie, jakby coś między nimi było.

– A Anna? Ona też tak sądziła?

– Nie wiem, czy ją obchodzą takie rzeczy.

– Spójrz na mnie! Jak sądzisz, czy jest na świecie ktoś, kogo to nie obchodzi?

– Ty! – odparł, patrząc na nią wzrokiem, w którym widać było nieomal zaufanie.

Wtedy otworzyła usta w taki sposób, jakby chciała się zaśmiać. Ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Idź na górę do Hanny i zapytaj, czy nadal cię chce. A jeśli nie, to mądrze postępuj, nie ruszając jej nawet palcem. Przyjdź lepiej do Grandu i weź sobie pokój. Stawiam.

– Jesteś szatańską kobietą!

– Proszę! A więc jest w tobie resztką życia, co?

Kiedy stała już w drzwiach, zamierzając odejść, dodała takim tonem, jakby dopiero co sobie o tym przypomniała:

– Mam zwyczaj dotrzymywać obietnic. Skontaktuje się z tobą radca. I nie próbuj więcej!

Zatrzasnęła za sobą drzwi, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

*

Trudno ocenić, czy był to przypływ dobroci serca, ale Dina wycofała tylko połowę swojego kapitału zainwestowanego w stocznię. Wynajęła natomiast ludzi do budowy zakładu powroźniczego. Zrobiła to w takim tempie, że Olaisen pojął, iż musiała przygotować się wcześniej.

Olaisen miał znajomości w banku. Pożyczył brakującą mu kwotę i załatał dziurę. Bank wzięty tytułem zastawu jego okazały dom. Wszystko odbyło się po cichu.

Dina po prostu zaprosiła redaktora na partię szachów i dzięki temu nie pisano o tym w gazecie.

Wycofała się jednak z pracy przy rachunkach, więc Olaisen musiał zatrudnić buchaltera.

Po sezonie mimo dobrej koniunktury zyski stoczni spadły.

Ludzie przebąkiwali, że Olaisen próbował trzymać zbyt wiele srok za ogon. I w końcu zaczęło mu do tego brakować rąk. Za dużo czasu poświęcał roli armatora oraz budującego drogi przewodniczącego, a za mało zarządzał własnym przedsiębiorstwem. No i nie miał pod ręką brata, którego mógłby zagonić do roboty. Chłopak nadal przebywał w Trondhjem, żeby wyjść na ludzi.

Natomiast zakład powroźniczy pani Diny wiosną tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku zaczął rozkwitać. Rozciągał się na płaskim kawałku ziemi koło stoczni niczym smołowana kiszka. Chętnie zatrudniała w nim robotników zwalnianych przez Olaisena.

Rozdział siódmy

Babcia zaprosiła ich na muzyczną kolację w hotelu, jak to nazywała. Była chłodna niedziela na początku maja.

Nad fiordem kłębiły się gęste chmury gradowe, a brudny śnieg, który dawno już powinien był zniknąć, pokrył się cienką warstwą perłowych ziarenek.

Jedzenie u babci zawsze było dobre. W przytulnej jadalni siedzieli tylko we czwórkę. Na kłamece od zewnątrz wisiała tabliczka z napisem „Zamknięte w związku ze spotkaniem prywatnym”.

Karna lubiła to duże pomieszczenie pełne pustych, równo ustawionych stołów. I fortepian stojący w rogu. Teraz już potrafiła na nim grać. Ale nie tak dobrze jak Anna. Babcia miała tyle miejsca. Prawie jak w Reinsnes. A kiedy zawieszała na drzwiach tabliczkę, mieli to wszystko wyłącznie dla siebie.

Przy deserze Anna opowiadała historie ze szkoły. Kiedy skończyła, babcia oświadczyła z uśmiechem:

– Póki pamiętam... Aksel przypląwa następnym parowcem.

Anna właśnie podnosiła do ust trzy wekowane maliny moroszki. Ułożyła je teraz spokojnie z powrotem na spodeczku. O wiele za spokojnie.

– To wielka nowina! – rzekła.

Tatuś z cichym stuknięciem odłożył łyżkę, nie patrząc na babcię.

– Aksel? Tutaj? – zapytał.

Karna natychmiast pojęła, że ten Aksel nie jest najlepszą sprawą, jaka mogła im się przydarzyć. Spociły jej się dłonie.

– Jaki Aksel? – zapytała, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

– Nasz znajomy z Kopenhagi – odrzekła Anna.

– A jako czyj gość przyjeżdża? – zapytał tatuś takim tonem, jakby mówił o Olaisenie.

– Będzie gościem hotelu Grand – odparła pogodnie babcia.

– Czy to uchodzi?

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, Karna uświadomiła sobie, że nie pamięta, aby tatuś kiedykolwiek spytał, czy coś uchodzi.

Twarz babci zmarszczyła się w uśmiechu, tak jakby tatuś powiedział coś zabawnego.

– Zapomniałeś, zdaje się, że kiedyś wspólnie z Akselem zaznawaliście radości studenckiego życia. Słyszałam to i owo o naruszeniu przy tej okazji manier wymaganych od człowieka z porządnego domu. Poza tym hotel Grand ma służyć właśnie podróżującym.

Karna zauważyła, że tatuś rzucił szybkie spojrzenie w jej stronę. Chyba nie podobało mu się, że słucha tej rozmowy.

– Wyrośliśmy prawdopodobnie na równie porządnym ludzi jak cała reszta – stwierdziła Anna z uśmiechem, przytulając się do tatusia w taki sposób, jakby potrzebował pociechy.

– Kim on jest, ten Aksel? – zapytała Karna.

Anna i tatuś wymienili spojrzenia.

– Wspólnym przyjacielem. Najpierw Anny. Potem Beniamina.

A w ostatnich latach głównie moim. Może dokładkę deseru? – zapytała babcia, podając jej moroszeki.

Karna nabrała sobie owoców, ale pozostali potrząsnęli głowami.

– Co on tu będzie robił? – zapytał cicho tatuś. W jego głosie pobrzmiwała jakby groźba.

– Wybiera się w ostatnią kawalerską podróż przed ożenkiem z pewną damą z Hamburga – wyjaśniła babcia i zadzwoniła mosiężnym dzwonkiem na służącą.

– Wypijemy kawę w prywatnej części! – rzekła, skinieniem głowy nakazując dziewczynie opuścić pokój.

– Sądziłam, że to dobra nowina? – stwierdziła z uśmiechem po wyjściu służącej.

– Przez cały czas miałas z nim kontakt? – spytał tatuś.

– Nie za często, ale regularnie. Jego praktyka chyba wreszcie ruszyła pełną parą. Wzeni się w rodzinę przemysłowców stocznioowych. Dobrze ich znam.

Tatuś sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się zdecydować, co ma zrobić z rękami. A Anna wyraźnie to dostrzegała.

Kiedy nikt już się więcej nie odezwał, Karna zapytała:

– Czy on naprawia łodzie?

– Nie, jest lekarzem. Beniamin i Aksel studiowali razem w Kopenhadze. Znałam go przez całe moje życie – wyjaśniła Anna.

– Dlaczego nigdy o nim nie opowiadaliście?

– Faktycznie, chyba nie mówiliśmy o nim? – rzekła Anna, spoglądając na pozostałych.

– Dlaczego pojechał do Berlina, skoro jest z Kopenhagi?

Zapadła cisza.

– Ze względu na mnie – odparła w końcu babcia.

– Dino! – w głosie tatusia słycać było ostrzeżenie.

– Beniaminie, masz skłonność do zabiegania o pozory – stwierdziła babcia równie ostrzegawczo.

Karna nie czuła się najlepiej, ale zmuszona była się dopytać. Musiała wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jak to ze względu na ciebie? – zapytała, przełamując opór, żeby spojrzeć na babcię.

– Chyba przejdziemy już do części prywatnej na kawę – stwierdziła babcia, wstając.

– Nie będziemy grały dziś wieczorem? – zapytała Karna.

– Zejdziemy później na dół – rzekła babcia i już wchodząc po schodach, ujęła tatusia pod ramię.

*

Babcia sama naląła kawy. Karna również trochę dostała.

– Zadałaś pytanie, Karno. Chcę ci na nie odpowiedzieć. Aksel i ja byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Kochankami.

Tatusz wyglądał na rozgniewanego. Podniósł się i stał przy oknie z rękami zaplecionymi na plecach.

Karna zastanowiła się szybko, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

– A co z Andersem? – szepnęła.

– Anders był tutaj. A Aksel w Berlinie. Tak to wyglądało.

Coś pękło tuż przed jej oczami. Nic nie widziała. Czuła taki ból, że ogarnęła ją wściekłość. Przelykała ślinę, machając bezradnie rękami. Musiała coś powiedzieć. Płakać. Ale nic nie zrobiła. Wstała tak gwałtownie, że filiżanka się przewróciła. Kawa zalała spodeczek i obrus. Nikt jej nie ruszył. Leżała, kołysząc się lekko na boki.

Nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Było zbyt wstrętne. Anders leżący na podłodze z głową na kolanach babci. Anders,

który zawsze krążył samotnie po wzgórzu z masztem, zanim babcia nie wróciła z Berlina.

Stojąc tak, Karna poczuła się zupełnie mała.

– Jakie to okropne! Szkaradne! – szepnęła.

– Tak – zgodziła się babcia, okrążając stół, żeby do niej podejść. Na szczęście nie dotknęła Karny. Zatrzymała się tylko obok niej i powiedziała:

– Sądziłam, że będzie najlepiej, jak dowiesz się tego ode mnie.

Anna siedziała wpatrzona w podłogę, jakby nieobecna. Potem spojrzała na babcię w taki sposób, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Tatuś podszedł do stołu i usiadł, rozglądając się dookoła dzikim wzrokiem. Schwycił swoją serwetkę i przyklepał ją do brązowej plamy po kawie na obrusie, a potem rzekł:

– Czy to było konieczne?

– Wydaje mi się, że tak. Aksel przecież i tak przyjedzie – odparła babcia z powagą.

– I wyjedzie! Wydawało mi się, że nie jesteś w stanie pogodzić się z opuszczeniem – rzekł cicho tatuś. Słowa wyrzucone kącikiem ust zabrzmiały jak warczenie psa.

Co tu się działo?

– Aksel nigdy mnie nie opuścił, Beniaminie. To ja go zostawiłam. A teraz on się żeni.

– Więc po co przyjeżdża tutaj? – zapytał tatuś.

– Sam go zapytasz, jak już będzie. Ja go tylko przyjmuję. To wszystko.

– I zamierzasz pozwolić mu odjechać w taki sposób, żeby włos nie spadł mu z głowy? – powiedział tatuś. Ledwo była w stanie zrozumieć, co mówi.

– Tak – odrzekła babcia.

– A co jego narzeczona mówi na tę... tę wyprawę?

Tatuś warczał jak pies.

Anna wyglądała na zmęczoną.

– Zakładam, że jest w stanie rozmawiać ze swoją narzeczoną bez mieszania mnie do tego – stwierdziła babcia.

A po krótkiej chwili dodała:

– Mam nadzieję, że nie odmówicie, kiedy zaproszę was tutaj na spotkanie z Akselem?

– Oczywiście, że nie, Dino – zapewniła Anna.

Tatuś milczał.

– Chcę też zaprosić Hannę i Wilfreda Olaisena.

– Idealnie! – rzucił szyderczo tatuś.

– Tak. Przewodniczący musi przyzwyczajać się do tego, że na Hannę patrzą inne oczy niż tylko jego własne. Sądzę, że Aksel będzie tu właściwym nauczycielem.

– Tak? – rzekł tatuś, zanosząc się zgrzytliwym śmiechem.

– Jest silny – wyjaśniła babcia.

Tatuś zmienił się w mgnieniu oka. Zrobił się czerwony. Karna poczuła trudny do wyjaśnienia niepokój.

– Chodźmy teraz na dół pograć – poprosiła.

– Tak, najwyższy czas na muzykę – powiedziała babcia, ale cały czas patrzyła na tatusia.

*

Anna siedziała na doktorskim miejscu przy biurku. Dwa razy w tygodniu porządkowała Benjaminowi karty choroby i przepisywała na czysto listy.

Beniamin krążył po gabinecie, szykował instrumenty i sprzętał. Przyzwyczaili się do tej wspólnoty i pracy ramię w ramię. Oboje

cenili skupienie i możliwość zamknięcia się w sobie. Często rozmawiali przy tym o rzeczach, o których trudno byłoby dyskutować przy służącej albo Karnie.

Anna była uporządkowaną osobą. Zarządzała zarówno prywatnymi rachunkami, jak i papierami doktora. Sprawdzała listy przygotowane dla apteki i pilnowała, żeby były zawsze aktualne.

Zaczęło się to po przeprowadzce do Strandstedet. W Reinsnes byłoby niemożliwe. Zimne i zaniedbane biuro składziku nie zachęcało do takich rzeczy.

Tutaj natomiast gabinet był jednym z najprzyjemniejszych miejsc w domu. Anna lubiła w nim przebywać. Zapach. Atmosfera. Błyszczące instrumenty. Szklane słoiczki. Wielkie okno z widokiem na morze.

Najbardziej cieszyło ją, kiedy byli tam we dwoje. Gdy wchodzili do środka, zamykając za sobą drzwi, oczywistością było, że nikt im nie może przeszkadzać. Nawet Karna.

Anna miała wrażenie, że pod wieloma względami są tutaj bliżej siebie niż w sypialni. Tam oczywiście splecione były ich ciała. Skóra. Cała ta bliskość niezadająca słów. Ale to tutaj prowadzili swobodne rozmowy. Wymieniali spojrzenia.

Od korytarza i reszty domu gabinet oddzielały podwójne drzwi. Można było pozwolić sobie na różnice zdań bez niepokojenia tym kogokolwiek. W sypialni z cienkimi ścianami było to niemożliwe.

Kiedy Beniamin wyjeżdżał, przychodziła tu często pod pretekstem pracy. Zdarzało się, że tylko siedziała, czytając albo pisząc listy. Na jego miejscu przy biurku.

Ulokował się teraz na krześle dla pacjentów i przeglądał czasopismo dla lekarzy, przysłane przez jej ojca. Widziała, że ciągle

jeszcze leży mu to na sercu. Sprawa z Akselem. Kilka razy zauważyła na sobie jego spojrzenie. Jakby chciał o coś zapytać, ale nie mógł się przemóc.

Odłożyła pióro i powiedziała ostrożnie:

– Karna bardzo silnie zareagowała na to, co Dina powiedziała o sobie i Akselu. Zaczyna być dorosła.

– Ja też zareagowałem, a ty...

– Ja uznałam, iż to szczere, więcej – odważne!, że to powiedziała. Karna i tak zrozumiałaby wszystko po jego przyjeździe. Koniec końców prawda zawsze wychodzi na jaw.

Beniamin podniósł wzrok znad czasopisma.

– Nie miała dzisiaj ochoty, żeby zejść i grać – rzekł.

– To prawda, ale powiedziałam jej, że powinna. Zirytowała się na mnie. Była dość niegrzeczna – powiedziała Anna.

– Ukarłaś ją za to?

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Powiedziałam, że jeśli coś jej leży na sercu, to niech powie zamiast zachowywać się impertynencko.

– Jesteś zanadto wyrozumiała. Ona nie może...

– Ma przecież też ciebie. Nie zawsze bywasz równie wyrozumiały. Powściągnął się i musiał uśmiechnąć.

– Ale poszła?

– Tak. Najpierw głośno odczytała mi fragment z Biblii. O cudzołóstwie. Zamierzała przeczytać go też babci.

– Co jej na to powiedziałaś?

– Że chociaż dostała Biblię od babci, to Dinie może się nie spodobać tego rodzaju głośna lektura.

Złożył trzymane czasopismo.

– Dojdą z tym jakoś między sobą do ładu – stwierdził lekkim tonem.

Anna wytarła pióro, przesunęła suszkę do atramentu po ostatnich napisanych słowach, a potem zamknęła kartę choroby.

– Być może – odparła w zamyśleniu. – Wydaje się bardziej zła na nas niż na babcię. Ujrzenie kochanych ludzi takich, jacy są naprawdę, może być bardzo trudne...

Poczuł jakiś niepokój. Czy to dostrzegła?

– No i jeszcze wizyta Aksela, prawda? Co będziemy z nim robić po tych wszystkich latach? – rzekł, podnosząc na moment wzrok.

Przyjrzała mu się z lekkim uśmiechem.

– Próbujesz zadać mi pytanie, czy przyjeżdża oświadczyć się twojej matce czy mnie?

Zaśmiał się, kładąc nogi na stole i odchylając się na krześle.

– Żeni się przecież z jeszcze inną. A ty ciągle nie jesteś wdową, droga Anno.

– No to chyba jednak przyjeżdża do Diny – stwierdziła.

– Czyż nie słyszałaś, że się żeni?

– Myślę, że to tylko czcze pogrożki, żeby wzbudzić jej zainteresowanie – powiedziała.

– Bawisz się w detektywa?

– Nie. Zastanawiam się, jak odnajdziesz się w sytuacji, w której będziesz miał Aksela za ojczyma.

– No nie, kurwa, z tym się nie pogodzę! – zawołał.

Kiedy dotarło do niego, że mówi poważnie, wypalił:

– Co on ma zamiar robić tu na północy?

– Może przecież pracować jako asystent swojego pasierba – rzekła, drażniąc się z nim.

– Najwyraźniej to wszystko, co robi Dina, nigdy cię do niej nie

zniechęca? – zapytał z irytacją.

– Nie po tym, co opowiedziałeś mi w przystani Andreasa.

– Powiedziałaś jej, że wiesz?

– Nie, przecież zdajesz sobie sprawę, że nie. Ale sądzę, że wkrótce opowie to sama.

– Dlaczego?

– Zaczyna od mniejszych rzeczy... powiedziała o Akselu.

– Czy brzydzisz się nią za to, co zrobiła?

– Brzydę? Nie. Przez pewien czas trochę się jej bałam. Wyobrażałam sobie, że może zrobić to ponownie. Ale skoro ty z tym żyjesz, to ja też dam radę.

Kiedy tak siedział, patrząc na nią, przyszło mu do głowy, że dzieci w szkole ją lubią, chociaż oczekuje od nich spokojnego zachowania.

– Poza tym ona akceptuje mnie taką, jaka jestem. To nieczęste u teściowych – dodała.

– Skąd możesz wiedzieć, co ona akceptuje?

– Nie zwróciłeś uwagi, że bardzo jasno daje odczuć, kiedy coś jej się nie podoba?

– Miałem na myśli: Co wiesz o teściowych? – zaśmiał się. Przyjemny nastrój wrócił.

– Pisujemy do siebie listy z siostrą.

– Ach tak, czyli wymieniacie się doświadczeniami z teściowymi?

– Nie do końca, ona skarży się na teściową i męża. A ja nie – odparła poważnie.

– Dlaczego nie?

– Sama cię wybrałam.

Pochylił się ponad stołem, ujął jej dłonie i pocałował koniuszki palców.

– Sądziś, że człowiek faktycznie wybiera?

– Tak. A w moim wypadku wybór boli na tyle, że wiem.

– I bolało? Ze mną?

– Zrezygnowałam świadomie z całego mojego wcześniejszego życia.

Popatrzył na jej krótko obcięte paznokcie.

– Dla mnie?

– Dla siebie. Musiałam być z tobą.

Poruszyła palcami w jego dłoni. Poczuł delikatne, przelotne muśnięcie.

– Czasami mam wrażenie, że jesteśmy tylko nasionkami rozrzuconymi przez wiatr. Ty i ja, Anno. I że to moja wina.

– Bo nie potrafisz się wyrwać?

– Tak. Jesteś rozczarowana, że nie dokonałem niczego wielkiego? Żebyście mogli z twoim ojcem być ze mnie dumni?

– Nie bądź głupi? To, co robisz tutaj, jest tysiąc razy więcej warte niż wiszenie nad mikroskopem w Kopenhadze. Czyż tego nie dostrzegasz?

– Czasami jestem rozczarowany sam sobą.

– To dlaczego tu jesteś?

– Nie wiem... może nie mam dość inicjatywy?

– Masz inicjatywę, ale coś cię tu trzyma – powiedziała, zaglądając mu w oczy.

Kiedy mówiła, poczuł nagły wstyd. Usiłował przyjrzeć się sobie z boku. Kim, do kurwy nędzy, naprawdę był?

Siedział teraz na krześle dla pacjentów, ssąc palce Anny. Poczuł pierwsze muśnięcie pożądania i podniecało go, że ona też to dostrzegła.

Ale gdzieś głęboko w jego ciele spoczywały dzikie oczy Hanny.

Nie chciał tego. I pragnął jednocześnie! A jednak usłyszał, jak ponad stołem płynie jego własny głos z nutą flirtu.

– Pani doktor, czy może pani dać mi receptę na słabość i tchórzostwo?

– Niestety nie, drogi panie Grøneltv. To lekarstwo nie jest dostępne w aptece. Musi je pan wyekstrahować z własnego wnętrza.

– Czy pani doktor sądzi, że mam jakieś wnętrze?

– Bez wątpienia. Ale w ostatnim czasie przejawiał pan skłonność do troszczenia się wyłącznie o otaczający świat i niedostrzegania upływu dni. Staje się pan tak niezbędny swoim pacjentom, że nie zauważa pan nawet, iż upływają również noce.

– Co powinienem zrobić, pani doktor?

– Powinien pan starać się kłaść wcześniej do łóżka razem ze swoją żoną, żeby wnieść w jej życie przynajmniej trochę radości, skoro już nie ma pan siły, żeby zawlec ją ze sobą do Kopenhagi i tam niszczyć wzrok przy mikroskopie.

– Czy to zaproszenie?

– Nie, poważne zalecenie.

Spojrzeli na siebie pełnymi pragnienia oczami. On z jej palcami w zachłannych ustach.

Rozdział ósmym

Karna pojęła, że ten mężczyzna jest strasznie elegancko ubrany. Nosił laskę z błyszczącym uchwytem. Brodę miał dużą i rozczochraną jak u trolla. Zszedł po trapie, trzymając w zębach ogromne, zapalone cygaro.

Kiedy tylko postawił stopę na przystani, wszystko się zmieniło. Najwyraźniej nie przejmował się tym, że należy ujmować ludzi grzecznie za rękę, mówić dzień dobry i dziękować za ostatnie spotkanie.

Wielkimi krokami podbiegł do babci, złapał ją i uniósł wysoko, a potem trzymał tak przez dłuższą chwilę. Następnie postawił ją na ziemi, wyjął z ust cygaro, chwytając je między kciuk a palec wskazujący i basem wymruczał coś, spoglądając w zagłębienie między jej piersiami.

Karna rozejrzała się dookoła. Było tak, jak sądziła. Wszyscy to widzieli. Żaden dorosły mężczyzna nie zrobiłby czegoś takiego na przystani parowcowej.

Ale babcia się śmiała i nie sprzeciwiała. Przez dłuższą chwilę tylko na nią patrzył. Karna postanowiła, że go nie polubi.

Potem na szczęście wetknął ponownie cygaro w zęby i zaczął bardzo szybko mówić. Ale za chwilę znów chciał być blisko babci

i cygaro mu przeszkadzało. Wypluł je więc na bok, zostawiając tłące się na smołowanych deskach pomostu, i wtulił nos w twarz babci.

Dwóch marynarzy zniosło jego rzeczy na ląd. Dwie skrzynie oznaczone w sposób zdradzający zawartość, składającą się z wina i mocnych trunków. A na końcu walizkę i torbę lekarską.

– Żadnych nut! Ani jednej przeklętej książki nie przywozłem! – wykrzyknął, machając rękami.

Kiedy wielki Duńczyk zauważył tatusia, puścił babcię i bez słowa powitania wrzasnął basem:

– Niech mnie szlag, jakże się zestarzałeś, Beniaminie!

Złapał tatusia, obracał go na wszystkie strony, potem objął za szyję i przytknął czoło do jego czoła, jakby płakał.

– Ale nie zrobiłem się taki tłusty jak ty! – krzyknął w odpowiedzi tatuś, aż ludzie dookoła podskoczyli. Potem tatuś wbił zaciśniętą dłoń w brzuch mężczyzny, aż ten stęknął.

Karna uznała, że Duńczyk przypomina postać z obrazu wiszącego w korytarzu u pastora. Przedstawiał Goliata. Wielkiego i nieokrzesanego. Mięśnie, przenikliwe oczy i wielkie, wykrzywione usta.

Nikt nigdy nie nazwał tatusia starym!

Witając się z Anną, mężczyzna skłonił się głęboko i bez słowa ucałował obie jej dłonie. Ale kiedy pochylał się nad nimi, zwrócił oczy do góry, patrząc na nią z ukosa. Jakby należała do niego.

Karna odwróciła się i chciała odejść, ale tatuś ją zawołał, więc zawróciła. Była zmuszona się przywitać.

– A więc to jest ten dzieciak z domu przy Store Strandstraede?

Słowa dobywały się gdzieś z głębi jego brzucha, ale usta śmiały się, nawet jeśli sprawiały wrażenie wykrzywionych. Ukucnął przed nią, jakby była małą dziewczynką. Patrzyła mu prosto w oczy.

– Wstań! Ubrudziłeś sobie płaszcz błotem! – rzekła, podając mu rękę na przywitanie. Żeby od razu wszystko było jasne.

Zerwał się szybko i pocałował ją w dłoń. Poczuła, jak ręka jej się poci, a policzki oblewają czerwienią.

A więc to był mężczyzna, którego należało ukamienować za cudzołóstwo.

– Zamknij gębę, Beniaminie! Jak człowiek z twoim wyglądem może spłodzić tak piękną córkę? Skąd ona, do diabła, wzięła te włosy? Czy jesteś mi w stanie wyjaśnić, co takiego jest w tutejszym wietrze, co tak wpływa na kobiety? Spójrz tylko na Annę! I Dinę. Boże jedyny, to na pewno te ohydne ryby, które wyjmujecie wiadrami z morza! – zakrzyknął.

W jadalni hotelu Grand w obu żyrandolach zapalono woskowe świece. Na klamce drzwi wyjściowych zawieszono tabliczkę z informacją.

W pewnym momencie Aksel nachylił się ku babci i szepnął do niej coś cicho po niemiecku.

– Niektórzy trochę tu rozumieją po niemiecku – rzekła Karna.

– Ach tak, a więc co powiedziałem? – zapytał z przekorą mężczyzna.

Wszyscy się zaśmiali. Tatusz również. Karna zaczerwieniła się i nie odpowiedziała. Była zdania, że Anna za bardzo się wysiła. Kiedy zwracała się do Aksela, miała błyszczące oczy i zaróżowione policzki. Jakby był jakimś księciem.

Olaisen uśmiechał się przez cały czas, siedział obok Anny i tytułował ją panią. Hanna i Karna zajmowały miejsca po obu stronach tatusia. Ale Hanna prawie się nie odzywała.

Babcia siedziała u szczytu stołu. Włosy miała wysoko upięte. Zdaniem Karny wyglądała obco.

Tatuś rozmawiał z Akselem przez stół w taki sposób, jakby byli jeszcze chłopcami. Wydawał się przez to niemądry. Poza tym przez cały czas mówił strasznie szybko po duńsku.

Wilfred Olaisen patrzył na babcię i mówił o konieczności założenia spółki armatorskiej.

Babcia odparła, że to dobry pomysł. Wprawiła tym Olaisena w świetny humor i zaczął rozprawiać o swoim zamiarze, żeby skłonić władze okręgu do przedłużenia drogi na południe.

– Pani Dina od razu zauważy efekty po obrotach – rzekł.

– Bez wątpienia – odparła babcia. Potem zapytała Hannę, jak czują się chłopcy.

– Dziękuję, bardzo dobrze! – odparła cicho Hanna.

Otaczał ją rodzaj niewidzialnej powłoki. Czy zawsze tak było, a Karna tego po prostu nie zauważyła? Jakby pod tą powłoką żyła tajemnym życiem, czując niepokój, jeśli ktoś chciał dostać się do środka.

Karna prawie przestała słuchać, o czym rozmawiają. Ciekawiej było na nich patrzeć. Wtedy w sumie więcej się rozumiało.

Obiad się zakończył i nakryto właśnie do kawy, kiedy babcia ogłosiła, że o ile obiecują, iż nie będą stukać filiżankami i szklankami, Anna mogłaby im zagrać.

– A ty nie zagrasz, Dino? – zapytał Aksel.

– Nie, dziś wieczorem nie.

– To wobec tego musisz koniecznie dać koncert solo tylko dla mnie, jak goście już pójdą – zahuczał basem Aksel.

– Innego dnia – powiedziała babcia, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie, teraz! Inaczej wracam do domu pierwszą nadającą się barką!

Babcia roześmiała się z rezygnacją i poszła po wiolonczelę. To

było dziwne. Babcia nigdy nie robiła czegoś, jeśli już raz powiedziała, że nie chce.

Kiedy wróciła, wszyscy zaczęli klaskać. Rozmawiały cicho z Anną pochylone nad nutami, potem skinęły głowami i usiadły. Jakby istniały tylko dla siebie nawzajem.

Aksel odwrócił się do Hanny.

– Czy mogę poprosić panią Olaisen do tańca, skoro już mamy tu muzykę? Czy dostanę przyzwolenie? – kontynuował zwrócony w stronę Olaisena, który właśnie połknął dym z fajki i dostał napadu kaszlu.

– Czy dostanę przyzwolenie? – powtórzył Aksel.

Olaisen skinął głową.

Wtedy Hanna spojrzała na Aksela szeroko otwartymi oczami. Tak jakby na chwilę opuściła swoją powłokę. Na początku nieco lękliwie, jakby uważała, że jest zbyt wysoki, aby z nim tańczyć.

Potem jej oczy zaiskrzyły życiem. Miała złocistą suknię z lamówkami w kolorze kawowego brązu. Czarne włosy zebrane były w ciężki węzeł na karku, rozsyłający błyskawice przy każdym poruszeniu głową. Karna pomyślała, że kiedy Hanna wychodzi ze swojej powłoki, jest strasznie ładna.

Anna z uśmiechem usiadła przy fortepianie, a babcia pochyliła się nad wiolonczelą.

Zaczęły grać cygańską melodię, smutną i wesołą jednocześnie.

Aksel zaś skłonił się przed Hanną i pomiędzy stołem a fortepianem poprowadził ją na parkiet. Trzymał ją w ramionach jak kruchą, małą lalkę. Przechylał oraz obracał i patrzył tylko na nią. Sprawiało to wrażenie, jakby cała góra jego pleców, kark i duża głowa kierowały się ku Hannie.

A Karna pomyślała sobie nagle, że może ci, których należało

ukamienować, mimo wszystko nie byli najgorsi. Coś było w sposobie, w jaki trzymał Hannę. W pewnej odległości, jakby obawiając się, że skaleczy się o niego. Ale jednocześnie tak mocno, że prawie nie dotykała podłogi.

Olaisen chyba też to widział. Odpiął koszulę pod szyją i podwinął mankiety. Kilkakrotnie spojrzął w głąb swojego kieliszka z koniakiem, jednocześnie zaciskając oko, jakby poszukiwał tam dziury.

Potem Aksel chciał zatańczyć również z Karną. Ale ona za nic w świecie nie miałaby do tego dość odwagi. Więc ruszył dalej w tany z Hanną, nie pytając już Olaisena o pozwolenie.

Dina i Anna grały coś szybkiego, nie wiedziała, co to jest, ale wtedy Aksel podniósł Hannę wysoko do góry i obrócił ją dookoła. Kiedy skończyli tańczyć, tatuś zaklaskał, a Hanna nie była już taka blada.

– Olaisenie, dziękuję za pana wielkoduszność! Ma pan wspaniałą żonę! – zawołał Aksel, pocałował Hannę w rękę i odprowadził ją do Olaisena.

– Karno! Zaśpiewaj nam! *Du bist die Ruh* – rzekła babcia.

Karna sądziła, że o niej zapomnieli. Że babcia nigdy już jej nie poprosi. A jednak. A Anna miała przygotowane nuty, jeszcze zanim Karna dotarła do fortepianu.

Karna poczuła radość. I kiedy skupiała się na ciężarze swoich stóp, żeby pewnie stanąć, tak jakby jednocześnie oderwała się od podłogi. Wyzwoliła się od wszystkiego. Jakby potrafiła latać. I ona, i otaczający ją świat nabrał osobliwej lekkości. Stali się jednym oddechem.

Anna przećwiczyła pierwsze tony. A ona zaraz dołączyła. Czowała radość tak wielką, że prawie zmieniała się w smutek. Że w końcu

chcą jej posłuchać. Naprawdę chcą!

Otworzyła usta i z dźwiękami instrumentu spłotły się słowa. Ostrożnie. Delikatnie. A pozostali zniknęli, chociaż doskonale wiedziała, że tam są. Cisi. Spokojni. Tylko dla niej.

Kiedy skończyła śpiewać *Der König in Thule* Goethego, Aksel podszedł do niej, gwałtownie klaszcząc w dłonie. Karna zauważyła coś dziwnego. Wielki Duńczyk miał łzy w oczach. Czyżby jej śpiew był aż tak smutny?

*

Później, kiedy właściwie powinna już była leżeć w łóżku, Aksel znów zrobił się bardziej taki, jakiego poznała na przystani.

Zaczął rozprawiać o czymś, co nazywał „nędznym stanem wiedzy medycznej”.

– Bez przerwy kroi się kobiety. Jak bydło.

– Au! – zawołała babcia.

– To chyba dobrze, że można ludzi wyleczyć poprzez operację – stwierdziła Anna.

– Wyleczyć! Isaac Baker Brown przez lata tak bardzo bał się tak zwanej kobiecej hysterii, epilepsji i chorób umysłowych, że okaleczył setki kobiet, zanim go powstrzymano.

– To chyba był Anglik? Historia udowodniła, że niektórzy z nich mają zwyczaj ćwiartować ludzi, żeby zobaczyć, co dałoby się wykorzystać do puddingu – rzekła Anna.

W tym momencie tatuś rzucił jej zdumione spojrzenie.

– Beniaminie! Mieliśmy zajmować się badaniami w dziedzinie chorób kobiecych. Wspólnie! Chcieliśmy je ratować.

– To dlaczego tego nie robicie? – zapytała Anna.

– No właśnie, po co tylko gadać o wielkich dokonaniach? Czemuż nie zacząć działać? – zapytała z przekorą babcia.

– Masz na myśli, że krojenie kobiet stało się jakąś manią? – zapytał z niedowierzaniem tatuś.

– Boże święty! A więc nie śledziłeś na bieżąco całego tego szaleństwa. Ci lekarze to prawdziwy ciemnogród i fanatycy. Operują dla sławy i nabrania biegłości. Skutkiem są całe rzesze okaleczonych, nieszczęśliwych kobiet, które nawet nie wiedzą, że zostały pozbawione ważnych organów i doznań.

– Przecież to przestępstwo! – wybuchnęła Anna. – Czy ten proceder cały czas ma miejsce?

– Tak, ale nie na taką skalę jak w latach sześćdziesiątych. Okaleczone kobiety dopiero teraz odważyły się zareagować. I nie ma za to zadośćuczynienia. Często operacje wykonywano bez zgody współmałżonka.

– Zgody współmałżonka? Czy to jego ciało? – zapytała spokojnie babcia.

– Co im usuwają?

Karna musiała zapytać. Widziała po nich, że zapomnieli o jej obecności.

– Podczas salpingektomii usuwane są ważne narządy z brzucha kobiety, nawet jeśli nie jest to konieczne z przyczyn medycznych. To przestępstwo! Niektórzy chirurdzy najwidoczniej powinni poszukać sobie pracy w rzeźni – odparł Aksel.

Chciała zapytać, co to salpingektomia, ale nagle poczuła się bardzo zmęczona. Tatuś spojrzał na nią wzrokiem dodającym otuchy, jakby chciał powiedzieć: On już taki jest. Nie przejmuj się.

– Ale czemu miałoby to służyć? – zapytała Anna.

– Systemowi nerwowemu. Zapobieganiu kobiecej hysterii i napadom padaczkowym, być może również chorobom psychicznym...

– Padaczka to nie jest kobieca histeria ani choroba umysłowa! – rzekł lodowatym głosem tatuś ze wzrokiem wbitym w Aksela.

– Wiem, wiem. Ale przekonaj tych rzeźników! Młodzi, nowocześni lekarze są świadomi, że ta chirurgia to prawdziwe szaleństwo. Albo raczej histeria chirurgiczna, jeśli wolicie. Ale nawet Darwin dowiódł już, że...

– Aksel, drogi przyjacielu, może lepiej, żebyś powstrzymał się od dłuższych wykładów!

Głos babci brzmiał surowo, jakby mówiła do kogoś, kto nie wykonał dobrze swojej pracy. A Aksel przytaknął całym ciałem.

Olaisen siedział z otwartymi ustami, nie odzywając się już od dłuższej chwili.

Hanna przez cały czas wodziła oczami za Akselem, jakby wydawał jej się nie do końca prawdziwy. Anna natomiast sprawiała wrażenie rozwścieczonej.

– Czy padaczka też jest związana z brzuchem? – Karna usłyszała własny szept.

– Nie! – odparł tatuś, spoglądając z gniewem na Aksela.

Wtedy Akselowi jak gdyby nagle przyszło coś do głowy. Zrobił się bardzo czerwony, podszedł do niej i ujął jej dłoń.

– Wybacz beznadziejnemu, nieuprzejmemu, staremu człowiekowi!

Kiedy poczuła dotyk jego skóry, nadeszły mdłości. Odepchnęła go od siebie i chciała wstać. Ale przedmioty i twarze zaczęły wirować. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Wtedy odpłynęła, czując zapach ciała. Poczowała jedynie, że upada na coś, co sprawiło jej ból.

*

Widelczyk do ciasta odcisnął czerwony ślad na policzku Karny. Oczy uciekły jej w górę ponad królewską duńską porcelaną.

Uderzenie dziewczęcej głowy okrytej miedzianobrunatnymi włosami było tak silne, że talerzyk rozpadł się na dwoje.

To Aksel pochwycił ją w ramiona, ponieważ stał tuż obok. Ale Benjamin podbiegł i wyniósł ją z pokoju.

– Powinno się mnie zabić! – stwierdził Aksel, rozglądając się bezradnie dookoła.

Nikt nie odpowiedział.

*

Czuła na sobie dłonie tatusia. Słaby zapach cygara, kiedy pochylał się nad nią i ocierał jej twarz, wymawiając jej imię, tak jak zawsze to robił. Byli tylko we dwoje na całym świecie.

Dużo później, kiedy Anna już przyniosła jej świeże ubrania, posiedziała z nią, a tatuś zapytał, czy chce, żeby odwieźli ją do domu, była w stanie to wypowiedzieć.

– Nigdy nie pojedę do Kopenhagi i nie dam się zbadać! Bo jak zobaczą, co mi jest, będą chcieli mnie operować.

– Ależ nie grozi ci żadna operacja! Nie stanie się nic, czego byś nie chciała. Możesz sobie upadać w spokoju. Uderzyłaś się tylko w głowę... i zbiłaś porcelanę – uśmiechnął się tatuś. Ale to nie był prawdziwy uśmiech.

– Nikt inny tak nie ma. Dlaczego ja?

– Myślę, że to dlatego, że jesteś szczególna i wyjątkowa. Wiele wybitnych osób chorowało na padaczkę.

– Wybitnych?

– Ludzi, którzy czegoś w życiu dokonali.

– Ale ja najczęściej czuję złość – rzekła z przygnębieniem.

– To przejdzie.

– Tatusiu, przeczytaj mi Ewangelię według świętego Mateusza rozdział 17, od 15 wersetu. Tylko tyle, żebym dała radę dojść do

domu – powiedziała szeptem.

Tatuś poszedł po torbę z Biblią. Sama otworzyła się na właściwym miejscu. Potem zaczął czytać cicho i wyraźnie.

– „Panie, zlituj się nad moim synem! Jest epileptykiem i bardzo cierpi; bo często wpada w ogień, a często w wodę. Przyprowadziłem go do Twoich uczniów, lecz nie mogli go uzdrowić”. Na to Jezus odrzekł: „O plemię niewierne i przewrotne! Jak długo jeszcze mam być z wami; jak długo mam was cierpieć? Przyprowadźcie Mi go tutaj!” Jezus rozkazał mu surowo, i zły duch opuścił go. Od owej pory chłopiec odzyskał zdrowie.

Karna westchnęła i zamknęła oczy.

– Czyli to nie z moją głową ani brzuchem jest coś nie tak? Chodzi o wiarę! Prawda, tatusiu?

Rozdział dziewiąty

Birgit powiedziała Karnie, że ludzie gadają, iż ten wielki Duńczyk wcale nie jest zwykłym podróżnym. Bo śpi w Grandzie w pokoju w mansardzie, chociaż nie ma tu nic do roboty. Już na przystani widzieli, że znają się z panią Diną wyjątkowo dobrze.

– Aksel studiował razem z tatusiem w Kopenhadze.

– Ale dlaczego nie mieszka w doktorówce?

– Bo woli przysłuchiwać się grze na fortepianie niż na pianinie.

Tak strasznie kocha fortepian.

Birgit spojrzała na nią dziwnie, ale więcej o nic nie pytała.

Aksel krążył po stoczni i wśród gospodarstw rybackich, wszędzie zamieniając z kimś parę słów. Karna doskonale rozumiała, że ludzie mogą uważać za dziwne, iż dorosły mężczyzna łązi sobie dookoła w środku dnia. Pewnie też nie rozumieli wszystkiego, co mówi, chociaż widziała, jak uśmiechają się, kiwając głowami.

Pewnego dnia, kiedy Karna przyszła do Grandu, Aksel stał pod oknem do prywatnej części domu i głośno wołał.

– Dino! Gdyby nie chodziło o ciebie, to nie wpadłbym na pomysł pogrzebania się w tej mgle z dala od cywilizacji!

Babcia wytknęła głowę.

– Przestań narzekać i ruszaj w drogę!

– Zostanę, póki mnie nie wyrzucisz! – odkrzyknął Aksel.

*

Kiedy Karna zamierzała już iść, Aksel stał w korytarzu i opukiwał pierś pomocnikowi piekarza.

– Nie odwiedzasz lekarza okręgowego, młody człowieku? – zapytał Aksel.

– No taaak, ale nie w związku z kaszlem.

– Kaszlesz od mąki?

– Nic się nie da na to poradzić.

– Zasłaniaj usta chustką przy zagniataniu ciasta. Inaczej pewnego pięknego dnia się udusisz – rzekł Aksel i klepnął chłopca w pierś, aż poszło echo.

I zdarzyła się rzecz niemożliwa. Kiedy pomocnik piekarza zaczął do zagniatania chleba wiązać szmatkę na ustach i nosie, kaszel zniknął. Od tamtej pory bez przerwy chodził za Akselem, usiłując opowiadać mu o kaszlu, którego już nie miał.

*

Aksel wypłynął wiosłową łódką na ryby. Karna słyszała, że żali się babci, jaki jest słaby w wiosłowaniu. zaproponowała więc, że popłynie z nim następnym razem, żeby nie ryzykował utonięcia.

W sumie jego towarzystwo było bardzo zabawne. Wciągał do łódki wszystko, co mu weszło w ręce. Ryby wszelkiego kształtu i rozmiarów. Zapisywał w notesie, jakie były duże oraz nazwy przez nią wymieniane. Kiedy je patroszył, wyrzucał prawie połowę ryby.

– Jestem słaby w ogryzaniu ości – twierdził.

Wiosłowanie z tak wielkim człowiekiem w łódce było trudne. Czasami przesiadywał tylko na rufie i sprawiał wrażenie, że śpi. Ale potrafił zacząć nagle nucić jakąś melodię, która nie brzmiała

zbyt ładnie.

Kiedys powiedział:

– Miło z twojej strony, że chcesz ze mną pływać. Bo w gruncie rzeczy jesteś na mnie zła.

– Kto tak powiedział?

– Mam przecież oczy.

Przerwała wiosłowanie, zastanawiając się nad tym. Potem postanowiła, że nie ma nic do stracenia.

– Miałam zamiar ukamienować cię za cudzołóstwo!

Wtedy aż podskoczył i usiadł w łódce.

– To dopiero...! Dlaczego?

– Bo byłeś z babcią, kiedy zgodnie z boskimi przykazaniami należała do Andersa.

– Ale dlaczego miałabyś kamienować tylko mnie, drogie dziecko? Przecież było nas dwoje.

– Słyszałeś o kimś, kto ukamienowałby własną babkę?

Przez chwilę siedział wpatrzony w nią, a potem powiedział prawie ze smutkiem:

– Nie, w zasadzie nie słyszałem.

Zaczęła ponownie wiosłować, dość spokojnie i powoli.

– Kiedy miałem zostać ukamienowany?

– W jeden taki wieczór, kiedy szedłeś do kościelnego i przechodziłeś pod podjazdem do stodoły. Chciałam usiąść u góry z przygotowanymi kamieniami. Ale zmieniłam zdanie.

– Ooo? Dlaczego?

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą.

Kiedy byli już prawie przy pomoście obok stoczni, gdzie cumowała łódka, powiedział:

– Jesteś osobliwą dziewczynką!

- Trudno na to coś poradzić – odparła.
- Ale świetnie wiosłujesz.
- Z czymś człowiek przecież musi umieć sobie radzić – rzekła na tyle jasno, żeby zrozumiał, do kogo pije.

Kiedy już byli na łądzie, wziął wiadro i poszedł do kuchni hotelu Grand, gdzie zażądał smażonej ryby. Dziewczyny kuchenne miały dosyć ryb. Ale Akselowi udawało się skłonić je do uśmiechu. Znał historie tak sprośne, że nie powinno się opowiadać ich kobietom. Ale on dzielił się nimi tak czy owak. A smażoną rybę dostał zarówno w niedzielę, jak i w pozostałe dni.

Twierdził, że je ryby tylko po to, żeby lepiej wyglądać i się ożenić.

Pokojówka opowiadała, że chodził po korytarzach półnagi albo prosił o śniadanie późnym przedpołudniem. Kiedy dziewczyna przynosiła jedzenie, często siedział przy oknie odziany ledwie w majtki i czytał książkę. Więc biedaczka nie wiedziała, co ma począć z oczami.

Wtedy Bergljot rozzłościła się i kazała jej przestać opowiadać podobne głupstwa.

– Następnym razem masz postawić tacę na progu i zapukać, żeby sam mógł sobie ją wziąć.

– Nie miałam na myśli nic złego – odparła z urazą dziewczyna.

Pewnego dnia, kiedy Karna przyszła niezapowiedziana, Aksel z nagim torsem siedział w prywatnej części Diny. Karna nigdy nie widziała równie owłosionego mężczyzny.

Gdy babcia ją wpuściła, krzyknął sztucznie zmienionym głosem, mającym udawać przerażenie:

– Nie wpuszczaj tu anioła zemsty, ona zamierza mnie ukamienować.

– Nie bądź głupi! – odparła babcia bez większej złości.

*

Diecezjalne stowarzyszenie nauczycieli organizowało swoje coroczne spotkanie. A część bakałarzy mieszkających daleko pozwoliła sobie na zamieszkanie w Grandzie.

Karna przyszła, bo miała dla nich zaśpiewać.

Widząc Aksela siedzącego z piwem na schodach, nauczyciele wymienili znaczące spojrzenia.

Karna poszła do babci powiedzieć jej o tym.

– Musisz trochę trzymać Aksela w ryzach. Pije piwo na schodach i przynosi nam wstyd! I Annie, która musi brać udział w spotkaniach!

– Aksel nie jest w stanie przynieść nam wstydu. Odpowiada sam za siebie. Lubi po prostu siedzieć z piwem na schodach.

– Ale przecież macie się pobrać?

Babcia przez chwilę przekładała coś na sekretarzyku, najwyraźniej sprzątała w swoich papierach.

– Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Ale Aksel i ja nie będziemy małżeństwem.

– Dlaczego wobec tego przesiaduje u ciebie bez koszuli?

– Bo zdjął ją, będąc u mnie – odparła poważnie babcia.

Karnę zupełnie zbiło to z tropu. Nie znajdowała słów, żeby o coś jeszcze zapytać, więc patrząc w podłogę, przełknęła ślinę. Babcia ponownie zajęła się dokumentami.

– Myślałam, że przyjechał tutaj, żeby ci się oświadczyć? – zaryzykowała Karna.

– Tak było.

– A więc on cię nie obchodzi?

Babcia uśmiechnęła się lekko, jakby pomyślała o czymś zabawnym.

– Bardzo mnie obchodzi.

– Ale nie chcesz z nim być?

Babcia siedziała przy sekretarzyku, sprawiając wrażenie, jakby nie słyszała słów Karny. Ale po chwili się odwróciła.

– Nie można być z kimś tylko dlatego, że się kogoś potrzebuje. Z tego są same nieszczęścia.

*

Wieczorem Karna usłyszała, jak jeden z nauczycieli ze stowarzyszenia szepcze coś do drugiego. Widział, jak ten pijący piwo Duńczyk podniósł panią Dinę aż pod sam żyrandol.

– Coś między nimi jest!

– A on jest o wiele od niej młodszy. Nie ukryje tego nawet pod wielką brodą.

Słowa „między nimi” zostały wypowiedziane w taki paskudny sposób.

Ale po obiedzie Anna, babcia i ona dały koncert. Wtedy tamci chyba już o wszystkim zapomnieli. Wiele osób podchodziło podziękować im uściskiem dłoni, mówiąc, że ten koncert był najlepszą częścią ich corocznego spotkania.

Kiedy jeden z bakałarzy zapytał babcię, ile kosztuje taka atrakcja przygotowana specjalnie dla nich, babcia odparła, że możliwość zorganizowania czegoś dla gości hotelowych to dla niej sama przyjemność.

Aksel nie pił piwa, tylko z godnością siedział na krześle, słuchając muzyki.

Później usłyszała, jak dwoje nauczycieli rozmawia, wychodząc:

– Sprawie trzeźwości nie służy to, że młodzi ludzie widzą mężczyzn pijących piwo w samym środku dnia. Ale nie można za to winić pani Diny.

Drugi zgodził się, a potem szepnął:

– Ale przecież po koncercie nie serwowano niczego z butelki. Tylko kawę i czekoladę. I pyszne obwarzanki. Zupełnie za darmo!

*

Nie wiedziała, kiedy po raz pierwszy dotarło do niej, że Anna dźwiga jakiś smutek. Ale było to na długo przed owym latem, kiedy powróciła babcia Dina.

A nawet przed tamtym popołudniem, gdy Anna wstała od pianina ze łzami spływającymi po twarzy.

Karna nie pamiętała granej wówczas muzyki, tylko drżące dłonie Anny, kiedy raz za razem, fałszując, z wściekłością uderzała w klawisze.

W końcu wstała i zamknęła pianino. Przez chwilę stała pochylona nad jego błyszczącą powierzchnią. Potem wyprostowała się i rozejrzała po salonie z takim wyrazem twarzy, jakby została zamknięta i nie mogła wyjść.

Karna widywała to również i później. Ale nie tak wyraźnie. Zaczęło jej się wydawać, że tatuś mógł nie znać takiej Anny. Ale nie była pewna.

Od czasu do czasu przychodząc do Anny z zaskoczenia, Karna dostrzegała cień tego uczucia. Jakby wisiało w otaczającym ją powietrzu. Nigdy na tyle wyraźne, żeby mogła nazwać je po imieniu, raczej tylko jego niejasne przeczucie.

Sposób pochylania się, ogrzewania dłoni przed rozpoczęciem gry, przymykania oczu, kiedy za jej sprawą pierwsze tony wypełniały pokój. A potem cała stawała się muzyką.

Być może miało to jakiś związek z tatusiem. Z czymś, co zrobił albo powiedział. W ten sposób wina za ten stan rzeczy stawała się również winą Karny.

*

Pewnego dnia Anna przysłała do jej izby. Powiedziała, że chce chwilę porozmawiać. Karna sądziła, że chodzi o lekcje. Nie uczyła się tyle, ile powinna. Skinęła więc głową i czekała.

Ale Anna usiadła przy niej na łóżku i sprawiała naprawdę przyjazne wrażenie.

– Muszę z tobą pomówić, zanim będzie za późno – rzekła.

Karna poczuła, że lekko się spociła.

– O tym, jak to jest być kobietą. Dorosłą kobietą.

Potem nastąpiła najdziwniejsza przemowa, jaką Karna usłyszała w swoim życiu. Na początku Karna ledwie miała odwagę podnieść wzrok, a na końcu obie się trochę popłakały.

Anna zwierzyła jej się ze swojego smutku, że tatuś i ona nie mają dzieci. Przy okazji dowiedziała się, co ją samą czeka. O krwi, która nie jest groźna. O potrzebie kobiet i mężczyzn, żeby być blisko siebie, i o konieczności poczekania na tego właściwego. O bólach. I radości. Przede wszystkim o radości.

– Przecież jestem też twoja, chociaż jestem tatusia – rzekła, nie do końca wiedząc, czy chce pocieszyć Annę, czy samą siebie.

– Tak. Mamy tylko ciebie – odparła Anna.

W ten sposób została wtajemniczona w smutek Anny.

*

Ale tak naprawdę Karna była tylko tatusia. Mieli prawo być na siebie źli i krzyczeć. Kiedy tatuś miał jej dość, używał takich słów, których nigdy w życiu nie powinien usłyszeć wielebny.

Zdarzyło się kiedyś, że Karna wydzierała się na tatusia tak głośno, że konie woźnicy stanęły dęba, a przygłuchy pies gospodarski schował się pod krzaki porzeczek. Przyczyna była taka, że obiecał zabrać ją ze sobą, ale zmienił zdanie, gdy okazało się, że

mężczyzna, do którego jedzie, prawdopodobnie jest chory na tyfus.

A jednak była tatusia. Nic nie mogło tego zmienić. W dniu, w którym tatuś umrze, umrze też ona!

Z Anną sprawa nie była do końca taka pewna. Anna po prostu była. Należała do tatusia. Nie, do Beniamina. W taki sam sposób, jak tatuś należał do Karny. Każdy musiał kogoś mieć.

Jednak teraz powiedziała Annie, że należy również do niej. Będzie musiała się tego trzymać. Nie wiedziała jednak, jak ma to zrobić.

Ale co wieczór przed zaśnięciem zaczęła trochę myśleć o Annie. Snuła rozważania, że gdyby jej nie było, to nauczyłyby się grać dopiero po przyjeździe babci. I nigdy w życiu nie znałyby tylu piosenek.

Nie byłoby też nikogo, kto czytałby jej głośno opowiadania i książki, które tatuś uważał za nudne.

Nikt nie chodziłby z nią na spacerzy wzdłuż drogi ani nie zbierał kwiatów na łąkach. I nikt nie zadbałby o to, żeby na uroczyste okazje dostała nową sukienkę. Poza tym tatuś na pewno byłby smutny i zły i chodził nieogolony przez wiele dni z rzędu.

Mogłaby natomiast obejść się bez surowości Anny. Nie zawsze była przyjemna. Trudno było sprzeciwić się Annie w inny sposób niż wychodząc z pokoju. Nie krzyczała, ale starała się nie pozwolić jej zapomnieć, kto tu podejmuje decyzje.

Anna wyciągała konflikt na światło dzienne i czekała, aż zblaknie. Tatusiowi Anna potrafiła powiedzieć:

– Wczoraj dyskutowaliśmy z Karną, czy mądrze jest chodzić po plaży tak blisko wody, że fale zalewają całe łydki. Ja twierdziłam, że to niezbyt mądre. Ale Karna się ze mną nie zgadzała. I dzisiaj jest przeziębiona.

W ten sposób Anna pokazywała, że żadnego z nich się nie boi, nawet gdyby mieli się sprzymierzyć. I dzięki temu zmuszała również tatusia do wzięcia udziału w dyskusji, co jest mądre, a co nie.

Czasami się śmiał, a niekiedy sprawiał wrażenie, że jest zmęczony i odczuwa przykrość. Od czasu do czasu stwierdzał, że ma takie samo zdanie jak Anna. Jeszcze rzadziej mówił, że zgadza się z Karną. Ale jeśli tak było, Anna nigdy się nie złościła, tylko odpowiadała:

– A zatem jesteście we dwoje przeciwko mnie. Jakoś sobie z tym poradzę.

*

Po rozmowie z Anną ciało nie wydawało się już tak okropne.

W kobiecych ciałach ogólnie nie było nic złego. Tylko ona nie miała siły. Chyba sądziła, że da radę jakoś temu zapobiec. Ale czy tego chciała, czy nie, musiała wejść w dorosłość.

Karna uważała, że Anna ma szczęście, nie mając dzieci. Ale tego nie mówiła. Nie widziała w życiu zbyt wielu niemowląt, ale te, które znała, wiecznie robiły hałas i zamieszanie.

Ona sama nie chciała nigdy mieć dzieci. Zamierzała trzymać się z dala od tego wszystkiego, co Anna jej wyjaśniła w sprawie bliskości kobiety i mężczyzny. Nie widziała potrzeby, żeby w ogóle musieć się zadawać z mężczyznami. Nie lubiła również chłopców. Wydawali się głupi i niezbyt ładnie pachnieli.

Gdyby byli jak tatuś, to jakoś by ich zniosła.

Rozdział dziesiąty

– Popadłem w niełaskę u pań w Grandzie i moje życie stało się katastrofą! Przyszedłem więc do ciebie się wypłakać – rzekł Aksel, sadowiając się w najlepszym fotelu.

Beniamin widział, że przyjaciel jest mocno podpity.

– Co takiego zrobiłeś? – zapytał.

– Przeszkodziłem Dinie i Annie w ich erotycznym obcowaniu z Brahmsem.

– W jaki sposób?

– Głębokimi pocałunkami z języczkiem – odparł z westchnieniem Aksel.

– Którą z nich całowałeś?

– Obie.

– Czy ty nie masz wstydu? Moją matkę i moją żonę! – Beniamin musiał się roześmiać. Ale nie do końca dobrze się z tym czuł.

– Wstydu? Nie, a czemu? Masz kielicha? – zapytał niechętnie Aksel.

– Jeszcze ci mało?

– Nic obecnie nie dostaję. Nic, rozumiesz! – ryknął Aksel.

– Zamknij się, obudzisz Karnę i służącą – uciszył go Beniamin, napełniając dwa kieliszki.

– Jestem tchórzem! – wymamrotał Aksel, opróżniając swój.

– Musisz nim być już od lat – pocieszył go Beniamin.

Mężczyzna siedział pochylony do przodu, jakby zasypiał. Potem proszącym gestem wyciągnął kieliszek, a Beniamin ponownie go napełnił.

– A więc? Czy mogę dowiedzieć się, o co chodzi?

– Wyrzuca mnie.

– Mogłaby zrobić coś gorszego – bąknął Beniamin.

– Spójrz na mnie, stary przyjacielu! Czy wyglądam na kogoś, kogo nikt nie może pokochać?

Rozmowa zbaczała w niebezpiecznym kierunku.

– Kochanie ciebie musi być łatwe – rzekł cicho Beniamin.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście, kurwa, że tak myślę!

– Dlaczego zatem nikt mnie nie kocha?

– Zmarnowałeś czas na Dinę – powiedział brutalnie.

– Nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Ona weszła mi w krew. Gorączką i zapaleniem, potem i oczyszczeniem. Wszystkim! Ale ty, cholerny czarusiu kobiet, ty nic nie wiesz o miłości – wykrzyknął.

– Zastanowię się nad tym. Ale ucisz się, chamie!

– Czy coś jest w tych pogłoskach? – wybełkotał Aksel.

– W jakich pogłoskach?

– Że przewodniczący Olaisen bije żonę, bo lata za lekarzem okręgowym?

Beniamin odstawił kieliszek.

– Kto tak powiedział?

– Siostra piekarza, jak jej tam? Dwóch gości w stoczni też sobie o tym niewinnie żartowało...

– Łazisz i zbierasz plotki jak jakaś baba?

– Dobrze już, dobrze, nie unos się tak. Zapewne coś w tym jest? – prychnął Aksel.

*

Karna wiedziała, że to nie jest dla niej przeznaczone. Nie zobaczyli jej, bo portiery między salonem a spizarnią były zaciągnięte. Ale drzwi stały otworem.

Nie miała zwyczaju zakradać się po cichu. Więc dlaczego dziś tak zrobiła? Pewnie dlatego, że usłyszała, że jest ktoś obcy, a ona miała na sobie tylko nocną koszulę. Było późno i w zasadzie już się kładła. Ale musiała jeszcze pójść po szklankę wody.

Głos należał do Aksela. Przystanęła i zamarła w bezruchu.

– Kurwa! Ciągle jeszcze to robisz?

Tatuś odpowiedział coś, czego nie była w stanie usłyszeć.

– Ale ten człowiek nie rzuca przecież bezpodstawnych oskarżeń? Nie bije chyba żony do nieprzytomności tylko z powodu podejrzeń. Gdzieś w tym wszystkim musi tkwić jakieś ziarno prawdy?

– Opowiedziałem ci o tym, kiedy pytałeś, pod jakim pretekstem to robi. Sądziłem, że mogę z tobą rozmawiać... jak z przyjacielem?

– Dobrowolnie zrezygnowałem z Anny, żeby mogła przyjechać do ciebie.

– Nie odgrywaj świętego! Wisiałeś już wtedy u spódnicy Diny! Lepiej skończmy tę rozmowę, zanim będzie za późno.

– A więc ten zazdrosny Olaisen ma rację?

– Akselu, przestań! – rzekł cicho tatuś.

– Mdli mnie od patrzenia na ciebie – stwierdził Aksel.

– Wygłaszasz kazania na użytek innych. Ale przyjeżdżasz do Diny, chociaż masz żenić się z inną. Wspominałeś swojej narzeczonej, że to nie góry będziesz tutaj zdobywał?

Rozległ się dźwięk przypominający uderzenie. Mocne. Potem

jeszcze jedno klaśnięcie. Następnie zapadła cisza. Słyszać było tylko gwałtowny oddech. Jeden z nich – albo obaj – zapalił cygaro. A ona usłyszała głos Aksela. Nie brzmiał zbyt pewnie.

– Nie. I to zupełnie coś innego.

– Ach tak!

– Przyjechałem tutaj, żeby ją zabrać albo z nią zostać. O tym ożenku napisałem tylko, bo... ale ona, kurwa, mnie nie chce! Chociaż jestem młody i piękny! Słyszysz, idioto?

Aksel zaśmiał się w wymuszony sposób. Cóż mu pozostało.

– Za to ty! – kontynuował Aksel. – Masz wszystko i pozwalasz, żeby przeciekało ci przez palce.

Karna poczuła, że zbliża się napad. Tatuś nie może jej tu znaleźć. Weszła na schody i przez chwilę siedziała z głową wciśniętą w kolana. Mdłości powoli ustąpiły.

Czy to tatusia należało ukamienować?

*

Kieliszki były puste.

– Beniaminie, a twoja wieloznaczna odpowiedź przed chwilą? Jeśli chodzi o Hannę Olaisen... Byliście ze sobą w młodości? – zapytał Aksel, wycierając nos rękawem koszuli. Marynarka leżała zmięta na podłodze.

– Dorastaliśmy razem. Kiedy wróciłem z Kopenhagi...

– W Kopenhadze tęskniłeś za nią tak bardzo, że aż zrobiłeś dziecko innej! I przywiązałeś Annę do siebie w taki sposób, że już nigdy się nie uwolniła – powiedział z zaciętością Aksel.

– Czy musisz wszystko tak zezmacać?

– Nie, z tym poradysz sobie sam! Czy to jest tego warte?

– Idź do diabła! Nie spotkałem się z nią od wielu...

– No właśnie! – prychnął Aksel.

– Dobrze. Zdarzało mi się z nią spotkać. Ona kogoś potrzebuje.
A mówi, że on bije ją tak czy owak...

Aksel szeroko otworzył usta.

– Przynieś jeszcze jedną butelkę – syknął.

– Nie, już wystarczy!

Siedzieli pochyleni do przodu każdy na swoim krześle i wpatrywali się sobie w oczy.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie jestem w stanie myśleć... ona też nie. Nie panujemy nad tym.

– Czy on miał rację? Dzieciak był twój?

– Nie!

Aksel usiłował wstać, ale opadł z powrotem na fotel i spytał uroczyście:

– A więc to będzie miało ciąg dalszy?

– To mała miejscowość. Nie da się jej unikać, jeśli to masz na myśli. Ale ja z nią nie sypiam! Tylko z nią rozmawiam! Rozumiesz, ty stary capie?

– Kurwa! Właśnie zobaczyłem wielbłąda w uchu igielnym!

– Co masz na myśli?

– Na pewno pójdziesz do nieba.

Siedzieli przez chwilę. Aksel wydmuchał nos w elegancko złożoną chusteczkę, którą wcześniej rozwinął w powietrzu zamaszystym gestem.

– Jeśli usłyszę, że zawiodłeś Annę, to cię zabiję!

– Jesteś pijany – stwierdził Beniamin.

– Dziękuję za informację! W butelce widać dno! – odparł rzeczowo Aksel.

Chwilę później westchnął i mówił dalej:

– Powinienem był domyślić się tego, zanim przyszedłem. Że

wszystko postawisz na głowie i cały wieczór będzie się kręcił wokół ciebie i twoich spraw.

Beniamin poszedł po kolejną butelkę.

*

Kiedy Anna wróciła do domu, leżeli na podłodze przy biblioteczce, obejmując się ramionami. Beniamin ciężko oddychał prosto w brodę Aksela. Zgodne chrapanie wypełniało cały pokój.

Najpierw stała przez chwilę, przyglądając się im. Nieco zaskoczona. Potem uśmiechnęła się i ostrożnie zasunęła firanki. Nie podnosząc przewróconej butelki ani nie sprzątajac ze stołu, nakryła ich obu pledem i cicho wymknęła się z pokoju.

Napisała kartkę dla służącej i przyczepiła ją do drzwi. „Nie przeszkadzaj, doktor zasnął w salonie!”

*

W dniu wyjazdu Aksela wiał ostry wiatr. Babcia nie odprowadzała go na przystań. A kiedy Karna poszła do niej, ledwo uchyliła drzwi.

– Nie jestem dzisiaj w stanie rozmawiać z ludźmi. Nawet z tobą – powiedziała przez szparę w drzwiach.

Wyglądała prawie tak, jakby płakała.

Karna kiwnęła głową i wyszła z powrotem na wiatr. Parowiec kołysał się na falach i jeszcze nawet nie minął wysepki Tjuvholmen.

Tatuś był już daleko na wzgórzu, więc poszła zapukać do domu Birgit. Wpuszczono ją, chociaż piec dymił do środka, bo komin nie wytrzymał naporu zachodniego wiatru.

Po chwili matka Birgit powiedziała:

– Karna byłaby ładną dziewczynką, gdyby troszkę

się uśmiechała.

Ale Karna nie widziała żadnych powodów do uśmiechu, ani tu, ani tam. Najlepiej jak umiała, rozciągnęła kąciki ust w stronę policzków.

– Jestem poważną osobą – powiedziała. Przyszło jej to do głowy dokładnie w chwili, kiedy tego potrzebowała. Chyba gdzieś przeczytała te słowa. Ale tego matka Birgit nie mogła wiedzieć.

– Powinnaś chodzić z rozpuszczonymi włosami, żeby wszyscy mogli zobaczyć, jakie masz piękne loki – rzekła matka Birgit, nie poddając się.

Siedząca obok Birgit zrobiła się malutka.

– W Biblii nie jest napisane, że tak trzeba robić – odparła Karna i zaczęła naciągać pelerynę. W środku zrobiło jej się o wiele za ciepło.

Chwilę później znów stała smagana wiatrem. Dziś najwyraźniej w żadnym miejscu nie dało się dłużej posiedzieć.

*

Kiedy wróciła do swojego pokoju, zaplotła włosy jeszcze ściślej i jak stara kobieta zwinęła je w węzeł nisko na karku. Widać było spod nich tylko mały kawałek ucha.

Tak będzie chodziła do śmierci!

Kiedy już obejrzała się w lustrze, zeszła do tatusia i Anny.

– Czy uważacie, że powinnam nosić włosy rozpuszczone, żeby było je bardziej widać?

Tatuś, nie podnosząc głowy znad gazety, zaczął opowiadać Annie, że naczelnik okręgu nie zgadza się z przewodniczącym w kwestii inwestowania dużych środków w drogę na południe.

Anna odpowiadała tylko „ach tak” i też na nią nie patrzyła, bo czytała list otrzymany z Kopenhagi.

Karna podeszła do tatusia i powtórzyła pytanie.

– Chyba są dostatecznie widoczne. Ale jeśli sama tak uważasz, to... Mnie jest wszystko jedno – rzekł, nie odrywając wzroku od gazety.

Karna wyszła do kuchni. Wisiały tam nożyczki. Zabrała je na schody i przyłożyła do włosów na szczycie głowy. I już było po wszystkim.

*

To Anna zauważyła miedzianobrunatne loki w wielkiej ilości przelatujące za oknem. Rzuciła się do drzwi i na schodach natrafiła na Karne ze sterczącymi resztkami włosów wystrzyżonych jak u więźnia.

Działo się to na siedem dni przed tym, jak miała stanąć w kościelnej nawie przed Bogiem i zgromadzeniem, udowadniając swoją wiedzę o świętych sprawach.

– Co ty wyprawiasz?

Anna miała taki sam głos jak matka Birgit.

Potem w drzwiach stanął tatuś. Najpierw wyglądał tylko dziwnie. Potem schwycił ją za ramię i wrzasnął:

– Oszalałaś? Powinnaś dostać lanie!

– Powiedziałeś przecież, że jest ci wszystko jedno. I że są dostatecznie widoczne.

– Pójdiesz pokazać się w kościele wyglądając jak miotła? – odkrzyknął tatuś.

Wyglądał groźnie. Był biały na twarzy. Stał bardzo blisko. Czuli jego oddech i kropelki przyskające na twarz. Ale nie rozumiała wszystkiego, co mówi.

Wtedy Anna wkroczyła między nich.

– Zachowajmy spokój – rzekła, jakby mówiła do chłopca

nazywanego w szkole Głupim Edevartem.

Anna wyjęła jej z ręki nożyczki i schowała je za plecami. Bała się może, że Karna ostrzyże również tatusia?

– Skąd miałam wiedzieć, że moje włosy są tyle warte, skoro nikt mi tego nie mówił? Usłyszałam to dopiero od matki Birgit. Powiedziałaś przecież, że jest ci wszystko jedno?

Służąca wystawiła głowę przez okno kuchenne i wpatrywała się w nich z otwartymi ustami.

– Wejdźmy do środka – poprosiła Anna.

– Cholera, nie dziecko! – wrzasnął tatuś, a w następnej chwili dodał:

– Ależ ty jesteś podobna do Diny!

Stwierdził to z wielką niechęcią, odwrócił się na pięcie i pomaszerował do gabinetu.

*

Anna musiała przyciąć resztki. Wymyła potem włosy Karny i wypłukała w wywarze z jałowca, wytarła grubym ręcznikiem i zaczesała je równo, robiąc po prawej stronie przedziałek.

Następnie przyjrzała się rezultatom swojej pracy z rodzajem przerażenia pomieszanego z szacunkiem. Na koniec z własnej szkatułki z biżuterią przyniosła spinkę z perłą i wpięła ją z jednej strony. Przez chwilę stała z przechyloną głową i przyglądała się swojemu dziełu.

– Do twarzy ci tak – stwierdziła.

*

Wiosną pastor powiedział, że Karna jest za mała, żeby tego lata przystąpić do konfirmacji. Anna przeprowadziła z nim rozmowę i zostało postanowione, że jednak będzie konfirmowana.

Ale kiedy rozpoczęły się lekcje religii, pastor zaczął skarżyć się Annie. Karna Grøneltv miała pojętny umysł, ale uczyła się tylko tego, co chciała. I chyba wyobrażała sobie, że zna Biblię lepiej niż sam pastor. Była nieprzystępna i o ile nie musiała, nie rozmawiała z innymi dziećmi przygotowującymi się do konfirmacji. Co gorsza, w swoim zarozumiałstwie trzymała je na dystans, aż w końcu zaczęły jej unikać. Poza tym wyśpiewywała zadane lekcje zamiast je recytować, bez względu na to, czy towarzyszyła im jakaś melodia. W ten sposób skupiała na sobie całą uwagę. To nie uchodziło, nawet jeśli była córką doktora.

Anna i tatuś byli równie surowi, podejmując ten temat. Karna pojęła, że rozmawiali już o tym między sobą. Więc pochyliła głowę i nie odezwała się ani słowem.

– Zachowuj się przyzwoicie! – powiedział tatuś.

Nie odpowiedziała mu. Dopiero kiedy Anna z naciskiem poprosiła, żeby pomyślała o tym, iż za chwilę stanie w kościele i będzie odpowiadała na pytania o swoją wiarę i wyrzeczenie się grzechu, odparła:

– Nie zrobiłam nic złego. Ale skoro prosicie, to więcej tak nie postąpię. Będę wszystko recytowała, nawet jak jest melodia.

*

W dniu konfirmacji Karna doznała uczucia, że jest ostatnia z całego rodu. Że dopiero jej życie jest tym prawdziwym, zapoczątkowanym przez iskrę skrzesaną wiele setek lat wcześniej. A na pewno na długo przedtem, zanim komukolwiek przyszło to do głowy. I że wszyscy krewni musieli stać w tym miejscu przed nią, aby pewnego dnia nadeszła jej kolej.

Widziała poważne twarze dorosłych. Grube, kamienne ściany. Światło i cienie przydawały temu obrazowi niepokoju. Jakby żył

własnym życiem.

I chyba sam Bóg siedział w koronach drzew przed kościołem i zerkał na nią, aż skrzyły się szyby w oknach. A z każdym ruchem wykonanym przez Boga, który chciał lepiej ją widzieć, światło i cień zmieniały swój kształt we wzorach rzucanych przez korony drzew.

Mroczne kąty stały się wyraźniejsze, a ściany ukryły się w cieniu i niemal zniknęły. Wszystko dlatego, że Bóg siedział na drzewie, przyginając jego gałęzie, żeby lepiej ją widzieć.

Królował nad tym głos pastora, niosący napomnienia, nakazy i wyrok. Najwyraźniej nie troszczył się o to, co robi Bóg.

*

Upadła w chwili, gdy klęczała, gotowa do przyjęcia ciała Jezusa. To wszystko zrobiło się zbyt okropne. Poza tym tatuś ciągle był zły za obcięcie włosów.

Doszła do siebie w zakrystii. Ale nie posikała się, a tatuś nie był zły. Potem pastor jakby o niej zapomniał. Więc w sumie nie zawarła na równi z innymi przymierza z Bogiem.

Zaczęła myśleć o tym, że jej konfirmacja nie była pełna i że wszyscy o tym zapomnieli.

W końcu zapytała tatusia, czy nie powinna ponownie do niej przystąpić.

– Przecież zostałeś konfirmowana – wykrzyknął.

Ale ona upierała się przy swoim, więc obiecał skontaktować się z pastorem. Jednak ten wyjechał daleko na południe za nowym powołaniem. A prezbiter nie wiedział nic ponad to, że księgi parafialne potwierdzają, iż Karna Grøneltv została konfirmowana trzeciej niedzieli lipca tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku.

Karna nie mogła w to uwierzyć. Że też księgi kościelne podają, że

była konfirmowana, kiedy to nieprawda!

– Ale to wpis w księdze się liczy – upierał się tatuś.

– Zewnętrzne dowody nie mają większego znaczenia, najważniejsza jest intencja. A przecież przyszedłeś wtedy do kościoła po to, żeby zostać konfirmowana – pocieszała ją Anna.

– Jak możecie mówić, że przyjęcie ciała i krwi Chrystusa jest tylko zewnętrznym dowodem, skoro tak zdecydował Bóg?

– O tym nie zdecydował Bóg. To obrządek wymyślony przez ludzi, żeby uzyskać pewien porządek w kościele i wiedzę o liczbie dorosłych w parafiach. O ile wiem, zdecydowali tak Ojcowie Kościoła – stwierdził tatuś.

Karna poszła na górę do swojego pokoju i zaczęła czytać. Ale nie znalazła odpowiedzi.

*

Anna załatwiła wszystko i prezbiter zabrał ją ze sobą do świecącego pustkami kamiennego kościoła i konfirmował w obecności tatusia, Anny i babci.

Kiedy tak jak poprzednio poczuła, że Duch Święty obejmuje ją w posiadanie, uniosła wzrok i spojrzała na prawy ołtarz boczny.

Na obrazie święta Anna osuwała się na podłogę, podając jej trzymaną w dłoniach wielką księgę. Karna, klęcząc tam, czuła jej oddech.

– Czy wyrzekasz się szatana i wszystkich spraw jego? – zapytał przyjaźnie prezbiter.

– Tak – odparła Karna, słysząc szelest szaty świętej Anny.

– Czy wierzysz w Ojca, Syna i Ducha Świętego?

– Tak – szepnęła Karna.

Ale święta Anna uznała, że mówi za cicho, i powtórzyła za nią:

– Tak!

– Czy z Bożą łaską chcesz wytrwać w przymierzu chrzcielnym do swej ostatniej chwili? – spytał wielebny.

– Tak, chce! – odrzekła święta Anna.

Głos odbił się echem od bielonych, kamiennych ścian, a sufit zniknął. Ale Karna, klęcząc tam, ciągle jeszcze nie dostała napadu.

– A więc podaj mi rękę na potwierdzenie – rzekł dobrodusznie wielebny.

Jednak dłoń, którą ujęła, nie była dłonią prezbitera, tylko świętej Anny. I to głos świętej Anny zabrzmiał na koniec:

– ...wytrwałości w wierze, ku zbawieniu twej duszy. Amen.

*

Kiedy później rozmyślała o tej pierwszej konfirmacji, nie pamiętała jej zbyt dokładnie. Zarówno uroczystość w kościele, jak i późniejsze przyjęcie jakby zatarły się w jej pamięci. Ale kiedy leżała w łóżku, gotowa do snu, jedna sprawa stale powracała. Była nią przemowa tatusia.

Mówił o niej tak ładnie i powiedział, że jest darem. Ale wspomniał też o pięciu kobietach, które stanowiły nieocenioną pomoc dla niego i Karny. Oline, Stine, Hanna, babcia i Anna. Mówił głównie o Annie.

Kiedy o nich opowiadał, patrzył po kolei na Annę, babcię i na nią. Ale kiedy dziękował Hannie za to, że przez te lata była dla Karny matką chrzestną, i opowiadał, jak wyjechała po nich do Bergen, kiedy powracali z Kopenhagi, przez cały czas wpatrywał się w talerz.

Rozdział jedenasty

Dina zaprosiła co znamienitszych ludzi z okolicy na przyjęcie i koncert. Wbrew swej zasadzie niemieszania interesów ze sprawami towarzyskimi ogłosiła, że ona i Wilfred Olaisen zamierzają rozbudować stocznię i że na jej parceli przylegającej do zakładu powroźniczego powstanie nowa pochylnia. Miała być gotowa następnej wiosny i zapewnić wiele miejsc pracy. Dodała, że spółka z przewodniczącym stanowi rękojmię powodzenia.

Redaktor i telegrafista zamienili się w słuch.

Dina nie wspomniała, że dla udziału w przedsięwzięciu Wilfred Olaisen zwiększył swoje osobiste zadłużenie, zastawiając pod nie dom.

Ale o tym wiedział kierownik banku.

Nie zmieniło to jednak faktu, że ten wieczór należał do przewodniczącego Olaisena. Powstał i podziękował Dinie za okazane mu zaufanie oraz wyraził przekonanie, że ich współpraca będzie owocna. On posiadał większość udziałów w stoczni, a ona w pochylni. Dodał z uśmiechem, że w zasadzie połączenie tego wszystkiego wydawało się zupełnie naturalne.

Unikali się nawzajem. Hanna i Beniamin. Kiedy na siebie natrafiali, działo się tak, jakby on już się nauczył odczytywać jej

szybko rzucone spojrzenia. Tego wieczoru tak się złożyło, że go nie dostrzegła.

*

Anna miała uczyć Karnę przez jeszcze jedną zimę, a następnie zamierzali się zastanowić, co dalej. Było dość czasu. Żeby grać, śpiewać i upadać. A potem miano ją wysłać gdzieś, gdzie będzie mogła stać się kimś.

Szlifowała łacinę z kapelanem. Był poczciwym człowiekiem, który niewiele się odzywał ponad to, za co mu płacono. Beniamin utrzymywał, że Karna już potrafi więcej, niż on umiał w jej wieku.

Ale ona temu nie dowierzała. Mówił ot tak sobie różne, niczym nieoparte rzeczy. Czasami miała wrażenie, że jest miły dla Anny i dla niej tylko dlatego, że zawsze biegnie dalej, w inne miejsce.

Babcia i tatuś rozmawiali o wszystkim, co trzeba zrobić w Strandstedet, o pracach rady okręgu i komisji sanitarnej. Czasami w obecności Anny poruszali również temat komisji szkolnej.

Tatuś spędzał czas w gabinecie, pływał po wyspach, jeździł drogami na południe albo spotykał się z ludźmi w Grandzie. Zazwyczaj nie opowiadał, kim były te osoby. Zdarzało się, że wracając do domu, pachniał cygarem i ponczem.

Tak wyglądał ten nowy świat. Polityka. Słowo oznaczające wszystko, co trzeba było załatwić poza doktorówką.

Anna dużo grywała z Diną. Dawały otwarte dla wszystkich koncerty domowe. Czasami Karnie też pozwalano brać w nich udział. Ale najczęściej stała z boku.

*

Pewnego zimowego dnia Karna spotkała na poczcie Hannę.

Trzymała za rączkę najmłodszego syna, przemawiając do niego, ponieważ gorąco przeciwko czemuś protestował.

– Czy mogłabyś go chwilkę popilnować, a ja w tym czasie coś załatwię? – zapytała Hanna, kiedy chłopiec znów zrobił się grzeczny.

Karna nie wiedziała, jak mogłaby się od tego wymigać, więc wsadziła sobie malucha na ramiona i udawała konia. Kiedy Hanna wróciła, wszyscy razem powędrowali w górę drogi.

Konrad nie chciał rozstać się z nią przy domu doktora, więc pociągnęła go na sankach na górkę.

Hanna szła za nimi bez słowa.

Słupy przy bramie domu Olaisenów były niemal całkowicie pokryte śniegiem, ale poza tym dookoła było ładnie odśnieżone. W doktorówce natomiast różnie z tym bywało.

Tatuś, idąc, przeskakiwał przez zaspę. Anna zaś nie zawsze pamiętała, żeby poprosić chłopaka od piekarza o odśnieżanie.

– Chcesz zobaczyć suknię, którą teraz szyję? – zapytała Hanna.

– Tak – odrzekła z wahaniem Karna.

Miło tam było. Sara ugotowała kakao i przez cały czas się uśmiechała. Na ustach Hanny też parę razy zagościł uśmiech.

Wtedy nad blatem kuchennego stołu tak jakby rozbłyskiwało ogromne słońce.

*

Zaraz potem babcia z Anną popłynęły parowcem do Tromsø, żeby posłuchać gry na skrzypcach, a ona musiała zostać w domu i się uczyć.

Kiedy skończyła odrabiać lekcje, tatuś ciągle jeszcze nie wrócił. Dom wydawał się taki dziwny i opuszczony, bo służąca miała wolne.

Przyświecając sobie lampą, ruszyła do Hanny i Sary. Wiedziała, że Olaisen popłynął na północ kliprem „Svanen”. Karna przy spotkaniach z Olaisenem najlepiej się czuła, jeśli była z nią też wtedy babcia.

Był ciężki od śniegu lutowy wieczór. Śnieg nawet nie chrzęścił, kiedy szła. Wszystko wokół było niczym jedwab.

Starym nawykiem poszła w stronę wejścia kuchennego. Już miała zapukać, gdy usłyszała dobiegające z sieni ciche głosy.

Serce zaczęło jej walić. Głowę miała dziwnie odrętwiałą. Nie zastanawiając się wiele, zbiegła ze schodów i schowała się za róg domu.

W chwilę później wyszedł. Tatuś. Tylnymi drzwiami w domu Olaisenów.

Kiedy jego postać pochłonął mrok, jeszcze przez całą wieczność stała w tym samym miejscu. Potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie ukryła się za węglem. Dlaczego mu się nie pokazała, nie wetknęła ręki w jego dłoń, żeby razem pójść do domu? I dlaczego zapukanie do domu Hanny stało się niemożliwe? Wszystko jedno, w które drzwi, główne czy kuchenne. Po prostu niemożliwe.

*

Dotarła do doktorówki i wślizgnęła się do korytarza. Ale on ją usłyszał i zawołał, żeby przyszła do salonu.

– Gdzie byłaś tak późno?

– Poszłam na spacer, było tak ładnie – odparła, zmuszając się, żeby wejść do środka.

– Nie powinnaś chodzić sama po zmroku.

Siedział już za gazetą, ale mówiąc do niej, odłożył ją na bok. Uśmiechał się. Jak gdyby nigdy nic. Nie była w stanie nie pomyśleć

o tych wszystkich razach, kiedy zwracał się do niej lub do Anny i miał ten sam wyraz twarzy, co w tej chwili.

Mogła powiedzieć, że szła do Hanny popatrzeć, co teraz szyje, i zobaczyła, jak wychodzi przez kuchnię. Dlaczego?, mogła zapytać.

Zamiast tego powiedziała mu dobranoc. A kiedy tak jak zawsze nadstawił policzek, poczuła, że zaraz się rozplącze. Musnęła go ustami najszybciej, jak potrafiła.

Nie był już żywy, zmienił się w szmacianą kukiełkę.

*

Służąca dołożyła do pieca, a ona powinna czytać *Córki wojewody* i uczyć się łaciny dla zaawansowanych. Ale nie była w stanie zabrać się do żadnej z tych rzeczy.

Nie powiedziała tatusiowi, jak się czuje ani co myśli. Utraciła go.

Przypominając sobie różne drobiazgi, ton jego głosu, wyjaśnienia i spojrzenia, pojęła, że nawet jeśli jej nie okłamywał, to na pewno nie mówił wszystkiego.

A ponieważ nie mogła już użyć tych samych słów co wtedy, gdy była mała, niczego się nie dowiadywała. Wiedziała tyle, co wszyscy inni. Nawet kiedy siedzieli sami w łódce, on nie był już dla niej dostępny. Czy to dlatego, że stawała się dorosła?

Tylko przypadek sprawił, że dowiedziała się, iż pod nieobecność Olaisena tatuś opuszcza jego dom kuchennym wyjściem. Temu oto mężczyźnie ufała Anna. Ten człowiek leczył chorych i pocieszał ludzi, kiedy ktoś im umarł. Był tatusiem. I już nim nie był.

Położyła się do łóżka, nie zdejmując ubrań.

*

Obudziła się w środku nocy. Śniło jej się to wszystko. Jeszcze raz. To nie był sen, tylko myśli o rzeczywistości. Te same, których nie

chciała dostrzegać po obudzeniu. Że Sara zabrała chłopców do Reinsnes. Pytała Karnę, czy chce się z nią wybrać. Ale ona nie mogła nawet pojechać do Tromsø, żeby posłuchać gry na skrzypcach.

Wstała, zapaliła lampę i dołożyła do pieca. Umyła twarz w lodowatej wodzie i włożyła wełniany sweter. Była trzecia w nocy, a mrok ją przerażał. Nigdy wcześniej tak nie było.

Drżąc, usiadła pod kołdrą całkowicie ubrana i czekała, aż izba się nagrzej. Siedząc tak, podjęła decyzję. Chce z nim porozmawiać. Teraz, od razu. Zanim opuści ją odwaga.

Wzięła lampę i wyszła cicho, żeby nie obudzić służącej. Przed sypialnią Beniamina i Anny zawahała się i stanęła, nadsłuchując. Potem ostrożnie zapukała.

Nikt nie odpowiedział. Zastukała ponownie. Żadnego ruchu. Nacisnęła klamkę i weszła do środka, świecąc sobie uniesioną lampą. Łóżko było puste. Nikt w nim nie spał.

Na stoliku w korytarzu nie zostawił żadnej kartki, jak miał w zwyczaju robić, jeśli w nocy musiał jechać do chorego. Poza tym ona zawsze się budziła, kiedy przychodził posłaniec, bo jej izba znajdowała się tuż obok.

Stała w zimnym, ciemnym korytarzu z osobliwym uczuciem, że jest martwa. Że stoi wyprostowana w grobie.

Po chwili zebrała się w sobie i zaczęła snuć bardziej rzeczowe myśli. Ubrać się, pójść do domu Olaisenów i go przyprowadzić. Ale od tego wszyscy by umarli.

Poszła do swojej izby i dołożyła jeszcze trochę do pieca, nie przejmując się łomotem drzwiczek. Potem usiadła nad czasownikami łacińskimi.

Poczuła mdłości, ale postanowiła nie zwracać na nie uwagi.

Jakoś je przemogła. Chwyciła podręcznik do łaciny i z całej siły cisnęła nim o ścianę. Kiedy dotknął podłogi, miała wrażenie, że opadał jak wolno szybująca kartka papieru. Potem zapadła cisza.

Wstała ponownie i podeszła do pieca. Wtedy usłyszała, jak wraca. Jego kroki na schodach brzmiały jak skradanie się złodzieja. Wstrzymała oddech, aż odpłynęła.

*

Obudziła się, leżąc na łóżku, kiedy tatuś smarował maścią jej dłonie. A więc zapewne upadła na piec.

Chwilę później poczuła ból. Dobrze. Przynajmniej wiedziała, co ją boli. Miała mokrą twarz.

– Karno, Karno, już dobrze! – usłyszała. – To ci pomoże. Jego głos brzmiał jak za dawnych czasów. W Reinsnes, w łodzi. Gdziekolwiek.

Chciała znów się w to zanurzyć tylko po to, żeby trwało. Mocno zacisnęła powieki, żeby na niego nie patrzeć. Bo jeszcze nie wiedziała, czy będzie w stanie dostatecznie mocno go nienawidzić.

Przytulił ją i zaczął kołysać jak zawsze. Nic nie mogła poradzić na to, że przynosiło jej to ulgę, więc nie dała po sobie poznać, że doszła do siebie. Chociaż wiedziała, że dopóki się nie ujawni, będzie ją trzymał i powtarzał jej imię. Ciągle od nowa.

Postanowiła otworzyć oczy tylko, żeby sprawdzić, czy jeśli na niego plunie, trafi prosto w twarz. Ale kiedy zobaczyła jego wzrok, nawet plunąć nie była w stanie.

– Nie powinnaś była palić w piecu tak wcześnie, zanim ludzie wstaną – szepnął.

Nie zapytała, dlaczego jest całkiem ubrany i ma śnieg we włosach. Udało jej się znów od niego odpłynąć. Daleko poza szkiery.

*

Następnego ranka czuła się chora. Coś było nie tak z oknem. Samo się otwierało i zamykało. To Stine usiłowała coś powiedzieć, ale Karna nie potrafiła jej dostrzec.

Tatuś przyszedł i stwierdził, że ma gorączkę. Kiedy u niej był, okno pilnowało się i było zamknięte, a ona czuła zapach Hanny.

Starła się znieść jego dotyk. Ale kiedy wymówił jej imię i zapytał, czy go słyszy, nie miała w sobie dość siły, żeby mu odpowiedzieć.

Usiadł przy niej i wtedy pojęła, że zamierza tu zostać, o ile nie ujawni, że oprzytomniała. Tego nie zdołałaby wytrzymać.

– Jestem zdrowa – rzekła ze złością.

– Masz gorączkę i płaczesz – odparł tatuś.

– Nieprawda – płakała.

– Miło usłyszeć twój głos – stwierdził wesoło i się uśmiechnął.

Wtedy ponownie zamknęła oczy.

– Posłuchaj! Muszę jechać na spotkanie komisji sanitarnej, ale to nie potrwa długo.

Nie odpowiedziała.

– Anna wróci po południu. Ale ja będę z powrotem dużo wcześniej. Kristine przyjdzie dołożyć do pieca. I przyniesie jedzenie. Poczujesz się już wtedy lepiej, prawda?

Usłyszała, jak wstaje, żeby odejść, ale ponownie zacisnęła usta.

– Prawda? – powtórzył.

Poczuła tuż obok jego wargi, kiedy dmuchnął jej w kark. To było obrzydliwe. Przed oczami stanęła jej Hanna. Pewnie z powodu zapachu.

*

Anna wróciła do domu i wszystko zmieniło się tyleż na gorsze, co

na lepsze. Była zadowolona, ale pełna troski o Karnę. Usiadła na brzegu łóżka i chciała napić ją sokiem. Przez cały czas opowiadała o wycieczce do Tromsø. Dobrze jej zrobił ten wyjazd. Następnym razem będzie chciała zabrać ze sobą Karnę. To pewne.

Karna potrząsnęła głową.

– Nigdzie nie pojedę – stwierdziła.

– Co ci jest? – zapytała po chwili Anna.

– Nie widzisz, że oparzyłam dłoń, upadając.

– Widzę, ale jesteś też z jakiejś przyczyny nieszczęśliwa.

– Nie – odrzekła Karna, czując wstyd. Bo w ten sposób stawiała się współniczką tatusia. Kłamała dla niego.

*

Przez całe popołudnie Anna grała Mendelssohna. Od czasu do czasu przychodziła na górę, opowiadała o Tromsø i mówiła, że w Strandstedet powinien być choć jeden skrzypek.

Karna siedziała z zabandażowaną ręką i nie opuszczała izby. Ból nie był aż tak straszny, żeby nie mogła go wytrzymać. A jednak przez cały czas łzy płynęły jej z oczu.

Okno znów zaczęło się otwierać. Tym razem to nie Stine przez nie zaglądała, tylko Hanna. Sprawiała wrażenie żarłocznej i próbowała wdrapywać się po firankach. Ale nie była w stanie wejść do izby.

Tak one wyglądały. Nierządnicę z Biblii. I nagle wiedziała już, dlaczego on musiał ją bić. Olaisen. Po prostu widział po niej, że jest grzesznicą zasługującą na ukamienowanie.

Twarz Hanny rozpląnęła się na ciemnej szybie okna. Węże i robaki wyszły z jej oczodołów, ust i nosa. Skurczyła się i w końcu zniknęła.

Ale Karna ciągle słyszała, jak próbuje wgramolić się do środka.

Zastanawiała się, czy powinna wstać i wziąć ją do izby na szufli do węgla. Wrzucić potem do pieca na wieczne potępienie. Ale ta myśl odpłynęła.

*

Następnego dnia babcia bezszelestnie stanęła w drzwiach.

– Słyszałam, że źle się czujesz – rzekła wesoło, rzuciła zakiet na koc i przyciągnęła sobie do łóżka krzesło.

– Kto tak powiedział?

– Staruszkowie na dole.

Karna usiłowała nieco się unieść.

– Mówią, że miałaś napad i upadłaś na piec, że masz gorączkę i zły humor. Więc musimy znaleźć jakąś kurację.

Wyciągnęła wielką tutkę z kamforowymi landrynkami i ją poczęstowała.

Karna włożyła jedną do ust. Kiedy poczuła przyjemny, kwaskowaty smak, zaczęła płakać.

Babcia przez chwilę jej się przysłuchiwała. Potem wyjęła chusteczkę, która – jak utrzymywała – została kupiona u najlepszej koronczarki w Wiedniu. Podała ją Karnie, a ona chętnie z niej skorzystała. Ale to nie pomogło.

Babcia położyła jej dłoń na czole i wzniosła oczy do nieba.

– Lodowate – orzekła.

– Niech ją nawet i zabije! – słowa wyrwały się z Karny, zanim zdążyła je pomyśleć.

– Kogo?

– Tę bezwstydłą Hannę!

Babcia powoli wstała, wróciła do drzwi, otworzyła je, jakby zamierzała wyjść, ale zaraz zamknęła ponownie. Potem znów usiadła przy łóżku.

– To poważna sprawa – stwierdziła.

– Wpuszcza obcych tylnymi drzwiami, kiedy nikogo nie ma w domu. A Anna tylko sobie gra Mendelssohna.

Babcia wyglądała, jakby wysmagał ją zimowy wiatr.

Karna przestała płakać.

– Kim jest ten obcy? – zapytała babcia.

Karna poczuła strach. Te oczy babci. Ale mimo to musiała powiedzieć, jak się sprawy mają.

– Tatuś.

– Widziałaś?

– Tak.

Zapomniała jednak dodać, że nie spał w swoim łóżku. Ani dlaczego. Tego nie powiedziała.

– Posłuchaj, Karno, w tym niekoniecznie musi być coś złego. Ale nie wolno ci o tym mówić Annie. Porozmawiaj ze swoim ojcem, ale nie męcz tym Anny!

– Czy ona ma być jedyną, która nie wie? Będą tylko kłamstwa... same kłamstwa...

– Benjamin musi sam powiedzieć jej, co trzeba. Nie ty! Rozumiesz?

– Ale babciu, a jeżeli on tylko ją okłamuje?

– Być może to jakieś nieporozumienie. Więc nie pogarszaj sprawy. Obiecuj mi to.

– Ale jak mam tu chodzić i udawać, że nic się nie stało? Nie dam rady.

– Nie musisz. Możesz zapytać Beniamina, dlaczego biega do domu Olaisenów i wchodzi kuchennymi drzwiami, kiedy Olaisena tam nie ma.

– Naprawdę mogę?

- Tak.
- Ale jak mam to powiedzieć?
- Użyj tych samych słów co ja. Powiedz wprost.
- A co, jeśli odpowie, że to nie jest nieporozumienie?

Babcia ponownie wstała i zaczęła szybko chodzić tam i z powrotem po całej izbie. Po chwili zatrzymała się przy łóżku.

- Jeśli tak, to czekają go ciężkie chwile, Karno.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Wstaniesz teraz? – zapytała babcia.

- Mam wrażenie, że nigdy już więcej nie wstanę.

– Wtedy będziesz tylko leżeć, dręcząc się myślami, i niczego nie dokonasz.

- A co ty myślisz, babciu?

– Och, myślę sobie o wielu okropnych rzeczach, wierzaj mi. Niemniej w tej chwili najwięcej rozmyślam o tym, jak trudne jest twoje dorastanie. Ale na dzisiaj już wystarczy. Może mogłabyś się ubrać, poszłybyśmy do Grandu. W porcie jest pełno łodzi i wydaje mi się, że dziś zobaczymy słońce.

Karna wydmuchała nos. A potem skinęła głową.

*

Kiedy Anna zobaczyła je obie gotowe do wyjścia, rzekła zdumiona:

- Wychodzisz, Karno? Czy to rozsądne? Z gorączką?

– Już jej przeszło. Nie ma większej gorączki niż pierwsza lepsza mewa – stwierdziła babcia.

Kiedy szły w dół drogą, Karna zapytała:

- Dlaczego wszystko jest takie brzydkie?

– Kiedy nabierzesz dystansu, będziesz potrafiła myśleć o tym, co piękne.

– A co jest piękne?

– Dzieło stworzenia Najwyższego. Sztuka. Muzyka. Niektóre myśli. Niektóre słowa.

– Ale ludzie są okropni!

– Nie przez cały czas.

– Czy sądzisz, babciu, że ludzie mogą się kochać bez okłamywania?

Babcia ruszyła dalej, ale teraz zwróciła twarz w jej stronę.

– Nie wiem. Ale wierzę w to. Nie możesz jednak oczekiwać, że ludzie będą istnieli tylko dla ciebie. Są tutaj dla siebie. I nawet jeśli cię kochają, to może się zdarzyć, że nie będą chcieli wszystkiego ci opowiadać. Nie wiem, czy to jest kłamstwo. Przecież najważniejsze jest to, że masz kogo kochać.

– Ale jak to?

– Trzeba dostrzegać miłość, póki trwa, a nie czekać, aż przeminie. A jeśli przeminie, należy pozwolić jej odejść. Ma być wolna. Tylko w ten sposób da się ją zatrzymać.

– A ty pozwoliłaś jej na wolność?

– Nie, postąpiłam tak jak ty z kaczącami.

– Dlaczego? – szepnęła Karna prawie bez tchu.

– Bo nie chciał przyjechać i ze mną zostać.

– Ale przecież to ty powiedziałaś, że Aksel...

– Nie chodzi o Aksela, to było w młodości. Miał na imię Leo. Sądziłam, że będzie istniał tylko dla mnie.

– I nie stało się tak?

– Nie, istniał sam dla siebie, a ja tego nie rozumiałam.

– Wierzyłaś w miłość?

– Tak.

Karna westchnęła.

- No tak, co innego mogłaś zrobić? Skoro on nie chciał.
- Oczy babci były pełne rozbawienia. A może łez?
- Myślisz, że tak samo jest z tatusiem?
- Miałam nadzieję, że jest mądrzejszy...
- Czy nie mogłabyś z nim pomówić, babciu?
- To ty go podejrzewasz, więc sama musisz z nim porozmawiać.
- A ty go nie podejrzewasz?
- Nie mam powodu.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nie ma żadnej przyczyny, z jakiej miałoby mnie ranić to, co robi

Beniamin.

- Ale czy nie obchodzi cię Anna?
- Ależ tak. Ale nie mogę przeżyć życia za Beniamina i Annę.

Tylko oni mogą to zrobić.

- Mówisz tak, jakbyś żyła gdzieś osobno, a nie razem z nami.

– Jestem z wami. Ty, Karno, masz taką kruchą powłokę. Ale to nic nie szkodzi, bo twoje wnętrze jest mocne jak skała. Ze mną sprawa ma się odwrotnie. A kiedy rozpada się skała, na której zbudowaliśmy swoje życie, wszystko godzi boleśnie w naszych najbliższych.

Doszły już na sam dół ulicy Strandveien. Wtedy wyłoniło się słońce. Zatrzymało się na twarzy babci i pozostało tam, dopóki nie weszły do środka.

*

Obiad był karą. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

Anna wydawała się wręcz wesoła i paplała o różnych rzeczach związanych z Tromsø. Spotkała niejaką panią Andreę, wdowę po garbarzu, która obecnie prowadziła kwaterę dla młodych mężczyzn.

Tatuś wymamrotał coś, że mieszkał u niej w czasach, kiedy

chodził do szkoły w Tromsø.

– Zaoferowała, że da pokój Karnie, chociaż najchętniej przyjmowała chłopców. Twierdziła, że z nimi jest najmniej kłopotu – zaśmiała się Anna.

– Nie ma mowy! – zawołał tatuś, odkładając sztucce.

– Zgadzam się. Dziewczynki przecież są mniej...

– Karna nie będzie tam mieszkać!

– Dlaczego nie? Ta pani właśnie wytapetowała pokój. Jest tam ładnie i...

– Nie ma mowy!

– Ależ, mój drogi, dlaczego nie?

– Po prostu to w ogóle nie wchodzi w rachubę!

– Była aż tak okropna? – zapytała Anna.

Karna nie zamierzała się odzywać, dopóki nie będzie zmuszona. Podjęła takie postanowienie.

Tatuś ze złością patrzył na przemian na jedną i na drugą.

Karna i Anna wymieniły spojrzenia. Potem Anna zaczęła się śmiać.

– Czy nie dawała ci jeść?

– Po prostu przestań! Karna tam nie pójdzie!

– Szczerze mówiąc, zadałam sobie nieco trudu, żeby znaleźć jej pokój. Dom położony jest blisko szkoły dla dziewcząt, a pani wydawała się miła i porządna. Czy nie możesz mi po prostu powiedzieć, co jest nie tak, a ja obiecuję, że ci uwierzę.

Karna usłyszała tylko „powiedzieć, co jest nie tak, a ja obiecuję, że ci uwierzę”. Taka była Anna. Kiedy ktoś jej wyjaśniał, w czym tkwi problem, wierzyła mu bez zastrzeżeń.

– Ona była... nie była, mam na myśli, że... była niegodna zaufania! Po prostu, i już.

Karna głęboko wciągnęła powietrze. Obraz wiszący między oknami był nieco przekrzywiony. Prawie niedostrzegalnie.

– A kto jest godny zaufania? – wyrwało się jej.

Tatuś uniósł głowę. Zmusiła się, żeby popatrzeć mu w oczy. Coś się stało. Widać to było w sposobie, w jaki poruszył dłonią. I że nie mrugał. Tylko się wpatrywał. A zaraz potem przełknął ślinę, chociaż niczego nie miał w ustach. Na jego policzki padł głęboki cień.

Anna coś powiedziała, ale dźwięk tych słów do niej nie dotarł. Po chwili tatuś również coś rzekł. Nie miało to nic wspólnego z jej pytaniem. Przez cały czas patrzył na nią.

Karna pierwsza opuściła wzrok. Nie dała rady.

*

Uczyła się pilnie łaciny i pisała zadane przez Annę wypracowania po niemiecku. Nie miała natomiast siły czytać *Córek wojewody*. Książka była zbyt smutna. A ona miała dość zmartwień.

Bo musiała to zrobić. Babcia ją do tego zobowiązała. Kiedy wyszedł ostatni pacjent, zapukała do drzwi gabinetu.

W środku czuć było woń wymiocin.

Stał zwrócony do niej tyłem przy szafce z lekami.

– To ty? – zapytał, odwracając się lekko.

Stała przy zamkniętych drzwiach ze złożonymi dłońmi.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Pytaj śmiało.

– Lepiej usiądź.

– No cóż, zapowiada się poważnie – odparł ze śmiechem. Ale usiadł za biurkiem.

– A więc?

Ona też usiadła. Na krześle dla pacjentów. Twarz tatusia była

taka płaska. Myślała gwałtownie o czymś, co mogłaby powiedzieć, żeby nie musieć zadawać pytania, z którym przyszła. Ale głowę miała pustą. Jeśli pominąć to jedno pytanie, nic w niej więcej nie istniało. Nic!

Wtedy nagle na to wpadła. Na coś innego. A jednak podobnego.

– Dlaczego nie dostrzegasz Anny?

Czy wyglądał na zaskoczonego? Czy aby naprawdę?

– Ja nie dostrzegam Anny? Dlaczego tak mówisz?

Karna dotknęła frędzelków przy swoim pasku. Zupełnie nieświadomie zaplotła mały, ciasny warkoczyk. Cienkie lniane nitki rozcinały jej skórę na palcach, chociaż tego nie czuła.

– Bo widziałam, jak wychodzisz drzwiami kuchennymi od Hanny – wyszeptała.

Mówiąc to, nie patrzyła na niego. Chciała dać mu spokojną chwilę na pozbieranie się. Każdy musiał mieć taką szansę. Ale kiedy cisza pomiędzy nimi była już tak ciężka, że nie była w stanie jej unieść, musiała podnieść wzrok.

– Śledzisz mnie, Karno? – zapytał cicho.

– Nie. Kiedy zniknąłeś w nocy, nie poszłam sprawdzić, czy znowu tam jesteś.

Słyszała jego oddech. Zobaczyła, jak przenosi pióro z kałamarza do etui. Jego dłoń. Przeczesującą włosy.

– Poszedłem tam jeszcze raz – rzekł spokojnie.

Jego twarz się rozplynęła. Pływał w ciemnych wodorostach. Był pod wodą. Chyba tonął. Nic nie można było na to poradzić.

– I z czym to wiążesz? – dotarło do niej jego pytanie. A zatem nie umarł jeszcze całkowicie.

– Ze smutkiem Anny...

Tatuś nie miał żadnej barwy. Nie istniał.

- Jestem doktorem, Karno.
- Nocą również?
- Nocą również.
- Tej nocy też?
- Tak.
- A co jej było?
- Nie mogę o tym opowiadać.
- Kłamiesz!

Słowo zostało wypowiedziane i nie da się cofnąć. Nigdy.

- Karno...
- Jesteś obrzydliwy! – płakała, usiłując rozwiązać warkoczyk spleciony z czerwonych, lnianych nitek. Kiedy jej się nie udało, pociągnęła za niego z wściekłością, rozrywając nitki.
- Czy męczyłaś już tym Annę?
- Nie, babcia powiedziała, że nie powinnam.
- Ach tak, a więc babcia...

Nienawidziła go za to, że nie ma twarzy. Dowodziło to, że ona ma rację. Dlaczego nie mógł wymyślić jakiegoś wiarygodnego wytłumaczenia. Mogłaby wtedy o tym zapomnieć. I wszystko byłoby jak dawniej.

- Musisz o tym powiedzieć Annie – wyszeptała.
- Nie mam czego mówić Annie – odparł krótko.
- Wobec tego mógłbyś powiedzieć jej to, co mnie, żebym nie czuła się kłamcą, któremu nie wolno się odzywać.
- O co dokładnie oskarżasz swojego ojca? – zapytał obcy głos.

Nie była zdolna tego wymówić. Nawet nie знаła właściwych słów. W Biblii napisano o cudzołóstwie. Ale takiego słowa nie mogła skierować do tatusia. Mogłaby przeczytać mu je prosto z Biblii, ale jej torba leżała na strychu.

I wszystko, co Anna i Sara powiedziały jej o ciele, miłości i poczęciu, o tej całej krwi, która będzie musiała z niej wypłynąć, zanim się zestarzeje, wszystko to zlało się w jeden ohydny, niezdrowy smak w ustach. Jakby to wszystko było jej winą.

Podał jej ponad biurkiem chusteczkę.

– Nie wolno ci tam więcej chodzić! Rozumiesz?

Najpierw wyglądał, jakby nie usłyszał jej słów, potem podparł twarz dłońmi i popatrzył na nią z powagą.

– Jeśli ktoś u Olaisenów potrzebuje doktora, to muszę tam iść.

Wiesz o tym, Karno?

– Mogą zawołać drugiego doktora.

– Mogą, to prawda – zgodził się i odzyskał swą twarz.

Po dłuższej chwili pochylił się ku niej ponad biurkiem.

– Wiesz, jak dobrze znamy się z Hanną? Dlatego właśnie rozmawia ze mną, kiedy dzieje się coś złego.

Te słowa nie były prawdziwe. Szczękały tylko pusto na wietrze.

Rozdział dwunasty

Karna widywała go w stoczni. Jednocześnie go nie dostrzegając. Nawet z odległości widziała, jaki jest brudny. Sadza. Smary, czy co to tam było. Ale wiedziała, że pod tym wszystkim kryje się Peder, który potrafi naprawiać maszyny. Wrócił do Strandstedet, żeby pracować na pochylni babci i Olaisena.

Słyszała, jak doświadczeni robotnicy na przystani rozmawiają, jak wielka jest różnica pomiędzy statkiem a zwykłymi łodziami. Mówili, że on będzie inżynierem czy czymś takim. Więc pewnie będzie naprawiał raczej statki. Uważali, że pochylnia jest na to trochę za mała, chociaż nowa.

*

Pewnego dnia, gdy Karna była w domu Birgit, pokazała jej, co widać, kiedy przytknie się do szyby w oknie kuchennym złączone kciuki i palce wskazujące. Jeśli zegnije się kciuki nieco do środka, to na szybie powstanie odwrócone serce. Birgit uznała, że to bardzo ładne, i chciała wiedzieć, kto ją tego nauczył.

Nagle w jej sercu na oknie pojawił się człowiek. Otoczony kręgiem słonecznego blasku. Trwało to tylko krótką chwilę. Speszyła się tak bardzo, że nawet się nie przywitała. Tylko Birgit

zdążyła to zrobić. Chwilę potem Peder Olaisen zniknął im z oczu.

– Był w twoim sercu! – krzyknęła podekscytowana Birgit.

– Pewnie uznał, że stroisz sobie z niego żarty – powiedziała matka Birgit.

I zaczęła opowiadać, że Peder namawia dziewczęta do grzechu. Tłoczyły się wokół niego, bo potrafił dobrze tańczyć. Gdyby jeszcze trzymał się jednej. Wstyd i grzech.

I spojrzała surowo na Karnę i Birgit, czyniąc znak krzyża. Ale zaraz potem chyba o tym zapomniała. Człowiek, który był w Trondhjem na nauce, nie mógł być byle kim. Miał dwadzieścia pięć lat i wyglądał na osiemnaście. Miał w oczach coś dziwnego.

– Wszyscy wcześnie osieroceni przez matki mają takie oczy, biedacy... – stwierdziła.

Słowu „biedacy” w jej ustach jakoś nie do końca można było ufać.

*

Po powrocie do domu Karna stanęła przed lustrem. Próbowwała dojrzeć, w czym może ujawniać się to nieszczęście. Osierocenie przez matkę. Ale jedyną szczególną cechą jej oczu był kolor.

*

Po skończonej lekcji odważyła się zapytać o to Annę.

– Czy po oczach ludzi można zobaczyć, że nie mają matki?

Annie nigdy nie przyszło to do głowy. Jednak nie śmiała się z niej. Przechyliła głowę na bok, przyglądając się uważnie oczom Karny. Potem potrząsnęła głową.

– Dlaczego o to pytasz?

– Matka Birgit mówi, że Peder Olaisen ma takie nieszczęśliwe oczy, bo został osierocony przez matkę.

– Hm... pewnie coś w tym może być – odparła z powagą Anna.

– Ja mam ciebie, więc pewnie tego nie widać.

Wtedy Anna uśmiechnęła się i podziękowała za zaufanie. Ale pewnie jest wiele lepszych od niej matek.

Karna spojrzała na nią z przerażeniem.

– Nie mów tak! Co by się stało z tatusiem i ze mną? Bez ciebie? I któż nauczyłby mnie grać na pianinie?

– Czy pamiętasz, że w pierwszym okresie nazywałaś mnie Hanną?

Karna zaczerwieniła się. Zrobiło się niebezpiecznie.

– Pewnie sobie nie radziłam z tymi wszystkimi imionami – wybąkała.

– Może powinnaś była mieć taką matkę jak ona?

– Nie mów tak! Nie wolno ci! Słyszysz? Nie wytrzymam tego...

Przerwała i utkwiała wzrok w zeszytcie. Miała takie brzydkie pismo.

Później, kiedy siedziały już każda ze swoim kubkiem czekolady, gdyż Anna uznała, że zasłużyły, Anna zapytała:

– Znasz tego Pedera?

Karna potrząsnęła głową.

Opowiedziała o wizycie z babcią w stoczni, kiedy była jeszcze mała. Peder był wtedy tak czarny, że uznała go za Murzyna.

Anna się zaśmiała.

Karna poczuła, jak oblewa ją fala gorąca.

– W ogóle go nie znam! – dodała szybko.

– To sympatyczny młody człowiek. Poznaliśmy go z Beniaminem u Diny, przyszedł razem z Hanną i Wilfredem. Oczywiście znalazł się w cieniu swego brata. Ale to akurat dotyczy każdego.

– W jakim sensie?

– No cóż, ten Wilfred ma w sobie coś takiego. Jakby zagarniał

wszystko wyłącznie dla siebie. Zapytaj Diny. Ona wyznaje się na takich sprawach – odparła Anna z uśmiechem.

– O czym wtedy rozmawialiście?

Anna się zastanowiła.

– Wydaje mi się, że Dina rozmawiała z mężczyznami o stoczni i pochylni. I o kapitale w Strandstedet, jak to nazywa kierownik banku. Ale Peder Olaisen wolał posłuchać o Kopenhadze i Berlinie. Mówił, że chce wyjechać w świat, żeby więcej się nauczyć. Musi tylko najpierw odłożyć nieco pieniędzy. Ale Wilfred Olaisen nie chciał o tym słyszeć, bo potrzebował go w swoim przedsiębiorstwie.

– Czy Olaisen może decydować w takich sprawach?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Ale przecież przez cały czas go nie było – rzekła Karna.

– Tak być musi, jeśli człowiek chce zostać kimś.

Karna nie wiedziała, czy Anna mówi o Pederze Olaisenie, czy też o niej, więc wolała dalej nie pytać. Bo nie była pewna, czy chce zostać kimś więcej, niż jest.

*

Następnego dnia Karna siedziała w prywatnej części hotelu i jadła małe łapóweczki, jak je nazywała babcia. Były to pudełka suszonych śliwek, rodzynek, suszonych jabłek, słodkich migdałów i fig.

– Czy to od Johna A. Giaevera? – zapytała Karna.

– Nie, tym razem od Olego M. Gundersena – odparła babcia, która już swoje zjadła. Między zębami trzymała teraz zapalone cygaro. Przyglądając się Karnie przez chmurę dymu, cmoknęła. Cygaro przesunęło się w jej ustach z prawa na lewo. W tym momencie miała najwyraźniej dość palenia, bo wyjęła cygaro z ust.

– Matka Birgit mówi, że jeśli ktoś nie ma matki, można zobaczyć

to w jego oczach.

Karna czekała. Nauczyła się już, że niektóre odpowiedzi wymagają czasu.

– Hm. Może coś w tym jest. Wszystko, co w człowieku mieszka, musi się gdzieś ujawnić. A oczy mogą być najlepszym miejscem. Ale sądzę, że to bardziej zależy od tego, kim jesteś, niż od tego, czy masz matkę lub nie. Czy to ciebie miała na myśli?

– Nie, Pедера Olaisena.

– Ach, Pедера... – odparła babcia, sprawiając wrażenie, jakby myślała o czymś zupełnie innym.

– Też to dostrzegasz?

– Hm, sama nie wiem – rzekła babcia, odkładając cygaro na paterę do ciasta. – Peder jest zrównoważonym chłopakiem. Ale tak, kiedy to mówisz, widzę, że faktycznie ma coś dziwnego w oczach.

– To nie ja powiedziałam, tylko matka Birgit – rzekła Karna, czując znów na twarzy to samo gorąco.

– A skoro wspominasz o Pederze... Najwyższy czas przyjrzeć się, z jakiego kruszcu jest zrobiony. Dziękuję ci!

– Co masz na myśli?

– Po ostatnim spotkaniu rady okręgu Benjamin mówił, że kasa zapomogowa świeci pustkami. Urządzimy bal! Na rzecz komisji socjalnej. Sprosimy wszystkich w wieku pozwalającym tańczyć. Starsi mogą zapłacić i zachowywać się godnie. Anna i ja zadbamy o muzykę.

– A ja?

– Ty będziesz tańczyła, moje dziecko!

– Ale ja nie potrafię.

– Peder cię nauczy. Ja mogę zagrać.

– Prędzej umrę! – zawołała Karna.

– Boże uchroni! – odparła babcia i zaśmiała się tak, jakby w ogóle nie zamierzała w to uwierzyć.

*

Peder Olaisen nie miał zielonego pojęcia, że coś w jego oczach mogłoby ujawniać, iż tej zimy, gdy skończył dwanaście lat, odumarała go matka.

Mimo że był nieśmiały, miał dość odwagi, żeby na sobotnich potańcówkach prosić dziewczęta do tańca. Bo kiedy taniec się kończył, wystarczyło uklonąć się uprzejmie i można było wrócić do izby, którą wynajmował u kupca Hole.

I dawał też sobie radę, kiedy Wilfred albo pani Dina decydowali, że ma usiąść do stołu wspólnie z rodziną gospodarzy. Wystarczyło przecież ładnie przeżuwać i zachowywać własne myśli dla siebie.

Dlatego przyjął spokojnie wizytę Diny na pochylni pewnego wieczoru, kiedy był tam sam. Często pracował, kiedy pozostali dawno już poszli do domu.

Poprosiła, żeby został jej podporą podczas balu dobroczynnego na rzecz kasy chorych i zapomogowej, pozostających w gestii przewodniczącego. Musiała mieć kogoś godnego zaufania.

Peder utkwiał w niej bezpośrednio, pytające spojrzenie.

– Nie mam o tym pojęcia – odrzekł.

– Jesteś mężczyzną. Jesteś Piotrem, Skałą! – zażartowała z najwyższą powagą.

Początkowo się opierał. Ale udawała, że tego nie słyszy. Potrzebowała kogoś z odrobiną zapału do pracy, jeśli ją rozumiał? Wszystko w Strandstedet było takie trudne. Ludzie byli starzy duchem. Potrzebowała jego, Pедера!

Podrapał się po głowie, patrząc na nią z powątpiewaniem. Ale ponieważ był jej winien wielką wdzięczność za pożyczenie mu bez

odsetek pieniędzy na naukę, nie mógł odmówić.

– Spróbuję – rzekł, oddalając się w stronę kadłuba, przy którym pracował. Widniała w nim ogromna wyrwa.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Potrzebuję twojej pomocy przy rachunkach. Wolałabym, żebyś raczej zajął się tym, niż wystawał tutaj niezależnie od pogody. Czy możesz mi pomóc przy liczbach?

Zesztywniał w pochylonej pozycji. Ale nie dał odpowiedzi.

– Możesz w ten sposób zwrócić dług i jeszcze zarobić parę koron. Pytam tylko ten jeden raz. Rozumiesz?

Peder Olaisen się wyprostował. Stał przez chwilę, przestępując z nogi na nogę. Odłożył narzędzia i wytarł ręce odrobiną wiórów. Dokładnie. Między palcami również. Potem rzeczowo skinął głową.

– Chciałbym rzucić okiem na te liczby.

*

Nieprawdopodobnie wielki afisz głosił, że w hotelu Grand odbędzie się bal. Wydrukowano go również w gazecie. Ale konieczność wniesienia sporej opłaty tytułem zbiórki dla komisji socjalnej narzuciła pewne ograniczenia.

Skoro tak, to bal nie był dla służących ani robotników ze stoczni. Ani dla węglarzy czy wozaków.

Tylko dla rodziny kierownika banku, pastora i nauczycieli, zegarmistrza, radcy i rodziny kupca Hole. I jeszcze paru innych. W sumie dostatecznie dużo osób chciało pokazać, że mają dość środków, żeby posłać swoje pociechy na bal w szacowne miejsce z dobrą muzyką.

Zgłosiło się tak wielu, że Dina zwróciła się z prośbą o udostępnienie sali ratusza, żeby dla wszystkich starczyło miejsca.

Wywołało to dyskusję w radzie okręgu na temat tego, na ile słuszne jest przyzwolenie na tańce, ze wszystkimi konsekwencjami,

jakie mogły za sobą pociągać, w miejscu przeznaczonym tylko do spraw obyczajnych.

Wilfred Olaisen zabrał głos i poprosił zgromadzonych, aby wzięli pod uwagę szczytny cel, charakter wydarzenia kulturalnego oraz wyjątkową okazję dla młodych ludzi w Strandstedet. Ba, otrzymali zgłoszenia nawet z Tromsø. Młodzież będzie mogła wspólnie spędzić czas w spokojnej atmosferze. Płomienna mowa obronna Olaisena wywołała oklaski. Siadając, był pewien, że sprawa została przesądzona.

Jednak kierownik poczty, który był członkiem rady kościelnej oraz kuratorem nieletnich, podniósł się, stwierdzając, że jest przeciwny udostępnianiu ratusza na taniec i muzykę. Mogłoby to wzbudzić zgorszenie. Poza tym nie wystarczyło wnieść opłatę, trzeba było jeszcze mieć stosowny strój. A on ze zgrozą myślał o tych wszystkich, którzy wydadzą swoją ostatnią koronę, żeby znaleźć się w tej Sodomie i Gomorze. A jakież poczucie niesprawiedliwości zrodzi to w ludziach, którzy nie będą mogli tam wejść? Czy ktoś pomyślał o losie ludzi niezamożnych? Biednych? Sierot, dla których na tym świecie nie było miejsca... W imię Jezusa?

Wszyscy opuścili wzrok i zaczęli się zastanawiać.

Doktor, który jako przewodniczący komisji socjalnej był w jakimś sensie stroną sprawy, poprosił o udzielenie głosu. Gdyby mógł dorzucić trochę informacji i zgłosić pewną propozycję?

Olaisen zwrócił ku zgromadzeniu swoją błyszczącą, zaskoczoną twarz. Ależ oczywiście, niechże lekarz okręgowy koniecznie naświetli sprawę. I poda propozycję. Byle krótko!

Benjamin Grønely stwierdził, że liczba zgłoszeń świadczyła o tym, iż jak dotąd nie traktowali młodzieży w Strandstedet

dostatecznie poważnie. Że nie mieli dla nich żadnych propozycji wspólnego spędzania czasu poza pracą i domem, i że teraz nadarzyła się wielka okazja zarówno dla młodych ludzi, jak i oczywiście dla szczupłej kasy komisji socjalnej. Aby jednak uniknąć wykluczenia kogokolwiek z powodu braku pieniędzy, jego propozycja sprowadzała się do tego, żeby ludzie zamożni zapłacili o wiele więcej, niż wynosi faktyczny koszt posłania na bal swojej pociechy. A ci, którzy nic nie mają, niech wejdą bez pieniędzy. Zapłata musiałaby w tych okolicznościach być wniesiona wcześniej i w osobnym miejscu, żeby nikt nie czuł się napiętnowany.

Była to jedna z tych nielicznych sytuacji, kiedy Olaisen i lekarz okręgowy przemawiali na rzecz tej samej sprawy. Przeprowadzili swoją wolę.

*

Przebieg zdarzeń został zreferowany Dinie. Przyniosła dwa kieliszki jałowcówki ogrzanej do pokojowej temperatury. Jeden dla Beniamina, drugi dla siebie.

– Może ty i Olaisen powinniście częściej współpracować? Moglibyście wtedy dzielić nie tylko Hanne?

Beniamin postawił kieliszek i rzucił się w stronę drzwi. Ale już chwilę później był z powrotem.

– Co, do diabła, miałaś na myśli? – zapytał, opróżniając kieliszek jednym haustem.

– Dobrze wiesz. Karnę. Ostatniej zimy. Miarkuj się, człowieku! Obracał w dłoni pusty kieliszek.

– Nie widuję jej częściej niż na wspólnych spotkaniach towarzyskich – szepnął, patrząc Dinie w oczy.

Pochyliła się nad stołem, ponownie napełniła kieliszki i usiadła.

– Posłuchaj teraz, Beniaminie, jak planuję to wszystko w kwestii

balu...

*

Wielebny zaoferował po nabożeństwie kawę. I był w tym dniu niezwykle rozmowny. Natchniony. Bo niedziela okazała się dobra dla kościoła.

Pięknie mówił o swoich owieczkach w parafii. Doktor Grøneltv był ważny dla Strandstedet. Jego praca, jego umiejętność nawiązywania kontaktu czyniły z niego osobę nie do zastąpienia. Czyż nie wszedł też do polityki, niemal wbrew własnej woli? Czyż nie stawiał na pierwszym miejscu swoich pacjentów oraz innych bliźnich?

Czyż nie był rzetelnym płatnikiem podatków i nie wspierał gorąco działań komisji socjalnej? A może nie był niezbędny ludziom w potrzebie? Nie wołano go, kiedy pojawiały się kłopoty tyleż przy porodzie, co przy dojściu do kresu życia? Czyż nie był inicjatorem powstania apteki w Strandstedet?

Wielebny rozochocił się i rozejrzał po salonie. Siedziała w nim większość znaczących osób, ale rodzina doktora zniknęła. Dlatego mógł swobodnie mówić, nie narażając nikogo na zakłopotanie. Bo rodziny przewodniczącego nie było w kościele.

Redaktor siedział ze spuszczoną głową. Ale dyskretnie nią kiwał.

Wielu potakiwało znacznie wyraźniej. Wśród nich był kierownik banku.

*

Hanna już nie musiała szyć. A jednak robiła to od czasu do czasu. Dla Diny i Anny. Zachęcały ją, żeby otworzyła własny salon krawiecki. Oczywiście zatrudniając krawcowe.

Pewnego wieczoru, kiedy wszyscy zgromadzili się u Diny, Anna

rzekła:

– Hanna powinna mieć zakład krawiectwa miarowego.

– Właśnie, dlaczego nie – dodał Beniamin, patrząc na Hannę. Chyba w takich okolicznościach miał prawo. Ale zaznał przez to słodkiego uczucia odrealnienia. Jakby balansował na linie nad przepaścią.

A jednak zrobił to ponownie. Spojrzał na nią. Rzucając tylko wzrokiem w bok spod półprzymkniętych powiek. Na malutką bliznę na ustach. Łuk kupidyna, który zszywał tamtej nocy dawno temu.

Warga podwinęła jej się nieco w górę. Przez to Hanna wydawała się jeszcze piękniejsza niż wcześniej. Zaleczył rany zadane przez Olaisena, pozostawiając na Hannie własny znak.

– Cóż, to nie jest głupia myśl – stwierdził z zadowoleniem Wilfred, obejmując Hannę ramieniem.

*

Kiedy we troje szli pod górę do domu, Anna zapytała:

– A co powiecie na rodzinną wycieczkę do Reinsnes? Hanna i Wilfred z dziećmiakami i my?

– Nie! – zawołała bez zastanowienia Karna. To jedno słowo rozsadało ją od środka. Można było powiedzieć „nie” na wiele sposobów. Nie! Słowo to przewalało się w jej głowie niczym kamienna lawina. Nie była w stanie patrzeć na Annę. Ani na tatusia.

– Dlaczego nie? – głos Anny był pełen zdumienia. Zbyt wyraźnego zdumienia. Czy Anna wiedziała? Coś przeczuwała? Czy tatuś rozumiał, że Anna przeczuwa?

W pełni zgodził się z Karną. Ale nie powiedział „nie” aż tak zdecydowanie. Jego ton był łagodny. Nie miał siły na tyle osób naraz, na ten cały rwetes. Był zmęczony. Miał ostatnio za dużo

pacjentów. Ciągłe polityka. Spotkania. Chyba to rozumiały. Prawda?

I Anna oczywiście rozumiała. Stwierdziła jednak, że nawet jeśli ktoś do końca nie przepadał za Wilfredem Olaisenem, to Hanna przecież dawała się lubić.

– Ależ oczywiście, że tak – rzekł tatuś z uśmiechem.

– Mam ochotę zaprosić ją do Reinsnes bez ciebie – powiedziała Anna. – Dzieciaki też.

– Po co?

– Bo potrzebuję kogoś, komu mogłabym się zwierzyć. A w obecności was, mężczyzn, ona mnie unika.

– Zrobisz, jak zechcesz – stwierdził przyjaźnie tatuś.

Było w tym coś złowróżbnego.

– Zapomniałam torby u babci – zawołała Karna i zawróciwszy, pobiegła w dół wzgórza.

*

Sala została przystrojona liśćmi i polnymi kwiatami. Uwijał się przy tym prawdziwy komitet. Matki i ciotki, w asyście całej młodzieży. Poza tym ten lub ów gorliwy ojciec, który chętnie wziął sobie wolne, żeby porobić coś mało pożytecznego.

Nad tym wszystkim krążył wzrok Pедера Olaisena. Spokojny jak tafla morza przy pięknej pogodzie. Czujny jak u jastrzębia.

Ale cóż takiego mogło skłonić mężczyznę, żeby brać na siebie podobnie niemądre zadania zamiast, jak należy, pracować w stoczni? Wilfred drażnił się z nim, że wykonuje babską, głupawą robotę. Jedną sprawą było przemawianie na radzie okręgu na rzecz organizacji tańców albo ofiarowania na ten cel pieniędzy, ale zawieszanie girland i rozstawianie krzeseł stanowiło już zajęcie dla dzieci i kobiet.

Peder zgodził się, dzięki czemu nie musiał się bronić. Z jego lekko roztargnioną odpowiedzią „tak, masz absolutną rację, ale skoro ona poprosiła...” trudno byłoby dyskutować.

Już we wczesnym dzieciństwie nauczył się, jak należy odpowiadać Wilfredowi. Bo jeśli nie odpowiedziałby, razy mogłyby spaść bez żadnego ostrzeżenia.

Wilfred musiał czuć, że ma rację, szydząc z niego. A jednocześnie Peder cały czas pilnował, żeby mu ani nie przerywać, ani zanadto nie przytakiwać. To byłoby jeszcze gorsze. Lepiej było pochylić głowę, wzdychając nad własną głupotą. Nie na tyle, żeby śmiać się z samego siebie, to mogłoby się wydać podejrzane. Tylko okazać wstyd.

Widział, że Hanna jeszcze nie nauczyła się tych sztuczek. To go martwiło. Ale nikomu o tym nie wspominał.

*

Peder porządnie się umył. Jedyne czarne obwódki wokół paznokci zdradzały, gdzie zarabia na swój chleb. Nałożył też czystą koszulę. Bo przecież idąc pracować społecznie do ratusza, musiał wyglądać jak człowiek.

Naszkiecował, jak to wszystko powinno wyglądać. Tu miały stać stoły, a tam, w kącie pomieszczenia, miało stać pianino i muzykantki. Tańczyć miano pomiędzy stołami a miejscem dla muzykantek. Stoły zaś należało ustawić po obu stronach otwartego korytarza. Trzeba było zrobić dużo miejsca na ruch pomiędzy wejściem a parkietem tanecznym.

Czy Dina uważała tę propozycję za dobrą? Dina zaakceptowała i pochwaliła szkic. Oraz girlandy. Że też wpadł na coś takiego? Wspaniale!

Anna i Dina chciały sprawdzić akustykę. Peder sam wniósł do

środku wionoczelę Diny. Z pełnym szacunkiem. Ale bez tego strachu wobec brzuchatych skrzypiec, jaki często widywał u ludzi. Przecież jest w skrzyni, pomyślał sobie. A każda rzecz opakowana w ten sposób znosiła transport.

Począł z girlandami, aż wszyscy wyjdą. Wisząc pod samym sufitem, mógłby wyglądać głupio, więc lepiej, żeby był sam.

Nie spieszył się i przez dłuższą chwilę myślał, jak rozstawić drabinkę, żeby pewnie stała.

*

Karna natychmiast go rozpoznała. Zwiślał głową w dół z żelaznej belki przechodzącej przez cały budynek. Wysoko nad podłogą, przytrzymując się tylko ręką i nogą.

Pachniało ostami, koniczyną i liśćmi.

Zachodzące słońce wdzierało się przez wysokie okna, przenikając na wylot chrząstki w jego uszach i żółtawe włosy.

Stała, wpatrując się w niego.

Nieco na prawo na stole umieszczona została wysoka, rozkładana drabinka do wieszania zasłon. Czyżby schodząc, zamierzał w nią trafić?

Wtedy na nią spojrział. Czuła, jakby piorun uderzył w nią z wysokości. I błękit! Tak strasznie wyraźny błękit.

– Uważaj, panienko! Inaczej jakiś człowiek może ci spaść na głowę! – rzekł ze śmiertelną powagą. Głos miał głęboki i jasny. O wiele jaśniejszy niż na kogoś, kto zaczepiony za rękę i stopę zwiślał tuż pod sufitem.

Wycofała się, nie odrywając od niego oczu.

Zdjął stopę i jeszcze przez chwilę wisiał, przytrzymując się jedną ręką. Potem chwycił żelazną belkę również drugą dłonią i przesunął się po niej, aż zawisł nad przygotowaną drabinką.

Tracił ją niechcący, a drabinka z hukiem spadła ze stołu.

Wstrzymała oddech, rozglądając się bezradnie dookoła.

– Czy mogłabyś być tak dobra i ustawić z powrotem drabinkę? –
dobiegło ją z góry sapanie.

Z walącym sercem próbowała podnieść ciężką, rozłożoną drabinę z powrotem na stół. Jednocześnie musiała pilnować jego, czy aby nie spada.

Nie tylko uszy miał czerwone. Całe jego jestestwo parowało z wysiłku.

W końcu drabinka stanęła na miejscu. Trzymała ją najmocniej, jak umiała.

Jego stopy przez całą wieczność kołysały się nad najwyższymi stopniami, zanim udało mu się stanąć. Kiedy usiłował złapać równowagę, żeby móc puścić żelazną belkę, pojęła, że to nie może skończyć się dobrze.

– Poczekaj, wejdę na stół, żebyś mógł się mnie przytrzymać –
poleciała.

Usłuchał i mocno trzymał się belki raz jedną, raz drugą ręką. Jakby pozwalał drugiej odpocząć.

Dopchnęła jeszcze jeden stół i weszła na niego.

– Podaj mi rękę! – zawołała.

Chwilę później poczuła w dłoni jego palce. Szorstkie i ciepłe. Trzymała drabinkę, jednocześnie podpierając go ręką, kiedy z trudem łapał równowagę. Potem ją puścił. I powoli, stopień po stopniu, zszedł.

Stali teraz na stołach, trzymając mocno drabinkę każdy po swojej stronie.

– To mogło się źle skończyć – stwierdziła.

– Dziękuję! Nie z taką świetną pomocnicą.

Nadal ten głęboki głos. Jakby wydobywał się z wnętrza góry, a nie z mężczyzny, który był w stanie wisieć na belce jak małpa.

Coś zadrżało mu w piersi, kiedy wymawiał te słowa. Ale nie sprawiał wrażenia człowieka, który właśnie uświadamia sobie, jak wiele muzyki mieszka w jego ciele.

Zaczerwieniła się, przypominając sobie swoje niegdysiejsze przekonanie, że jest Murzynem. Żeby człowiek tak czarny mógł okazać się aż tak biały!

Coś szczególnego było w kącikach jego ust. Tak jakby coś wciągało je do środka, tworząc nieznaczne zagłębienie. Jak tajemnica. Krótkie, jasne włosy sterczały nad czołem. Widziała, że to nie tylko dlatego, że zwisał głową w dół. Takich włosów na pewno nie dałoby się przyczesać za pomocą zwykłej wody.

Jego czoło było niczym pagórek. Wyrażało zdecydowanie. Trudno było przed nim umknąć. A pod białymi brwiami się skrzyło. Obraz rozplątał się jej przed oczami. W czymś strasznie ciepłym i błękitnym.

Pełna wstydu pojęła, że zaraz się rozplacze. Nie miałoby to żadnego sensu, bo przecież nie spadł. A jednak łzy cisnęły jej się do oczu.

– Będiesz grała na balu? – zapytał. Ciągle jeszcze nie mrugnął oczami. Rzęsy miał całkowicie białe.

Gdzie miała się podziać? Nie było żadnego miejsca, w którym mogłaby się ukryć, pozostawało jej więc stać tam, patrząc mu w oczy ze łzami spływającymi po twarzy. Chciała zniknąć. I chciała, żeby to trwało.

W tym momencie poczuł się chyba strasznie zawstydzony sytuacją. Zeskoczył ze stołu i wyciągnął do niej rękę, żeby poszła za nim.

Mdłości przypomniały jej, że powinna oddychać. Spokojnie i głęboko, żeby zapobiec upadkowi. Ale on był gdzieś pod nią. Jak siła. Stał się panem jej oddechu.

Pomieszczenie zaczęło wirować. Dookoła, coraz szybciej. On również. Jego oczy. W morzu. W świetle. Na dnie. Musiała tam dotrzeć. Nie miała odwagi. Ale musiała.

Niewyraźnie poczuła jego rozedrganą moc. Była taka łagodna i taka twarda zarazem.

*

Peder Olaisen nigdy wcześniej nie widział, jak ktoś upada, a tym bardziej nie miał okazji takiej osoby złapać. Stwierdził nagle, że stoi, trzymając w ramionach ludzką istotę. Pozornie martwą. Czy aż tak ją przeraził, że upadła?

Nigdy w życiu nie przeczytał ani jednej powieści. Ale obilo mu się o uszy, że wrażliwe kobiety mogły umrzeć z wysiłku. Pewnie ta drabina była dla niej o wiele za ciężka.

Wpatrywała się w niego i najwyraźniej ciągle jeszcze żyła. Ale wokół ust miała pianę, która ciekła, spływając jej na piersi, a całym jej jestestwem wstrząsały drgawki.

Ułożył górną połowę jej ciała na stole. Usiłował ją wyprostować. Kiedy jej dotknął, miał wrażenie, że włożył dłoń do pieca. Szybko cofnął rękę. Ale spróbował ponownie. Chciał ją mocno trzymać. To jednak nie było łatwe. Leżące na stole ciało wyginało się w łuk. Rzęziła, a jej ręce i nogi poruszały się gwałtownie.

W końcu opadła do tyłu i leżała teraz zupełnie bez ruchu. Jej członki się wyprostowały. Usta miała półotwarte, ale piana już się z nich nie wydobywała. Tylko oczy wpatrywały się w coś nieruchomo.

A więc zapewne wszelka nadzieja zgasła.

Wreszcie przypomniał sobie, że ma głos. Zaczął wołać o pomoc. Jednym tchem. Aż ktoś nadszedł. Para młodych ludzi, którzy stali na podwórku, gawędząc.

Wszyscy wpatrywali się teraz w martwe ciało leżące na dwóch związanych stołach obok drabiny do wieszania firanek.

Wtedy zobaczył, że na przedzie jej spódnicy tworzy się mokra plama. Odczuł to jako wielką ulgę. Coś z niej wypływało. A zatem nie była martwa.

Potem ze zrozumieniem, ile może znieść młode dziewczę, jeśli chodzi o obnażanie się przed światem, o które nigdy by się nie podejrzewał, niezdarnie owinał ją spódnicą. Następnie uniósł ją, trzymając w ramionach, i tak pozostał. Że też młodziutka, drobna dziewczyna mogła być taka ciężka!

Wtedy w jej oczach powróciło życie. Zamknęła je i westchnęła.

Posadził ją ostrożnie na stole. Ale nie mógł jej wypuścić, bo wtedy zobaczyliby plamę. Ktoś przyniósł im kubek wody.

Oślonił ją własnym ciałem i nagle przypomniał sobie, że gdzieś widział koc.

– Przynieście koc z półki w korytarzu! – rozkazał.

Nie był pewien, czy to jej, czy jego własne uderzenia serca dudnią mu w piersi. W głowie. W skroniach.

Wtedy zaczęła drżeć. Pot ciekł jej z czoła. Dał jej wody. Piła drobnymi łykami. Potem otworzyła oczy i spojrzała na niego. Nikt nigdy wcześniej na niego nie patrzył.

Podniosła ręce i przesunęła je w dół. Czuł je przez cienką koszulę. Zatrzymały się ponad plamą, a ona wydała z siebie zduszony szloch.

Wówczas jeszcze mocniej objął ją ramionami.

– Nikt tego nie widział – szepnął.

Oparła głowę na jego ramieniu. Najwyraźniej nie była w stanie utrzymać jej prosto. Jej ręce wycofały się ze swego ukrycia pomiędzy nimi. Wtedy ich ciała znalazły się tak blisko siebie. Dopiero teraz to pojął.

Ktoś coś przyniósł. Nie koc, tylko jej płaszcz. Nałożył go na nią i starannie zapiął jedną ręką, jednocześnie obejmując ją drugą.

– Ona często upada. Wszystko będzie dobrze – usłyszał czyjś głos.

Nie odpowiedział. Miał jeden, jedyny cel. Trzymać ją.

– Możemy odwieźć ją do domu furmanką Larsa – dodał ktoś inny.

Potrząsnął głową. I kiedy tak czuł jej ciężar i ten ciepły, wilgotny dotyk materiału na swoim brzuchu i koszuli, stała się taka lekka. Nie miało to żadnego związku z siłą mięśni. Nie było w tym złości ani zmęczenia. On tego pragnął.

– Zaniosę cię do pani Diny. To niedaleko – rzekł, trzymając ją mocno.

Wyraźnie usiłowała coś powiedzieć. Ale wydobywał się z niej tylko oddech, a obie dłonie mocno przytrzymały owinięty wokół ciała płaszcz.

– Czy mamy ci pomóc? – zapytał ktoś.

– Nie, nie trzeba – odrzekł Peder, wynosząc dziewczynę na zewnątrz.

Kiedy ją niósł, stała się taka bliska. O wiele bliższa niż dziewczęta, z którymi tańczył i flirtował. Albo te, które próbował zwabić do stodoły na siano lub których dotykał za skrzyniami na ryby czy kopcami torfu. O wiele bliższa niż tamte, które odsłaniały się przed nim bardziej, niż uchodziło.

Kiedy doszedł do miejsca, z którego widział już Grand, ciągle jeszcze nie czuł się zmęczony. Pani Dina sama otworzyła im drzwi i zaprowadziła do prywatnej części.

– Połóż ją na moim łóżku – rzekła.

Kiedy wszystko już wyjaśnił i pojął, że czas odejść, ujęła go za rękę i spojrzała na niego wzrokiem, w którym było coś szczególnego.

– Dziękuję! Tak właśnie sądziłam. Jesteś Skałą.

Rozdział trzynasty

Włosy miał przyczesane na mokro. Mimo to nadal sterczał mu z przodu kogut. Dość wysłużona, czarna marynarka miała przykrótkie rękawy. Krawat sprawiał wrażenie pożyczonego specjalnie na tę okazję, a spodnie z szarej flaneli nie pasowały do całej reszty.

Prosty, szeroki nos i wydatne wargi wydawały się jednocześnie delikatne i zdecydowane.

Stąpając uważnie, prawie jak lunatyk, z nieruchomym spojrzeniem podszedł do dziewcząt siedzących rzędem przy ścianie.

Karna jakoś wytrzymała ten moment, gdy coraz bardziej się do niej zbliżał.

Głęboki, lekko zachrypnięty głos przepłynął w powietrzu między nimi. On skłonił się przy tym lekko, a jej chwilę zajęło zrozumienie, co takiego powiedział.

– Panienko Karno, czy mógłbym prosić cię do tańca?

Te oczy. Uświadamiające jej, że nawet jeśli odmówi, on tam pozostanie. Zmusiły ją do wstania i podania mu ręki. Przypomniały, że się posikała, a on o tym wie, i że to nic nie szkodzi. Bo to właśnie do niej podszedł.

I kiedy lekko ją objął, a ona poczuła ciepłą, szorstką dłoń

zamykającą się na jej własnej, chciała popłynąć w górę, ku girlandom, zawirować ponad żelazną belką. Bo on unosił ją w takt muzyki.

Odrzucił głowę, burząc swój przedziałek, otworzył usta w niskim, gardłowym śmiechu. Śmiech ten zwinął się w jej głowie jak kociak i tam już pozostał.

*

W miarę jak nadchodziła jesień, zmieniło się to w stały zwyczaj. W każdy czwartek Peder pomagał Dinie z rachunkami i korespondencją. Siadywali przy sekretarzyku w prywatnej części hotelu.

Peder miał ładne, równe pismo. Można było wykorzystać je do innych celów niż tylko wprowadzanie do ksiąg aktywów i pasywów. Poza tym odzywał się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Dobrze czuła się w jego towarzystwie.

Dina w żaden sposób nie komentowała osobliwej okoliczności, że Karna akurat w czwartkowe wieczory zazwyczaj miała do babci jakąś sprawę. Mówiła natomiast:

– Możesz za godzinę podać nam ciepłą czekoladę z ciastkiem. O siódmej. Punktualnie!

Używała tego samego tonu, jakim mówiła do pokojówki, kiedy mieli gości. Ale Karna prawie tego nie słyszała. Głos babci nie miał absolutnie żadnego znaczenia. Nie w czwartki.

– Czy panienka Karna często upada? – zapytał Peder, kiedy Karna już wyszła, a on otworzył księgę rachunkową.

– Tak, zdarza się. Cierpi na padaczkę.

– Skąd się to wzięło?

– Wydaje mi się, że nikt tego do końca nie wie. Ale możesz zapytać jej ojca.

– Czy to niebezpieczne?

– Nie grozi niczym więcej ponad to, że musi mieć czas na dojście do siebie. O ile się nie uderzy. Ale nie jest to przyjemne, jak na pewno wówczas zauważyłeś?

Pokazała mu pokwitowania. Wskazywała miejsca, gdzie pozycje mogły budzić wątpliwości. Mówiła o wyraźnej tendencji w kwotach. Szły w górę. Opowiadała z drobnym uśmiechem oznaczającym, że sprawy te muszą pozostać między nimi.

Oczywiście, doskonale to przecież rozumiał.

Nie wspomniała o Wilfredzie Olaisenie. Po co go przywoływać, skoro wszystko było jasne.

– Ale ona jest chyba chora? Może coś należy zrobić? Zanim będzie za późno? – zapytał.

– Badał ją profesor z Kopenhagi i doktor z Berlina. Nie znaleźli na to żadnej rady.

Zerknęła na zatroskaną twarz młodego Pedera. Potem trąciła go w ramię.

– Jest jeszcze dziewczynką. O czym myślisz?

– Że pomogę jej wyzdrowieć – odparł rzeczowo Peder.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Boże, cóż za wspaniały wiek dla mężczyzny! – zawołała Dina i poklepała go pocieszająco po rękę.

Zmierzyła go wzrokiem i dodała bezlitośnie:

– Ale nadal jesteś za stary! Dla naszej Karny. Pomyślmy... może za pięć lat?

Wtedy zaczerwienił się mocno i pogubił w rachunkach.

– Czy sądzi pani... że za pięć lat? – zapytał odważnie.

– Musisz sam ją zapytać. Jest młoda, ale może się wypowiedzieć.

Inna sprawa, że może się również rozmyślić. Dziewczyny często tak robią.

- Czy pani Dina uważa, że powinienem zapytać również doktora?
 - Poczekaj trochę. On się tylko przerazi.
 - Czy trzeba być bogatym, żeby się wżenić w rodzinę z Reinsnes?
- Zlustrowała go od góry do dołu.
- Nie! Ale należy mieć dość rozsądku, żeby umieć o sobie zadbać!
 - Do tego jestem przyzwyczajony – powiedział, prostując plecy.
 - Właśnie! – przytaknęła z powagą.

Zajmowali się każde swoją pracą, niekiedy wymieniając uwagi na temat liczb.

- Bijesz? – spytała nagle.
- Rzucił jej bezbronne spojrzenie.
- Nie! – odparł prawie z ubolewaniem.
 - To dobrze!

Wtedy naszła go jakaś dziwna przekora. I z ust wyrwała mu się oczywista niegrzeczność.

- A pani bije?
- Jej zdumienie nie miało granic, ale oczy błysnęły wesoło.
- Zdarzało się.

*

Wilfred Olaisen uśmiechał się na każdą wzmiankę o czwartkowych posiedzeniach rachunkowych młodszego brata. Aż do chwili, gdy stwierdził, że mógłby wykorzystać Pedera do uzyskania wglądu w interesy pani Diny. Wtedy uderzył głową w mur. Nie do przebicia. Peder powiedział wprost, że nie może pisać ani słowa na temat powierzonych mu rachunków.

Kiedy Wilfred się rozgniewał, przezornie umknął z biura. W stoczni czuł się bezpiecznie. Tam było wiele rąk i wiele par oczu.

– To ja pierwszy płaciłem za twoją szkołę! Powinieneś pracować dla mnie! W „stoczni Olaisena” – wrzasnął za nim Wilfred.

– Przecież pracuję – rzucił spokojnie przez ramię Peder. – Oprócz czwartków wieczorem.

*

– Co takiego jest w tej babie, że zawsze dostaje to, co chce? – powiedział tego samego wieczoru Wilfred do Hanny. Streścił jej sprawę niewierności brata.

– Ale z tobą jest przecież podobnie, Wilfredzie? – odważyła się rzec Hanna.

– Ja jestem człowiekiem interesu!

– Nie wiem, jak nazwać to, czym ona jest, ale w sumie wygląda dosyć podobnie.

– Tylko póki na to pozwalam. Jestem w stanie spłacić ją w dowolnej chwili.

Mogła przypomnieć mu o tych ciężkich czasach, kiedy to Dina wycofała część swojego kapitału i musieli pożyczyć pieniądze, zastawiając dom. Ale Hanna wolała milczeć. Nauczyła się tego przez ostatnie kilka lat. W związku z tym nie prowadzili innych rozmów niż takie, które przebiegały po jego myśli. Hanna nie pozwalała sobie na własne zdanie nawet w obecności innych.

W przeciwnym wypadku po powrocie do domu, kiedy dzieci już spały, a służące były poza zasięgiem głosu, taka odwaga mogła się dla niej skończyć bardzo boleśnie. To, że musiała przez cały czas zaciskać usta i zachowywać czujność, wypełniało ją dziwnym chłodem. Nie tylko w stosunku do Wilfreda, ale do wszystkich ludzi. Również do dzieci.

Ostatniej zimy, kiedy zdała sobie sprawę, że dziecko numer cztery jest w drodze, wykorzystała chwilę samotności, żeby pod

jakimś pretekstem spotkać Beniamina. Sara zabrała chłopców do Reinsnes, a Wilfred wypłynął klipem „Svanen” w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie.

Przed hotelem Grand wetknęła mu w dłoń kartkę, nie mówiąc, o co chodzi. Kiedy przyszedł, zaczęła błagać go o pomoc. Ale on tylko stał, wpatrując się w nią, aż zupełnie straciła panowanie nad sobą i przyłgnęła do niego.

– Nie możesz mnie prosić o coś takiego. To mogłoby zabić również ciebie, Hanno. Czy tego nie rozumiesz?

– Wszystko mi jedno! – krzyknęła. Czowała, jak bardzo tego potrzebuje. Wreszcie móc zacząć krzyczeć w pustym domu.

– Nie mów tak! Nie wolno ci – jęknął, obejmując ją.

Ale kiedy uniosła ku niemu usta, wyzwolił się z jej uścisku. Zaczął dużo mówić. Wyraźnie chciał ją pocieszyć.

Przywiodło ją to do jeszcze większej rozpacz. Uwolniło z niej zło. Ten jeden raz to ona chciała być szalona. Pewnie pragnęła się zemścić. Na Wilfredzie? Ale zamiast niego wzięła na cel Beniamina.

– On i tak mnie zabije! – krzyknęła.

Kiedy ujrzała, jak jego twarz się zmienia, pożałowała i błagała, żeby został. A mimo to wyszedł.

Nocą wrócił, żeby zobaczyć, jak się ma, jak sam stwierdził. Sądziła, że to on, Beniamin, wreszcie do niej przyszedł. Przyszedł! Ale go straciła. Przed nią stał jedynie doktor.

W ten sposób utraciła również siebie. Całego człowieka, którym w istocie była. Ale ta nowa osoba była silniejsza. Mogła więcej znieść.

Kiedy Wilfred domagał się swoich praw, myślała o czymś przyjemnym i się nie sprzeciwiała. Potrafiła nawet gładzić go po

włosach, wyobrażając sobie zapach ogródka ziołowego Stine. Albo łąkę koniczyny za letnią oborą. Albo kubek jagód rozgniecionych z cukrem. Czowała zapach wodorostów dochodzący zza wzgórza z masztem.

Ale najczęściej widziała wtedy jego. Czowała jego zapach. Odzwyczaiła się od jakiegokolwiek imienia. Wspominała ten moment, kiedy spotkali się w kwaterze w Bergen. Jego oczy. Ten wieczór, kiedy wszedł do jej pokoju, a ona karmiła Karnę.

Przez cały czas brzemienności zdarzało się, że chadzała sama do Grandu. Najchętniej wtedy, kiedy Wilfred wyjeżdżał. Nie rozmawiały o „tamtym razie” ani o „tamtych dwóch razach”, kiedy Dina znalazła ją w złym stanie. Hanna miała wrażenie, że i tak wszystko widzi.

Nie, Dina wyszukiwała ostatnie żurnale z modą z Berlina i Paryża, przynosiła swój materiał i pytała Hannę, jak najlepiej to lub owo uszyć, żeby dobrze wyglądało. Zasięgała u niej również rady w sprawie menu.

– Co najlepiej podać tym co bardziej rozpieszczonym? – mawiała zwykle.

A Hanna wygrzebywała z głębin pamięci przepisy Stine. Chociaż Dina nigdy tego nie wyraziła wprost, Hanna wiedziała, że nie musi mieć żadnej sprawy, żeby przyjść. Pytała po prostu pokojówkę, czy Dina jest zajęta, czy u siebie.

Beniamin pojawiał się w ich rozmowach rzadko, żeby nie powiedzieć, że nigdy. Jeśli w ogóle o nim wspominały, to tylko w związku z Karną.

Pomysły i wypowiedzi Diny sprawiały, że czowała się wolna. Uwolniona. Pewnego dnia Dina powiedziała:

– Gdyby nie to, że masz już dość roboty i duży dom, to mogłabyś

razem z Bergljot zarządzać hotelem. A ja wtedy pojechałabym znowu na trochę do Berlina.

To raczej nie było pytanie. Tylko stwierdzenie.

Innym razem Dina rzekła:

– Czy zastanawiałaś się nad tym, o czym wtedy rozmawialiśmy? Że powinnaś mieć sklep z ubraniami? Salon krawiecki. Myślałaś, co jest potrzebne, żeby zacząć coś takiego?

Trochę zapewne myślała. Nawet jeśli nie całkiem na poważnie.

– Nie ma rzeczy niemożliwych.

– Musiałoby to wyjść od Wilfreda – rzekła Hanna. Mogła równie dobrze od razu to przyznać. Że tak po prostu jest. Bo obecnie nie przelewało mu się w kwestii pieniędzy. Wyczekiwał śledzia. Wtedy miał w perspektywie transport i sprzedaż przynęty. I zamówienia w stoczni. Interes w dużej mierze zależał od pór roku. Pewnie nie będzie chciał się denerwować wyrzucaniem pieniędzy na jej salon krawiecki. No i jeszcze całe to prowadzenie domu. Które wymagało czasu. I dzieci.

*

Następnym razem spotkawszy Olaisena, Dina napomknęła mimochodem, że szkoda, iż Hanna nie wykorzystuje swojego talentu do szycia. Do kreowania odzieży, jak to ktoś ujął.

Wilfred na swój sposób był wyczulony na tego rodzaju stwierdzenia. Nie lubił, kiedy padało imię Hanny. To było zbyt poniżające. Przypominało mu o tym i owym. Ale jeśli pani Dina mimo to poruszała sprawy, które jej samej nie dotyczyły, pozwalał sobie na uprzejme napomnienie.

– Hanna ma więcej niż dość roboty. Wielki dom i dużą rodzinę.

– Można przecież mieć ludzi do większości prac. W Reinsnes też był duży dom i wielka rodzina. Nie pamiętam, żebym zameczała się

taką pracą. Ludzie bez szemrania robili odpłatnie wszystko, o co ich poproszono. Tak samo jest przecież w stoczni. Czyż nie? Mój drogi Olaisenie, masz przecież dość środków, żeby pozwolić Hannie rozwijać swoje talenty?

Nadal był podejrzliwy. Tak podejrzliwy, że Dina poprosiła:

– Nie wspominaj Hannie, że pozwoliłam sobie zażartować na ten temat. To tylko ja w swojej prostocie żałuję, że muszę kupować drogie i nie zawsze dobre ubrania w Tromsø i Trondhjem, a Hanna jest taka utalentowana. Żona radcy i Anna na pewno byłyby jej stałymi klientkami. Potrzebowałaby co najwyżej dwóch krawcowych. To nie jest wielki wydatek. Kapitał początkowy nie musiałby być wysoki. No, jeszcze maszyny do szycia. Trochę materiału. Nie należy lekceważyć siły nabywczej kobiet. Muszą mieć ubrania. Ale nie zdradzaj Hannie, że tak powiedziałam. Tylko jej to zamąci w głowie. Ale co to takiego miałam powiedzieć? Dostałam wczoraj telegram, że dadzą nam do naprawy frachtowiec chodzący na trasie do Hamburga. Jutro powinien wpłynąć do Tjeldsund. Mają jakiś problem z maszyną. Peder się tym zajmie.

– Czemu wysłali telegram do ciebie?

– Bo znam właściciela statku. Prowadziłam z nim kiedyś interesy w Hamburgu.

– I dlatego chce przyjechać do naszej stoczni! – wykrzyknął.

Szacunek na twarzy Wilfreda uczynił ją jeszcze piękniejszą. Oczy mu błyszczały.

Kiedy naciągnęła już rękawiczki i miała odejść, zapytał poufałym tonem, czy jej zdaniem w zwykłym saloniku krawieckim mógł kryć się interes.

– Nie w zwykłym, tylko w salonie Hanny Olaisen! Tak! Przecież nie bez powodu ją wybrałeś. A skoro już o tym mówimy. Myślę, że

byłabym w stanie dorzucić trochę kapitału. Na przykład kupić maszyny. Oczywiście w zamian za tytuł własności do nich. Umowę najmu dostaniecie tanio. Nic nie będziecie płacić, dopóki salon nie przyniesie zysków. A jak się pojawią, tylko niewielki procent od nadwyżki. Pięć–dziesięć, jakoś tak? Tylko nie wspominaj Hannie, że o tym mówiłam. Nie chcę być tą osobą, która nakreca pomysły... Dobranoc!

*

Wilfred Olaisen miał niemiłe uczucie, że pani Dina, udając, że gra według wspólnie ustalonych zasad, w rzeczywistości wygrała, a on nawet tego nie zauważył.

Niemniej od czasu do czasu znosił jakoś jej odmienne zdanie oraz wcielanie w życie różnych idei. Funkcja przewodniczącego była tak czasochłonna, że zarówno w stoczni, jak i na pochylni tolerował niekiedy jej dominację. Przekonywał sam siebie, że jak tylko będzie miał wolniejszą chwilę, postara się wyszukać jej słabe punkty.

Strandstedet powoli stawało się centrum floty parowej w regionie. Komu należało za to podziękować? Cóż, przystani Olaisena! A kto dziś pytał, kto tak naprawdę jest właścicielem tej przystani?

Wszyscy wiedzieli, że to dzieło Wilfreda Olaisena. Czyż nie mógłby bez przeszkód mienić się zarządcą? A czy to robił? Ależ skąd! Tytułowali go tak tylko podróżni, którzy mieli o tym jakieś pojęcie. Jeśli działo się to przy ludziach, zazwyczaj przystawali i słuchali nabożnie, niczym w kościele. W ten sposób tytuł nabierał większego znaczenia, niż gdyby sam miał się z nim obnosić.

Czyż nie przyjeżdżali ludzie z Hamburga i nie pytali wokół o stocznię zarządcy Olaisena? A co on mógł na to poradzić? Poza tym, żeby pozwolić ludziom myśleć sobie, co chcą?

Ponad połowę tych, którzy przeprowadzili się w te strony, stanowiły młode kobiety w wieku odpowiednim do zamążpójścia. Przechadzały się po okolicy, prezentując swoje wdzięki. Na miejscu było dość pracy dla kobiet. Przede wszystkim takiej, która w protokołach zarządu okręgu opisywana była jako „zajęcia domowe”. Poza tym potrzebne były sklepowe i kelnerki.

Olaisen zaczął poważnie przemyśliwać nad faktem, że nie tylko zamożne panie, ale również wszystkie pozostałe kobiety musiały ubierać się w damską odzież.

Pewnego wieczoru, spojrzawszy z czułością na Hannę, rzekł:

– Kupię ci salon krawiecki! Pewnie przyniesie straty, ale co tam. Po prostu cieszyłoby mnie, gdybyś mogła wykorzystać swoje zdolności. Dzieci za chwilę będą duże. Nie zamierzam zanadto przejmować się ludzkim gadaniem, że nie daję rady wyżywić własnej baby. Poza tym nikt nie będzie w to tak do końca wierzył.

Zamknęła oczy i poczuła znużenie. Otworzyła je i spojrzała na niego. Wstała, otulając się kołdrą.

– Nie żartuj sobie ze mnie, Wilfredzie.

– Nie żartuję. Od dawna o tym myślę. Przecież szylaś dla ludzi, kiedy cię poznałem? Ale tym razem nie będziesz tego robić w tej samej izbie, gdzie jesteś zmuszona również spać. Znajdziemy jakieś jasne, przestronne pomieszczenie. I myślałem już, jak się to będzie nazywało... Salon Krawiecki pani Olaisen. Co myślisz?

– Ale w takim wypadku musielibyśmy mieć dwie dziewczyny do dzieci na stałe i... być może też krawcową...

– Czyż nie zatrudniam ludzi na stałe i tu, i tam? Czy nie mogę więc mieć stałej krawcowej i niańki?

– A co z pożyczką w banku? – zapytała.

– To osobna sprawa. Wszystko idzie dobrze. Nie sądzisz chyba, że

tego nie kontroluję? W razie trudności mogę sprzedać jedną trzecią udziałów w przystani parowcowej.

– Któż, na Boga, mógłby być tym zainteresowany? Tutaj w Strandstedet? Dlaczego mówisz o trzeciej części?

– Nie niepokój się. Nie masz do tego głowy. Mam ci kupić zakład krawiecki i maszyny czy rezygnujesz z propozycji? Jedna trzecia jest Diny, jedną trzecią posiada towarzystwo żeglugowe. Reszta jest moja. Wydawało mi się, że o tym wspominałem.

– Nie.

– Tak czy owak, to bez znaczenia.

– Jak to się stało, że Dina też jest właścicielką?

– Jakiś czas temu dobiliśmy targu. Powiedziała mi, że zawsze chciała posiadać kawałek przystani. Uznałem, że to ciekawy pomysł. I tak się dogadaliśmy.

*

Ludzie zaczęli opowiadać, że Hanna Olaisen będzie teraz prowadziła interes jak, nie przymierzając, jakaś wdowa. I do tego w jej stanie! Niektórzy byli zdania, że Olaisen chce jeszcze bardziej rozszerzyć swoje interesy, zapewniając sobie bezpieczeństwo na wypadek gorszych czasów.

Inni powiadali, że za całą sprawą kryła się wielka potrzeba przewodniczącego, żeby rozbudowywać Strandstedet. Ten mężczyzna był wyjątkowy. Jasne, że w zapotrzebowaniu odzieżowym pań kryło się mnóstwo możliwości.

Czyż to miejsce nie gościło wiele razy objazdowego teatru? A to oznaczało popyt na garderobę. A domowe koncerty w Grandzie? I święta. Trzeba było przecież mieć się w co ubrać.

Poza tym przyjechał fotograf. Nie można wszak było dać się uwiecznić na zdjęciu w byle czym?

Strandstedet ekspandowało, tak stwierdzali ci, którzy nauczyli się takich słów. Inni uważali, że to bez znaczenia. Byleby wszyscy mieli pracę i dość na chleb.

Rozdział czternasty

Dla zwolenników Olaisena fakt wyboru Beniamina Grønelva na przewodniczącego dużą większością głosów stanowił szok.

Wilfredowi Olaisenowi właśnie urodził się czwarty syn i pozornie przyjął to bardzo dobrze. Uśmiechał się uprzejmie i kłaniał na prawo i lewo. Ten człowiek dawał sobie radę w każdej sytuacji, powiadali lepiej poinformowani.

Podobno lekarz okręgowy nie spodziewał się tego wyboru. Obawiał się też, że odbije się to niekorzystnie na sytuacji pacjentów. Ale skoro zgodził się kandydować, będzie musiał sprostać zadaniu. W ten sposób stawał się nie tylko kimś, kto wygrał wybory. Ale również tym, który nie narzucał się ze swoją kandydaturą.

Poza tym jego żona pochodziła z Kopenhagi. Nikt inny w Strandstedet nie miał żony mówiącej po duńsku. W krótkim czasie dla niektórych pań stało się oczywistością, że zanim pośle się samogłoski w świat, trzeba pomieścić je w ustach. Naturalnie, o ile prowadziło się rozmowę z człowiekiem na poziomie.

I nie żeby ktoś powiedział, że tak należy, taki po prostu nastał obyczaj. Na przyjęciach i wieczorach charytatywnych panie zupełnie nieświadomie wymawiały słowa z manierą.

Większość mieszkańców Strandstedet nie mogła się nachwalić Wilfreda Olaisena, ale doktor do tego był jeszcze człowiekiem! I pobrał nauki za granicą.

Tuż przed wyborami rozeszły się pogłoski, że interesy Wilfreda Olaisena straciły na wartości. Tak działo się już od chwili, kiedy postawił na nowy parowiec, a jednocześnie zainwestował w salon krawiecki pani Hanny. Powiadano, że bank zmuszony był odroczyć mu spłatę pożyczki, bo odkąd przybyła nowa pochylnia, stocznia nie przynosiła już takich zysków. Nikt nie rozumiał, jak to możliwe. Kto wie, może dlatego, że młody Peder coraz więcej pracował u pani Diny.

Inni wiedzieli, gdzie jest pies pogrzebany. Pożyczka bankowa była koszmarem zarówno dla zamożnych, jak i uboższych. Przeliczył się. A przez te wszystkie lata jako przewodniczący sporo przecież wydawał na wystawne życie.

Poza tym powiadano, że Olaisen jest zbyt zarozumiały. A teraz, kiedy mieli już nowego przewodniczącego, robotnicy zaczęli głośno przyznawać, że nie był też nigdy zanadto szczodry.

*

Wilfred Olaisen pilnował resztek swoich interesów i na męskim spotkaniu w Grandzie suto zakrapianym ponczem zachowywał się powściągliwie. Nikt nigdy nie widział go podchmielonego, w przeciwieństwie do wielu innych.

Pani Olaisen natomiast od chwili ogłoszenia zmiany na stanowisku przewodniczącego nie pokazywała się w salonie krawieckim. Ani w żadnym innym miejscu.

Pewnego popołudnia córka kościelnego powróciła do domu z próby chóru z wiadomością, że Olaisen pobił Hannę.

Otrzymała zasłużoną reprimendę od matki za roznoszenie

plotek. Ale zaraz potem padło pytanie:

– Kto tak powiedział?

– Ktoś z chóru.

– Ale to nie musi być prawda.

– Pytałam Karny, czy to prawda. Strasznie się wtedy zaczerwieniła.

– Przyznała, że to prawda?

– Nie powiedziała, że nieprawda!

Po upływie pół godziny sporo osób zostało już zaznajomionych ze sprawą. Olaisen był potworem.

*

Jednak tego dnia, w którym naprawdę wszystko się rozpętało, było piętnaście stopni mrozu, a zorza polarna pokazała się już wczesnym popołudniem. Naczelnik poczty znalazł słowa pasujące zarówno do widoku na niebie, jak i do Olaisena:

– Miłe toto dla oka jak rozświetlone wnętrze kościoła, a jednak diabelstwo!

Naczelnik poczty często pierwszy wróżył nieszczęście. Widywał już wcześniej pisma od radcy. Gruba koperta była zaadresowana do Olaisena. Cienka do pani Diny.

Telegrafista też miał swoje informacje. Transakcje finansowe z niemieckim bankiem. Liczby były zrozumiałe. Równie jasne po norwesku, jak po niemiecku. Szczegóły już trudniej było pojąć. Nie był przesadnie uzdolniony językowo i nie miał okazji podzielić się swoją wiedzą. Można więc było zadawać sobie pytanie, dlaczego ludzie są tak dobrze poinformowani. Ale byli.

Wielu widziało radcę Brinka wychodzącego z hotelu Grand z teczką z dokumentami pod pachą. W środku dnia. Nie wskazywało to raczej na towarzyskie odwiedziny.

Sprawa znalazła się na ustach wszystkich. Pani Dina wycofała swój kapitał ze stoczni. Kierownik banku odmówił Olaisenowi kredytu, a dwunastu mężczyzn stanęło przed widmem utraty pracy. W Strandstedet aż wrzało od spekulacji, a ludzie się podzielili. Śnieg padał bez przerwy. Cena węgla była wysoka, a bliskość katastrofy trzymała w napięciu.

O upadku Olaisena nie napisano w gazecie. Nie od razu. Ale spodziewano się tego. Dzięki temu gazeta naprawdę świetnie się sprzedawała. Ludzie musieli śledzić sprawę. A przecież coś mogło ukrywać się w małej, ledwo widocznej notce.

Ci, którzy byli zależni od Olaisenowego worka z wypłatami, przyzywali na pomoc samo piekło. Ci zaś, którzy wietrzyli prawdziwą, niezaprzeczalną tragedię, trwali w nerwowym oczekiwaniu.

Tyle było pytań, tyle rzeczy do opowiedzenia. Ludzie wypuszczali się w zimowy mrok pod dowolnym pretekstem, żeby zdobyć najświeższe wiadomości.

*

Informacja w gazecie nie wyglądała tak, jak tego wszyscy oczekiwali. A tytuł był co najmniej dziwny.

„Wdowa Dina Bernhoft wykupuje udziały należące do zarządcy Wilfreda Olaisena w stoczni, pochylni i przystani parowcowej”. Tekst drobnym drukiem głosił: „Plajty nie będzie! Miejsca pracy w Strandstedet uratowane!”

Dla tych, którzy przeczytali artykuł, stało się jasne, że tylko w ten sposób zarządca mógł uratować swoje prywatne mieszkanie przed pójściem pod młotek. A większość przeczytała.

Napisano też, że teraz zarządca może zachować dwie własne łodzie parowe i od tej chwili siedzieć bezpiecznie na swoim

wzgórzu, przyglądając się przystani i stoczni, które w swoim czasie zbudował.

Nie tylko sklepowa u kupca Hole przeoczyła na skutek tego tytułu notatkę o prawach kobiet. Podobnie jak „Nowelę mizogina” i bezpłatnie dodawane książki z cyklu „Zemsta Cyganki”.

To ostatnie stanowiło ze strony gazety „Senjens Tidende” próbę pozyskania nowych abonentów. Ale kampania została zaplanowana na niewłaściwy dzień. Tylko nieliczni zwrócili na nią uwagę, pozostali byli zbyt zajęci faktem, że pani Dina uratowała Strandstedet.

A ci, którzy trzymali w domu porządek i jeszcze tego samego dnia wnosili gazety do niewymownego miejsca na podwórku, można powiedzieć, że akurat na oczy to nigdy nie zobaczyli artykułu o prawach kobiet.

Że własna gazeta Olaisena przejawiała większą ostrożność w sposobie komentowania porażki, stanowiło oczywistość. Póki co Wilfred Olaisen miał w niej większość akcji.

Tym ważniejsze stało się dla konkurencji dobre rozegranie tej karty. Po kilku dniach napisano, że w niektórych kręgach powątpiewają, czy Olaisen powinien ponosić odpowiedzialność kapitałową w miejscowej gazecie, nie będąc już wiarygodnym w interesach.

Olaisen musiał sam pospieszyć z zamieszczeniem sprostowania pod tytułem: „Złośliwe pogłoski o mojej firmie”. Wyjaśniał w nim obszernie, dlaczego nadal można mu ufać. Uznał po prostu za konieczne ograniczenie swoich interesów.

Tego samego dnia w gazecie wydrukowano szerokie na dwie szpalty ogłoszenie:

„Salon krawiecki Hanny Olaisen. Polecam moją bogatą ofertę

święteczną. Ponadto szycie z gładkiej i flauszowej wełny z pódługim włosem, a także skóry angielskiej we wszystkich kolorach. Wszelka odzież szyta jest w krótkim czasie na podstawie przysłanych szacunkowych wymiarów albo sztuki własnej odzieży”.

Najstarszy, Rikard, musiał znieść sporo uwag w szkole i na ulicy. Dowiedział się tam wszystkiego, czego nie usłyszał w domu. Codziennie wracał do domu zakrwawiony i w podartych ubraniach.

Najmłodszy żył swoim chronionym życiem pod opieką Sary i niańki. Ale oni też nie mogli zapobiec głośnym komentarzom ani rzucanym w ich stronę przeciągłym, znaczącym spojrzeniom. Miłość bliźniego wyrażała się na wiele sposobów.

*

Peder Olaisen był między młotem a kowadłem. Od Wilfreda dostał jasny przekaz, że nie wolno mu mieć nic do czynienia z rodziną Grønelvów. Każdy Grønelv był gorszy od szakala czy wilkołaka. Nawet jeśli podpisywał się Bernhoft.

Mimo że Peder nie wiedział w sumie zbyt dokładnie, jak zachowują się te zwierzęta, czuł prawdziwą rozpacz.

Ale w stoczni zaznał czegoś jeszcze, chociaż nikt mu tego wprost nie powiedział. Tam był Olaisenem, a zatem kimś, komu nie można ufać.

Peder uznał, iż nie ma sensu wyjaśniać Wilfredowi, że ma pracę, do której musi pójść niezależnie od tego, kto jest właścicielem przedsiębiorstwa.

W tym wszystkim miał w głowie tylko jedną myśl. Karna. Szakalica i wnuczka wilkołaczki. Pojął, że musi uciec się do środków, których nie użył nigdy wcześniej.

*

Beniamin miał dość zajęcia z wdrożeniem się w drobne i większe sprawy okręgu. Spotkania i rozmowy z różnymi ludźmi pochłaniały mu coraz większą część dnia. Już kończąc przyjmować pacjentów, rozglądał się za płaszczem. Anna i Karna otrzymywały stałą odpowiedź: „Jak tylko będę miał wolną chwilę...”

Anna wiele razy próbowała z nim porozmawiać o przyszłości Karny. Ale sprowadzało się to do zamienianych w przelocie kilku urywanych zdań. Podejrzewała, że słucha jej tylko powierzchownie, bez wgłębiania się w treść.

Kiedy był w domu, wydawał się tak nieobecny, że ją to przerażało. Jakby przez cały czas przebywał w innej przestrzeni i miejscu. Jakby nieustannie planował rozmowy, ale nie z nią.

Anna zauważyła, że życie z Beniaminem zaczęło do złudzenia przypominać życie jej rodziców. Jeśli pominąć chwile spędzane w większym towarzystwie, nie rozmawiali już ze sobą.

Spali w jednym łóżku. Ale dzieliła ich taka odległość, że tylko odgłosy wydawane przez śpiącego człowieka przypominały im o sobie nawzajem. On wyraźnie sypiał lepiej niż ona. A śpiącego mężczyzny przecież nie można było o nic oskarżać.

Pewnego wieczoru tuż przed świętami siedzieli we dwoje w salonie. Wiedziała, że on zaraz wstanie, żeby wyjść na takie lub inne spotkanie.

Wtedy powiedziała nagle gdzieś w powietrze:

– Zamierzam latem pojechać do Kopenhagi.

Nie było w tym żadnej złośliwości. Żadnej demonstracji. Ale spodziewała się, że chociaż złoży gazetę. Albo nawet rzuci ją z irytacją. A w najlepszym razie oświadczy, że pojedą razem.

Nic jednak nie powiedział. Nie podniósł wzroku znad czytanych słów. Wstała i podeszła do okna. Czekala.

Gazeta zaszeleściła. Najwyraźniej ją przeglądał. Dotarło do niej, że w ogóle nie usłyszał jej słów.

Stała tak jeszcze przez chwilę, a potem otworzyła na oścież okno, wpuszczając zimę do środka. Nie było to łatwe, bo skrzydło okna przymarzło. Ale przyłożyła do niego obcas i wymierzyła mu kopniaka.

– Ależ Anno, mamy tu dość powietrza! – usłyszała zza gazety.

– Co z tego, skoro się duszę – odparła.

Nie oglądając się za siebie, wspięła się na parapet. Potem przechyliła się w tył i upadła w miękkość, wilgoć i chłód. Zamknęła oczy i leżała tak przez chwilę. Potem powoli zaczęła poruszać po okręgu nogami i ramionami.

Rankiem w każde święta Bożego Narodzenia jeszcze w Reinsnes tak właśnie bawiły się z Karną. Przy innych okazjach również. Tu w Strandstedet nie robiło się aniołów. Człowiek pozwalał się tutaj zadusić.

Głęboko wciągnęła powietrze. Z każdym ruchem śnieg wdzierał jej się pod ubranie. Już miała mokrą szyję. Jakby pływała po wodzie? Albo leżała na pięciolinii nowych nut Diny, z których wspólnie grały. Smetana. *Aus der Heimat*.

Zaczęła nucić. Podśpiewywać. Otworzyła oczy i spojrzała na zanurzone we fiolecie zimowe niebo z miriadami gwiazd. A tam zobaczyła wszystkie znaki, którymi zapisano jej życie, chociaż nie potrafiła ich sobie objaśnić.

Wtedy pojawił się w oświetlonym oknie. Pan przewodniczący w Strandstedet. Wydawał się przezroczysty. Jak kawałek gazy z jego własnej torby doktorskiej.

Kiedy w zasadzie przestał być Beniaminem? Być może już dawno temu. Po prostu zrozumiała to dopiero dziś wieczorem.

I kiedy podniosła na niego wzrok, przypomniała sobie nagle, jak wyglądała jego twarz tamtego razu, kiedy leżała pod nim na twardym, studenckim łóżku Aksela.

Jak mało wówczas wiedziała. To było wzruszające.

– Niech Bóg nas strzeże przed pożądlivością ciała! – nuciła w stronę mężczyzny w oknie.

– Anno! Cóż ty robisz, na Boga?

– Niech Bóg nas strzeże przed pożądlivoościąą ciałaaa – śpiewała.

To był właśnie najnowszy Smetana. Niegdysiejsza ojczyzna. Twarde, studenckie łóżko. Rozkosz tarzania się w grzechu? Razem z nim! Gdzie podział się ten cudowny, wolny jak ptak strach łaskoczący w żołądku? Zagubili go tutaj na północy. Stracili wszystko. Ona Młodość, Kochanka i Ojczyznę. Zadusiło ich Strandstedet. Do spółki z lekarzem okręgowym, a teraz przewodniczącym.

Śpiewała jeszcze głośniej. Na całe gardło.

– Taram-tam-tam...Tara-a-a-m-ah-ha-a... Niech Bóg nas strzeże przed pożądlivoościąą ciała aa!

– Anno!

– Cicho! Chodzi o życie. Leżę w ramionach anioła, wypływając w morze. Rozmawiam ze Smetaną i gwiazdami o pożądlivości ciała.

– Muszę już iść, Anno. Czekają na mnie.

Słyszała, jak próbuje się zaśmiać. Ale jego głos nie niósł się tak daleko jak jej. Nuciła jeszcze głośniej.

– Zmarzniesz i przemokniesz! – stwierdził.

– Jak wszyscy, których zniesie do morza – odparła.

Rzucił jej osobliwe spojrzenie. I zniknął. Kim był ten mężczyzna?

Rozdział piętnasty

Karna od zawsze słyszała, że pojedzie gdzieś w świat, żeby się uczyć. Być może zdać egzaminy. Ale od tego dzieliło ją jeszcze tyle czasu.

Anna przeczytała głośno artykuł o możliwościach uzyskania przez kobiety płatnego zawodu i stwierdziła, że powinna być szczęśliwa, mając ojca, który rozumiał, że wiedza nie jest zarezerwowana tylko dla mężczyzn.

Co prawda stanowczo przeciwstawił się temu, żeby zamieszkała u wdowy w Tromsø i poszła na pensję dla dziewcząt u panien Thesen. A zdaniem Anny tak byłoby najprościej i najbliżej.

Zamiast tego napisał do Dagny Holm z Bergen. Miała siostrzenicę z trojgiem dorosłych dzieci, która chętnie przyjąłaby Karne pod swój dach. Miała dostać własny pokój, ale mieszkać z rodziną na prawach córki. A co do ataków, na pewno nauczyliby się z nimi postępować. Miała nawet pobierać lekcje śpiewu.

Kiedy jednak wszystko było już załatwione, Karna oświadczyła, że nie pojedzie do Bergen. Po prostu nie i już. W zasadzie nigdy nie chciała zdawać żadnych egzaminów. Ani uczyć się śpiewu. Śpiewała już dostatecznie dobrze.

Pragnęła zostać w domu. W Strandstedet.

Beniamin przede wszystkim postarał się opanować na tyle, żeby mogli poznać przyczyny takiej decyzji. Na przykład, że może boi się nieznanego.

Wtedy okazało się, że wyrosła i dojrzała, zanim zdążyli zdać sobie z tego sprawę.

Beniamin sądził, że zna Karnę i że jej intencje są dla niego tak jasne, jak wypełnione rubryczki formularza dla komisji sanitarnej. Jednak się mylił.

Początkowo nie chciała niczego wyjaśnić. Po prostu nie zamierzała jechać ani do Bergen, ani w żadne inne miejsce.

Kiedy Beniamin pożalił się Dinie, ta się roześmiała. Czyż nie wiedział, że kiedy dziewczyna tak po prostu zostawała sobie na noc w Grandzie, to nie tylko ze względu na chęć odwiedzenia babci? Czy nic im nie mówiła, że jej celem jest stanie w otwartym oknie o godzinie szóstej rano bez względu na pogodę? O szóstej! Żeby zobaczyć Pедера Olaisena, kiedy będzie szedł do stoczni.

– Brała go na cel przez ułożone z palców odwrócone serduszko. O, tak! – rzekła Dina i zademonstrowała, patrząc jednocześnie na Beniamina i mrużąc jedno oko.

Chciała go też poinformować, że Karna bez pytania o pozwolenie zamówiła sobie suknię w salonie krawieckim Hanny. Peder stanowił również powód tego, że nagle miała odwagę chadzać na wszystkie możliwe spotkania, nie biorąc ze sobą Biblii.

Czyż nie wiedzieli, że szukała każdej możliwej okazji, żeby pozwolić Pederowi Olaisenowi dać się unieść w tańcu? Walc, mazurek, cokolwiek. Tańczyła. Płynęła w powietrzu. Niezależnie od rytmu muzyki.

– Ale ona przecież zawsze jest w domu przed dziesiątą – rzekł Beniamin słabym głosem.

– Tak, powiedziałam Pederowi, że powinien pilnować, żeby odprowadzać ją do domu o odpowiedniej godzinie.

– Nie widziałem go nigdy nawet pod furtką?

– Nie, bo mówiłam mu też, że lepiej będzie, jeśli zawróci przed zakrętem i poprosi Birgit o dojsie z Karną pod sam dom.

*

To, czego nie wiedział Beniamin, wiedziały wszystkie damy, panie i zwykłe baby. Że Peder Olaisen o wiele za mocno przytulał młodziutką córkę doktora. Niemal nieprzyzwoicie.

Kiedy jednak Birgit napomknęła Karnie, że ludzie plotkują, otrzymała proste wyjaśnienie. Peder obawiał się, że Karna upadnie. A on miał takie silne ramiona. Dlatego trzymał ją tak mocno. Czy Birgit nie potrafiła tego zrozumieć? Taki mężczyzna nie był przecież w stanie dokładnie wyliczyć i wymierzyć, jak mocno należy trzymać?

Birgit nie do końca była pewna, czy rozumie, ale nic nie powiedziała. Cóż mogłaby rzec?

*

Karna miała przyjść do gabinetu tatusia. Teraz, natychmiast!

Stanąła przy samych drzwiach, wiedząc, że chodzi o tę całą historię z Bergen.

Najpierw tylko słuchała w milczeniu. Potem poczuła, że ma dość. Wydawał się taki niemądry, siedząc tam i opowiadając jej, co powinna czuć i myśleć.

– Nie pojedę do Bergen – stwierdziła i zamierzała wyjść.

Wtedy zrobił się strasznie czerwony i zmusił ją, żeby usiadła, a sam poszedł po Annę.

Anna zaś powiedziała wszystko, o czym tatuś zapomniał. Mimo

to Karna upierała się przy swoim. Kiedy tatuś rozzłościł się i zerwał z krzesła, Anna spojrzała na niego ostrzegawczo.

Trochę się uspokoił, ale kontynuował swoje kazanie.

Karna nie powinna zapominać, że niewielu dziewczętom dana jest możliwość nauki. Czy słyszała o takiej, która w swej niewdzięczności odmówiłaby, rezygnując z nauczania się czegoś więcej niż prowadzenia domu? Widzieli przecież, że Karna nie będzie jakąś wyjątkową gospodynią. Miała dwie lewe ręce do robót domowych. Co ona sobie myślała? Czy byłoby lepiej, gdyby wydali ją za męża? Za starego mężczyznę? Jak zrobił to referendarz z Diną, kiedy miała szesnaście lat. Takie chciała mieć życie?

W tym momencie zrozumiała, że nadeszła właściwa chwila.

– Tak! Chcę wyjść za mąż za Pedera! On tak bardzo mnie pragnie. Ale nie ma odwagi zapytać, bo babcia powiedziała, że będziesz przerażony. Ale skoro babcia mogła wyjść za mąż, mając szesnaście lat, i to za starca, to chyba i ja mogę. A Peder nie jest aż tak stary!

Anna sprawiała wrażenie przestraszonej, a tatuś wyglądał, jakby właśnie dostał policzek.

– Karno – rzekła Anna. – Zamążpójście to poważna sprawa.

– Ależ tak. Ale kiedyś trzeba.

– Jesteś tylko gówniarą! – zawołał ze złością tatuś.

– Nieprawda. Jeśli tylko będę mogła wyjść za mąż za Pedera, mogę uczyć się czegokolwiek. Niczego nie potrzebuję. Nawet pianina...

Tatuś wstał i zaczął chodzić. Szybkim krokiem. Tam i z powrotem. Krążąc dookoła, zapalił fajkę. Palił, wciąż chodząc. Od wodzenia za nim wzrokiem zakręciło jej się w głowie. Ale w końcu zatrzymał się i krzyknął:

– Czy to taki skutek odniosło moje i Anny wychowanie? Jedyne czego chcesz, to wyjść za mąż! Nie masz większych talentów?

– Nie obchodzą mnie talenty. Nie sądzę, żeby były do czegokolwiek potrzebne.

– Jesteś tak głupia, że chcesz skończyć jako baba pierwszego lepszego i, jak widać, bardzo skutecznego uwodziciela?

– On nie jest żadnym uwodzicielem – odparła Karna. Ledwo była w stanie wymówić te słowa, taki ból sprawiał jej sposób, w jaki mówił o Pederze.

– A jak sądzisz, w jakim innym celu rozniecałby w młodej dziewczęcej głowie takie marzenia? Już ja mu powiem...

W tym momencie rozległ się donośny huk. To Anna uderzyła pięścią w stół. Sprawiała wrażenie, jakby sama przestraszyła się tego dźwięku. Ale szybko o tym zapomniała. Podniosła się. Stała lekko pochylona i wpatrywała się w tatusia. Jej oczy miały błyskawice.

– Nie wyszydzaj miłości! Nie masz prawa! W rodzinie Grøneltów najwyraźniej nigdy nie spotyka jej nic dobrego. Uważam, że to uskrzydlające, że Karna potrafi odczuwać miłość. Dlaczego nie mielibyśmy jej w tym wspierać? Oczywiście musi poczekać z zamążpójściem. Ale dlaczego miałyby jechać do Bergen? Jeśli ona się temu sprzeciwia, to sprzeciwiam się i ja. Zmuszanie jej jest zapewne równie wielkim przestępstwem jak przymuszanie kogoś do ożenku. Nie pozwolę na to! – stwierdziła Anna tonem nieznośnym sprzeciwu. Przez cały czas uporczywie wpatrywała się w tatusia.

Byli nieprzyjaciółmi. Z winy Karny.

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Anno. Czy to nie ty właśnie bardzo dużo mówisz o wolności kobiet i ich prawie do nauki? –

zapytał lodowatym tonem tatuś.

– Żadna w tym wolność, jeśli ktoś nie chce – odparła Anna.

– Mam wrażenie, że byliśmy zgodni co do przyszłości Karny?

Tatuś mówił do Anny przez zaciśnięte zęby. Kiedy nie odpowiadała, kontynuował z szyderstwem w głosie.

– Może przecież pojechać i wrócić, a wówczas zobaczymy, czy ta tak zwana miłość przetrwa.

Kąciki ust i podbródek Anny drżały nerwowo.

– Uważam, że to błąd próbować rozdawać uczucie w małych porcyjkach, zależnie od czasu i miejsca, tak jak robisz to ty i Dina. Prowadzicie rachunek zysków i strat. Ty również, Beniaminie! Obliczasz, co się opłaca. Co może ci się przydać. Ja mogłam się przydać. Poza tym przyjechałam z własnej woli. Dlatego się ze mną ożeniłeś. Ale miłość, Beniaminie Grøneltvie, stanowi dar. Należy go chronić. Może przyjść w życiu późno albo wcześniej. Ale nie jest dla ludzi, którzy racjonują ją jak pożywienie dla jeńców. Miłość jest mocą ofiarowaną tym nielicznym, którzy rozumieją, że trzeba dać wszystko i przyjąć też wszystko. Dlatego żyję tutaj wśród obcych. Dla miłości. Przez ostatnie lata dostaję od ciebie tylko te wymierzone racje. Dla doktora Grønelta wszystko musi odbywać się w swoim czasie. A teraz dla przewodniczącego okręgu. Przyjmuję to za dobrą monetę. I powiem ci, że warto było! Lata, tygodnie, dni! Cała samotność tego świata nie byłaby zbyt wielką zapłatą za miłość!

Twarcz tatusia wyglądała jak niezapisana strona w zeszycie.

Karna musiała wyjść. Zniknąć.

Odwracając się, zobaczyła babcię stojącą w drzwiach. Podbiegła i wtuliła się w nią.

Zapadła cisza. Słyszała tylko uderzenia babcinego serca.

– To były mądre słowa, Anno! – odezwała się w końcu babcia, obejmując głowę Karny.

Wszyscy milczeli.

– Rozumiem, że to przeznaczone było tylko dla was dwojga, chociaż wspomniałaś o całej rodzinie. Ale poczułam taką ciekawość, że mimo wszystko pozwoliłam sobie wejść. Nieładnie z mojej strony, ale jakże wiele się nauczyłam...

Anna skuliła się odrobinę, jednak szybko znów się wyprostowała.

– Muszę powiedzieć, że ta przemowa mnie poruszyła. Ty, Beniaminie, sam powinienesz na to odpowiedzieć – stwierdziła babcia. Jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż serce. Bo ono waliło mocno pod policzkiem Karny.

Anna podeszła do okna. Tatuś stał samotnie na środku pokoju. Nie poruszył się chyba w ogóle od chwili, kiedy Anna zaczęła mówić.

Babcia przenosiła wzrok z jednego na drugie.

– Tak czy owak, potrzebuję dużego kieliszka portwajnu. Albo doktorskiego napitku? Te wzgórza to prawdziwa męka. Gdybym miała dwadzieścia pięć lat, kupiłabym sobie konia pod wierzch. Choćby po to, żeby nie męczyć nóg wspinaniem się do doktorówki. Ale obecnie wolę już używać własnych kończyn, a nie użerać się z koniem.

Tatuś jakby się obudził. Podeszedł do barku i wyjął karafkę oraz kieliszek. Kiedy zaczął go napełniać, kieliszek wymknął mu się z rąk.

Zrobił krok w tył. Stał, przyglądając się okruciom szkła. Potem odstawił karafkę i najwyraźniej zapomniał, co zamierzał zrobić.

Karna puściła babcię i podeszła do niego. Nie zauważył jej. Stał i nie patrzył. Nalała trunku do dwóch pozostałych kieliszków.

Otworzyła barek, wyjęła trzeci i również go napełniła.

Ciągle jeszcze nikt się nie odezwał.

Karna wręczyła kieliszek tatusiowi, a on wziął go, nie patrząc na nią. Potem podeszła kolejno do Anny stojącej przy oknie i do babci. Podała kieliszek każdej z nich. Dobrze, że człowiek wiedział, czym zająć ręce.

Kiedy nikt nie wykonał żadnego ruchu świadczącego, że chce się napić, poczuła, że musi to zakończyć. Stała obok tatusia, złożyła dłonie na podółku i powiedziała:

– Na zdrowie!

*

Dina wyrzuciła meble biurowe Olaisena i sprawiła sobie nowe. Wstawiła podwójne drzwi, żeby zagłuszyć hałas dochodzący z zewnątrz, i zawiesiła zasłonki. Była teraz u siebie. Rządziła. Wydawała polecenia. Sprawdziała listy. Dała z miejsca wypowiedzenie dwóm nierobom.

Mężczyźni, widząc ją, zawsze zdejmowali czapkę, więc to nie było niczym nowym. Ale gdy zaczęli się nisko kłaniać, poprosiła ich dość szorstko, żeby tego zaprzestali i ruszyli raczej do własnej pracy.

– Ten, kto nie może się przywitać, nie przerywając roboty, lepiej niech się w ogóle nie wita – stwierdziła.

Bali się jej bardziej niż Olaisena, którego pozdrawiali, stając na baczność jak ołowiane żołnierzyki. Natychmiast po przyjściu po raz pierwszy do pracy, o godzinie szóstej rano w poniedziałek, wzięła na rozmowę majstra i wypytała go szczegółowo o wszystko, interesując się każdą sprawą.

Dopiero wczesnym przedpołudniem się jej pozbyli, a zaraz potem usłyszeli, jak z hałasem krząta się po kantorze.

Kupiła sobie obrotowe krzesło. Nieprawdopodobny mebel, który

chętnie by wypróbowali. Ale nie mieli odwagi tam chodzić, o ile po nich sama nie posłała. A wtedy przecież i ona tam była.

Olaisen przywiązywał znacznie większą wagę do ubioru niż do wyposażenia biura. Pani Dina była w stanie zadbać o obie te sprawy. I w swej mądrości uznała, że powinni mieć porządny stół i krzesła, żeby usiąść do jedzenia. Do tej pory przysiadali tylko na pierwszej lepszej skrzynce albo gdziekolwiek indziej.

Zapraszała na kieliszek czegoś mocniejszego w soboty i przy szczególnych okazjach. W których sama brała udział. Po godzinach pracy.

– U mnie nie płaci się za picie, tylko za pracę – oświadczyła.

Najdziwniej jednak czuli się z tym, że dyryguje nimi kobieta. Wbrew naturze! Ale cóż można było począć?

Pewnego dnia majster wybąkał, że w czasach Olaisena przygotowywali listy dopiero w tym tygodniu, w którym rozpoczynała się praca. To wystarczyło.

Wtedy poklepała go dłonią po ramieniu i stwierdziła:

– Jeśli chcesz, możesz robić tak, jak u Olaisena. Ale u niego. Tylko wtedy musimy tu w stoczni zatrudnić innego majstra!

– Cholerne, schłopiałe babsko! – mruknął pod nosem majster, kiedy zniknęła mu z oczu.

Ale więcej nie wspomniał nawet słowem, co takiego wystarczało w czasach Olaisena.

Nigdy nie byli pewni, kiedy ich zaskoczy. Jednak coś podpowiadało im, że cały czas ma ich na oku.

Poleciła im, żeby szorowali podłogi nie tylko raz w tygodniu, ale codziennie. Jedni uśmiechali się pod nosem, inni denerwowali. Wszak już po kilku tygodniach różnica była dla nich oczywista. Można było codziennie odetchnąć pełną piersią. Nie tylko

w poniedziałki.

Olaisen miał zwyczaj przyplýwać kliprem „Svanen”, żeby wypić poncz z „ważnymi panami”, kiedy dostawał większe zamówienie. Pani Dina po zakończeniu pracy schodziła z kantoru i odczytywała im głośno liczby oraz zlecenia. Potem oferowała kieliszek trunku. Nigdy więcej niż jeden.

To wystarczało, żeby ich zmiękczyć. Szli do domów się oporzędzić. Nie byli nawet lekko podchmieleni. Czuli tylko ulgę w duszy i zmęczenie w ciele. Pewnego razu, gdy cyfry były wyjątkowo korzystne, dostali nawet swój udział. Nigdy o tym nie wspomniała. Poprosiła tylko Pedera, żeby rozdzielił pieniądze po jej wyjściu.

Kiedy podziękowali, machnęła dłonią i stwierdziła „Niech wam na zdrowie wyjdzie!”. Gdyby nie fakt, że była kobietą, mogliby spokojnie powiedzieć, że równy z niej chłop.

W czwartek po Nowym Roku Peder przyszedł do Grandu zająć się rachunkami. Utrzymali ten zwyczaj, chociaż mogliby równie dobrze robić to w biurze stoczni.

Tego dnia był przygnębiony. Planował, jak powiedzieć jej, że musi wypowiedzieć pracę.

– Chcesz odejść? Dlaczego?

– Wilfred uważa, że to nie uchodzi, żeby pracować dla przeciwnika.

– Dla przeciwnika?

– No, dla konkurencji. On tak mówi.

– A ty?

– Muszę poprosić o zwolnienie.

– Żeby zadowolić swojego brata?

– Nie, żeby popchnąć naprzód własne sprawy.

– Czy to właściwy sposób na popchnięcie własnych spraw?

– To zależy, jak na to patrzeć albo ile ma się koron.

– A co będziesz robił, żeby mieć pieniądze?

– Wrócę na łódź. Na parowiec Wilfreda. Chce, żebym transportował dla niego przynęty i robił różne inne rzeczy.

– Czyli... Pożyczyłeś pieniądze na naukę, żeby móc dostarczać przynęty?

Peder pochylił głowę i założył ręce na plecach.

Dina siedziała za biurkiem, obserwując go.

– Niech mi Dina wybaczy. Ale nie chciałbym poróżnić się z bratem.

– Czy to jedyny powód?

Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie. Zawarliśmy z Wilfredem umowę.

– A co to za umowa?

– Ja nie będę pracować dla pani Diny, ale za to mogę spotykać się z Karną.

Głęboko wciągnął powietrze, jednocześnie nie wiedząc, co ma zrobić z rękami. Ze dwa razy już wędrowały w stronę kieszeni. Ale przywołał się do porządku. Było i tak dostatecznie źle.

Wtedy zaśmiała się cicho. Z rezygnacją. Odrzuciła głowę do tyłu.

– Ach tak! A od kiedy to Wilfred Olaisen może decydować w sprawie mojej wnuczki?

Patrzył na nią niepewnie, ale nie cofnął wzroku.

– Zamierzam poprosić o jej rękę. Jak tylko będzie w odpowiednim wieku.

Miał w sobie pewien rodzaj śmiałości, która okazywała się bardzo skuteczna. Prawie zawsze. Wiedział o tym bez zastanawiania się nad całą sprawą. Dlatego nieczęsto zdarzało mu się unikać

trudnych rozmów. Jeśli pominąć Wilfreda.

Rzecz nie w tym, żeby potrafił mówić. Ależ skąd. Ale był w stanie patrzeć ludziom w oczy. Bardziej niż słowami wyrazem twarzy dać im odczuć, co sobie myśli.

Nie planował zwierzać się pani Dinie, że zamierza oświadczyć się Karnie. Ale kiedy już tam stał, uznał to za słuszne. Powiedział również, że nigdy nie uważał, jakoby Wilfred mógł decydować o czymkolwiek w sprawie Karny, ależ nie! Chodziło tylko o uspokojenie Wilfreda. Zawsze tak to wyglądało. Kiedy Wilfred był spokojny i zadowolony, wszystko się układało.

– Siadaj i słuchaj! – poleciła Dina.

Peder Olaisen przysiadł na krawędzi krzesła.

– Nie chcę cię tu więcej! Za mało umiesz!

Jasne, że usłyszał, co mówi. Ale nie pojmował. Jeśli chciała go obrazić, to nie zamierzał tego w ten sposób przyjmować. Bo to nie była prawda.

– Co Dina ma na myśli? – zapytał.

– Jesteś młokosem uważającym, że wszystko mu się należy. Zwalniam cię.

– A co takiego złego zrobiłem?

– Sądzisz, że wystarczy tylko żyć w przyjaźni z Wilfredem, a wszystko pójdzie po myśli twojej i Karny. Ale ja cię tu nie chcę. A to oznacza, że Karna też cię nie chce. Zrozumiałeś?

Peder aż musiał na nią spojrzeć. Czy naprawdę dokładnie to miała na myśli? Czy po prostu była urażona? Coś się za tym kryło? Jakieś sprytne oszustwo? Nie wyglądała na szczególnie rozgniewaną.

– Nie będę mógł widywać Karny? – szepnął.

– Nie!

Krew uderzyła mu do głowy. Ale dłonie zacisnęły się tak, że aż zbiały mu kostki palców.

– Wobec tego pani Dina nie jest lepsza od Wilfreda – zaczął. Bez wybuchania. Raczej z hamowanym drżeniem w głosie. Niesforny kosmyk nad czołem również zaczął mu drgać. Peder był tak wściekły, że bardziej już się nie dało. Czyż ona tego nie widziała?

– A powiedz mi, dlaczego miałabym być lepsza niż Wilfred Olaisen? – zapytała.

Dla Pedera słowa nie były już proste i jasne. Nie przygotował się na to, że ta rozmowa będzie od niego wymagała czegoś podobnego.

– A więc co Dina chce, żebym zrobił?

– Masz pojechać do Bergen i wykształcić się porządnie na inżyniera od maszyn. Nie tylko na łatacza kadłubów. Potem możesz tu wrócić i wykupić akcje, które twój brat zmuszony był sprzedać. W ten sposób będziesz mógł pracować na własny rachunek.

Patrzył na nią bez mrugnięcia powieką.

– Tak byłoby świetnie. Ale mieszkanie w Bergen kosztuje.

– Pożyczę ci te pieniądze bez odsetek i bez weksła.

Peder Olaisen nie był dłużej w stanie zaciskać pięści. Chwycił za podłokietniki krzesła i się uniósł.

– Dlaczego pani Dina to robi? – szepnął, opadając z powrotem. Jakby próbował się otrząsnąć po wypadku.

– Bo zamierzam przebudować stocznię na warsztat mechaniczny, a nie mam chęci sama uczyć się o maszynach.

– Warsztat mechaniczny?

– Przez te nowe czasy.

Peder przełknął ślinę i kilkakrotnie zamrugał oczami. Potem podjął decyzję. Mniejsza o Wilfreda, a co tam.

– Przyjmuję!

– Wobec tego umawiamy się, że będziesz pracował u mnie do chwili, aż dostaniesz miejsce w stoczni Georgernsów w Bergen?

Wstał i podał jej dłoń.

*

Peder zebrał się na odwagę i ruszył prosto do doktorówki, żeby opowiedzieć Karnie o wyjeździe do Bergen. Jesienią! Jeśli zostanie przyjęty.

Stała tylko, wpatrując się w niego. Nie okazała najmniejszej radości. A kiedy zaczęła mówić, jej głos brzmiał tak, jakby jedno z nich miało umrzeć.

Jak mógł myśleć o wyjeździe aż do Bergen? Kiedy ona właśnie od tego się wykręciła?

Potem usłyszał całą jej żalną historię. O tym, jak musiała pokłócić się z tatusiem, żeby jej nie zmuszał. Że sytuacja zrobiła się tak zła, iż w całym doktorskim domu nikt nawet nie wymawiał słowa Bergen.

A teraz on przychodzi i rzuca sobie coś takiego. Że jedzie do Bergen. Co to w ogóle za miłość?

Peder zaczerwienił się po same uszy. Ale nie zaczął jej przeproszać. Powiedział wprost, że człowiek nie powinien odrzucać oferty nauki. A więc ona odmówiła? Zamierzał wobec tego osobiście wywieźć ją do Bergen w skrzyni rybackiej, nadając jako płatny bagaż!

Czyli była zdania, że miłość w ludziach umiera, jeśli nie widzą się przez zimę albo dwie? Wobec tego nie miała pojęcia, jaki on, Peder, naprawdę jest! I czy nie myślała już o tym, że uratowała go przed upadkiem z żelaznej belki w ratuszu? Czy nie wierzyła w takie znaki?

Kontynuował z łagodnym autorytetem kaznodziei, wychwalając

pod niebiosa doktora, który chce zapłacić za jej naukę. Szczególnie, że zaraz potem planowała wyjść za mąż! Inny ojciec traktowałby w tej sytuacji naukę jako niepotrzebną. Bo przecież to, czego może nauczyć się w Bergen, będzie miała tylko w głowie, a nie w rękach.

I dlaczego nie zwierzyła się jemu, Pederowi, z tak trudnej sprawy? Pomięła go, jakby był jakimś niemową i głupkiem, z którym nie warto rozmawiać?

Karna nigdy w życiu nie usłyszała od niego tylu słów naraz. Coś było w tym głębokim głosie. Peder miał w piersi takie piękne tony. Membranę. O którą mogła oprzeć głowę, kiedy nikt ich nie widział. Tak jak teraz. Bo byli w salonie tylko we dwoje.

*

Na dworze panowało kęsające zimno. Mimo że w piecu trzaskał ogień, czuli trudny do zlokalizowania przeciąg. Para unosząca się znad półmiska z rybą nie była w stanie rozgrzać im stóp. Ale na chłód na twarzy nieco pomagała.

– Wspaniałości! – rzekła Dina, nakładając sobie wątróbki. Powąchała ją, odłamując jednocześnie kawałek cienkiego placka.

Beniamin nie był miłośnikiem wątróbki. Ale pozostali zgodzili się z Diną.

Karna niespokojnie wierciła się na krześle, przyglądając się wszystkim po kolei. Musiała to powiedzieć. Teraz.

– Jednak pojedę do Bergen!

Tatuś i Anna przestali żuć. Ale babcia sprawiała wrażenie, jakby nic nie usłyszała.

– Ach tak, to interesujące – stwierdził tatuś.

– Zmieniłaś zdanie? – zapytała z zadowoleniem Anna.

Karna skinęła głową.

– A to z jakiego powodu? – spytał tatuś.

– Peder mówi, że dla miłości tak będzie najlepiej.

Anna w osobliwy sposób uniosła głowę, posyłając tatusiowi znaczące spojrzenie. Anna była ładna, kiedy się uśmiechała.

Babcia sprawiała wrażenie, jakby to wszystko było jej obojętne.

– Ach, czyli Peder tak powiada? Zaproś go do domu, żebyśmy mogli z nim porozmawiać.

– Był tu wczoraj.

– Bez naszej wiedzy?

– Skąd miałbyś cokolwiek wiedzieć, skoro nigdy cię nie ma.

– Anno, bądź tak dobra i podaj mi wątróbkę! – poprosił tatuś.

– Nie lubisz wątróbki – mruknęła pod nosem Karna.

– To prawda, ale dziś zamierzam spróbować przełknąć i jedno, i drugie.

Rozdział szesnasty

Pewnego dnia parowiec przywiózł do Strandstedet chudego, ubranego na czarno mężczyznę. Jego pierwsza młodość dawno już przeminęła. Włosy miał białe, a gładko ogolona twarz była ogorzała od słońca. Niebieskie, skierowane do wewnątrz spojrzenie nadawało mu wrażenie nieobecnego. Jakby nie do końca wiedział, gdzie się znajduje.

Ludzie stojący na przystani w lekkiej mżawce pochylali ku sobie głowy i się dziwowali. Kim był ten człowiek? Niektórym wydawało się, że go znają, ale nie potrafili sobie przypomnieć, skąd.

Mężczyzna robił wrażenie odpychającego, budził wręcz przestrah. Sam zniósł na ląd walizkę i torbę podróżną, a potem zapytał woźnicę, czy daleko jest do hotelu Grand.

– Nie, niedaleko, ale mogę pana podwieźć.

Człowiek poprosił o zabranie tylko bagażu. Ale on sam zamierzał się przejść.

– Kosztuje tyle samo, jeśli pan też wsiądzie.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, woźnica ruszył, a obcy wolnym krokiem poszedł za nim.

Dwóch chłopców przyłączyło się, żeby go wypytać. Jednak mężczyzna nie był rozmowny. Nie, nie pochodził stąd. Nie, nie

wiedział, jak długo zostanie. Był tylko przejazdem. To wszystko.

*

Odziany na czarno człowiek pokonał siedem stopni wiodących do drzwi i zastukał kołatką.

Ależ tak, mieli wolny pokój. O ile nie przeszkadzało mu wdrapywanie się na mansardę. Pokoje tam też były bardzo porządne. Chodziło tylko o te schody.

Nie miał nic przeciwko schodom. Ale chętnie zamówiłby posiłek do pokoju. Kanapki i mocną kawę. I ciepłą wodę do mycia.

Dano mu klucz i wskazano drogę, ale swoje bagaże chciał zanieść sam. Dziewczyna dostała jednak kilka øre za swój trud.

Kiedy został sam w pokoju, otworzył okno i stanąwszy przy nim, przyglądał się osadzie i portowi.

Dwie kobiety szły w górę drogą. Jedna z nich miała na głowie kapelusz z szerokim rondem. Kiedy zbliżyły się do budynku, jego uszu dobiegł dość niski głos jednej z nich.

Powoli odsunął się od okna.

Zapukała dziewczyna z jedzeniem i kawą. Czy będzie potrzebował czegoś jeszcze, zanim zamkną kuchnię na noc?

Nie, podziękował, nic mi nie trzeba. Ale chciał wiedzieć, czy jeśli pójdzie na wieczorną przechadzkę, to drzwi będą zamknięte, gdy wróci.

Ależ skąd, nie ryglowali drzwi przed nikim. Gdyby główne drzwi były przypadkiem zamknięte, niech skorzysta z wejścia przez kuchnię. Dalej wystarczy przejść przez spiżarnię i znajdzie się w korytarzu hotelowym.

Stał w samej koszuli i rozpiętej kamizelce. Dobrze zbudowany, ale nie jak robotnik.

– Macie dużo gości?

– Ośmioro. A w czwartek będzie komplet. Ale dla pana również jest miejsce. Jeśli zostanie pan na tyle długo.

– Jeszcze nie wiem. A w takim wypadku, czy mógłbym dostać większy stół przy oknie? Do pracy.

Być może mógłby dostać pokój szczytowy na pierwszym piętrze. Tam był większy stół. Zaraz to sprawdzi.

Ależ nie trzeba, bardzo dobrze było mu tu, gdzie teraz. Ten widok. Może sam wnieść sobie stół po schodach.

Dziewczyna obiecała zrobić, co w jej mocy. Na pewno kwestia stołu była do rozwiązania. Ale co to takiego miała powiedzieć? Ach tak, zapomniała, że powinna go wpisać do książki gości. Kogo miała zarejestrować?

– Wpiszę się sam jutro przy śniadaniu – rzekł.

Dziewczyna dygnęła z zakłopotaniem.

Czerwiec! Nie było co czekać na zmierzch. Nie tutaj.

Gdzieś z głębi budynku dobiegł go dźwięk wiolonczeli. Otworzył drzwi, żeby lepiej słyszeć, ale zamknął je ponownie.

Kiedy zapadła cisza, włożył płaszcz i zszedł po schodach. Czuł, jakby chciał uniknąć jakiegokolwiek spotkania.

– A więc nie chciał się wpisać? Nie przedstawił się?

– Powiedział, że zrobi to jutro.

– Musimy wiedzieć, kogo mamy w hotelu.

– Widziałam, jak wychodził. Mam tu poczekać, żeby zarejestrował się w drodze powrotnej?

– Nie. Idź już spać. Ale poproś Bergljot, żeby dopilnowała, aby zapłacił przed odjazdem. Bezimienni goście nie są najlepszymi kredytobiorcami.

Niecierpliwym ruchem dłoni wskazała dziewczynie, że ma wyjść z pokoju.

*

Część prywatna składała się z dwóch pokoi na pierwszym piętrze. Salonu i sypialni oddzielonych od siebie drzwiami. Okna salonu wychodziły na port i drogę.

Zobaczyła go, jak wracał. Wysoka, nieco przygarbiona sylwetka mężczyzny przypominała jej kogoś, kogo nie potrafiła umiejscowić. Twarz miał osłoniętą kapeluszem.

Siedziała przed otwartym oknem i paliła, jednocześnie śledząc go wzrokiem. W jego sposobie poruszania się było coś znajomego.

Jakub? Czy to on? Gdzieś w głowie coś ją ostrzegało. Nie tyle przed widokiem Jakuba. Ale przed faktem, że ten mężczyzna należał do rzeczywistego świata. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej rzeczywistego.

Zaczęła drżeć. Zdusiła cygaro i wyprostowała się, żeby lepiej widzieć. Kiedy znalazł się tuż pod oknem, wzięła oddech, żeby powiedzieć, że zaraz mu otworzy. Ale nie zdobyła się nawet na jedno słowo.

Zobaczył ją. Zdjął kapelusz i spojrzał w górę.

Wtedy go rozpoznała.

*

Spotkali się w półmroku korytarza.

Co można powiedzieć po tylu latach?

Nikt ich nie widział. Nikt się nie dziwował. To pewnie dlatego oboje zapomnieli przywitać się tak, jak by tego oczekiwano.

Stał przez chwilę z kapeluszem w dłoni, mierząc ją wzrokiem. Potem skinął głową i zaczął iść w górę po schodach.

Poszła za nim.

Kiedy chciał ruszyć dalej, na mansardę, bez słowa ujęła go za ramię. Gestem głowy wskazała mu drzwi do prywatnej części.

Z wahaniem wszedł do środka. Jakby właśnie obudził się ze snu i zauważył, że znalazł się w innym miejscu niż to, w którym zasnął.

Zamknęła za nimi drzwi.

Znad Vågen dobiegł energiczny dźwięk gwizdka okrętowego. Potem wszystko ucichło. Stali, przyglądając się sobie nawzajem jak więźniowie, którzy przypadkowo spotkali się w jednej celi. On z tym swoim nieobecny wyrazem twarzy. Ona w skupieniu. Można było odnieść wrażenie, że znalazła praktyczne rozwiązanie kwestii tego milczenia, chcąc wziąć od niego płaszcz.

Powoli zdjął go z siebie. Ruchami takimi, jakby napędzał go mechanizm zegarka.

Otworzyła sypialnię i położyła ubranie na łóżku. Drzwi pozostawiła uchylone.

Pomyślał sobie, że zachowała swoje dawne obyczaje z Reinsnes i nadal korzystała z sypialni do wszystkich możliwych celów. Dzisiaj to był jego płaszcz? Być może nic się nie zmieniła? Była tylko starsza.

Ciągle jeszcze się nie przywitani. Teraz i tak było już za późno.

Rozejrzał się po pokoju.

W kącie pomieszczenia stały dwie wiolonczele. Jedna w futerale. Poza tym było tam kilka mebli w stylu biedermeier. Sofa i cztery krzesła, sekretarzyk z nadstawką z szufladami oraz półka na książki. Przy jednym z okien stał stolik palarniany i dwa głębokie, miętko obite fotele z podnóżkami.

Po obu stronach sekretarzyka wisiały obrazy. Jeden przedstawiał piękną, ciemnowłosą kobietę o łagodnym wyrazie twarzy. Stała, przytrzymując się zwojów rozwieszonych sieci, i wpatrywała się w niego.

Na drugim obrazie otoczona poświatą delikatnej zieleni siedziała

naga, młoda dziewczyna z białą wionoczelą. Podeszedł bliżej i odczytał z tabliczki tytuł: *Dziecko kojące swój smutek*.

Nad sofą wisiał obraz, na którym widniało wielkie drzewo, rzucające cień na młodego mężczyznę, który idąc pod światło, orał czarną ziemię.

– Osiadłaś w Strandstedet? Prowadzisz hotel i stocznię? – zapytał.

– A ty wróciłeś do domu z Ameryki?

Skinał głową. Jej głos nic się nie zmienił. Jakby nie używała go od ich ostatniego spotkania. Jak gdyby przez lata leżał nietknięty w opakowaniu i wzniósł się teraz z tą samą dźwięcznością, co w owych czasach. Głęboki, natarczywy.

Podeszła do barku, wyjęła dwa kieliszki i karafkę. Nalała, nie pytając, czego by chciał. Przyjął z uprzejmym ukłonem.

Potem stanęli kilka kroków od siebie z uniesionymi kieliszkami. Miejsca było dość.

– Madera? – zapytał.

– Madera. Smakuje ci?

– Tak.

– Witaj!

– Dziękuję!

Wykonała nieokreślony ruch dłonią, a on usiadł. Nie przy oknie, gdzie wskazała mu miejsce. Tylko na sofie. W głębi pokoju.

Poszła za nim. Usiadła na krześle dokładnie naprzeciwko.

Spodziewał się, że zapyta, dlaczego nie przysłał telegramu albo listu z informacją o swoim przyjeździe. Ale nie zrobiła tego. Więc zapewne oczekiwała na wyjaśnienie bez zadawania pytań?

– Reinsnes? – spytał bez zbędnych wstępów.

Zobaczył, że spodziewała się tego. Odpowiedziała szybko.

– Reinsnes przejął Beniamin.

Patrząc w swój kieliszek, odstawił go na stół.

– Dostałeś informację od radcy? Nie byłam pewna adresu – kontynuowała.

– Tak, otrzymałem pismo.

Był pewien, że wyrazi nadzieję, że spadek został rozliczony sprawiedliwie, skoro nie złożył protestu. Ale nie powiedziała nic takiego.

– Ale nie prowadzi gospodarstwa?

– Nie, jest lekarzem okręgowym. Może już to wiesz?

Skinął głową. Starał się wyobrazić sobie jej myśli, ale nie był w stanie.

– Reinsnes nie ma przyszłości?

– Obecnie na to wygląda. Jednak sprawy mogą się zmienić. Skoro pytasz, to pewnie masz jakiś powód?

– Chciałbym prosić o możliwość zamieszkania tam na pewien czas. Bez opłat.

Widział, jak bije się z myślami. Jej pracujące źrenice, nozdrza, drobne poruszenia ust.

– Beniamin na pewno będzie z tego zadowolony. Niedobrze, jak dom stoi pusty.

– Chciałem najpierw zapytać ciebie.

– Rozumiem.

– Naprawdę? – zadał pytanie.

Przyglądała mu się uważnie.

– Nie, być może wcale nie rozumiem.

A zatem na swój sposób się przyznała. Nigdy nie zrobiłaby tego w czasach, kiedy ją ostatnio widział.

Zmieniła temat, jakby czytając w jego myślach.

– Dobrze wyglądasz.

– Dziękuję i nawzajem. Czas się ciebie nie ima.

Czuł ulgę, że rozmowa przybrała inny kierunek. Poza tym naprawdę tak myślał. Kiedyś nie miał odwagi na nią spojrzeć. Bał się, że go zniewoli. Tak niewiele było do tego potrzeba. A potem stała mu się taka bliska.

Gdy tak siedzieli w milczeniu, poczuł jej łagodność. Czy to wiek ją przyniósł?

– Stine napisała z Wisconsin, że byłeś tam pastorem?

– Kilka lat. Ale nie w ostatnim czasie.

– Ach tak?

– Zawód pastora nie był w zasadzie moim wyborem.

– To prawda, raczej twojej matki, o ile dobrze pamiętam?

– Dobrze pamiętasz.

Znowu zapadła cisza. Uniosła kieliszek i skinęła głową. Zrobił to samo.

– Stine pisała, że byłeś bardzo poważany w społeczności kościelnej.

– Ach, tak.

– A jednak zrezygnowałeś?

– Wyjechałem do Minneapolis. Nauczałem tam wśród Norwegów. Sprzedawałem ubezpieczenia od pożaru.

Wydała z siebie dźwięk sugerujący zaskoczenie.

Zaśmiał się. Ale bez zakłopotania.

– A teraz chcesz pojechać do domu do Reinsnes i zobaczyć, co mógłbyś tam robić?

– Nie – odrzekł spokojnie.

– A więc?

– Gdybym teraz był właścicielem Reinsnes, to uznałbym pewnie

za swoją winę, że gospodarstwo leży odłogiem. Cieszę się, że to mnie omija. Ale nadal mogę pozwolić sobie na pochodzenie własnymi śladami.

– To prawda. Też tak robiłam.

– Urządzałaś się tutaj od nowa. O interesach wiem już co nieco. Przygotowujesz Strandstedet na spotkanie nowych czasów? Nieźle ci to idzie.

– To zbyt wielkie słowa, Johanie.

– Ależ dlaczego?

Sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, sprawił, że musiał opuścić wzrok. Może była równie samotna jak on?

– Nowe czasy nie są łaskawe dla Reinsnes. Beniamin wydzierżawił ziemię i oborę. Od zewnątrz budynki wyglądają tak jak zawsze. Ale nikt tam nie mieszka. Dbamy, żeby nie było przecieków, i trzymamy wszystko zamknięte. Od czasu do czasu tam jeździmy. Wszyscy razem albo tak, jak akurat pasuje. Głównie latem.

W tym momencie zrobiła przerwę i upiła łyk ze swojego kieliszka, a potem kontynuowała.

– Pewnie chciałbyś pojechać tam jak najszybciej?

– Jeśli to nie kłopot?

– Poproszę kogoś, żeby cię zawiózł.

– Popłyniesz ze mną?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Jeśli poczekaś kilka dni, to pošlę dziewczynę, żeby trochę wszystko przygotowała. Wiesz, jak to jest z pustym domem.

– Nie.

– Nie?

– Tylko ty i ja.

Dostrzegł, że udało mu się zbić ją z tropu. Ale tylko na moment.

– Ach, więc tak wolisz. Wobec tego poproszę służącą, żeby po zrobieniu co trzeba wróciła do domu.

Jej uśmiech nie był niczym więcej niż skurczem mięśni. Było jasne, że nadal nie pozwala sobie rozkazywać. I nie zadała mu pytania, co ma na myśli.

– Dziękuję! – odrzekł, spoglądając na wyjęty z kieszeni zegarek. Należał kiedyś do Jakuba. Potem opróżnił kieliszek i wstał.

Już przy drzwiach przypomniał sobie o ubraniach położonych na łóżku. Ale nie poprosił o nie. Ona o nich nie wspomniała. Pozwoli mu wyjść bez płaszcza?

Jednak gdy trzymał już dłoń na klamce, zapytała lekko:

– Twój płaszcz?

– Właśnie?

Skinęła głową w stronę sypialni.

Czekał, ale nie zrobiła żadnego ruchu, który wskazywałby, że zamierza go przynieść.

– Ach, prawda – zgodził się, puszczając klamkę.

Rodzaj zemsty czy dawne opętanie? Nie wiedział. Udając, że chce przynieść płaszcz, podszedł do niej. Objął ją wpół i pociągnął za sobą do sypialni. W sposób, na jaki mężczyzna może sobie pozwolić tylko wtedy, gdy nie ma absolutnie nic do stracenia.

Zaskoczył ją. Pozwoliła się poprowadzić. W stronę płaszcza o amerykańskim kroju. Z dużym kołnierzem. I kapelusza.

Ostatnio to ona prowadziła w tym tańcu? Teraz role się odwróciły. W tej samej chwili poczuł zapach. Inny niż pamiętał. Nie taki pierwotny. Bardziej cywilizowany. Świat i schodzone drogi zostawiły swoje ślady.

Delikatnie wyzwoliła się z jego uścisku. Położyła mu dłoń na

ramieniu i go odsunęła. Bez niechęci. Raczej z sugestią, że jest zbyt blisko. Od kiedy to ona pozwalała sobie na niedomówienia?

Wziął płaszcz i kapelusz. Przechodząc z powrotem przez salon, rozejrzał się dookoła. Jakby oceniając.

– Masz piękny pokój. Dziękuję za poczęstunek! Dobranoc, Dino!

*

Beniamin wyszedł Sarze na spotkanie. Właśnie nadarzyła się okazja.

– Dzień dobry! – rzekł wesoło i przyłączył się do niej, ruszając w tym samym kierunku. Wziął jej koszyk i zapytał, jak się ma.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Dziękuję, że pytasz! Dobrze! Czy nie szedłeś w przeciwną stronę?

– Tamto może poczekać. A tutaj na górce? Jak się sprawy mają?
– zapytał.

– Ona jest głównie w domu, a wtedy wszystko jest dobrze – odparła. Ale zauważył jej rozpacz.

– Co możemy zrobić? – spytał cicho.

Ktoś ich minął.

– Skoro Dina nie dała rady jej z tego wyciągnąć, to już sama nie wiem... Czasami mam wrażenie, że ona po prostu się poddała.

– A on?

– On nie ma już tyle animuszu, odkąd stracił stocznię. Ale przez chwilę dał Hannie spokój.

– Powiesz nam, jak coś się będzie działo?

– Tak, jeśli uda mi się wymknąć. Ale wiesz, wtedy często jest już za późno.

Skinął głową.

– A ty? – zapytał.

– Niby ja? Ja też prawie nigdzie nie wychodzę. Mnie również pilnuje. Gdyby tylko coś mu się wreszcie udało, to pewnie byłby w lepszym humorze.

Zatrzymał się i podał jej koszyk. Potem długo stał, patrząc za nią, jak szła pod górę, utykając.

*

Anna wysłała pocztą list do Hanny i Wilfreda Olaisenów. Zapytała w nim, czy mogliby wspólnie spędzić w Reinsnes noc świętojańską. Obie rodziny. Poprosiła o to gorąco. Wspomniała, jak kłopotliwa jest ich nieprzyjaźń dla młodych ludzi. Karny i Pедера. Czy mogłaby ich najpierw zaprosić do doktorówki w któryś wieczór? Byliby tylko we czworo? List został wysłany na ręce Wilfreda. Żadna odpowiedź nie nadeszła.

Tylko z rzadka widywała Hanneę. Zarówno ekspedientka, jak i szwaczka dostały wypowiedzenie. Story w oknie salonu niemal zawsze były spuszczone. W słoneczne dni przez pożółkłą roletę można było zobaczyć szyld głoszący „witamy!”. Ale był nieaktualny.

Olaisen zmienił się we własny cień. Nadal jednak chadzał na spotkania redakcyjne. Od czasu do czasu wybierał się na przystań, żeby spotkać kogoś przybywającego w interesach. Ale sam rzadko wypływał którąś ze swoich łodzi. Ktoś słyszał, że ma biuro w jednym z salonów w domu.

Beniamin myślał sobie, że w ten sposób zawsze tam jest i sprawuje kontrolę. Nie słyhać było więcej pogłosek o biciu. Ale z drugiej strony nic dobrego też się o nim nie mówiło. Ludzie omijali Olaisena w milczeniu.

*

Zamiast tego zaczęli uważnie przyglądać się Johanowi

Grøneltowi. Który wrócił do domu z wielkiego świata.

Beniamin z trudem go rozpoznał. Zapamiętał Johana inaczej, niż ten teraz wyglądał. Czuł się skonsternowany. To prawda, że korespondowali, kiedy Beniamin mieszkał w Kopenhadze. Ale żeby człowiek do tego stopnia zapomniał, że jest osobą duchowną, żeby nabrać nawet poczucia humoru!

Anna natomiast nie dziwiła się niczemu. Chyba wreszcie miała z kim porozmawiać. Beniamin powtarzał sobie, że to najlepsze, co mogło się zdarzyć. Ale kiedy niemal każdego dnia zaczął natrafiać w salonie na Annę i Johana pogrążonych w ożywionej dyskusji, musiał przyznać sam przed sobą, że to trochę zbyt wiele.

– Wyczuwa się, że ten człowiek od dość młodych lat przebywa z dala od domu – rzekła Anna pewnego wieczoru po wyjściu gościa.

– Masz na myśli, w odróżnieniu od niektórych innych, którzy powrócili w rodzinne pielesze? – zapytał ironicznie Beniamin.

– Nie, nie to miałam na myśli – odparła, przyglądając mu się uważnie.

– Ach tak. Kiedyś był koszmarnym moralistą.

– Trudno to sobie wyobrazić. Może to ty byłeś zbyt młody, żeby go zrozumieć?

– Być może? Albo się poprawił – odparł z lekkością.

Nie odpowiedziała.

– Miło, że go lubisz – kontynuował i pogładził ją po policzku.

– A ty nie?

– Muszę najpierw pozbyć się tego i owego.

– Czego?

– Nie wiem.

– Czy nie mógłbyś dać mu szansy na bycie tym człowiekiem, którym jest obecnie?

- Ależ oczywiście – odparł, podnosząc się, żeby pójść spać.
- Obiecał mi, że pójdzie do Olaisenów z pozdrowieniami od Stine i Tomasza.
- Ach tak?
- Ktoś musi coś zrobić.
- Dla kogo?
- Dla nich obojga. Dla dzieci. Są nieszczęśliwi i wyrzuceni poza nawias.
- Olaisen przecież chce być wyrzutkiem.
- Nikt tego nie chce, Beniaminie.
- Tak, zapewne masz rację. Jak zawsze – rzekł, obejmując ją, a potem ruszyli schodami w górę.

*

Najwyraźniej przyzwyczał się do prowadzenia krótkich rozmów, które kończył najbardziej pokojowo, jak potrafił. Dla świętego spokoju. Dobrze było wiedzieć, co człowieka czeka po powrocie do domu.

Zdarzało się, iż przystawał z uczuciem, że życie ucieka mu w wielkim pędzie. Ale te chwile nie trwały długo. Musiał starać się nadążyć.

Anna prawie zawsze była w innym miejscu. Nawet kiedy siedzieli w tym samym pokoju. Tamtego razu, gdy wyskoczyła z okna, na swój sposób go obudziła. Ale po chwili znowu wszystko było po staremu. Codzienne obowiązki. Plany związane z przyszłością Karny. A w ostatnim czasie: Johan.

I ta cała reszta. Hanna. Że nie powiedział Annie tego, co wiedziała nawet Karna. Że wtedy był u Hanny. Od czasu do czasu, kiedy siedzieli razem w gabinecie, był o krok od zwierzenia. Ale co gdyby nie dała mu wiary?

Nawet ból jakby przysechł. Czuł się pusty, nie mając odwagi spotykać się z Hanną. W chwilach jasności umysłu przeżuwał słowo „zdrada”. Ale odsuwał je. Cóż mógł zrobić? Nie pogarszając zarazem wszystkiego?

Kiedy pojął, że Anna poważnie mówi o wyjeździe do Kopenhagi, pierwszą myślą było pojechanie z nią. Ale co miałyby tam robić? Siedzieć w mieszkaniu swoich teściów w upalne dni? A może w ich letnim domku? Skazany na matkę Anny?

Nie, to tylko popsułoby Annie wszystkie zamiary. A może jednak nie ze względu na Annę tak myślał? Może przeciwnie, chciał poczuć, jak to jest, kiedy oczy Anny nie śledzą uważnie jego ruchów? Przynajmniej powiedział: Ależ oczywiście jedź, kochanie!

Kiedy próbowała go namówić, usprawiedliwiał się. Rada okręgu planowała ważne spotkania. Raport dla komisji sanitarnej. Plany dotyczące mleczarni w Strandstedet. No i fakt, że osada zostałaby pozbawiona lekarza.

Pewnego zimowego dnia pojechali z Anną do Reinsnes sprawdzić stan budynków. Zauważył wtedy zapomniany na parapecie kieliszek z szampanem. Pozostałość lata.

Anna zaniósła kieliszek do kuchni. Umyła go dokładnie i postawiła w spizarni. Później nie można już było odróżnić go od pozostałych, ustawionych w równych rzędkach.

Nie mógł odpędzić widoku zapomnianego kieliszka. Kiedy napalili już w piecu i położyli się do łóżka, brakowało mu go. Kochali się i było im dobrze. A mimo to leżał i rozmyślał.

A więc to takie stało się ich wspólne życie? Jak zawartość kieliszka z szampanem, zapomnianego przez kogoś w opuszczonym domu. Najpierw pianka i bąbelki przez tę szczęśliwą chwilę nalewania z butelki. Ale ludzie zniknęli, nie wypijając do dna. Po

jakimś czasie zawartość stała się jak letnia woda. Złotawy płyn powoli odparowywał. W końcu kieliszek stał zakurzony, pełen wspomnień po wyschniętej zawartości. Tylko samotny ślad po odcisniętych ustach na brzeżku i nieco osadu na dnie przypominało o tym, co niegdyś istniało.

Nawet pożądaniu nie mógł ufać. Od czasu do czasu napotykając spojrzenie Anny, rozumiał, że go prowokuje. Tak jak wtedy, kiedy wskoczyła w śnieg.

A co on zrobił? Wyszedł. Do świata starych, nudnych mężczyzn. Gdzie, kurwa, zniknęła namiętność?

Może Anna miała rację w tym, co powiedziała wtedy w gabinecie, a co usłyszały Karna i Dina. Czy racjonował miłość? Czy to właśnie powracało do niego i raniło?

Pozostał z niego już tylko przewodniczący. Zmusił się, żeby podołać tej roli. Stał się kimś, na kogo wszyscy patrzyli, kogo słuchali. Komu wierzyli.

*

Karna nie była pewna, co ma sądzić o Johanie. Pojawił się przecież ni z tego, ni z owego. Więc pewnie niedługo wyjedzie. Dokładnie tak jak Aksel.

Pamiętała, że jeśli tatuś wspominał Johana jeszcze przed jego przyjazdem, robił to albo z lekceważeniem, albo z lekką irytacją. Nigdy nie słyszała, żeby babcia o nim mówiła. Karna musiała przyznać, że trudno było nie lubić Johana. Chociaż zauważyła, że tatuś odnosił się do niego z rezerwą. Może dlatego, że wiedział, iż w gruncie rzeczy nie są spokrewnieni. Gdyż tylko z ksiąg kościelnych wynikało, że obaj są synami Jakuba.

Ale Anna chyba lubiła Johana. Zapraszała go na obiady i grała dla niego już za pierwszym razem, kiedy spotkali się u babci.

Babcia tylko siedziała i się przyglądała. To było bardzo dziwne. Kiedy Karna ją zapytała, jak długo zostanie ten Johan, odpowiedziała, że wkrótce wyjeżdża do Reinsnes.

– Sam? – zapytała zdumiona Karna.

– Tak, chce tam żyć jak pustelnik – odparła babcia. I nic nie wskazywało na to, że żartuje.

Ale Karna miała w sumie dość spraw do przemyślenia. Bo Peder i ona nie mieli zostać rozdzieleni, tylko pojechać razem do Bergen. On miał chodzić pobierać nauki w stoczni Georgernsów, a ona w szkole dla dziewcząt.

Babcia stwierdziła, że w niedziele będą mogli chodzić na spacery wzdłuż brzegu morza. Karna musiała jednak zwracać uwagę na właściwe zachowanie, żeby nie odesłano jej do domu. W Bergen młode dziewczęta nie miały tyle swobody, co w Strandstedet.

A gdyby wysłano ją do domu, Peder zostałby przecież sam. Bo miał nauczyć się budować łodzie w stoczni babci.

Peder był jedyną osobą na świecie, o której warto było myśleć.

*

Dwa tygodnie po przyjeździe Johana babcia posłała do Reinsnes dwie służące. Firanki i meble miały zostać wyprane, dom i wszystkie inne budynki wysprzątane, przewietrzone i przygotowane do zamieszkania.

– Przeprowadza się do rodzinnej siedziby – stwierdziła babcia.

On sam mawiał, że jedzie do klasztoru. Ale cieszyłby się, gdyby do niego przyjeżdżali. Wszyscy! Najchętniej razem. Jeśli tylko będą się czuć jak u siebie i zajmować sami sobą.

Anna obiecała odwiedzić go, zanim wyjedzie do Kopenhagi. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy wszyscy razem spotkali się w Reinsnes. Cieszyła się na tę myśl.

Potem zaczęli rozmawiać o rodzinie Olaisenów. Anna zapytała Johana o radę. Co należy zrobić, żeby zażegnać nieprzyjaźń. Hanna przecież też stanowiła część Reinsnes.

– Prawda, Beniaminie? – zapytała Anna.

– Oczywiście – odparł tatuś. Zachowywał się zupełnie zwyczajnie. A jednak Karna zrobiła się czujna.

*

Dzień przed wyjazdem Johana do Reinsnes Dina wydała na jego cześć obiad. Karna zapytała, czy Peder również mógłby przyjść.

– Nie tym razem – odrzekła babcia i sprawiała wrażenie, jakby coś knuła.

– Dlaczego nie? – zapytała prosząco Karna.

– Chcę mu oszczędzić słuchania naszych rozmów o jego bracie – wyjaśniła babcia.

I w ten sposób sprawa została rozstrzygnięta.

Kiedy po obiedzie siedzieli już w części prywatnej, babcia faktycznie zaczęła mówić o rodzinie Olaisenów.

– Johan sprostał wyznaczonemu przez ciebie, Anno, zadaniu! Przekonał Wilfreda i Hanne, którzy obiecali przyjechać do Reinsnes.

Anna uśmiechnęła się i powiedziała, że to wspaniale. Tatuś wyglądał, jakby nic nie zrozumiał. Nalał koniaku tylko sobie.

– Jak ci się to udało? – zdziwiła się Anna.

– Nie było w tym nic trudnego. Zaprosiłem ich do Reinsnes, to wszystko.

– Czy wspomniałeś, że my też przyjedziemy? – zapytała Karna.

– Tak.

– Ale co wcześniej mówiłeś? – spytała z ożywieniem Anna.

– Przedtem długo rozmawiałem z Hanną i Wilfredem Olaisenem

o Stine, Tomaszu i Ameryce. Z Isaka wyrósł wspaniały młody człowiek. Potem wspomniałem, że nie wiem, jak to będzie mieszkać samotnie w Reinsnes, i że chętnie przyjmę każde odwiedziny. I że wy planujecie obchodzić tam noc świętojańską, ale że jest mnóstwo miejsca i starczy dla wszystkich. Że tak powiem, nie wspomniałem, że wiem o waszym poróżnieniu się.

– Brzmi, jakbyś uzyskał w tym pomoc od Najwyższego – stwierdził tatuś. Coś było nie tak z jego głosem.

– Bardzo możliwe. Ale ta pomoc jest równie dobra jak każda inna – uśmiechnął się lekko Johan.

– Każdy musi coś z siebie dać, żeby nie było niemiłej atmosfery i awantur. Nie sądzę, żeby miała się nadarzyć kolejna okazja do naprawienia tego wszystkiego – rzekła babcia.

– Jakie było twoje odczucie co do niego? Co on myśli? – zapytała Anna.

– Ten człowiek był... nie wiem wprawdzie, jaki był kiedyś, ale teraz wydawał się zdruzgotany. Może to nie jest wcale dziwne? – rzekł Johan, patrząc na wszystkich po kolei.

– Czy informowałeś Johana, jak to wszystko się zaczęło? – zapytała babcia tatusia.

– Nie, uznałem, że powinien poznać Wilfreda, nie sugerując się tym, o co jest oskarżany. I miałem rację. To zadziało.

– No cóż. Zadanie zostało już wykonane. O co oskarżacie tego człowieka? – zapytał Johan.

Początkowo nikt mu nie odpowiedział, a potem Anna rzekła:

– Olaisen bije Hannę.

– Dlaczego?

– Na przykład kiedy Dina wycofała się ze wspólnego przedsięwzięcia, co spowodowało jego upadłość, albo kiedy ja

dostałem więcej głosów niż on i zostałem przewodniczącym okręgu – odrzekł pospiesznie tatuś.

Johan sprawiał wrażenie, jakby się nad tym zastanawiał, ale nic nie powiedział.

– Nie powinniście uważać, że o tym zapomniał, nawet jeśli chce się przyjaźnić z Johanem – powiedziała Karna.

– Noc świętojańska może okazać się w tym roku ciężką harową – stwierdził tatuś na swój suchy sposób.

– Nie, o ile każdy postara się, aby tak nie było – odparła zdecydowanie Anna.

– To eksperyment. I można się z niego wycofać w każdej chwili – rzekła babcia, gasząc cygaro.

*

Anna siedziała i szczotkowała włosy. Beniamin leżał już w łóżku i się jej przyglądał.

– Czy sądzisz, że Johan przyjechał, żeby zgłosić swoje prawa do Reinsnes? – zapytała, patrząc na niego w lustrze.

– No cóż, tego nie wiem. Przecież w sumie nie ma takich praw. Zaakceptował podział spadku i sposób jego rozliczenia.

– Mam wrażenie, że Johan do niczego nie zgłaszałyby roszczeń. On chyba nie jest z tych – stwierdziła.

– W kwestiach spadku wszystko może się zdarzyć.

– A jakie w takim wypadku zajmiesz stanowisko?

– Zaproponuję mu ugodę. Ale nie mogę zrezygnować z dziedzictwa Karny.

– Sądzisz, że będzie chciała prowadzić gospodarstwo w Reinsnes?

– Trudno to sobie wyobrazić.

– Ale w takim wypadku niech on je przejmie, jeśli tego chce?

– W takim wypadku musi porozmawiać z Karną, kiedy ona

będzie już w odpowiednim wieku – odrzekł krótko.

– Nie jesteś zły, że o tym wspomniałam? – zapytała.

– Nie, ale mam dosyć tych wszystkich konfliktów.

– Właśnie to mamy przecież naprawić? W noc świętojańską!

– Chciałbym, żebyśmy mogli pojechać tylko we dwoje – mruknął.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

Odłożyła szczotkę do włosów i wpełzła do niego do łóżka.

– Pojedź ze mną. Teraz! – szepnęła, wsuwając dłonie pod jego koszulę.

Zaśmiał się i ściągnął ją z siebie. W tym samym momencie poczuł namiętną tęsknotę za Anną. Dawną, namiętną tęsknotę.

Rozdział siedemnasty

Zauważył łódź na długo, zanim wpłynęła do przystani, więc oczekiwał już na nią przy pomocy.

– Ostro żeglujesz! – powiedział z uznaniem.

– Z żeglowaniem jest jak z uprawianiem miłości. Jak już poczujesz, że fala cię niesie, trudno jest przestać.

Zeskoczyła na ląd.

Wspólnie złapali łódź i wciągnęli ją na omszałe kłody. Niecodziennie teraz ktoś zawijał do Reinsnes.

– Przyjechałaś sama?

– Powiedziałeś przecież wyraźnie, że tak chcesz – odparła, kiedy odzyskała już oddech.

Wyprostowała się i położywszy dłonie na biodrach, odgięła się w tył. Jakby chciała zapanować nad ciałem.

Błękitna chustka osłaniająca głowę opadła jej na ramiona. Siwiejące, ciemne włosy rozsypały się wokół twarzy.

On również się wyprostował. Stał i patrzył na nią. Jakby nie rozumiał znaczenia jej słów i w związku z tym oczekiwał wyjaśnienia.

– Widziałem, że miałaś dobrą falę – stwierdził ze śmiechem.

– Tak, prućam szybko do przodu. Tylko tak cholernie

zesztywniałam – powiedziała, rozciągając ponownie plecy.

– Co porabiasz? – zapytała, kiedy niosąc między sobą jej wyplataną walizkę, szli drogą ku domostwom.

– Czytam. I piszę.

Zadowolila się tą odpowiedzią i więcej nie pytała. W połowie drogi się zatrzymała. Słońce przedarło się przez chmury. Zwróciła ku niemu twarz i przymknęła oczy.

– A jak idzie życie zakonne? Wszystko dobrze?

– Nie przez cały czas – odparł i się zaśmiał.

Pola pokryte były zielenią, a wszystko tego roku pięknie roślo. Dzierżawca miał własne gospodarstwo głębiej w cieśninie. Obora świeciła pustkami, a robotnicy sezonowi jeszcze długo nie mieli się tu pojawić. Podczas żniw zazwyczaj mieszkali w izbie czeladnej. Siano zwożono w trakcie zimy saniami.

Opowiadała, że jesienią zdarzało jej się wchodzić na poddasze stodoły i skakać po sianie. Ostatnio w zeszłym roku razem z Karną. Oczywiście było to surowo zabronione. Zarówno teraz, jak i kiedyś. Wracały potem do domu, kipiąc radością. Jeśli ktoś pytał, gdzie były, odpowiadały wymijająco. Miały tajemnicę. Pachniała suszonym na słońcu sianem.

Stali teraz, rozglądając się po podwórzu. On uśmiechnięty, ona poważna. Uderzyła ich wszechobecna pustka. W widocznych w oddali przystaniach przy nabrzeżu, w głównym domu, w oborze, we wszystkich pozostałych budynkach, dużych i małych. W alei i zarośniętym ogrodzie. W pozbawionym życia gołębniku.

– Jak to było dla ciebie wrócić tutaj? – chciała wiedzieć.

– Jakoś dałem sobie radę. Wszystko było przecież pomalowane i zadbane. Znalazłem w oborze kosę oraz osełkę i skosiłem trawę wokół domu. Nigdy wcześniej nie robiłem tego w Reinsnes. Ale

w Ameryce owszem.

Wąska, świeżo wykoszona ścieżka okrążała dom i wiła się ku przystani. Żwirowa droga zarosła.

– Nigdy nie nauczyłem się żeglować – rzekł nagle.

– Jest w tym wolność. W kielznaniu wiatru. Ale nie umiem pływać w burzliwą pogodę.

– A próbowałaś? – zapytał.

– Nie wiem, co mam na to odpowiedzieć – odparła, rzucając mu szybkie spojrzenie.

– Czy odnowienie budynków nie było bezsensowne, skoro nikt tu nie mieszka? – spytał, kiedy wchodzili do środka.

– Nie, jeśli mam tu przyjeżdżać.

W każdej izbie czuło się pustkę. Żadnych oparów, woni jedzenia i cygar. Brak zapachu ludzi. Pustka panowała również w kuchni. Chociaż to właśnie tam głównie spędzał czas. Zabrał fotel z salonu i postawił go sobie przy piecu.

Palenie chrustem nie wystarczało, aby stworzyć wrażenie, że dom jest zamieszkały. Szafki pachniały szarym mydłem i czystą zastawą, a w korytarzu na poddaszu czuło się woń lawendy i kulek na mole. Od sali sypialnej trzymał się jak najdalej. Za dużo tam było duchów.

Siedzieli przy stole kuchennym jak para służących, każde z kubkiem w rękach.

– Tutaj w Reinsnes wszyscy jesteśmy martwi – powiedziała, wędrując dookoła spojrzeniem.

Zerknął na nią szybko, ale nic nie odpowiedział. W ogóle nie rozmawiali zbyt wiele. Przeszła się od izby do izby. Oglądała wszystko uważnie, nie dzieląc się swoimi myślami. Nie towarzyszył jej. Potem zawołał ją na kawę.

Podniosła głowę i nadśłuchiwała. Wśród krzyków mew przebił się głos ostrygojada. Jakby ktoś zagroził świeżo wyklutym pisklętom. Potem odkroiła dwa kawałki suszonego mięsa z udźca renifera. Nabiła jeden na nóż i podała mu ponad stołem. Przyjął. Włożyła swój kawałek do kawy.

– Kto cię tego nauczył? – zapytał.

– Stine.

– W Berlinie też podtrzymywałaś ten obyczaj?

– Nie. W nowych miejscach obowiązują nowe zwyczaje.

Przeżuwał ciemne, żylaste mięso bez przesadnego entuzjazmu.

– Nie smakuje ci?

– Nieszczególnie.

– To dlaczego jesz?

Przerwał na chwilę. Potem zaczął żuć dalej ze zdwojoną siłą, aż przełknął.

– Bo mi je dałaś – odparł.

Wstała, wzięła klucz do piwnicy i podniosła klapę w podłodze.

– Po co tam idziesz?

– Zobaczyć, czy zostało jakieś wino.

– Pozwól, że to zrobię!

– Nie, chętnie pójde sama.

Przez chwilę czekał, a ona w tym czasie po omacku krążyła na dole. Potem uznał, że za długo jej nie ma. Najpierw pochylił się nad włazem i zawołał ją po imieniu. Kiedy nie odpowiedziała, zszedł za nią.

Zapach kielkujących ziemniaków, beczek z zasolonym mięsem, zawekowanych owoców i pleśni. Drewnianych dzieży ze starą solą. Stęchła woń mchu lub wiekowych pni drzew. A może czegoś jeszcze? Tak. Wysmaganych w morskiej toni wodorostów i nasienia.

Stała przed półkami z winem i najwyraźniej go nie usłyszała. Podniósł lampę, odstawioną przez nią na beczkę. Półki nie były puste. Ale dalekie od niegdysiejszego stanu. Takiego, jaki zapamiętał.

Kiedy był małym chłopcem, bał się piwnicy. I chciał jej o tym wspomnieć w podzięce za opowieść o tym, jak ciągle jeszcze skacze po sianie... Ale jej nieruchomy cień na ścianie go powstrzymał.

Odczytywała etykiety. Wybrała dwie butelki i odstawiała je na pustą półkę, a potem zaczęła zamykać kratę.

Odstawił lampę z powrotem na beczkę i schwycił jedną flaszkę. Kiedy podniósł wzrok, wpatrywała się w niego uporczywie. Wyzywająco. Z pytaniem.

– Zostały trzy butelki Ht. Sauternes i sporo St. Julien oraz win reńskich. A tu jest jedna butelka czerwonego z nieczytelną etykietą. Co z tego mogłabym ci zaoferować?

Czyż tego nie pamiętał? Jej szyderczego spojrzenia?

Mierzyli się wzrokiem. Potem oboje sięgnęli po butelkę. Kiedy jej dłoń musnęła jego, upuścił flaszkę. Upadła na łupkową posadzkę. Zawartość i okruchy szkła rozprysnęły się dookoła.

Potem zapadła cisza. Słyszać było tylko oddechy. A ich cienie niczym trolle drgały na całym sklepieniu piwnicy.

– Skaleczyła cię? – szepnął. Ale pośpieszne echo czekało już tutaj od setek lat.

– Nie zraniłaś się? – powtórzył.

Nie odpowiedziała.

Wtedy podszedł do niej. Przycisnął ją do zimnej, kamiennej ściany. Gdzieś w środku czuł coś w rodzaju triumfu. To jego wola decydowała. A ona nigdy wcześniej jej nie zaznała. Dopiero teraz.

Wiedział to przez cały czas. A ona? Johan Grøneltv nie wrócił na

północ po to, żeby obejrzeć swoją podupadłą ojcowiznę. To nie pastor przyjechał tu prosić żonę swojego ojca o jałmużnę.

Na początku stała całkowicie bez ruchu. Z rezerwą. Jakby szacowała możliwe zyski i straty. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła go do siebie.

Miał uczucie wyzwolenia. Zwycięstwa. Nie nad nią, tylko nad pastorem. Odszukał jej usta. Jego dłonie wędrowały po niej z zachłannością, z której nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Szarpał jej ubrania, jakby były zrobione z pajęczyny. Odsłonił piersi.

A ich cienie pochylały się, owijały, splatały. Rosły i malały.

Uniósł ją i posadził na beczce stojącej pod ścianą.

Czuł dziką siłę. Żadnej chęci zemsty czy rewanżu. Tylko walenie serca. Te ciężkie, bezradne uderzenia. I pchnięcia! Konieczne, niestrudzone, wyzwalające. Branie w posiadanie żony ojca swego. Pragnął tego, robił to, napawał się tym.

Później drżały mu ramiona, którymi ją obejmował, a ciepło jej skóry zdawało mu się pieszczotą. Dokonał tego. Wrócił do domu.

Zjedli przywiezioną przez nią zimną pieczeń. Sosu nie podgrzali. Jakoś nie było okazji. Zrezygnowała ze stania w kuchni i wpatrywania się w rondel. Żadne z nich nie przepadało za ziemniakami. Jeszcze mieli na sobie zapach kartofli z piwnicy. I wypili prawie dwie butelki wina.

Było niewyobrażalnie jasno. Niech diabli wezmą czerwiec na północy, stwierdziła ona. A może on?

Najpierw próbowali usiąść w jadalni. Ale panowała tam zbyt wielka pustka. Więc wylądowali przy stole w kuchni.

Johan się śmiał. Ten poważny mężczyzna, który zmuszony był wyruszyć w świat, żeby nauczyć się śmiechu. Odkrawał grube

plastry mięsa. Podawał jej. Jedli, oblizując palce.

Gorset sukni miała rozpięty. Żadne z nich nie wpadło na pomysł, żeby go zapiąć. Wzrok zawisł mu w tym rozpięciu. Przeżuwał.

– Najwyraźniej nigdy cię nie znałam – stwierdziła.

– Ja siebie też nie.

– Kiedy się tak zmieniłeś?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Kiedy dotarło do mnie, że umrę, nie mając odwagi, żeby cokolwiek poczuć.

Nie spuszczała z niego wzroku.

– Sądziłam, że mnie nie cierpisz. Byłam grzechem, nie pamiętasz?

– W takim razie to tylko trzymało mnie przy życiu. Tak bardzo się bałam, co powiedzą inni. Sądziłem, że jest widoczne dla wszystkich. Pożądanie... Nie pojmowałem, że ono i miłość mogą być jednym i tym samym.

– A mogą? – zapytała.

Spojrzał na nią badawczo.

– Chciałbym, żebyś też tak myślała.

Odłożył swój kawałek mięsa i sięgnął po jej dłoń.

– Czy też tak myślisz? – powtórzył.

– Myślisz, że nadawałabym się na żonę pastora?

– Tak! Gdyby nie Jakub...

Łagodny, pełen niedowierzania smutek odbił się w jej oczach.

– Nie, Johanie, zniszczyłabym cię – powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

– Dlaczego miałabyś to zrobić?

– Bo taka jestem.

Siedzieli każde na swoim fotelu w palarni. Dina wydmuchiwała

kółka w stronę sufitu. Johan opowiadał o Ameryce. O Tomaszu i Stine. Że pracowali ciężko, ale było im dobrze.

– To było marzenie Stine od najmłodszych lat. Ameryka – powiedziała.

– Ale nie dlatego wyjechali, że wróciłaś do domu?

Podniosła na niego czujny wzrok.

– Dlaczego mieliby wyjechać przeze mnie? – zapytała spokojnie.

– Nie wiem. Ale dawno temu... coś było pomiędzy tobą a Tomaszem?

Wyszła do kuchni i wróciła z karafką wody oraz szklanką. Piła łąpczywie, zwrócona do niego plecami. Nie wypuszczając z dłoni cygara.

– Suszone mięso było o wiele za słone.

Usiadła z powrotem. Spojrzała na niego wyzywająco. Jakby to od niego spodziewała się odpowiedzi.

– Czy coś was łączyło?

– To było dawno temu. I nie stanowiłoby powodu do wyjazdu do Ameryki.

– Opowiesz?

Potrząsnęła głową.

– Powinien tu być jakiś instrument – stwierdziła, wstając. Otworzyła drzwi do salonu i kilka razy przespacerowała się po nim tam i z powrotem. Deski skrzypiały.

– Sądziłem, że możemy rozmawiać swobodnie? – krzyknął za nią. Ale ona poszła do kuchni i zaczęła czymś łomotać.

No cóż, pomyślał sobie. Tyle i ani kroku dalej.

Wyszedł. Ruszył ścieżką nad staw, pozwalając, aby wiatr smagał mu twarz. W połowie drogi usłyszał, jak się zbliża. Odwrócił się i czekał.

Miała na sobie stary płaszcz z wilczej skóry. Chwiejnie schodziła ze skarpy, zostawiając za sobą zdeptane na płask czerwcowe kwiaty i liście szczawiu. Nie mógł się nie roześmiać.

Kiedy bez tchu stanęła przed nim, ciągle się śmiała.

– Tak zimno to jeszcze nie jest.

– Chodź! – zawołała, chwytając go za ramię i próbując jego i siebie jednocześnie owinać płaszczem. Przewrócili się na trawę.

Wysunęła ręce z futra i nakryła nim ich oboje. Leżeli, wpatrując się w wędrujące chmury.

Podążał teraz ku niebu, w obozowładniające czerwcowe światło. Pod futrem.

*

Szukając powoli słów, zaczęła opowiadać o swojej młodości w Reinsnes po jego wyjeździe do Kopenhagi. O Hjertrud, która ukazywała się jej w przystani Andreasa. O tęsknocie za Lorchem i wyczekiwaniu na list. Wędrówkach po wzgórzu z masztem. Dzikich przejażdżkach na Szatanie. O Jakubie. O nim opowiadała w taki sposób, jakby nigdy go nie poznał. Nie mówiąc już o byciu jego synem. Krótko wspomniała o sprawie wdowy ze Strandstedet.

– Cóż za łajdak! – stwierdził z zawziętością Johan.

– Kto? – odwróciła się ku niemu. Pod światło wydawała się czarna.

– Ojciec. Jakub!

– Ach, on – odparła.

– Kurwiarz!

Przechyliła głowę na bok i przyglądała się mu.

– Cicho! – rzekła, nad słuchując.

On również nadstawił uszu. Co usłyszała? Uderzenia wiosła? Łódź przy pomocy?

– On tu ciągle jest. Prześladowuje mnie. Towarzyszy mi całe życie. Zniknął na chwilę tylko w Berlinie. Ale teraz tu jest. Nie czujesz?

– Nie! – odrzekł stanowczo, obejmując ją. Pachniała kulkami na mole. Jej futro. Woń starego, straconego czasu.

Leżeli przez chwilę w milczeniu.

– Gdybym tylko napisał do ciebie z Kopenhagi – odezwał się nagle.

– Sądziłam, że mnie nie cierpisz.

– Samego siebie nie mogłem ścierpieć. I mojego ojca. Obmacywał wszystko, co zobaczył. Nie przejmował się tym, że jestem dość duży, żeby to zauważyć. Służące. A moja matka nie protestowała. Pewnego dnia już jej nie było. A on przywiózł do domu dziewczynkę. Byłaś tylko dzieckiem, które wspinało się na drzewa! Ten ślub. Byłem zdruzgotany. Wstydem. Za niego, za siebie. Najbardziej za siebie. Tamten wieczór przed moim wyjazdem. W altanie. I kiedy kąpaliśmy się w sadzawce. Niosłem to ze sobą. Całe życie.

– Zapomniałeś już, jak się bałeś? Dokładnie tutaj. W noc przed wyjazdem do Kopenhagi.

– Tak, bałem się. Tchórz! Powinienem był powiedzieć ci, jak bardzo tęsknię.

– Byłeś taki młody. Ja nigdy nie byłam taka młoda...

– Kiedy wróciłem z Kopenhagi... dostrzegłaś już tylko Rosjanina. Pojąłem, że jestem dla ciebie zaledwie synem Jakuba. Rosjanin ujął to w słowa, nazywając nas macochą i pasierbem. Pamiętasz?

– Tak.

– Czy tylko Rosjanin się liczył?

– Tak, tylko on – odparła, chwytając go za rękę.

Słońce zniżyło się już nad szkierami i słało teraz w ich stronę ostre jak sierpy promienie.

– Zginał, zdaje się, gwałtowną śmiercią?

Odwróciła się, więc nie pytał dalej.

Wtedy usłyszał jej głos.

– To ja go zabiłam.

Na pewno się przesłyszał.

– Marzniesz? – zapytał.

– Sztucerem – szepnęła.

Usiadł i poczuł się dziwnie. Aż w wargach czuł uderzenia serca. Panował taki chłód. Jej twarz ukryta w wilczej skórze. Było mu tak zimno, że się trząsał.

– Ty! – wydyszał.

– Tak – odparła po prostu.

Zerwał się i osłonił oczy dłonią, rozglądając się dookoła.

– Zrozumiałeś, co powiedziałam? – zapytała.

– Tak – odrzekł chrypliwym głosem. A w chwilę później: – Dlaczego?

– Wydawało mi się chyba, że to jedyny sposób... Żeby został ze mną na zawsze.

Położył się ponownie obok niej.

– Nic nie masz mi do powiedzenia? Pastor też nie? – zapytała z cieniem dawnego szyderstwa w głosie.

– Nic ponad to, że jestem związany nakazem dochowania tajemnicy.

– Nie potępiasz mnie?

Odwrócił się do niej. A potem rzekł zdecydowanie:

– Nie. To nie ja mam prawo potępiać. Ale chciałbym, żebyś zawarła pokój. Ze sobą i z Najwyższym.

– A ty masz pokój? Ze sobą i z Najwyższym?

– Tak. Od dnia, w którym przestałem być fałszywym i tchórzliwym pastorem, mam pokój.

– Kim ona była? – zapytała szybko.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Indianką. Przechodziła z rąk do rąk pomiędzy białymi mężczyznami. Żeby przeżyć. Nigdy nie poznałem bardziej czystej istoty... A byłem zbyt tchórzliwy, aby komukolwiek powiedzieć, że jest moja.

– I co się stało...?

– Upili się i zaczęli awanturować w gospodzie, gdzie pracowała. Było ich siedmiu... Zwykli mężczyźni. Mający rodziny i... Gdybym im powiedział, że należy do mnie, nie ruszyliby jej. Tak to jest. Szacunek dla pastora... Broniła się...

– Tak?

– Znalazłem ją. Później...

– Czy dlatego przestałeś być duchownym?

– Tak. Nie byłem w stanie im przebaczyć. Ani w imieniu własnym, ani boskim.

– A zatem mnie pewnie też nie potrafisz?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Może to dziwne. Ale potrafię. Przebaczyć w imieniu własnym i boskim. Jeśli mnie o to prosisz.

– Ale gdybym to ja była tamtymi mężczyznami?

– To niemożliwe...

– A gdyby nie chodziło o Leo, tylko o twojego ojca? Co wtedy? Dałbyś radę znaleźć w sobie dość siły na przebaczenie?

Leżał przez jakiś czas zupełnie nieruchomo.

– Nie podoba mi się, że tak to ujmujesz. Ale dałbym radę. Bo to

dotyczy ciebie.

Rozdział osiemnasty

Trwały przygotowania do nocy świętojańskiej. Służące przyjechały wszystko naszykować. Piece, ciepłą wodę, pościel i jedzenie.

– Mogliby się trochę spóźnić – rzekł z westchnieniem i zbił jej skoczka z jednego z czarnych pól.

– Dobrze mieć konia – stwierdziła, sprawiając wrażenie, jakby myślała nad kolejnym ruchem.

– Poczekamy, aż przyjadą, i popłyniemy do Strandstedet – dodała.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Zatem tak zrobimy. Przywitamy ich, zostaniemy jeden dzień na świętowanie przy ognisku, a potem ruszymy do Strandstedet. Tylko we dwójkę?

– Chciałbyś mieć wszystko naraz – zaśmiała się.

Do salonu weszła jedna z dziewczyn.

Udał, że uważnie śledzi ruchy Diny na szachownicy, ale pochylił się nisko, żeby szepnąć:

– Przyjdę do ciebie, jak wszyscy pójdą już spać, nawet jak będzie pełno ludzi!

– Nie jesteś wybitnym szachistą – stwierdziła, zbijając mu królową.

*

Przy płynęli trzema łodziami wypełnionymi po brzegi. Hanna była cieniem samej siebie. Ale dużo się uśmiechała. Wilfred Olaisen też nie wyglądał tak, jak w swoich najlepszych dniach. Czas ich naznaczył. Chłopcy byli spokojni i zadowoleni. Najstarszy na nikogo nie patrzył i nigdy się nie odzywał niepytany. Spoglądał zawsze w bok, jakby sądził, że ktoś nieustannie go śledzi.

Wilfred dał się przekonać Johanowi. Trudno było odmówić, zważywszy na sposób, w jaki ich zaprosił. Zwłaszcza bez opowiadania całej historii. A tego nie chciał robić.

Hanna miała wrażenie, że w gruncie rzeczy doznał ulgi. I że już dostatecznie długo czuł się trędowaty. Ona zaś cieszyła się, że na chwilę wyrwie się z domu. Na morze. Pod otwarte niebo. Poza tym niczego już nie oczekiwała.

Dzisiaj Wilfred był łagodnym i cierpliwym ojcem. Wskazywał na wysepki oraz osady i wszystko objaśniał. Pytał, czy nie marzną. Bo Hannie chyba też nie było zimno, prawda?

Póki co nie musiał spotkać się twarzą w twarz z Beniaminem. Grønelvowie płynęli inną łodzią. Żeglowali na wyścigi. Wygrała trzecia, pełna młodzieży łódź. Oba stadła przybyły mniej więcej w tym samym czasie.

Przy cumowaniu do pomostu Beniamin przepuścił przodem łódź Olaisenów.

*

Jak na marne cztery dni na ląd wypakowana została wielka liczba puszek, skrzynek, toreb i wiader. Ale towarzystwo było

liczne. Sześć osób od Olaisenów, trzy z rodziny przewodniczącego, Peder i Birgit, dziewczki z trzech gospodarstw i młody chłopak ze stoczni. Oraz ci, którzy już tam byli, czyli Johan, Dina i jej dwie służące.

Musieli przecież mieć dostatecznie dużo jedzenia i napojów. To było pewne. Biskopity i śmietankę trzeba było szybko zanieść do domu. Bo zrobiło się naprawdę ciepło. Do piwnicy z nimi. Z mlekiem i piwem też. Białym winem w butelkach z wysmukłą szyjką.

Johan i Dina przyjmowali wszystko, stojąc ramię w ramię, jakby od zawsze byli razem. Beniamin był tym zaskoczony. Ale nie miał teraz czasu na dłuższe rozmyślania. Trzeba było zająć się stroną praktyczną i porozkładać na miejsce wszystkie rzeczy.

Trójka najstarszych dzieci Olaisenów biegała po podwórku jak radosne żrebaki wiosną. Peder dostał polecenie zabezpieczenia studni.

Miejsce znów tętniło życiem. Wrażenie pustki powoli znikało. Pod wieczór miało się już wrażenie, że ludzie mieszkają tam na stałe.

Peder i Evert ze stoczni obeszli budynki z kosami. Wąskie ścieżki wykoszone w trawie przez Johana wydawały się teraz zabawne. Młodzi mieli nagie torsy i szli równo obok siebie. Dwa ciała pracujące we wspólnym, mocnym rytmie. Kosy jękliwie szczękały. Wokół unosił się zapach. Lata i młodości. Dla zachowania tempa pogwizdywali tę samą melodię. Rach-ciach.

Karna stała w bramie prowadzącej do ogrodu i patrząc na nich, przełykała ślinę. Birgit przyniosła grabie. I w ten sposób wzbogaciły bukiet zapachów. Soki. Ciała. Śmiech.

Życie było takie proste. Niebo wysoko w górze. Karna dostrzegła

tylko plecy Pедера. Błede po minionej zimie. Z mięśniami przęcącymi się pod gładką skórą.

Dziewczęta rozpięły bluzki na tyle, na ile pozwalała im skromność, i podwinęły rękawy. Panował taki upał. I kto widział ostatnio dzbanek z sokiem? Miał przecież stać w cieniu?

Ale to Peder ukrył sok w zarośniętych rabatach pierwiosnków. Kiedy Karna poszła go szukać, skradł dla siebie pocałunek. Nikt tego nie widział.

Potem trzeba było ułożyć na plaży stos z drewna wyrzuconego przez morze. Na ognisko. To było łatwe zadanie. Nikt nie zbierał tu drewna od roku. Wystarczyło schylić się i podnieść. Mężczyźni przynosili największe drągi, trzymając je między sobą. Dzieciaki kawałki desek i chrust. Najmłodszy, który jeszcze nie chodził, przyglądał się, siedząc między dwoma kamieniami.

Jeszcze za popołudniowej jasności iskry strzeliły w powietrze. Podawano sobie z rąk do rąk kaszę na gęstej, kwaśnej śmietanie. Słodkie placki i sok. Kawę. Częstowano dookoła ogniska wafelkami i kruchymi ciasteczkami.

Mewy krzyczały. Nie tak jak w maju, teraz wydawały się zaskoczone i ożywione.

Karna była zdania, że odgłosy mew w Strandstedet nie brzmiały tak pięknie jak tutaj. Śmiała się. Chociaż była już szesnastolatką, skakała po kamieniach i w sierpniu miała pojechać do Bergen. Razem z Pederem.

Birgit nie miała tyle szczęścia. Ale nie narzekała. Skończyła siedemnaście lat i tej zimy miała gotować tran. A potem się zobaczy.

*

Rodzina Olaisenów spała w oficynie. W końcu był to dom

rodzinny Hanny. Dzieciaki szybko się tam zadomowiły i zmęczone morskim powietrzem i dniem pełnym przeżyć szybko zapadły w sen. Najstarszy krążył co prawda do późnego wieczoru, przyglądając im się bacznie, wszystkim po kolei. Ale w końcu i on został zagoniony do łóżka.

Było już późno, kiedy dorośli w końcu zasiedli do stołu. Podano przygotowanego przez Bergljot wędzonego łososa z dodatkami. Wyciągnięto z piwnicy zielone butelki z wysmukłymi szyjkami. Wekowane moroszki z bitą śmietaną w wafelkach.

– Ktoś tam na dole stłukł butelkę – poinformował Olaisen służącą, kiedy ta wytknęła głowę z mrocznego otworu.

– Zamieć szkło gdzieś na bok, żeby nikt się nie skaleczył – poleciła Bergljot.

*

Państwo i służba jedli wspólnie w salonie. Ten obyczaj kultywowano w Reinsnes tylko w święta. Ale nie mówiono o tym głośno. Nie uchodziło.

Poza tym zmiany w Reinsnes nie sprowadzały się tylko do nowych obyczajów. Nowością było też to, że spotkali się, aby wspólnie coś naprawić. Pójść o krok dalej. W ten wieczór mieli wznosić toasty na cześć lata. Za Młodość. Za Przyszłość.

Karna ku swemu zdumieniu zauważyła, że Wilfred Olaisen dzieli swoją uwagę równo pomiędzy Annę a Hannę. Jakoś okropnie było na to patrzeć. Na sposób, w jaki pochylał się nad Anną, kiedy z nią rozmawiał.

Beniamina cieszył tego wieczoru widok Pedera. Musiał przestać w końcu myśleć o nim jako o chłopcu. Przecież to już był mężczyzna.

Peder podzielił się z nim problemem, na jaki natknął się

w książce Sommerfeldta o konstrukcji statków: „centrum gravitatis”?

Beniamin wyjaśnił, że to to samo, co środek ciężkości. W łodziach zapewne też był istotny. A Peder skinął głową i zapytał, czy doktor wie coś o „kanale wyporu”.

Beniamin przyznał, że nie jest pewien, ale przypuszczał, że ma to coś wspólnego z wymiarami statku.

– Słyszałem, że będziesz pobierał nauki na najwyższym poziomie, więc na pewno dowiesz się tego wszystkiego – rzekł.

– Stocznia Georgernsów buduje chyba najlepsze statki w kraju – wtrąciła Dina.

– Zapiszę się też do technicznej szkoły wieczorowej – powiedział Peder, chrząkając z lekkim zakłopotaniem. Nie był przyzwyczajony do znajdowania się w centrum uwagi.

Ale zielone długoszyje bardzo rozluźniły atmosferę. Podobnie jak kawa z przywiezionym z Grandu koniakiem. Cygara i wszystko inne zabrali do jadalni. Johan zaśmiał się, że za panowania Matki Karen nikomu nie uszłoby to płazem. I wszyscy zawtórowali.

Służące wycofały się do kuchennych obowiązków, młodzież i Sara zabrali koszyki pełne kieliszków oraz butelek i poszli do ogniska, żeby dołożyć drewna.

Siedzieli więc w szóstkę przy otwartych oknach, rozmawiając o tym, że nie ma obecnie w Reinsnes zbyt wielu owadów. Nie to, co kiedyś. Pewnie dlatego, że nie trzymano tu już zwierząt.

Po pustce, jaka nastąpiła po tej uwadze, Johan zwrócił się do Beniamina. Czy mógłby tutaj mieszkać przez całe lato i jesień? Wyjaśnił, że ma sporo pisania.

Beniamin rozłożył dłonie w zapraszającym geście. To oczywisty dar niebios, że ktoś będzie mieszkał w starym domostwie.

Ale musiał przecież mieć służącą do pomocy. Mężczyzna nie jest w stanie zrobić wszystkiego sam, stwierdził Wilfred.

Ale Johan był zdania, że mężczyzna, który zdołał przeżyć na prerii, zapewne da sobie radę i w Reinsnes. Mówiąc to, patrzył na Dinę w sposób, który znów wprawił Beniamina w zdumienie.

Anna poprosiła Johana o opowiedzenie, o czym pisze. On zaś był wyjątkowo rozmowny. A przynajmniej w porównaniu z tym, jak zazwyczaj zachowywał się przy spotkaniach w Strandstedet. Zamierzał opowiedzieć o swoim pobycie na obczyźnie. W Ameryce. Opisać życie imigrantów.

– Swoje też? – chciała wiedzieć Anna.

No cóż, owszem. Ponownie spojrzął na Dinę.

Ach tak, pomyślał Beniamin i to samo powiedział głośno.

– Wcześniej wyjechałeś? – zapytała Anna.

– Nie tak młodo jak Beniamin. Miałem dwadzieścia lat.

– Chyba tylko Hanna i ja jesteśmy w tym towarzystwie domatorami – stwierdził Wilfred.

Spojrzeli na niego uprzejmie, lecz nie zaprzeczyli. To go uraziło. Poczł się poza nawiasem. Jakby miał sobie nie wyobrażać, że jest kimś.

– Wyjazd za granicę, żeby się uczyć czytać, pisać i Bóg wie co jeszcze, sporo kosztuje.

– Ale to są właśnie te nowe czasy, Wilfredzie – odparował Beniamin. Zwrócił się do niego po imieniu, jakby byli kompanami od kielicha. Albo jeszcze gorzej, jakby Wilfred Olaisen był jego parobkiem.

Olaisen nie przyjął tego za dobrą monetę.

– Znakomita szansa dla tych, którzy mają kogoś, kto za nich zapłaci – powiedział twardo.

To mogło pójść w złym kierunku. Hanna wierciła się niespokojnie. Jej okryte sukienką ramiona uniosły się do góry. Sterczały teraz jak małe, spiczaste tarcze.

– No właśnie, Wilfredzie, zapłaciłeś przecież za naukę swojego brata w szkole średniej – rzekła Dina.

– Moje kształcenie kosztowało mnie całe dziedzictwo po ojcu – stwierdził Johan, patrząc znacząco na Dinę.

Zamrugła oczami. Ale tylko przez moment, bo potem zrozumiała, co chciał powiedzieć.

– Wolałbyś zostać tutaj i uczynić z Reinsnes świecące przykładem gospodarstwo? – chciała wiedzieć.

– Nie, nie jestem ani rolnikiem, ani kupcem. Pod tym względem widać pokrewieństwo między Beniaminem a mną.

Beniamin rzucił Dinie szybkie spojrzenie. Siedziała odchyłona do tyłu i przez cały czas była równie spokojna. Ale nic nie odpowiedziała.

– Powiadają, że to się zmienia co drugie pokolenie. Ten talent do interesów – zauważył Olaisen i znów był uczestnikiem rozmowy.

Jako jedyny mężczyzna w towarzystwie miał krawat. A jego marynarka nawet po obiedzie pozostała zapięta.

– No cóż, próbujemy wciąż rozwijać to całe Strandstedet, Olaisenie. Raczej nie możemy liczyć na tych, co przyjdą po nas – rzekła dobrotliwie Dina, pochylając się ku niemu ponad stołem.

Twarz mężczyzny zapłonęła. Ze wstydu? Czy z wdzięczności?

Beniamin zauważył czujność Hanny.

– Rola założyciela wiele kosztuje. Pod każdym względem. Tylko nieliczni to rozumieją – dodała Dina.

I wtedy zdarzył się cud. Wilfred Olaisen poklepał dłoń Diny i podziękował. Jak dziękuje się podwładnemu, który wykazał się

wykraczającą poza wszelkie oczekiwania roztropnością i rozsądkiem.

– Musimy spróbować pozyskać kupców do budowy gazowni. W Strandstedet jest zbyt ciemno. Zimą trudno zobaczyć przed sobą własną dłoń. I apteki! To okropne, że nie mamy apteki, prawda, Olaisenie? – zagadnęła poufale Dina.

Beniamin przyglądał się swojej serwetce. Jak jej się to udawało? Zamieniać tego człowieka w masło na rozgrzanej ścianie? Tylko dając mu odczuć, że wierzy, iż potrafi dokonywać cudów.

Zanim pozostali się zorientowali, już byli zbędni. Dina i Olaisen pograżyli się w rozmowie o rozwoju Strandstedet. O procesie, w który najwyraźniej nie zamierzali wprowadzać przewodniczącego.

Beniamin zapalił kolejne cygaro i napełnił kieliszki, cały czas wydmuchując dym ponad głowami biesiadników. Wiedział, że irytuje to Annę. Raz jeden próbował wtrącić praktyczną informację w kwestii planowanej apteki. Ale natychmiast się poddał.

Hanna poszła zajrzeć do dzieci. Anna prowadziła z Johanem cichą rozmowę na temat jego projektów pisarskich.

Beniamin czuł się wykluczony. W końcu poprosił o wybaczenie, ale musiał wyjść w prywatnej sprawie.

– Ja znam się tylko na liczbach i muzyce – usłyszał wypowiedziane ze śmiechem słowa Diny.

Kiedy wychodził, Anna nie podniosła wzroku. Była pochłonięta opowieścią Johana o Minneapolis.

*

Dojrzał ją natychmiast. A więc chyba musiał o tym myśleć? Wiedział, gdzie się skieruje, jeśli zechce być sama. Nie do oficyny. Nie, pójdzie na schody prowadzące do przeszklonej werandy.

Siedziała tam, patrząc na cieśninę Sund. Niedostrzegalna z głównego domu.

Ale on nie poszedł w tę stronę. Zamiast tego przeciął podwórze, kierując się ku oborze.

Młodzież baraszkowała na kamienistej plaży. Ognisko znów płonęło wielkim ogniem. Pachniało smołą i spalonymi wodorostami. Bergljot, Sara i służące również tam były. Śmiały się i bawiły w coś, co wymagało stania w kręgu.

W śpiewanych melodiach głos Karny niósł się wysoko ponad innymi. Widział, jak ona się cieszy! Teraz mógł to również usłyszeć.

Jak za dawnych czasów wdrapał się w wychodku na deskę do siadania i wyjrzał przez lufcik wycięty wysoko na ścianie. Wiedział, że stamtąd można zobaczyć schody prowadzące na werandę. Musiał pochylić głowę i nieco się przygarbić.

A pamiętał jeszcze, jak zmuszony był kiedyś wysoko wspinać się na palce, żeby dojrzeć coś innego niż ulotne chmury na niebie.

Siedziała na najniższym stopniu zwrócona do niego bokiem. Balustrada schodów prawie całkowicie ją zasłaniała. Letnia suknia z materiału w błękitne kwiatki. Widział ją tylko od kolan w dół.

Fałdy sukienki powiewały w delikatnym wietrze. Poruszyła stopą, jakby świadoma, że ją obserwuje. Potem mocno zacisnęła rękę, którymi obejmowała kolana. Pochyliła się do przodu na tyle, że zobaczył jej włosy. Nagie ramiona. Nie tak złociste, jak w dawnych czasach. Hanna wyblakła. Tak jak blednie każda młodość.

Stał tam, czując coś w rodzaju żalości. Dla niej? Dla siebie? Czy wobec wspomnień?

Ciągle czuł pożądanie. Jak żar w ognisku. Ale było niemożliwe do spełnienia.

Być może wiedziała, że stoi tam, patrząc na nią? To go podnieciło. Zakazany owoc. Możliwość, że łączą ich wspólne myśli.

Mrużąc oczy, wyglądał przez brudną szybę, usiłując bez większego rezultatu przetrzeć ją dłonią. Nie był w stanie do niej się zbliżyć. Czy na pewno?

A jednak tak. Przewodniczący okręgu w Strandstedet stał na desce w wychodku i uprawiał samotną miłość, wpatrując się przy tym w rozsypane ponad kwiecistą sukienką włosy Hanny. I śmiejąc się z siebie w głębi duszy, już płynął na fali. Z urywanym oddechem, w towarzystwie zakazanych marzeń. Tak było najlepiej. Nikomu nie szkodził.

Po wszystkim gotów był podejść do niej w wymagany przez przyzwoitość sposób i uciąć sobie pogawędkę podczas wspólnego powrotu do domu. Zamierzał stanąć w trawie w odpowiedniej odległości, emanując spokojem i trzymając ręce w kieszeniach.

Uczylił tak, jak sobie nakazał. Chwilę przechadzał się w pobliżu oficyny, a potem zatrzymał się dość daleko od niej. Postarał się, aby go zauważyła. Uniosła głowę.

Siedziała i płakała.

– Chodź! – rzekł, zapominając zupełnie o swoich planach. – Chodź, pójdziemy nad wodę się pobawić.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę domu. Potem bez słowa otarła twarz kawałkiem halki, wstała i ruszyła w kierunku plaży.

Poszedł za nią. Dogonił ją i chciał zapytać, dlaczego płacze. Ale to zabrzmiałoby idiotycznie. Szedł więc tylko obok niej, trzymając się w przyzwoitej odległości.

Powitano ich entuzjastycznie, wznosząc okrzyki radości. Ale Karna nie brała w tym udziału. Zesztywniała i zerknęła w stronę domu. Potem dołączyli do kręgu ludzi. Trzymali się za ręce.

Śpiewali. Nastąpiła kolejka Hanny, żeby przebiec dookoła i klepnąć kogoś w plecy. Klepnęła jego.

Dyszała z wysiłku. Od niewyplakanych do końca łez. Od śmiechu. Śpiewali „Chodzi lisek koło drogi...”. Kiedy musieli uciekać, wokół niosły się wybuchy dzikiego rozbawienia. Ona pierwsza. A potem nastąpiła jego kolej.

*

Nie zauważyli go. Dopiero, gdy przerwał okrąg. Nie żeby się przyłączyć, jak sądzili głośno wiwatujący młodzi. Tylko żeby mocno schwycić Hannę i wyciągnąć ją z towarzystwa. Nie miał twarzy. Samą czerń.

Wszyscy znieruchomieli. Stali sztywno w kręgu, trzymając się za ręce. Wpatrując się w Wilfreda Olaisena, ciągnącego Hannę za sobą.

A ona? Skuliła się i jęknęła. Bez dumy. Bez sprzeciwu. Bez choćby jednego pytania.

Beniamin starał się opanować. Czuł idiotyczne drżenie kolan. Walenie serca, które nie uchodziło dorosłemu mężczyźnie. I co teraz, mały tchórzku? Godzina wybiła. Co teraz zrobisz?

Ocknął się. Zaczął stawiać krok za krokiem. Szedł powoli za nimi pod górę. W stosownej odległości od pozostałych starał się zwrócić na siebie uwagę Olaisena.

Mężczyzna sprawował kontrolę. Był tym, który bez jednego słowa przejmował panowanie. Tym silnym, niebezpiecznym. Chroniącym swoją piękną własność. Nieznoszącym porażki. A któż ją znosił? Ale Olaisen realizował to w praktyce.

– To ja zaproponowałem, że pójdziemy do młodzieży się pobawić – rzekł Beniamin do pleców mężczyzny.

Olaisen się nie odwrócił. Trzymał mocno Hannę za sukienkę na

plecach. Okręcał materiał wokół dłoni. Popychał ją przodem.

– Co takiego złego zrobiła Hanna?

Mężczyzna zaczął pchać mocniej i iść jeszcze szybciej. Kobieta potknęła się, omal nie upadając, ale ją podtrzymał. Przypominała muchę, uwięzioną w letniej sukience. Trzymana za skrzydełka, zwisała z jego mocarnej dłoni. Sam ją wyniósł do godności małżonki zarządcy Olaisena. Nie zamierzał z nikim o tym dyskutować. Tylko zrobić porządek. Nie besztać i nie wrzeszczeć. Zaledwie przywrócić harmonię.

Beniamin zrównał się z nim i położył mu dłoń na ramieniu.

– Odpowiedz, proszę! Co jest złego w zabawie w kręgu?

I w końcu tamten się odwrócił. Ze spokojnym uśmiechem. Niemal łaskawym. Miał sytuację pod kontrolą. Bo zobaczył pozostałych, jak schodzą ze wzgórza. Wszyscy chcieli przyłączyć się do zabawy w kręgu. Nikt nie powiedział, że jest w niej cokolwiek złego. Skąd Beniaminowi przyszło do głowy coś podobnego?

Wilfred Olaisen już dawno puścił letnią suknię Hanny. Wziął ją teraz pod ramię. Prowadził kulturalnie, idąc w stronę Diny i całej reszty. Czy będą się bawić? Ależ oczywiście.

Hanna wyswobodziła się i sama ruszyła w górę zbocza. Jego uprzejmy głos przywołał ją z powrotem. A ona, jak w transie, zawróciła. Bez słowa. Bez jednego gestu. Przyłączyła się. Biegała, kiedy nastala jej kolej. Chwiejnym krokiem zajmowała wolne miejsce w kręgu.

Beniamin nie przyłączył się ponownie do zabawy. Miał dość. Usiadł przy ognisku. Zaczął w nim dłubać patykiem. Nie był w stanie patrzeć na upokorzenie Hanny. Stało się i jego udziałem. I kiedy tak siedział zwrócony plecami do pozostałych, słysząc tylko ich głosy i śpiewy, nienawiść do tego mężczyzny buchnęła ze świeżą

siłą. Jak ognisko. Czerwony język ognia wznoszący się ku jasnemu niebu.

Pewnego dnia go dopadnie. Zmiażdży. Unicestwi!

*

Peder wiedział, że to przejdzie. Byle tylko nie pogarszać sprawy, przeciwstawiając się Wilfredowi. On najlepiej rozumiał, jak należy się zachować.

Ale Karna nie miała cierpliwości do takich rzeczy. Po krótkiej chwili stanęła w miejscu, spojrzała na Wilfreda i zawołała:

– Nie, skończmy już! To przestało być zabawne.

Krąg ludzi zwolnił z pewnym zakłopotaniem. Potem wszyscy się zatrzymali.

Peder dołożył do ogniska, cały czas obserwując wyraz twarzy brata.

Dina wzięła Wilfreda pod ramię.

– To chyba nie są zabawy dla nas, starych ludzi? – stwierdziła lekkim tonem i zaoferowała łyk wina ze swojego kieliszka. Ale Wilfred odmówił. Potrząsnął głową. Oczy miał niespokojne. Wyczuwał niezadowolenie.

Dina odstawiła kieliszek do koszyka, schwyciła Hannę i Wilfreda pod ramiona i prowadząc ich po obu stronach, wolnym krokiem ruszyła w stronę zabudowań. A idąc, zaczęła opowiadać o widokach na budowę gazowni. Realnych kosztach. Oczywistym zapotrzebowaniu. O znaczeniu, jakie miałyby to dla przystani. Dla parowców. Załadunków i rozładunków. Czyż nie sądził, że w tym leży przyszłość?

A on faktycznie uważał, że to prawdziwa przyszłość. Ale skąd kapitał? I zdolni ludzie do pokierowania całym projektem?

– Ty, Wilfredzie, jesteś tym człowiekiem! Mówię to wprost,

brakuje mi ciebie. Od chwili, gdy się wycofałeś, nie ma nikogo równie dobrego. Rozważam złożenie wniosku do rady okręgu o zagwarantowanie części kapitału. Co o tym myślisz? Zapłacę ci wynagrodzenie do czasu, aż się zastanowisz. Jeszcze jeden sezon rozwożenia dwiema łodziami przynęty i się odkujesz. I będziesz mógł ponownie kupić udziały w stoczni. Razem z Pederem. Musimy tylko najpierw wysłać Pedera na naukę. Wówczas będziemy mieli fachowca. Pojmujesz?

Wilfred rozumiał. I nie rozumiał zarazem. Czyż zapomniała, że odebrała mu swój protektorat? Upokorzyła go? Czy sądziła, że o tym zapomniał? Chciał zapytać, ale obok szła wpatrzona w ziemię Hanna. Nie mógł tego zrobić. A czy stać go było na odmowę?

– Co mam odpowiedzieć? – zapytał.

– Nie musisz odpowiadać, możesz się zastanowić. Ale niezbyt długo. Bo jesteś mi potrzebny.

W czasie, gdy mężczyzna prowadzony przez Dinę krok za krokiem wkraczał w inny świat, idąca pod górę Hanna odzyskała normalny kolor twarzy i odrobinę się wyprostowała.

*

Anna zauważyła to natychmiast po przyjsciu na plażę chwilę po pozostałych. Coś było mocno nie w porządku. Widziała to nie tylko po Hannie, ale również po Karnie i innych. A już szczególnie po zachowaniu Beniamina.

Przyłączył się do Sary idącej ścieżką w górę i pomógł jej nieść wielki koszyk. Anna nieco bezradnie została w tyle razem z pozostałymi.

To ona zrobiła wszystko, żeby doprowadzić do tego spotkania. Do tych wspólnych obchodów nocy świętojańskiej. Do pojednania. Pozyskała dla tego pomysłu Dinę i Johana. Ale najwyraźniej

przyniosło to odwrotny skutek.

Usiłowała wypytać młodych, co się stało, ale nie otrzymała żadnej jasnej odpowiedzi.

– Chyba nie podobało mu się, że bawi się razem z nami. To było bardzo niemiłe – rzekła Bergljot.

– Już kiedy przyszedł, był zły. Wydawał się nie do końca... – zaczął Evert.

Służąca Hanny nic nie powiedziała, tylko wycofała się cicho.

*

Kiedy leżeli już w łóżku, Anna przytuliła się do Beniamina i westchnęła.

– Co tak naprawdę zdarzyło się podczas zabawy w kręgu? Czy to z powodu Wilfreda? – zapytała.

Poklepał ją po ramieniu.

– Nie mam już siły patrzeć na tego człowieka. Jutro idę w góry – powiedział zdecydowanie.

– Ale czy nie mógłbyś mi wyjaśnić...?

Zerwał się.

– Jak miałbym wyjaśnić, dlaczego on jest taki, jaki jest!

– Jesteś na mnie zły, bo ta wycieczka była moim pomysłem?

– Ależ nie, moja droga – powiedział ze zmęczeniem i okrył ją kołdrą.

Odrzuciła ją z powrotem na bok.

– Mam uczucie, że ty i ja nie... – zaczęła.

– Czyż nie rozumiesz, że mam po dziurki w nosie tej kreatury. Za jego sprawą wszystko staje się trudne i straszne. Straszne! Miałaś dobre intencje. I Johan też. Wszyscy...

*

Następnego dnia przyroda ponownie pobłogosławiła ich piękną pogodą. Beniamin chciał pokazać Pederowi i Evertowi jakieś łowisko. Przygotowali się, zabierając ze sobą jedzenie, imbryk do kawy i wędki. Przekomarzali się z Johanem, że powinien się do nich przyłączyć.

– Potrzebny nam człowiek prerii na przewodnika – stwierdził Beniamin.

Ale Johan obwieścił z zadowoleniem, że łowienie ryb nigdy nie wydawało mu się interesujące. Nawet w młodości. Miał w planie wypłynąć na wiosłach w morze bez żadnych połowów. Zamierzał zabrać Dinę na beztroską wyprawę.

– Ale obudźcie Wilfreda! Ten człowiek ma krzepę! – poprosił Johan.

Dla przyzwoitości trzeba było jednak mężczyznę obudzić. Ale Peder przyszedł z oficyny z informacją, że Wilfred chce wypłynąć z synami puchówką i połowić czarniaka.

– Czyli wszyscy ruszają na przydomowe łowiska – rzekł Peder, posyłając Karnie przeciągłe spojrzenie.

– Ty też? – zapytał z wesołą przekorą Beniamin.

– Niby ja? – odparł zażenowany Peder i westchnął.

*

Anna namówiła rano Karnę na wspólne sprzątanie w schowkach i na ciemnym stryszku. Nie była w stanie znaleźć kilku rzeczy.

W trakcie tej pracy zwierzyła się Karnie, że zanim powróci reszta mężczyzn, musi porozmawiać z Wilfredem. Gdyby Karna mogła jej jakoś pomóc zostać z nim na chwilę sam na sam, żeby to nie wyglądało zbyt dziwnie?

– Co mu chcesz powiedzieć?

– Chodzi o wczoraj... o jego zachowanie wobec Hanny.

Karna uciekła spojrzeniem.

– Nie, nie rób tego! Wczoraj złapał Hannę tak, jakby była... Może wpaść w taką wściekłość, że rzuci się na ciebie.

– Bzdury – odparła wesoło Anna.

Karna poszła do oficyny zapytać Wilfreda, czy mógłby być tak dobry i pomóc Annie przesunąć skrzynię na stryszku. Chciała ją znieść i opróżnić. A trudno było to zrobić tylko w świetle lampy.

Wilfred więcej niż chętnie zgodził się podać jej pomocną dłoń. Jakżeby inaczej! Anna podziękowała, jeszcze zanim chwycił za skrzynię, i posłała Karne, żeby zagrzała wodę do sprzątanania.

Miała podwinięte rękawy sukni i rozczochrane włosy. Policzki rozświetlał jej delikatny rumieniec. Napięcie spowodowało, że kiedy już przyszedł na strych, musiała na chwilę odwrócić się od niego. Chociaż wiedziała, co chce powiedzieć.

Przeciągnięcie takiej skrzyni nie stanowiło dla Wilfreda żadnego problemu. Odsunął Annę, gdy próbowała mu pomóc, a po zakończonej sukcesem pracy odetchnął z zadowoleniem.

Kiedy schodzili razem ze schodów, nieco zdyszana powiedziała:

– Stawiam portwajn. Zawsze mam tu mały zapas portwajnu... w sali sypialnej, tam najczęściej siedzę i rozmyślam. W tym starym, wiklinowym fotelu pod oknem.

Trochę się to wydawało nerwowe. Czy zauważył?

*

Wilfred z wahaniem wszedł do sali. Chociaż to zupełnie nie wypadało. Byli sami. W zbyt prywatnym miejscu. Nie żeby jakoś dał to po sobie poznać. Był pewny siebie, uśmiechnięty, rozluźniony. Uniósł kieliszek i się rozejrzał. Piękny pokój. Tak, antresola również. Duża. Można byłoby zrobić tam na górze pokój dzienny. Tyle że prawie nie wpadało tam światło słoneczne.

Kiedy usłyszeli na schodach kroki wracającej Karny, Anna otworzyła drzwi i poprosiła ją, aby poszła na strych i zgasiła pozostawioną przez nią lampę.

– Zabierz również wiadro, posprzątam w skrzyni już na dole. Tak będzie lepiej.

Następnie zamknęła drzwi i usiadła obok niego.

– Te stare graty stoją tu chyba od czasów Matuzalema – stwierdził, otrzepując się z kurzu.

– Tak, obie z Karną uważamy, że to bardzo ciekawe – odparła, nalewając portwajnu. – Dzięki za pomoc!

Uniosła kieliszek.

– Nie ma o czym mówić!

Posłał jej swój najlepszy uśmiech.

Odstawiła kieliszek i wyraźnie zastanawiała się nad czymś.

– Chciałabym cię o coś zapytać.

Spojrzał na nią w zdumieniu.

– W końcu jesteśmy prawie rodziną – dodała.

Czekał.

– Ta sytuacja wczoraj. Że nie chciałeś... że nie podobało ci się, że Hanna bawi się z nami w kręgu? Czy to z jakichś zasadniczych albo religijnych przyczyn?

Chociaż myślał intensywnie, nie znalazł żadnej odpowiedzi na tak bezpośrednio zadane pytanie.

Odczekała chwilę, a potem kontynuowała:

– Młodzi wspomnieli, że zachowałeś się tam, jak by to powiedzieć, dosyć grubiańsko. Czy między wami panuje trudna sytuacja? Potrafisz o tym porozmawiać? A może to zbyt przykre? Mam na myśli, że wszystkie małżeństwa mają swoje...

Przerwała i patrzyła na niego z wypiekami na twarzy.

Wziął głęboki oddech. Teraz pojął, dlaczego tak naprawdę został poproszony o przesunięcie skrzyni i zaproszony na portwajn. Poczuł zaskoczenie, rezerwę, zainteresowanie. Kiedy ostatnio ktokolwiek zapytał go, jak się ma? Albo jakiego rodzaju krzywdą kryje się za jego złością? Czyż naprawdę siedział teraz przed nim ten anioł i o to właśnie pytał?

Myśli przelatywały mu przez głowę jak błyskawice. Wczorajsze ponizenie, które teraz mogło zyskać czyjeś zrozumienie. Gotów był zapomnieć, że Anna jest żoną przeklętego Beniamina. A może właśnie o to chodziło? Czy gdzieś za całą przypadkowością zdarzenia nie kryła się aby szansa na rewanz? Na wyzwolenie się od widma wiecznej porażki? Na zadośćuczynienie za zdradę? Za bycie tym niekochanym?

I jak się nad tym głębiej zastanawiał, to może konieczność niesienia tego wszystkiego samotnie nie była sprawiedliwa?

Siedząc przed nią, jakby zgiął się wpół. Nie jak żalony nieszczęśnik. Tylko jak zraniony mężczyzna. Głębokie westchnienia. Bruzdy wokół ust. Oczy, które po początkowej ucieczce teraz z niezwykłym bólem i szczerością patrzyły wprost na nią.

Przyznawał. Zdarzało mu się stracić panowanie nad sobą. I oskarżał się o to. Szczególnie w ostatnich latach. Odkąd poznał prawdę. O Hannie...

Przerwał. Dokładnie odmierzył wypowiedź. Nie chciał przesadzić. Lepiej będzie, jak usiądzie teraz z głową w dłoniach. Nie mógł zapominać, jakiego cierpienia przysporzy jej ta rozmowa.

– O Hannie? – szepnęła.

– Gdybyś wiedziała... znała prawdę – rzekł cicho i potrząsnął głową.

Oszołomiona Anna zaczęła pytać o prawdę. A skoro już pytała, to przecież musiała ją poznać. Nie wszystko od razu, nie. Po troszeczkę. W miarę zadawania pytań. Oczywiście ani słowa ponad to, o co pytała.

– Nie, nie mogę tego powiedzieć. Wiele razy czułem pokusę. Kiedyś ich zaskoczyłem i powiedziałem: Pójdę z tym do Anny! Ale nie poszedłem... nie można rujnować życia niewinnych...

– Wilfredzie! Co to jest, czego twoim zdaniem nie powinnam wiedzieć?

Kiedy na nią spojrział, miał wrażenie, że mimo wszystko traktuje go nieco z góry. Jakby mu nie wierzyła. Poczuli się urażony.

Zaczął jednak asekuracyjnie, opowiadając, jak rodzina Grønelvów próbowała go zniszczyć finansowo i poróżnić z Pederem. Wyrosli w trudnych warunkach i mieli tylko siebie nawzajem. Było mu przykro, że nastawiali Pedera przeciwko niemu. Starał się najlepiej, jak potrafił...

W tym momencie przerwał i podniósł na nią wzrok.

– O co chodzi z Hanną? – zapytała.

– Słyszę w twoim głosie, że jednak wiesz. Wszyscy chyba o tym mówią. O wiarołomstwie. Od wielu lat...

Anna dowiedziała się o najmłodszym synu, na którego narodziny tak bardzo się cieszył i którego chronił jeszcze w łonie matki. Ten syn prawdopodobnie nie był jego...

– Ależ, drogi Wilfredzie, na pewno się mylisz – odparła słabo Anna i gwałtownie zacisnęła dłonie. Rozcierała je teraz mocno, jakby marzła.

Potrząsnął głową. Czyż nie zauważyła, że ten chłopiec nie jest do niego podobny? Taki czarnowłosey! A trzech pozostali...

– Nie wolno ci tak myśleć o Hannie. Jeśli nie ufa się najbliższym

ludziom, niszczy to nas samych.

– Trudno. Ty przecież też o tym wiesz, nawet jeśli nie chciałaś widzieć – stwierdził ze smutkiem. Ale spokojnie. Byle tylko zachować spokój.

– Co takiego miałabym wiedzieć? – gwałtownie wypuściła powietrze.

Biedactwo, wyglądała na taką przerażoną. Tak bardzo przerażoną. To było zrozumiałe. Bo przecież coś, czego nigdy nie miała odwagi poruszyć, leżało w ukryciu i żyło swoim życiem, nieprawdaż? Pytania wymagające jasnej odpowiedzi. Ale nie powinna się bać, w tej chwili było ich już dwoje.

– Co takiego?

Teraz już musiał to powiedzieć. Nie miał siły jej okłamywać, jak stwierdził. Jej mąż... Ale chyba od dawna o tym wiedziała?

– Przyłapałem ich na gorącym uczynku. Kiedyś w łodzi. Wrócili chyba z którejś z wysp. Doktor ma przecież tyle pretekstów, żeby pobyć sam na sam z Hanną. Spotykają się od lat.

Dłonie Anny spoczywały nieruchomo. Złożone na kolanach. Słuchała jego słów z niepojęcie wielkimi oczami. Upajało go to.

– Pewnego razu znalazłem odcisk listu na bloczku papieru. Umawiała się z nim na spotkanie. Zachowałem tę kartkę, możesz zobaczyć...

– Ale przecież może istnieć wiele powodów – szepnęła. Ale słyszał to, słyszał, wkrótce znajdzie się po jego stronie. Niedługo.

– Też tak sobie tłumaczyłem. Ale kiedy spytałem ją wprost, przyznała się. Tyle trzeba jej oddać. Że się kochają. Tak, tego słowa użyła. Kochają! Żeby od razu pojął, że ja nic nie znaczę. Nic! I ty też nie. Powiedziała, że są z nami, bo kiedyś tak po prostu wyszło. Hanna...

Kiedy dźwięk tego imienia przebrzmiał wśród ścian, w izbie rozległ się kobiecy śmiech. Początkowo dość cichy.

Nie żeby jakoś mocno go to dotknęło. Ale uznał sytuację za co najmniej dziwną. Coś w niej było takiego, że musiał natychmiast przerwać ten śmiech.

– To nie jest przesadnie zabawne – rzekł chłodno.

Ale ona śmiała się nadal. Tak bardzo, że łzy spływały jej po policzkach, a ramiona drżały. Śmiała się tak serdecznie, że opróżnił kieliszek i wstał. Że też ktoś zdolny był siedzieć i śmiać się z tragedii jego życia? I w dodatku ona? Tego było już za wiele.

– Przepraszam, muszę iść – rzekł krótko, kierując się w stronę drzwi.

Ale jakby w ostatniej chwili coś jeszcze zaświtało mu w głowie, położył jej dłoń na ramieniu i powiedział:

– Powinniśmy trzymać to w tajemnicy ze względu na dzieci. Prawda?

Potem opuścił izbę, wynosząc ze sobą w uszach jej śmiech. Niósł się z sali sypialnej aż na podwórze. Ale tego nie był zdolny zrozumieć. Że można być tak twardą? Śmiać się.

Ale śmiech pewnie wkrótce ucichnie. A on nie był już sam.

*

Karna wiedziała, że coś jest nie tak. Nikt nie zaśmiewał się w taki sposób. W słowach Olaisena nie było nic zabawnego.

Podśluchiwała pod drzwiami. Zanim Olaisen wyszedł z sali, kilkoma kocimi susami znalazła się z powrotem na strychu.

Anna nadal się śmiała. Obca, gwałtowna Anna. Czyż nie pojęła, co powiedział? O tatusiu? Czy to możliwe, że nie zrozumiała?

Usłyszała, jak Anna wychodzi na korytarz, ciągle się śmiejąc. Idzie w dół schodów. Ze śmiechem.

Karna chciała ją zawołać. Pocieszyć, że na pewno nie jest tak, jak powiedział. Z pewnością wszystko wygląda inaczej. Ale jak powiedzieć coś takiego Annie? Która już zrozumiała. Która być może pojęła to już dawno temu.

Jak to teraz będzie? Kiedy dokona się spustoszenie?

Słyszała śmiech Anny aż na podwórku. Drzwi zostawiła otwarte. Przeciąg przeszył dom na wskroś. Płomień lampy zamigotał. Karna włożyła dłonie do ciepłej wody przygotowanej do sprzątania. Chciała się ogrzać.

I kiedy tak stała nad wiadrem, nadeszły mdłości. Nałożyły jej worek na głowę i zawiązały. Nie mogła oddychać.

Chciała się ratować. Odejść od stromych schodów. Klapy. Ostatnie, co zapamiętała, to ten niezłomny zamiar odsunięcia się od wjazdu.

Rozdział dziewiętnasty

Karna upadła na podpórkę włazu, ale nie czuła bólu. Była już po drugiej stronie. A dłoń, która pociągnęła za sobą rygiel, była ciężka i spokojna.

Kłapa zamknęła się pięknie. Precyzyjnie. Zrobiona dokładnie na wymiar włazu. Nikt nie usłyszał trzasku. Bergljot i służące korzystały z pięknej pogody.

Upadając, Karna potrafiła pustą skrzynię. Anna odstawiła na nią lampę, która przez chwilę jeszcze stała, chwiejąc się na krawędzi. A potem się przewróciła. Potoczyła po podłodze. Mimo niewielkiej wysokości kolba z olejem się roztrzaskała.

Klosz wytrzymał uderzenie, a palnik ciągle zasysał olej, podtrzymując płomień. Zaczęło się kopcić. Wkrótce klosz zrobił się czarny. Ale ciągle jeszcze nie pękł. Tylko kolba została bezpowrotnie zniszczona. I olej rozlany. Wsiąkał powoli w deski podłogi.

Stara suknia Matki Karen leżała owinięta cienkim, jedwabistym papierem. Anna między jej warstwy włożyła świeże kulki na mole. Przygotowała do ułożenia w skrzyni. Olej pomału pożerał papier. Jeszcze nie pochłoniął aż tyle, żeby nie można było naprawić szkody.

Minęła chwila. Tyle, ile potrzeba, aby w knocie skończyło się paliwo. Knot pił je chciwie. Słał drobne płomyki w czarny od sadzy klosz i początkowo nie zamierzał się poddać. Ale w końcu zapadła ciemność.

Jednak gdzieś czaiła się drobna iskra. W palniku? W kloszu? W kurzu na podłodze? Wyrzucona w chwili upadku lampy?

W momencie, gdy rozlany olej napotkał tę iskrę, sprawa została przesądzona. Nie od razu gwałtownie. Raczej ukradkiem. Najpierw rozkwitł bawiący się niewinnie, złocisty jęczor. Który poczuł apetyt na koronki. Weneckie. Ozdobne szwy na sukni Matki Karen. Cicho syknął i rozwinął się jak kielich czerwonego kwiatu.

Karna znalazła się w świetle. Nigdy przedtem nie była w takiej jasności. Starła się zmusić ciało do posłuszeństwa. Ręce. Usiłowała się czegoś schwycić. Podwinąć pod siebie stopy.

Trudno jej było oddychać. O wiele trudniej niż zazwyczaj. I to światło? Powinno już zniknąć. Powinna już dojść do siebie.

Wtedy coś sobie przypomniała. Była uwięziona. Właz? Gdzie był właz? Chciała krzyczeć, ale głos w niej zamarł. Musiała odsunąć się od tego żaru. Potrąciła wiadro i jego zawartość wylała się na nią. Woda była letnia. Przyjemna.

Dym przesiąknięty był wonią łągu. Zaczęła kaszleć. Chciała wymiotować. I jak najszybciej musiała się odsunąć. W najodleglejszy kąt.

Czołgała się, byle dalej od dymu. Strzegł włazu. A innego wyjścia stąd nie było. Czy tak zostało jej zapisane? Bo odkąd poznała Pedera, nie pamiętała o czytaniu Biblii? Teraz miała tu spłonąć.

Chciała zawołać Pedera. Zacząć stukać w podłogę. Uniosła dłoń. Ale nic nie mogła zrobić. Tylko kaszleć.

Czy ją słyszeli? Czy wiedzieli? Czy ktoś pomyślał, że ona tu jest?

Wtedy to poczuła, niczym uderzenie w głowę. Lęk. Tak ogromny, że na nic nie pozostawił już miejsca. Pieśń morza przyszła ją zabrać. Szumiała i strzelała iskrami.

Usiłowała to wszystko powstrzymać. Odczołgała się jeszcze dalej, do samego końca. Aż dotknęła palcami ściany z drewnianych belek i dalej nie mogła zrobić już nawet kroku.

*

Dina szła do domu po wygodniejsze buty. Stała na schodach kuchennych, zastanawiając się, gdzie odstawiła swoje kamasze.

Wtedy poczuła swąd. Dym. Wydobywał się z domu. Kierowana zwierzęcym instynktem rzuciła się do drzwi. Wbiegła po schodach.

Przez szpary włazu prowadzącego na ciemny strych przesączał się dym.

– Pożar! – krzyknęła, wspinając się wyżej, na stopnie prowadzące na stryszek. Ale kłapa była nie do ruszenia.

*

Wilfred poszedł na poddasze oficyny. Położył się na chwilę. Bo zaczął mgliście zdawać sobie sprawę z czegoś, co nie do końca umiał nazwać. W związku z Anną i jej śmiechem. Na temat człowieka. Granic. Dlatego musiał zostać sam. Wtedy usłyszał krzyk. Pożar!

Hanna wycierała blat kuchenny w oficynie. Trzepała właśnie za oknem ściereczkę. Wtedy dotarła do niej ta potworność. Której człowiek wolałby nigdy nie usłyszeć. Ale teraz nie miała wyjścia. Pożar! W biegu włożyła ścierkę do kieszeni fartucha.

Sara, Bergljot i służące siedziały w altanie, popijając sok. Zwierzały się sobie. Nie z tych największych spraw. Raczej drobnych, mało znaczących. Taki piękny był ten dzień. Mimo to nie mogły nie usłyszeć: Pożar!

Hanna pierwsza dobiegła do domu.

– Pali się na ciemnym stryszku! Coś leży na klapie. Nie mogę wejść. Przynieś siekierę! Sprowadź pomoc! – poleciła Dina.

– Czy ktoś tam jest? – krzyknęła Hanna.

– Nie wiem!

Sara z dzikim wyrazem oczu stała na schodach.

– Anna tam sprzątała!

– Anna! – odpowiedziały niczym echo służące, które właśnie nadbiegły.

Hanna przypędziła z siekierą, a kiedy pojawił się Wilfred, Dina zdążyła już wyrąbać szczelinę w zamkniętym włączniku.

– Może to ona leży na klapie – rzekła, wzywając Annę po imieniu pomiędzy szparami w deskach.

– Pozwól mi! – zawołał Wilfred.

Ale Dina nadal odrywała kolejne kawałki drewna.

– Gdzie jest Karno? – wrzasnęła Birgit. Nadbiegła jako ostatnia z dziewcząt.

Wszyscy wykrzykiwali w każdą stronę imię Karny.

– Boże miłosierny, żeby tylko nie okazało się, że leży tam na strychu – jęknęła Bergljot, niosąc w każdej ręce wiadro wody.

– Anno! Karno! – krzyczała Sara, pędząc w stronę studni.

Ciężki dym wydobył się z otworu i spowił Dinę.

Wilfred pobiegł nabierać wody. Wiadra trzaskały o cembrowinę. Stary żuraw piszczał, a drobne stopy dziewcząt śmigały przez podwórko.

*

Johan usłyszał dziwny śmiech, ale nie poświęcił mu większej uwagi. I śmiech ucichł. To pewnie służące szły przez pola. Takie dźwięki słyszało się często i w ogóle się ich nie zauważało.

Był w zadaszanej cumowni i szukał liny do łodzi. Chciał przy dobrej pogodzie zawieźć Dinę na jedną z wysp.

Nagle wyprostował się i zaczął nasłuchiwać.

– Pożar!

Cisnął trzymany w rękach zwój liny i rzucił się pędem w górę ścieżki prowadzącej do domu.

Kiedy Johan dotarł na miejsce, Dina zdołała już dostać się na strych. Zanurzył sweter w wiadrze z wodą i obwiązał sobie nim usta i nos.

– Kto jest na górze? – zawołał dziko.

– Dina. Próbuje je sprowadzić. Annę. Karnę. Nie słyszać ich...

Słyszeli, jak Dina kaszle, czołgając się po podłodze, i nawołuje Annę i Karnę.

Pod powałą zawieszona było stare krosno. Żarłoczne płomienie pochłaniały już sznury. Nagle rozbrzmiał głośny huk, a przez otwór wyrąbany w klapie spadł deszcz iskier.

Johan wykrzykiwał imię Diny, ale bez odpowiedzi.

– Coś upadło! Coś ciężkiego! – wrzasnęła Bergljot.

Johan odepchnął Hannę na bok i usiłował wejść na górę, ale dym uderzył go w twarz. Musiał się cofnąć o kilka stopni.

– Dino! – krzyknął. Ale nikt nie odpowiedział.

– Tutaj nie przejdziemy. Gdzie jest siekiera?

– Zabrała ją na górę! – krzyknęła Hanna i już biegła szukać drugiej.

– Wilfredzie! Pomóż mi! Musimy przebić się przez sufit w innym miejscu! – zawołał Johan.

Ale Wilfred stał przy studni. Hanna przekazała mu ten rozkaz, przebiegając obok w poszukiwaniu siekiery, która mogła być w schowku na drewno. Wilfred zerwał się i niosąc dwa pełne

wiadra, ruszył biegiem przez podwórko.

Johan zerwał ze ściany poddasza rozkładaną drabinkę. Prawie po omacku poszedł do izby, która w jego mniemaniu położona była najdalej od płomieni, i wspiał się na szczeble. Potem przypomniał sobie o siekierze.

– Gdzie siekiera?! – niósł się jego głos.

Hanna wskoczyła na stopnie i podała mu trzymaną oburącz siekierę. Potknęła się lekko o szczebel, ale trzymała ciężkie żelazo tak, jakby było ze szkła.

Johan w ślepej rozpaczy walił gdzie popadnie. Ale nie był w stanie się przebić. Nikt już nie ostrzył w Reinsnes siekier.

Bergljot wiedziała, gdzie jest jeszcze jedno narzędzie. Na ganku.

Wilfred zmienił Johana. Stanął mocno na drabince trzymanej przez Hannę. Uderzał w sufit z całych sił.

Johan wybiegł na korytarz mansardy, próbując przez rozrąbaną do połowy klapę gasić ogień od dołu. Ale płomienie tylko syczały. Jak rozdrażniony wulkan. Dym cofał się zaledwie na krótką chwilę, a potem wracał ze zdwojoną mocą. Woda i iskry leciały na Johana i spływały w dół schodów.

Kobiety oraz najstarszy z synów Olaisena biegali z wiadrami tam i z powrotem. Ale nadaremno.

A jednak Johan walczył dalej. Ktoś wyciągnął lniane poszwy z szafy z pościelą, zamoczył je w wiadrach z wodą i mu podał. Owinął sobie głowę i tors, a resztę rzucił w morze płomieni.

Przez cały czas wykrzykiwał ich imiona w inferno ognia. Ale musiał się wycofać. Krok za krokiem.

Wtedy Wilfred krzyknął, że właśnie się przebił.

– Muszę tu stać, żeby pomóc jej zejść! – zawołał, widząc, jak beznadziejnie to wszystko wygląda.

Wilfred chciał wejść na strych, ale otwór okazał się zbyt mały. Wówczas Hanna owinęła się mokrym prześcieradłem i poleciała:

– Podnieś mnie!

Z jej oczu bił autorytet i szaleństwo.

– Nie ma mowy! – odwrzasnął Wilfred, usiłując powiększyć dziurę.

Wtedy nadszedł dym. Gęsty jak ściana, duszący, kłębił się ku niemu, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Musiał zejść, żeby zaczerpnąć powietrza.

Hanna jednym susem znalazła się na schodach. Przed siebie rzuciła belę starego płótna. Koniec zostawiła zwisający w otworze.

Zanim pojął, co zamierza, już była na górze. Wśród kaszlu usłyszał słowa, żeby pilnował końca tkaniny i ściągnął ją na niej, kiedy zawoła.

– Jesteś szalona! – krzyknął z rozpaczą.

*

Dotarli już prawie na szczyt ponad połoninami. Stali, oddychając głęboko. Patrzyli w kierunku Vågen i na stromą ścianę górską po drugiej stronie. Głęboko w dole widać było pola i domostwa spowite zielonkawą mgiełką.

Peder pierwszy go zauważył. Dym.

– Muszą strasznie tam palić! – rzekł.

– Tak – odparł Beniamin, myśląc jednocześnie o pewnej sprawie, o której zapomniał poinformować wielebnego. Powoli zapalił fajkę i uspokajał oddech.

Rozmawiali przez chwilę o pogodzie. Było zbyt ładnie, żeby ryby brały. Gdyby chociaż odrobinę wiało.

Wtedy Peder uniósł nagle w powietrze całą dłoń. Z niedowierzaniem wpatrywał się w dal.

Czerwony jęzor lizał już dach głównego budynku. Lizał i rósł. Rozszerzał się szybko. I chociaż było jasno, wyraźnie widzieli snop iskier nad domem.

Przez tę chwilę, jaką zajęło im nabranie powietrza i zrozumienie, co widzą, w górę buchnęły kolejne płomienie.

– Pożar!

Beniamin rzucił się pierwszy. Zostawili plecaki na ziemi. Peder biegł najszybciej. Wkrótce znacznie wyprzedził pozostałych dwóch.

*

Teraz w dawnym suficie między domem a ciemnym stryżkiem były już wyrąbane dwie dziury. Świeże powietrze tchnęło w ogień nowe życie. Płomienie objęły nawet schody prowadzące do wjazdu. Wiadra z wodą donoszono coraz rzadziej. Służące i chłopiec byli wyczerpani.

Dochodzący z góry odgłos zduszonego kaszlu Hanny sprawił, że Wilfred zaczął wołać z jeszcze większą rozpaczą.

– Zejdź! Hanno! Zejdź!

Stał na drabince do wieszania zasłon i chlustał wodą w otwór. Johan znajdował się nieco niżej i podawał mu wiadra. Ale co chwilę musieli podbiegać do okna. Odetchnąć. Zamienić się miejscami. Schwycić wiadra. I znów do góry.

Potem gdzieś z krańca mokrej lnianej szmaty dobiegł schrypnięty głos. Jedno słowo „Ciagnij!”. I mężczyźni zaczęli ciągnąć.

W chwilę później przy otworze leżała Karna. Cenne sekundy mijały, a oni uwijali się, żeby znieść ją na dół. Była nieprzytomna, ale bez widocznych poparzeń. Oddychała.

Johan wyskoczył z nią na dwór, przekazał pozostałym i odwrócił się, żeby ponownie wbiec do domu.

Wtedy dostrzegł, że ogień przy obu kominach przebił się przez

dach i że płomienie wypędziły Bergljot i służące na schody prowadzące na piętro.

Stał sparalizowany paniką. Potem w otwartym oknie zobaczył Wilfreda.

Drabina! W dawnych czasach na ścianie obory zawsze wisiała drabina. Bergljot dźwignęła ją wspólnie z nim. Podstawili ją pod okno.

Wilfred krzyczał z góry coś, czego Johan nie był w stanie usłyszeć. Pochwycił kamień i się wspiał. Wybił szybę z ramy w drugim skrzydle okna. Uderzał na oślep. Ale szkło z hukiem spadło na stojącą poniżej Bergljot.

Kiedy wszedł do środka, dym był już obezwładniający. Rozrywał płuca. Słyszał niewyraźnie, jak Wilfred stojący na drabince walczy o każdy łyk powietrza. Za coś ciągnął. Potem chwiejnie podszedł do okna.

Johan zdarł koszulę i obwiązał nią usta i nos. Na szczycie drabinki zobaczył zarys jej ramienia. Zwisało z otworu. Ręka Diny.

Pociągnął, ale była zaklinowana. Coś musiało na nią upaść.

– Boże jedyny! Wspomóż mnie grzesznego – modlił się, powtarzając głośno te trzy wyrazy ciągle od nowa.

Gdy pojął, że jeszcze nie jest za późno, zebrał resztkę sił, których istnienia nawet nie był świadom. Więc chyba oszczędzał je na tę chwilę. Na ten jedyny moment.

Ciągnął tak, że miał wrażenie, jakby na drugim końcu był cały dom. Ogień dudnił w górze. Coraz bliżej.

Nie słyszał Wilfreda. W panice uznał, że mężczyzna zszedł na dół, żeby się ratować. Uczucie samotności nie do zniesienia sprawiło, że prawie się poddał.

Po raz ostatni odwrócił się plecami do otworu i pociągnął. Wtedy

się udało! Oboje spadli z drabinki.

Powstał i zaczął ciągnąć ją po podłodze, wołając Wilfreda na pomoc. Musiał podbiec do okna, żeby zaczerpnąć powietrza.

Stał tam Wilfred, który ze świszczącym oddechem zwisał na zewnątrz całą górną połową ciała. Uniósł stopę i jednym kopnięciem wybił resztę szyby z framugi, aby starczyło miejsca dla nich obu.

Ale złapanie powietrza zajęło im tylko ułamek sekundy. Wspólnie schwycili Dinę i przynieśli ją pod okno.

*

Kobiety ściągnęły pod okno z oficyny i pozostałych budynków całą pościel i wszystkie kołdry, jakie tylko znalazły. Za późno już było, żeby przejść przez główny dom. Johan zerwał materac z łóżka i wyrzucił go przez okno.

– Zabierzcie drabinę, żeby na nią nie spadła – krzyknął w dół. Tak uczyniono. Przełożyli Dinę przez okno. Trzymając ją pod pachami, Johan wychylił się najdalej, jak potrafił, a potem puścił.

Kiedy się odwrócił, jak przez mgłę dostrzegł sylwetkę Wilfreda, który ponownie wspinał się na drabinę. W tym momencie przepalone belki zawaliły się, uderzając z ogromną siłą w podłogę. W mgnieniu oka cała izba stanęła w płomieniach. Inferno upomniało się teraz o nich.

Johan na własnym ciele pojął, dlaczego w piekle jest gorąco.

– Zabierzcie ją, żebyśmy mogli skoczyć – krzyknął.

Ludzie na dole zgromadzili się wokół Diny. Chwilę trwali w bezradnym milczeniu. Sprawiali wrażenie, że nie do końca pojmują, co się stało.

– Skacz! – wrzasnął Johan prosto w ucho Wilfreda. Jakby oddzielało ich całe morze.

– Hanno! – krzyczał w płomienie Wilfred.

– Jest za późno! – odkrzyknął brutalnie Johan i schwycił go, żeby zaciągnąć do okna.

Tamten się wyrwał.

– Oszalałeś! – zawołał Johan.

Wilfred nie zwracał na niego uwagi. Chwiejnym krokiem przedarł się przez dym do drabinki, stojącej w pomieszczeniu jak jeden wielki słup ognia. Na górze dudniło. Belki spadały.

Johan się zatoczył. Potem poczuł rozpaczliwą wściekłość. Chyba marzył o niej przez całe życie. Wreszcie nadeszła. Postąpił kilka kroków w stronę Wilfreda i uderzył go w plecy. Walił w głowę, czując, że trafia.

Pozostawało zawlec go do okna. Był długi i ciężki. Miał wrażenie, że to nigdy się nie skończy. Czuł, jak włosy zaczynają mu płonąć. Usiłował zgasić je ramieniem.

W końcu przerzucił mężczyznę na zewnątrz, krzycząc coś ku kredowobiałym twarzom w dole.

Nie pamiętał chwili, w której sam wyskoczył. Ale najwyraźniej tak zrobił. Bo otworzyło się nad nim wielkie, jasnobłękitne sklepienie.

Później czuł już tylko, jak odciągają go jak najdalej od piekła. Kiedy odzyskał oddech, próbował sprawdzić, czy coś ma złamane. Przemóżne zmęczenie rozlało się w każdym, nawet najmniejszym mięśniu. Odwrócił głowę. Powoli.

Wtedy ją zobaczył. Położyli ją na poplamionej sadzą kołdrze. Włosy miała spalone. Cała prawa część twarzy była zwęglona. Pokryta dodatkowo skorupą kurzu, zebranego przez dziesiątki lat na strychu w Reinsnes. Ramię i górna połowa ciała wyglądały jak spuchnięta masa owinięta w zwoje spalonych szmat.

Szyję miała przedziwnie nietkniętą. Białą i młodą. Ale nie całkiem mleczną. Tak jak za pierwszym razem, kiedy ją zobaczył.

Usiłował zrozumieć, co widzi.

Wyrwał się z niego krzyk podobny do jęku umierającego byka. W rękach rzeźnika, któremu ześlizgnął się nóż, bo nie przewidział tak ogromnego oporu.

*

Synowie Olaisena stali pod płotem okalającym ogród i wpatrywali się w ognisko, które hucząc potężnym płomieniem, wznosiło się ku niebu. Najstarszy trzymał za rękę najmłodszego.

Przez długi czas nikt nie znalazł ani chwili, żeby z nimi porozmawiać albo się o nich zatroszczyć. A przynajmniej dopóki dla pozostawionych w domu była jeszcze nadzieja.

Każdy chciał być na miejscu, kiedy ludzie będą wynoszeni. Żeby wiedzieć. Pomagać. Jeśli nie w inny sposób, to chociaż wstrzymując oddech. Albo oddychając.

Kiedy zawalił się dach, Wilfred skoczył w stronę głównych schodów. Z uniesionymi ramionami i zaciśniętymi pięściami.

– Hanno! Wyjdź! Mówię, wyjdź! Słyszysz, masz natychmiast wyjść! Pamiętaj, że masz czwórkę małych dzieci!

W tym momencie najstarszy, dziesięcioletni Rikard, był już starym człowiekiem. Zebrał braci i wszyscy zbili się w gromadę pod ogrodowym płotem.

Sara, kulejąc, podbiegła do nich i razem osunęli się na zieloną trawę. Ale po pewnym czasie gorąco tak bardzo przybrało na sile, że ponownie musieli zmienić miejsce.

Od czasu do czasu buchały snopy iskier.

Chłopcy kurczowo trzymali się Sary. Tulili się do jej dłoni i spódnicy. Z taką siłą, że nie dałoby się ich oderwać.

Karna wiele razy odzyskiwała przytomność. Ale wtedy nadchodziły kolejne napady. To przez to potworne światło. Nie chciała w nie wchodzić.

Otwierając za którymś razem oczy, zobaczyła Johana klęczącego nad zawiniątkiem ułożonym na białym kocu. Polewał je wodą. Wiadro za wiadrem. Nie dostrzegał jej. Karny. Nikt jej nie zauważał.

Każdy miał dość spraw, którymi musiał się zająć. A wszędzie błyskało to migotliwe światło. To nie była prawdziwa pieśń morza, tylko dudniący senny koszmar. Światło powinno być nieruchome albo wydawać potężny, spokojny dźwięk. Ale na pewno nie powinno grzmieć.

Gdzie był Peder? Czy on też ją opuścił? W końcu nadszedł. Wziął ją na ręce i zaniósł gdzieś do środka. Wisiał tam głośno chodzący zegar. Zegar Stine.

Wtedy sobie przypomniała. Ciemny strych. Stine mówiącą, że zapomniała o Biblii. A może chodziło o coś innego? Peder pachniał nocą świętojańską. Czy to ona nim pachniała? No przecież. Ognisko. W tym roku było ogromne.

– Prawda, Pederze, że to tylko ognisko? – chciała zapytać. Ale nie była pewna, czy wydobył się z niej jakikolwiek dźwięk. A on ją obejmował. Od czasu do czasu mówił coś o ujściu z życiem.

Wtedy szyby pękły na drobne kawałki. Rozprysnęły się po podłodze. A do nich dotarł głos Olaisena. Pełen strasznego gniewu i stłumionego płaczu.

– Pomóż mi wyjść! – udało jej się w końcu powiedzieć.

Peder najpierw potrząsnął głową, a potem poddał się i wyniósł ją na podwórko.

Pierwsze, co zobaczył Beniamin, to Wilfred Olaisen stojący z zaciśniętymi pięściami i usiłujący groźbą zmusić Hannę do opuszczenia płonącego domu. Nie chciał tego oglądać. Szaleństwa. Płomieni. Ale musiał!

W chwili największego zamętu zarejestrował, że wśród ludzi stojących dookoła brakuje Anny. Bezradnie podszedł do kogoś. Nie widział zbyt wyraźnie.

– Anno?

Istota ludzka tylko bez słowa objęła go ramionami.

– Anno? – krzyknął.

– Ona jest w środku! Za późno... – płakała istota.

Wyrwał się i pobiegł do buchającego płomieniami domu. Gorąco powaliło go na ziemię. Leżał z twarzą ukrytą w chłodnej trawie i czuł świeży zapach koniczyny i czarnej gleby.

*

Karna starała się wydobyć z siebie słowa. Te najważniejsze. Słowa Stine. Musiała pomóc Wilfredowi wydobyć Hannę.

Usiłowała się podnieść. Ale to nie było łatwe. Chwyciła się gołębnika. Kilkakrotnie wciągnęła powietrze. Otworzyła usta. Jednak nie wyszedł z nich żaden dźwięk.

Gdyby tylko Peder był obok i ją podtrzymał, to nie musiałyby zużywać na samo stanie tylu sił. Ale on próbował odciągnąć Wilfreda od ognia.

Więc musiała poradzić sobie sama. Otworzyła usta. Nabrała powietrza. Poczowała ciężki dym wypełniający jej ciało. Zmuszona była zakaszleć. Schwyciła się mocno pala podtrzymującego gołębnik. Wtedy jej się udało. Głos w końcu znalazł drogę. Poniósł melodię, którą Anna zawsze śpiewała w kościele.

„Gdyby i mnie całego...”

Znów zgubiła melodię i musiała zacząć od nowa. Ale tym razem śpiew wzniósł się dookoła. Wysoko ponad huczące ognisko.

Gdyby i mnie całego
Przeszyły jasne tony,
A pieśń ku chwale Jego
Rosła pod nieboskłony
I trwała dzień i noc,
To nic to wobec tego,
Jak wielka Boga moc.

Gdybym miał opowiadać
O latach mej młodości
I sens próbować nadać
Jej smutkom i radości,
Nie mógłbym nic innego,
Niżli pokłony składać
Niezwykłej łasce Jego.

Niech tka się nic istnienia,
Póki nie minie czas,
Niech blask Twój opromienia
Drogę przed każdym z nas,
Niechaj Jezusa imię
Zbliży nas do zbawienia
Gdy żywot nasz upłynie.

Karna zaczęła od nowa. Wersy same pojawiały się w jej głowie.

Sara i chłopcy klękali. Dołączył do niej szorstki, niepewny głos Johana. Tego potrzebowali. Nieśmiały chór popłynął w stronę płomieni. Dzikie krzyki Wilfreda ucichły.

Rozdział dwudziesty

Mała łódka Karny miała piękne wręgi i zgrabny kadłub. Była łatwa w wiosłowaniu i lekka. Prezent od babci, zbudowany w stoczni Olaisena.

Dzisiaj siedziała w niej nietypowa załoga. Anna nauczyła się używać wiosel, ale nigdy jeszcze nie wypłynęła tak daleko.

Śmiech ucichł już dawno temu. Choć sama tego nie zauważyła. Po prostu płynęła przed siebie. W sumie chyba od pierwszego dnia swojego pobytu w Reinsnes kierowała się ku morzu. Tylko po prostu o tym nie wiedziała.

Łódź tam była. Czekala przycumowana za niewielką skałą. Wystarczyło wskoczyć na pokład. Teraz ręce miała już pokryte pęcherzami, a ląd był bardzo daleko. Ale ona tego nie dostrzegała.

Czekała na wiatr. To nie potrwa długo. Drżące słońce stało wysoko na niebie. Powierzchnia morza była jak pokryta olejem.

Od czasu do czasu czuła uderzenia fal. Powolne. Niosły ją i wabiły. Odłożyła wiosła, żeby trochę odpocząć. Było jej dobrze. Tutaj nie docierał nawet odgłos morza. Nie w taki dzień.

Skały i plaża były tak daleko. Słyszała tylko delikatny szum. Niedostrzegalny wiatr? Czy dźwięk dochodził z wewnątrz? Z niej samej?

Chcąc wstać, wsparła się na burtach. Doznała nieuchronnego kołysania pod stopami. Morze. Wieczny ruch.

Kiedyś zawsze czuła przed nim pewną obawę. Ale nie dziś.

Pochyliła się i sięgnęła po wiosła. Wyprostowała się. Potem wysunęła je z dulek. Po kolei puściła je na wodę. Niemal bezdźwięcznie dotknęły powierzchni morza, lekko tylko uderzając o burtę.

Teraz była wolna. Rozpuściła włosy. Szpilki również wrzuciła do wody. Były takie lekkie. Przez chwilę unosiły się nad tonią, a potem zniknęły.

Wtedy nadeszło to, na co czekała. Wiatr porwał jej włosy i wślizgnął się delikatnym chłodem pod ubranie. Potem cała powierzchnia morza poszarzała i zaczęła ożywać. Kawałek po kawałku. Kolejne fragmenty, aż po horyzont. Woda nie niosła groźby czy gwałtowności. Raczej delikatną pieśczętę.

Kiedy podjęła decyzję, uniosła wzrok i spojrzała na ląd. Zamknęła oczy i otworzyła je ponownie.

Nie czuła już bólu. Przeminał. Wszystko minęło. Ból nie był czymś, co dotknęło ją teraz. Pojawił się już wcześniej. Dawno temu. Tylko nie chciała tego dostrzec.

Zbudowała swoje życie na czymś nieistniejącym. To nie było nic szczególnie wyjątkowego. Wielu ludzi tak czyniło. Ale była pewna różnica. Nie chciała tego życia. Było zbyt ciasne, małostkowe. Zanadto...

W całej zieleni dookoła domy zdawały się tak bardzo białe. Ale to na nic. To było gdzieś w innym miejscu. Słońce ponad dachami miotало błyskawice. Jedną za drugą. Nic nie mogła poradzić na to, że uważała, iż to piękne.

Nie zniknęła wszak całkiem? Ta tęsknota za tym, żeby wszystko

było tak, jak wierzyła. Jak chciała wierzyć.

Ale teraz już nie miała wiary. Widziała. Wyraźnie. Nie chciała być niewiele znaczącym trybikiem w malutkim życiu. Nigdy!

Ponownie zamknęła oczy, przygotowując się. Ale cierpienie wypełniło całe jej ciało. Zaczęła drżeć. Musiała poczekać, aż się uspokoi. To nie potrwa długo.

Łódź dryfowała teraz żwawo przed siebie. Wiatr jej pomagał. Wkrótce domy znikną jej z oczu. Wtedy będzie łatwiej. Wiedziała to przecież.

Po chwili otworzyła oczy. Ale domy w Reinsnes nie zniknęły. Niebo nad nimi miało taką piękną barwę. Niespokojną i rozedrganą, jakby machało jej dłonią.

Najpierw pojawił się tylko obraz, który jakby jej nie dotyczył.

Potem pojęła. Słup ognia wznosił się ku niebu. Nie, wiele słupów. Tam był pożar! Reinsnes płonęło!

Anna usłyszała własny krzyk niosący się po wodzie. Bez echa. Był taki rozdzierający. Taki bezsilny. Tak zupełnie pozbawiony znaczenia.

– Karna! Moje dziecko! Lampa...

Usiadła, a potem potykając się o ławki, rzuciła się na dziób łodzi i zaczęła szukać wiosel. Nie było ich nigdzie. Chwytała się burt, a łódź się kołysała, przechylała i jęczała. Pełzała po niej, przechylając się gwałtownie i rozgarniając wodę dookoła.

Ale to wszystko na nic się zdało. Pomyślny wiatr, na który tak czekała, właśnie nadszedł. Dryfowała na pełne morze.

*

Chodził od jednego do drugiego. Zaglądał im w twarze. Pytał. Anna? Dlaczego znalazła się w domu?

– Podobno razem z Karną sprzątała na stryszku. Hanna i Dina

chciały po nie pójść... – rzekł Johan.

Przez chwilę czuł wokół siebie jego ramiona. Aż chwiejąc się, ruszył dalej. Anna? To nie mogła być prawda?

Wokół niego grzmiało i dudniło.

Wtedy zauważył Dinę. Leżała całkowicie bez ruchu. Od czasu do czasu unosiła powieki. Co chwilę wstrząsały nią drgawki.

Doktor Grønelv zobaczył od razu, jak się sprawy mają dla tej istoty ludzkiej.

Ale Benjamin tego nie pojmował. Uczepił się myśli, że jego torba doktorska pozostała w sali sypialnej. Jakiej sali?

*

Szedł przez pole bitwy. Ranni wzywali swoje matki. Trzeba było ich pozbierać i przenieść do lazaretu. Nie miało znaczenia, jak wyglądają. Na nosze z nimi. Przez deszcz iskier. Wystrzały. Do szpitala polowego.

Jego rozkazy śmigały dookoła. Evert miał popłynąć po pomoc. Trzeba było zagotować wodę. Czystym prześcieradłem, jeśli jakieś zostało, niech nakryją ławę do spania w oficynie.

Zawołał. Karna! A ona przyszła. Złapała razem z nim. Karno, zrób to i to, powiedział z powagą.

Karna zaś wykonywała wszystko, o co ją poprosił. Byli na wojnie. Pomagali okaleczonym. Skazanym na śmierć.

– Usiądź przy niej! Zaraz wracam! – zawołał.

I Karna usiadła.

*

Niekiedy z płomieni wyglądała Anna. Miała na sobie jasną suknię. Tę, którą zapamiętał z pierwszego poranka. Czyżby od tamtej pory nie widział jej ubranej w tę suknię?

A samą Annę? Czy od tamtego dnia kiedykolwiek zauważył Annę?

*

Ludzie zaczęli zjeżdżać się ze Strandstedet i okolicznych wiosek. Olbrzymia łuna widoczna była z morza i z dużej odległości na lądzie. Przybywali z wiadrami. Linami. Płachtami.

Ale jeszcze zanim łodzie zaszurały o kamienie, już wiedzieli, że nie pozostaje im nic innego, jak ustawić zaporę i polewać ją, żeby uratować pozostałe zabudowania. Mogli już tylko strzec okolicy.

Prawie nie rozmawiali. A jeśli już się odzywali, to tylko w kwestii prac możliwych do wykonania za pomocą rąk. Pójścia tam, dokąd stopy mogły donieść.

Kiedy wiatr zrywał się nad fiordem, nie mogli nawet powiedzieć, że to dobrze, iż tutaj jest zacisznie. Najgorsze już się zdarzyło. Nie musieli o tym szeptać. Wszystko mieli wypisane na twarzach. Zginął człowiek. A pani Dina tutaj leżała.

Mali chłopcy zostali zabrani z Reinsnes razem z Sarą. Byli całkowicie oniemiałi. Pozwolili prowadzić się za ręce i posadzić na ławce w łodzi.

Beniamin zabrał Pедера na stronę.

– Musisz przywieźć to, co zapisałem na liście. Z gabinetu. Nie zapomnij o proszku! W najwyższej szafce zamkniętej na klucz. Znajdziesz go w pojemniku na biurku. Nie da się z niczym pomylić.

– Co to jest?

– Morfina na ból. Pośpiesz się! Weź moją łódkę i nie czekaj na pozostałych!

*

Pod wieczór trzy poczerniałe od sadzy kominy stały wpatrzone

w jasne, błękitne niebo. Ale ciągle się tliło. Czający się jezior ognia co chwilę znajdował jeszcze coś do strawienia. Drag, zwęgloną nogę od krzesła. Żałosny kawałeczek czegoś, co nie zostało jeszcze całkowicie unicestwione.

Wilfred Olaisen w wysokich ochraniaczach na butach chodził dookoła pogorzeliiska. Nie do końca wiedząc, jak może wyglądać to, czego szuka.

Pochylony, z poszarzałą twarzą. Usiłował przechytryć rozżarzone popioły. Wkraść się pomiędzy nie. Ale ciągle od nowa zmuszony był się poddać.

*

Beniamin nie zdołał oszczędzić Karnie widoku Diny. Siedziała przy niej, jeszcze zanim przeniesiono Dinę do oficyny. Nawet nie przyszło mu do głowy zdziwić się, że nie upada.

Spalone doszczętnie resztki ubrań wysychały na ciele Diny. Od pasa w dół ubrał ją w świeżą odzież. Przy pomocy Bergljot i Johana.

Nakazał sobie, że zdejmie każdą nitkę osobno. Później. Ale głęboko w środku wiedział. Spalonego ciała nie da się oczyścić. Głowy. Połowy twarzy. Większej części piersi i ramienia nawet nie należało dotykać.

Postarał się zbudować nad jej piersią coś w rodzaju namiotu. Z czystych szmatek. Johan mu pomagał. Szybko przygotowali stojak ze stalowego drutu, żeby ściereczki nie przylegały do powierzchni rany.

Jednak przez cały czas musieli przy niej czuwać, bo leżała niespokojnie i jęczała.

Ale to ją zasłaniało. I oszczędzało widoku obecnym.

Przez pierwsze godziny trudno było ustalić, czy jest przytomna.

Zdolna widzieć i słyszeć. Otworzyła dwoje przekrwionych oczu. Wtedy usłyszeli jęk. Dźwięk dochodzący z głębi trzewi, przedzierający się przez struny głosowe.

Chciał wyprowadzić Karnę. Ale ona odepchnęła go tylko i pozostała na miejscu.

Kiedy Dina znów zrobiła się spokojniejsza, Johan rzekł cicho:

– Wyjdź zaczerpnąć oddechu. Będziemy potrzebowali dużo siły.

*

Beniamin i Karna siedzieli blisko siebie na schodach werandy w oficynie. Z twarzami zwróconymi ku morzu.

Nie patrzyła na niego. Spoglądała na punkt gdzieś w oddali. Potem zaczęła drzeć.

– Ja to zrobiłam.

W tej samej sekundzie, w której przebrzmiały jej słowa, pojawił, co miała na myśli.

– Nie! – odrzekł stanowczo.

– Nie zmienisz tego. Przewróciłam lampę.

Objął ją. Mocno. Trzymał. Dzielił ich tylko oddech. Wspólny oddech.

– Byłyście u góry razem z Anną?

– Nie, tylko ja – i lampa. Pewnie przyszła później, żeby mi pomóc.

– Dostałaś napadu, prawda? I lampa się przewróciła?

– Chyba tak – szepnęła.

– Ale za to nie możesz się obwiniać. Słyszysz!

– Może nie byłam w stanie uznać, że jest jakieś inne wyjście, niż żebyśmy wszyscy zniknęli.

– Karno. Moja droga, kochana Karno...

Wtedy wymówiła te słowa.

– Anna zrozumiała.

– Co takiego?

– Wszystko. To z Hanną.

– Z Hanną?

– Wilfred jej powiedział. Słyszałam każde słowo. Nie powinnam mówić ci tego teraz. Ale nie daję rady znieść takiej samotności. Bo przecież umrzemy. Wszyscy. Teraz to wiem. A niewypowiedziane słowa staną się przekleństwem.

– Co mówił?

– Że Hanna do wszystkiego się przyznała. Że się kochacie i nie możecie się oprzeć... Zaskoczył was w łodzi. Wiedział to od wielu lat, ale nie chciał nic mówić Annie. Ale stwierdził, że skoro pytała, to musi odpowiedzieć. A teraz już jej nie ma.

Nie czuł ławki pod sobą. Ani rąk. Ani ramion, którymi ją obejmował. A jednak powtarzał głośno i wyraźnie, że nie ma racji, sądząc, że ponosi winę za przewrócenie lampy. Nikogo nie można obwiniać za coś takiego.

Wtedy spojrzała na niego. Szeroko otwartymi, pełnymi niedowierzania oczami.

– Biedny tatuś Beniamin.

Peder nadbiegł od strony przystani, niosąc to, po co został posłany. Beniamin wstał i wziął od niego przedmioty. Pośpiesznie je przejrzał. Wszystko było.

– Dziękuję! – rzekł ochryple i wszedł do środka.

*

Beniamin i Johan siedzieli przy Dinie. W stanie czujnej drzemki. Obaj wiedzieli, że to tylko kwestia czasu. Nie byli w stanie ze sobą rozmawiać. Mieli tylko nadzieję, że koniec nadejdzie, zanim Dina całkowicie się ocknie.

Ból. Widzieli go i słyszeli. Starali się pomóc jej go znieść. Ale nie potrafili pojąć jego rozmiarów.

Słyszeli bezsilne krzyki. Wołała Hjertrud. Mamę.

Może jest tak, pomyślał Benjamin, że człowiek zostaje wysłuchany, kiedy najbardziej tego potrzebuje. A przynajmniej ten jeden, jedyny raz?

Pod wieczór w jej jękach pojawiło się imię. Leo. Oderwane słowa, cytaty. Pozornie bez sensu.

Benjamin podał jej trochę morfiny. Uspokoila się nieco.

Od czasu do czasu zwracał twarz w stronę okna. Siedział tak, aż zobaczył Annę wynurzającą się z tłęcej się czarnej masy.

Około północy Dina otworzyła oczy. Podniosła ocalałe ramię do twarzy i próbowała unieść głowę. Ale opadła z powrotem z bezradnym, pytającym spojrzeniem.

– Po prostu powiedz im, żeby przyszli mnie zabrać – wybełkotała przez zaskorupiałą ranę w miejscu, gdzie kiedyś były usta.

Johan pochylił się nad nią.

– Kto?

– Referendarz i woźny sądowy... niech przyjadą.

– Dino! – szepnął tuż przy jej twarzy.

Oddychała ciężko, próbując odepchnąć stojak ze ściereczkami. Benjamin wstał i go zabrał. Obaj pochylili się nad nią.

– Mamo, jestem. Benjamin jest przy tobie.

Ujął jej ocalałą rękę. Czekał.

Johan podał jej wody na łyżeczce. Wciągnęła ją łapczywie. Przełknęła. Odepchnęła go. Żeby już w następnej chwili schwycić go spaloną dłonią. Krzyk wstrząsnął ścianami.

– Johanie! To ja... go zrzuciłam. Mamo, nie zostawiaj mnie!

Otworzyła oczy i wpatrywała się w głąb izby.

- Leo! – wysapała, ciężko oddychając.
- Dino, poznajesz mnie? – zapytał Johan.
- Tak... wybaczenie...

Skinął głową w stronę Beniamina.

- Musimy zostać sami. Ona potrzebuje pastora.

Beniamin wyszedł na podwórze. Stanął przy krawędzi studni. Wyciągnął pełne wiadro. Przelewał chłodną wodę między palcami. Obmywał nią twarz.

A więc to Johan musi pomóc jej się wyzwolić. Jeśli będzie w stanie coś powiedzieć. Johan, którego nikt nie brał pod uwagę.

*

Dwaj rybacy przekraczali fiord Andfjorden w drodze na północ. Była dobra pogoda, więc chcieli żeglować po zewnętrznym szlaku. Jeden z nich zauważył daleko na morzu coś przypominającego małą łódkę.

Początkowo nie dostrzegli ani wiosła, ani śladu człowieka. Ale łódź płynęła i ktoś przecież był jej posiadaczem, więc zmienili kurs i posuwali się teraz w jej stronę po zalanym słońcem morzu.

Kiedy byli już dostatecznie blisko, zauważyli zawiniątko leżące między ławkami. Kobieta. Usiłowała owinąć się szalem i sprawiała wrażenie dość zagubionej.

Wiosła nigdzie nie było. Dwaj rybacy zabrali znaną ludzką istotę na pokład swojej łodzi, a małą łódkę wzięli na hol. Nałożyli na kobietę własne ubrania i usiłowali wybadać, skąd się tam wzięła. Ale nie była przesadnie rozmowna, więc zostawili ją w spokoju.

Zamierzali płynąć dalej na północ, do najbliższej osady, i jak już kobieta trochę się rozgrzeje, tam ją zostawić.

Ale wtedy odzyskała mowę.

– Zawieźcie mnie do domu, do Reinsnes! Proszę!

*

Ludzie spali na zmianę. Czy w ogóle sypiali? Rozkładane łożka i pokryte sadzą materace rozmieszczono w oficynie i w izbie czeladnej.

Przekonano Wilfreda, aby z kilkoma mężczyznami ze stoczni popłynął do Strandstedet. Trzeba było zastąpić ich nowymi, wypoczętymi ludźmi, żeby czuwali przy pogorzeliisku.

Był w stanie mówić beładnie tylko o praktycznych sprawach. Od czasu do czasu zaczynał rozpaczliwie łkać. Peder przemawiał do niego. Z pozoru zupełnie bez efektu.

W chwili, gdy łódź odbijała od brzegu, mężczyzna zaczął gadać, że zamierza podwoić kwotę ubezpieczenia domu. Żeby Hanna i chłopcy coś po nim dostali.

Dwaj mężczyźni ze stoczni zaczęli coś pomrukiwać między sobą. Czyżby Olaisen stracił rozum? Jeden pobiegł po radę do doktora Grønrelva. Doktor wyszedł i ich wysłuchał. Potem skinął głową.

– W porządku! Zabierzcie go do Strandstedet!

Mężczyzna nie dopytywał więcej, przemknął się tylko z powrotem na plażę.

– Co doktor powiedział? – zaczęli dociekać pozostali.

– Nooo... to, zdaje się, za wiele również dla doktora. Chyba nikt z nich jeszcze nie rozumie... nikt.

Minęła połowa nocy. Johan spał na siedząco. Za każdym razem po kilka minut. Benjamin nie był w stanie. Nie rozmawiali o tym, co powierzyła pastorowi. I tak nie można było powiedzieć tego nikomu innemu. Ale Johan miał twarz człowieka, który wiedział.

Wtedy otworzyła oczy. Z wielkim wysiłkiem wypowiedziała kilka krótkich słów. Ale wyraźnych. Chciała zobaczyć Karnę. Sam na

sam.

Przyprowadzono Karnę, a oni wyszli. Jednak Beniamin chciał zostać pod drzwiami. Na wypadek gdyby upadła.

Brak snu zaczynał go osłabiać. Obrazy, zdarzenia i twarze ustawiały się szeregiem w jego wyobraźni. Nie do końca potrafił powiedzieć, co już się wydarzyło, a co dzieje się obecnie.

Peder przyszedł do niego, mówiąc coś o tym, że zniknęła łódka Karny. A Beniamin pomyślał, że ludzie rozprawiają teraz o najdziwniejszych rzeczach.

Jednak jego ciało działało jak maszyna. Stawiał jedną stopę przed drugą i jeśli trzeba, przytrzymywał się framugi drzwi. Opatrując Dinę, będzie miał stabilną rękę. Będzie mówić ciche, kojące słowa i mieć nadzieję, że go usłyszy.

Przez całą noc powtarzał to dawne słowo z dzieciństwa: Mama. Raz po raz. Czy go słyszała?

Nigdy nie widział człowieka doznającego takiego bólu. Nie tak długo. Pod Dybbøl? Nie. Nawet tam nie. Musiał przejść to razem z nią. Jeśli ona była w stanie, to i on potrafił.

To dlatego wysłała go na nauki. Żeby pomógł uśmierzyć jej ból. Chociaż trochę. Po to chyba się urodził.

A czego się nauczył? Niczego. Stał, utrzymując swe ciało prosto tylko dzięki framudze.

Chyba zasnął, bo Anna pojawiła się tak blisko.

Bez słowa przyniesiono mu krzesło. Jednak nie usiadł. Bał się, że nie obudzi się na czas. Bo przecież Karna była w środku. Musiał ją schwycić, kiedy będzie upadać.

Ale Karna wyszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Spróbuj teraz zasnąć, tatusiu. Obudzę cię...

Taka prosta informacja. Jakby to ona była tutaj najstarszą

osobą. A nie jego chorą na padaczkę Karną.

*

Położył się na materacu obok łóżka Diny.

Wtedy Anna wyszła z mgły i zbliżyła się do niego. Jednocześnie trzymała go w ramionach i się zbliżała. Niosła go. Kiedy podeszła blisko, odebrał z jej rąk samego siebie.

– Anno?

Zerwał się na równe nogi, nie wiedząc, jak to się stało.

Wtedy dobiegł go ochrypły głos Diny:

– Nie znalazłam jej.

Johan podniósł się z krzesła i wyszedł. Benjamin nie zauważył go wcześniej. W tej jasności trudno było dostrzec ludzi.

Usiadł na krześle i w obie swoje ręce ujął dłoń Diny. Dźwięki dochodzące z gospodarstwa i reszty domu zniknęły.

Leżała, poruszając się niespokojnie. Oddychała z trudem. Ale odwzajemniła spojrzenie.

– Poznajesz mnie? – zapytał.

– Tak! Beniaminie...

Chciała coś powiedzieć. Ale nie była w stanie. Walka pochłaniała wszystkie jej siły.

Pochylił się bardzo nisko nad nią i szepnął „mamo”.

Wtedy spojrzała na niego prosząco. Człowiek w rozpaczliwej potrzebie.

– Beniaminie!

Skinął głową. Chwila nadeszła. Zmusił się, żeby oddychać. Spokojnie. Potrzebował pewnych rąk. Żeby odmierzyć proszek. Żeby jej go podać.

Ale ona pokierowała jego dłonią tak, że proszek rozsypał się wokół strupa, jakim stały się jej usta. Napotkał jej wzrok.

– Damy radę! Razem! – rzekł. Ukląkł na podłodze i położył głowę obok niej na poduszce.

– Szukałam... Nie było jej tam... – wykrztusiła. A po chwili:

– Potępiasz mnie, Beniaminie?

– Nie! Chciałem tylko, żebyś była ze mną. I przecież pojawiłaś się... wreszcie – odparł, ujawniając siebie do końca.

Po pewnej chwili zauważył, że w izbie jest Johan.

Przez chwilę oddychała nierówno, ze świstem. Potem otworzyła oczy.

– Mamo? Teraz?

Jej głos był cichy i wyraźny.

Wpatrywały się w nich otwarte, znieruchomiłe oczy.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Beniamin zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał przygarbiony. Potem chwiejnie zszedł po schodach i opuścił dom.

Szukał. Pracował łopatą i rękami. Przegrzebywał to, co już dostatecznie wystygło. Ludzie chodzili dookoła niego, ale nie wiedział, kim są. Kopał tam, gdzie kiedyś była piwnica na ziemniaki.

Jakiś inny zapach niż kwaśna woń dymu trafił go jak cios zadany pięścią w żołądek. Nigdy w życiu nie czuł podobnej woni. Słodkawego, brutalnego odoru spalonego mięsa.

Odrzucił na bok pozostałości zwęglonej belki dachowej i resztki spalonych szmat. Pod tym wszystkim zobaczył jej dłoń. Obrączka mówiła wszystko. Twój Wilfred.

W ten sposób dowiedział się, że to nie Anna.

*

Posłali chłopaka do Strandstedet, żeby przywiózł trzy trumny. Ludzie w rozpaczy chwyтали się spraw praktycznych.

Czterech mężczyzn ze stoczni jeszcze raz wspólnie z nim przeszukało całe pogorzelisko. Bez rezultatu.

Za każdym razem stawiając nogę na zgliszczach, Beniamin czuł,

że tratuje Annę. Poszedł do oficyny, ale to nie pomogło. Bo ona była też w deskach podłogi.

*

Poszedł wydeptaną ścieżką na wzgórze z masztem.

Ptaki morskie. Westchnienia dochodzące spomiędzy skał wydawane przez cofającą się, delikatną falę. Błyski słońca na płycznach. Ciemne połacie wody między nimi. Pod powierzchnią czekało czarne dno. Odwrócił się do niego plecami.

Tam była góra. Góra. Z której przed chwilą zbiegał po zboczu, a je w tym czasie pożerały płomienie. A może to było kiedy indziej?

Słońce szydziło z czarnej dziury. Kominy ciągle stały. Wśród słupów dymu wznoszących się niespiesznymi serpentynami.

Podszedł do ławki obok masztu z flagą. Starał się skupić wzrok na czymkolwiek gdzieś tam, w otchłani morza. Ale dostrzegał tylko wiatr. Słabe poruszenie w głębi źrenic. Jak mżawka. Niczym tryskająca znieńska woda fontanna na placu pośrodku nieznanego miasta. Gdzie spotykają się wszystkie ulice, a widok zbiega się w punkt widoczny z każdej strony świata.

Te wszystkie zapachy! Wonie lata. Czy sądzili, że stłumią jakoś woń śmierci? Słonawą, mdlącą, ostrą, dręczącą.

I te odgłosy! Cumujących i odpływających łodzi. Ludzi rozmawiających cicho o nieistotnych sprawach. Czasami jakichś kroków. Czyż nie wiedzieli, że dźwięki odbierają sobie nawzajem życie i że jedyną formą miłosierdzia jest cisza?

Położył się na ławce, podkładając sobie ramię pod głowę. Po chwili miał wrażenie, że zasnął. Ale myśli szalały. Nie niosły sensu. Spiętrzały się i zamieniały w ścianę.

Nie potrafił już zamknąć oczu.

*

Anna! Szła teraz ku niemu ponad połyskującymi morszczykami. Wydawała się nienaruszona pożogą. Owijała się mocno szalem. Najpierw jej kroki były nieco niepewne. Jakby brodząc, wynurzała się z morza.

Za jej sprawą powrócił do niego huk fal. Jakby ciągle jeszcze nie spał.

Pomyślał sobie, że nic nie jest w stanie odebrać mu obrazu Anny.

Teraz stała się ogromna i bliska. Pochylała się nad nim.

Wtedy poczuł ciepło. Ucisk. Na piersi. Czołe. Oszłamiający dotyk skóry. Chłodnej delikatności.

– Beniaminie!

Jej głos... Marzenie senne wszystko koło. Ciepła, gładka skóra. Nie mógł przestać tulić się do tego obrazu.

– Anno!

– Wybacz mi, Beniaminie!

Dlaczego to powiedziała? Była ubrana w męską marynarkę. Przetarł usta rękawem. Dlaczego nie miała na sobie własnych ubrań? Wycierał dłonie w spodnie tak długo, aż uznał, że są czyste.

Potem z wahaniem położył je na obcej koszuli, która spowijała Annę.

Rozdział dwudziesty drugi

WEJRZYJ NA UDREKĘ MOJĄ I NA BOLEŚĆ I ODPUŚĆ MI
WSZYSTKIE GRZECHY!

STRZEŻ MOJEJ DUSZY I WYBAW MNIE, BYM SIĘ NIE
ZAWIÓDŁ, GDY SIĘ UCIEKAM DO CIEBIE.

(Księga Psalmów, Psalm 25,18 i 20)

Kiedy chowano szczątki Hanny Olaisen, ludzie szczerze płakali.

Wielebny osobiście wygłosił mowę nad grobem. Prawił o odwadze poświęcenia się dla drugiego człowieka. Hanna Olaisen złożyła najwyższą ofiarę, próbując ratować czyjeś życie. Mówił ciepło o miłości bliźniego. I że nawet w najgłębszej tragedii Bóg ma swój zamysł. Nikt nie powinien czuć się przez Niego zapomniany.

Żałoba po Hannie stała się wspólną sprawą, dzięki której mogli zapomnieć o sobie samych. Świeciła im wszystkim przykładem. Gościinna i dobra za życia. A teraz zginęła, ratując innych.

Strandstedet nigdy nie miało własnego bohatera. Aż do tej pory. Za sprawą śmierci Hanny życie ludzi nabrało nowego sensu.

Widok czterech osieroconych chłopaczków i pięknego, bladego mężczyzny przydawał współczuciu prawdziwości. Ktoś napomknął,

że los potrafi tak ciężko doświadczyć. Inni mówili, że Bóg w swej mądrości kładzie ciężkie brzemiona tylko na ramiona wybrańców.

Kościół był wypełniony po brzegi. Podczas całej przemowy wielbego Wilfred Olaisen stał wyprostowany, z zamkniętymi oczami. Twarz miał poszarzałą, a pot perlił mu się na czole.

Światło było miłosierne, a chór od pierwszej ławki dzieliła spora odległość. Tak było lepiej, bo kobiety nie spuszczały go z oczu. Wypatrywały oznak jego bezbrzeżnego smutku.

Niezamężna córka kupca Hole nie była w stanie oderwać wzroku od Wilfreda Olaisena. Przęłykała ślinę, myśląc, jak pięknie położył dłoń na ramieniu najstarszego syna.

Sara siedziała razem z pozostałymi dziećmi, trzymając najmłodszego na kolanach. Byli jednym wielkim szarym smutkiem, który najwyraźniej nie dotknął panny Hole.

Wielebny na początku nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby panią Dinę na jej własne życzenie pochować jak marynarza. Daleko na morzu.

Ale Johan porozmawiał z pastorem w cztery oczy. Nigdy nie poznano treści tej rozmowy, kiedy jednak Beniamin i Anna zapytali, jak poszło, Johan tylko skinął głową.

– Zrobi to na własną odpowiedzialność. Szanuję za to pastora. Ale to ja odprawię ceremonię.

*

Zarząd okręgu chciał zbudować na rynku wielki portal ku czci zmarłej. Miał zostać przystrojony mnóstwem kwiatów, a nazwisko Diny Bernhoft miało zostać wypisane pod spodem złotymi literami.

Była najważniejszą osobą w Strandstedet, włożyła w to miejsce wiele pracy i zainwestowała niemało pieniędzy. Postanowiono, że kondukt żałobny przejdzie właśnie przez ten portal.

Wszystko wydawało się ustalone. Sprawom duchowym miano uczynić zadość w kościele, zarząd okręgu zaplanował budowę portalu, a na końcu morze miało dopełnić ceremonii.

*

Johan i Karna siedzieli w prywatnej części Grandu. Czytali na głos Biblię.

Tym, którzy się dziwowali, Bergljot wyjaśniała, że Karna jest w szoku i potrzebuje duchowego wsparcia. Kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Poza tym nie odzywała się wiele. Za to bardzo dużo robiła. Pilnowała wszystkich spraw i w doktorówce, i w Grandzie. Biegała między tymi miejscami, nosząc jedzenie.

Szeptała do pozostałych służących, że doktor całkiem posiwiiał i że cała rodzina waży łącznie tyle, że z łatwością mogłaby wziąć ich wszystkich naraz na plecy.

*

Od powrotu z Reinsnes prawie nie zamienili ze sobą słowa. Tylko się przytulali. Nie mieli odwagi spuścić tego drugiego z oczu. Bo mogło się coś zdarzyć. Co by to miało być, nie wiedzieli.

Pewnego razu wyszeptał:

– Co on ci powiedział tego dnia?

A ona odparła:

– Te słowa chyba utonęły gdzieś na morzu. Nie chciałam ich zachować.

Anna wiedziała, że całą sobą powinna teraz zwrócić się ku temu, co się stało. Ale nie mogła. Nie potrafiła zapłakać nad zmarłymi.

Pojęcie nienawiści było w jej uszach czymś nie do końca rzeczywistym. Aż do teraz. Kiedyś nienawiść była słowem, którego na przestrzeni dziejów używali mężczyźni chcący uzasadnić

potrzebę zabijania innych. Zawsze wydawała jej się czymś bezsensownym, zmarnowaną energią.

Ale w ciągu ostatnich kilku dni nienawiść zajęła w niej tyle miejsca, że nie potrafiła nawet przeżywać smutku.

Pewnej nocy, kiedy nie mogła spać, poczuła przypływ tak gwałtownej wściekłości, że nie była w stanie pozostać w łóżku. Wstała z uczuciem, że musi wyjść. Zacząć biec albo krzyżeć. Najchętniej poszłaby do męża i rozerwała go na kawałki.

Stała w korytarzu, wkładając płaszcz, kiedy jej wola wyjścia osłabła. Musiała się czegoś chwycić. Poczuć coś w dłoni. Podrzeć to na strzępy. Zanim zdążyła pomyśleć, gołymi rękami wyrwała ze ściany mosiężny wieszak.

Wtedy poczuła obejmujące ją ramiona Beniamina.

– Anno! Proszę cię, budź mnie, jeśli czujesz, że jest ci zbyt ciężko. Błagam cię, nie oddalaj się. Nie wytrzymam tego.

Mosiężny haczyk wypadł jej z dłoni i uderzył w stopę. Ból był przyjemny.

– Nienawidzę! Nienawidzę! Czy nie rozumiesz, jak bardzo nienawidzę? – wołała, waląc go pięściami w piersi.

Jego ciało zeszytniało, ale wytrzymał to.

– Tak bardzo nienawidzę...

– Czy chodzi o to, co ci powiedział... zanim to wszystko się stało...?

– Tak! Powinna była dostrzec i zrozumieć.

– Chodź! – rzekł tylko, prowadząc ją w górę po schodach.

Pomógł jej zdjąć płaszcz i ułożył ją w łóżku. Okrył ich oboje kołdrą.

Światło było takie bezlitosne. Nawet przez zaciągnięte zasłony. Jakby znaleźli się w prześwietlonej blaskiem lodowej bryle.

Wtedy usłyszała, jak do niej mówi.

– Powinienem był wszystko ci opowiedzieć. Ale bałem się, że nie zrozumiesz... To nigdy nie miało nic wspólnego z moim uczuciem do ciebie. A jednak powinienem był powiedzieć. Wtedy może to wszystko... Wtedy może nienawidziłabyś mnie mniej.

– Czy ja cię nienawidzę? – zapytała.

Spojrzał na nią w milczeniu. Jego twarz traciła wyraz. Oczy były zbyt blisko. Chciała od tego uciec. I pragnęła ukryć się w jego wnętrzu.

– Nienawidzę Wilfreda Olaisena za to, że przez lata pozwolono mu rozsiewać truciznę i zastraszać ludzi wokół siebie, i nikt poza Diną nie kiwnął palcem w tej sprawie. Nienawidzę go tak strasznie, że nie wiem, co mam z tym począć. Nawet smutek znika! Gdybym tylko była w stanie, to... to bym...

Najpierw patrzył na nią tak, jakby była kimś obcym. Potem z całej siły przycisnął ją do siebie.

– Nienawidzisz go za to, że opowiedział ci o Hannie i o mnie?

– Spotykałeś się z nią? – spytała szeptem.

– Tak.

Anna spojrzała ponad jego ramieniem. Lustro komody po prawej stronie u góry miało liczne rysy. Najwyraźniej wilgoć niszczyła je od tyłu.

– Dlaczego?

– Potrzebowała mnie. A ja z tego korzystałem.

Słyszała słowa. Co to jest za rozmowa? – myślała. Z kim właściwie rozmawiam?

– Teraz to dostrzegam. Kiedyś dałem Hannie powód do myślenia, że będziemy razem. Zawiodłem ją. Była bita, a ja na to nie reagowałem. Tak bardzo bałem się ciebie stracić, że wolałem

zaprzeczać, iż zawsze była mi bardzo bliska.

– Jak to? – usłyszała swój własny, pełen żalości głos.

– Były także chwile, kiedy... jej pożądałem. Dlatego nie opowiadałem ci rzeczy, które mogłabyś opacznie zrozumieć. Na przykład tego, że byłem u Hanny tego wieczoru, kiedy Wilfreda i ciebie nie było.

– Dlaczego?

– Poprosiła, żebym pomógł jej pozbyć się dziecka, które nosiła.

– Zrobiłeś to?

– Nie.

– Często się z nią spotykałeś?

Sama ledwo słyszała własny głos.

– Kiedy mnie potrzebowała. I kiedy mogłem. Nie za często. Ale zdarzało się.

Wpatrywała się w niego. Z poczuciem, że jego twarz pokrywa jakaś warstwa, która ma go przed nią ukryć. Chciała go zapytać, kiedy, gdzie i w jaki sposób. Ile razy. Tak jak słyszała, że wypytuje pacjentów, zanim postawi diagnozę. Im poważniejsza choroba, tym istotniejsza stawała się jasna odpowiedź.

– W ostatnim czasie nic się między nami nie działo. Ale kilka lat wcześniej... sypiałem z nią. Również po twoim przyjeździe. I w ten sposób wszystko zniszczyłem. A kłamstwo rosło.

Słowa dźgały ją ostrym bólem gdzieś w ciele. Przez chwilę straciła go z oczu.

– Którą opłakiwałeś, myśląc, że obie jesteśmy martwe?

Cisza szumiała jej w uszach.

– Martwe? Opłakiwałem siostrę. Ale to ciebie straciłem. I mogąc teraz trzymać cię w ramionach, czuję się tak, jakby ktoś zwrócił mi moje własne życie.

– Nie pożąda się swojej siostry – stwierdziła twardo.

– Wiem. A jednak tak było.

Chciała odwrócić się do niego plecami. Albo wstać i opuścić pokój. Ale dostrzegła własną obnażoną samotność. Która ją sparaliżowała.

– Nie mogę konkurować z martwą...

– Nawet gdyby żyła, nie musiałabyś z nią konkurować.

– Ale przecież tak właśnie było, choć tego nie rozumiałam.

– Nie. To tylko moja słabość. Moja zdrada.

– Jak mam ci zaufać?

– Nie wiem, Anno. Ale zamierzam spędzić resztę życia, starając się odzyskać twoje zaufanie.

Odwróciła się do niego. Próbowwała odnaleźć tak bardzo wytęsknioną szczerość. Ale widziała tylko rozpacz. Jego nieruchome oczy utkwione były w jednym punkcie. Wargi miał spękane w dwóch miejscach i przez cały czas nerwowo oblizywał je koniuszkiem języka.

– Pod koniec lipca wyjeżdżam do Kopenhagi, tak jak planowałam.

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko jego oddech.

– Wrócisz? – zapytał w końcu.

– Nie wiem.

Światło było takie spokojne i zimne.

– Chyba na tyle zasługuję – rzekł po chwili, przytulając ją jeszcze mocniej.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? – szepnęła.

– Kocham cię, Anno! Jeśli nie wrócisz, pojedę za tobą. Choćbym miał zebrać, zdobędę cię na nowo. Nigdy z ciebie nie zrezygnuję. Nigdy cię nie wypuszczę! Słyszysz? Nawet jakbyś była z innym! „Połóż mnie jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim

ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol...”^[7]

Doznała przyprawiającego o zawrót głowy uczucia, że nic nie waży. Był tak blisko. Nie tylko jego ciało, skóra, oddech. Ale też jego myśli. Tak długo na to czekała.

– A kiedyś zapytam, czy możesz mi wybaczyć, że ci nie powiedziałem... ale dziś w nocy nie mam odwagi.

Kiedy ich oczy się spotkały, zobaczyła, że jego strach jest równie ogromny jak jej własny.

Następnego dnia Anna poszła do domu Olaisena. Chciała porozmawiać z nim sama, jak wyjaśniła.

Zachowywał się przyjacielsko i doceniał, że przyszła. Ale jego oczy zdradzały pewien niepokój.

Kiedy usiedli, a drzwi zostały zamknięte, wyłożyła mu swoją sprawę.

Chciała pomówić z nim o tym, jak doszło do tej tragedii. Powiedziała, że nie może tego zrobić z nikim innym.

Olaisen zaś słuchał w poruszeniu.

Zaczęła nieco bezładnie, ale jej cichy głos po pewnym czasie nabrał zdecydowanego brzmienia.

– Pomyślałam, że powiem ci, jak wypowiedziane przez kogoś słowa potrafią katastrofalnie zmienić nasze życie.

Przerwała na chwilę i nachyliła się ku niemu.

– Kiedy opowiedziałeś mi o Hannie i Beniaminie, coś to ze mną zrobiło. Najpierw nie miałam pewności, ale potem ci uwierzyłam. Uwierzyłam, że przez całe lata byłam jedyną osobą, która nie wiedziała.

– Nie możemy roztrząsać tego teraz. Nie powiem złego słowa o zmarłej – odparł sztywno.

Ale ona, jakby nie dosłyszawszy, kontynuowała.

– Za sprawą tego wszystkiego przez chwilę nie byłam w stanie dostrzegać kogokolwiek innego. I zapomniałam zgasić lampę na stryżku. Poza tym przestraszyłam Karnę.

Spojrzenie Wilfreda Olaisena trochę uciekało na boki. Ale zignorowała to. Po prostu mówiła dalej, jak za jej winą stało się tak, że lampa się przewróciła, a Dina i Hanna zginęły. Tak wielką moc mogły mieć słowa. Czy był w stanie zrozumieć choć trochę jej poczucie winy? I że będzie musiała je nieść przez resztę życia?

Chciał coś powiedzieć. Ale nie znalazł odpowiednich wyrazów.

Przez wiele dni nienawidziła go za tamte wypowiedziane wówczas słowa. Nienawidziła go tak bardzo, że nie była w stanie odczuwać smutku. Czy potrafił to pojąć?

Ponownie spróbował coś powiedzieć. Ale ledwo zdołał nabrać oddechu.

– Wiem, że słowa, które teraz kieruję do ciebie, zaraz po tym wszystkim, są niewybaczalne. Bo nie mówię ich powodowana współczuciem, tylko nienawiścią i pragnieniem zemsty. Trudno. Ale mam wrażenie, że nigdy nie spotkałeś kogoś, kto brałby cię całkiem na poważnie jako człowieka. Na pewno słyszałeś, że znaleziono mnie na pełnym morzu, choć mogłam być na strychu. Jestem dziś za to wdzięczna.

I znów powiedziała to o lampie. To dlatego ich już nie było. Hanny i Diny.

– Ale to ja powinnam była zginąć – ciągnęła dalej. – To po to tam popłynęłam! Lampa! Uratowała mnie przed twoimi słowami. W chwili, gdy zobaczyłam pożar, pojęłam, co uczyniłam. Czy dociera do ciebie, z czym muszę się teraz zmagać? Czy kiedykolwiek czułeś się winny z powodu swoich czynów,

Wilfredzie?

Był w stanie tylko skinąć głową. Wyciągnął dłoń, żeby jej dotknąć. Ale ten pusty gest zawisł w powietrzu.

Przerwała na chwilę. Siedziała wyprostowana na brzegu krzesła. Jakby była na przesłuchaniu. Ale mówiła dalej.

– Jednej rzeczy chciałabym od ciebie, Wilfredzie. I dotyczy ona tego maleństwa, o którym powiedziałaś, że jest synem Beniamina. Nie potrafię spokojnie myśleć o tym, że być może nienawidzisz go za coś, za co on nie ponosi żadnej winy. Dlatego chciałabym wychować go w naszym domu.

W tym momencie musiał wyjść jej naprzeciw. Nie miał wyboru.

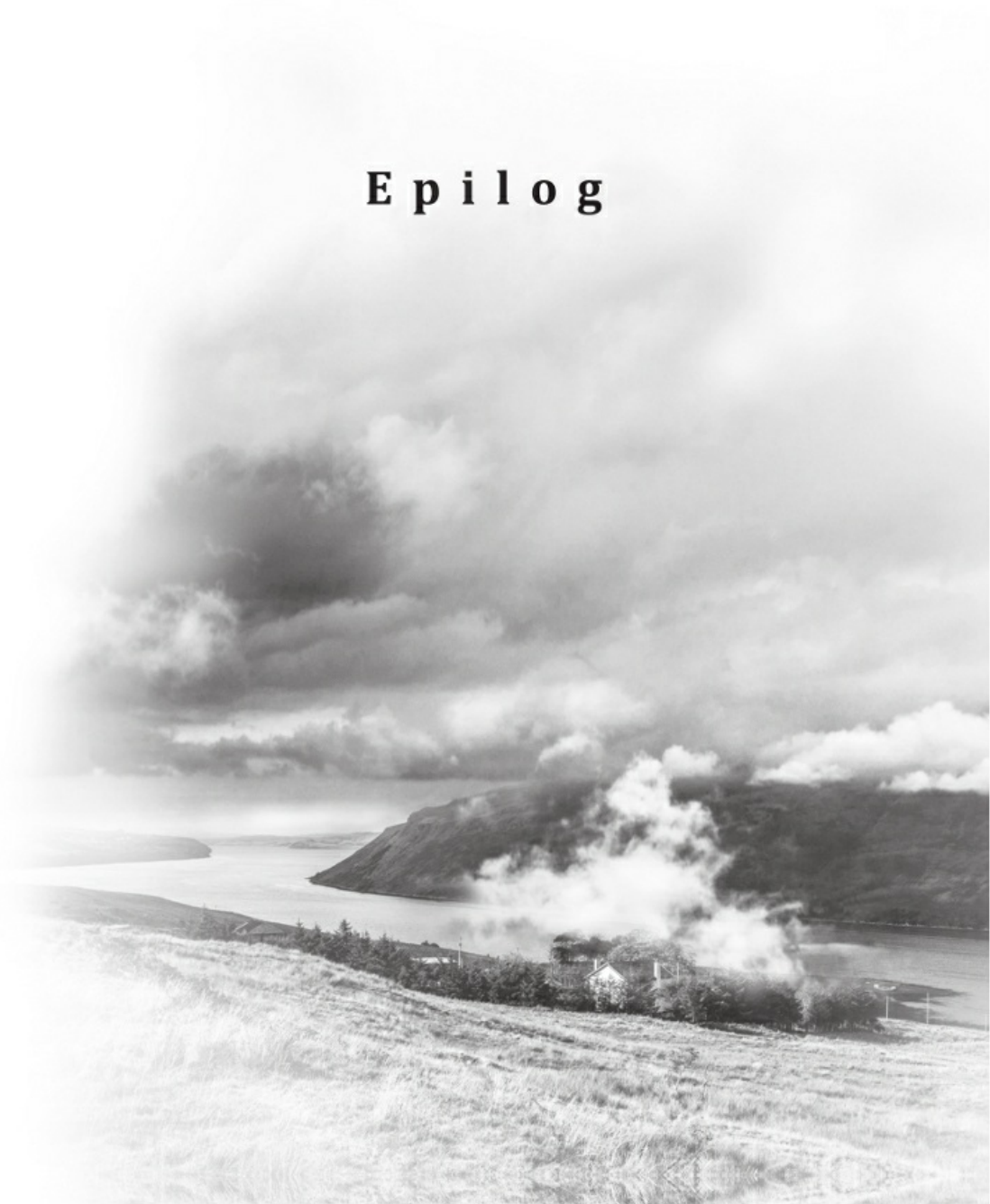
Ku swemu zdumieniu Anna zdołała objąć tego mężczyznę w chwili załamania. Została z nim na resztę dnia. Kiedy wina i rozpacz były już równo podzielone, nienawiść wyparowała. Chłopiec pozostał w domu. Wilfred wyzebrał sobie ojcostwo.

Zanim jednak wyszła, posłała po Johana.

– Oboje potrzebujemy pastora, ale on pierwszy – rzekła.

[7] Pnp 8,6.

Epilog



CO MÓWIĘ WAM W CIEMNOŚCI, POWTARZAJCIE
W ŚWIETLE, A CO SŁYSZYCIE NA UCHO,
ROZGLĄSZAJCIE NA DACHACH.

(Ewangelia według św. Mateusza 10,27)

Karna siedziała, czekając na znak od Johana.

Czuła na sobie wzrok Dziewicy Maryi i świętej Anny, spoglądających na nią z południowego ołtarza. Ich suknie szeleściły. Święta Anna trzymała otwartą księgę. Dokładnie tak jak Johan.

Teraz przemawiał, stojąc przy katafalku.

Usiłowała ustalić, w którym miejscu odczytuje tekst, ale nie była w stanie. Powiedział jej, że ma się nie bać. A jeśli jej się nie uda, to on powie wszystko, co miała powiedzieć ona.

Jeśli upadnie, to tatuś wyniesie ją do zakrystii. Już przygotowali tam rozłożony na podłodze koc. A więc pewnie sądzili, że upadnie.

Pociła się tak strasznie, że złożona na pół kartka papieru, którą trzymała w dłoni, była zupełnie mokra. Położyła ją na kolanach w nadziei, że szybko wyschnie.

Przymknęła powieki, żeby światło wpadające przez wysokie okna nie powaliło jej na ziemię. Czarna sukienka miała za długie rękawy, ale nie przejmowała się tym. Dzięki nim nawet ona nie musiała patrzeć, jak drżą jej dłonie.

Wtedy Johan dał znak.

Podniosła się powoli i podeszła do niego.

Skinął lekko głową i ostrożnie podprowadził ją do trumny. A potem stanął z tyłu i wiedziała, że przez cały czas tam jest. Tuż za nią.

Święta Anna zeszła z ołtarza i stanęła obok niej. Jej twarz skrywała biała chusta.

Poczuła, że wyjmując jej z dłoni kartkę, ale nie miała odwagi podnieść oczu. W chwilę potem jej głos rozbrzmiał pod ogromną kopułą.

Zmarli nie mogą mówić. Zgodnie z życzeniem mojej babki przejąłam po niej całe dziedzictwo. Również jej wyznanie grzechów.

Ale to zbyt wiele dla mnie samej. Proszę więc o zrozumienie dla słów, które zaraz padną.

Tutaj, przy trumnie mojej babki, przed Bogiem i wszystkimi ludźmi, proszę o łaskę i wybaczenie za otrzymane dziedzictwo.

Gdyż ja, Karna Grønelv, przekazuję tę oto wiadomość od zmarłej: Ja, Dina Grønelv Bernhoft, z domu Holm, w listopadzie tysiąc osiemset czterdziestego czwartego roku wiozłam Jakuba Grønelva przez góry do lekarza. Własnymi rękoma spowodowałam upadek sań w przepaść, powodując w ten sposób jego śmierć.

W październiku tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku, na wrzosowiskach na południe od Reinsnes, zastrzeliłam ze sztucera Rosjanina Leo Żukowskiego, powodując jego śmierć.

Wyznaję swoje winy.

Proszę jednak o to, żeby moje ciało zostało wyzwolone.

I oddane morzu.

*

Święta Anna przekazała jej kartkę i powróciła na swój ołtarz.

Miały teraz zagrać organy. Miano odśpiewać psalmy. Ale nic takiego nie nastąpiło. Panowała zupełna cisza. Nie przeszkadzało jej to, bo przecież nie upadła. Przez cały czas stała prosto. Wszystko, co było napisane na arkuszu, zostało wypowiedziane.

Podniosła głowę i spojrzała wprost na nieskończoną, ośnieżoną

wyżynę. Na wszystkie poblądle twarze. Ale wśród nich był Peder. Tatuś. I Anna. Razem.

Potem zeszła główną nawą i ruszyła przed siebie. Nie żeby uciec, tylko aby dokonać powinności.

Kiedy dotarła do wyjścia, otworzyła szeroko drzwi, żeby babcia Dina mogła zostać wyniesiona na zewnątrz.

Dziedzictwo Karny

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

Prolog

Księga I

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Księga II

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Księga III

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Epilog

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Karnas Arv*
Copyright © 1997 Gyldendal Norsk Forlag AS

All rights reserved.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Ewa M. Bilińska

This translation has been published with the financial support of NORLA



Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Opracowanie redakcyjne: Anna Mackiewicz

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Zdjęcia na okładce:

© Agnieszka Karmolińska

© istockphoto / Heijo

Od tłumaczki/Fra oversetteren:

Podziękowanie dla Torego Ruuda oraz Karoliny Drozdowskiej za konsultacje językowe

Mange takk til Tore Ruud og Karolina Drozdowska for språklig konsultasjon

ISBN 978-83-65731-31-9

Wydanie pierwsze



Smak Słowa
ul. Sobieskiego 26/4,
81-781 Sopot

Tel. 507-030-045

Szukaj nas także na



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: konwersja@elib.pl

www.eLib.pl

Nagroda Księgarzy Norweskich przyznawana za najlepszą książkę dekady

Herbjørg Wassmo

Dziedzictwo Karny

„Nowa, wielka Wassmo.”
— Tinic Talén, VG

smak
słowa

